MASTERS of SEX

THOMAS MAIER

SERIAL NA PODSTAWIE KSIĄŻKI W Ale kino+

Świetnie napisana i wciągająca lektura. Znaczący wkład w historię seksuologii.

Zbigniew Lew-Starowicz

MASTERS of SEX

THOMAS MAIER

MASTERS of SEX

THOMAS MAIER

Życie Williama Mastersa
i Virginii Johnson.
Pary, która nauczyła świat seksu

Przekład
Agnieszka Brodzik

CZWARTA STRONA

Tytuł oryginału: *Masters of sex*
First published in the United States by Basic Books a member of the Perseus Books Group

Copyright © 2009 Thomas Maier
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2014
Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2014

Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Marta Buczek
Projekt okładki: Dawid Czarczyński
Fotografia na okładce: © Depositphotos.com/egorrr

WYDANIE ELEKTRONICZNE 2014

ISBN 978-83-7177-982-4

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Moim dziadkom
June i Williamowi Underwoodom

Ze wszystkich naszych zmysłów najbardziej
rozwinięte jest poczucie prawdy.

D.H. LAWRENCE

Wstęp do polskiego wydania

William Masters i Virginia Johnson są postrzegani jako pionierzy współczesnej seksuologii. Ich publikacje, oparte na badaniach przeprowadzonych w warunkach laboratoryjnych z zastosowaniem aparatury pomiarowej, były przełomem w badaniach nad seksualnością człowieka, a stworzona przez nich szkoła terapii zaburzeń seksualnych przyczyniła się do upowszechnienia treningowych metod leczenia tych dysfunkcji. Dotąd w publikacjach seksuologicznych autorzy powołują się na prace tej pary badaczy.

Przed „erą" Masters – Johnson wiedza na temat seksualności człowieka opierała się na wynikach badań socjoseksuologicznych, z których najbardziej znane i opiniotwórcze były publikacje Alfreda Kinseya, oraz na koncepcjach psychoanalitycznych, szczególnie Sigmunta Freuda. Leczenie zaburzeń seksualnych opierało się na psychoterapii, najczęściej typu psychoanalitycznego, nielicznych metodach behawioralnych oraz na farmakoterapii. Skuteczność tych metod nie była oszałamiająca. Często nie dawały żadnego rezultatu. Teoretyczne koncepcje Freuda przez wiele lat miały decydujący wpływ na postrzeganie seksualności kobiet, np. koncepcja „zazdrości członka". Pogląd, że orgazmy osiągane przez pobudzanie łechtaczki są wyrazem niedojrzałości a te osiągane w wyniku stosunku pochwowego – dojrzałości i pełni kobiecości – napędzał do gabinetów terapeutów tłumy kobiet oczekujących „leczenia". Notabene obecnie też zgłaszają się kobiety z tego typu problemem.

Badania Mastersa i Johnson przyczyniły się do powstania nowej koncepcji seksualności kobiet; obalono mit wyższości orgazmu pochwowego nad łechtaczkowym, seksualność kobiet okazała się bardziej złożona, a nawet pełniejsza od męskiej. Okazało się, że kobiety są zdolne do wielokrotnych orgazmów, często osiągają orgazm podczas masturbacji. Tego typu odkrycia wysoko oceniły środowiska feministyczne. Model linearny reaktywności seksualnej poznany dzięki obserwacji zachowań seksualnych stał się podstawą opracowania nowej klasyfikacji zaburzeń seksualnych i do niedawna był traktowany jako uniwersalny dla seksualności kobiet i mężczyzn. Masters i Johnson stworzyli szkołę terapii opartej na metodach treningowych prowadzonych przez parę terapeutów. Przez kilkadziesiąt lat, praktycznie do „ery Viagry", była to dominująca metoda leczenia psychogennych zaburzeń seksualnych. Miało to również i negatywne następstwa w postaci pojawienia się wielu „seksuologów" bez specjalistycznego wykształcenia, stosujących metody treningowe.

Pełne entuzjazmu zainteresowanie środowisk naukowych i mediów towarzyszyło tej parze badaczy przez wiele lat. Mówiąc językiem współczesnym – stali się prawdziwymi celebrytami. Pojawiły się również kontrowersje, np. dotyczące korzystania w terapii z usług zastępczych partnerek seksualnych (zwanych surogatkami), oceny skuteczności zmiany orientacji z homo- na heteroseksualną. Para Masters – Johnson była również traktowana jako guru przemian obyczajowych w latach sześćdziesiątych–siedemdziesiątych XX wieku zwanych „rewolucją seksualną". Okazało się jednak, że tak naprawdę Masters nie był jednoznacznie zwolennikiem zachodzących przemian – nawet zaczęto traktować go jako ich hamulec.

Wydana w Polsce książka Thomasa Maiera to świetnie napisana i wciągająca lektura. Jej zaletą jest przedstawienie biografii tej słynnej pary badaczy, ich drogi do osiągnięcia sukcesu najeżonej przeszkodami i oporem ze strony różnych środowisk. William Masters był świetnie wykształconym lekarzem, cenionym specjalistą w leczeniu niepłodności, obdarzonym szóstym zmysłem i odważnym naukowcem,

dość zamkniętym i tajemniczym. Do niedawna był postrzegany jako pełen dystansu, chłodny uczuciowo człowiek, który podobno nie wiedział, co to jest miłość. Okazuje się, że za tą maską kryła się wrażliwa i romantyczna natura, która znalazła spełnienie dopiero w późniejszej fazie życia. Virginia Johnson, z kompleksem braku medycznego wykształcenia, to kobieta pracowita, ambitna, atrakcyjna, zmysłowa. W jej przypadku sprawdził się mit Pigmaliona – „wychowywana" przez mistrza w krótkim czasie dorównała mu i walnie przyczyniła się do ich sukcesów. Meandry historii związku tej pary warto poznać, są bowiem intrygujące.

W latach 1966–2000 poglądy W. Mastersa i V. Johnson były podstawą normy medycznej w seksuologii. Jednak już od lat osiemdziesiątych wieku zaczęły się pojawiać krytyczne oceny. Największe zarzuty to: wątpliwa skuteczność ich leczenia, nadmierna medykalizacja seksualności, traktowanie niedopasowania seksualnego w związku jako najczęstszej przyczyny jego rozpadu, badana populacja ochotników nie była reprezentatywna dla społeczeństwa amerykańskiego, utożsamianie u mężczyzn orgazmu z wytryskiem, pominięcie faktu wielokrotnego orgazmu u mężczyzn, promowanie modelu heteroseksualnego współżycia.

Ross Morrow w opublikowanej w 2008 roku książce *Sex Research and Sex Therapy; a sociological analysis of Masters and Johnson* stwierdza, że krytyczna ocena prac Mastersa i Johnson ma następujące praktyczne znaczenie dla współczesnej terapii seksualnej:

1. Model cyklu reakcji seksualnych Mastersa i Johnson nie jest uniwersalną normą zdrowia seksualnego. Dodam, że obecnie w przypadku seksualności kobiet jest promowany model cyrkularny reakcji seksualnych, w którym najważniejsze są: satysfakcja, a nie orgazm; pożądanie, motywacja;
2. Satysfakcjonujący heteroseksualny stosunek nie może być traktowany jako norma zdrowia seksualnego;
3. Nie wszyscy pacjenci traktują dysfunkcję seksualną jako problem;

4. W terapii seksualnej należy uwzględniać uwarunkowania społeczne problemów pacjentów.

Z perspektywy czasu i nowych osiągnięć nauki zapewne pojawią się kolejne krytyczne oceny. Celem książki nie jest jednak ich analiza. Jej wartość polega na przedstawieniu biografii i osiągnięć pionierów współczesnej seksuologii, ich odwagi w przełamywaniu tabu i oporów w badaniu seksualności człowieka. Znaczący wkład w historię seksuologii. Pasjonująca lektura.

Zbigniew Lew-Starowicz

Wstęp

Czymże jest ta miłość?
Cole Porter

Seks, we wszystkich jego cudownych przejawach, stał się integralną częścią amerykańskiego życia w czterech moich biografiach – najpierw Samuela Irvinga Newhouse'a, potem Benjamina Spocka, Kennedych i wreszcie Mastersa i Johnson. Doktor Spock, ekspert w kwestiach dotyczących wychowania z czasów amerykańskiego wyżu demograficznego, powiedział mi kiedyś z rozbrajającą szczerością: „Wszystko kręci się wokół seksu!". W rzeczy samej seks – w swojej najpotężniejszej i transcendentalnej formie – warunkuje przetrwanie gatunku, pozwala na odkrycie własnej tożsamości, a także stanowi najbardziej intymny wyraz uczuć między dorosłymi ludźmi.

Historia Williama Mastersa i Virginii Johnson, jak zapewne żadna inna, bezpośrednio opisuje tajemnice seksu i miłości. Ich życie publiczne stanowi niezrównane źródło wiedzy na temat amerykańskiej rewolucji seksualnej oraz zmian kulturowych, które miały wpływ także na teraźniejszość. Z kolei ich prywatny związek odzwierciedla najczęstsze napięcia, pragnienia i przeciwieństwa, jakie pojawiają się w relacji między kobietą a mężczyzną.

Po raz pierwszy przeprowadziłem wywiad z doktorem Mastersem, kiedy przeszedł na emeryturę w grudniu 1994 roku, już wtedy wykazując pierwsze symptomy choroby Parkinsona, która zabrała go siedem lat później. W 2005 roku, po kilku falstartach i wielu godzinach rozmów, odbytych także podczas długiej wizyty w jej domu w St. Louis,

w końcu udało mi się nakłonić do współpracy Virginię Johnson. Mimo światowej sławy ona i Masters byli „jednymi z najbardziej skrytych osób na ziemi – jak wyznała Johnson, dodając: – Praktycznie nikt nas dobrze nie znał. Ludzie dużo spekulowali, ale niewiele wiedzieli".

Przez lata praca Mastersa i Johnson pozostawała ściśle tajna, ponieważ oni sami woleli unikać rozgłosu. Dopiero teraz – gdy wielu związanych z nimi ludzi zgodziło się na wywiady i udostępniło listy oraz poufne dokumenty, a Masters nawet swój niepublikowany dotąd dziennik – możemy w pełni poznać ich niezwykłe życie. Chociaż w czasie największego amerykańskiego badania seksualności, w którym setki kobiet i mężczyzn osiągnęły ponad dziesięć tysięcy orgazmów, zdobyli ogromną wiedzę kliniczną, ich historia w dużej mierze dotyczy nieuchwytnych i trudnych do zdefiniowania aspektów ludzkiej intymności.

Jak wielu do dziś pyta: „Czymże jest ta miłość"?

– T.M.
Long Island, Nowy Jork
kwiecień 2009

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziewczyna z Golden City

Wszystko często zaczyna się na tylnym siedzeniu zaparkowanego auta. Trzeba się pośpieszyć i zrobić, co trzeba. Nie jest to miejsce, w którym można wyrazić swoją osobowość.
William H. Masters

Kierunek jazdy w ciemności wskazywały dwa snopy światła z lamp samochodu torującego sobie drogę przez nieubłaganą czerń wsi w Missouri. Plymouth wiozący Mary Virginię Eshelman i jej chłopaka ze szkoły średniej, Gordona Garretta, toczył się powoli po szerokim pasie nieoświetlonego asfaltu, gdzie absolutny mrok rozpraszały tylko gwiazdy i księżyc.

Na swoją randkę z Mary Virginią chłopak pożyczył nowiutki samochód Garrettów – zielonego sedana z 1941 roku, z błyszczącą chromowaną kratownicą, sterczącą ozdobą dachu, potężnymi błotnikami i szeroką tylną kanapą. Mijali farmy i pola uprawne na ziemi wyrwanej prerii z wysoką trawą. Tego wieczora dołączyli do przyjaciół w The Palace, jedynym kinie w miasteczku, gdzie muzyka i taniec hollywoodzkich musicali pozwoliły im uciec od nudy Golden City. Dzięki wiadomościom z telewizji zdawali sobie sprawę z istnienia wielkiego świata poza granicami ich rodzinnego miasteczka liczącego ośmiuset mieszkańców. Golden City, zlokalizowane tuż przy Górach Ozark, wydawało się bliższe wiejskiej Oklahomie niż wielkomiejskiemu St. Louis – zarówno pod względem odległości, jak i panującej tu dewocji.

Zanim ruszyli do domu, Gordon zjechał na pobocze i wyłączył światła. Chrzęst kół na żwirze nagle ucichł, zapadła cisza. Mary Virginia i jej

chłopak zatrzymali się w ustronnym miejscu, gdzie mogli pozostać niezauważeni.

Siedząc na przednim siedzeniu, Gordon rozpiął bluzkę i poluzował spódnicę swojej dziewczyny, by dotknąć jej nagiej skóry. Nie poruszyła się ani nie zaprotestowała, zamiast tego tylko patrzyła na niego w osłupieniu. Mary Virginia nigdy wcześniej nie widziała penisa, prócz – jak sobie później przypomniała – chwili, gdy matka zmieniała pieluszkę jej młodszemu bratu. Tamtej nocy, krótko po swoich piętnastych urodzinach, Mary Virginia Eshelman (później znana światu jako Virginia E. Johnson) po raz pierwszy poznała tajemnice ludzkiej intymności. „Nic o niczym nie wiedziałam", przyznała kobieta, która z doktorem Williamem H. Mastersem miała stworzyć niezwykły duet. Parę, która z czasem stała się synonimem seksu i miłości w Ameryce.

Dorastając w purytańskiej rodzinie ze Środkowego Zachodu, Mary Virginia dowiedziała się, że seks to coś grzesznego, a do tego praktycznie nieobecnego w zapierających dech filmowych romansach, które chłonęła przed drugą wojną światową. Tak jak wiele kobiet jej pokolenia, nauczyła się, że seks to co najwyżej niemiły obowiązek, który lepiej zostawić mężatkom. Po latach Virginia nazywała Gordona Garretta „chłopcem z ogniście rudymi włosami". Wolała nie ujawniać jego personaliów, tak jak ukrywała każdy niemiły fakt ze swojego życia i wspomnienia o wymykającej jej się wciąż miłości. Jak przyznała całe dekady później: „Nigdy nie wychodziłam za mężczyzn, na których naprawdę mi zależało". A jednak nigdy nie zapomniała Gordona Garretta i owej nocy za granicami Golden City, kiedy nastolatkowie stracili swoją niewinność.

Para młodych ludzi pieściła się w mroku pobocza, powoli przesuwając na tylną kanapę. Dyszeli, więc szyby niebawem zaparowały. Samochody – w Golden City ciągle jeszcze nowość – pozwalały na względną intymność. Gordon zaciągnął ręczny, żeby rodzinne auto nie odjechało, gdy ich uwaga skupiona będzie na czymś innym.

Gordon towarzyszył Mary Virginii przez całą szkołę średnią. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i posturę wiejskiego chłopca. Był

jednocześnie na tyle twardy, by grać w szkolnej drużynie futbolowej, i na tyle wrażliwy, by z Mary Virginią łączyła go muzyczna pasja. W ostatniej klasie wszędzie widywano ich razem. Gordon był jej ukochanym.

Po tym, jak Mary Virginia przeskoczyła dwie klasy w szkole średniej w Golden City, nagle trafiła do starszego towarzystwa, w którym obracał się także rudy Garrett, liczący sobie wtedy już siedemnaście lat. Dziewczyna miała jasnobrązowe, mocno kręcone włosy, pełne empatii szaroniebieskie oczy oraz lekko zaciśnięte usta. Zazwyczaj jej twarz zdobił enigmatyczny uśmiech w stylu Mona Lisy, który szybko mógł przerodzić się w o wiele bardziej ujmującą minę. Jak pozostali Eshelmanowie, miała wyraźne kości policzkowe, wyprostowaną postawę i idealne ramiona. Choć smukła, cieszyła się wystarczająco krągłymi biodrami, by wyglądać na dojrzałą, chociaż niektórzy chłopcy oceniali ją dość ostro. „Była wysoka, chuda i płaska – przypominał sobie Phil Lollar, w tamtych czasach jej nieco młodszy kolega z pobliskiej farmy. – Po prostu zwyczajna dziewczyna". Jednak większość nastolatków z Golden City podziwiała wyczucie stylu Mary Virginii, bo w takim miejscu bardzo go brakowało. W małomiasteczkowym świecie dziewczyna mówiła i ubierała się jak młoda dama, przez co nawet koledzy z klasy nie domyślali się, ile naprawdę miała lat. Najbardziej wyróżniał się jej głos – urzekający instrument, który udoskonalała później jako piosenkarka. Starsza siostra Gordona, Isabel, potwierdziła kiedyś, że ubrania Mary Virginii nigdy nie wyglądały na zniszczone czy niechlujne, jak to się często spotykało u dzieci farmerów na obszarze dotkniętym przez katastrofę ekologiczną lat trzydziestych. Zdaniem Isabel dziewczyna jej brata „zawsze nosiła się schludnie oraz kobieco" i „była ładna".

Samochód ojca Gordona, nowiutki plymouth, wydawał się idealny – był niczym kareta, którą chłopak wiózł swoją preriową księżniczkę. W przeciwieństwie do innych młodych ludzi dorastających w czasach Wielkiego Kryzysu, Mary Virginia pewnie patrzyła w przyszłość, być może dlatego, że jej matka, Edna Eshelman, nie tolerowała innego

podejścia. „Myślę, że Gordon bardzo ją lubił – opowiadała jego druga siostra, Carolyn. – Jej matka zadowalała się tylko tym, co najlepsze, a Mary Virginia była do niej podobna". Siostry Garretta uważały ją więc za dobrą dziewczynę – taką, którą Gordon mógłby z dumą wziąć na bal na zakończenie szkoły i z którą pewnego dnia mógłby się ożenić. Ich zdaniem na pewno nie należała do tego rodzaju kobietek, które można przyłapać na igraszkach na tylnym siedzeniu ich rodzinnego samochodu.

W tym szczególnym wieku Mary Virginia zdążyła posiąść też wiedzę na temat obłudy, jaka rządziła życiem młodych dziewcząt w Ameryce. Wiedziała, co powiedzieć i jakie zwyczaje zachowywać, a hipokryzja obrońców moralności i fundamentalistów dyktujących kobietom „właściwy" styl życia nie była jej obca. Mimo to postanowiła nigdy nie tracić swojej niezależności. Zamierzała ułożyć sobie życie na własnych zasadach, bez względu na to, co mówiła jej matka oraz inni ludzie. Chętnie grała rolę „dobrej dziewczynki – zarówno w szkole, jak i w domu – chociaż w sercu wiedziała, że nią nie jest. „Zawsze zachowywałam pozory bycia córeczką mamusi, ale tak naprawdę robiłam dokładnie to, co chciałam – wyjaśniła. – Po prostu pilnowałam, by nikt się o tym nie dowiedział".

Tej nocy, kiedy straciła dziewictwo, nie czuła się ani do tego zmuszona, ani tym zbrukana. Prosty akt zakończył się po paru minutach. Seks wydał jej się przyjemny, chociaż dziwny. Nie myślała ani trochę o orgazmie, wydolności seksualnej czy obopólnej satysfakcji, czyli o sprawach, którym wraz z Mastersem poświęciła później wieloletnie badania. Zamiast tego zaufała chłopakowi i zdała się na niego. Dopiero dużo później zdała sobie sprawę, że również on przeżył wtedy swój pierwszy raz.

„Wszystko potoczyło się samo, bardzo naturalnie – podsumowała z nutką nostalgii i rozbawienia, wspominając wspólną przygodę. – Matka padłaby trupem, gdyby się dowiedziała".

Życiem Mary Virginii w dużej mierze rządził przypadek; przypadkiem był nawet przyjazd jej rodziny do Golden City. Ojciec, Hershel Eshelman – na którego wszyscy wołali „Harry", bo to było jego drugie imię – żył ze swoją żoną Edną w Springfield. 11 lutego 1925 roku właśnie tam na świat przyszła ich córka. Rodzice Harry'ego byli mormonami, ale ani on, ani jego żona do osób religijnych nie należeli. Eshelmanowie pochodzili z niemieckiej Hesji, a do Ameryki trafili w trakcie wojny o niepodległość. W czasie pierwszej wojny światowej sierżant Harry Eshelman z Baterii A Piątego Regimentu Artylerii zobaczył tyle krwi i śmierci, że wystarczyło mu na całe życie. W tym samym konflikcie zbrojnym we Francji został ranny jego młodszy brat. Po wojnie Eshelman, wtedy dwudziestodziewięcioletni, powrócił do południowo-zachodniego Missouri, pragnąc doświadczyć uroków prostego życia ze świeżo upieczoną żoną, Edną Evans. Poznali się dzięki młodszej siostrze Harry'ego, którą dwudziestoletnia Edna uczyła w szkole.

Nie minęło wiele czasu, nim pani Eshelman jasno określiła, że nie zamierza żyć według skromnego planu Harry'ego. „Matka chciała dobrze wyjść za mąż i właśnie jego sobie upatrzyła", wspominała dorosła Virginia".

Harry Eshelman był smukłym farmerem, naturalnie uprzejmym, jednak niekoniecznie ambitnym. Najwyraźniej niczego więcej prócz kawałka ziemi i pełnego skupienia na jedynym dziecku nie było mu trzeba. Na zdjęciach Harry, ze swoją pociągłą twarzą i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, przypominał Raya Bolgera, pamiętnego stracha na wróble z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Mary Virginia cieszyła się, że była jego oczkiem w głowie. „Zawsze starałam się przypominać ojca i rodzinę z jego strony – powiedziała z dumą wiele lat później. – Zdecydowanie byłam córeczką tatusia". Harry potrafił podołać wszystkiemu – od budowy domu po rozwiązywanie zadań z algebry, gdy Mary sama sobie nie radziła. Jako że wcześniej należał do kawalerii, całkiem sporo wiedział o koniach. Umiejętności wystarczyło mu na popisywanie się przed pomocnikami na farmie albo by za domem uczyć córkę jazdy na szerokich grzbietach perszeronów.

„Matka przychodziła i wrzeszczała na niego, żeby mnie pilnował, a on tylko się uśmiechał, machał do niej i sadzał mnie na koniu", wspominała Virginia. Harry uczył też córkę, jak prasować plisowaną spódnicę i robił „drewniane" buty z kartonu do jej przebrania na szkolny koncert. „Ten człowiek potrafił wszystko!", podsumowała później Johnson.

Kiedy Mary Virginia skończyła pięć lat, jej rodzice postanowili wyjechać z południowo-zachodniego Missouri, czując już na karku oddech Kryzysu. Wyruszyli pociągiem do Kalifornii, szukając nowego początku. W Palo Alto Harry znalazł pracę przy szklarniach i ogrodach rządowego szpitala, w którym zajmowano się rannymi żołnierzami. „To była dobra posada – wspominała Virginia. – Mieszkaliśmy na terenie szpitala, gdzie wzniesiono piękne ogrody i piękne domy". Trafiwszy do połączonej z przedszkolem szkoły progresywistycznej, doskonale radziła sobie z nauką. Jako wygadana i cwana dziewczynka skończyła ósmą klasę już w wieku dwunastu lat.

Dla uciekinierów z suchych równin Missouri kampus szpitala musiał wyglądać jak Eden – ogród, który miał ich ochronić przed naporem Wielkiego Kryzysu. Zamiast szarego pyłu przysłaniającego niebo, patrzyli na mglisty splendor linii brzegowej i podziwiali surowy majestat Pacyfiku.

Z okazji jakiegoś święta ojciec Virginii wyruszył na plażę w garniturze i słomianym kapeluszu. Jego zdjęcie z tamtego dnia przywołuje wspomnienia z dzieciństwa. „Miałam na sobie swój mały strój kąpielowy i bawiłam się tuż przy brzegu – wyjaśniała Virginia, spoglądając na fotografię. – Wyszłam trochę za daleko i złapały mnie fale. Byłam taka drobniutka". Mary Virginia przewróciła się i wciągnęło ją pod powierzchnię wody. Harry Eshelman nie zastanawiał się ani chwili i rzucił się jej na pomoc w pełnym ubraniu, w oczach córki wyrastając na bohatera. „Tata po prostu przyszedł i mnie uratował", skonstatowała.

W końcu Ednie znudziła się Kalifornia. To ona wpadła na pomysł emigracji do Złotego Stanu, razem z innymi farmerami, których nękały kłopoty. Szybko jednak zatęskniła za domem, rozczarowana pracą męża

przy szpitalu dla weteranów. Ku rozgoryczeniu małżonka i córki, Edna podjęła decyzję o wyjeździe, a Harry doskonale wiedział, że lepiej jej się nie sprzeciwiać. Dostosował się do życzeń żony bez protestów. „Mama upierała się, że chce wrócić do rodziny i przyjaciół. Po prostu tęskniła", wyjaśniła Virginia, chociaż pamiętała o tym, że większość krewnych jej matki przeniosła się do Kalifornii. Harry skontaktował się ze swym ojcem, który wciąż mieszkał w hrabstwie County, żeby uzyskać jego pomoc przy poszukiwaniu nowej farmy blisko Springfield. Udało się i znaleźli nowy dom jakieś osiemdziesiąt kilometrów na zachód od miasta. Eshelmanowie i ich młodziutka córka spakowali swój dobytek i wrócili rodzinnym samochodem do Missouri, do miejsca, gdzie panował jeszcze większy kryzys niż tam, gdzie zaczynali. „Dziadek znalazł tylko jedną wolną farmę, w Golden City", wspominała Virginia. Przykrą zmianę pogarszał jeszcze fakt, że Golden City okazało się zupełnie nieciekawym miasteczkiem. „To malutka miejscowość – opisywała Virginia – dosłownie nikt tam nie mieszkał".

Golden City szczyciło się mianem „stolicy preriowego siana". Dla młodych ludzi z marzeniami było to miejsce, z którego się uciekało, jak wspomina Lowell Pugh, jeden z rówieśników Virginii, w dorosłym życiu właściciel domu pogrzebowego. Jego zdaniem „każda dziewczyna, o ile jeszcze nie znalazła męża i nie zaszła w ciążę, marzyła tylko o małżeństwie albo wyrwaniu się z miasteczka".

Exodus Eshelmanów z Kalifornii do Missouri uwidaczniał jeszcze jeden istotny fakt: chociaż Mary Virginia uwielbiała ojca, to matka rządziła w rodzinie. Pojedynek woli rodziców stał się największym problemem w życiu młodej Mary Virginii. Edna miała własne poglądy na temat roli kobiety, a jej córka posłusznie je akceptowała, ale tylko w zasięgu wzroku matki, by buntować się przeciwko nim, gdy rodzicielka tego nie widziała. W domu Eshelmanów najważniejsze okazały się pozory. „Miała bardzo wyraźne pojęcie tego, jaka powinna być żona i matka. Cały czas grała! – wspominała Virginia. – Albo naprawdę uważała, że jest lepsza od reszty świata, albo chciała taka być".

Edna Evans wychowała się jako średnie dziecko w rodzinie bardziej wierzącej niż Eshelmanowie. Wyrosła z niej atrakcyjna, szczupła i gibka kobieta z krótko przyciętymi, brązowymi włosami. Jej mąż patrzył na świat przyjaznym i naiwnym wzrokiem; w oczach Edny można było dojrzeć więcej sceptycyzmu i społecznej ambicji. Zawsze wydawała się brać udział w jakimś bliżej nieokreślonym wyścigu. Niewiele w małżeńskim życiu Edny poszło po jej myśli. Kiedy trafiła do Golden City, najwyraźniej z pełną determinacją postanowiła przejąć kontrolę nad swoim otoczeniem i nauczyć tego córkę. „Wszyscy mnie hołubili i wyrosłam w przeświadczeniu, że samorealizacja oraz talenty to wspaniałe sprawy, ale najważniejsze w życiu to wyjść za mąż", wspominała Virginia. Jej matka upierała się, by pozostali mieszkańcy miasteczka zwracali się do córki, używając obu imion – Mary Virginia. „Chciała, żeby mówiono na mnie »Mary Virginia«, bo żyliśmy w czasach, gdy każda dziewczyna nazywała się Judy Ann albo Donna Marie". Oczywiście w ramach nastoletniego buntu Mary Virginia poinstruowała wszystkich kolegów i koleżanki ze szkoły, by mówili do niej po prostu „Virginia".

Matka miała wysokie aspiracje, więc załatwiła córce fortepian i lekcje gry, a sama uczyła ją szycia i gotowania. Pod nieobecność męża przejmowała też rolę mężczyzny. „Pewnego lata w czasie zbiorów moja matka, ta drobniutka kobieta, wyszła na pole, żeby jeździć traktorem i robić tego typu rzeczy – opowiadała Virginia. – Jeśli sytuacja ją do tego zmuszała, potrafiła podjąć się praktycznie wszystkiego".

Mieszkanie na farmie prawie dziesięć kilometrów od centrum miasteczka z nieadekwatną nazwą sprawiło, że Edna z rozpaczą próbowała rozwinąć swoje życie towarzyskie. Raz w miesiącu wybierała się na spotkanie kobiet z okolicy, gdzie pojawiała się też pani Garrett. Organizowano je regularnie, wybierając dom kolejnej członkini tego kółka; paplały, dzieliły się ploteczkami i cieszyły tak rzadkim towarzystwem innych kobiet. „Edna była bardziej dziarska niż jej mąż, miała też o wiele większe ambicje, chciała więcej dla siebie i rodziny –

podsumowała Isabel Garrett Smith. – Córka napawała ją dumą. Dobrze ją wyszkoliła". Chociaż jej mąż w obliczu panującej w kraju biedy popierał demokratów, Edna widziała swoją szansę w Partii Republikańskiej. „Przez całe życie starała się jakoś wyróżniać", wyjaśniła Virginia. Polityka zapewniała rzadkie chwile podniecenia na skądinąd nudnej farmie Eshelmanów.

Nikt nie odczuwał tej izolacji mocniej niż Mary Virginia. Grusza na tyłach ich podwórza stała się dla niej miejscem lektury; w ciepłe popołudnia to tam zasiadała z Biblią albo powieściami ukrywanymi przed matką, marząc o wielkim świecie. „Nie miałam koleżanek – wspominała. – Ja tylko czytałam ludzi jak książki. Zawsze chciałam wiedzieć, jak wygląda ich życie. Moi dziadkowie, krewni i znajomi rodziców przychodzili w odwiedziny, a ja przez cały czas prosiłam, żeby mi opowiadali o swoim dzieciństwie. Uwielbiałam słuchać historii innych, chyba dlatego, że jako jedynaczka czułam się samotna".

Pewnego lata Mary Virginia wyjechała na tydzień do starszej siostry Edny, która pozwoliła siostrzenicy hulać po przestronnym mieszkaniu. W szufladzie dziewczynka znalazła prywatne rzeczy ciotki, w tym plik listów napisanych przez mężczyznę prowadzącego małą prywatną szkołę dla chłopców na pogórzu Missouri. Po rodzinie krążyła opowieść, że ciotka, wtedy czterdziestoletnia, omal go nie poślubiła. Mary Virginia odkryła przyczynę, dla której do ceremonii nie doszło. „Znalazłam te urocze listy miłosne, pisane z pasją, której nie zapomnę do końca życia. Wszystkie przewiązano wstążką – opowiadała. – Wynikało z nich, że mężczyzna miał mieć dziecko z miejscową dziewczyną, więc ciotka nie chciała już z nim nawet rozmawiać. Odeszła i nigdy za nikogo innego nie wyszła. Wspaniała, tragiczna historia".

Tego typu tajemnicze opowieści o zagrożeniach płynących z uczuć i pociągu fizycznego z pewnością miały wpływ na podejście Edny do rodzącej się seksualności córki oraz na wysiłki, jakie podejmowała, by ochronić Virginię przed wszelkimi pokusami. „Nigdy o niczym mi nie opowiadała, nawet o menstruacji – wyznała po latach Virginia. –

Kategorycznie odrzucała wszystko, co miało związek z seksem. O tym się zwyczajnie nie mówiło". Oczywiście na farmie pełnej koni, świń i innych ciepłokrwistych zwierząt trudno było unikać tego tematu, a może nawet wręcz stawało się to niemożliwe. Historycy Krainy Ozark, leśnych ostępów na prerii, potwierdzali sprośną naturę wiejskiego życia: kiedy miejscowi rolnicy nie zagłębiali się w Słowo Boże, praktykowali elementy pogaństwa jeszcze w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, uprawiając seks na polach, żeby zapewnić sobie duży plon. „Dorastając, poznałam kobiecy strach przed ciążą i miejscową prostytutkę", wspominała Virginia. W Golden City za czasów jej pokolenia – zdaniem przedsiębiorcy pogrzebowego Lowella Pugha, który zajmuje się również kronikami miasteczka – w Kansas City mieszkały trzy kobiety uprawiające najstarszy zawód świata.

Unikanie intymnych tematów stało się bardziej skomplikowane, kiedy Edna zaszła w ciążę i urodziła chłopca, Larry'ego, dwanaście lat młodszego od Mary Virginii. Mimo to matka postanowiła, że wszelkie informacje o seksualności – jak wszystkie lekcje, których udzielała córce – muszą zostać przekazane na jej warunkach. Pewnego wieczoru, kiedy Virginia czytała książkę, Edna weszła do jej sypialni z wyraźnie zatroskaną miną. Zaczęła mruczeć coś pod nosem o seksie, używając niejasnych terminów i eufemizmów. „Byłam bardzo młoda, kiedy próbowała opowiedzieć mi o ciąży i o tym, jak do niej dochodzi – wyjaśniała Virginia. – Nic z tego nie zrozumiałam". Dziewczynka słuchała w milczeniu, ale nie uważała.

Kiedy Mary Virginia zaczęła dojrzewać i jej ciało się zmieniło, poczucie samotności stało się nieznośne. Gdy zaczęli ją interesować chłopcy, zauważyła, że może zwrócić ich uwagę poprzez uśmiech, odpowiednią postawę albo zarzucanie włosami.

Vaughn Nichols – kolega ze szkoły, który mieszkał w okolicy – podczas rozmowy wspominał gorące lato, kiedy to podjeżdżał swoją ciężarówką pod dom Eshelmanów. Co tydzień odbierał od nich dwie albo trzy skrzynki jajek (po trzydzieści tuzinów każda) i inne towary, by zawieźć je na targ. Na farmie Eshelmanów było na co popatrzeć. Harry i Edna

mieszkali w białym, piętrowym domu, liczącym niemal sto lat, otoczonym przez sto sześćdziesiąt akrów pszenicy, kukurydzy, lucerny i trawy. W gospodarstwie trzysta kur znosiło im jajka, kilka krów czekało na wydojenie, a świnie tarzały się w błocie. Ale Vaughn nie potrafił oderwać wzroku od Mary Virginii. Na zawsze zapamiętał widok dziewczyny ubranej w naprawdę krótkie szorty. „Chyba się mnie nie spodziewała", wyjaśniał, dodając, że nawet jeśli Virginia go polubiła, niczego takiego nie powiedziała.

Po obejrzeniu filmu w kinie The Palace, Vaughn i inni chłopcy wybierali się na tańce z dziewczętami ze szkoły średniej w Golden City, w tym z Mary Virginią. Oprócz srebrnego ekranu w The Palace można było znaleźć małą kawiarnię o nazwie The Green Lantern, gdzie tańczyli fokstrota i rozmawiali. „Wszystkie dziewczyny tańczyły lepiej od nas – wyznał ze śmiechem Vaughn. – A Mary Virginia bardzo lubiła towarzystwo". Nikt jednak nie liczył się dla niej bardziej niż Gordon Garrett, którego rodzina mieszkała jakieś trzy kilometry od farmy Eshelmanów. „Nigdy wcześniej nie spotykał się z nikim tak długo – przyznała jego siostra, Isabel. – Wydaje mi się, że jako jedna z niewielu potrafiła mu się postawić".

Chociaż Gordon, znany jako „Red" albo „Flash", był porządnym chłopakiem, potrafił od czasu do czasu wypić cichaczem jedno czy dwa piwa z kolegami i nie dać się złapać. Równie umiejętnie udawało mu się ukryć nocne przejażdżki samochodem z Mary Virginią. Gordon nigdy nie przechwalał się przed znajomymi swoimi podbojami. Zamiast tego dawał do zrozumienia, że jest dla dziewczyny kimś wyjątkowym. „Zdawał sobie sprawę, że straciłam z nim dziewictwo – wyjaśniła Virginia. – Odniósł się kiedyś do tego. Jak mężczyzna może nie wiedzieć, że jego partnerka nikogo wcześniej nie miała? Przecież to dość oczywiste". Gordon – zapewne obawiając się, że mógł zrobić jej krzywdę – zapytał delikatnie, czy wszystko z nią w porządku. „Żaden z niego poeta – wspominała – ale zainteresował się tym, co czułam i czy mi się podobało. Nie wiem, czy starał się celowo, ale wykazał się zrozumieniem i troską. Nie miałam pojęcia, jak mu odpowiedzieć". Mary

Virginia nie miała zamiaru potwierdzać, że to był jej pierwszy raz. Uznała zresztą, że nie musi: „On to po prostu wiedział".

W kronice szkolnej, gdzie uczniowie „przepowiadali" przyszłość swoich kolegów i koleżanek, nie stroniąc przy tym od żartów, celowo umieszczono ich zdjęcia obok siebie. Opublikowano też to, co zdaniem całej klasy miało się wydarzyć:

> CHICAGO: Pan i pani Gordan [sic] Garrettowie informują, że ich córka rozpoczęła naukę w Szkole dla Dziewcząt Panny Virginii Townley w Sunny Slope nad Chicken Creek. Pani Garrett przed ślubem nosiła nazwisko Eshelman.

Kiedy Mary Virginia ukończyła szkołę w 1941 roku, jej życie w Golden City, dotychczas tak nudne i powolne, nagle nabrało kolorów; ale oto całe jej pokolenie odczuło początek wojny. Starszy brat Gordona dołączył do Straży Wybrzeża i przez czas trwania wojny stacjonował w Nantucket. Gordon uzyskał roczne odroczenie i pozostał na farmie, by pomagać rodzinie. „Jedynym powodem, dla którego go nie poślubiłam ani nawet tego nie rozważałam, była niechęć do życia na farmie – wyjaśniła wiele lat później Virginia. – Chciałam iść do college'u i spróbować swoich sił w wielkim świecie". Niektórzy wyczuli, że zdaniem Eshelmanów ich progi były dla Gordona zbyt wysokie. „Zostawiła go – wspominała jego siostra, Carolyn. – Nie chciała go, bo miał zostać na wsi. Ona zaś zamierzała się stamtąd wyrwać. Była wymagająca i życie z farmerem jej nie zadowalało".

Eshelmanowie zdecydowali się wysłać Mary Virginię do Drury College w Springfield, żeby uczyła się muzyki. „Zawsze marzyłam tylko o tym, by śpiewać w Metropolitan Opera albo w ogóle zostać międzynarodową gwiazdą opery", wyjaśniła Virginia. Wreszcie Harry i Edna również wyprowadzili się z Golden City i wrócili do rodzinnego Springfield.

Rok po skończeniu szkoły, po wydarzeniach w Pearl Harbor, Gordona zmiotła fala patriotycznego ferworu – postanowił pójść do wojska. W dniu wyjazdu – jak Edna dowiedziała się później od jego matki – stał zrozpaczony na stacji, czekając na pociąg do hrabstwa Lamar, gdzie miał dołączyć do pozostałych ochotników. Liczył na to, że Mary Virginia

przyjdzie, by się pożegnać. Rozglądając się z rozczarowaniem, Gordon powiedział swojej młodszej siostrzyczce: „Będziesz musiała zostać moją dziewczyną, bo zostałem sam".

W chwili, gdy Edna opowiedziała tę historię swojej córce, Mary Virginia już od dawna nie mieszkała w Golden City. „Nie przejmowałam się tym. Miałam to zupełnie gdzieś – wspominała. – Nie spotykaliśmy się już wtedy, widywałam się z wieloma chłopakami. Kiedy teraz o tym myślę, nie mogę uwierzyć, że byłam aż tak bezduszna. W ogóle nie zastanawiałam się nad tym, co mu robiłam. Całe miasteczko wiedziało, że Gordon z nikim innym się nie ożeni".

ROZDZIAŁ DRUGI

Złamane serce

Uważaj, by gwiazdy nie wpadły ci do oczu.
Zatrzymaj dla mnie serce, bo kiedyś wrócę
I przekonasz się, że nikogo innego nie mógłbym pokochać.
Don't Let the Stars Get in Your Eyes, śpiewane przez Reda Roleya

Był rok 1942. Virginia wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i zaśpiewała z uczuciem hymn narodowy. Z jej twarzy nie znikał uśmiech. Dziewczynie przygrywał kwartet z Drury College. Zaśpiewali *Gwieździsty sztandar*, by zakończyć z emfazą: „Ponad krajem wolnych, ojczyzną dzielnych ludzi!".

Wszyscy zgromadzeni na sali – deputowani Missouri, senatorowie, politycy, prawnicy i inni – nagrodzili młodą dziewczynę owacją. Jefferson City pogrążyło się w wojnie. Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, Amerykanie ruszyli do Europy, by walczyć z nazistami, a w stolicy stanu Missouri wiedziano, że zaszły nieodwracalne zmiany i świat nigdy już nie będzie taki sam. Nie czuło się tu takiej wojennej gorączki od czasów wojny secesyjnej, kiedy Jefferson City podzieliło się między jankesów i konfederatów.

Virginia i jej kwartet występowali w czasie politycznych zebrań, czasami w kościołach. „Śpiewałam hymn praktycznie na każdym wydarzeniu politycznym, jakie zorganizowano w Jefferson City – wspominała Virginia. – Uwielbiam tego typu występy. Miałam głos, którym mogłam zdziałać praktycznie wszystko". Pewnego razu przygrywali do obiadu, na którym zjawiła się żona gubernatora stanu Missouri, Forresta C. Donnella, republikanina wybranego spośród

tłumu demokratów dzięki Tomowi Pendergastowi, temu samemu, który pomógł Harry'emu Trumanowi zostać senatorem. W Missouri ścierały się klany i różne przekonania – Ameryka w skali mikro. Virginia nauczyła się, że przedstawiciele obu partii często pojawiali się na przyjęciach i zebraniach tylko po to, by się dobrze bawić. „Poznałam wtedy mnóstwo nowych ludzi – powiedziała. – Wszyscy się kłócili. To było małe i wyraźnie podzielone miasto".

Virginia dołączyła do kwartetu po lekcjach śpiewu na Drury College, lokalnej uczelni zwanej południowo-zachodnim Yale, znajdującej się kilka kilometrów za Jefferson City. W wielu biogramach Virginii napisano, że uczyła się tam dwa lata, ale tak naprawdę nigdy nie robiła tego na pełen etat. „Zostałam studentką muzyki na Drury, ale nigdy nie wpisano mnie oficjalnie na listę – wyjaśniła. – Jako studentka pojawiałam się tam raz w tygodniu". Kiedy odeszła z domu, jej życie skoncentrowało się wokół ratusza Jefferson City, gdzie dbała o to, by wszyscy znali ją po prostu jako Virginię; zrezygnowała z podwójnego imienia. Jako córka Edny Eshelman, energicznej członkini komitetu republikanów z Barton County, dostała pracę sekretarki, którą przyjęła z radością, bo taka posada oznaczała wejście do znacznie większego świata niż ten znany jej z rodzinnej farmy. „Opuściłam dom w wieku szesnastu lat i nigdy do niego nie wróciłam. Radziłam sobie sama – wspominała. – Moja matka w krótkim czasie stała się dość wpływową osobą w hrabstwie. Zdecydowała, że zanim pójdę do college'u, spędzę rok w wielkim świecie. Dlatego dostałam pracę przy kampanii w Jefferson City, w dziale ubezpieczeń". Później Virginia przeniosła się do działu prawnego, wspomagając senatora, którego okręg obejmował Springfield.

Matka wiedziała, że Jefferson City to lepsze miejsce na szukanie męża dla Virginii niż jakaś zapomniana przez Boga farma. Nawet jeśli Edna Eshelman czuła, że jej własne marzenia w jakiś sposób zostały zaprzepaszczone, nie zamierzała pozwolić córce zmarnować jej potencjału. Pod tym względem zresztą Virginia bardziej przypominała

matkę niż ojca, nawet jeśli nie chciała tego przyznać. Nienawidziła manipulacji rodzicielki, ale szybko przyzwyczaiła się do jej wytwornego otoczenia. Choć jeszcze nie skończyła dwudziestu lat, była na tyle dojrzała i pewna siebie, by odbierano ją jako osobę kilka lat starszą. Zaprzyjaźniła się nie tylko z wieloma ważnymi ludźmi, ale też z sekretarkami i innymi pracownikami niższego szczebla. „Za każdym razem, kiedy potrzebowałam podwózki do Springfield, musiałam tylko w pewnym sensie poprosić o to komitet. To mógł być ktokolwiek – powiedziała. – Wiele razy wracałam do domu z senatorem ze Springfield".

Śpiewając hymn na kolejnej politycznej gali w Jefferson City, Virginia poznała jednego z wysoko postawionych urzędników stanowych, wdowca z dziećmi niemal w tym samym wieku, co ona sama. Wydawał się oczarowany jej urodą, młodością i być może otwartością, ale randki utrzymywali w tajemnicy. Już po kilku tygodniach zaczął mówić o małżeństwie. Jeśli chodzi o to, czy do samego ślubu faktycznie doszło, zdania są podzielone. „Za pierwszym razem miałam ledwie dziewiętnaście lat i małżeństwo przetrwało tylko dwa dni – powiedziała Virginia w rozmowie z »Washington Post« w 1973 roku, opisując swoich czterech mężów. – On był politykiem i najwyraźniej dziewiętnastoletnia panna młoda mu nie służyła. Teraz już zresztą nie żyje". Ten widmowy pierwszy mąż pojawia się w kilku oficjalnych biografiach, ale w większości brakuje o nim wzmianki. Dokumentów nigdy nie odnaleziono. Wiele lat później Virginia upierała się, że wychodziła za mąż tylko trzy razy, a tamten romans podsumowała krótko: „Spotykałam się z wysoko postawionym politykiem, który zabiegał o jeszcze lepszą posadę, jak wyjaśnił dość tajemniczo". Ich związek od początku wydawał się skazany na porażkę. „Zwróciliśmy na siebie uwagę tylko raz, kiedy pojawiliśmy się razem na spotkaniu poza granicami Jefferson City i pojechaliśmy oboje pod ochroną policji". Piękna młoda kobieta u boku charyzmatycznego polityka, niebędąca jego asystentką – w oczach plotkarzy to musiało oznaczać tylko jedno. Chociaż jego uczucie nie wygasło, przegrało z politycznym instynktem

przetrwania. „Zdecydował się startować w wyborach gubernatorskich – wspominała Virginia. – Jeszcze nie ogłosił swojej kandydatury; rozstaliśmy się krótko przed tym, żeby mógł to zrobić. Jego przełożeni uznali, że nie może kandydować na gubernatora i spotykać się z kimś w wieku własnych dzieci. Tak się skończyło moje pierwsze małżeństwo".

W Jefferson City Virginia powoli poznawała zapatrywania społeczeństwa na takie młode, niezależne kobiety jak ona. Chociaż po drugiej wojnie światowej pojawiły się niespotykane wcześniej perspektywy zawodowe – podobnie jak intensywnie promowane w mediach wizerunki kobiet podejmujących prace tradycyjnie uważane za męskie, żeby zastąpić wysłanych za ocean żołnierzy – pewne ograniczenia nie zniknęły. „Wojenna propaganda podkreślała kobiecość tych pracownic nawet wtedy, gdy wykorzystywała je w nowych rolach w przemyśle", zauważyła Katharine T. Corbett w opracowaniu historii kobiet z St. Louis. Nigdzie te podziały nie były tak widoczne, jak w sprawach związanych z seksem. Ignorancja kobiet w stosunku do własnych ciał niezmiernie Virginię dziwiła. W czasie spotkania towarzyskiego na świeżym powietrzu, jak wspomina, jedna z jej koleżanek spojrzała na nią zmartwiona.

– Chciałabym cię o coś zapytać – powiedziała. – Chodźmy do samochodu i porozmawiajmy.

Virginia ruszyła za nią do zaparkowanego niedaleko auta, gdzie zajęły miejsca z przodu i zamknęły drzwi. Z opowieści koleżanki wynikało, że najwyraźniej nawiązała romans z mężczyzną, którego nie zamierzała poślubić, i martwiła się, jaki będzie to miało wpływ na jej przyszłość.

– Czy ja...? – zapytała niepewnie. – Czy to możliwe, żeby ktoś poznał, że nie jestem już dziewicą?

Chociaż Virginia lubiła, gdy ludzie się jej zwierzali i pytali o radę, nie mogła pomóc w tej sprawie. „Powiedziałam jej, że nie mam pojęcia. Nie wiedziałam wtedy, czym jest błona dziewicza, na Boga!", podsumowała opowieść.

Virginia nienawidziła hipokryzji kobiet, które zachowywały się wstydliwie i cnotliwie aż do sobotniej nocy, a następnego ranka znowu grały tę samą farsę. „Znałam całkiem sporą grupę kobiet aktywnych seksualnie, ale te z etykietką »miłej dziewczyny«, do których również należałam, w dużej mierze żyły w celibacie – wyjaśniła Virginia, która nigdy nie zachowywała się prowokacyjnie, próbując się przypodobać jakiemuś mężczyźnie. – Nigdy nie planowałam nikogo »zdobyć«". Do seksu dochodziło na jej warunkach i wtedy, gdy to ona miała na to ochotę. Nie udawała braku zainteresowania. „Mogę śmiało powiedzieć, że nie spotykałam się z żadnym mężczyzną, nie współżyjąc z nim. Bardzo lubiłam seks".

W czasie wojny Virginia spędzała wiele czasu z żołnierzami stacjonującymi w Fort Leonard Wood, jednostce wojskowej w Waynesville w stanie Missouri, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od stolicy. Jej żeński kwartet brał udział w wojskowych koncertach na scenie polowej. Występowali tam tancerze i miejscowe talenty, a czasami komik Bob Hope i jego trupa USO. Oprócz muzyki popularnej i patriotycznych pieśni Virginia polubiła także country, słuchając ballad Hanka Williamsa i poznając Reda Foleya, który śpiewał o romantycznej miłości, przygrywając sobie na gitarze i harmonijce. W końcu zaczęła wykonywać ballady country dla radiostacji KWTO (skrót od *Keep Watching the Ozarks*, czyli *Nie Przestawaj Oglądać Ozarków*), jako Virginia Gibson. Inspiracją jej pseudonimu był sponsor programu, Gibson Coffee Company.

Lato w Fort Leonard Wood było dla Virginii wyjątkowo pasjonującym okresem. Od mężczyzn, którzy pojawili się w jej życiu, nauczyła się, że romantyczna miłość – celebrowana w piosenkach – w rzeczywistości często okazywała się nieosiągalna. W jednostce wojskowej młodzi ludzie, podobni do Virginii, wkraczali właśnie w dorosłość, a przecież trwała wojna. Wciąż wisiały nad nimi decyzje ważące na życiu i śmierci. W czasie występów USO Virginia stała się częścią czegoś większego. „Wczułam się w to wszystko, ponieważ zaczęłam śpiewać w różnych jednostkach wojskowych – wspominała. – I zawsze z kimś się

spotykałam". Zazwyczaj zaspokajała swoje pragnienia, nie angażując się emocjonalnie. Wojna przyniosła kobietom nie tylko wyzwolenie na rynku pracy, ale także w kwestii niezobowiązujących kontaktów intymnych. Z jednego romansu Virginia zapamiętała rozwiedzionego oficera „w typie Strażnika Teksasu", który doskonale radził sobie w łóżku. W czasie wspólnych nocy rozmawiali o jego walce z byłą żoną, tancerką z Las Vegas, o opiekę nad synkiem. Virginia nigdy nie uważała się za kolejną komplikację w życiu tego mężczyzny; widziała ich raczej jako dwa przyjazne statki przepływające obok siebie nocą. „Świetnie tańczył i miło się z nim rozmawiało – opowiadała. – Trudno było nie poczuć do niego pociągu fizycznego". Nigdy nie łączyła ich nawet namiastka miłości, a przecież matka uczyła Virginię, by od tego zaczynała. Dziewczyna odkryła jednak, że brak uczuć nie oznacza braku satysfakcji w łóżku. Miłość nie była potrzebna do orgazmu, tego intensywnego uczucia, po którym przychodziło odprężenie. „Nigdy nie miałam z tym problemu – powiedziała o szczytowaniu. – Po prostu z niektórymi mężczyznami przychodziło to bardziej naturalnie niż z innymi. W zasadzie nie zdawałam sobie sprawy, jacy wspaniali byli niektórzy z nich, dopóki nie dochodziło do zbliżenia". Wkrótce rozwiedziony oficer i jego seksualne umiejętności wyjechali na wojnę.

Czasami Virginii podobał się bardziej umysł niż ciało jakiegoś mężczyzny. Z tych doświadczeń wyniosła spostrzeżenie, jak niewiele czysta seksualność potrafi znaczyć dla związku. Jeden z jej chłopaków, utalentowany skrzypek, którego ściągnięto do wojska z Symfonii Pittsburskiej, podzielił się z Virginią cennymi uwagami na temat muzyki i potencjału dziewczyny jako wokalistki. Tego typu mężczyźni przemawiali do jej duszy i intelektu – okazała się zaskakująco wrażliwa na ich opinie i sądy. „Był prawdziwym geniuszem – opisywała skrzypka, który oceniał utwory, jakie miała zagrać razem z zespołem na scenie polowej. – Zawsze uważał moje aranżacje za piękne". Jednak mimo szerokiej wiedzy na temat muzyki, w buduarze okazał się mało pojętny. „Był bardzo naiwny i miał niewielkie doświadczenie. Wydaje mi się, że zostałam jego pierwszą kochanką. Pamiętam wieczne przeprosiny;

chyba po prostu myślał, że nie wie, co robi". Mimo problemów łóżkowych, Virginia przez chwilę rozważała małżeństwo z tym utalentowanym człowiekiem, który obiecywał pokazać jej świat muzyki. „Moim najmniej efektywnym partnerem seksualnym był wspaniały skrzypek, ale to o niczym nie przesądzało", rzuciła kiedyś. Ich stosunki ochłodziły się z powodu pogardy, z jaką Edna Eshelman wypowiadała się o religii chłopaka. „Był katolikiem i moja matka to skomentowała. Nigdy otwarcie nie krytykowała małżeństwa z katolikiem, ale jednocześnie uważała tę różnicę za potencjalny problem. Chciała, żebym się nad tym zastanowiła. Ale to nie dlatego odeszłam". Ostateczną decyzję podjął Wujek Sam, który wkrótce odesłał skrzypka na europejski front. Virginia nigdy więcej go nie widziała; kolejny kochanek wyruszył na wojnę.

Choć nieustannie romansowała, nigdy nie cierpiała z tego powodu; nikt nie złamał jej serca, a przynajmniej nie tak, jak to opisywali Red Foley i Hank Williams w swoich piosenkach. Do czasu, aż po koncercie w Fort Leonard Wood zaczęła się spotykać z pewnym kapitanem. Pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi garderoby. Za nimi Virginia zobaczyła mężczyznę, którego poznała wcześniej na basenie. Poczucie kruchości życia w czasie wojny, młodzieńcza pasja i zmysłowy taniec w bazie wojskowej przydały ich romansowi intensywności. „Miłość twojego życia zawsze ma najwięcej wspólnego z czasem i miejscem – wyjaśniła później. – Kapitan zostałby moim mężem, tak myślę". To w nim Virginia zobaczyła mężczyznę mądrego i asertywnego, który pociągał ją fizycznie i był w podobnym do niej wieku, miał też imponującą wiedzę o świecie, której mu wręcz zazdrościła. „On miał dwadzieścia sześć lat, a ja trochę ponad osiemnaście – powiedziała. – W kwestii kontaktów międzyludzkich był prawdziwym magikiem".

Przez lato para stała się nierozdzielna. Chociaż połączyło ich fizyczne przyciąganie, kapitan wykazał się przytomnością umysłu i wyznał Virginii, że w jego życiu jest inna dziewczyna. „Kiedy się poznaliśmy, powiedział mi, że przypominam mu jego narzeczoną – wspominała. –

Ale mimo to zaczął się ze mną spotykać". Virginia zignorowała tę uwagę, przekonana, że jej miłość i namiętność wystarczą. Stała się częścią kręgu towarzyskiego kapitana w bazie, zaakceptowana przez jego najlepszych kolegów, ich żony i dziewczyny. Najbliższym przyjacielem kapitana w Fort Leonard Wood był odrobinę starszy mężczyzna o tej samej randze. Był żonaty i miał małe dziecko, a do tego trzymał na terenie jednostki swój samochód. Pozwalał kapitanowi i Virginii korzystać z niego, kiedy tylko chcieli. W czasie długich wycieczek po wiejskich terenach Missouri parkowali między drzewami i kochali się, zapominając o całym świecie. Pewna swoich uczuć Virginia przekonała go kiedyś, by pojechali ponad sto kilometrów do Springfield, żeby mogła przedstawić go rodzinie. „Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Wszędzie chodziliśmy razem i wszystko robiliśmy wspólnie – opowiadała. – Zabrałam go do domu mojej babci i poznałam z krewnymi".

Minął prawie rok i Virginia wiedziała, że chce za niego wyjść. Zapomniała zupełnie o krótkiej wymianie zdań na temat narzeczonej z bogatej rodziny. Ale pewnego wieczoru dotychczas tak przystępny i pełen uroku kapitan zrobił się smutny i skruszony. Miał problem z wykrztuszeniem słów. „Nie potrafił wydusić z siebie, że ma zamiar wziąć ślub – wspominała Virginia. – Kiedy w końcu się z nią ożenił, roztrzaskał mi serce na kawałki".

Gdy wieści rozeszły się po bazie, ich wspólni znajomi wydawali się równie zrozpaczeni, co sama Virginia. „Wspierali mnie i wściekali się na niego. Nie mogli uwierzyć, że to zrobił: przez cały czas był ze mną, a potem nagle wziął ślub". Kobiety w związkach stały murem za Virginią, być może zdając sobie sprawę z kruchości własnych relacji w czasie wojny. Najlepszy przyjaciel kapitana – ten, który pożyczał im auto – wciąż jej powtarzał: „Ja się z tobą ożenię, ja się z tobą ożenię!", jakby chciał w ten sposób ukoić jej ból. Wkrótce doszło do kolejnego ślubu w ich kręgu, a Virginia poszła na uroczystość sama, z aparatem brownie w ręku. Stała w tłumie przed kościołem anglikańskim, kiedy goście obrzucili młodą parę ryżem. „Robiłam zdjęcia; nagle ktoś zabrał

mi aparat i to mnie uwiecznił na fotografii. A ja wyglądałam, jakby właśnie umarł mi ktoś bliski, taka byłam smutna. Nie pogodziłam się z jego odejściem. Nie mogłam się pozbierać". Virginia przypadkiem natknęła się po latach na to wyblakłe zdjęcie w zapomnianym albumie. „Może właśnie dlatego nigdy nie wyszłam za mężczyznę, na którym naprawdę mi zależało – wyznała – ponieważ zawsze wisiało nade mną widmo porzucenia. Właściwie to mnie nie zostawił, bo tak naprawdę nigdy nie byliśmy parą".

Obawa przed kolejnym ciosem sprawiła, że Virginia w następnych latach nawiązała wiele romansów, ale nigdy nie odzyskała nadziei na prawdziwą miłość. Nauczyła się oddzielać uczucia od pożądania, zarówno w stosunku do mężczyzn, z którymi tylko sypiała, jak i do przyszłych mężów. „Bardzo zależało mi na seksie – wyjaśniła. – Ale niekoniecznie z tymi, z którymi byłam związana emocjonalnie".

ROZDZIAŁ TRZECI

Pani Johnson

Zastanawiała się, czy dzięki jakiemuś zbiegowi okoliczności nie mogła była spotkać innego człowieka, i usiłowała wyobrazić sobie, jakie by mogły być te niedoszłe zdarzenia, to inne życie, ten mąż, którego nie znała.[1]
Gustave Flaubert, *Pani Bovary*

W kościele wszystko wyglądało tak biało, świeżo i czysto. Virginia założyła białą suknię z krepy oraz ozdobny kapelusz z szerokim rondem w tym samym kolorze, a potem stanęła przed ołtarzem w Central Christian Church, znajdującym się kilka przecznic od domu jej rodziców w Springfield. W dłoniach trzymała białą Biblię, przybraną bladymi orchideami oraz gipsówką. W tle grano jej ulubione sentymentalne piosenki o wiecznej miłości i bezgranicznym oddaniu.

Ślub odbył się w sobotę po południu, w czerwcu 1947 roku; przed ołtarzem stanęli Mary Virginia Eshelman oraz Ivan L. Rinehart, a niewinność tego wydarzenia zadawała kłam różnicy wieku między małżonkami. Panna młoda skończyła dwadzieścia dwa lata, a jej przyszły mąż, prawnik z West Plains, już czterdzieści trzy. Większość gości najwyraźniej się tym nie przejmowała. Homer, starszy brat pana młodego, był jego drużbą. Ich matka, Norah, siedziała zadowolona w pobliskiej ławie. Kuzynka Virginii, Patti, ubrana w bladoróżową sukienkę, pełniła funkcję druhny. Jednak w czasie małego, rodzinnego przyjęcia Edna i Harry Eshelmanowie zachowywali pewien dystans. Nie cieszyli się ze ślubu ich jedynej córki z Rinehartem, mężczyzną ponad dwadzieścia lat od niej starszym. „Moi rodzice byli zbulwersowani”, wspominała Virginia.

Właśnie skończyła się druga wojna światowa i Virginia obawiała się, że trafi na jakąś zapyziałą farmę w Missouri. Skończyły się występy w bazach wojskowych, skończyły się niespokojne czasy. Amerykanie odczuli wielką ulgę i chcieli powrotu normalnego życia oraz komfortu płynącego z małżeństwa oraz domu pełnego dzieci. W wieku dwudziestu dwóch lat Virginia z pewnością nie była starą panną, chociaż wiele jej koleżanek ze szkoły zdążyło już się zaręczyć albo wyjść za mąż. Po krótkim epizodzie w Drury College zapisała się na Uniwersytet w Missouri, gdzie dołączyła do dwóch żeńskich zgromadzeń oraz chóru uniwersyteckiego. Nigdy jednak nie zdobyła dyplomu. Ślub oznaczał dla niej ucieczkę od osądów matki i pobłażliwości ojca. Ivan i Virginia spotkali się kilka lat wcześniej w wydziale ubezpieczeń w Jefferson City, gdzie ona pracowała jako sekretarka, a on jako prawnik. Chociaż mężczyzna z pewnością posiadał wiele zalet, nie grzeszył urodą ze swoim wysokim czołem, orlim nosem i wiecznie zmrużonymi oczami. Kiedy stał obok niej w dwurzędowym garniturze w cieniutkie paseczki, wydawał się raczej ojcem niż narzeczonym. Virginia trzymała się kurczowo swojej decyzji o wyjściu za mąż za starszego mężczyznę, być może po to, by udowodnić coś rodzicom. Wreszcie poczuła, że będzie mogła sama o sobie decydować. Jednak nawet na ślubie wydawała się mieć mieszane uczucia.

Przed rozpoczęciem ceremonii, jak wspominała Virginia, kapłan zauważył, że czegoś brakuje. W przeciwieństwie do większości ślubów, na ten nie zaproszono fotografa. „Zapytał, czy ma po jakiegoś zadzwonić", opowiadała Virginia. Panna młoda tylko pokręciła głową. Z jakiegoś powodu nie życzyła sobie fotografa. „Odpowiedziałam mu, że nie chcę mieć zdjęć". Podświadomie nie chciała szczęśliwych, uśmiechniętych twarzy jej i Ivana uwiecznionych dla potomności. „Nie wychodziłam za mąż za wybranka serca – wyjaśniła. – Po prostu miałam dosyć samotności".

Ich skromne wesele odbyło się w salce przy kościele, a młodzi wyjechali potem na tydzień w ramach miesiąca miodowego. Ivan planował powrót do West Plains, gdzie miał pracować dla kancelarii

Roberts & Rinehart. Jako adwokat Ivan stanowił może niezbyt ekscytujący, ale jednak solidny fundament budowania rodziny, chociaż sam nigdy nie powiedział wyraźnie, że ma coś takiego w planach. W West Plains, blisko granicy z Arkansas w południowym Ozark, świeżo upieczona pani Rinehart szybko straciła swój zapał do małżeństwa. „Myślałam, że wzięliśmy ślub, by założyć rodzinę – wspominała Virginia. – Kiedy zdałam sobie sprawę, że Ivan nie zamierza brać na siebie takiej odpowiedzialności, rozwiodłam się z nim". Żeby udobruchać swoją młodą żonę, Ivan zgodził się na przeprowadzkę do większego miasta, rezygnując z dotychczasowego stanowiska. Zmiana miejsca zamieszkania nie wpłynęła jednak na decyzję Virginii. „Pojechaliśmy do St. Louis; on znalazł sobie tam nową kancelarię, a ja właśnie w niej załatwiłam sobie rozwód – wspominała. – Po tylu latach sama już nie wiem, po co w ogóle za niego wychodziłam".

Virginia została sekretarką w „St. Louis Daily Record", kronice prawników, sędziów oraz innych grubych ryb – było to idealne miejsce do szukania nowego męża. Przez przyjaciółkę Virginia poznała George'a Johnsona, z którym nie dzieliła jej duża różnica wieku. Studiował inżynierię na Uniwersytecie Waszyngtońskim i oprócz tego, a nawet przede wszystkim – prowadził miejscowy klub nocny. „Gdybyś kiedyś potrzebował wokalistki – powiedziała George'owi znajoma – Virginia potrafi śpiewać".

George Johnson był gwiazdą na miarę St. Louis: schludnie ubrany, z gładko zaczesanymi włosami, starannie przystrzyżonymi wąsami, okularami z rogowymi oprawkami i ustami zaciśniętymi od częstego grywania na instrumentach dętych. Johnson sam nauczył się gry na klarnecie i saksofonie, a oprócz tego miał wystarczającą wiedzę o muzyce, żeby przygotowywać aranżacje dla swojej orkiestry, w tym adaptacje największych szlagierów tamtego okresu. „Był świetnym muzykiem, dlatego się nim zainteresowałam – wspominała Virginia, która wahała się przed randką z George'em. – Nie wiedziałam, co ze sobą począć. Miałam przyjaciółkę, która bawiła się w swatkę i ciągle mi

powtarzała, żebym się z nim umówiła. Ona naciskała, a ja chyba czułam się samotna. Nie ciągnęło mnie do niego jakoś szczególnie".

George Johnson posiadał jedną istotną zaletę – mikrofon w centralnej części sceny. Po wielu latach śpiewania w chórach kościelnych, uniwersyteckich kwartetach i bazach wojskowych Virginia wreszcie miała szansę zostać profesjonalną wokalistką w zespole George'a. Jego nocne życie pełne barwnych głosów, bogatych aranżacji i tańca w ciemności bardzo różniło się od jej dzieciństwa spędzonego na farmie. Inżynieria była dla niego tylko planem awaryjnym. George wydawał się całkowicie oddany muzyce. Ich ślub odbył się w czerwcu 1950 roku w ogrodzie kościoła prezbiteriańskiego, gdzie Virginia śpiewała niegdyś jako chórzystka. Pan młody miał na sobie jasną marynarkę z krawatem w tureckie wzory, a w butonierce chusteczkę w tym samym kolorze. Virginia wyglądała wyjątkowo pięknie i znowu poszła do ołtarza w ozdobnym kapeluszu z szerokim rondem. Po raz kolejny nie zamówiła fotografa, jedynie przyjaciel zrobił im zdjęcia po ceremonii. „Miałam kolorowe fotografie, ale żadnych pozowanych – wspominała. – Nigdy nie chciałam uwieczniać moich ślubów".

W domu, podobnie jak w nocnym klubie, Virginia zdawała się szczęśliwa u boku muzykalnego męża. „Gdy wprowadzali się do swojego mieszkania, pomagałem im przy malowaniu – opowiadał Ken Barry, muzyk i przyjaciel. – Byliśmy tylko we trójkę i popijaliśmy wino. Zobaczyłem wtedy, że są całkiem szczęśliwą parą". Swoim zmysłowym, niskim głosem Virginia śpiewała w zespole męża w lokalach St. Louis, w tym w Winter Garden, Forest Park Highland, a także słynnym Casa Loma Ballroom, gdzie kiedyś wystąpił Frank Sinatra. Podróżowanie z muzykami okazało się dla niej ekscytujące. Wydawało się, że wreszcie żyje tak, jak to sobie wymarzyła, na swój sposób zdobywając uznanie.

Po wielu miesiącach męczącej nocnej egzystencji straciła jednak zapał, co odbiło się również na jej małżeństwie. Przed pierwszą rocznicą ślubu Virginia podjęła się pracy sekretarki w wydziale reklamy radia KMOX. Ich napięte grafiki okazały się „prawdziwym cyrkiem, do tego bardzo stresującym", jak po latach stwierdził George. Poradził

żonie, żeby „zajęła się czymś innym, spokojniejszym”. Zdecydowała się zostać instruktorką tańca w sąsiednim studiu.

George Johnson chciał zostać ojcem, w przeciwieństwie do Ivana Rineharta. Virginia skończyła już dwadzieścia sześć lat i coraz bardziej nalegała w tej kwestii. „Gdybym nie urodziła, czułabym, że zawiodłam jako człowiek – wyjaśniała po latach. – Wiedziałam, że dzieci są dla mnie ważne”. Krótko po ślubie przyszedł na świat ich syn, Scott, a po kilku latach córka, Lisa. Jednak pojawienie się potomstwa w rodzinie Johnsonów okazało się ciężarem i emocjonalnym bagażem, z którym ich związek sobie nie poradził.

„Dopóki nie urodziłam dzieci, układało nam się dobrze – zauważyła Virginia. – Ale muzycy żyją w nocy, a dzieci za dnia. Nie można ich pogodzić”. Przekonała się, jak trudno jej być niemiłą dla George’a, zwłaszcza kiedy zachęcał ją do śpiewania, ale z dala od zespołu niełatwo było ignnorować jego ograniczenia. „Nie mieliśmy tych samych poglądów i celów – powiedziała. – Łączyła nas wyłącznie muzyka”.

Podczas gdy George ciągle wybywał z domu – w tygodniu grywając nocami w klubach, a w weekendy na weselach – życie Virginii stało się nie do zniesienia. Nie śpiewała już w zespole, a siedzenie z dziećmi na przedmieściach St. Louis, zgodnie z ideałem propagowanym przez telewizję w okresie powojennym, nigdy do niej nie przemawiało. Wyjechała z Golden City, by się uczyć i coś w życiu osiągnąć, a nie utknąć w domu. Jej wiecznie nieobecny mąż niewiele pomagał. Jako pracująca matka Virginia nie potrafiła pogodzić swoich pragnień z oczekiwaniami innych ludzi. „Pochodzę z czasów, w których przywiązywano ogromną wagę do macierzyństwa – wyjaśniła. – Sama trochę mniej przejmuję się czyszczeniem podłogi, a trochę bardziej życiem i innymi ludźmi”. Praca zmuszała ją do korzystania z usług opiekunek i pozostawiania dzieci pod opieką obcych. Jednego wieczoru Virginia zastała Scotta, wtedy sześcioletniego, samego w domu. „Moja córeczka gdzieś zniknęła, a razem z nią opiekunka”, wspominała po latach. Natychmiast zadzwoniła na policję i zgłosiła zaginięcie

dziewczynki. „Później dowiedziałam się, że kobieta była alkoholiczką i musiała wyjść do sklepu po trunek – wyjaśniła. – Zabrała Lisę, wtedy może dwuletnią, do autobusu, żeby pojechać do domu po butelkę".

Virginia postanowiła odejść od męża. George nie próbował walczyć; zapytał tylko o powód. „Już niczego nie mogę ci dać", powiedziała Virginia przed wyjściem. Mimo wszystko nie zrezygnowała z jego nazwiska.

Chociaż była pewna swojej decyzji, bardzo przeżywała porażkę drugiego już małżeństwa. W tamtych czasach w Ameryce rozwody wciąż należały raczej do rzadkości, a rozwodników uważano za ludzi o słabym charakterze.

Do obu mężów czuła sympatię i z obydwoma łączył ją dobry seks, ale nigdy nie udało jej się stworzyć naprawdę głębokiej relacji; prawdziwej i długowiecznej miłości, której zawsze szukała, ale nigdy nie znalazła. Z powodów, których nigdy nie potrafiła wyjaśnić, Virginia nie wyszła za mąż za dwóch mężczyzn – może trzech, jeśli wierzyć niektórym źródłom – których naprawdę kochała i na których bardzo jej zależało. „Wracam myślami w przeszłość i nie umiem udzielić odpowiedzi na to pytanie", mówiła z zadumą.

Jej dobrzy znajomi z tego okresu twierdzili, że była zbyt ambitna i pełna życia, żeby zadowolić się monotonną egzystencją z George'em Johnsonem. „Wyznała mi kiedyś, że w pewnym sensie wstydzi się swojej pozycji żony muzyka – wspominał doktor Alfred Sherman, który poznał Virginię na Uniwersytecie Waszyngtońskim. – Chciała być kimś więcej. Uważała się za kogoś mądrzejszego. Pragnęła być postrzegana jako kobieta z klasą". George wiedział, że nie może zostać z żoną, bo nie potrafi dać jej tego, czego Virginii trzeba. „Przez cały ten czas miała oko na coś lepszego", wyznał po latach. Ale kiedy podpisali papiery rozwodowe we wrześniu 1956 roku, to „coś lepszego" wciąż pozostawało dla Virginii Johnson zagadką.

Większość studentów wyjechała już na Boże Narodzenie. Tego dnia Virginia przechodziła przez pusty, pokryty śniegiem kampus medyczny

Uniwersytetu Waszyngtońskiego w drodze na rozmowę kwalifikacyjną. Miała trzydzieści jeden lat, była bezrobotną, dwukrotną rozwódką z dwójką małych dzieci i nadzieją na nowy start. W grudniu 1956 roku na Uniwersytecie Waszyngtońskim studiowali głównie miejscowi, a instytucji daleko było do międzynarodowej sławy, którą zyskała nieco później. Odzwierciedlała też konserwatywne korzenie Missouri; leżała niedaleko linii Masona–Dixona, historycznej granicy kulturowej między Północą a Południem. Zaledwie cztery lata wcześniej w szkole zrezygnowano z segregacji rasowej, pozwalając niewielkiej grupce czarnych studentów dołączyć do klas białych. Kobiety na Uniwersytecie Waszyngtońskim wciąż pozostawały rzadkością, zwłaszcza w Szkole Medycznej.

Virginia maszerowała w mroźnym, zimowym powietrzu. Na rozmowę założyła prostą sukienkę, ale miała w sobie dość klasy, by zamaskować desperację – bardzo potrzebowała tej posady. Ciemne włosy spięła w kok, na ustach miała odrobinę szminki. Nie wyglądała już jak chudziutka dziewczyna z farmy; jej ciało nabrało krągłości dojrzałej i doświadczonej przez życie kobiety. W głowie układała odpowiedzi na możliwe pytania i ćwiczyła modulowanie głosu, by brzmiał przyjemniej dla ucha. Gdy weszła do budynku, odszukała małe, dyskretne biuro. Czekała na spotkanie z mężczyzną, którego nie znała – doktorem Willamem Mastersem.

Na Uniwersytecie Waszyngtońskim Virginia planowała studiować antropologię społeczną, badać różnice między naturą a wychowaniem w rozwoju człowieka. Ponieważ nie było kierunku, który zajmowałby się konkretnie tym zagadnieniem, doradzono jej socjologię. Żeby opłacić czesne, musiała znaleźć sobie pracę w kampusie i pogodzić ją ze studiami. Z powodu rozwodu z George'em Johnsonem znowu stała się zależna od rodziców, Edny i Harry'ego, którzy z radością zgodzili się jej pomóc. Jednak Virginia zdawała sobie sprawę, że pieniądze oznaczały utratę wolności. Nie mogła rozwiązać tego problemu do czasu skończenia szkoły; wtedy (jak myślała) znajdzie stałą pracę i zarobi wystarczająco dużo, by samotnie wychować dwójkę dzieci. Nie mogła

polegać na George'u, który wciąż marzył o wielkiej sławie dla swojego zespołu, podczas gdy w tym samym roku Elvis Presley i jego rock and roll zmienili oblicze muzyki popularnej w Ameryce. Virginia pragnęła nowego początku; chciała stanąć na nogi z dyplomem w ręku. „Bałam się, że będę musiała oddać dzieci pod opiekę innych, a dokładniej mojej matki, i nie chciałam do tego dopuścić – wspominała Virginia. – Dlatego postanowiłam wrócić do szkoły".

Ponieważ Wydział Socjologii nie oferował żadnej pracy, wysłano ją do Szkoły Medycznej Uniwersytetu Waszyngtońskiego, gdzie szukano asystentki. „Byłam dość naiwna i w ogóle nie interesowałam się medycyną", wspominała. Jej pierwsze spotkanie z dwoma szanowanymi psychiatrami nagle odwołano, więc zdecydowała się na rozmowę o pracę na Wydziale Ginekologiczno-Położniczym. Virginia niewiele wiedziała o doktorze Mastersie – zasłyszała jedynie szczegóły od przyjaciół, którzy znali wydział medyczny. Masters niedawno rozpoczął badania nad fizjologią seksu, jednak trzymano je w ścisłej tajemnicy przed całym uniwersytetem. Virginia założyła, że nowe przedsięwzięcie Mastersa ma pomóc małżeństwom starającym się o dzieci. „Słyszałam o badaniach Mastersa nad niepłodnością – wspominała – i myślałam, że właśnie do tego chcą mnie zatrudnić".

W czasie rozmowy Masters przyglądał się Virginii swoim zimnym, zdystansowanym wzrokiem naukowca, jakby patrzył na probówkę. Jego fizjonomia – ciemne, wąsko osadzone oczy, łysina otoczona przez krótko przycięte, siwiejące włosy i uśmiech bardziej przypominający grymas – sprawiała, że w wieku czterdziestu jeden lat wyglądał na dużo starszego. Miał na sobie biały fartuch. Usiadł i skrzyżował ręce na piersi, a potem zadał kilka pobieżnych pytań o kwalifikacje i doświadczenie kandydatki. Virginia odpowiedziała z pewnością siebie, choć niewielką wiedzą. Nie miało to najwyraźniej znaczenia. Z każdą jej wypowiedzią Masters zdawał się coraz bardziej rozluźniony i łagodny, aż w końcu Virginia zdała sobie sprawę, że ma tę posadę w kieszeni.

Z perspektywy czasu można zauważyć, że ten początek odzwierciedlał całą, trwającą dekady relację. Głęboko intuicyjne

podejście Mastersa – szósty zmysł doświadczonego lekarza – sprawiło, że uznał Johnson za idealną towarzyszkę pracy. Masters przez całe życie pozostawał zagadką, której nawet najbliżsi nie potrafili do końca rozwiązać, niepewni jego intencji i targających nim pragnień. Zatrudnienie Virginii było pierwszą z wielu z decyzji lekarza, których ona sama nie rozumiała, a które jednocześnie fascynowały ją i dziwiły. Zdawało się bowiem, że Bill Masters postanowił ją przyjąć od razu, gdy tylko otworzyła usta.

„Dlaczego ja? Wciąż nie wiem – powiedziała po latach Virginia, wspominając pierwsze spotkanie z doktorem Mastersem. – Po prostu nagle zostałam księżniczką”.

---

[1] Tłumaczenie Ryszarda Engelkinga, wyd. słowo/obraz terytoria.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Byle nie wracać do domu

Balansując na nartach wodnych, Bill Masters przemierzał właśnie jezioro Rainbow z usadowioną na jego barkach piękną blondynką, której włosy rozwiewał wiatr. Uśmiechnął się entuzjastycznie, gdy machali zgromadzonym na brzegu gapiom. Doktor Francis Baker wciąż ma fotografię siostry i swojego współlokatora ze szkoły medycznej, na której widać, jak bawią się oni nad błyszczącą wodą w górach Adirondack w północno-wschodniej części stanu Nowy Jork. „Bill i Dody wybrali się na narty wodne łodzią mojej matki. Bill przemierzał jezioro wzdłuż i wszerz, z Dody na ramionach", wspomina Fran, który z łodzi oglądał, jak Masters nosi jego siostrę niczym trofeum.

Jezioro Rainbow przyniosło Williamowi Howellowi Mastersowi rzadkie poczucie szczęścia, którego dotychczas niewiele w życiu zaznał. Letnie wakacje spędzał jako opiekun na obozie, co dawało mu pożądany odpoczynek od nieustannej nauki, najpierw w Hamilton College, a potem w Szkole Medycznej Uniwersytetu w Rochester. Trzy lata z rzędu zgłaszał się na obóz od razu po zakończeniu zajęć, a wyjeżdżał z niego prosto na uczelnię. Dbał o to, by nie pojawiać się w domu.

Pewnego sierpniowego popołudnia 1938 roku Fran zaprosił Billa na lunch do rodzinnej chatki nad jeziorem. Chociaż obaj uczyli się w Hamilton, nie znali się zbyt dobrze. W czasie tego posiłku młodsza siostra Frana, Geraldine – przez wszystkich nazywana „Dody" – zrobiła na Billu ogromne wrażenie. Wkrótce stał się on stałym gościem

w letniej chatce Bakerów, spędzając z Dody jak najwięcej czasu. „Jestem pewien, że to nie do mnie przychodził – wspominał Fran ze śmiechem. – Na początku może tak, ale kiedy ją poznał, przestałem się liczyć!". W Hamilton uczyli się wyłącznie chłopcy i Bill niewiele miał do czynienia z dziewczynami. W trakcie rozmowy z Dody starał się nie pokazywać po sobie zakłopotania. „Nieznana mi była sztuka uwodzenia – napisał później Bill w swoich nieopublikowanych dziennikach. – Czułem się do niej ogromnie przywiązany, ale zbyt rzadko się widywaliśmy, żebym mógł to w pełni wyrazić".

Jezioro Rainbow to wspaniałe miejsce na romans. W czasie długich, gorących weekendów grupka przyjaciół wybierała się w rejs pięciometrową mahoniową łodzią, zakupioną przez panią Baker (wdowę) głównie dla dzieci. Zazwyczaj to Fran kierował łodzią, podczas gdy Bill i Dody sunęli z tyłu na nartach wodnych. „Potem szli popływać, a czasami wszyscy piliśmy koktajle na plaży", wspominał Fran. Jednak nawet w tak sprzyjającym relaksowi otoczeniu Bill Masters stawiał przed sobą mur, który niewielu potrafiło sforsować. Im lepiej Fran go poznawał, tym mocniej był przekonany o tym, jak skomplikowany jest ten młody człowiek i jak trudne miał życie rodzinne. W Hamilton Bill spędzał święta z kolegami, których rodzice mieszkali niedaleko. „Nie wracał do domu na Boże Narodzenie", wyjaśnił Fran. Najwyraźniej, rozumował kolega, Bill doznał ogromnego ciosu, po którym przez całe życie próbował się podnieść. „Jego stosunki z ojcem sprawiły, że stał się bardzo skryty – wspominał Baker. – Naprawdę został przezeń poważnie zraniony, a przecież ojciec był dla niego najbliższym mężczyzną".

Ojciec Billa, Francis Wynne Masters, był agresywnym i wybuchowym człowiekiem, który po powrocie do domu wykazywał niską tolerancję na wszystko. Jako pracownik Pitney Bowes, firmy produkującej kasy fiskalne, Frank Masters ciągał swoją żonę i dwóch synów (Billa oraz jego młodszego brata, Francisa) przez cały Środkowy Zachód, otwierając kolejne oddziały. Nigdy nie zostawali w jednym miejscu dłużej; w czasie narodzin Billa, 27 grudnia 1915 roku, przebywali akurat w Cleveland, by wkrótce przenieść się do Pittsburga, a potem

kolejno do Evanston w Illinois, małego rancza pod Houston i dwukrotnie do Kansas City w stanie Missouri. Swój gniew i frustrację Frank Masters wyładowywał głównie na starszym synu za jego wady. Jako słabowity chłopak, Bill dwa razy poważnie zachorował na posocznicę, co przykuło go do łóżka na kilka miesięcy. Wywołana infekcją wysoka gorączka sprawiła, że jego lewe oko przekręciło się nieznacznie na bok, a rogówkę przysłoniła gęsta biała plama. Bill przez większość życia cierpiał na zeza rozbieżnego, co nadawało jego wzrokowi surowości, która denerwowała wielu ludzi. „Jeśli kogoś nie lubił, potrafił patrzeć przez tę osobę, jakby w ogóle nie istniała – wspominał kolega ze szkoły, Addison Wardwell. – Jego oczy mogły czasami być bardzo zimne".

W wieku lat dwunastu Bill mógł pochwalić się wiedzą, dzięki której przeniesiono go od razu do liceum. Niestety okazało się to błędem. „Zwyczajnie nie miałem dość dojrzałości, żeby poradzić sobie ze społecznymi wyzwaniami, jakie stoją przed uczniem szkoły średniej, który próbuje stać się mężczyzną", napisał później Masters. Zbyt mały i zbyt niedojrzały, nie miał szans na randkowanie. W domu zaś cierpiał z powodu niekończących się upokorzeń. Wściekłość Franka Mastersa na starszego syna przerodziła się w przemoc i bicie stało się codziennością. „Ojciec prowadził mnie do sypialni, zamykał drzwi na klucz i smagał mnie pasem, zawsze końcówką z klamrą – wspominał Bill. – Tłukł mnie porządnie co miesiąc albo co sześć tygodni, do tego stopnia, że czasami z moich chudych pośladków leciała krew". Nie dało się przewidzieć tych wybuchów agresji, więc młody Bill czuł się wobec nich całkowicie bezbronny. „Wciąż mi powtarzał, że nie zamierza przestać, dopóki nie uklęknę i nie zacznę błagać go o litość", napisał później. Chłopak jednak wciąż odmawiał i było tylko gorzej. Kiedy krzyczał z bólu, próbowała interweniować matka. „Wyraźnie pamiętam, jak waliła pięściami w zamknięte na klucz drzwi, próbując mnie uratować", napisał. Ale Estabrooks Taylor Masters najwyraźniej za bardzo bała się swojego męża, żeby naprawdę pomóc synowi. Frank rządził w domu twardą ręką, wymagając stosowania się do jego

rozkazów. Już jako dorosły mężczyzna Bill opowiedział o tym, jak matka była traktowana przez męża: „Mówił jej, co ma gotować i na kogo głosować. Nowe ubrania musiały zostać przez niego zatwierdzone… Opiniował wszystkie decyzje i wydarzenia".

Bill później dowiedział się, że jego ojciec cierpiał na oponiaka, rozrastającego się guza mózgu, który powodował uporczywe migreny, zmiany osobowości oraz wybuchy agresji. Zastanawiał się, czy huśtawka nastrojów ojca miała podłoże w tej chorobie. „Mogę tylko zgadywać, jak długo miał guza i jaki to wywarło wpływ na jego zachowanie – napisał. – Trudno mi było się pogodzić z odrzuceniem ze strony ojca, zwłaszcza gdy miałem naście lat… Wtedy już nie traktował mnie jako członka swojej rodziny, a z pewnością nie jako syna".

Ostatnia rozmowa między Frankiem Mastersem a Billem miała miejsce podczas wyjazdu do Lawrenceville School w New Jersey, prywatnej szkoły znajdującej się między Princeton a stolicą stanu, Trenton. Za młodu Frank Masters sam uczęszczał do tej placówki przygotowawczej, ale to Estabrooks podjęła decyzję o wysłaniu tam syna, żeby wydostać go ze szponów męża. Siostra jego babki, Sally Masters, płaciła za czesne, w podzięce za to, że dziadek Billa pożyczył jej kiedyś pieniądze na założenie prywatnej szkoły dla bogatych dziewcząt w Dobbs Ferry w stanie Nowy Jork. W wieku czternastu lat Bill opuścił dom w Kansas City i pojechał z ojcem pociągiem do Lawrenceville. Zatrzymali się w Nowym Jorku, gdzie Frank zabrał syna do słynnych restauracji i na jego pierwszy show na Broadwayu. Billowi bardzo podobał się weekend spędzony w wielkim mieście, choć zaskoczyła go wielkoduszność ojca. „Cały czas miałem dziwne przeczucie, że to wszystko zaraz runie", wspominał po latach.

W czasie podróży pociągiem, w połowie drogi do Trenton, Frank Masters postanowił wypełnić kolejny z ojcowskich obowiązków: wyjaśnić synowi sprawy seksu.

– Wiesz, że istnieją pewne prywatne rzeczy między mężami i żonami, których większość ludzi nie rozumie i o których bardzo mało wie – zaczął Frank.

Syn uważnie słuchał ojca, który zaczerwienił się i oblał potem. Kobieta siedząca w przedziale razem z córeczką odwróciła się i dała Frankowi do zrozumienia, jakie jego lekcja wywołuje w niej zażenowanie. Mimo to Masters kontynuował. „W wielu szczegółach omawianej przez siebie sprawy bardzo się mylił, ale był pewien swoich kompetencji i wyrażał swoje poglądy głośno oraz z pełnym przekonaniem – wspominał jego dorosły już syn. – Do dziś nie do końca rozumiem, co chciał mi powiedzieć".

Kiedy dotarli do Lawrenceville, Frank Masters oprowadził syna po swoich ulubionych miejscach. Zawędrowali do biura dziekana, który porozmawiał z nimi przez kilka minut i życzył Billowi wszystkiego dobrego w nowej szkole. Przed powrotem do Kansas City Frank Masters kupił synowi jego pierwszego *jiggera*, połączenie lodów i innych słodkości, którym w młodości sam często się raczył. „Myślałem, że kupując mi go, wyciąga rękę na zgodę – napisał później Bill. – Jakże się myliłem". Zamiast tego, gdy już zbliżali się do dworca kolejowego, Frank zatrzymał się i ogłosił porzucenie syna. Ponieważ to Sally miała płacić za Billa przez najbliższe lata, jego ojciec stwierdził: „Czuję, że moja powinność wobec ciebie została spełniona". Zadeklarował, że będzie mu posyłał jakieś pieniądze, by mógł wrócić na Boże Narodzenie, ale nic więcej. Ostrzegł go jeszcze, by nie próbował szukać pomocy u matki albo innych krewnych. „Nadszedł czas, żebyś sam o siebie zadbał", poinformował. Odszedł bez pożegnania, a Bill tej nocy płakał w poduszkę.

W Lawrenceville Bill rozwinął w sobie stoicką samodzielność, oddając się zupełnie sportowi i spędzaniu długich godzin w bibliotece. Nawyku tego nie stracił także w szkole medycznej. „Nie można mnie było nazwać świetnym uczniem, więc wydłużałem godziny nauki, żeby jakoś podołać", wyznał później Bill. Wkrótce zaprzyjaźnił się z chłopcami z Lawrenceville, w tym z Carletonem Pate'em, którego rodzice zaprosili go na Święto Dziękczynienia do Nowego Jorku. Podczas tej wizyty pani Pate, bardzo wrażliwa osoba, poznała cierpienie młodego chłopaka.

Kiedy zapytała o ojca, Bill otworzył się przed nią. „Byłem zupełnie szczery, a kiedy skończyłem swoją smutną opowieść, oboje mieliśmy w oczach łzy".

Tuż przed Bożym Narodzeniem przyszedł list od ojca Billa z pieniędzmi potrzebnymi na podróż pociągiem z Trenton do Kansas City. Jednak podczas nieobecności chłopca nic się nie zmieniło. „Mój ojciec w czasie świąt mniej lub bardziej mnie ignorował", napisał później doktor Masters. Dlatego też Bill, ku przerażeniu matki, ogłosił, że wyjedzie dzień po Bożym Narodzeniu i tym samym nie zostanie w domu na swoje piętnaste urodziny, które przypadały 27 grudnia. „Zwyczajnie rozumiałem, że w kwestii zemsty niewiele mogłem osiągnąć – wyjaśnił po latach, wyznając powód swojego zgorzknienia. – Podniosłem rękawicę, którą rzucił mi, oświadczając, że nie mogę już liczyć na pomoc rodziny".

Estabrooks Masters nakłaniała syna do zmiany decyzji. Kiedy ojciec Billa wyszedł do pracy, udali się na spacer. „Starała się wyjaśnić mi uczucia, jakie ojciec żywił wobec mnie – napisał Bill – chociaż nie potrafiła podać mi żadnej sensownej przyczyny jego agresji". Billowi było żal matki uwięzionej w świecie szorstkiego i apodyktycznego męża. „Moja matka to dwie różne kobiety", wytłumaczył później. W oczach syna Estabrooks Masters była troskliwą matką, która z całych sił starała się zapewnić mu najlepszą opiekę. Druga kobieta to, jak wyjaśnił Bill, „żona mojego ojca", nie jednostka obdarzona wolną wolą, ale służąca wykonująca rozkazy. Mimo błagań, Estabrooks nie udało się zatrzymać syna na dłużej.

Dzień po Bożym Narodzeniu Frank Masters odwiózł Billa na dworzec, tak jak ten go o to poprosił. W dniu piętnastych urodzin chłopaka zabrakło tortu ze świeczkami i śpiewania przy stole. Przed wyjazdem matka ukradkiem podsunęła mu kopertę z pieniędzmi – trzema dwudziestkami, trzema dziesiątkami, trzema piątkami i trzema jednodolarówkami. Bill zastanawiał się, czy w jej prezencie tkwiła jakaś symbolika, swego rodzaju ukryta obietnica wsparcia, ale nie miał szansy jej o to zapytać. Przez następne cztery lata Estabrooks Masters

dyskretnie utrzymywała kontakt z synem. Dzwoniła z domu sąsiadki w środku dnia, żeby Frank się o niczym nie dowiedział. Wysyłała pieniądze w listach do Billa, ale on nigdy jej nie podziękował: „Bałem się, że ojciec się dowie i wtedy jej ciężkie życie stanie się jeszcze trudniejsze".

Okazało się, że ta krótka wizyta na Boże Narodzenie była ostatnim spotkaniem Billa z ojcem. Frank Masters zmarł z powodu postępującej choroby mózgu trzy lata później, po tym, jak Bill skończył szkołę w Lawrenceville i zapisał się do Hamilton College. Przez ten czas chłopak odciął się od matki i młodszego brata, Franka – nigdy już nie udało mu się naprawić relacji z nimi. Nauczył się panować nad uczuciem pustki, jaką czuł, gdy inni chłopcy z radością wyjeżdżali na Boże Narodzenie i inne święta do domu. Skupił się na budowaniu swojej męskości, na własnych zasadach. Postanowił odnaleźć przeznaczenie i samodzielnie zadecydować o własnej przyszłości.

Na Hamilton College, w trzykondygnacyjnym budynku z cegły, mieszczącym bractwo Alpha Delta Phi i znajdującym się w bukolicznym kampusie prywatnej szkoły, mieszkało ponad dwudziestu uczniów, w tym Bill Masters. Znali go wszyscy członkowie Alpha Delta Phi. Wyrósł na silnego, pewnego siebie młodzieńca, kogoś zupełnie innego niż Bill z czasów dzieciństwa. „U progu dorosłości bardzo łatwo było mnie zranić", wspominał Masters. Ale w Hamilton cieszył się poważaniem wśród kolegów z bractwa, którzy podziwiali jego męskie podejście do życia. Grał w futbol w szkolnej drużynie i zadziwiał swą grą tłumy, mimo trwale uszkodzonego kolana. Potrafił się bić na tyle, by odstraszyć potencjalnych przeciwników. Popisywał się elokwencją na debatach szkolnych, a po kampusie poruszał się własnym samochodem, co w tamtych czasach należało do rzadkości. Zazdrośni koledzy opowiadali o funduszu powierniczym, z którego opłacano wydatki Billa. Chociaż w college'u na główny przedmiot wybrał angielski, później zdecydował się na medycynę. „Od samego początku wiedział, co będzie robił, nie przejawiał w tym względzie żadnych wątpliwości – stwierdził

Addison Wardwell. – Nie miał zbyt wiele cierpliwości dla tych, którzy nie potrafili podjąć podobnej decyzji".

W okresie nauki w college'u Bill swoje największe przygody przeżył… w samolocie. Jego pierwszy lot miał miejsce jeszcze w czasach Lawrenceville, kiedy przyjaciel rodziny, prowadzący pobliską szkółkę dla pilotów, uczył go trudnej sztuki sterowania maszyną. Bill pracował dorywczo na małych, prywatnych lotniskach w Trenton i blisko Princeton, gdzie zdobył licencję. Latanie było przed drugą wojną światową wciąż dość niebezpieczną nowością, a Mastersowi sowicie płacono za te wysiłki. Pewien biznesmen, który często podróżował po kraju, zatrudnił go jako drugiego pilota w swoim wielosilnikowym samolocie. By dodatkowo zarobić, Bill przeprowadzał loty testowe; ryzykowne zadanie, które jednak sprawiało, że sprawdzona maszyna zyskiwała na wartości. Kupował też i sprzedawał własne samoloty, zawsze zarabiając na tym niemałe kwoty. Miał wystarczająco dużo odwagi, żeby spróbować akrobacji spadochronowych. Pewnego niedzielnego popołudnia założył się z kolegą o to, że odbędzie spacer po skrzydle samolotu i skoczy nad Lake Placid w pobliżu jeziora Rainbow. Niestety, spadając, Bill znalazł się po złej stronie spadochronu i stracił kontrolę. Rozpaczliwie próbował się wyprostować i wreszcie mu się to udało. Wylądował bezpiecznie, ale jego pierwszy skok okazał się jednocześnie ostatnim.

Fran Baker czasami dołączał do kolegi na niebie i dał się przekonać do lekcji pilotażu. Podobnie jak Bill, po skończeniu szkoły w Hamilton zapisał się do Szkoły Medycznej Uniwersytetu w Rochester. Latanie miało też duże znaczenie dla relacji Billa z siostrą Francisa. W Hamilton Masters umawiał się z innymi dziewczętami, w tym dość długo z Elisabeth Ellis, jednak po idyllicznych wakacjach spędzonych nad jeziorem Rainbow marzył o ożenku z Dody Baker. W jej obecności Bill zawsze wydawał się kimś innym, jakby wciąż płynął po tafli jeziora. Jego zazwyczaj zimne usposobienie nabierało cieplejszych tonów. „Bill potrafić okazać swoje uczucie – wspominała po latach Dody. – Robił to

w bardzo miły sposób: był troskliwy, uprzejmy, pomocny i wykazywał ciągłe zainteresowanie".

Wszystko nabrało tempa, kiedy Dody nagle zachorowała. Fran załatwił siostrze, która wciąż mieszkała w Buffalo z matką, miejsce w szpitalu w Rochester, gdzie miała przejść niegroźną operację. Bill ni z tego, ni z owego postanowił przywitać ją po wybudzeniu dwoma tuzinami róż. Chciał, żeby Dody za niego wyszła i poczuł, że „nadszedł czas, by wykonać niezbędny krok", jak wspominał Fran. Kiedy nie mógł znaleźć wystarczająco dużo odpowiednich róż w Rochester, wpadł na ekstrawagancki pomysł; plan, dzięki któremu mógłby zrobić na Dody wrażenie. Zadzwonił do Nowego Jorku, żeby przywieziono dwa tuziny kwiatów na małe lotnisko blisko mostu Waszyngtona. Kiedy przyleciał z powrotem do szpitala, było już po godzinach odwiedzin. Pielęgniarka zapewniła go, że Dody dostanie bukiet i liścik, kiedy tylko się obudzi.

Rankiem następnego dnia Fran zadzwonił do Billa, by powiedzieć mu, że w Buffalo zmarła ich babcia. Poprosił też kolegę, by poleciał z Dody do domu na czas pogrzebu. „Oczywiście", zgodził się Bill, pewien, że dziewczyna przyjmie go z radością. Niestety kiedy pojawił się w szpitalu tego samego dnia, Dody wydawała się zdenerwowana i wciąż półprzytomna po narkozie. Ku zaskoczeniu Billa, nawet słowem nie wspomniała o różach i wierszu miłosnym w zapisanym odręcznie liściku. Dody nie wiedziała o prezentach, ponieważ ich nie otrzymała. Być może pielęgniarka zapomniała o zaniesieniu jej kwiatów albo coś innego poszło nie tak w trakcie ruchliwego dnia w szpitalu. Bill założył od razu najgorsze i nawet nie zapytał o róże. „Wiedział, że jest zdenerwowana z powodu śmierci babci, więc nie naciskał – wyjaśnił Fran. – Dody zaś nigdy nie wspomniała o liściku i kwiatach, bo ich zwyczajnie nie dostała. On uznał to za odmowę".

Bill posłusznie poleciał z Dody do Buffalo swoim dwuosobowym samolotem. Niewiele zostało powiedziane w czasie lotu. „Zauważyłem, że tylko odpowiada na pytania, a sama z siebie nie chce mówić, więc poczułem się niepewnie", wspominał po latach Bill. Kiedy wylądowali w Buffalo, Dody uprzejmie podziękowała koledze, zachowując zaledwie

minimum grzeczności. Fran odebrał siostrę, a Bill wsiadł z powrotem do samolotu i odleciał do Rochster sam, ogłuszony odrzuceniem. Przez długi czas nie miał żadnych wiadomości o Dody – którą uznał za jedyną prawdziwą miłość swojej młodości – dopóki pewnego ranka nie dowiedział się o jej ślubie z lekarzem z Buffalo. „Mogłem już tylko życzyć im wszystkiego dobrego i tak właśnie zrobiłem – napisał Bill. – Bardzo długo nie mogłem się pozbierać".

Niektórzy przyjaciele i krewni wątpili w opowieść Billa o wielkiej miłości, letnim romansie z nieszczęśliwym zakończeniem. Czy Dody Baker mogła być raczej marzeniem niż rzeczywistością, wyidealizowanym wizerunkiem kobiety, w którym mężczyzna zakochuje się, nie mając pojęcia o prawdziwej osobie kryjącej się za tą projekcją? Jak człowiek tak niezwykle oddany precyzyjności standardów nauki i medycyny, przyglądający się światu bezlitosnym wzrokiem, mógł patrzeć na kobietę z takim zaślepieniem? Przez kolejne lata Bill Masters zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby poślubił tę piękną blondynkę z plaży nad jeziorem Rainbow. „Nie wiem, czy to byłoby szczęśliwe małżeństwo – napisał w swoim niepublikowanym dzienniku – ale z pewnością miałem ochotę się o tym przekonać".

ROZDZIAŁ PIĄTY

Prawdziwy cud

Czyż możemy spodziewać się należytej edukacji bez ludzi poprzez swoje własne badania poszukujących wiedzy o świecie zajmowanym przez człowieka oraz naturze ludzkiego ciała i umysłu?
dr George Washington Corner

Na zajęciach George'a Washingtona Cornera ludzkie ciało traktowane było jak prawdziwy cud. Corner z doskonałą precyzją badał serce pompujące krew, skomplikowaną architekturę kręgosłupa, funkcje wątroby, nerek i jelit oraz niezwykłe cechy mięśni, kości oraz tkanek opisanych w podręczniku do anatomii Graya. W oczach studentów był człowiekiem zdolnym wrócić trupowi życie.

Corner wykładał na Uniwersytecie w Rochester jako znany lekarz u szczytu kariery. „Miałem anatomię na pierwszym roku, to były moje pierwsze zajęcia w ogóle – powiedział Fran Baker, wspominając Cornera. – Był cichy, ale bardzo przekonujący i inspirujący". Jeszcze większe wrażenie zrobił Corner na Billu. Choć w Hamilton Masters przez chwilę rozmyślał o zostaniu profesorem filologii, po skończeniu szkoły miał silne przekonanie, że chce zostać lekarzem. Corner namówił go, by prócz tego zajął się nauką i eksplorował nieznane jeszcze obszary medycyny. Masters wspominał, że nieraz słyszał od niego: „Bill, nigdy nie można wiedzieć zbyt wiele".

Corner, jak prawdziwy człowiek renesansu, doskonale znał się nie tylko na historii anatomii, ale także na samej sztuce chirurgii. Wskazywał na Arystotelesa jako ojca biologii i opowiadał ze szczegółami o sekcjach przeprowadzanych przez Asyryjczyków, Żydów

i Greków. Szczególnie fascynował go cud układu rozrodczego, źródła wszelkiego życia. „Kiedy pierwszy raz, w 1827 roku, ujrzano komórkę jajową ssaka, odkrycie to rozwiązało poważny problem, ale jednocześnie postawiło szereg nowych pytań, na które wciąż próbujemy odpowiedzieć", napisał później w swojej autobiografii.

Zanim Corner ufundował Wydział Anatomii w Rochester, studiował i wykładał na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, badając histologię i fizjologię układu rozrodczego. Miał zacięcie historyczne, więc widział, w jakim stopniu religia, tradycja i czysta ignorancja wciąż nie pozwalają człowiekowi poznać mechanizmów reprodukcji, a w szczególności bulwersowała go sama medycyna. „Wysiłki ginekologów w kwestii leczenia zaburzeń menstruacji i bezpłodności to miotanie się niewiele bardziej zaawansowane niż za czasów Hipokratesa – napisał w 1914 roku. – Jak możemy mieć nadzieję na coś więcej, skoro zwyczajnie nie rozumiemy tego podstawowego ludzkiego cyklu?". Jeden z późniejszych podręczników podkreślił znaczenie Cornera dla nauki, używając wyrażeń „przed Cornerem" i „po Cornerze" jako określeń epok w historii ginekologii i położnictwa. Praca tego lekarza przyniosła istotne obserwacje na temat zapłodnienia i pomogła w stworzeniu pigułki antykoncepcyjnej. Corner i jego zaufany kolega po fachu z Rochester, Willard Allen, odkryli działanie progesteronu, pełniącego bardzo ważną funkcję w cyklu menstruacyjnym. Wielu spodziewało się, że pewnego dnia Corner zdobędzie Nagrodę Nobla.

Doktor George Washington Corner przeprowadzał w swoim laboratorium badania nad rozrodczością małp i królików, a jego studenci po raz pierwszy mogli zobaczyć, jak to działa u ssaków.

– Masters, miło cię widzieć na pokładzie – oznajmił Corner, gdy Bill wszedł do jego biura. – Wiesz, czy króliki mają cykliczną menstruację?

Masters nie wiedział.

– Nie mam pojęcia – przyznał.

Chociaż Corner był jednym z najznakomitszych naukowców w swojej dziedzinie, pozostał skromnym i łagodnym człowiekiem,

przypominającym nieco radosnego dziadka opiekującego się wnuczętami. Postanowił zażartować sobie z Billa.

– Ja też nie – odparł z uśmiechem. – Powiedz mi, jak się dowiesz.

Pierwsze próby wywołania u królików menstruacji nie poszły Mastersowi zbyt dobrze. „Poniosłem spektakularną porażkę – wspominał. – Po prostu nie chciały ze mną współpracować". Jednak uważna obserwacja króliczej kopulacji w laboratorium przyniosła rezultaty. Masters w końcu odkrył, że samica mimowolnie przechodzi owulację w chwili pokrycia przez samca.

Wkrótce Corner odszedł z Rochester, by objąć jeszcze bardziej prestiżową posadę w Zakładzie Embriologii Instytutu Carnegie w Baltimore, gdzie wpłynął na wielu młodych naukowców, w tym Alfreda Kinseya z Uniwersytetu w Indianie. We wczesnych latach czterdziestych Kinseyowi pomogły znajomości Cornera w sponsorowanym przez rząd Komitecie dla Rozwoju Badań nad Problemami Seksu. Później ten entomolog, specjalizujący się w galasówkach, zdobył fundusze od Fundacji Rockefellera na badania nad seksualnością człowieka. Corner namawiał komitet do udzielenia Kinseyowi szczodrego wsparcia, chociaż ten później nazwał go „najbardziej zasadniczą osobą, jaką poznałem poza murami instytutu psychiatrii".

W podobnym okresie, w czasie ferii wiosennych na trzecim roku studiów medycznych, w 1942 roku Masters otrzymał zaproszenie od swojego dawnego wykładowcy z Baltimore na spotkanie najlepszych biologów reprodukcyjnych z całego kraju, którzy mieli pojawić się w laboratorium Cornera. Masters bez słowa wsłuchiwał się w ich dyskusje i zastanawiał, jak sam może zapisać się w historii medycyny. W czasie pogawędki przy obiedzie Carl Hartman – długoletni współpracownik Cornera, który rozbudował laboratorium z małpami naczelnymi w Carnegie – opisał swoje problemy z nakłonieniem samicy, mającej cieczkę do aktu seksualnego z samcem. Po jakimś czasie zwierzę rozgniewało się na Hartmana za jego namowy i ugryzło go

w palec. Machając zranionym kciukiem, naukowiec próbował znaleźć jakieś rozwiązanie problemu i zwrócił się do młodego studenta.

– Masters, kiedy mówiłem o moich próbach nakłonienia samicy w rui do spółkowania, wydawałeś się zamyślony. Nad czym tak dumałeś? – zapytał z naciskiem Hartman.

– Zastanawiałem się nad kobietą – odparł Masters – i tym, czy u niej też występuje swego rodzaju cykliczna ruja, której jeszcze nie zidentyfikowano?

Nikt się nie roześmiał i z początku nie padła żadna odpowiedź. Masters wspominał, że przy stole zapadła złowroga cisza. Pomysł badania kobiety, eksplorowania jej fizjologii i reakcji seksualnej, brzmiał jak prosty przepis na pogrzebanie własnej kariery i może nawet proces sądowy. Nikt nie miał dość odwagi, by wyjść poza badania królików i małp.

Przez resztę swojego pobytu w Baltimore Masters rozmawiał z Cornerem oraz innymi ekspertami o tym, co właściwie trzeba byłoby zrobić, by rozpocząć badania nad kobiecą seksualnością. Każdy naukowiec na tyle lekkomyślny, by tego spróbować, musiałby liczyć się z ogromnym niebezpieczeństwem. Masters, jak zwykle wnikliwy, próbował nakłonić mędrców medycyny, by odpowiedzieli na jego pytanie. Wreszcie udało im się ustalić cztery kryteria: badacz seksu musiałby być żonatym mężczyzną pod czterdziestkę, z wyraźnymi cechami seniora („Pomogło mi to, że wyłysiałem już w wieku dwudziestu trzech lat!", dowcipkował później Masters), powinien mieć na swoim koncie sukcesy badawcze w powiązanej z seksualnością dziedzinie medycyny, a także zdobyć wsparcie uniwersytetu, najlepiej jego szkoły medycznej.

W odróżnieniu od starszych naukowców, których przez lata ograniczała era wiktoriańska, Masters postrzegał siebie jako nowoczesnego lekarza, zdolnego podjąć się tak ambitnego zadania i nie przejmować opinią innych. Zdecydował się jednak skorzystać z tych, jego zdaniem cennych, rad. „Mój pobyt w Instytucie Carnegie okazał się mieć bardzo duży wpływ na resztę życia – napisał później. –

Wypracowane wtedy kryteria ukształtowały moje myślenie". Z takim długofalowym planem Bill wrócił do Rochester, żeby skończyć studia medyczne, zastanawiając się jednocześnie nad stażem w psychiatrii albo na ginekologii i położnictwie.

Elizabeth Ellis cierpliwie czekała na dzień, w którym wyjdzie za Billa Mastersa. Odkąd zatańczyli razem na przyjęciu zorganizowanym przez Alpha Delta Phi podczas jego pierwszego roku w Hamilton College, dawała mu znaki, że wiele dla niej znaczy. Kiedy Masters wyruszył na studia medyczne do Rochester, wciąż się spotykali – czasem tylko sporadycznie, ale nigdy ze zbyt długą przerwą – podczas gdy ona pracowała w fabryce w Utica (w stanie Nowy Jork) jako sekretarka, ponad sto sześćdziesiąt kilometrów dalej. Nawet jeśli wiedziała o jego uczuciu do Dody Baker, nie odpuszczała. Najwyraźniej nie przejmowała się również tym, że jej narzeczony może żenić się z nią tylko dla pocieszenia, żeby poradzić sobie z bolesnym odrzuceniem. Dla Elisabeth mądry, atletyczny i pracowity Bill Masters był mężczyzną, na którym można polegać, i takiego właśnie szukała przez całe życie.

Betty Ellis – znaną jako Libby albo po prostu Lib, jak często zwracał się do niej Bill – traktował Masters z takim uczuciem i takim szacunkiem, jak żadną inną kobietę w swoim życiu. Była bardzo łagodna i szczera dla tych, których kochała, choćby ją rozczarowywali. Chociaż nie należała do najpiękniejszych, miała szczupłą figurę, błyszczące oczy i pełne usta, a swoje ciemne, kręcone włosy starannie układała. Ubierała się najlepiej, jak pozwalały na to jej skromne finanse, a te wystarczały, by wyglądała jak z reklamy Marshall Field's albo Talbots, sklepów z odzieżą dla kobiet. Oboje rozumieli, że Libby to porządna młoda kobieta, idealna na żonę lekarza. Addison Wardwell, kolega z bractwa Billa w Hamilton, twierdził, że jej uczucia były odwzajemnione. „Mieli wielki romans, kiedy Bill chodził do college'u – wspominał. – Z tego, co mówiła Betty, później też widywali się dosyć często. Ale Bill nigdy nie opowiadał zbyt wiele o swoich planach i zamierzeniach". Po latach Masters stwierdził, że ich związek narodził

się nie w porywach serca, ale w wyniku połączenia losów. „Zaczynaliśmy się spotykać nieregularnie – napisał – ale im więcej się widywaliśmy, tym mocniej byliśmy przekonani, że łączy nas wspólna przyszłość".

Hamilton mocno ograniczał kontakty uczniów ze słabszą płcią, jak nazywali wówczas kobiety wykształceni dżentelmeni. Tańce w Alpha Delta Phi organizowano ledwie dwa razy w roku. Zarządzono skrupulatną separację kobiet i mężczyzn. Ci drudzy oddawali swoje pokoje na piętrze domu młodym pannom, które nocowały tam, nadzorowane przez opiekunki. Oczywiście Billowi bardzo podobał się pomysł, by spotkać się z miejscową dziewczyną, Libby, za ogrodem i może skraść jej całusa w blasku księżyca pośród kwitnących drzew, poza zasięgiem wzroku surowego zarządcy domu albo upierdliwego członka rady mieszkańców. Wardwell pamięta jeden wypadek, kiedy to Bill niechcący wystąpił przeciwko przyjętej w Hamilton zasadzie separacji płci. W czasie wakacji, kiedy większość członków bractwa wyjechała, Bill wstał rano, żeby zająć się swoim projektem naukowym, a potem pójść po Libby, która mieszkała niedaleko. Kiedy zatrzymali się w Alpha Delta Phi, był już późny poranek, a Bill postanowił zajrzeć do swojego projektu, który polegał na obserwowaniu rozwoju embriona we włożonym do inkubatora jajku. Bill wyjął jajo i zaczął je skubać przy stole. Jeden ze zgrzybiałych profesorów, którego zadaniem było pilnowanie bractwa, przyłapał parę na obserwacji jednego z podgrzanych jajek i szybko założył najgorsze. „Należał do surowych ludzi i uznał, że doszło do jakiegoś naruszenia zasad – wspominał Wardwell. – Stwierdził, że Bill i Betty spędzili razem noc i właśnie zabierali się do śniadania". Profesor nie rozmawiał z Billem oraz Betty, zamiast tego zorganizował apel, na którym pouczył wszystkich uczniów Hamilton, czego mężczyzna z tej szkoły nie powinien robić z gościem płci żeńskiej.

Bill powstrzymał się od komentarza w trakcie kazania profesora. Natura dała mu twarz pokerzysty, dzięki czemu mógł nie okazywać wstydu, zażenowania i innych emocji. Kiedy pedagog wyszedł, Bill dał

upust swojemu rozbawieniu szerokim uśmiechem. „Staruszek dobry jest w te klocki, zna wszystkie zasady!", podsumował z kpiną.

Długo przed poznaniem Billa Mastersa Elizabeth Ellis doświadczyła mnóstwa rozczarowań i bolesnych chwil. Jej matka zmarła, kiedy Libby miała ledwie dziesięć lat – wystarczająco dużo, żeby dziewczyna za nią tęskniła, ale za mało, by mogła skorzystać z jej życiowego doświadczenia. Libby i jej rodzina w zasadzie nigdy się po tym nie pozbierali. Po śmierci matki w latach dwudziestych ojciec dziewczynki, Guy Ellis, zniknął bez żadnej zapowiedzi czy wyjaśnienia – po prostu wstał i wyszedł. Porzucił Libby oraz jej dwie siostry, Marjorie i Virginię, a także wygodne życie w Grosse Point w stanie Michigan, najbardziej stylowym osiedlu w podmiejskiej enklawie otaczającej Detroit. Guy Ellis wyruszył na Florydę, gdzie znalazł cieplejszy klimat, bardziej gościnny dla człowieka uciekającego przed odpowiedzialnością. Dla Libby ojciec stał się na zawsze znikającym fantomem.

Dziewczynki zamieszkały z rodziną Steve'a, bardzo bogatego i serdecznego sąsiada, oraz jego żony. W żaden sposób nie byli oni spokrewnieni z Libby i jej siostrami, ale zrobiło im się żal dziewczynek, więc przyjęli je pod swój dach. Jeszcze zanim Elizabeth skończyła szkołę średnią, Wielki Kryzys zafundował jej kolejną życiową tragedię. Kiedy w 1929 roku załamał się rynek, fortuna Steve'a mocno ucierpiała, co skończyło się jego depresją i ostatecznie samobójstwem. Po tym, jak dziewczyna przeżyła rozpad i biologicznej, i przybranej rodziny, była gotowa na mężczyznę, który potrafił radzić sobie z okrucieństwem losu.

Po niemal pięciu latach czekania Masters wreszcie się jej oświadczył. W czasie wakacji przed jego czwartym rokiem na medycynie wzięli skromny ślub w Detroit, jedynym miejscu, które Elizabeth uważała za swój dom. „Powiedział jej, że nie mógł wcześniej traktować tego związku poważnie, bo miał mnóstwo nauki i chciał zapracować na swoje nazwisko – wspominał jej siostrzeniec, Townsend Foster Jr. – Naprawdę ją zniechęcał, ale ona trzymała się go wystarczająco długo i wreszcie się pobrali". Nowożeńcy wynajęli małe mieszkanie

w niewielkiej odległości od Szkoły Medycznej w Rochester i szpitala. „Finanse mieliśmy ograniczone, ale byliśmy szczęśliwi", powiedział później Masters. Kiedy wreszcie zdobył dyplom, zaczął zastanawiać się, gdzie powinien odbyć staż. Chociaż druga wojna światowa rozgorzała na dobre, udało mu się uniknąć wojska, ponieważ był lekarzem. Zdecydował się na położnictwo i ginekologię, gdyż chciał poznać anatomię i fizjologię układu rozrodczego człowieka. Wiedział, że to dopiero pierwszy krok do celu. „Nie miałem złudzeń, że dowiem się czegoś o seksie na ultrakonserwatywnej specjalizacji ginekologii i położnictwa", napisał. Raz jeszcze poprosił swojego dawnego mentora, doktora Cornera, o radę. W czasie rozmowy telefonicznej z lutego 1943 roku Masters potwierdził swoje zaangażowanie w badanie seksualności człowieka.

– Cóż, może czas spotkać się z Willardem Allenem? – zasugerował Corner.

Masters wyjaśnił, że jego oceny nie należały do najwyższych, więc nie mógł liczyć na dołączenie do programu Allena na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Allen był wtedy jednym z najlepszych endokrynologów rozrodu w kraju. Bill oświadczył, że z chęcią udałby się do St. Louis i odbył staż u Allena, ale wątpił, by udało mu się prześcignąć innych kandydatów.

To właśnie z Allenem Corner prowadził badania w Rochester, gdzie studiowali wpływ hormonów na układ rozrodczy samicy i gdzie udało im się z *corpus luteum* (wydzieliny miesiączkowej) królików wyodrębnić progesteron, czyli hormon biorący udział zarówno w owulacji, jak i samej ciąży. Udowodnili tym samym, że istnieje więcej niż jeden hormon płciowy. Kariera Allena nabrała tempa i wkrótce stał się on w światku akademików kimś równym Cornerowi. W końcu opuścił Rochester i objął funkcję kierownika Wydziału Ginekologiczno-Położniczego na Uniwersytecie Waszyngtońskim. O jakieś dziesięć lat starszy od Billa, Allen był uważany za genialnego i zdolnego chirurga o miłym, choć nieco mdłym obyciu. Stał się jednym z najmłodszych kierowników akademii medycznych w kraju. Chociaż kariera zawiodła

go w odległe miejsca, nigdy nie stracił kontaktu z zaufanym i genialnym kolegą po fachu, doktorem Cornerem.

– Bill, śpieszysz się? – zapytał Corner Mastersa przez telefon. – Jeśli poczekasz pięć minut, oddzwonię.

Minęła dosłownie chwila i Corner już mógł podzielić się dobrymi wieściami.

– Staż jest twój – ogłosił, zadowolony z realizacji swojego niecnego planu.

Masters nie wiedział, co odpowiedzieć, tak zaskoczyło go to, że Corner pokładał w nim dość wiary, by wyciągnąć pomocną dłoń. „Przez kilka następnych dni miałem łzy w oczach za każdym razem, gdy przypominałem sobie o moim niewiarygodnym szczęściu i uprzejmości doktora George'a Cornera".

Latem 1943 roku Bill i Libby Masters przeprowadzili się do St. Louis, gdzie planowali rozpocząć nowe życie i powiększyć rodzinę. Corner nie tylko pomógł Mastersowi w karierze, ale też wyraźnie wsparł jego pomysł eksplorowania meandrów ludzkiej seksualności. Masters wiedział, że skoro tak mądry i wykształcony człowiek jak Corner docenił jego naukowe plany, uda mu się przekonać do nich cały świat.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ekspert w dziedzinie płodności

Młoda kobieta leżąca nieruchomo na stole operacyjnym straciła już dziecko i właśnie sama umierała w kałuży krwi. Wciąż krwawiła z powodu łożyska przyrośniętego – rzadkiego powikłania ciąży, w którym łożysko penetruje ściany macicy i dostaje się do innych organów, pozbawiając płód niezbędnych do życia składników odżywczych. Trzech młodych lekarzy na trzecim piętrze Szpitala Położniczego próbowało już wszelkich metod ratowania kobiety, ale nic nie działało. Wykonali cesarskie cięcie, żeby usunąć resztki łożyska. Bez powodzenia próbowali zatamować krwawienie. Musieli coś zaraz wymyślić, inaczej ich pacjentka umrze.

„To najgorszy przypadek, jaki widziałem – wspominał Ernst R. Friedrich, lekarz rezydent z tamtej nocy. – Kilkakrotnie przetoczyliśmy jej krew. Istniało niebezpieczeństwo, że kobieta się wykrwawi".

Wykonali rozpaczliwy telefon do wykładowcy z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, prestiżowej instytucji związanej ze szpitalem. Chociaż był środek nocy w okolicach Bożego Narodzenia, ku wyraźnej uldze rezydentów zaraz pojawił się jeden z najbardziej utalentowanych specjalistów. Bill Masters śpiesznie przeszedł przez próg. „Zdjął ubrania w korytarzu, włożył kitel, który rzuciły mu pielęgniarki, i wszedł prosto do sali operacyjnej – wspomina Friedrich. – Doktor Masters spojrzał na stół operacyjny, zobaczył problem i od razu wiedział, co robić. Nie

omawiał z nami tego ani nie zwlekał. Zrobił, co było trzeba, i wyciągnął nas z opresji".

Po kilku pełnych napięcia chwilach Masters uratował kobiecie życie dzięki swej wprawnej ręce chirurga, doskonałej znajomości skomplikowanej budowy kobiecego układu rozrodczego, a także niezachwianej pewności siebie. Friedrich poczuł taką ulgę, że złapał za niewielki aparat, którym chciał robić zdjęcia na przyjęciu bożonarodzeniowym, i pstryknął fotkę lekarzy biorących udział w operacji. „Wszyscy brodzili we krwi – wspomina. – Na fotografii widać, jak bardzo niektórzy z nas byli pochlapani posoką". Lekarską reputację tworzy się właśnie w takich heroicznych chwilach, kiedy wirtuoz skalpela u szczytu formy zdobywa szacunek kolegów po fachu i wdzięczność stażystów.

W roku 1950 Masters miał już niezbędne doświadczenie, o którym mówił George Corner. Piął się w hierarchii jednej z najbardziej szanowanych szkół medycznych na Środkowym Zachodzie i wkrótce objął funkcję adiunkta na Wydziale Ginekologiczno-Położniczym Uniwersytetu Waszyngtońskiego, wyrastając na prawą rękę kierownika, Willarda Allena. Wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści pięć lat w roku, w którym przeniósł się ze swoją żoną, Libby, najpierw do przytulnego mieszkania w Clayton, a potem większego domu w Ladue, eleganckim przedmieściu St. Louis, gdzie zamierzali powiększyć rodzinę. Z każdą poprowadzoną ciążą i porodem zyskiwał szacunek coraz większej grupy bogatych klientów. Wśród swoich rówieśników Masters uchodził za wyborowego chirurga, doskonałego wykładowcę i eksperta w rozwijającej się dziedzinie leczenia bezpłodności.

Chociaż nie miał metra osiemdziesięciu – był raczej niższy – Bill zachował krępą budowę i wigor po latach gry w futbol amerykański, a każdego ranka przed pójściem do pracy biegał. Nosił sztywne, wykrochmalone koszule i muszkę, a chodził jak gladiator. Zez rozbieżny zdawał się zaledwie oznaką wystudiowanego dystansu do otaczających go ludzi. W czasie zajęć nie uśmiechał się zbyt często. Raczej cmokał

i zaciskał usta w równą, cienką kreskę. „Jeśli udało ci się wydobyć z niego uśmiech albo stłumiony śmiech, czułeś się akceptowany, jakby twój ojciec poklepał cię po głowie i powiedział, że dobry z ciebie chłopiec", opisywał go doktor Mike Freiman, współpracownik Mastersa ze szkoły medycznej. Niepewny siebie chłopak, który bał się wrócić do domu, najwyraźniej uwolnił się ze swojego kokonu. „Był wyjątkowo dumnym człowiekiem i wszystkie ubrania szył na miarę – wspominał doktor Francis Riley, kolejny współpracownik Mastersa z lat pięćdziesiątych. Taką miał naturę. Zmieniał fartuchy dwa razy dziennie i pisał tylko białymi piórami kulkowymi. Nigdy nie używał żadnego innego koloru. Był niezależnym człowiekiem, który nie tyle trzymał wszystkich na dystans, co po prostu niewiele mówił". Niektórzy uważali Mastersa za więcej niż trochę aroganckiego, chociaż nikt nigdy nie powiedział mu tego w twarz. „Nie tylko miał się za lepszego lekarza niż inni, ale też po prostu za lepszego człowieka – podsumował doktor Eugene Renzi, rezydent ginekologii i położnictwa z lat pięćdziesiątych. – Miał przerośnięte ego". Renzi i Riley pamiętają stylowe, sportowe czarne auto, kabriolet MG, którym Masters poruszał się po kampusie. Nawet kiedy padał deszcz, Bill nie podnosił składanego dachu i obwiązywał się brezentem, nie przejmując się zupełnie ulewą.

Późne piątkowe popołudnia lekarze z ginekologii i położnictwa Uniwersytetu Waszyngtońskiego spędzali na dyskutowaniu o operacjach chirurgicznych i omawianiu postępowania w poszczególnych przypadkach. Na te spotkania nie wpuszczano pielęgniarek i studentów. Masters lubił wprowadzać nieco zamieszania i grać adwokata diabła. „Wstawał i przedstawiał inny sposób tylko po to, by nas sprowokować i pokazać, że w medycynie nie istnieje jedna słuszna droga", wspominał Marvin Rennard, również były rezydent. Masters występował przeciwko ortodoksji tak, jak tylko doskonały praktyk tego zawodu mógł to zrobić. „Jeśli w Szpitalu Położniczym pojawiał się jakiś problem, najchętniej zwracano się właśnie do Billa Mastersa – przyznał były rezydent, Robert Goell. – Miał doskonały osąd, łączył tradycję z nowoczesnością".

W czasie jednego z piątkowych spotkań wywiązała się ożywiona dyskusja na temat cesarskiego cięcia, a dokładnie: dlaczego częstotliwość jego przeprowadzania wzrosła z trzech do sześciu procent w przeciągu pół roku. Dzisiaj cesarskie cięcie – wyjęcie dziecka z brzucha matki przez nacięcie, zamiast podejmowania ryzyka w postaci porodu naturalnego – jest o wiele częściej spotykane, a niektóre szpitale przeprowadzają je nawet w jednej czwartej przypadków. Jednak we wczesnych latach pięćdziesiątych większość położników polegała na porodzie naturalnym, choćby nie wiadomo jak długo trwał. Najstarsi lekarze, którzy nauczyli się fachu w latach trzydziestych, kiedy penicylina i banki krwi nie były jeszcze rozwinięte, a narkoza mogła skończyć się katastrofą, ostrzegali młodszych kolegów, żeby nie podchodzili do cesarskiego cięcia ze zbytnim entuzjazmem. Głównie dlatego, że nie byli przyzwyczajeni do tego typu zabiegów. W czasie tej pamiętnej wymiany zdań skupiono się na postępowaniu w przypadku ciąży z komplikacjami, kiedy agonia porodu może trwać ponad trzydzieści sześć godzin. Lekarze zastanawiali się, co mogą zrobić z kobietą, która rodzi już od ponad doby. Ktoś wreszcie zapytał:

– Doktorze Masters, co by pan zrobił?

Masters posłał im wszystkim cierpki uśmiech i odpowiedział szorstko:

– Nie miałbym tego problemu. Już dawno przeprowadziłbym cesarskie cięcie.

Chociaż podziwiano jego umiejętności (wydawało się, że mógłby przeprowadzać operacje nawet lewą ręką), po godzinach pracy nie należał do najbardziej lubianych osób. Zdecydowana większość jego współpracowników była płci męskiej, jednak nie wychodził na piwo czy partyjkę w golfa w niedzielny poranek. Wydawał się spędzać praktycznie cały swój czas w szpitalu, nieustannie prowadząc badania albo ćwicząc własne umiejętności. Masters nie znosił nieodpowiedzialności, o czym mogli przekonać się lekarze, pielęgniarki, a czasem także chorzy. Jeśli pacjentka spóźniała się na wizytę dłużej niż

dziesięć minut, Masters nie chciał jej już widzieć; musiała przesunąć spotkanie, a jeśli wpadka trafiła jej się drugi raz, całkowicie odmawiano jej przyjęcia. Jako ekspert w raczkującej terapii bezpłodności, Masters upierał się, by pacjentki przychodziły ze swoimi mężami. „Ściśle się tego trzymał", wspomina doktor Ira Gall, który pracował z nim w połowie lat pięćdziesiątych.

Zazwyczaj Masters był szorstki, ale potrafił też okazać ogromne pokłady współczucia, zwłaszcza wobec kobiet na co dzień spotykających się ze społecznym ostracyzmem. Pewnego dnia Mike Freiman, wówczas świeżo upieczony stażysta, towarzyszył mu w trakcie obchodu i weszli razem do sali, gdzie mieli przeprowadzić rutynowe badanie ginekologiczne starszej czarnej kobiety. St. Louis w latach pięćdziesiątych wciąż było dość mocno podzielonym miastem, a Szpital Położniczy miał oddzielne piętro dla czarnoskórych pacjentów. Freiman wyraźnie pamięta tamto badanie. Drobna osiemdziesięciolatka była wdową, jednak na jej twarzy dało się jeszcze zauważyć ślady dawnej młodości. Gdy lekarze skrupulatnie wypytywali ją o zdrowie, ściskała w dłoni koronkową chusteczkę. Pod koniec wizyty Masters chrząknął, jak to często robił przed tym konkretnym pytaniem:

– Kiedy ostatni raz miała pani stosunek?

Staruszka, która do tej pory spoglądała na podłogę, uniosła wzrok i popatrzyła Mastersowi prosto w oczy. Potem uśmiechnęła się niemal z wdzięcznością.

– Doktorze Masters – odparła – w moim wieku trudno jest znaleźć przyjaciela.

Freimana wzruszyła ta wymiana zdań. Byli mężczyznami w białych fartuchach, zajmującymi się najbardziej intymnymi sekretami zdrowia kobiety, a jednak Masters pokazał, że choć profesjonalizm jest bardzo ważny, należy dbać też o emocjonalne potrzeby pacjentek. „Była to dla mnie ważna lekcja – wspominał Freiman. – Nauczył mnie, że jeśli zrobi się to w odpowiedni sposób, można zapytać dosłownie o cokolwiek. Tym swoim pytaniem jakby uznał tę kobietę za osobę niepozbawioną seksualności i wciąż atrakcyjną".

W połowie lat pięćdziesiątych ciągłe innowacje Mastersa w dziedzinie chirurgii ginekologiczno-położniczej sprawiły, że dorobił się statusu czołowego eksperta tej specjalizacji. Jako jeden z pierwszych lekarzy w kraju korzystał ze znieczulenia ogonowego, polegającego na wprowadzeniu środka znieczulającego do kanału kręgowego w najniższej części kręgosłupa, żeby uśmierzyć ból porodu. W ten sposób unikał niebezpieczeństw, jakie niosła ze sobą całkowita utrata przytomności przez kobietę pod wpływem usypiania eterem albo narkozy, czyli metod zarezerwowanych dla bardziej skomplikowanych przypadków. W 1953 roku współtworzył publikację na temat tej procedury, analizując ponad pięć tysięcy porodów. Dwa lata później Masters i Willard napisali wspólnie do „American Journal of Obsterics and Gynecology" artykuł o nowym sposobie operowania, który miał pomóc tysiącom kobiet cierpiących na bóle miednicze związane z bliznami w macicy pozostałymi zazwyczaj po wcześniejszych porodach. Dolegliwość tę zaczęto nazywać syndromem Allena–Mastersa, a z czasem, gdy to jego nazwisko stało się bardziej znane w medycznym światku, wyłącznie syndromem Mastersa. Z taką samą pomysłowością i takimi samymi umiejętnościami wprowadzał nowe zabiegi chirurgiczne, by pomóc najbardziej zdesperowanym pacjentkom. Stworzył na przykład sztuczne waginy dla siedmiu kobiet, które urodziły się bez naturalnych. Właśnie przy tych pacjentkach Masters zdał sobie sprawę, jak ogromny wpływ na zdrowie psychiczne człowieka może mieć pożycie seksualne. Doktor Marvin Grody, jeden z pracowników uniwersytetu, wspominał pacjentkę przed dwudziestką, której Masters stworzył sztuczną waginę jeszcze w czasach, gdy zabieg ten był nowością. Była mu tak wdzięczna, jakby dał jej nowe życie. „Pacjentka nie mogła mieć dzieci – opowiadał Grody – ale mogła przynajmniej czerpać przyjemność ze stosunku".

Willard Allen okazał się idealnym opiekunem badań Mastersa nad hormonami, płodnością i pożyciem pacjentek, które ginekologia i położnictwo często ignorowały. „Bez Willarda Allena nic by nie mógł zrobić. To on był szefem – wyjaśnił doktor John Barlow Martin, który

również pracował pod okiem Mastersa. – Mieli z Billem bardzo dobre stosunki i właśnie dzięki temu Masters mógł działać". W imię nauki Allen potrafił być stanowczy. W Szpitalu Położniczym respektował wszystkie prośby pacjentek, które chciały zostać wysterylizowane przez podwiązanie jajowodów (pod warunkiem, że miały „dosyć" – po co najmniej piątce dzieci, ich mężowie się zgadzali, a badania krwi nie pokazywały nic niepokojącego). Wiele lat później metoda ta stała się częstą metodą antykoncepcji, jednak w latach pięćdziesiątych w St. Louis polityka Allena zaskoczyła zarówno lekarzy, jak i pacjentów. „Wywołał prawdziwą rewolucję, bo żyło tam wielu katolików, ale uniwersytet go poparł – powiedział Martin. – Dlatego Allen był przyzwyczajony do kontrowersji". Początkowo Masters dołączył do badań Allena nad hormonalną terapią zastępczą, podczas których sprawdzali, jak uzupełnienie poziomu estrogenu i progesteronu u starszej kobiety może dodać jej energii i złagodzić dolegliwości związane z menopauzą. Ostatecznie w czasie pierwszej dekady Mastersa jako pełnoetatowego pracownika Uniwersytetu Waszyngtońskiego jego nazwisko pojawiło się przy ponad czterdziestu publikacjach. Ira Gall zwrócił szczególną uwagę na to, jak różne charaktery i temperamenty mogą mieć dwaj przyjaciele połączeni wspólnym celem. „Willard Allen był bardzo wyrozumiały i rzadko się złościł – opisywał. – Bill Masters miał wysokie kompetencje, a pacjentki, które dzięki niemu zaszły w ciążę, uważały go za świętego, ale tak naprawdę nie był zbyt towarzyską, radosną osobą".

Pod koniec swojego pierwszego dziesięciolecia na Uniwersytecie Waszyngtońskim Masters coraz więcej uwagi poświęcał leczeniu bezpłodności. Zainicjował Program Badania Płodności w Szpitalu Położniczym i założył jeden z pierwszych banków spermy w kraju. Harvard, Columbia i garstka innych szpitali przy szkołach medycznych również przeprowadzały podobne procedury, ale nigdzie nie były one tak zaawansowane jak na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Niezwykłe umiejętności Mastersa uważano za dar od niebios dla kobiet, które

rozpaczliwie próbują zajść w ciążę. „Mamy dziecko dzięki Billowi Mastersowi – przyznała Dodie Josephine Brodhead, która razem ze swoim mężem, Johnem, zaprzyjaźniła się z Mastersem głównie dzięki jego żonie. – Najczęściej w rodzinach był albo urodzaj, albo posucha. U nas panowało to drugie. Nie mogłam zajść w ciążę przez osiem lat. A potem poszliśmy do Billa Mastersa i dzięki jego przenikliwości i ogromnej wiedzy w końcu urodziłam dziecko. Tak się składa, że przyszło na świat w jego urodziny".

Dodie Brodhead miała problemy z zajściem w ciążę, a jej mąż z ilością plemników w spermie, być może w wyniku, jak teoretyzuje Dodie, sił grawitacji, jakie działały na niego w trakcie służby jako pilota bombowca nurkującego. U Mastersa pierwsza wizyta par podobnych do Brodheadów zaczynała się od podstawowej lekcji seksu. „Zaskoczyło mnie to, jak niewiele ludzie wiedzą o zapłodnieniu – wspominał Freiman, wtedy kolega po fachu, który towarzyszył Mastersowi w trakcie terapii par. – Pomagał kobietom zrozumieć, kiedy są najbardziej płodne, a mężczyznom, jak powinni się zachowywać".

W tamtych czasach leczenie bezpłodności było w pewien sposób napiętnowane społecznie. „Ten temat poruszały typowe męskie żarty – wspomina Dodie Brodhead. – Dowcipkowano, że każdy, kto przychodzi do doktora Mastersa na badania, zakłada na głowę papierową torbę". Większość zgłaszających się par chętnie dzieliła się szczegółami swojego intymnego życia, mając nadzieję, że w nagrodę dostaną dziecko. Masters mówił językiem prostym, ale pełnym empatii, a rad udzielał młodym rodzicom, takim jak Brodheadowie, nawet po tym, jak ich córeczka przyszła na świat.

– A teraz, Dodie, nie myśl sobie, że znalazłaś przepis na cud i możesz odłożyć drugą ciążę. Próbuj od razu – upominał ją Masters, zdając sobie sprawę z niepłodności wtórnej, która czasem nie pozwala kobietom urodzić kolejnego dziecka. – Skoro przestawiłaś się już na tryb rodzenia, im szybciej, tym lepiej.

Rita Levis, żona inwestora bankowego, zjawiła się u Mastersa, podejrzewając u siebie bezpłodność. „Chciałam dzieci i nie miałam co

do tego wątpliwości – wspominała. – Kiedy nie udawało mi się zajść w ciążę, mój lekarz polecił mi Mastersa. Nikt w tamtych czasach nie rozmawiał o seksie". Masters szybko umawiał na wizyty i dbał o prywatność pacjentów, więc Rita nigdy nie widziała innych par wychodzących z gabinetu. „Myślę, że chciał w ten sposób chronić swoich podopiecznych – powiedziała Rita Levis. – Ludzie nie chcieli, by inni dowiedzieli się o ich problemie". Rita zaciągnęła dług wobec Mastersa. „Zaszłam w ciążę, a to chyba sedno sukcesu lekarza zajmującego się płodnością – stwierdziła. – To on przyjął poród". Gdy ten sukces nie przychodził zbyt długo, pary stosowały się do szeregu zasad, które miały zwiększyć ich szanse, o czym wspominał doktor Elfred Lampe, jeden z asystentów Mastersa. Ta lista zaleceń zawierała instrukcje, jak ułożyć się w pozycji misjonarskiej, żeby przyszła matka była lepiej przygotowana na przyjęcie nasienia. Starania o dziecko zazwyczaj wymagały wygibasów i manewrów, „które zwyczajnej parze przez myśl by nie przeszły – jak wyjaśnił Lampe. – Na przykład przechodzenie inseminacji, żeby idealnie wstrzelić się w czas owulacji. Wtedy nasienie uzyskiwano poprzez masturbację lub pobierano ją z prezerwatywy". Mężowie pojawiali się w szpitalu ze swoją spermą w małych, papierowych torebkach, jakby przynosili lunch do szkoły. Kiedy żony bezpłodnych mężczyzn musiały sięgnąć po ostatnią deskę ratunku, na dawców wybierano studentów medycyny. Skuteczność tej metody była bardzo wysoka. „Mówiliśmy ludziom, że dawcami naszego banku nasienia są studenci medycyny z Uniwersytetu Waszyngtońskiego i obiecywaliśmy postarać się dobrać odpowiedni kolor włosów i oczu, a także pochodzenie, ale to dziekanowi pozwalaliśmy ocenić walory intelektualne. Trochę się chwaliliśmy – wspominał doktor Thomas Gilpatrick, jeden z rezydentów pracujących z Mastersem. – W przypadku inseminacji nasieniem naszych dawców skuteczność wynosiła około dziewięćdziesięciu procent".

Kiedy wieść o sukcesach Mastersa rozniosła się, pacjenci szukający pomocy eksperta w leczeniu bezpłodności przyjeżdżali z całego kraju,

a w kilku przypadkach nawet zza Oceanu. Dodie Brodhead pamięta, że połowie lat pięćdziesiątych czekała w gabinecie na Mastersa, który wreszcie pojawił się, zdenerwowany. Dodie, jako znajoma Libby Masters, zapytała o przyczynę tego stanu.

– Przyjąłem przemiłą kobietę i właśnie musiałem ją poinformować, że jest bezpłodna i nigdy nie urodzi – wyznał Bill. – Nic się nie dało zrobić – wyjaśnił głosem pełnym frustracji.

Powiedział, że mąż tej kobiety zrobi wszystko, żeby mieć syna.

– To wyjątkowo smutne, ponieważ ta kobieta jest żoną szacha Iranu, który musi mieć następcę – dodał po chwili ciszy.

Chociaż brzmiało to jak bajka, Brodhead nigdy nie zapomniała historii opowiedzianej przez Mastersa. Kilka miesięcy później przeczytała w gazecie o smutnym losie księżniczki Sorayi Esfandiari Bakhtiari, żony szacha Iranu; artykuł potwierdzał słowa Billa. W latach pięćdziesiątych Soraya stała się obiektem niezwykłego zainteresowania europejskich paparazzich, uważano ją za kobietę o legendarnej urodzie, a tabloidy pełne były jej zdjęć. Przypominało to obsesję na punkcie księżniczki Diany, która miała pojawić się w następnym pokoleniu. W 1951 roku Soraya wyszła za Mohammeda Reza Pahlavi, ostatniego szacha Iranu. Małżeństwo wymagało od niej powicia syna. Od pierwszego spotkania szacha z Sorayą wydawało się, że są oni w sobie szczerze zakochani. Pierwszą żoną szacha była egipska księżniczka; ten pozbawiony miłości związek został zaaranżowany przez rodziny, a jego owocem była córka, nie syn. Szybko okazało się, że Soraya ma problem z zajściem w ciążę. Politycy i liderzy Iranu naciskali szacha, by spłodził męskiego potomka, zdolnego do przejęcia władzy nad krajem i podtrzymania stabilnej sytuacji politycznej. Presja wzrosła po nieudanym zamachu na proamerykańskiego monarchę, który zdobył władzę po przewrocie sprowokowanym przez CIA.

W trakcie podróży po Stanach Zjednoczonych żona szacha odwiedziła najlepszych lekarzy specjalizujących się w leczeniu bezpłodności, szukając jakiegoś rozwiązania. Jeden z ekspertów poradził jej niewypróbowaną jeszcze i potencjalnie groźną dla życia operację bez

gwarancji sukcesu, ale uznano ją za zbyt ryzykowną. Masters nie zaproponował żadnego cudownego leku. Kiedy obejrzał zdjęcie z prześwietlenia jajowodów Sorayi, szybko stwierdził beznadziejność przypadku. W 1958 roku szach rozwiódł się ze swoją jedyną miłością, żeby ocalić tron. Soraya – może bezpłodna, ale na pewno nie biedna – spędziła resztę swojego życia z tytułem księżniczki, nieustannie wędrując między najlepszymi europejskimi hotelami. Wiele lat później, zanim miejsce szacha zajęli Ayatollah Khomeini i islamska rewolucja, jego lekarze przyjechali do Mastersa raz jeszcze, żeby się u niego uczyć.

Mimo iż kilku przyjaciół wiedziało o wizycie starającego się o następcę szaha Iranu, na nikim nie zrobiła ona takiego wrażenia, jak na Dodie Brodhead. Dlatego tak bardzo zdziwiła ją wiadomość Mastersa, że zmienia kierunek swoich badań. W czasie sporego przyjęcia rozmawiali na temat sukcesu jego kliniki płodności, zmartwieniach przyszłych rodziców i fascynujących aspektach sztucznych metod sprowadzania dziecka na świat. W pewnym momencie Masters wyznał, że następnym logicznym krokiem jego lekarskiej kariery będzie badanie fizjologii samego seksu.

– Przyjeżdżają do ciebie ludzie z całego świata. Dlaczego chcesz to porzucić i zająć się czymś tak kontrowersyjnym? – zapytała Dodie, nieco zaskoczona.

– Cóż, niemal wszystko, co trzeba albo można było poznać, zostało już opisane, a ja chcę odkryć coś nowego – wyjaśnił Masters. – Chcę zapisać się w historii medycyny.

Dodie patrzyła na niego oniemiała.

– Ależ ty masz wielkie ego, Bill! – stwierdziła.

Oboje zaśmiali się z jego zuchwałości.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Żona idealna

Największym z przekleństw jest przekleństwo niepłodności, a najgorszą ze wszystkich kar powinna być sterylizacja. Fundamentem każdej cywilizacji jest to, że kobieta i mężczyzna zostają matką i ojcem zdrowych dzieci, żeby naród mógł się powiększać, a nie maleć.
Theodore Roosevelt

Marge Foster ucieszyła się na wieść, że państwo Masters wprowadzają się do domu obok. Znała Betty jeszcze z Michigan i łączyła je przyjaźń. Marge była szwagierką najstarszej siostry Betty, Marjorie; ich mężowie, Torrey i Townsend Foster, byli braćmi. Marge uważała Betty za długoletnią przyjaciółkę i wspaniałą żonę dla Billa, szanowanego lekarza uniwersyteckiego. W życiu Betty i Billa brakowało już tylko dzieci, a wszyscy zgadzali się, że dwukondygnacyjny holenderski dom z cegły w stylu kolonialnym, przy 34 Oakleigh Lane w Ladue w stanie Missouri to idealne miejsce na powiększenie rodziny.

Kiedy Mastersowie po raz pierwszy pojawili się w St. Louis, Marge pomogła im znaleźć mieszkanie blisko uniwersytetu i szpitala klinicznego. A kiedy w Ladue w sąsiedztwie Marge – na jednym z najbogatszych i najbardziej prestiżowych przedmieść St. Louis – wystawiono na sprzedaż dom, Foster natychmiast poinformowała o tym Betty i Billa, oni zaś szybko wpłacili zaliczkę. „Przez długie lata mieszkaliśmy tuż obok Mastersów, więc świetnie się znaliśmy – wspominała Marge. – Betty próbowała wszystkiego, by go uszczęśliwić". Według Torreya Fostera, podatnego na wpływy nastoletniego syna Marge, w domu Mastersów wszystko było idealne. „Jak wiele kobiet z jej pokolenia, widziała siebie w roli gospodyni dbającej o rodzinę

i dom, by Bill mógł zająć się pracą – wspominał Torrey, który odziedziczył pierwsze imię po ojcu. – Bycie dobrą żoną wiele dla niej znaczyło".

Mastersowie sprawiali wrażenie ludzi pochodzących z wyższych sfer. Impresję tę utrwalali bogaci przyjaciele Betty z Kościoła Episkopalnego św. Piotra w Ladue oraz ci, którzy znali Billa jako republikańskiego członka klubu squasha, w niektóre poranki widywanego z rakietą w dłoni. „Nazwałbym ją dobrze wyglądającą kobietą z arystokratycznymi manierami, która nie była nazbyt przyjazna, ale zawsze uprzejma", stwierdził doktor Francis Riley. „Libby brylowała w towarzystwie", upierał się doktor John Barlow Martin, który skończył prywatną szkołę w St. Louis. Pacjenci Billa również zdawali się pochodzić z bogatszych kręgów; zamożne kobiety z St. Louis na swojego ginekologa wybierały śmiesznego Billa z muszką. Phyllis Schlafly, sztywna arcykonserwatystka, korzystała z jego usług najwyraźniej bez satysfakcji. „Nie mogę o nim powiedzieć nic dobrego", stwierdziła. Jednak większość kobiet lubiła bezpośredniość i konkretność Billa, dzięki którym czuły, że przyszły do najlepszego fachowca w mieście. Wśród przyjaciół i znajomych żony, spośród członków klubów sportowych, w szkołach i przez wieści rozprzestrzeniające się w bogatszych kręgach Bill znalazł sobie wystarczająco wielu klientów, by później część z nich przekazywać młodszemu koledze, doktorowi Martinowi. Po kilku miesiącach Martin skonsultował się z Billem w sprawie tych pacjentów, którzy zawsze proszą o rady w sprawie seksu.

– Bill, przejąłem od ciebie kobiety z wyższych sfer, a one wszystkie są nieszczęśliwe w małżeństwie – powiedział Martin, zaskoczony i sfrustrowany jednocześnie.

Masters uśmiechnął się, jakby znowu znaleźli się w sali wykładowej niczym profesor i student.

– Powiedz im po prostu, że jest ci bardzo z tego powodu przykro i że mają trzy wyjścia: dalej tak żyć, wnieść pozew o rozwód albo nawiązać romans. Podziękuj za wizytę i każ zapłacić w drodze do wyjścia.

Martin przyjął tę radę z ust mentora niczym święte przykazanie.

Kiedy pierwszy raz przybyli do St. Louis, Elizabeth Masters pracowała jako sekretarka dla doktora Otta Schwartza, starszego lekarza, który zajmował stanowisko kierownika Wydziału Ginekologiczno-Położniczego Uniwersytetu Waszyngtońskiego przed Willardem Allenem. Dzięki tej pracy Libby mogła się przekonać, jak wygląda życie w szpitalu i kto w nim pociąga za sznurki. Po kilku latach „Lib poczuła, że czas na powiększenie rodziny", wspominał Bill. W czasie wakacji Libby Masters grała rolę czarującej gospodyni na stylowych przyjęciach organizowanych w ich domu. Zapraszali sąsiadów, przyjaciół i kolegów ze szkoły medycznej, w tym podwładnych Billa. „W tamtym okresie wyglądali na uroczą parę" – podsumował doktor Marvin Grody, lekarz z Programu Badania Płodności. „Bardzo chcieli mieć dzieci, najlepiej dwójkę. Niezwykle im zależało na powiększeniu rodziny".

Niestety na ich drodze stanął poważny problem – Libby nie mogła zajść w ciążę. Jak większość małżeństw zmagających się z niepłodnością, woleli o tym nie mówić, a przynajmniej nie w towarzystwie osób trzecich. Kiedy Addison Wardell, przyjaciel z Hamilton College, przyjechał z wizytą po ich przeprowadzce do St. Louis, temat dzieci wisiał już w powietrzu. „Nie mieli potomków, a Bill cały czas zastanawiał się nad przyczyną – wspominał Wardell, który stwierdził również, że zainteresowanie Billa leczeniem bezpłodności częściowo wynikało z ich własnych zmartwień. – Z rozmowy z Betty wywnioskowałem, że uznali to za problem i starają się go rozwiązać". Wardell nie wypytywał o źródło kłopotów.

Nawet wiele lat później doktor Masters nie wspominał o swoich dawnych zmartwieniach związanych z płodnością. Kiedy poruszano ten temat, Bill wypowiadał się jako fachowiec, nigdy nie sugerował, że sam musiał się z tym zmagać. W przypadku Virginii Johnson poszedł krok dalej i celowo wprowadził ją w błąd. Dał jej do zrozumienia, że przyczyną problemu była wada układu rozrodczego Libby. Powiedział Virginii, że kwasowy „czynnik letalny" w pochwie Libby zabijał jego plemniki i tylko dzięki jego wiedzy i umiejętnościom udało im się

spłodzić dwójkę dzieci. Córka o imieniu Sarah, którą ojciec często nazywał „Sali", urodziła się w 1950 roku, a syn, William Howell Masters Jr. („Howie"), rok później. „Mieli dwójkę dzieci wydanych na świat w przeciągu trzynastu miesięcy i była to zasługa jego terapii leczenia niepłodności – wspominała Virginia. – Zapewne to ich własne problemy sprawiły, że Bill zajął się tą dziedziną medycyny". Bill rozwinął terapię „kapturkową" i stosował ją jako jeden z pierwszych lekarzy. Swoją spermę zbierał w plastikowy „kapturek", a potem wkładał przez pochwę Libby na szyjkę macicy, dzięki czemu plemniki mogły bezpiecznie dotrzeć do samej macicy. „Był jednym z pionierów tej metody – stwierdziła Johnson. – Nie chodziło o bezpłodność Libby ani jakość jego nasienia. Problemem okazało się środowisko pochwy". Ta heroiczna wersja opowieści o narodzinach dwójki dzieci Mastersa, opowiedziana Virginii, ładnie podkreślała reputację Billa jako innowacyjnego eksperta w leczeniu braku płodności: udało mu się doprowadzić do zapłodnienia Libby, która (jak sugerował) nie mogłaby mieć dzieci bez jego medycznej interwencji.

Prawda jest jednak inna – to nie Libby miała problem, tylko Bill. „Elizabeth nie mogła zajść w ciążę, a przyczyną tego była oligospermia Billa Mastersa, czyli mała liczba plemników w spermie", wspominał doktor Grody, który współtworzył z Billem publikację na temat wykorzystania kapturka naszyjkowego w leczeniu męskiej niepłodności. Kiedy Bill usłyszał o tej metodzie po raz pierwszy, uznał ją za potencjalny sposób na rozwiązanie własnych kłopotów i postanowił przeprowadzić eksperyment. Betty i Bill znaleźli się pośród pacjentów służących za króliki doświadczalne. „Bill wyjawił mi, że ma małą liczbę plemników w spermie i dlatego zdecydował się na kapturek", wyjaśnił Grody, który przygotował wiele informacji zawartych w ich publikacji do „Journal of the American Medical Association" z maja 1952 roku. W swoim artykule oznaczyli dwie ciąże Elisabeth Masters wyłącznie inicjałami, podobnie jak przy szeregu podobnych przypadków. Publikacja podkreśla, jak niewielkie szanse miał Bill na ojcostwo przy naturalnych metodach. Uznano, że

sześćdziesiąt milionów plemników na centymetr kwadratowy to „mniejsza liczba mieszcząca się w normalnym zakresie". Z trzynastu ochotników wspomnianych w artykule każdy miał średnio trzydzieści sześć milionów plemników na centymetr kwadratowy. W przypadku Billa Mastersa – męża E.M. – było to tylko pięć milionów; najniższy wynik spośród wszystkich przypadków.

Przyznanie się do problemu z liczebnością plemników okazało się dla niego niemożliwe, oznaczało bowiem także przyznanie się do słabości, która naruszyłaby jego pieczołowicie budowany obraz mężczyzny. Ludzi pokroju Billa Mastersa – byłego futbolisty, który każdego ranka przebiegał kilka okrążeń wokół Oakleigh Lane przed pójściem do pracy – uznawano za wzór potencji. Może Billowi zdawało się, że jeśli jego niepłodność wyjdzie na jaw, ucierpi na tym jego reputacja w uniwersyteckiej klinice leczenia niepłodności. W politycznie i seksualnie represywnej atmosferze lat pięćdziesiątych realizacja celu kliniki, eufemistycznie nazywanego „robieniem dzieci", wciąż wymagała utrzymywania w tajemnicy nieakceptowanych przez społeczeństwo szczegółów na temat seksu. Po obowiązkowym wyznaniu Grody'emu prawdy Bill postanowił w innych przypadkach unikać tego tematu lub przedstawiać przeinaczone fakty. „Nie miało to nic wspólnego z małą liczbą plemników, wręcz przeciwnie – upierała się Virginia, kiedy powiedziano jej o badaniach i wskazano na męża E.M. – Uwierzcie mi, ciężko byłoby nie zajść z nim w ciążę!".

Niewzruszony Grody po latach mógł się tylko śmiać z niezgodności w zeznaniach swojego przyjaciela. „Może właśnie to powiedział Virginii, ale skłamał – stwierdził, komentując informację, że to przez Libby Mastersowie nie mogli mieć dzieci. – Wiem tylko to, co przekazał mi Bill: że użył kapturka naszyjkowego i zadziałało". Sam Grody asystował zresztą przy porodzie jednego z potomków Mastersa.

Libby Masters, w nadziei na zostanie matką, bez protestów poddawała się woli męża. „Z pełnym przekonaniem mogę potwierdzić

tylko tyle, że mieli problemy z zapłodnieniem", wyjaśnił ich syn Howie. Masters nigdy nie rozmawiał z nim na temat seksu poza jednym przypadkiem, kiedy chłopak (już blisko trzydziestki) przyszedł prosić ojca o radę w kwestiach praktycznych. „Pamiętam tylko jeden raz, kiedy wypłynął temat seksualności. Byłem już wtedy żonaty i staraliśmy się o dziecko, ale nie udawało nam się – opowiadał Howie. – Wreszcie powiedział: »Chryste! Zrób to, to, to i to, jeśli chcesz mieć większą szansę na zapłodnienie«". Libby i Bill, podobnie jak inne pary starające się o dziecko, musieli znosić drobne upokorzenia oraz nieprzyjemne metody sztucznej inseminacji, przypominające sztywną realizację przepisów. W czasie wizyt w szkole medycznej w ramach programu leczenia niepłodności każda para musiała słuchać o tym „kiedy, jak często i w jaki sposób musi dochodzić do stosunku, żeby zwiększyć szansę na zapłodnienie", wspominał Masters w swoich dziennikach. Na przykład doradzał parom, wbrew temu, co podpowiadała intuicja, żeby nie uprawiały seksu przy każdej możliwej okazji w czasie dni płodnych kobiety. Zamiast tego sugerował raczej „zróżnicowany harmonogram stosunków płciowych", z przerwami trwającymi około trzydziestu sześciu godzin – zazwyczaj była to dwunasta noc, czternasty poranek i piętnasta noc w typowym, liczącym dwadzieścia osiem dni cyklu menstruacyjnym kobiety. „Mężczyzna często potrzebuje od trzydziestu do czterdziestu godzin, żeby liczba plemników w jego nasieniu powróciła do normalnego poziomu", wyjaśniał. Jako ekspert Masters radził każdej kobiecie, żeby rozpoczęła od relaksującego leżenia z poduszką pod biodrami. W czasie stosunku, kiedy mężczyzna osiągał „stadium nieuchronnej ejakulacji", Masters sugerował zdecydowany i nagły finisz. „Powinien dążyć do najgłębszej penetracji, powstrzymać się od pchnięć, zatrzymać członka w pochwie, dopuścić do wytrysku, a potem natychmiast się wycofać". Żadnego ociągania się i czekania na magiczną chwilę. Seks według tego scenariusza przypominał szybkie, ostateczne dźgnięcie w potyczce na miecze albo pompowanie opony, a nie wyraz uczuć. Masters ostrzegał, by nie marnować nasienia. Po stosunku kobieta powinna podciągnąć kolana do klatki piersiowej

i pozostać w takiej pozycji przez godzinę, żeby cenne wydzieliny nie wypłynęły z jej pochwy. Te wskazówki mogły mieć ogromne znaczenie w tworzeniu cudu, jakim było nowe życie, nawet jeśli realizacja tego typu instrukcji wydawała się drastyczna i upokarzająca.

W klinice seksualne rady Mastersa potrafiły zdziałać cuda. Wystarczyło zastosować się do tych podstaw, by w przeciągu trzech miesięcy co ósma pacjentka zaszła w ciążę. Masters lubił opowiadać kolegom po fachu historię pewnej pary nauczycieli ze szkoły średniej, którzy myśleli, że mogą dorobić się potomka poprzez spanie we wspólnym łożu w bardzo dosłownym sensie. Mąż narzekał na „akrobatykę nieodzowną w seksie", ale sumiennie zastosowali się z żoną do zaleceń Mastersa i w drugim miesiącu prób doszło do zapłodnienia. „Zdaję sobie sprawę, że historia jest absolutnie niewiarygodna – napisał później Masters. – Z początku sam nie mogłem w to uwierzyć, dopóki nie poznałem ich bliżej".

Przypadek Billa był bardziej skomplikowany i wymagał bardziej desperackich kroków. Przypis w artykule przedstawiał E.M. i jej męża jako „małżeństwo po intensywnej terapii, z trwającymi siedem lat problemami i bardzo poważną oligospermią, które dwukrotnie doprowadziło do zapłodnienia dzięki kapturkowaniu". Sukces ten miał wysoką cenę. Tak jak w przypadku większości badań nad niepłodnością, również i tu szanse na poczęcie uznano za „odwrotnie proporcjonalne" do czasu spędzonego na czekaniu. Z czternastu par, które cierpiały na niepłodność przez ponad trzy lata, tylko pięć doczekało się dzieci. Przed dołączeniem do badań wszyscy przynajmniej przez rok leczyli się u innego specjalisty i przez pół roku stosowali się do porad kliniki. Artykuł bardzo szczegółowo opisuje łóżkową rutynę, jakiej małżeństwa podobne do Mastersów musiały przechodzić przy każdej próbie zapłodnienia. Na początek małżonkowie musieli za pomocą termometru lekarskiego i wymazów z pochwy wyznaczać dokładny czas owulacji. W oczekiwaniu na tę chwilę Bill, tak jak wszyscy inni mężowie, przez trzy do pięciu dni zachowywał abstynencję seksualną, a potem masturbował się

„bezpośrednio do czystej, szerokiej probówki”. W ciągu dwudziestu minut jego nasienie umieszczano w kapturku, przygotowując je do zabiegu. Tymczasem Betty „smarowała pochwę specjalnym balsamem neutralizującym, który zapewniał optymalne warunki do przetrwania plemników”.

Czystą gumową rękawiczką odchylano wargi sromowe Betty, żeby włożyć do waginy kapturek napełniony ejakulatem. Wtedy zaczynał się najtrudniejszy etap zabiegu. Lekarz – w tym przypadku zapewne Masters – wsuwał dwa palce po tylnej ściance pochwy, ostrożnie utrzymując otwarty kapturek w pozycji horyzontalnej, żeby nasienie nie wypłynęło zbyt wcześnie. Kiedy dwa palce docierały do szyjki macicy, kapturek trafiał na odpowiednie miejsce. Stamtąd plemniki rozpoczynały swój bieg w stronę dojrzałej komórki jajowej, dokładnie tak, jak to zaplanowała natura. Nie wszystkie macice i pochwy są takie same, dlatego badanie zakładało także plan B, gdyby zaszła taka konieczność. W alternatywnym scenariuszu najpierw zakładano czysty i pusty kapturek na szyjkę macicy, a potem wstrzykiwano do niego nasienie za pomocą igły o średnicy dziewięciu milimetrów. Igła musiała być zakrzywiona, by nie dopuścić do ukłucia szyjki macicy. Kiedy kapturek został napełniony, zaczynał się okres oczekiwania. Wszystkie żony musiały utrzymywać kapturek w miejscu przez minimum osiem godzin, ale najczęściej wyjmowano go po szesnastu. Niektóre pary powtarzały ten zabieg nawet siedem razy, zanim dochodziło do zapłodnienia. Większość tych, które nie doczekały się potomków, musiała przechodzić przez to ponad dziesięć razy, a jedno małżeństwo nawet dziewiętnaście w ciągu dwóch lat, bez powodzenia.

Gdy spojrzy się na tę statystykę, widać, że Mastersowie mieli szczęście. Powtarzali inseminację dwukrotnie przed pierwszą ciążą, a następnie tylko raz przed kolejną. Znaleźli się wśród czterech par, w których mąż był lekarzem i potrafił włożyć kapturek w domu, dzięki czemu dało się uniknąć wizyty w klinice. „Wszystkie cztery żony, które nie musiały przechodzić zabiegu w szpitalnym otoczeniu, a zamiast tego wyłącznie w towarzystwie mężów, szybko zachodziły w ciążę”,

zauważono w artykule. Kolejna para, która udała się na wakacje, również zrelaksowała się na tyle, by doszło do zapłodnienia. Masters wybiegał myślą w przyszłość i zasugerował istnienie powiązania między płodnością i seksualnymi reakcjami kobiety. Niektóre kobiety musiały przechodzić inseminację wielokrotnie i w wyniku niepowodzeń rozwijała się u nich pochwica – niezależne od woli skurcze mięśni wokół wejścia do pochwy, które nie pozwalały nawet na włożenie czegoś tak niewinnego jak tampon. „Dużo uwagi poświęca się od niedawna psychicznym aspektom niepłodności, a także niezaprzeczalnie niezwykłym warunkom inseminacji, które w porównaniu do zwykłego stosunku płciowego mogą zrodzić bądź zintensyfikować niecodzienne reakcje emocjonalne, a te z kolei mogą zamanifestować się fizycznie w postaci miejscowego skurczu bądź przekrwienia", wyjaśnił Masters w publikacji. Można sobie wyobrazić, jakie ogromne napięcie wywoływane przez atmosferę szpitala, męża czekającego na rezultaty i lekarza w gumowych rękawiczkach mogło mieć wpływ na płodność kobiety starającej się o dziecko.

Masters okazywał swoim pacjentkom więcej współczucia niż kiedykolwiek wcześniej, rozumiejąc z własnego doświadczenia ich desperację. Nie proponował im żadnych rozwiązań, których sami z Libby nie wypróbowali. Rozumiał, że dużą rolę w tych zabiegach grały nierozerwalne połączenia między umysłem i ciałem, między płodnością a seksualnością. W innej publikacji na temat niepłodności, napisanej z Grodym w 1952 roku, Masters wyjaśnił, jak staranne przepytanie pary „albo zbyt zakłopotanej, albo zbyt nieśmiałej, by dobrowolnie ujawnić tajemnice alkowy" może przysłużyć się leczeniu. Zwłaszcza w przypadku małżeństw po kosztownych, ale bezowocnych terapiach w przeszłości należało (według niego) spróbować „wstępną rozmową wywołać pewną dozę entuzjazmu". Jako specjalista od niepłodności Masters opracował plan, w którym przepytywał parę razem i pojedynczo, żeby mieć lepszy ogląd. Sztukę tę dopracował później przy badaniach nad seksualnością. „Kiedy leczysz niepłodność, wciąż ocierasz się o temat seksu. Doktor Masters wtajemniczył nas w to

zagadnienie – wspominał doktor Riley, kolejny z młodych pracowników kliniki leczącej ponad stu pacjentów zmagających się z niepłodnością. – Dość dobrze poznaliśmy zwyczaje panujące w łóżku tych par".

Libby Masters jak zwykle skrupulatnie wypełniała swoje małżeńskie obowiązki, godząc się praktycznie na wszystkie przedsięwzięcia męża, który próbował zapłodnić ją swoją wybrakowaną spermą. Nie protestowała przeciwko plastikowym kapturkom, specjalnymi balsamom, gumowymi rękawiczkom i leżeniu przez długie godziny z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej. A wszystko po to, by mogli powiększyć rodzinę. Zgodziła się nawet, by jej doświadczenia, opatrzone inicjałami E.M., opisano w publikacjach, które miały pomóc mężowi w zrobieniu kariery. Kiedy jednak urodziło się dwoje dzieci Mastersów – owoce długiej, wyczerpującej batalii – Libby zdecydowała, że ma już dość medycyny. Rzuciła posadę sekretarki doktora Otta Schwartza na uniwersytecie. Powiedziała również Billowi, że nie pomoże mu w jego pracy, która wtedy w mniejszym stopniu dotyczyła już hormonów i płodności, a w większym niezbadanych meandrów seksualności człowieka. „Zaproponował jej to, a ona się nie zgodziła, ponieważ czuła, że powinna zająć się domem i dziećmi", wspominał Townsend Foster Jr., jej siostrzeniec. Decyzja Libby odzwierciedlała jej osobowość domatorki, której największym pragnieniem było uwicie przytulnego, rodzinnego gniazdka po tych wszystkich tragediach z przeszłości. „Chciała pomagać mu najlepiej, jak potrafi, ale nie mogła w żaden istotny sposób przyczynić się do rozwoju jego badań – wyjaśnił ich syn, Howie. – Interesowała ją rola naprawdę świetnej żony, która wspiera męża zajmującego się ryzykownym zagadnieniem medycznym, doskonale wiedząc, że jego kariera może się w każdej chwili skończyć".

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wolność nauki

Tylko dzięki prawdzie człowiek może stać się silniejszy.
Jak głosi motto Uniwersytetu, Per veritatem vis
Ethan A.H. Shepley

W czasie ery McCarthy'ego wysiłki Ethana A.H. Shepleya, podejmowane w obronie wolności nauki, nigdy nie słabły. Republikanin, który później startował w wyborach na gubernatora stanu Missouri, nigdy nie dołączył do antykomunistycznej batalii senatora Joego McCarthy'ego z Wisconsin ani nie wymagał od swoich pracowników przysięgi lojalności. Za bardzo kochał Uniwersytet Waszyngtoński, swoją *alma mater*, by poświęcać uwagę czemukolwiek innemu prócz jej rozwoju. W 1954 roku Shepley właśnie przejął funkcję kanclerza, gdy zgłosił się do niego komitet poszukujący nowego przewodniczącego. Shepley był wysokim mężczyzną z szerokimi ramionami i kwadratową szczęką, a także z wysokim czołem, górującym niczym lodowiec nad czarnymi, rogowymi oprawkami okularów. „W tej pracy podobało mu się między innymi to, że mógł wspierać wolność nauki i badań – wspominała jego synowa, Peggy Shepley. – Dlatego był idealny dla Billa Mastersa".

Masters skończył już prawie czterdzieści lat i od dziesięciu wykładał medycynę na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Jego badania nad hormonami i niepłodnością okazały się doskonałe, talent chirurgiczny niepodważalny, a reputacji w dziedzinie ginekologii i położnictwa równać się mogła jedynie opinia o Willardzie Allenie, kierowniku wydziału. Kiedy Shepley został kanclerzem, Masters zdał sobie sprawę,

że oto nadszedł idealny moment na zaproponowanie szeroko zakrojonych badań nad fizjologią seksualności człowieka. W 1948 r. Alfred Kinsey z Uniwersytetu w Indianie opublikował książkę o męskich reakcjach seksualnych, a w 1953 o kobiecych. Projekt Mastersa wydawał się kontynuować tego typu badania, korzystając z zainteresowania wokół prac Kinseya. „Gdyby Kinsey nie zrobił pierwszego kroku, nie pozwolono by nam zająć się tym tematem, nie ma co do tego wątpliwości – powiedział później Masters. – Oczywiście nie byliśmy pierwsi".

W przeciwieństwie do Kinseya, który zebrał osiemnaście tysięcy opisów zachowań i postaw, korzystając z kwestionariusza skonstruowanego według zasad opracowanych przez Gallupa, Masters zaproponował bezpośrednią obserwację funkcji ciała w trakcie aktu seksualnego – skrupulatne mierzenie każdego uderzenia serca, oddechu, pchnięcia czy dreszczu. „Przyglądanie się kobietom i mężczyznom w czasie stosunku pozwoliłoby na o wiele głębsze zrozumienie naszej seksualności niż znany z niedokładności proces wywiadu, który często prowadzi do fałszywych wniosków", dowodził. Masters przeprowadził niezliczone rozmowy z parami starającymi się o dziecko i doskonale wiedział, że ludzie nie zawsze mówią prawdę o seksie – wręcz przeciwnie. W opisach pożycia jego pacjentów znalazły się kłamstwa, półprawdy, złudzenia, fałszywe wspomnienia oraz przemilczane fakty. Każdy naukowiec doskonale wie, że najcenniejsze informacje – takie, którym można zaufać – da się zdobyć jedynie poprzez obserwację kliniczną, dostarczającą udokumentowanych dowodów na każde twierdzenie. Allen od samego początku wiedział, że Masters planuje skoncentrować się na seksualności kobiety. Odnosił się do niej pośrednio przy setkach ciąż i przypadków niepłodności, a także w przypisach do swoich publikacji. Jako ginekolodzy i położnicy, Allen i Masters uznawali kobiecą seksualność za anatomiczny fundament ich specjalizacji, z czym zgadzali się wszyscy praktykujący lekarze; niewielu z nich chciało jednak zgłębić ten temat. Tradycja, tabu i prawo

karne zabraniały tego typu badań. Allen ostrzegł Mastersa przed konsekwencjami.

– Ponieważ jesteś zdeterminowany, nie zamierzam stawać ci na drodze, ale muszę powiedzieć, że bardzo mnie to martwi – mówił spokojnie Allen, nie dając się ponieść emocjom. – Obaj doskonale wiemy, że możesz w ten sposób popełnić zawodowe samobójstwo.

Dziekan Szkoły Medycznej, Ed Dempsey, również wyraził swoje obawy w kwestii etyki zawodowej i polityki wewnętrznej, które mogły zniweczyć starania Mastersa. Zarówno Allen, jak i Dempsey zgodzili się przekazać propozycję wyższym władzom. Po wysłuchaniu przemowy Mastersa kanclerz Shepley zgodził się przedłożyć sprawę członkom rady.

– Wrócę do ciebie, kiedy będę miał jakieś wieści – obiecał.

Masters otrzymał odpowiedź po kilku miesiącach.

Kanclerz Shepley, inteligentny prawnik ze świetną znajomością konserwatywnych poglądów panujących w jego rodzinnym St. Louis, nie przekazał radzie zbyt wiele szczegółów. Wiedział, że badania Mastersa będą wymagały innego podejścia niż te Kinseya – takiego, które będzie sprawdzianem wolności intelektualnej w Szkole. Wiązało się z nimi również niebezpieczeństwo braku akceptacji ze strony społeczeństwa, a może nawet pozwu. Shepley powiedział radzie tylko to, co niezbędne, i zapewnił jej członków, że Bill Masters zasługuje na ich wsparcie. Władze Uniwersytetu Waszyngtońskiego były „przerażone… ale gdyby wiedziały, co zamierzamy naprawdę zrobić, byłoby jeszcze gorzej – wspominał Masters. – Spodziewali się powtórki z Kinseya, ale my nie graliśmy w jego drużynie".

W czerwcu 1954 roku Masters otrzymał list od Shepleya, który zaprosił go na spotkanie w najbliższym możliwym terminie. Po tak długim oczekiwaniu Bill spodziewał się najgorszego.

– Udało się – oznajmił Shepley, gdy Masters przekroczył próg jego gabinetu. – Wspaniale. Muszę przyznać, że trochę zaskoczyła mnie ich decyzja.

Masters był wniebowzięty. Oto otrzymał szansę życia, by zrobić coś, na co pracował i do czego przygotowywał się od początku swojej kariery. Jednak jego szczęście nie trwało długo. Shepley przyznał, że wynik głosowania rady nie był jednomyślny. Członkowie martwili się o utratę ważnych darczyńców w razie wycieku informacji na temat badań Mastersa. Bill musiał znaleźć własnych sponsorów i trzymać program w tajemnicy. Co więcej, chociaż Shepley przedstawił radzie tylko zarys planów, wymusił na Billu obietnicę, by informował go na bieżąco o postępach. „Nie muszę mówić, że zgodziłem się na te warunki bez wahania – wspominał Masters. – A przede wszystkim cieszyłem się, że mogę skorzystać z dobrej rady kanclerza, gdy będę jej potrzebował".

Sześć tygodni później Masters wrócił do Shepleya. W tym okresie, w sierpniu 1954 roku, Alfred Kinsey zmarł na atak serca. Wyglądało na to, że Masters ma wolną drogę, by zostać nowym pionierem badań nad seksualnością człowieka. Kiedy znowu pojawił się w gabinecie kanclerza, Shepley przywitał go radosnym i przyjacielskim uśmiechem, a nie grymasem zmartwionego biurokraty.

– Co masz mi do powiedzenia o seksie? – zapytał żartobliwie.

Masters zachował powagę.

– Cóż, proszę pana, muszę przyznać – zaczął – że doskonale zdaję sobie sprawę, iż nie wiem na ten temat absolutnie nic. Wydaje mi się, że pan również.

Shepley wybuchnął śmiechem.

Wspólnie przedyskutowali problemy związane z przeprowadzeniem badań nad seksualnością człowieka i obaj zgodzili się, że Ameryka potrzebowała ich już od dawna.

Po zdobyciu pozwolenia Masters udał się do biblioteki akademickiej w poszukiwaniu jakiejkolwiek książki, artykułu bądź innej publikacji, które przydałyby się do jego przedsięwzięcia. „Zdałem sobie sprawę, że nie powstało praktycznie nic, co mogłoby mi pomóc w badaniu fizjologii seksualnej człowieka", stwierdził później.

Na Uniwersytecie Waszyngtońskim Masters znalazł zaledwie jeden tytuł o seksie, który mógł rzucić trochę światła na to zagadnienie.

Podręcznik został napisany przez byłego kierownika Wydziału Ginekologiczno-Położniczego na Uniwersytecie w Illinois, który jak dowiedział się Masters, czekał z publikacją aż do przejścia na emeryturę. Uniwersytet Waszyngtoński trzymał tę książkę na nieudostępnianej półce. Kiedy Masters poprosił o podanie jej, bibliotekarka odmówiła.

– Przepraszam, doktorze Masters. Nie mogę tego zrobić – powiedziała.

Zaskoczony Masters pomyślał, że kobieta źle go zrozumiała.

– Nie chcę jej wypożyczyć – wyjaśnił – tylko po prostu przejrzeć.

Bibliotekarka nie dawała za wygraną. Podręcznik zawierał rysunki – szkice cienkimi kreskami – męskich i żeńskich genitaliów, które zdaniem przełożonych bibliotekarki ocierały się o pornografię. Jako profesor nadzwyczajny, Masters nie miał prawa do przeczytania tej książki. Tylko profesorowie zwyczajni, kierownicy wydziałów i bibliotekarze mogli zdjąć ją z półki. Masters pomaszerował do gabinetu Willarda Allena i poprosił go, by wypożyczył dla niego książkę z biblioteki. Po latach Bill uznał ten drobny incydent za „odzwierciedlenie pełnego bojaźni podejścia medycyny do tematu seksu".

Przez wieki o seksie dyskutowano wyłącznie w kontekście reprodukcji, a za jedyny jego cel uważano powiększenie rodziny, plemienia bądź nacji. Chociaż wielu poetów, dramaturgów i pisarzy rozważało jego kuszące aspekty oraz różnice między płciami, a religie, filozofie i traktaty polityczne definiowały miłość między kobietą i mężczyzną jako kamień węgielny cywilizacji i kultury, a często także jako sens życia, niewielu ludzi medycyny przyglądało się jego podstawom. Jeszcze w starożytnej Grecji za czasów Hipokratesa, „ojca medycyny", seksualność człowieka nie tylko błędnie rozumiano lub ignorowano, ale też szkalowano lub karano zainteresowanie nią. A mimo to każdy miał na jej temat swoją teorię. Platon rozróżniał „wulgarne" pożądanie i szlachetny „niebiański" akt miłości, który miał

odpowiadać sile przyciągania między płciami. „Jedyną różnicą między mężczyzną i kobietą jest fizyczna funkcja: jedno płodzi potomka, a drugie wydaje go na świat", stwierdził Platon w *Państwie*. Hipokrates, jako lekarz, głosił teorię, że obie płcie produkują nasienie, które wydziela się z kręgosłupa, a płeć dziecka zależy od tego, czyje nasienie było dominujące. Niektórzy Grecy obwiązywali lewe bądź prawie jądro, wierząc, że w ten sposób wpłyną na płeć potomka. Arystoteles, choć w miłości bardzo egalitarny, zastanawiał się nad różnicami między kobietą i mężczyzną i na podstawie swoich badań nad zwierzętami stwierdził, że męskie nasienie budzi do życia jedno z maleńkich dzieci uśpionych w kobiecie. Zgodnie z nauką z tamtych czasów Arystoteles doradzał parom, by przed spółkowaniem sprawdzały pogodę. „Więcej chłopców rodzi się wtedy, gdy wieją północne wiatry – napisał. – Gdy wieją południowe, zwierzęta produkują więcej wydzielin, a zbyt wiele wydzielin trudno przyrządzić; dlatego nasienie męskie jest zbyt rozwodnione".

W okresie renesansu anatomię płci i ciąży doskonale zilustrował Leonardo da Vinci. Udało mu się zachować tyle realizmu, że wiele lat później jego rysunki można było znaleźć w podręcznikach medycznych. Z pewnością nawet najbardziej powściągliwy obserwator zmysłowej cielesności w pracach Michała Anioła, Botticelliego i Rubensa, a także innych słynnych artystów z Zachodniej Europy, dostrzeże sugestię połączenia przyjemności i prokreacji w akcie miłosnym. Jednak nawet w erze pożądliwości medycyna nie uwolniła się z politycznych i religijnych okowów, nałożonych na seks przedmałżeński. Po młodości pełnej występków opisanych w autobiograficznych *Wyznaniach*, skruszony święty Augustyn („Opary wyłaniające się z mętnych namiętności okresu dojrzewania osnuwały i zaciemniały moje serce tak bardzo, że już nie umiało odróżnić pogody umiłowania od mroku żądzy"[2]) na całe wieki wywarł ogromny wpływ na nauczanie Kościoła na temat seksu, ostrzegając przed rodzącym się z niego, nawet wśród małżeństw, złem.

Seks niezmiennie pojawiał się w debacie poświęconej kobietom. Poglądy głoszone przez jansenistów we Francji (ich zdaniem polityka rewolucji czerpała siłę z niekontrolowanej pożądliwości) pojawiły się także u kalwinów w Anglii i purytan w drodze do Nowego Świata, którzy polowali na kobiety bez dzieci, bowiem ich zdaniem niepłodność powodował diabeł. Nawet Marcin Luter, słynny protestancki reformator, który krytykował celibat księży, uważał kobiety za istoty niższe, bierne obiekty grzesznej żądzy mężczyzn i ich nigdy niesłabnącej chuci. „Kobieta nie ma nad sobą pełni władzy – podsumował Luter w liście do trzech zakonnic w 1524 roku. – Bóg stworzył jej ciało tak, by obcowała z mężczyzną i by rodziła, a następnie wychowywała dzieci".

Kiedy nadeszła rewolucja przemysłowa, migracja do miast przyniosła ludziom więcej wolnego czasu zamiast nieustannego znoju wiejskiego życia. Potrzeba prokreacji w celach ekonomicznych – by zdobyć więcej rąk do pracy – zniknęła. W miejskim otoczeniu sama natura rodziny uległa zmianie. W szkołach i przy urnach wyborczych pojawiły się pierwsze głosy o dążeniu kobiet do zrównania ich praw, a do świadomości społecznej dotarły tak postępowe koncepcje, jak dzieciństwo wolne od pracy fizycznej. Medycyna coraz częściej koncentrowała się na ciele zamiast na duszy. Jeden z pionierów takiego myślenia, John Hunter, któremu często przypisuje się stworzenie nowoczesnej chirurgii, odrzucił powszechne przekonanie o tym, jakoby masturbacja prowadziła do impotencji. Hunter, gotowy do przeprowadzania sekcji na ekshumowanych ciałach (i ulubiony klient hien cmentarnych, zanim zakazano tego typu praktyk), wiele się nauczył o organach wewnętrznych i układzie rozrodczym. Według anegdoty Hunter dokonał pierwszej udanej sztucznej inseminacji i nawet został królikiem doświadczalnym w badaniach nad syfilisem i rzeżączką. Podobno źle się to dla niego skończyło; próbował wstrzyknąć we własny członek „substancję weneryczną" od prostytutki i zaraził się chorobą. Oprócz prawdziwych lekarzy funkcjonowali też różnego rodzaju szarlatani, którzy oferowali „leki" i mikstury na każdy

możliwy problem na tle seksualnym. Szkot James Graham zyskał sławę, przypisując sobie wyleczenie niepłodności hrabiny Devonshire. Jej wdzięczność pomogła sfinansować Świątynię Zdrowia Grahama, gdzie Londyńczycy mogli wysłuchiwać wykładów na temat potencji, przeczytać wybrane fragmenty jego książki (*Wykład o miłości albo osobista porada dla małżonków*) lub też poddać się stymulacji prądem o niskim natężeniu. Za ekwiwalent dzisiejszych pięćdziesięciu tysięcy dolarów bogate pary mogły spędzić noc pełną ekstazy na wibrującym „niebiańskim łóżku", w którym „jałowy obrodzi w owoce, kiedy silnie poruszą go rozkosze miłości", jak zapewniał Graham.

Raczkujące społeczeństwo amerykańskie, wciąż pod ogromnym wpływem Europy Zachodniej, przyjęło zarówno konserwatywne podejście do seksu w przestrzeni publicznej, jak i bardziej obrazoburcze, utylitarne, w przestrzeni prywatnej. Cotton Mather i tysiące innych kapłanów głosiło z ambon płomienne kazania, grożąc piekłem za poddawanie się swoim namiętnościom. „Jeśli kto dopuści się niegodziwości – rugał wiernych Mather, syn rektora Harvardu – niechaj dosięgnie go nagana ze strony społeczeństwa". W razie gdyby ktoś zapomniał o tych kazaniach, Nathaniel Hawthorne przypominał o nich w swojej *Szkarłatnej literze* z 1850 roku, gdzie opisał seksualną represję i purytańskie potępienie, symbolizowane przez wielką literę „A", którą za cudzołóstwo (z ang. *adultery*) nosić miała bohaterka powieści. Wbrew tym bezpośrednim ostrzeżeniom, seks w trzynastu byłych koloniach stanowił o wiele bardziej skomplikowane zagadnienie. Na południowych plantacjach co najmniej jeden z Ojców Założycieli obcował ze swoimi niewolnicami, podczas gdy na północy Benjamin Franklin, geniusz myśli i słowa, uznawał łóżkowe doświadczenia za bardziej cenne niż piękno młodości: „W ciemności wszystkie koty są szare, a przyjemność cielesna z obcowania ze starszą kobietą jest równie duża, a często i większa, każdy talent bowiem przez praktykę zdolny jest do poprawy".

Amerykańskie łączenie seksu z teokratycznymi poglądami skłoniło poligamicznych mormonów do ucieczki do Salt Lake City, gdzie cieszyli

się swobodą. Z kolei John Humphrey Noyes w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku utworzył w stanie Nowy Jork kolonię Oneida, gdzie panowała „wolna miłość" bazująca na ideach „chrześcijańskiego komunizmu", eugeniki i dzielenia się żonami nie w celach prokreacyjnych, lecz dla czystej przyjemności.

Era wiktoriańska końca dziewiętnastego wieku poważnie ograniczyła wolność seksualną na zachodniej granicy, z kwitnącymi miastami, burdelami i oświetlonymi gazowymi lampami pensjonatami prowadzonymi przez zrujnowane południowe piękności. Jednak społeczna pogarda wobec seksu pozamałżeńskiego nie przeszkodziła Groverowi Clevelandowi w wystartowaniu w wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych, choć oskarżano go o posiadanie dziecka z nieprawego łoża („Mamo, gdzie mój tatuś? – wołali jego oponenci. – Pojechał do Białego Domu! Ha, ha, ha!"). W Nowym Jorku Anthony Comstock rozpoczął krucjatę przeciwko grzesznikom, zdeterminowany, by usunąć wszelką obsceniczność z bibliotek, korespondencji czy przemówień. Wiele wczesnych feministek, wśród nich Victoria Woodhull, równie zawzięcie propagowało także zrównanie praw seksualnych. Woodhull, pisarka i redaktorka gazety, została aresztowana za szerzenie pornografii po tym, jak ujawniła kontakty seksualne znanego kaznodziei Henry'ego Warda Beechera z żoną jego najlepszego przyjaciela – tego rodzaju żałosny romans wzbudził podobne zainteresowanie, jak wiele lat później relacja prezydenta Clintona i jego stażystki.

Pod koniec dwudziestego wieku medycyna w niewielkim stopniu zajmowała się zdrowiem seksualnym swoich pacjentów, zwłaszcza kobiet. W 1900 roku pewien lekarz zaproponował artykuł na temat reakcji seksualnych dorosłych kobiet, ale redaktor naczelny „Journal of the American Medical Association" odrzucił ten pomysł. W 1916 roku Margaret Sanger, która pracowała jako pielęgniarka i położna, krytykowała brak kontroli kobiet nad ich własną płodnością oraz życiem płciowym. Sanger stanęła przeciwko prawu zakazującemu reklamy środków antykoncepcyjnych, wspieranemu przez znane

nazwiska ze świata religii i medycyny. „Kiedy powstanie historia naszej cywilizacji, będzie to historia biologiczna, a wtedy Margaret Sanger będzie jej bohaterką", przewidywał historyk H. G. Wells, pisząc o kobiecie, która później stanęła na czele organizacji Planned Parenthood, zajmującej się prawami reprodukcyjnymi.

Kiedy Bill Masters wczytywał się w kolejne tytuły z biblioteki, zdał sobie sprawę, że ginekologia i położnictwo mają dziwną awersję do spraw związanych z seksem. Jakby lekarze woleli skupić się na szczęśliwych zakończeniach w postaci noworodków, a nie na delikatnych kwestiach prowadzących do zapłodnienia. W Wielkiej Brytanii lekarz Havelock Ellis przygotował wyczerpującą historię psychologii seksu, podkreślając, jak ogromne żniwo zebrała ignorancja mężczyzn i kobiet w tej dziedzinie. W 1927 roku napisał: „Niewiedza kobiet na temat wszystkich zagadnień sztuki miłosnej, a także ich absolutny brak przygotowania do naturalnych aspektów pożycia byłyby może mniej szkodliwe dla małżeństwa, gdyby za rekompensatę służyły wiedza, umiejętności i wyczucie męża. Niestety w żadnym wypadku nie jest to regułą". Masters wiedział z doświadczenia, że tacy utalentowani lekarze jak George Washington Corner czy Willard Allen za nic nie zbliżali się do tematu seksu, nawet jeśli wybrane przez nich dziedziny krążyły wokół tego zagadnienia. Masters podkreślił cytat z wypowiedzi doktora Roberta L. Dickinsona, byłego przewodniczącego Amerykańskiego Towarzystwa Ginekologicznego, który w latach dwudziestych napisał: „Ze względu na nieustępliwą gonadalną chęć człowieka, nie dziwi fakt, że nauka płochliwie unika najistotniejszych tematów z fizjologii płciowej… Zważywszy na niepoprawne małżeńskie zwyczaje naszej rasy, nie wydaje się nierozsądne dążenie do stworzenia zapobiegawczego leku dla małżeńskiej higieny, który mógłby przydać nieco godności sztuce miłości i płodzenia". Niezwykle eufemistyczny język Dickinsona w kolejnej jego publikacji z lat czterdziestych pozwolił mu zwrócić uwagę na korzyści dla higieny płynące z niedawno wynalezionych tamponów. Aby przekonać rodziców, nieufnie

podchodzących do pomysłu wkładania czegokolwiek do wagin córek, dowodził, że używane w tym samym celu podpaski zbyt prowokacyjnie ocierały się o wargi sromowe. Zdaniem Dickinsona stary system pasków podtrzymujących podpaski „nie tylko podnosił temperaturę w ograniczonej przestrzeni, ale też [paski] rytmicznie ocierały się o powierzchnię niezwykle wrażliwą na pobudzenie o podłożu erotycznym".

Masters czuł dumę ze swojego zawodu i nie zamierzał korzystać z tego typu eufemizmów i zawoalowanych argumentów z przeszłości. Chciał poznać prawdę na temat fizjologii seksualnej człowieka i opisać ją najlepiej, jak potrafił. Podczas swojej pierwszej rozmowy z kanclerzem Shepleyem nie poświęcił zbyt wiele czasu szczegółom proponowanych badań. Uważał, że w imię nauki powinien mieć w tej materii wolną rękę. Teraz jednak, kiedy przekonał już do siebie Shepleya, czuł się w obowiązku opisać mu dokładnie swój zamysł.

Po przyjacielskiej wymianie żartów Shepley wreszcie zapytał:

– Co zamierzasz z tym zrobić?

Pierwszą prośbą Mastersa okazał się roczny urlop naukowy. Wyjaśnił, że będzie musiał w tym czasie często wyjeżdżać z St. Louis, a Willard Allen zgodził się zwolnić go z obowiązków na uczelni. Potem Bill przedstawił swój plan. Przez najbliższe miesiące zamierzał przeprowadzić wywiady i obserwacje na prostytutkach w St. Louis oraz innych rejonach kraju. Kanclerz „zbladł śmiertelnie", jak napisał później Masters.

– Ale dlaczego prostytutki? – zapytał z nutką przerażenia w głosie.

Masters nie odpuszczał.

– Są jedynymi ekspertkami w sprawach seksu, jakie znam – odparł. – Samo to pokazuje, jak niewiele wszyscy wiemy na ten temat.

Shepley, piewca wolności nauki, nie mógł się z tym kłócić.

---

[2] Tłumaczenie Zygmunta Kubiaka, wyd. Znak, Kraków 2007.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez dziurkę od klucza

Jako szef policji, H.S. Priest doskonale wiedział, co przekonani o swojej nieskalanej moralności mieszkańcy St. Louis myśleli o prostytucji. Znał też opinię własnej żony na temat Billa Mastersa.

Prostytucja w St. Louis miała brudną, miejscami pełną przemocy historię. W 1850 roku wściekły na wymalowane panie lekkich obyczajów tłum zdemolował wszystkie burdele w mieście, próbując siłą wprowadzić dobre obyczaje. Przez następne dekady prawo stanu Missouri uznawało prostytucję za przestępstwo i ludzie z nią związani trafiali do więzienia, a domy publiczne zamykano. Jednak w 1955 roku Priest zdecydował, że prostytutki biorące udział w badaniach doktora Mastersa z Uniwersytetu Waszyngtońskiego dostaną swego rodzaju tymczasowy immunitet – żadnych aresztowań, żadnych najazdów policji, nikt nawet nie zapuka ostrzegawczo do ich drzwi. Ta wspaniałomyślnie obiecana nietykalność była tym dziwniejsza, że to właśnie żylastemu komisarzowi o twardej ręce przypisywano zasługę obniżenia wskaźnika przestępczości w mieście, podczas gdy w reszcie kraju on wzrósł. Priest ufał jednak lekarzowi.

W domu Priesta uwielbiano Billa Mastersa za odebranie porodu przy ich drugim potomku. Margaret Priest podziwiała go za umiejętności i praktyczne podejście, a oprócz tego (jak inni ludzie) po prostu szanowała człowieka, który pomógł w przyjściu na świat ich dziecka.

Sam Priest również darzył Mastersa szacunkiem, nie zważając na naganę, jaką mógł dostać od zwierzchników za brak działań przeciwko prostytucji. „Sam czuł, że to ważne badania i po prostu nie pozwalał, by prostytutki zamykano albo prześladowano w jakikolwiek inny sposób – wspominała Margaret. – Gdyby Masters chciał je przepytać albo wyciągnąć z nich jakiekolwiek informacje, mój mąż nie miałby nic przeciwko, o ile nie łamano by przy tym żadnych praw tych kobiet". Komisarz policji dołączył do sekretnej listy sprzymierzeńców. Funkcjonariusze pod jego zwierzchnictwem wskazywali prostytutki, które chętnie dołączyłyby do badań, i pilnowali, by media nie dowiedziały się o szczegółach. A wszystko to na prośbę Mastersa. „Mój mąż nie jest ani naukowcem, ani lekarzem, jedynie politykiem z St. Louis", wyjaśniła Margaret. Zresztą Sam prosił środowisko akademickie o rady, by móc zwiększyć efektywność swojego wydziału.

Zdaniem prawników, którzy reprezentowali później Mastersa, zwerbowanie komisarza policji w St. Louis jako specjalnego konsultanta w radzie doradczej, razem z wieloma innymi poważanymi osobami z miasta, okazało się szczególnie istotne dla projektu. „Priest akceptował jego badania i dzięki temu, gdy dołączyły prostytutki, policjantom polecono nie robić nalotów na laboratorium", wspominał Torrey Foster, młody chłopak z sąsiedztwa, który został pierwszym adwokatem Mastersa. Zdaniem Waltera Metcalfe'a, prawnika reprezentującego Mastersa i jego klinikę, przypadek Priesta udowadnia, jak wielki dar przekonywania posiadał Bill. „Miał w sobie ogromne pokłady determinacji, stworzył dalekosiężne plany, a ludzie to kupili – powiedział Metcalfe. – Jego szczerość i przekonanie rzucały się w oczy. Mówił dokładnie, co chce osiągnąć i jakie środki musi przedsięwziąć".

Oprócz komisarza policji wśród doradców znaleźli się także Richard Amberg, wydawca „St. Louis Globe-Democrat", jednej z dwóch gazet w mieście, a także biskup Kościoła Episkopalnego Missouri i najstarszy rabbi na Środkowym Zachodzie. Kanclerz Uniwersytetu Waszyngtońskiego Ethan Shepley zgodził się z Mastersem, że tacy wpływowi doradcy z pewnością przydadzą się, by uniknąć kłopotów.

– Powiedz mi, Bill, jakiego głupca poprosisz o szefowanie tej radzie? – zapytał Shepley.

– Myślałem o panu, panie kanclerzu – odparł Masters.

Shepley przez chwilę pozostał w bezruchu – być może zastanawiał się, w jaki sposób kanclerz uniwersytetu mógł nagle zacząć sprawować funkcję związaną z nadzorowaniem badań z udziałem prostytutek – a potem wybuchnął śmiechem z powodu absurdu tej sytuacji.

– Skoro ty masz dość odwagi, żeby mi to zaproponować – powiedział Shepley ze śmiechem – to ja muszę mieć jej tyle, by dołączyć do twojego przedsięwzięcia.

Nakazał Mastersowi upewnić się, że ma katolików po swojej stronie, gdyż mieszkało ich w St. Louis bardzo dużo. Następnego dnia Masters zadzwonił do diecezji z prośbą o spotkanie z arcybiskupem, wytrącając sekretarkę z równowagi informacją, że tematem ma być „badanie seksualności". Uznał, że jego prośba została odrzucona, ale trzy dni później ta sama sekretarka oddzwoniła z wiadomością, że arcybiskup chętnie się z nim spotka.

Joseph E. Ritter, mężczyzna drobnej budowy i o delikatnym głosie, w okularach bez oprawek, był przedstawicielem rzadkiego gatunku w amerykańskim Kościele katolickim – liberałem, który wspiął się na wysokie stanowisko. Kiedy został arcybiskupem w 1946 roku, zarządził integrację szkółek parafialnych, podczas gdy wiele publicznych placówek w Missouri wciąż dzieliło uczniów według rasy. Gdy oponenci zagrozili procesem, Ritter zagroził ekskomuniką każdemu, kto sprzeciwi się jego decyzji. „Krzyż na naszych szkołach musi coś oznaczać", upierał się duchowny, który w końcu został kardynałem. Masters odwiedził go w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy ledwie interesowano się antykoncepcją i nie istniały jeszcze tak głębokie podziały, jakie powstały po zakazie jej używania z 1968 roku, walce z aborcją z lat siedemdziesiątych, a także po znacznie późniejszych doniesieniach o pedofilii wśród dostojników kościelnych, które to wydarzenia zmobilizowały hierarchów katolickich do intensywnejszej wojny z seksem. Większość wiernych wciąż wspominała o swoich

cielesnych grzechach w konfesjonale. W czasie spotkania z Mastersem biskup z zadowoleniem przyjął pomysł przeprowadzenia badań nad kwestiami powodującymi spięcia w małżeństwach.

– Zdaję sobie doskonale sprawę, że milionom małżeństw w tym kraju grozi rozpad z powodu problemów na tle seksualnym – powiedział Ritter w trakcie rozmowy trwającej dwie i pół godziny.

Dostojnik kościelny zaznaczył, że nie może stać się oficjalnym członkiem rady Mastersa, ale wskaże księdza, który będzie informował go o postępach. Przy pożegnaniu arcybiskup podziękował Billowi.

– Nie muszę ci mówić, że niektóre z wybranych przez ciebie metod nie mogą zostać zaaprobowane przez Kościół katolicki – powiedział – ale z pewnością nasz Kościół będzie zainteresowany wynikami badań.

Ritter obiecał, że nie wypowie się publicznie na temat projektu bez wcześniejszej konsultacji z Mastersem.

Po zwerbowaniu komisarza, arcybiskupa i kanclerza Uniwersytetu Waszyngtońskiego – z których każdy na swój sposób wierzył w naukę – Masters wreszcie poczuł się wystarczająco pewnie, by oprzeć swoje badania na obserwacji prostytutek.

Podobnie jak w innych amerykańskich miastach, prostytutki z St. Louis postrzegano jako upadłe kobiety wspierające szkodliwe dla społeczeństwa zachowania. Ich klientów uważano za ofiary kobiecych wdzięków (nigdy za ludzi obdarzonych wolną wolą), nieświadomie zarażonych gruźlicą oraz syfilisem i innymi chorobami wenerycznymi, które potem zanosili do domów. W raporcie o zdrowiu publicznym w mieście St. Louis z 1895 roku znalazły się spostrzeżenia odzwierciedlające te powszechne poglądy: „Dla dziewicy, która w chwili miłosnego uniesienia składa w darze klejnot swojej cnoty, można jeszcze znaleźć wytłumaczenie; ale jakąż wymówkę lub okoliczność łagodzącą wymyślić można dla kobiety, która oddaje swe ciało każdemu przybyszowi dla pieniędzy? Grzech ten jest stary jak świat i wynika z powszechnego i nieuleczalnego zła, którego tolerować nie można. Można je tylko zwalczać wszelkimi sposobami”.

W latach pięćdziesiątych większości lekarzy w St. Louis do głowy by nie przyszło pracować z prostytutkami. A jednak światek ulicznic, burdeli i anonimowych klientów żądnych seksu stał się laboratorium Mastersa. Przez pierwsze dwadzieścia miesięcy badań przeprowadził wywiady ze stu osiemnastoma kobietami i dwudziestoma siedmioma mężczyznami parającymi się najstarszym zawodem świata w St. Louis oraz innych miastach. Starannie wynotował ich doświadczenia i historię medyczną. Masters twierdzi, że nigdy nie zapłacił za współpracę, chociaż zdaniem asystujących mu lekarzy prostytutki otrzymywały rekompensatę za czas poświęcony na badania. Z przepytanej grupy wyznaczono osiem kobiet i trzech mężczyzn do „badań anatomicznych i fizjologicznych", które polegały na obserwacji różnych aktów seksualnych. Chociaż Masters był wykładowcą jednej z najlepszych uczelni medycznych w kraju, dopiero wtedy zrozumiał, jak niewiele wie o zawiłościach kopulacji. Szczerość ludzi ulicy znacznie różniła się od sztywnego podejścia zdenerwowanych pacjentów z wyższej klasy średniej, którzy przychodzili do jego gabinetu. Prostytutki, zwerbowane dzięki pomocy asystentów, doskonale wiedziały, co podniesie sflaczałego penisa i pobudzi suchą pochwę, a także jak ta dwójka może pracować wspólnie z maksymalną efektywnością. „Opisały wiele metod na podniesienie bądź kontrolowanie napięcia seksualnego i zademonstrowały niezliczone warianty technik stymulacji", napisał Masters. Pomogły mu przejść przez etap badań oparty na metodzie prób i błędów i zrozumieć, w jaki sposób może zaobserwować najbardziej podstawowe anatomiczne aspekty stosunku.

W burdelach, z błogosławieństwem policji, Masters spotkał „trzech mężczyzn, którzy do pewnego stopnia sprawowali kontrolę nad populacją prostytutek w St. Louis". Ci stręczyciele dali się przekonać, że Masters nie jest częścią przedziwnej akcji policyjnej, lecz profesorem, który chce się czegoś nauczyć. Uderzyła go szczerość, z jaką prostytutki omawiają doświadczenia klientów i własne. Wiele z nich „zaczynało uprawiać seks z wieloma partnerami" jeszcze jako nastolatki, żeby

„odwdzięczyć się za zabranie do kina czy na zabawę". Ponieważ mężczyźni rzadko zakładali prezerwatywy, najczęściej wybieraną przez nie metodą antykoncepcji był krążek domaciczny, a zaskakująca liczba kobiet została poddana sterylizacji. Jednak w przypadku męskich prostytutek Masters często miał wrażenie, że jest okłamywany, zwłaszcza w kwestii „częstotliwości stosunków, a także ich jakości i efektywności". W przeciwieństwie do koleżanek po fachu, panowie opisywali sprawność seksualną wykraczającą poza wszelkie prawdopodobieństwo. Kiedy Masters czuł, że przedstawiania historia „była raczej fantazją niż faktem", odmawiał przyjęcia jej autora do badań. Niemniej jednak te wywiady pozwoliły Mastersowi poznać więcej intymnych szczegółów, niż sobie wyobrażał. „Zazwyczaj pytania wynikały z mojej oczywistej ignorancji wobec wielu zachowań seksualnych, o których miałem wiedzę znikomą bądź żadną", wyjaśnił.

Bezpośrednia obserwacja w burdelach pozwoliła Mastersowi wkroczyć do świata płatnego seksu i zobaczyć to, czego nigdy nie poznałby dzięki wywiadom. Początkowo policjanci z obyczajówki dostarczali mu skonfiskowane w trakcie nalotów filmy pornograficzne, na których seks pokazywano dość drastycznie i beznamiętnie. Jednak Masters wytłumaczył, że musi „przyjrzeć się funkcjom seksualnym, żeby osiągnąć odpowiedni poziom obiektywizmu". Przekonanie stręczycieli i prostytutek do przystania na tego typu prośbę – zamiast uznania jej przez nich za zwykłą perwersję – doskonale świadczyło o tym, jaki wydawał się szczery i jak wiele mogło zdziałać wsparcie wpływowych doradców.

Skryty w ciemnościach Masters przyglądał się zachęcającym klientów prostytutkom oraz reakcjom tychże. W burdelach zaglądał przez dziurki od klucza albo lustra weneckie, które ustawiono w strategicznych i dyskretnych miejscach, by podglądacze mogli obserwować parę w trakcie stosunku albo by burdelmamy mogły pilnować niesfornych klientów. „Zawsze ciekawiło mnie, skąd wynika takie, a nie inne zachowanie prostytutki wobec mężczyzny", wyjaśnił Masters niczym antropolog w rozmowie o nieznanej cywilizacji.

Niektóre prostytutki okazywały „jawną obojętność", jak zauważył, podczas gdy inne kobiety wyraźnie starały się „stymulować, zachęcać i zadowalać konkretnego partnera". Po kilku chwilach sam na sam prostytutki zawsze pytały klienta o pochodzenie, a Masters dowiedział się, że pytanie nie miało być zwyczajną uprzejmością – jeśli mężczyzna pochodził z okolicy, kurtyzany dawały z siebie trochę więcej, by zwiększyć szansę na kolejną wizytę.

Podglądanie przez dziurkę od klucza to zajęcie, które przyprawia o skurcze i wysokie ciśnienie. Żeby dobrze widzieć, Bill musiał przysunąć prawe oko do dziurki, siedząc za ścianą albo w ciasnym, dusznym kącie. „Były to najbardziej paskudne, najmniej podniecające warunki, jakie sobie można wyobrazić", opowiadał później swoim kolegom. Kucając w ciszy, sprawdzał długość stosunku, moment wejścia i wyjścia, a nawet to, jak intensywnie skakano po łóżku. Snuł plany o wykorzystaniu elektrokardiogramu, monitorów oddechu i innych dostępnych urządzeń medycznych, którymi mógłby zmierzyć zmiany zachodzące w ciele podczas stosunku. Po wszystkim, kiedy już znalazł się w samochodzie albo pokoju hotelowym, Masters zapisywał swoje obserwacje. Między 1955 a późnym 1956 rokiem rozciągnął swoje badania także na inne miasta, takie jak Chicago, Minneapolis czy Nowy Orlean. Zazwyczaj prosił o moratorium policyjne na tydzień przed badaniem, tydzień samej obserwacji, a także tydzień po. W ramach wymiany informacji proponował też każdej ochotniczce darmową poradę lekarską. Kontrola obejmowała gardło, pochwę, szyjkę macicy i odbytnicę.

W końcu Masters doszedł jednak do wniosku, że prostytutki nie nadają się do jego badań. Próba była zbyt mała i za mało reprezentacyjna, żeby wysnuwać na jej podstawie wnioski o przeciętnej Amerykance. Kobiety te często cierpiały na zespół przekrwienia miednicy, znany jako syndrom Taylora (po profesorze Uniwersytetu w Columbii, który w późnych latach czterdziestych opublikował pracę na temat pacjentek cierpiących na chwilowe przekrwienie macicy bez

późniejszego odpływu nagromadzonego płynu). Masters czuł, że nie jest w stanie wyciągnąć jakichkolwiek konkretnych wniosków dotyczących seksualnych reakcji kobiet, bazując na tych nietypowych przykładach. Co więcej, ogłaszając w publikacji, że opierał się na badaniach przeprowadzonych na prostytutkach, narażał się na „niezwykle negatywną reakcję ze strony społeczności miasta St. Louis", a taka burza mogłaby zakończyć jego karierę. Niemniej jednak wierzył, że tak zwane panny lekkich obyczajów dostarczyły mu mnóstwa ważnych informacji i nie zmarnował ani jednej sekundy, poświęcając im tyle czasu. „Wywiady z tymi kobietami były bardzo produktywne, zwłaszcza dla kogoś, kto w gruncie rzeczy nic o seksualności płci przeciwnej nie wiedział", wyznał później. Te ograniczenia lekarza płci męskiej, próbującego zrozumieć reakcje kobiety, nigdy nie stały się tak wyraźne, jak w czasie rozmowy z „niezwykle atrakcyjną" absolwentką college'u, inteligentną i dociekliwą studentką biologii. Jak wspomina Masters, dziewczyna „dorabiała przed zbliżającym się ślubem", zgłaszając się na ochotniczkę do badań nad seksem. Pewnego dnia zasugerowała coś, co zmieniło wszystko.

W gabinecie w Szpitalu Położniczym ta młoda kobieta stymulowała się (Masters nazywał to „autostymulacją") aż do osiągnięcia orgazmu, a Bill utrwalał cały proces za pomocą swoich urządzeń medycznych. W czasie kolejnego wywiadu dyskutowali o zaciskaniu palców i dreszczach, ale także głębszych emocjach, jakich doznawała w trakcie seksu. Celem tych pytań było „zidentyfikowanie subiektywnych aspektów w ramach typowej reakcji seksualnej". Młoda kobieta opisała uczucie towarzyszące orgazmowi i powiedziała, że jego osiągnięcie zależało od tego, kto i jak ją stymulował.

– A co, jeśli udaję? – zapytała w końcu.

Masters wydawał się zupełnie zbity z tropu.

– Nie rozumiem, co masz na myśli – przyznał po chwili ciszy.

– Tym się zajmuję na co dzień: udaję orgazmy – stwierdziła bez ogródek, jakby wyjaśniała dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje.

Czasami jedynym celem udawania orgazmu w trakcie stosunku było dla niej „przyśpieszenie, żeby facet skończył, zapłacił i sobie poszedł".

Chociaż Masters był żonatym ginekologiem z setkami pacjentek, ta wypowiedź go zadziwiła. Opis szczytowania oraz idea udawania orgazmu, żeby szybciej zakończyć stosunek, nie mieściły mu się w głowie. „Zwyczajnie jej nie rozumiałem – wyznał. – I chyba nigdy nie udało mi się tego pojąć".

Fakt, że do tego skądinąd inteligentnego lekarza, który rejestrował jej orgazm, zupełnie nie przemawia opis towarzyszących mu uczuć, wywołał u kobiety napad frustracji. Stwierdziła, że jej cierpliwość się skończyła.

– Naprawdę potrzeba ci tłumaczki, jeśli masz zamiar na poważnie zająć się tymi badaniami – oznajmiła ostentacyjnie. – Przydałaby ci się partnerka.

Masters nie odpowiedział. Siedział jak urzeczony, jakby nagle pojął prawdę tak oczywistą, a jednak dotychczas niedostrzeganą. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej sensowny wydawał mu się ten pomysł. Jeśli miał zrozumieć psychologiczne aspekty kobiecej seksualności – nieznany dotąd kierunek jego medycznych dociekań, dla których ryzykował karierę – zdecydowanie potrzebował współpracowniczki – kobiety. Wiedział, że nie może poprosić swojej żony, Libby, ponieważ ta rzuciła pracę w Szpitalu Położniczym, żeby skupić się na wychowaniu dzieci.

Zamiast tego Masters postanowił poszukać asystentki, kogoś zupełnie obcego. Opublikował niewinnie wyglądające ogłoszenie w biurze do spraw rekrutacji Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Po kilku tygodniach bezowocnych rozmów, tuż przed Bożym Narodzeniem 1956 roku, Masters wreszcie znalazł do pomocy taką osobę, jakiej poszukiwał.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Macierz

Jednak dokonać tego trzeba drogą naukową, inaczej wynik może okazać się gorszy od stanu wyjściowego.
George Bernard Shaw, wstęp do *Pigmaliona*

Przez większość poranków 1957 roku Virginia Johnson spisywała nazwiska i dane pacjentów, siedząc przy wielkim metalowym biurku na trzecim piętrze Szpitala Położniczego, które wyglądało jak samotna wyspa na morzu linoleum. Pani Johnson wydawała się kolejną anonimową sekretarką zatrudnioną tymczasowo do papierkowej roboty. „Jej praca polegała na wypełnianiu formularzy ubezpieczeniowych – wspominał doktor Mike Freiman, wtedy młody lekarz. – Była jedyną osobą w całym skrzydle ginekologiczno-położniczym, której biurko stało na korytarzu".

Jak już wspomniano, Johnson chciała poprawić swoją sytuację poprzez ukończenie studiów socjologicznych. Ta praca miała służyć jedynie zdobyciu funduszy. „Świat medycyny nie przemawiał do mnie w żaden sposób – wyjaśniała po latach. – Zawsze lubiłam lekarzy, których znałam jako dziecko. Ale nic to dla mnie nie znaczyło".

Kiedy studenci medycyny albo młodzi lekarze rezydenci przechodzili korytarzem, Johnson tylko czasami unosiła wzrok znad papierów. Zapoznała się z pielęgniarkami w wieku dwudziestu i trzydziestu lat i od czasu do czasu rozmawiała z nimi o dzieciach. Ale kiedy zjawiał się ktoś z wyższego szczebla, Johnson jedynie uśmiechała się zachęcająco i pozdrawiała go po nazwisku. Nie minęło dużo czasu, nim poznała

wszystkie najważniejsze persony ginekologii i położnictwa Uniwersytetu Waszyngtońskiego – doktora Willarda Allena, kierownika; doktora Alfreda Shermana, specjalistę onkologii ginekologicznej; a w szczególności doktora Williama Mastersa, który ją zatrudnił. „Według mnie niczym się nie wyróżniała – wspominał doktor H. Marvin Camel. – Bill Masters zobaczył w niej coś, czego inni nie dostrzegali".

Z początku Johnson niewiele uwagi poświęcała temu, co działo się w gabinetach lekarskich. Zanim przyjęła posadę sekretarki, przyjaciele powiedzieli jej, że Masters jest zwykłym ginekologiem i położnikiem, specjalizuje się w leczeniu niepłodności i terapii hormonalnej. Nie miała pojęcia, że ten łysiejący doktor, który zawsze nosił idealnie zawiązaną muszkę i przybierał powściągliwy wyraz twarzy, śpiesząc z jednego spotkania na drugie, zajmował się czymś jeszcze. Nikt nie poinformował jej o tajnym eksperymencie, w ramach którego wykładowca uniwersytecki w sekrecie szlajał się po burdelach. Masters nie wspomniał o tym podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Nie miał też zamiaru mówić jej o tym cztery miesiące później, kiedy to pewnego dnia Virginia wstała od biurka i udała się na lunch.

Dla niej pójście do szpitalnej stołówki oznaczało chwilową wolność od monotonnego wypełniania formularzy oraz szansę na poobracanie się wśród lekarzy i pielęgniarek. Siedząc obok ludzi w białych fartuchach, czuła się im niemal równa, a na więcej żadna sekretarka czy „asystentka badań" nie mogła liczyć. Dzień po dniu udawało jej się powoli przekonywać do siebie pracowników szpitala. Ubierała się dość profesjonalnie, być może wychodząc nieco przed szereg, a przy tym niejako obnosiła się ze swoją zmysłowością. Jej lśniące i gładkie brązowe włosy, żywe oczy, ujmujący charakter i dźwięczny głos sprawiały, że wiele zyskiwała w oczach lekarzy rezydentów. W stołówce, jak wspomina doktor Camel, Virginia zawsze wydawała się pogrążona w rozmowie. Jego zdaniem była „może nie przepiękna, ale raczej seksowna, a przy tym sprawiała wrażenie przyjacielskiej". Sandra Sherman, żona doktora Shermana, pamięta Virginię Johnson jako

ciemnowłosą piękność w typie aktorki Avy Gardner, której klasę widać było z daleka. „Cały jej wizerunek, także sposób mówienia, zwłaszcza w towarzystwie mężczyzn… to się nazywa zmysłowość", podsumowała.

W latach pięćdziesiątych, kiedy większość małżonek lekarzy zostawała w domu z rodzinami, taka atrakcyjna rozwódka kręcąca się wokół żonatych pracowników szpitala mogła budzić podejrzliwość. Zdaniem Sandry Sherman w tamtych czasach na sekretarki nie patrzyło się przez pryzmat ich umiejętności, lecz widziano w nich kobiety szukające mężów, które korzystają ze swoich wdzięków, by namieszać w szczęśliwych rodzinach.

Niektórzy mężczyźni mieli dość wyrazistą opinię na temat Virginii Johnson, w tym także doktor Sherman. „Widywałem ją codziennie. Była uprzejma i bardzo otwarta – powiedział, komentując początki pracy Johnson jako sekretarki jego i Mastersa. – Raz czy dwa odniosłem wrażenie, że próbuje skłonić mnie do większej zażyłości, ale wydaje mi się, że odpuściła i poszła za Billem, bo on wydawał się tym bardziej zainteresowany". Camel słyszał plotki, że utrzymywała stosunki z innymi mężczyznami ze szpitala, ale jak przyznał: „Nie jestem pewien, czy to prawda".

Jedną z najbliższych relacji nawiązała z doktorem Irą Gallem, niskim i energetycznym młodym lekarzem z lotnym umysłem, który miał przed sobą świetlaną przyszłość. Ich dzienne zmiany w szpitalu często się pokrywały i szybko zaczęli razem dojeżdżać do pracy. Siedząc w samochodzie marki Plymouth z 1948 roku, Virginia opowiadała Irze o sobie, zwierzając się ze szczegółów swoich wcześniejszych małżeństw, opisując swoje doświadczenia jako wokalistki zespołu George'a Johnsona i bycie samotną matką wychowującą dwójkę dzieci z pomocą opiekunek. Ten bardzo przyziemny portret różnił się od prawie anonimowej sekretarki, która radośnie wołała „dzień dobry" zza swojego biurka w korytarzu. Johnson zrobiła na Gallu duże wrażenie i dlatego podzielił się z nią swoimi uwagami na temat medycyny, meandrów funkcjonowania szpitala oraz hierarchii panującej na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Johnson okazała się pojętną uczennicą.

Uznała te „lekcjach” za szansę na poprawę swojej sytuacji. „Udało jej się zdobyć dobrą posadę – powiedział Gall. – Z początku miała być sekretarką i wypełniać formularze, ale kiedy pojawiła się oferta pracy na stanowisku asystentki badań, nie było wątpliwości, że to właśnie Virginia zostanie przyjęta”.

Pewnego popołudnia rozmowy przy lunchu zeszły na tajemnicze badania seksu prowadzone przez Mastersa, wywołując tym samym typowe żarciki ze strony pracowników szpitala. Johnson uśmiechnęła się, ale nie podzielała powszechnej radości. „Już kilka razy dowcipkowali na ten temat w mojej obecności – wspominała. – Nigdy nie pytałam o szczegóły, bo nie zamierzałam zostawać tam na dłużej”. Jej zdaniem klinika Mastersa z pewnością ocierała się o temat seksu, ale tylko w stopniu niezbędnym do sprowadzania na świat dzieci. „Słyszałam, że Masters zajmuje się leczeniem niepłodności, i wydawało mi się, że z tym będzie związana moja praca”, wyjaśniała.

Na początku Johnson zbierała osobiste historie pacjentów, zgodnie z instrukcjami Mastersa, i wykazywała się przy tym szczerym zaangażowaniem, jakby naprawdę interesowała się życiem tych ludzi. Intymne pytania wydawały się pasować do badań nad bezpłodnością. Nic nie skłoniło jej do zmiany zdania. Dopiero rozmowa w poczekalni otworzyła Virginii oczy.

– Dlaczego to robisz, Virginio? – zapytał jeden z młodszych pracowników szpitala.

Rezydenci zakładali, że wiedziała wszystko o cielesnych igraszkach w dźwiękoszczelnych pomieszczeniach, za które ochotnicy dostawali wynagrodzenie.

Virginia odpowiedziała w taki sposób, by nie zdradzić własnej ignorancji. Jednak w trakcie rozmowy wreszcie w pełni zrozumiała, czym zajmuje się Masters.

W tym momencie do poczekalni wszedł Bill, ubrany w biały fartuch. Szybko domyślił się, o czym właśnie dyskutowano. Niektórzy pracownicy zdali sobie sprawę, że przesadzili, rozmawiając o tym tak

otwarcie. Wszyscy patrzyli na Johnson, czekając na jej reakcję. Wyraz twarzy kobiety nie zdradzał jej myśli.

Masters poczuł się zobligowany do wyjaśnienia jej, że historie pacjentów, które zbierała przez ostatnie miesiące, należały do osób biorących udział w badaniach reakcji seksualnych człowieka i niektórzy z nich uprawiali seks w imię nauki. „Kiedy pierwszy raz powiedział mi, co naprawdę zamierzał zrobić i że leczenie niepłodności przestało być dla niego priorytetem, bo rozpoczął badanie seksu, tak naprawdę liczyło się jedno pytanie: czy mi to przeszkadza?".

Johnson nie straciła zimnej krwi.

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby mi przeszkadzać – odparła. – Ale po co komu takie badanie?

Jej odpowiedź zaskoczyła Mastersa. Inni mężczyźni w pomieszczeniu, wszyscy będący lekarzami w wieku dwudziestu kilku lat, wyszczerzyli zęby. Kilku roześmiało się radośnie, jakby z opóźnieniem zrozumieli puentę dowcipu. Masters nie wydawał się rozbawiony, ale po prostu zadowolony z jej reakcji. „To było naprawdę urocze; zupełnie nie rozumiałam, po co ktoś miałby zajmować się seksem naukowo", wspominała Johnson, brzmiąc nieco jak córka farmera z Missouri, która naoglądała się w życiu zbyt dużo zwierzęcej żądzy, by ludzka mogła ją zaskoczyć. W jej świecie seks od dawna nie był ściśle związany z uczuciem, co może nie dziwiło u rozwódki z dwójką małych dzieci. Nie patrzyła na intymność ani głodnymi, ani pełnymi strachu oczami, ani nie uważała jej za iluzję szczęścia. „Traktowałam seks zupełnie normalnie – wspominała swój nieskomplikowany pogląd na temat seksu z czasów przed rozpoczęciem współpracy z Mastersem. – Wydawał mi się istotny, ale nigdy o nim w ten sposób nie myślałam. Dla mnie zawsze stanowił naturalną potrzebę. Seks mnie nie szokował".

Z perspektywy czasu można stwierdzić, że spokój i opanowanie, jakie Virginia okazała w 1957 roku, umożliwiły narodziny tego naukowego duetu. „Właśnie tamto wydarzenie pokazało, że jestem idealną partnerką, bo nie miałam żadnego problemu z badaniami", uznała po latach Virginia. Masters jak zwykle wypowiedział się w nieco

chłodniejszym tonie. „Niezamężna kobieta z zasady byłaby nieobyta z tematem, a ja potrzebowałem kogoś, dla kogo seks jest zupełnie neutralnym terenem", wyjaśnił z nutką pogardy, jakby uważał siebie na profesora Henry'ego Higginsa, a Virginię za Elizę Doolittle ze sztuki *Pigmalion* George'a Bernarda Shawa[3]: oto asystentka bez odpowiedniego przygotowania, która nie miała bladego pojęcia o sprawie i potrzebowała kogoś takiego jak Masters, by wyzwolił ją z powszechnej ignorancji w temacie seksu i uformował wedle własnych preferencji.

Masters wolałby partnerkę, która byłaby lekarką, ale taką kandydatkę – z o wiele wyższymi kwalifikacjami niż Johnson – trudno było pozyskać. Doktor Masters zapewne zdawał sobie również sprawę, że taka partnerka oczekiwałaby równego statusu, większej kontroli nad badaniami i że być może byłaby ostrożniejsza niż energetyczna, ale niewykształcona Johnson, która każdego dnia okazywała entuzjazm. Po latach Virginia wspominała, że idealnie pasowała na towarzyszkę w tym przedsięwzięciu. „Zapytałam go, dlaczego nie wziął jakiejś lekarki, a on odpowiedział, że w tamtych czasach kobieta musiała ciężko pracować, żeby zdobyć dyplom, więc za nic nie podjęłaby się projektu, który mógłby przekreślić jej karierę. I zapewne miał rację. Dlatego stworzył mnie".

Od samego początku Masters i Johnson zawdzięczali swoje powodzenie różnicy w podejściu: tworzyli damsko-męski duet wspólnie badający granice ludzkiej seksualności. Chociaż Masters jako chirurg ginekologiczny okazywał wręcz arogancką pewność siebie, w przypadku tego projektu zachował pewną skromność. „W bardzo młodym wieku nauczyłem się tego, czego większość mężczyzn nie dowiaduje się nigdy: że nic nie wiem o kobiecej seksualności", wyjaśnił. Johnson, neofitka w medycynie, szybko zdała sobie sprawę z tego, jaka jest ważna. „Obecność przedstawicieli obu płci w laboratorium robi ogromną różnicę – powiedziała później. – Ochotnicy czuli się swobodnie i nie musieli snuć domysłów na temat naszych motywacji.

Można powiedzieć, że w pewnym sensie nasza dwójka dawała im poczucie godności".

Za każdym razem, kiedy Masters tłumaczył się przed pacjentami albo innymi lekarzami, Johnson wiernie trwała u jego boku. „Mądrze postąpił, przyjmując mnie do pracy – przyjmując do pracy kobietę – bo właśnie to wszystko zmieniło", stwierdziła. W końcu poczuła się na tyle swobodnie, by zapytać samego Billa o powód, dla którego wybrał właśnie ją. Projekt był dla niego bardzo ważny, więc zastanawiała się, dlaczego nie powierzył roli partnerki swojej żonie, Libby.

Masters, niezbyt chętny do zwierzeń, zachował spokój i odpowiedział autorytatywnie:

– Właściwie to w pewnym momencie ją o to poprosiłem, ale ani nie miała odpowiedniego przygotowania, ani nie interesowała się tematem.

Jego żona nie mogła mu dać tego, czego Masters najbardziej potrzebował – zaangażowania. Był zaś przekonany, że Johnson je podzielała. Chciał ją nauczyć szczegółów anatomii, biologii i fizjologii. Pochlebstwami nakłonił ją do wielogodzinnej pracy dzień po dniu, bez wolnych weekendów i świąt. Zbierała niekończącą się liczbę historii ochotników i obserwowała stosunek za stosunkiem w wykonaniu nieznanych zupełnie osób. A robiła to wszystko bez słowa protestu, jakby nagle odkryła powołanie.

Pod koniec pierwszego roku wspólnej pracy znaczenie Virginii Johnson dla Mastersa wzrosło na tyle, że została zaproszona do jego domu na przyjęcie. Krótko po tym, jak przekroczyła próg, Masters przedstawił ją żonie, która rozmawiała z nią życzliwie, choć krótko. Johnson przebywała w towarzystwie najlepszych lekarzy i profesorów Uniwersytetu Waszyngtońskiego i wielu najbardziej znanych mieszkańców miasta. Stała sobie dyskretnie w kącie przestronnego salonu, sącząc drinka ze swoim towarzyszem, kiedy nagle zauważyła, że w jej stronę szybkim krokiem podąża wzburzona starsza dama.

– Chcę poznać ten wzór cnót, tę idealną kobietę, którą znalazł Bill Masters – ogłosiła tak, by wszyscy słyszeli.

Johnson ogarnął strach. „Praktycznie krzyczała na dość eleganckim przyjęciu – wspominała. – Po prostu odwróciłam się od niej. Do incydentu doszło kilka miesięcy po tym, jak zaczęliśmy wspólnie pracować".

Swojej żonie i rodzinie Masters powiedział tylko, że wyciągnął pomocną dłoń do kobiety, która wydawała się pracowita i szczera, choć nieco brakowało jej szczęścia w życiu. „Pamiętam ją z czasów, gdy byłem małym chłopcem – opowiadał Howie Masters, który miał zaledwie sześć czy siedem lat, kiedy Johnson przyjęła zaproszenie jego ojca. – Przychodziła czasami w niedziele i przyprowadzała córkę oraz syna". Któregoś roku w czasie Święta Dziękczynienia Masters oprócz Virginii i dzieci zaprosił także jej rodziców, Ednę i Harry'ego. Eshelmanowie wyprowadzili się ze Springfield, żeby być bliżej córki, i często pomagali jej, opiekując się wnukami (Scottem i Lisą), gdy zachodziła taka potrzeba. Chociaż Virginia dwukrotnie wychodziła za mąż, nie zniknęła zupełnie z emocjonalnej orbity matki. W czasie obiadu Masters postanowił oczarować panią Eshelman.

– Wychowała pani Virginię dokładnie tak, jak powinno się wychowywać córkę – powiedział jej ze swoim lekarskim przekonaniem.

Edna nigdy wcześniej nie widziała Mastersa, ale uznała jego wypowiedź za ogromny komplement, jakby Johnson wciąż była nastolatką mieszkającą z nimi w domu. „Tak się ucieszyła… Odebrała to jako wyraz najwyższego uznania – wspominała Virginia. – A Billowi chodziło o to, że w pewnym sensie byłam niezwykle posłuszną osobą".

Jednak ludzie pamiętają Virginię Johnson jako zafascynowaną Mastersem i jego badaniami, jakby znalazła coś, czego szukała od zawsze. Nie sprawiała wrażenia zmanipulowanej czy przymuszanej. Wręcz przeciwnie – powszechnie twierdzono, że stała się pilną adeptką. Masters zabierał Virginię nawet do sali operacyjnej, żeby dać jej podstawową lekcję anatomii w najbardziej surowej formie. Właśnie tam mogła podziwiać jego niezwykłe umiejętności. „Zaprowadził mnie na salę operacyjną, żebym wiedziała, jak wyglądają jajowody i gdzie wszystko jest rozmieszczone. Bardzo nie spodobało się to ordynatorowi

chirurgii, który przybiegł z krzykiem, kiedy tam poszłam – wspominała. – Masters był doskonałym chirurgiem. Inni lekarze go podziwiali. Naprawdę potrafił poskładać człowieka".

Entuzjazm Johnson nie uszedł uwadze lekarzy, pielęgniarek i obsługi szpitala, którzy słuchali jej wypowiedzi w stołówce. Z fanatyczną gorliwością chłonęła każde słowo wszystkich publikacji poruszających temat seksualności. „Często spotykaliśmy się wszyscy razem w czasie lunchu, a temat seksu szybko wypływał – wspominał doktor Sherman. – Potrafiła dużo o tym opowiadać, zwłaszcza o raporcie Kinseya".

Virginia przekonała Shermana, żeby pozwolił im wieczorami korzystać ze swoich gabinetów na trzecim piętrze, znajdujących się naprzeciwko biura Mastersa. W szufladzie biurka lekarz zostawiał klucz, żeby Masters i Johnson mogli i tam swobodnie przyglądać się parom uprawiającym seks w ramach ich projektu. „Nie wahałem się", wspominał tę decyzję Sherman.

Przyglądając się wszystkiemu z niewielkiej odległości, Sherman nie mógł nadziwić się zmianom, jakim uległa Johnson w ciągu pierwszego roku. Z nonszalanckiej sekretarki przerzucającej papiery stała się żądną wiedzy, kreatywną asystentką, która pomogła zdobyć pierwsze fundusze od nowojorskiej organizacji sponsorującej badania nad rozrodczością. Ponieważ Masters wciąż prowadził klinikę leczenia niepłodności i własną praktykę ginekologiczno-położniczą, coraz więcej obowiązków związanych z projektem przekazywał Johnson. „Wszystko szło na nazwisko Billa, ale to Virginia odwalała całą robotę", wspominał Sherman. Masters odpowiadał za teorię i wkład intelektualny, jego asystentka miała natomiast zdrowy rozsądek i praktycznie umiejętności komunikacyjne. Z czasem stała się niezbędna. Płaciła swoje domowe rachunki pieniędzmi zdobytymi w trakcie zgłębiania tajemnic ludzkiej seksualności i stała się *de facto* partnerem Mastersa.

[3] W dramacie Georg'a Bernarda Shawa prosta kwiaciarka, Eliza Doolittle, w ciągu pół roku zmienia się w prawdziwą damę pod opieką profesora fonetyki, Henry'ego Higginsa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Eksperyment

Do sali weszła młoda kobieta, ubrana w biały szlafrok frotté i z poszewką od poduszki na głowie. Dwie postrzępione dziury w bawełnie pozwalały jej widzieć. Oprócz tego nie miała na sobie nic więcej. Tajemnicza kobieta nonszalancko przeszła boso po podłodze. Zsunęła z ramion szlafrok i położyła się na szezlongu, nieznacznie odchylona do tyłu. Wydawała się zaledwie odrobinę zdenerwowana, jakby robiła to już wiele razy – ale nigdy z kapturem na głowie.

Masters i Johnson, oboje w lekarskich fartuchach, przedstawili kobietę bez wyjawiania jej prawdziwej tożsamości. Widok nagiej ochotniczki zaskoczył ich gościa, Paula Gebharda, absolwenta Harvardu i dyrektora Instytutu Kinseya do Badań nad Seksem, Płcią i Reprodukcją. „Może nie wiedziała, że tam będę, i dlatego musieli szybko znaleźć jakąś maskę", wspominał z rozbawieniem Gebhard.

Dyrektor przywitał się z nagą kobietą leżącą na szezlongu, podczas gdy Masters i Johnson ustawiali swoje urządzenia medyczne oraz podłączali kabelki i wskaźniki, które miały zapisywać reakcje organizmu na podniecenie.

„Kobietę oceniłbym na całkowicie przeciętną – opowiadał Gebhard. – Nie była ani gruba, ani chuda. Wyglądała tak, jak można by się spodziewać po studentce czy pielęgniarce. W przeciwieństwie do modelek, nie wygoliła sobie pachwin. Miała normalne włosy łonowe".

Najdziwniejszym przedmiotem leżącym w pomieszczeniu było cylindryczne plastikowe urządzenie, zaprojektowane przez Mastersa, i przyczepiona do niego mała kamera. Całość przypominała wałek do ciasta z czystego akrylowego pleksiglasu, z okiem optycznym ze szkła. Nie zdradzając istoty eksperymentu, Masters poprosił o pomoc innego profesora, doskonale znającego się na miniaturowym sprzęcie fotograficznym. Dla wszystkich obecnych w pomieszczeniu przeznaczenie urządzenia było dość oczywiste. „Stworzyliśmy dildo – wyjaśniła Johnson. – Bill nigdy się nie wahał, jeśli uznał, że coś mogło zadziałać".

Nikt wcześniej nie robił zdjęć wnętrza pochwy w trakcie stosunku, nie dokumentował reakcji kobiety na penetrację penisem. Ten pomysłowy sprzęt pozwolił na podświetlenie zimnym światłem, które wystarczyło, by Masters i Johnson mogli obejrzeć waginę od środka, a potem sfilmować ją w kolorze i bez zniekształceń. Urządzenie to można było dostosować do rozmiaru pochwy, wagi i rozwoju waginalnego kobiety. „Wyglądało jak poważny sprzęt medyczny i zostało wykonane z pomysłem", podsumował Gebhard, który podziwiał u Mastersa i Johnson dbałość o szczegóły. „Trzeba było sprawdzać okablowanie, żeby nikogo nie porazić prądem. Całość miała dość prostą konstrukcję z elektrycznym silniczkiem i trzymanym w ręku kontrolerem. Dało się to modyfikować, inaczej korzystanie z urządzenia mogłoby się okazać bolesne".

Kilka chwil zanim kobieta włożyła dildo do swojej pochwy, Johnson weszła do sąsiedniego pomieszczenia. Wróciła z czymś, o czym tylko kobieta-naukowiec mogłaby w takiej chwili pomyśleć: „ciepłym, wilgotnym ręcznikiem, który owinęła na moment wokół fallusa – wspominał Gebhard. – Skojarzył mi się z ciepłym ręcznikiem u golibrody".

Wtedy rozpoczął się eksperyment.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych większość wykładowców i studentów wciąż miała niewielkie pojęcie o działaniach Mastersa

i Johnson. Rozprawiali o eksperymentach złośliwym szeptem.

„Wszyscy się tym interesowali, ale uznawali te badania za szalone", wspominał doktor Robert Burstein, ginekolog-położnik ze szpitala, który jednak nigdy nie poznał tajemnicy Mastersa.

Gebhard – bezkompromisowy naukowiec z chropawym głosem i wąsami w stylu Clarka Gable'a – był jednym z niewielu ludzi z zewnątrz, którym pozwolono obserwować badania. Masters miał nadzieję zyskać aprobatę kolegi po fachu. W 1956 roku Gebhard przejął funkcję po swoim zwierzchniku na Uniwersytecie w Indianie, Alfredzie Kinseyu, który zmarł na atak serca dwa lata wcześniej, stawiając przyszłość badań nad seksualnością pod znakiem zapytania. Tak napisano w „Timesie" po śmierci Kinseya: „Nie wiadomo, czy jego pracownicy dokończą badania, które jak miał nadzieję, uwolniłyby następne pokolenie od niezrozumienia seksu i strachu przed nim". Mimo iż Kinsey prywatnie miał dość ekscentryczne upodobania – takie jak ekshibicjonizm, biseksualność i masochistyczne ciągoty do filmowania siebie w trakcie masturbacji oraz do związywania krocza liną – dziennikarze i biografowie opisywali go jako człowieka o ogromnym znaczeniu dla kultury. W Ameryce Kinsey stał się męczennikiem, który poświęcił się dla lepszego poznania ludzkiej seksualności.

Masters osobiście uważał badania Kinseya za odważne, ale niepozbawione wad, ponieważ opierały się na wypowiedziach pacjentów, a nie obserwacjach w warunkach laboratoryjnych. Uważał, że brak odpowiednio przeprowadzonych badań nie pozwala na znalezienie u Kinseya rzetelnych informacji. Krytycy zwrócili uwagę, że wielu ochotników Kinseya przebywało w więzieniu, co nie odzwierciedlało typowego amerykańskiego stylu życia. Jeszcze za życia badacza jego potencjalni sprzymierzeńcy – w osobie na przykład antropolog Margaret Mead – potępiali stosowane przez niego metody, twierdząc, że suchy język naukowy (w tym nazywanie stosunku „ujściem") „mylił seks z wydalaniem". Pamiętając o tego typu atakach, Masters starał się utrzymać swój projekt w tajemnicy; zdawał sobie

sprawę, że prasa może utrudnić mu pracę albo odstraszyć takich sprzymierzeńców jak Ethan Shepley, kanclerz Uniwersytetu Waszyngtońskiego. „Często zastanawiałem się, jak Kinsey mógł znosić tak krytyczne i pełne uprzedzeń oceny jego pracy – zauważył Masters. – Moim zdaniem chyba popełnił błąd taktyczny, w dobrej wierze próbując odpowiedzieć na wszystkie zarzuty". Sam Masters obiecał sobie nie popełniać takich samych błędów.

Oboje z Johnson postawili wyraźne granice między swoim projektem a raportem Kinseya, przyjmując typowo naukowe podejście, oparte na faktach, a nie mglistych wyobrażeniach. W swojej pierwszej książce, wydanej prawie dziesięć lat później, krótko wyrazili esencję swojego podejścia:

> Chociaż badania Kinseya stały się kamieniem milowym socjologicznego dochodzenia, nie zostały zaprojektowane do interpretacji fizjologicznej i psychologicznej reakcji człowieka na stymulację seksualną. Nie można zdefiniować fundamentów ludzkiej seksualności, nie odpowiadając uprzednio na dwa podstawowe pytania: Jakie fizyczne reakcje zachodzą w kobiecie i mężczyźnie w odpowiedzi na stymulację seksualną? Dlaczego kobiety i mężczyźni zachowują się tak, a nie inaczej w odpowiedzi na efektywną stymulację seksualną? Jeśli mamy kiedyś leczyć zaburzenia związane z seksualnością, medycyna i behawioryzm muszą znaleźć odpowiedzi na te pytania.

W małym, wyłożonym drewnianymi panelami gabinecie Masters z precyzją kartografa rejestrował każdą reakcję ciała w trakcie stosunku. Jego laboratoryjne podejście fascynowało Gebharda. Jeszcze za życia Kinseya Gebhard rozmawiał z nim na temat podobnego badania, które miałoby rozwiać najważniejsze wątpliwości dotyczące anatomii i fizjologii, ale żaden z nich nie miał odpowiedniego przygotowania medycznego, więc nie mogli się podjąć takiego zadania. Wątpili też, by dziekan Uniwersytetu w Indianie się na to zgodził. Dlatego Gebharda bardzo interesowało, w jaki sposób Masters zdołał rozpocząć tak nieziemsko ambitne eksperymenty.

Siedząc obok Mastersa, Johnson (Gini, jak wolała być nazywana) słuchała uważnie, ale bez słowa. Patrzyła, jak Bill omawia pierwsze

odkrycia, spisane w notatnikach trzymanych na półce. Kiwała głową z absolutną pewnością siebie, jakby na własne oczy widziała wszystko, o czym opowiadał. „Przedstawił mi coś absolutnie nowego, nikt nigdy wcześniej nie przeprowadził tak intensywnych badań – powiedział Gebhard. – Potwierdzały wszystkie odkryte przez nas samych, drobne informacje na temat ciśnienia krwi, oddechu i, oczywiście, reakcji samych organów. Mogliśmy się od nich uczyć". W ścisłej tajemnicy Masters wspominał o tym, jak zaprzęgli do badań prostytutki i inne opłacane ochotniczki, by przyjrzeć się orgazmowi kobiety, prawdopodobnie największej zagadce.

– Jak udaje wam się zobaczyć wnętrze pochwy i szyjkę macicy w trakcie czynności seksualnych? – zapytał Gebhard.

Właśnie wtedy Masters wyjawił, że skonstruowali urządzenie, które pozwala im filmować kobiecy orgazm.

– Chciałbyś je zobaczyć?

Gebhard, nieco zbity z tropu, pokiwał głową. Bill i Gini zaprowadzili go do zielonej sali obok. Na środku pustego pomieszczenia stały szezlong, listwa pełna gniazdek elektrycznych, a także kolejne urządzenie, najlepiej opisane przez samego Gebharda jako „napędzany silniczkiem fallus z pleksiglasu". Masters, dumny twórca, emanował satysfakcją, omawiając funkcję swojego wynalazku.

– Chciałbyś zobaczyć go w akcji? – zapytał.

Chociaż propozycja zaskoczyła Gebharda, szybko się zgodził. Johnson wyszła do innego pokoju i wróciła po kilku chwilach z anonimową studentką z głową skrytą za poszewką.

Kiedy wszyscy byli gotowi, młoda kobieta położyła się na skórzanym fotelu, z nogami na oparciach. Na jej różową, nagą skórę przyklejono czujniki elektroencefalografu, który szumiał i brzęczał. Maleńki monitor pokazywał wykres impulsów elektrycznych mózgu pacjentki. Niewielkie czujniki przymocowane do piersi rejestrowały bicie jej serca, zapisując je w postaci gryzmołów na papierowej taśmie, powoli wysuwającej się z urządzenia. Wszystkie te narzędzia służyły za

seksualny wariograf pokazujący prawdę w obszarze tak często pełnym kłamstw i przesady.

Tymczasem Masters złapał za metalowe krzesło, które ustawił przed szezlongiem. Nakazał Gebhardowi usiąść, jeśli ów chce obejrzeć zachowanie wnętrza pochwy i szyjki macicy w trakcie eksperymentu. Gebhard znalazł się w odległości pół metra od rozwartych nóg kobiety, na tyle blisko, by móc patrzeć prosto w soczewkę na końcu długiego urządzenia.

– Trzymaj twarz z dala od końcówki fallusa, inaczej skończysz z podbitym okiem! – doradził Masters, a Johnson zdjęła ciepły ręcznik. Bill pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech, by za chwilę wrócić do wystudiowanej powagi.

Gdy maszyneria znalazła się w odpowiednim miejscu, Masters rozejrzał się po pomieszczeniu. Upewnił się, że kamera została włączona, a pozostałe urządzenia są gotowe do rejestrowania każdej reakcji. Kiedy już wszystko sprawdził, młodej kobiecie podano Odyseusza – tak nazwano plastikowego fallusa, za najbardziej pasujące miano uznając tytuł nowego filmu z Kirkiem Douglasem, w którym pojawiały się gigantyczne cyklopy. Gebhard przez soczewkę przypominającą tę w aparacie fotograficznym wyjątkowo wyraźnie widział w pełni podświetloną pochwę. „Urządzenie było całkowicie bezbarwne", wspominał.

Młoda kobieta na szezlongu pocierała Odyseuszem swoją pochwę, najpierw delikatnie, a potem mocniej, utrzymując najprzyjemniejszą prędkość. Masowała zewnętrzne, wilgotne wargi sromowe, a plastikowy fallus drapał o jej włosy łonowe. Trzymała się schematu, jakby nauczono ją pewnych praktyk dla dobra publiki. W końcu poczuła uderzenie ciepła, a jej pochwa pokryła się wydzieliną. Wsunęła urządzenie do środka płynnie, niemal bez wysiłku.

Przez kilka następnych minut wszyscy obecni w pomieszczeniu wydawali się całkowicie skupieni na ruchu, wpatrując się w młodą kobietę wpychającą Odyseusza do swojej waginy i aparaturę odmierzającą każdy impuls przez niego wywołany. Kiedy napięcie

wzrastało i powoli zbliżał się orgazm, ciało kobiety pokryło się potem. Temperatura powietrza, pilnie obserwowana przez Johnson, teraz zdawała się jeszcze wyższa. W tamtych czasach Szpital Położniczy nie posiadał klimatyzacji, więc monitorowanie temperatury powietrza było jednym z najważniejszych pomiarów reakcji fizjologicznej ochotników. Młoda kobieta odrzuciła głowę do tyłu, falując rytmicznie biodrami. Żeby osiągnąć cel całego eksperymentu – orgazm – zwiększyła prędkość i głębokość penetracji według własnych upodobań. Nie pogrążyła się jednak w ekstazie; wydawała się względnie spokojna. Jej stymulacja wydawała się przeprowadzana fachową ręką.

Gini i Bill robili notatki, spoglądając na monitory i wygibasy młodej kobiety. Gebhard cały czas patrzył przez pleksiglasowe urządzenie z wyrazem najwyższego podziwu, zapominając o trzymaniu się z dala od ruchliwego fallusa. „Przyśpieszyła za ostro i wysuwając dildo, uderzyła mnie w oko", wspomina Gebhard. Wytrącony z równowagi po bliskim spotkaniu z mechanicznym fallusem, Gebhard utrzymywał większy dystans, żeby to się nie powtórzyło. Mimo wielu lat spędzonych w Instytucie Kinseya, czuł się, jakby po raz pierwszy w życiu patrzył na stosunek. Kiedy kobieta zbliżała się do szczytowania, udało mu się zauważyć, jak „szyjka macicy w pewnym sensie chowa się i staje się mniej wyraźna. Wreszcie kobieta osiągnęła orgazm; nie zajęło jej to zbyt wiele czasu".

Dzięki swoistemu wizjerowi Gebhard potwierdził odkrycie Mastersa, które odrzucało długoletnie – ale całkowicie niesłuszne – przekonanie na temat reakcji ciała kobiety na orgazm. Masters i Johnson udowodnili, że wydzielina pochwy w czasie stosunku nie pochodzi z gruczołów Bartholina usytuowanych w wargach sromowych mniejszych, jak dotychczas się uważało. Jej źródłem nie była też szyjka macicy, jak teoretyzowali inni. Wydzielina tworzyła gładką, błyszczącą warstwę, niczym pot na czole sportowca. Wystarczała, by pochwa mogła wystarczająco nawilżyć się w niecałe trzydzieści sekund od pierwszej fali seksualnego podniecenia. Ten podstawowy błąd w myśleniu o kobiecej reakcji powtarzano przez dziesięciolecia, zanim wreszcie

poprawiono go bezpośrednią obserwacją laboratoryjną. Jak ujął to Gebhard: „Potrzebny był taki naukowiec jak Bill, inaczej nigdy byśmy się nie tego dowiedzieli".

Kiedy młoda kobieta skończyła, założyła z powrotem ubrania, odebrała swoją zapłatę i wróciła na kampus. Znalazła się na liście liczącej ponad tuzin kobiet zwerbowanych przez Mastersa i Johnson w początkowej fazie doświadczeń. Gebhard nigdy nie poznał jej nazwiska. Personalia kobiety pozostały ścisłą tajemnicą. „Bill nic nie mówił, zamiast tego pilnie obserwował", powiedział Gebhard, wspominając demonstrację z tamtego pamiętnego dnia. Jednak po zakończeniu eksperymentu Masters emanował dumą wynalazcy.

– Mężczyźni nienawidzą tego urządzenia – dowcipkował – ponieważ wszystkie kobiety przyśpieszają jego ruchy do prędkości, z którą żaden mężczyzna nie może się równać!

Gebhard również nie mógł powstrzymać śmiechu.

– W zupełności ich rozumiem – odparł.

Wiele lat później Masters bronił praktyczności narzędzia przypominającego skomplikowane machiny z rysunków Rube'a Goldberga. „Lekarze wkładają do żołądka lustro, żeby mu się przyjrzeć" – zauważył. – Kiedy jednak zrobisz to samo z pochwą, zaczynają się burzyć".

Gebhardowi w pamięci bardziej niż młoda kobieta z poszewką na głowie utkwiła Virginia Johnson. Z początku uważał ją jedynie za pomocnicę Mastersa, a nie poważną, pomysłową partnerkę. „On był praktykującym ginekologiem z długoletnią karierą, a ona tylko asystentką, którą sam wszystkiego nauczył", wspominał. Gebhard od czasu do czasu wracał do St. Louis na spotkania oraz po nauki do Mastersa i Johnson, a oni przyjeżdżali do Instytutu Kinseya w Indianie. Billa Mastersa nie dało się łatwo lubić. Za każdym razem, kiedy się widzieli, zachowywał się jak obcy. „Bawiło mnie to, że na koniec każdego spotkania stawaliśmy się wreszcie kolegami – wspomina Gebhard. – Potem, kiedy nie widzieliśmy się przez rok czy dłużej, przy następnej okazji Bill powracał do swojego pierwotnego zdystansowania

i władczości". Jednocześnie Gebhard, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, zauważał wzrastającą rolę Johnson. Kiedyś jej komentarze były echem wypowiedzi Mastersa, z czasem zaczęła wygłaszać własne opinie.

Chociaż Masters i Johnson odkryli rzeczy, o których nigdy wcześniej nawet nie wspominał żaden podręcznik, Gebharda najbardziej fascynowały ich wzajemne stosunki. Wydawało mu się, że Bill i Gini stanowili odrębny eksperyment, badający dynamikę między kobietą i mężczyzną. Gebhard zastanawiał się, jakie towarzyszą im napięcie i przyciąganie, ile w nich zgodności i przeciwieństw. Podczas któregoś z obiadów zauważył, że kończą sobie nawzajem zdania, jakby mieli wspólny umysł. Do tego wydawali się nierozdzielni. Łączące ich więzi pozostały dla lekarza zagadką.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ochotnicy

Gini Johnson nie miała sobie równych w rekrutowaniu pracowników szpitala oraz uniwersytetu, a nawet żon lekarzy, chętnych do uprawiania seksu z nieznajomymi w sposób, na jaki prostytutki zgadzały się tylko za opłatą. Jej szef z pewnością nie miał szans zdeklasować na tym polu swojej pracownicy. W końcu (przypomnijmy) zanim Virginia dołączyła do projektu, współpracował z kurtyzanami, oferując im „kartę wyjścia z więzienia" – obietnicę spokoju ze strony policji z St. Louis. Kiedy doktor zdał sobie sprawę, że te kobiety – z zapaleniami macicy i zespołem przekrwienia miednicy – nie mogły zostać uznane za „anatomicznie normalne", zaczął obawiać się, że jego eksperyment będzie skazany na niepowodzenie. Przez prawie rok badanie leżało odłogiem. Kiedy Johnson została asystentką, wszystkie siły poświęciła rekrutacji ochotniczek spośród wykształconych dwudziesto- i trzydziestolatek, chętnych do udziału w badaniu w zamian za symboliczne wynagrodzenie i obietnicę anonimowości. Wiele z nich wierzyło Johnson, kiedy z zaraźliwym entuzjazmem przekonywała, że łamią tabu i oddają nauce ogromną przysługę. Virginia opowiadała im o tym, jak dzięki odkrywaniu prawdy o własnych ciałach mogły przysłużyć się wszystkim kobietom…

Doktor Mike Freiman pewnego dnia osobiście poznał siłę perswazji Gini, kiedy jako pracownik kliniki niepłodności, a nie samego projektu,

został wezwany do sal, z których korzystały ochotniczki. W tamtym okresie Masters i Johnson korzystali z pomocy kilku kobiet, które brały udział także w odrębnych eksperymentach z dziedziny środków antykoncepcyjnych i płodności. W tym konkretnym przypadku, jak powiedział Freiman, kobieta testowała pianę Emko, plemnikobójczy środek domaciczny, jednocześnie symulując stosunek płciowy przy pomocy wibratora z wbudowaną kamerą.

Dzięki temu urządzeniu można było zarejestrować, jak pianka dokładnie pokrywa ścianki pochwy w czasie stosunku, tym samym neutralizując próbkę spermy pobraną od innego ochotnika. Aby zapobiec ciąży, kobieta miała założony kapturek. Gdy skończyła już symulację stosunku i obmyła się z resztek piany, Masters przywołał Freimana. „Doktor musiał operować, a kobieta chciała już wracać do domu, więc poprosił mnie, żebym zdjął kapturek; zgodziłem się", wspominał Freiman.

Chociaż zdawał sobie sprawę z przeprowadzania na terenie ośrodka tajemniczych badań, nigdy wcześniej nie wchodził do tej sali, a już na pewno nie wtedy, gdy ktoś w niej przebywał. Kiedy już znalazł się w środku, zobaczył nagą kobietę; miała na sobie jedynie maskę. „Jej ciało było ładnie zbudowane i wyglądało znajomo", opowiadał Freiman. Kiedy młody lekarz podszedł do kobiety, żeby zdjąć jej kapturek, ta skoczyła na równe nogi. Zachowywała się, jakby Freiman zrobił coś nie tak, i szybko zdjęła maskę.

– Cześć, Mike! – zawołała z radością. Uśmiechała się, jakby spotkała starego znajomego na przyjęciu u sąsiadów.

Freiman natychmiast rozpoznał twarz studentki pielęgniarstwa. „Umawiałem się z tą dziewczyną!", przypominał sobie. Bardziej interesujący był jednak sposób, w jaki Gini przekonała ją do wzięcia udziału w badaniu. Kiedy Freiman zaczął o to wypytywać, dziewczyna podała powody brzmiące bardziej altruistycznie niż hedonistycznie. „Dała mi do zrozumienia, że nie tylko dostanę wynagrodzenie, ale też pomogę przedstawicielkom swojej płci", wyjaśniła młoda kobieta. Freiman podziwiał odwagę i siłę perswazji Johnson, słysząc podobne

wypowiedzi z ust innych ochotniczek. „Wiele kobiet z uniwersytetu brało w tym udział – powiedział. – Niektóre uznawały to za oznakę odwagi, coś w stylu »pomagam w czymś bardzo ważnym«".

W czasach stagnacji późnych lat pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych, kiedy odważne kobiety nosiły spodnie z nogawką do połowy łydek, wezwanie Johnson do wolności seksualnej dla kobiet miało sens. Jak wspomina Freiman, „Dzięki niej ludzie myśleli, że wypełniają wolę Boga".

Doktor Robert Goell, wtedy jeszcze młody rezydent w szpitalu, znał dwójkę ochotników, którzy wzięli udział w badaniach, pielęgniarkę i studenta medycyny. „Odbywali regularne stosunki, a Gini ich obserwowała, monitorując pracę serca i różne inne parametry", wyjaśnił Goell. Pielęgniarka z ginekologii „mówiła o tym dość otwarcie. Opowiadała, że panowała tam cisza i zazwyczaj obecni byli ona i jej partner, a Gini Johnson wchodziła sprawdzać odczyty na sprzęcie medycznym, starając się im nie przeszkadzać". Ira Gall, kolejny młody lekarz, twierdził, że znał przyjaciółkę Johnson z firmy McDonnel Douglas produkującej samoloty, której siedziba mieściła się w okolicy St. Louis. Owa przyjaciółka po godzinach stała się „bardzo aktywną uczestniczką" badań. „Virginia bardzo doceniała znaczenie seksu – podkreślał Gall. – Miała o nim szeroką, »światową« wiedzę, i bardzo się nim interesowała". Szczerość Gini sprawiała, że ludzie czuli się komfortowo. Posiadała prawdziwy talent do rozmów o intymnych sprawach, o których nikt nie odważyłby się wspomnieć w mieszanym towarzystwie. Jej entuzjazm sprawiał, że wiele kobiet zgłaszało się na badania i z zadowoleniem robiło seksualne wygibasy w imię nauki.

Johnson prowadziła świeżo zwerbowanych uczestników do sali, pokazując im wszystkie urządzenia i gadżety, które zostaną umocowane przy ich najbardziej wrażliwych częściach ciała. Zapoznawała ich z przyszłymi partnerami seksualnymi, z maskami, pod którymi mieli ukryć twarze, a oni mimo wszystko pozostawali niezwykle oddani sprawie. „Gini Johnson na tym etapie prac była wyjątkowo efektywna – napisał Masters. – Potrafiła uspokoić wielu

świeżo zwerbowanych pacjentów i pomóc im nabrać większej pewności siebie oraz zwiększyć ich poczucie komfortu". W ramach poszukiwania nowych ochotników przyczepiała maleńkie notatki na tablicach w całym uniwersytecie, zapraszając chętnych do „poddania się czynnościom seksualnym w warunkach laboratoryjnych". Kiedy wieści rozeszły się po St. Louis, jak wspomina Masters, zebrali „więcej ochotników niż mogli efektywnie i sprawnie wykorzystać". Mniej więcej dwie trzecie przepytanych przeszło do etapu badań. Ponieważ projekt skupiał się głównie na reakcjach organizmu w trakcie czynności seksualnych, odrzucano wszystkich, którzy nigdy nie przeżyli orgazmu lub nie byli tego pewni. „Po prostu uznaliśmy, że skoro nie mieli pewności, zapewne tego nie doświadczyli", wyjaśnił Masters.

Wszyscy chętni mieli przyzwyczaić się do nagości w laboratorium i odbywania stosunków w obecności badaczy. Niektórzy zgłaszali się, żeby poprawić swoją sprawność. Wiele kobiet powiedziało Mastersowi, że program pozwala im pozbyć się napięcia seksualnego. Mimo przeprowadzanych badań psychologicznych, „najprawdopodobniej od czasu do czasu zdarzało nam się pracować z podglądaczem albo ekshibicjonistą", przyznał kiedyś Masters. Ochotnicy, niczym króliki doświadczalne, najpierw trafiali do sali w pojedynkę, by dopiero później przejść do „etapu pokrywania", jak to opisywał Bill, korzystając z naukowego żargonu. „Swoje pierwsze interakcje seksualne przeprowadzali pod naszą nieobecność – napisał. – Z czasem jednak gra wstępna przechodziła w etap pokrywania. Pojawienie się orgazmu było od razu identyfikowane i bardzo pożądane, ale nie traktowaliśmy go jako warunku koniecznego. Staraliśmy się zminimalizować wszelką potencjalną presję, zanim mogłaby przybrać patologiczne proporcje".

W przeciwieństwie do Billa Gini mówiła o seksie językiem potocznym i zabawnym, nigdy nie tracąc poczucia godności i zawsze szczerze. Jej łagodny wzrok i słodki głos wprowadzały ciepłą, komfortową atmosferę, która zastępowała typowe przy takim projekcie nerwowość i zimny profesjonalizm. „Nie wahała się mówić o tym, jakiego rodzaju badanie będą przeprowadzać – wyjaśnił Alfred Sherman, który często

rozmawiał z nią i Mastersem podczas lunchu. – Nie bała się też używać przy tym określenia, proszę wybaczyć, »pieprzyć się«. Nie miała oporów przed wywoływaniem tematu seksu, atrakcyjności seksualnej kobiet czy sposobów stymulacji".

Pewnego dnia Bill i Gini zaprosili doktora Shermana na obserwację badań, które przeprowadzane były po godzinach w jego gabinecie. Przez lustro weneckie zainstalowane w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu patrzyli na kobiety wykorzystujące różne techniki masturbacji, by zmierzyć ich reakcje seksualne. Johnson odpowiadała za większość instrukcji, zawsze jednak uważnie słuchając wskazówek Mastersa. „Pacjentka leżała na szezlongu z nogami w strzemionach, a do jej waginy został włożony wziernik – wspominał Sherman. – Na początkowym etapie badań wykonywano tylko masaż łechtaczki i sromu, i kierowano się do góry, w stronę szyjki macicy, żeby zobaczyć, czy pacjentka się podnieci i może nawet osiągnie orgazm. Gini kazała pacjentkom stymulować swoje pochwy tak, jakby penetrował je penis, albo przy użyciu narzędzia go przypominającego".

Jak informuje Sherman, kiedy rozpoczęto obserwację właściwego stosunku, krąg ochotników poszerzył się o sekretarki oraz żony lekarzy, a także studentów medycyny i rezydentów, którzy chcieli dorobić trochę do swojego honorarium za staż. Bez względu na motywacje, wszystkich chętnych najwyraźniej przyciągał niesłabnący entuzjazm Johnson. Wiele lat później opisała tych ludzi w tym samym idealistycznym, niemalże heroicznym tonie, którego użyła, by przekonać ich do udziału w badaniach. „Pracowaliśmy w laboratorium ze zwykłymi ludźmi, ale może powinniśmy ich nazwać niezwykłymi, ponieważ postanowili poświęcić swój czas i siły, by zastąpić mity faktami – wspominała. – Widzieliśmy dokładnie, jak rozpaczliwie potrzebowano zbieranych przez nas informacji i byliśmy przekonani o słuszności naszych działań, o tym, że robimy »coś dobrego«. Dzięki temu przekonaniu nie nachodziły nas żadne wątpliwości".

W czasie obserwacji laboratoryjnej wielu skądinąd zdrowych i jurnych mężczyzn cierpiało na impotencję, przedwczesny wytrysk

oraz syndrom, który dwójka naukowców nazwała grzecznie „obawą o wydolność". Cztery z pięciu „niepowodzeń" w ramach programu – przypadki, w których nie mogło dojść do aktu seksualnego – związane były z mężczyznami. „W przeszłości uważałem, że najtrudniej będzie współpracować z kobietami – wyjaśnił później Masters. – Jakże się myliłem! Mężczyzna jest stokroć trudniejszy we współpracy w warunkach laboratoryjnych niż kobieta".

Masters potrafił się oddać analizie wydolności i rezultatów tak, że nieraz poświęcał temu całą niedzielną noc i poniedziałkowy ranek. „Wszystkie pary były bardzo bezpośrednie i skupione na osiągnięciu celu, nie korzystały zbyt długo z uroków gry wstępnej w trakcie eksperymentu i od razu przechodziły do genitaliów", wspominał. Jednak ich podejście doprowadziło do „dwukrotnie większego odsetka niepowodzeń". Jako naukowiec, Masters wydawał się preferować seks jako mechaniczną czynność, pozbawioną uczuć, uważał, że „współżycie polegało na wzajemnej masturbacji przydzielonych ochotników". Osiemdziesiąt procent par decydowało się na pozycję misjonarską, nie stosując żadnych wariacji.

Johnson miała dla mężczyzn tyle samo cierpliwości, co dla kobiet. Pozwalała zdenerwowanym ochotnikom odwiedzić klinikę tylko po to, by poczytać i porozmawiać, aż poczują się w niej swobodnie. Niektórzy przychodzili trzy czy cztery razy i nikt od nich niczego nie wymagał. Johnson śmiała się szczerze, doprawiając przygotowania szczyptą poczucia humoru, dodając odwagi niepewnym siebie mężczyznom.

Pewnego ranka do gabinetu wpadł jeden ze studentów medycyny na Uniwersytecie Waszyngtońskim, zarazem uczestnik badania.

– Jest doktor Masters? – zapytał w pośpiechu. – Chcę się widzieć z doktorem Mastersem!

W gabinecie jednak znajdowała się tylko Johnson.

– Spokojnie. Wydaje mi się, że właśnie operuje – odparła, znając grafik Mastersa. – Mogę w czymś pomóc?

Chłopak tylko pokręcił głową i wyszedł. Jakąś godzinę później przybył ponownie, równie zmartwiony.

– Nie wiem, kiedy wróci – wyjaśniła uprzejmie Virginia. – Mogę w czymś pomóc?

Młody mężczyzna patrzył na nią przez chwilę, niepewny, czy może jej zaufać. A potem wyrzucił z siebie:

– Ja już chyba nie mogę.

– Czego pan nie może? – odpowiedziała pytaniem zaskoczona Gini.

Odpowiedział jej z wyraźną frustracją.

– Chyba… nie mogę już odbywać stosunków.

Johnson rozpoznała grzecznego, uroczego ochotnika, który zachowywał się raczej jak chłopak ze wsi niż dżentelmen z miasta. Virginia spisała jego historię w ramach wstępnego przesłuchania przed dołączeniem przezeń do projektu. Pochodził z jej rodzinnej miejscowości i został „wychowany przez bardzo konserwatywną rodzinę". Jako jedynak miał ograniczone życie towarzyskie. „Dopiero na drugim roku studiów zaczął chodzić na randki", przypomniała sobie. Jednak kiedy poznał seks, podobnie jak wielu innych młodych mężczyzn, zaczął odczuwać wzmożoną potrzebę, niczym spragniony, który nagle chce pochłonąć cały ocean.

Tego ranka, gdy pojawił się z tak zrozpaczonym wyrazem twarzy, miał za sobą trzydzieści sześć godzin stosunków z dwiema różnymi kobietami i zupełnie opadł z sił. Jego oziębłość zdziwiła go i przestraszyła; dlatego szukał pomocy u Mastersa.

Gini wysłuchała go cierpliwie i ustaliła, że ten młody mężczyzna „właśnie przebiegł maraton", a potem wkroczył w „fazę odporności", czyli właściwy dla mężczyzn i następujący bezpośrednio po orgazmie okres, w którym, jak opisali później Masters i Johnson, dochodzi do tymczasowej „odporności psychofizjologicznej" na bodźce seksualne. Penisy niektórych mężczyzn, bez względu na wysiłki kobiety, pozostają po stosunku niewzruszone przez około godzinę. Niektórzy odczuwają ból, jeśli podejmą kolejną próbę zbyt wcześnie. Badania wykazały, że u kobiet taka faza nie występuje. Johnson okazała młodemu mężczyźnie nieco współczucia. „Zapewniłam go, że po prostu wystrzelał wszystkie swoje naboje – wyjaśniła niczym instruktorka na strzelnicy. – Był

naprawdę mocno przejęty. Nigdy wcześniej nie doświadczył tego typu problemów".

W tym względzie młody człowiek z Golden City nie był osamotniony. Wielu ochotników oferujących swoje ciała „nie miało za sobą zbyt wielkiego i zbyt różnorodnego doświadczenia – podsumowała Johnson. – Uprawianie seksu w klinice najwyraźniej uważali za sposób na poznanie siebie, pozbycie się strachu przed płcią przeciwną, walkę z nieśmiałością czy sposób na zaspokojenie ciekawości". Z pewnością właśnie o to chodziło w przypadku Thomasa Gilpatricka.

Żonaty absolwent Harvardu i trzydziestodwuletni rezydent – Thomas Gilpatrick – pracował w klinice leczenia niepłodności pod zwierzchnictwem doktora Mastersa. Był wysoki i dość wysportowany, a więc wyglądał zdrowo. Oprócz tego miał brązowe oczy i okulary z ciemnymi rogowymi oprawkami. Swoje pofalowane, ciemne włosy zaczesywał gładko i zupełnie bez polotu. Gilpatrick wydawał się kolejnym mężczyzną skazanym w przyszłości na szary flanelowy garnitur w ponurej erze strachu napędzanego Zimną Wojną, polowaniem na czarownice McCarthy'ego oraz rządami starego, bezbarwnego Dwighta Eisenhowera w Białym Domu. Zaczynając w roku 1955, Gilpatrick asystował przy wizytach par zmagających się z niepłodnością, które wnosiły dość wysoką jak na tamte czasy roczną opłatę dwustu pięćdziesięciu dolarów za zdolności Mastersa. Raz po raz wysłuchiwał wstępnej przemowy swojego mentora, w której ten obiecywał bezdzietnym pacjentom osiągnięcie celu albo poprzez ciążę, albo za pomocą jego bezpośrednich kontaktów z agencjami adopcyjnymi lub innymi lekarzami. „Nie możemy zagwarantować, że zajdzie pani w ciążę, ale możemy ręczyć, że doczekają się państwo dzieci", powtarzał wielokrotnie Masters. Gilpatrick podziwiał jego niezwykłe umiejętności i pewność siebie, a jego wiedza na temat najnowszych odkryć medycyny bardzo do Thomasa przemawiała.

Gilpatrick wychował się w stanie Waszyngton i zdawał na Harvard, ale po pierwszym roku, w czasie drugiej wojny światowej, przeszedł do

służby w oddziale łączności. Później wrócił na uczelnię i skończył ją w roku 1948.

Tamtej wiosny Gilpatrick ożenił się ze swoją pierwszą prawdziwą miłością, Audrey, którą poznał w trakcie służby wojskowej. Przez kilka następnych lat studiował medycynę na Uniwersytecie Waszyngtońskim, odbywał staż w szpitalu wojskowym, a potem wylądował jako rezydent na ginekologii i położnictwie swojej dawnej uczelni. Kiedy w 1955 roku zaczął współpracę z Mastersem, miał już z Audrey córkę i syna. Masters w tym czasie wciąż przeprowadzał badania na prostytutkach i dyskutował o wynikach z młodą asystentką. Po zatrudnieniu Gini projekt nabrał tempa. W tym okresie Johnson pokazała, jak dobrze potrafi się zintegrować ze studentami medycyny, rezydentami i lekarzami – a niemal wszyscy z nich byli płci męskiej – i naginać ich wolę do swoich celów. „Virginia to atrakcyjna kobieta, może nie powalała urodą, ale z pewnością nie brakowało jej seksapilu – wspominał Gilpatrick. – Nie flirtowała wprost, ale tak, poniekąd to robiła. To leżało w jej naturze. Niektóre kobiety po prostu takie już są".

Pewnego popołudnia w klinice leczenia niepłodności Johnson asystowała Gilpatrickowi, gdy umieszczał wziernik w pochwie pacjentki. Błyszczący metal w kształcie lejka miał na końcu malutką żaróweczkę – zupełnie jak światełka bożonarodzeniowe – która nie chciała się zapalić. Gini odsunęła się i ocierając się nieznacznie o lekarza, złapała za niepodłączony przewód.

– Och, panie doktorze, muszę pana włożyć – mruknęła, uśmiechając się jednocześnie niewinnie i nieco lubieżnie podczas umieszczania wtyczki w gniazdku.

Gilpatrick nigdy nie zapomniał jej żarcików. „Oczywiście była w tym pewna dwuznaczność, może przypadkowa, a może celowa – powiedział. – Oboje się zaśmialiśmy". Nawet jeśli Johnson wyczuła jego zainteresowanie, w pracy zachowywała profesjonalizm, zdając sobie sprawę z istnienia subtelnych granic społecznych. „Była pewna swojej seksualności i dało się to zauważyć – wspominał Gilpatrick. – Gini w pewnym sensie wyprzedzała swoje czasy".

Rekrutując nowych ochotników, Johnson dowiedziała się o romansach Gilpatricka, do których dochodziło podczas jego nocnych nocnych zmian w szpitalu, gdy jego żona zostawała z dwójką małych dzieci w domu. Kiedy dotarły ją słuchy, że lekarz chce dołączyć do projektu, przedstawiła mu propozycję. Zasugerowała, że następnym krokiem powinno być zbadanie reakcji seksualnych par nieznajomych, a Gilpatrick nie dał się długo namawiać.

Przy pierwszym eksperymencie naga kobieta położyła się obok Gilpatricka na podwójnym łóżku, rozprostowując nogi na równiutko rozłożonym prześcieradle w kolorze miętowej zieleni. Obfity biust, gładka i jasna skóra oraz dłonie pieszczące jego ciało – to wszystko widział po raz pierwszy.

– Przygotuj mnie – poprosiła.

Przed wejściem do sali Gilpatrick zdjął ubrania. Kiedy wyszedł za próg, pozbył się też ostatniego okrycia – cienkiego szpitalnego szlafroka. „Rozebraliśmy się oddzielnie – wspominał. – Gini przedstawiła nas sobie po imieniu". Potem Johnson wyszła z pomieszczenia i zapewne stanęła po drugiej stronie lustra weneckiego.

Zgodnie z tradycją naga kobieta miała na sobie tylko papierową torbę na głowie, podobnie jak on. Szybko doszli do wniosku, że muszą się pozbyć także ich. „Z początku ich używaliśmy, ale to było strasznie głupie", wspominał Gilpatrick. Przykrycie głowy sprawiało, że oddychanie, a zwłaszcza dyszenie stawało się bardzo trudne. Poza tym nigdy wcześniej się nie widzieli i było mało prawdopodobne, by jeszcze kiedykolwiek mieli się zobaczyć.

W przeciwieństwie do innych ochotników, Gilpatrick nie potrzebował sesji rozgrzewkowych, by poczuć się bardziej komfortowo. Już wiele razy wcześniej przebywał w tej sali, zajmując się pacjentkami jako lekarz rezydent. Wiedział dokładnie, gdzie znajdują się elektrokardiogram, przewody z czujnikami i lustro weneckie, zza którego wszystko obserwowali Masters i Johnson. „Wiedziałem, że na nas patrzą, ale nie mogę powiedzieć, by mnie to niepokoiło –

wspominał. – Robiłem to w imię nauki". Wierzył w Mastersa wystarczająco mocno, by bez cienia wątpliwości dołączyć do projektu. Zdawał sobie sprawę, że gdyby plotki o jego udziale w eksperymencie wyciekły, mógłby się pożegnać z karierą. Pomyślał jednak także i o tym, że przecież wielu ogromnych odkryć dokonano dzięki podjęciu pewnego ryzyka, i zdecydował, że też je podejmie, nawet jeśli miało się to łączyć z byciem podglądanym. „Nie wyobrażałem sobie, by Bill stroił sobie z tego żarty – stwierdził Gilpatrick. – Wydaje mi się, że ważny był dla niego tylko fakt badania nieznanej dotąd fizjologii oraz możliwość zdobycia dzięki temu Nobla albo innej nagrody".

Gilpatrick, który uważał się za zdrowego i jurnego Amerykanina, nie miał najmniejszych problemów z osiągnięciem wzwodu w warunkach laboratoryjnych. Jednak prośba jego nagiej partnerki o „przygotowanie" – czyli sensowną próbę podjęcia gry wstępnej – zdecydowanie przerosła jego ograniczone umiejętności. „Dowiedziałem się później, że chociaż byłem żonaty, pozostawałem raczej niedoświadczony", przyznał. Kobiety towarzyszące mu wielokrotnie w czasie półgodzinnych sesji nie starały się naprowadzić go na właściwe tory. Być może same nie miały za sobą zbyt wielu doświadczeń. „Nie przypominam sobie żadnej rozmowy, prócz komentarzy na temat pogody – powiedział. – Nic w stylu »tak jest dobrze« czy »zrób to i to«".

Zza lustra weneckiego dało się słyszeć uwagi Gini Johnson, która patrzyła, jak Gilpatrick wściekle pompuje swoje partnerki. Jej instrukcje dotyczyły czujników i innych urządzeń rejestrujących reakcje ciała, które mogły zostać odłączone w trakcie wygibasów na materacu. Po obejrzeniu dość śpiesznego stosunku Gilpatricka i jednej z jego partnerek, Johnson delikatnie zwróciła mu uwagę. „Następnego dnia zapytała, czy mógłbym robić to nieco dłużej – wspominał. – Może nie byłem takim ogierem, jakiego szukali".

Twarze, ciała, głosy i zapachy ochotniczek, które uprawiały seks z Gilpatrickiem, anonimowych kobiet tuż przed trzydziestką i tuż po niej, po latach stały się jedynie niewyraźnym wspomnieniem. Dobrze zapamiętał tylko jedną z nich, ciężarną kobietę, zapewne pannę,

z Oklahomy, która przyjechała do St. Louis załatwić oddanie dziecka do adopcji. W międzyczasie Bill i Gini namówili ją na uczestnictwo w badaniu, zapisując aktywność bioelektryczną jej macicy podczas orgazmu, by później porównać ją z odczytami z porodu. „Miała jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat i najprawdopodobniej uczyła się w college'u – wspominał Gilpatrick. – Jej lekarz z Oklahomy znał Billa i zasugerował, że dziewczyna może się zgodzić". Gilpatrick nie miał nic przeciwko stosunkom z ciężarną. Biorąc pod uwagę jej wystający brzuch, zdecydowali się na typową pozycję misjonarską w wersji „nieco trzy czwarte". „Nie urosła na tyle, by stało się to niewygodne. Była może w czwartym czy piątym miesiącu – opowiadał. – Raczej nie zdecydowalibyśmy się na to w siódmym lub ósmym, bo wiązałoby się to z ryzykiem przedwczesnego porodu". Kiedy Gini zapytała Gilpatricka o udział w eksperymencie, już „od jakiegoś czasu" zajmowali się tym tematem.

Dlaczego dziewczyna z Oklahomy zgodziła się na udział w badaniu Mastersa i Johnson? Czyżby to właśnie ciąża i sytuacja finansowa wpłynęły na jej decyzję? I czy w trakcie rekrutacji – przeprowadzanej rozmyślnie, jak zapewniali sceptyków Bill i Gini, by odsiać nieodpowiednich kandydatów – wzięto pod uwagę możliwy psychologiczny wpływ seksu z nieznajomym na tę młodą kobietę?

Gilpatrick, człowiek medycyny, nie zadawał pytań. Jego fizyczna chęć odbycia stosunku z ładną, ciężarną dziewczyną z powiększonymi piersiami nie pozwalała na dywagacje. „Jestem pewien, że Bill i Gini dali jej odczuć, że w ten sposób wnosi coś do rozwoju nauki – wyjaśnił. – Sugerowali też, żeby nie dociekać personaliów osób biorących udział w badaniach. Ten nacisk na anonimowość pochodził raczej od Gini, nie od Billa".

Kilka miesięcy później, na początku 1958 roku, Gilpatrick asystował jako lekarz rezydent przy porodzie młodej kobiety z Oklahomy. Matka i dziecko miały się dobrze, a szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że Masters miał szansę przeprowadzić dodatkowe badanie, porównując odczyt z elektrokardiogramu z porodu z tym zarejestrowanym podczas

seksu. „Aktywność bioelektryczna skurczów w trakcie rodzenia okazała się bardzo podobna do tych podczas orgazmu", wspominał Gilpatrick.

Przez kilka następnych lat Masters i Johnson przepytali sto jedenaście kobiet na temat ich doświadczeń seksualnych w trakcie ciąży i udało im się dojść do wielu cennych, przełomowych konkluzji. Ustalili między innymi, że stosunki w trakcie ciąży nie stanowią poważnego zagrożenia dla płodu, tym samym obalając stary mit. Ich badania dowiodły zwiększenia popędu płciowego u kobiet w trakcie pierwszych dwóch trymestrów. Dzięki przykładom z życia udało im się zaś szczegółowo opisać zmiany zachodzące w piersiach, zewnętrznych genitaliach i organach wewnętrznych w czasie ciąży.

Jednak tylko sześć brzemiennych kobiet zdecydowało się na udział w ich „anatomicznej i fizjologicznej ocenie reakcji seksualnej w czasie ciąży i połogu". Wszystkie były zamężne. Z tych sześciu ochotniczek cztery brały udział w eksperymencie przed zajściem w ciążę, w ten sposób umożliwiając porównanie skurczów miednicy w obu stanach. Z jakichś powodów Masters i Johnson postanowili w ostatecznym bilansie nie brać pod uwagę kobiety z Oklahomy.

Gilpatrick miał nadzieję, że współpraca z Mastersem pchnie jego karierę na właściwe tory, i tak też się stało. Po wygaśnięciu kontraktu w St. Louis Gilpatrick przeprowadził się z żoną i dziećmi z powrotem do Spokane w stanie Waszyngton, gdzie założył własny gabinet jako ginekolog oraz położnik, zajmując się także niepłodnością, endokrynologią i rakiem macicy. W połowie lat sześćdziesiątych pomógł w utworzeniu oddziału Planned Parenthood w Spokane i kontynuował karierę medyczną.

Czas poświęcony na udział w projekcie Mastersa i Johnson w życiu prywatnym przyniósł mu jednak nie tylko korzyści. „Miałem to głupie, egoistyczne przekonanie, że nawet gdyby moja żona się o tym dowiedziała, nie miałoby to żadnego znaczenia… A ostatecznie okazało się to poważnym problemem", wspominał Gilpatrick. Praca po godzinach zniszczyła łączące małżonków zaufanie. „Miałem w Spokane wiele romansów; kobiety te nauczyły mnie wielu nowych rzeczy.

Bardzo łatwo można było mnie uwieść", przyznał. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w weekendy zwykł pływać ślizgaczem – szybką motorówką mknącą po powierzchni wody – i w czasie różnych wydarzeń organizowanych na świeżym powietrzu podrywał kobiety. Jego epizodyczny udział w badaniu seksuologicznym oraz weekendowe przygody miały konsekwencje, których się nie spodziewał. „Myślę, że w pewien sposób ogromnie to na mnie wpłynęło i zniszczyło moje pierwsze małżeństwo – wyjaśniał. – Człowiekowi się wydaje, że nikt o niczym nie wie". Okazało się, że prawie wszyscy znajomi, nawet jego dzieci, zdawali sobie sprawę z jego niewierności.

Przed wyjazdem z St. Louis Gilpatrick miał nadzieję na romans z pewną kobietą, do którego nigdy nie udało mu się doprowadzić. Chodziło oczywiście o Gini Johnson. Miał do niej słabość od lat, ale nigdy nie zebrał się na odwagę, by spotkać się z nią poza szpitalem. Kilka lat po wyjeździe z St. Louis Gilpatrick wrócił na Uniwersytet Waszyngtoński na przyjęcie na cześć Willarda Allena, kierownika wydziału, który odegrał tak istotną rolę w karierze Mastersa. Wielu lekarzy rezydentów i pielęgniarek pracujących pod zwierzchnictwem Allena, giganta w dziedzinie ginekologii i położnictwa, obiecało się tam pojawić. Niestety Bill nie mógł.

Gilpatrick zadzwonił do Gini i zapytał, czy chciałaby mu towarzyszyć. Zgodziła się.

W nocy, kiedy przyjęcie już się skończyło, Gilpatrick zawiózł swoją partnerkę do domu i odprowadził ją pod drzwi. „Zabrałem Gini do jej mieszkania, a potem pocałowałem i uścisnąłem na dobranoc – wspominał po latach. – Powiedziałem, że powinniśmy byli to zrobić wcześniej. Gini stwierdziła, że zdawała sobie sprawę z mojej seksualnej aktywności, ale zdecydowanie nie był to dobry czas, żeby do tego wracać". Nie naciskał na dodatkowe wyjaśnienia i się pożegnał. Johnson zapamiętała Gilpatricka raczej jako przyjaciela i młodego asystenta Mastersa niż ochotnika biorącego udział w ich projekcie. „Był nam bardzo bliski – powiedziała. – Też go lubiłam, ale nie w ten sposób, bo zawsze skupiałam się na pracy".

Johnson unikała zbyt bliskich kontaktów z ludźmi uprawiającymi seks w ramach badań, pamiętając o zjawisku nazwanym przez Freuda „przeniesieniem" – psychologicznej projekcji miłości i silnych emocji, jakiej doznawał pacjent w stosunku do swojego terapeuty. Wśród wszystkich nagich mężczyzn i kobiet w klinice, pośród obserwacji stosunków i onanizmu, mimo znajomości ich największych sekretów, Gini zawsze zachowywała profesjonalny dystans. „Byłam ciekawa i nic nigdy mnie nie odpychało – opowiadała. – Moja praca polegała na wyjaśnianiu, pomaganiu i nieprzejawianiu żadnego osobistego zainteresowania".

Kiedy Gilpatrick odszedł spod mieszkania Gini, nie zdobywając pozwolenia na więcej niż pocałunek, wyczuł, że chodziło o coś więcej. Chociaż ona i Bill publicznie zawsze odnosili się do siebie chłodno, nie dając po sobie poznać, by cokolwiek ich łączyło, tamtej nocy Gilpatrick czuł na plecach oddech Mastersa. „Zdawałem sobie sprawę, że nawet jeśli nie byli parą, zapewne kiedyś nią będą".

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Noah

Na improwizowanej randce w ciemno Gini Johnson poznała sędziego Noaha Weinsteina, mężczyznę prawie dwadzieścia lat od niej starszego. Do spotkania doszło mniej więcej wtedy, gdy Virginia została asystentką doktora Williama Mastersa na Wydziale Ginekologiczno-Położniczym Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Udawało jej się widywać z Noahem w weekendy albo po godzinach jej pracy w klinice. Ich związek zdawał się mieć nikłe szanse powodzenia, a jednak wkrótce stał się poważny. „Starszy mężczyzna, ale świetny w łóżku. Bardzo pomysłowy i zabawny", wspominała go Virginia.

W przeciwieństwie do jej wcześniejszych partnerów, Noah nie należał do mało pewnych siebie, nijakich mężczyzn, którzy stawali się popychadłami innych, w tym samej Gini. Noah skończył prawo na Uniwersytecie Harvarda, a potem pracował jako adwokat przez dwadzieścia lat, aż do czasu, kiedy gubernator Missouri powołał go na stanowisko sędziego. Jako szanowany sędzia stał się znany jako „kula armatnia sądu", reformując system sądowniczy orzekający w sprawach nieletnich i żądając adwokata z urzędu dla najbiedniejszych. Był też pionierem w doradztwie dla par występujących o rozwód.

Noah został wychowany jako żyd w małych miasteczkach w Kansas i w zachodnim Missouri, niedaleko Golden City, gdzie jego wyznanie i pochodzenie było solą w oku bigoteryjnych chrześcijan, którzy chcieli

go bić w imię Chrystusa. Weinstein dorastał w czasach, gdy w Ameryce odrodził się Ku Klux Klan, i nie bał się mówić otwarcie o swoich żydowskich korzeniach. Był jednak na tyle postępowy, by w ramach śniadaniowej deklaracji niezależności jeść bekon, co stanowiło pogwałcenie praw ortodoksyjnych żydów. „Tam, gdzie się wychowywał, nie było ich zbyt wielu – wspominała najmłodsza córka Weinsteina, Joan Froede. – Większość z nich zajadle walczyła o swoją religię, by potem w ogóle nie stosować się do jej zasad".

Noah robił na Gini dobre wrażenie; dał jej stabilizację, której bardzo potrzebowała po dwóch nieudanych małżeństwach i przy dwójce dzieci. Z pewnością traktował swoją karierę poważniej niż George Johnson. Gini nie wybierała mężczyzn według jednego standardu. „U różnych partnerów podobały mi się różne rzeczy – wyjaśniała. – Zawsze przyciągali mnie ludzie sukcesu, ale z pewnością moi partnerzy nie stanowili jednego typu". Ze względu na przeszłość, oboje czuli się niepewnie. Ich pierwsza randka odbyła się zaledwie kilka miesięcy po rozwodzie Gini. Nieco więcej czasu upłynęło, odkąd Noah i jego dwie nastoletnie córki pogodzili się ze stratą Leny, która zmarła rok wcześniej. „Virginia była pierwszą kobietą, z którą spotykał się na poważnie, a na pewno pierwszą, którą mi przedstawił", zaznaczała Joan, która poznała Gini, kiedy wróciła do domu z college'u. Po takiej ilości smutku, jakiego doświadczyli, córki Noaha z ulgą przyjęły zmianę jego dotychczas ponurego nastroju. „Myślę, że to była miłość", stwierdziła Joan.

Między Gini i Noahem istniały wyraźne różnice. On był niezbyt wysoki, ale na tyle krępy, by sprawiać wrażenie silnego. Zbliżał się powoli do sześćdziesiątki, więc jego włosy z każdym dniem stawały się coraz rzadsze i bielsze. Podwójny podbródek często zakrywał kozią bródką. Głęboko osadzone oczy sędziego wydawały się zmęczone, a skóra postarzała. Między grubymi, mięsistymi ustami wisiała wiecznie dymiąca fajka. Noah wydawał się dziwnym wybrankiem dla kobiety po trzydziestce, której inteligencja i energia przyciągały znacznie młodszych. Sprawiał wrażenie zauroczonego nową

towarzyszką, której kobiecy styl doceniły jego nastoletnie córki. „Uważał, że jest niezwykle atrakcyjna – wyjaśniła Joan. – Pamiętam, że miała brązowe włosy, często zaczesane do tyłu. Należała zapewne do tych kobiet, które chciałyby zgubić kilka kilogramów, ale w tamtych czasach jej figura była w sam raz. Virginia miała w sobie dużo ciepła".

Pewnego wieczoru w restauracyjnej łazience Gini okazała zaufanie Joan. Virginia miała na sobie czarną letnią sukienkę z topem podnoszącym jej biust akurat tyle, by nieco go pokazać. „Moja sukienka jest zbyt ciasna", jęknęła, kiedy zamknęły się za nimi drzwi toalety.

Joan pomogła Gini zdjąć kształtujący sylwetkę top, by ta po kilku poprawkach znowu mogła go założyć. „To była jedna z tych sukienek, które są nieco za małe, ale wstrzymujesz oddech i zasuwasz suwak, żeby za pół godziny bardzo tego żałować", wyjaśniła dorosła już Joan. Niemniej jednak poczuła się doceniona i dumna, że nowa dziewczyna jej ojca okazała jej takie zaufanie.

W towarzystwie córek Noaha Gini zachowywała życzliwy, ale pełen szacunku dystans. Nigdy nie mówiła o swojej pracy ani o zadaniach, które wykonywała z Billem Mastersem. W podmiejskim domu Weinsteinów starała się zachowywać przyzwoicie i zaledwie sugerować większą zażyłość. „W mojej obecności podchodziła do niego z rezerwą – wspominała Joan. – W tamtych czasach ludzie nie byli wylewni w towarzystwie. Chciałam, żeby się ożenił. Moim zdaniem ludzie nie powinni być sami. Nie przejmowałam się całą sprawą, bo rzadko bywałam w domu".

Pewnego niedzielnego poranka, kiedy młoda Joan wyjechała do college'u, jej siostra, Lois, zjawiła się bez zapowiedzi w domu ojca. Wcześniej tego samego roku wyszła za mąż i mieszkała niedaleko. Tamtego dnia w swoim starym łóżku znalazła niespodziankę. „Zobaczyła Virginię śpiącą w oddzielnej sypialni. Niesamowite, że się na to zdecydowali – powiedziała Joan, która dobrze pamięta opowieść Lois, zmarłej dwanaście lat później na raka piersi. – Moja siostra, o wiele bardziej obeznana życiowo niż ja, była zbulwersowana". Incydent mógł mieć bardzo niewinne podłoże i może Gini zgodziła się

spać w pustym pokoju córki Noaha, żeby nie prowadzić samochodu późną nocą. A może usłyszała Lois u progu i pobiegła do jej pokoju, by udawać, że wcale nie spędziła nocy w łóżku Noaha. Cokolwiek się wydarzyło, widok niemal nagiej kobiety zaskoczył Lois, która zdusiła krzyk i odeszła, nie budząc gościa.

Uczucie Gini musiało pokonać o wiele poważniejsze przeszkody niż sypialniana farsa. Z powodu swojego wieku Noah niechętnie podchodził do idei ponownego ojcostwa i przysposobienia córki oraz syna Gini. „Nie chciał dzieci i nie rozmawiał na ten temat", wspominała Virginia. Mimo to starał się zrobić na nich wrażenie. Pewnego razu zabrał je do pobliskiego wesołego miasteczka i towarzyszył na jednej z kolejek – wszystko po to, by pokazać, jak zależy mu na ich matce. Religia również sprawiała parze kłopot. W St. Louis żydowskie pochodzenie Noaha pozostawało istotną kwestią w jego staraniach o reelekcję sędziowską, a sędzią był przez ostatnich osiem lat i chciał nim być do końca życia. Stanowiło to prawdziwy paradoks, bowiem nie uważał się za praktykującego żyda. Bez względu na uczucia wobec Gini bał się, że ożenek z podwójną rozwódką, wiele lat od niego młodszą, będzie miał wpływ na jego elektorat. „Chodziło o politykę; właściwie wspominał mi o tym – opowiadała Joan. – Gdyby ożenił się z nieżydówką, mógłby narazić się swoim żydowskim wyborcom. Mogliby uznać, że zachował się niehonorowo, żeniąc się z rozwódką innego wyznania".

Jednak ostatecznie parę podzieliły nie dzieci czy religia, ale inny mężczyzna. Nazywał się Bill Masters. Kiedy praca Gini przy projekcie stała się bardziej wymagająca – godziny pracy wydłużały się, a jej poświęcenie dla badań seksualnych rosło – Noah z pewnością poczuł dominację Billa w życiu swojej partnerki. Nie okazywał otwarcie zazdrości ani nie namawiał Gini do porzucenia kariery. Nigdy też nie krytykował ani nie oceniał jej pracy jako niekobiecej albo zbyt ryzykownej, chociaż jako sędzia zdawał sobie sprawę z potencjalnych naruszeń prawa, choćby angażowania prostytutek czy obserwowania ludzi uprawiających seks. „Był bardzo otwarty i nic go nie szokowało –

wyjaśniła Joan, która kiedyś z ojcem odwiedziła Gini w klinice. – Miał szerokie horyzonty".

W czasie jednego ze spotkań w domu Weinsteinów, usytuowanego na Warson Road, niedaleko mieszkania Gini, sędzia rozmawiał swobodnie z nią i Billem, dyskutując na temat propozycji tytułu książki, którą kiedyś mieli napisać. Sugestie Billa i Gini były nudne, wyjęte żywcem z języka medycznego.

– A może po prostu *Seks*? – zapytał dowcipnie Noah.

Wszyscy zaśmiali się radośnie w odpowiedzi, rozumiejąc, że takiego tytułu w tamtych czasach wybrać nie mogli.

Niczym adwokat na sali sądowej, który nawet w chwili odprężenia nie zapominał o przeciwniku, Noah cały czas postrzegał Billa jako swojego konkurenta. „Wyczuwałam, że nie przepada za Billem – powiedziała Joan. – Może chodziło o męskie sprawy i uważał go za potencjalne zagrożenie".

Relacja Gini i Billa zdawała się nie wykraczać poza szpital, a praca wyglądała jedynie na dobry sposób na opłacenie studiów. Jako lekarz skupiony wyłącznie na karierze, Bill wydawał się bardziej związany ze szpitalem niż z żoną i dziećmi żyjącymi na przedmieściach. Wydawał się człowiekiem, który mógłby spędzić z Gini cały dzień i nigdy się nie uśmiechnąć. Pod tym względem Noah był jego przeciwieństwem. „Od Billa Mastersa nie bił nawet cień ciepła – wspominała Joan. – Za to biło ono od mojego ojca w stronę Virginii, co wiele mówiło. Był bardzo spiętym człowiekiem, ale w jej towarzystwie nieco się rozluźniał. Miała na niego bardzo dobry wpływ".

Noah Weinstein wydawał się świetnym partnerem dla Virginii.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Maski

Po śmierci męża Estabrooks Masters (według jej najstarszego syna) wyraźnie się zmieniła. Matka Billa nie unikała już towarzystwa, jak kiedyś, gdy bała się narazić mężowi tyranowi. Ta drobna, ale pełna życia kobieta grywała w brydża i znalazła małą grupkę przyjaciół. Podeszła do nich z entuzjazmem neofity, niczym ktoś, kto pozbył się ogromnego ciężaru. „Oczywiście bardzo cieszyła się z końca domowej tyranii", napisał później Bill w swoich niepublikowanych dziennikach. Zawsze z niechęcią odnosił się do mężczyzn mających tak wielką władzę nad kobietą, zwłaszcza w odniesieniu do jego matki. Kiedy Estabrooks przeniosła się do mieszkania w St. Louis – żeby być bliżej swojego syna, Libby i ich dzieci – zmieniła się już w „zupełnie inną osobę niż tę, którą znałem jako nastolatek. Tak naprawdę miałem dwie matki", wyznał Bill.

W Szpitalu Położniczym widok Estabrooks stał się dla pracowników Billa chlebem powszednim, czego nie można było powiedzieć o widoku jego żony. Matka mieszkała wystarczająco blisko, żeby syn i jego współpracownicy od czasu do czasu wpadali na późną, domową kolację. Cramer Lewis, który filmował stosunki seksualne w klinice, często towarzyszył Billowi i Gini w czasie tych posiłków. „Jeśli kończyliśmy pracę, powiedzmy, o dziesiątej wieczorem, mogliśmy wpaść do niej, a ona szykowała nam jedzenie", opowiadał Lewis.

Pewnego wieczora, kiedy Bill i reszta rozmawiali o pracy, Estabrooks wszystkiego się domyśliła, choć starali się zachować dyskrecję. Zamiast się zdenerwować, matka Billa zaproponowała im bardzo praktyczną pomoc.

– Och, te biedne kobiety! – wykrzyknęła, wyobrażając sobie ochotniczki bez cienia prywatności. – Potrzebują czegoś, by zakryć sobie twarze!

W ciągu kilku dni zaprojektowała i uszyła maski dla ochotników, by mogli zakładać je w trakcie współżycia. Powstały z tego samego jedwabiu, co muszki Billa, i zastąpiły papierowe torby oraz poszewki z wyciętymi dziurami na oczy.

Bill doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak jego badania są odbierane przez osoby trzecie, dlatego starał się zachować w pracy poczucie godności. Nawet w najgorętsze, najwilgotniejsze letnie dni nigdy nie luzował muszki ani nie zdejmował laboratoryjnego kitla. Jego reputacja doskonałego fachowca, chłodne usposobienie oraz oddani współpracownicy zapewniały mu niezbędną ochronę. W domu rządził jako wszystkowiedzący ojciec, podczas gdy Libby grała rolę królowej, gospodyni oraz kochającej żony. W opinii gości odwiedzających ich urządzony w holenderskim stylu kolonialnym dom w Ladue, Libby dobrze czuła się w swojej roli. „Libby była mamą z przedmieścia, bardzo poprawnie zachowującą się osobą", wspominała Sandra Sherman, żona doktora Alfreda Shermana, współpracownika Billa na Wydziale Ginekologiczno-Położniczym. Jej opinia o ich małżeństwie ukształtowała się pewnego wieczoru, kiedy Shermanowie zostali zaproszeni do Mastersów na małe przyjęcie. Bill powitał ich w progu, podczas gdy inni goście właśnie zdejmowali wierzchnie okrycia.

– Wejdźcie i połóżcie płaszcze na łóżku – zaprosił Bill uprzejmie, pokazując im główną sypialnię i przechodząc do kolejnych przybyszów.

Sandra i Alfie poszli za jego radą. W sypialni Sandra zauważyła coś dziwnego. „Mieli oddzielne łóżka. Pomyślałam sobie: »Dobry Boże! I on ma uczyć seksu?«". Sandrze widok dwóch łóżek w sypialni Mastersów wydał się osobliwy. Przyjaciel Billa, Mike Freiman, pamięta spotkanie,

na którym pojawił się także doktor John Rock, lekarz z Harvardu i ekspert w leczeniu niepłodności, znany z wynalezienia pigułki antykoncepcyjnej. Dla Freimana i innych pracowników Uniwersytetu Waszyngtońskiego zbliżenie się do Billa oznaczało szansę na poznanie Rocka i innych poważanych lekarzy. Wszyscy zaczęli od koktajli u Gini, a potem przenieśli się do domu Billa i Libby na kolację. „Zachowywali się serdecznie i poprawnie, bardzo prezbiteriańsko – wspominał Freiman, mając na myśli Mastersów. – Bill był porządnym dżentelmenem z porządnym małżeństwem i porządnymi dziećmi uczęszczającymi do porządnej szkoły. A Johnson była jego współpracownicą".

W ciągu kilku następnych lat Gini nauczyła się żargonu medycznego i zachowywała się w laboratorium jak prawdziwa profesjonalistka. Nie dało się przecenić jej wagi dla projektu, w którym pięćdziesiąt procent uczestników (nie licząc prostytutek) stanowiła płeć żeńska. Jak napisał później Masters, Virginia „udzielała niezbędnych rad" kobietom, aby „poczuły się pewnie w swojej seksualności" i potrafiły „rozprawiać swobodnie o tym, co dotychczas stanowiło bardzo intymne przeżycie". Bill coraz częściej doceniał sugestie Johnson. Intensywność ich dyskusji zapadała w pamięć. „Pewnego dnia przyszli do mnie po swoich badaniach – wspominał Freiman. – Byli wykończeni i właśnie omawiali istotę orgazmu". Bill wydawał się uświadamiać Virginię, korzystając ze swojej klinicznej wiedzy na temat kobiecej reakcji seksualnej. Gini jednak siedziała niecierpliwie i przewracała oczami, aż w końcu nie wytrzymała.

– Cóż, czas, byś sobie przypomniał – zawołała – że to ja jestem kobietą, a nie ty!".

Bill przyznał, że bywał ślepy na oznaki uczucia. „Moim zdaniem najważniejszą rzeczą, jaką zawdzięczam Gini – powiedział później – jest to, że zwróciła moją uwagę na wiele aspektów kobiecej osobowości psychoseksualnej. Zadanie nie było łatwe, ponieważ na samą myśl o tym temacie podnosiło mi się ciśnienie w mózgu". Wyszukana terminologia Billa wymagała przekładu. Gini okazała się darem niebios,

tym samym zdobyła zasłużone miejsce obok Mastersa. „Gini pracowała bardzo ciężko, żeby nauczyć się jak najwięcej i jak najszybciej", napisał później.

Virginia stała się asystentką Billa nie tylko w pracy zawodowej. Towarzyszyła jemu i jego żonie w trakcie zbiórki pieniędzy dla szpitala oraz wyjazdów sponsorowanych przez wydział. „Przechodzili przez próg jako trio – wspominała Sandra Sherman. – Czułam, że jest w tym coś więcej. Niektórzy mężczyźni potrzebują haremów".

W trakcie pogawędki przy stole Sandra poznała obie kobiety. Podobała jej się Gini, żywa rozmówczyni i uważna słuchaczka. Jej ubiór i zachowanie nie wykraczały poza społeczne normy przyjęte przez lekarzy i ich żony, ale wiedziała, jak się wyróżniać. „Ubierała się ze smakiem, choć zawsze nieco bardziej kolorowo niż Libby", wyjaśniła Sandra.

Przyjaciele zastanawiali się, co o tym wszystkim myśli sama Libby Masters. Jak mogła nie dziwić jej decyzja męża, by na takie specjalne okazje przyprowadzać inną kobietę? Bez względu na to, jak gorąco Bill zapewniał o swojej niewinności i jak serdeczna, niegroźna wydawała się Gini, Libby z pewnością podejrzewała, że relacja męża i asystentki wykracza poza zawodowe ramy. „Była bardzo inteligentna – opowiadała Sandra o Libby. – Musiała zdawać sobie z tego sprawę".

Chociaż na wieczorne posiłki u Estabrooks Masters zaproszeni zbyli także współpracownicy Mastersa, w niektóre wieczory na kolację przychodzili jedynie Bill i Gini. W trakcie prowadzenia zawiłych badań nad seksualnością nieustannie pojawiała się potrzeba dyskusji i ewaluacji. Po normalnej dziennej zmianie w szpitalu dwójka naukowców jadła wspólnie obiad, czekając na ochotników, którzy przychodzili na wieczorne eksperymenty. Bill bez końca przypominał o niebezpieczeństwach czyhających na projekt i o konieczności unikania silnych emocji mogących ujawnić się w każdej chwili. Pacjentów należało chronić przed każdym naruszeniem prywatności, a niewielki zespół badawczy nie mógł w trakcie sesji pozwalać sobie

nawet na najmniejsze lubieżne myśli. Wymagany był doskonały profesjonalizm, bez żadnych uchybień.

Jednak nieustanne obserwowanie par spółkujących w laboratorium elektryzowało i Gini, i Billa. W trakcie eksperymentów, ubrani w białe fartuchy, spoglądali na ochotników surowym okiem, ale intensywne emocje z wieczora przekładały się później na ich dyskusje o tym, co danego dnia zobaczyli. Widok mężczyzn i kobiet wijących się na materacu, ich pocałunków i pieszczot; ciepłe, piżmowe zapachy z sali laboratoryjnej, wymieszane z wonią perfum i wody kolońskiej; dokonujący się na ich oczach pełen żądz spektakl złączonych ciał wreszcie obaliły mury, które Bill wzniósł wokół swojego projektu. Kiedy wszyscy wracali już do domów, teoretyczne rozważania Billa i Gini na temat technik seksualnych i ich pacjentów szybko przechodziły w rozmowę o tym, czego oni sami mogliby się nauczyć. Nie minął nawet rok, kiedy Bill zaproponował istotną zmianę w ich relacjach zawodowych. Seks stał się dla Virginii Johnson częścią pracy.

Obawiając się, że tego rodzaju przyciąganie może doprowadzić do nieprzyzwoitego „przeniesienia" na pacjentów, Bill zasugerował, by prowadzący badania sami wzięli udział w eksperymencie, a buzujące hormony skierowali na siebie nawzajem. W jego ustach brzmiało to jak skorzystanie z wentyla bezpieczeństwa w pędzącej lokomotywie, żeby uniknąć poważnej eksplozji na torach. Tłumaczył, że lepiej pozbyć się narastającego w nich napięcia dyskretnie niż ryzykować nawiązanie relacji z pacjentem albo niezdrowe zainteresowanie. Być może wiedza Gini na temat teorii Freuda o przeniesieniu wydawała się wygodną wymówką dla Mastersa. A może zaalarmowało go niestosowne zainteresowanie okazywane Gini przez pacjentów płci męskiej? Swoją propozycję wygłosił tak samo, jak wszystkie inne – poważnym głosem profesjonalisty przedstawiającego tę sugestię jako logiczny, obiektywny i symboliczny sposób poszerzenia ich wiedzy naukowej. „Wytłumaczył mi to tak, że miało sens – wyznała po latach Virginia. – Wszystko, co robiliśmy z Mastersem, zazwyczaj formułowane było w języku naukowym. Kiedy zaproponował rozpoczęcie współżycia, powiedział,

że nigdy nie możemy identyfikować się z naszymi pacjentami i musimy skupić się na sobie nawzajem. Podał to jako powód, by się do siebie zbliżyć. Przebywając w intensywnie seksualnym środowisku, gdzie cała uwaga i wszystkie działania są skupione na seksie, nie można nawiązywać jakichkolwiek relacji z pacjentami. I nigdy tego nie zrobiliśmy. Wielu lekarzy się tego dopuszczało i dopuszcza, ale to niezwykle groźne. Powinni się tego wstydzić".

Zdaniem Billa dzięki własnemu zaangażowaniu mogli wypróbować najbardziej efektywne metody osiągania orgazmu albo opóźniania wytrysku. Zamiast polegać wyłącznie na dokumentacji fotograficznej, mogli sami się przekonać, jak naprawdę wygląda „powierzchniowa reakcja ścianek pochwy na wzrastające podniecenie seksualne" – którą oni nazwali „seksualnym nawilżeniem". Dzięki temu mogli ją dokładniej opisać. Masters przedstawił swój pomysł jako zadanie przedsiębrane w imię nauki, wpisujące ich na długą historyczną listę naukowców biorących udział we własnych badaniach.

Pewnej nocy, po wyjściu ich ostatniego pacjenta, doktor Masters i jego asystentka rozebrali się i na pojedynczym łóżku, przykrytym szpitalnym prześcieradłem w kolorze zielonym, sprawdzili na własnej skórze badane przez siebie reakcje fizjologiczne. Virginia Johnson, niemająca na karku nawet trzydziestu pięciu lat, z pewnością bardzo się swojemu szefowi podobała – była zmysłową i wyzwoloną kobietą pełną werwy, jednak przywiązującą wagę do szczegółów i bardzo przydatną w biurze. Zdjąwszy muszkę i wykrochmaloną koszulę, Bill pokazał krępe ciało byłego sportowca, który przez lata nie stracił formy. W tamtej chwili wiedział dokładnie, czego chciał, i wyciągnął po to rękę. Choć nie mieli już na sobie ubrań, polecił Gini zachowanie profesjonalizmu. Ich stosunki miały nie wykraczać poza ramy celów badawczych, gdzie czyhały obszary pogmatwanych emocji. Gini, decydując się w imię nauki na kontakty seksualne ze swoim szefem, po raz kolejny udowodniła swoje poświęcenie dla projektu.
A przynajmniej tak uważał Bill. „Nie łączyły nas żadne uczucia –

wspominała Virginia. – Bill starał się zrobić ze mnie idealną partnerkę do badań. Właśnie tak to przedstawiał".

W Szpitalu Położniczym koledzy Mastersa podejrzewali go o romans z asystentką (zdarzały się one zresztą wielu lekarzom i pielęgniarkom), ale nikt nie mówił niczego na głos. Niektórzy uważali, że była to inicjatywa Gini, rozwódki liczącej na złapanie wpływowego lekarza na swoje lasso. Ci, którzy znali badania Billa – polegające na obserwowaniu setek stosunków seksualnych odbywanych w laboratorium – twierdzili, że przytłoczyło ich to i zniszczyło resztki obiektywizmu. Doktor Roger Crenshaw – psychiatra, który później dołączył do swojej żony terapeutki w klinice – usłyszał o wszystkim w trakcie prywatnej rozmowy z Billem. „Jako terapeuta widziałem swojego pacjenta nago tylko przy badaniu, ale związek Billa i Virginii rodził się w otoczeniu prawdziwego seksu i zdaję sobie sprawę, gdzie narosło wysokie napięcie, któremu musieli dać upust", wyjaśnił. Mike Freiman, równie bliski Billowi, co Gini, twierdził, że tę dwójkę połączyła seksualna energia płynąca z eksperymentów. „To było jak oglądanie ogiera i klaczy: każdy się tym podnieca – wspominał. – Zajmowali się bardzo podniecającymi rzeczami. Nikt też nie wątpił, że dość wcześnie zaangażowali się emocjonalnie i seksualnie". Jeśli Freiman potrzebował jeszcze ostatecznego potwierdzenia, otrzymał je na swoim ślubie, który miał miejsce w 1961 roku. Po ceremonii Mike i jego świeżo poślubiona małżonka tuż przed wyjazdem na miesiąc miodowy zatrzymali się w motelu blisko szpitala. Freimanowie udali się do restauracji na piętrze i po kilku drinkach wrócili do swojego pokoju na parterze. Kiedy Mike szukał klucza, usłyszał nieopodal hałas – i nagle w drzwiach obok pojawili się Bill i Gini.

Jednak te domysły nie stanowią całej historii. Z początku oboje zgadzali się na postawione warunki i z pewnością Gini nie pełniła roli inicjatorki, jak zakładali niektórzy lekarze z kliniki. Zamiast tego istniało wymuszone porozumienie, do którego żadne nie chciało się przyznać. Ich najbliższy współpracownik, doktor Robert C. Kolodny, z którym mieli do czynienia przez dwadzieścia lat i z którym wspólnie

napisali kilka książek oraz publikacji medycznych, zastanawiał się nad stworzeniem ich biografii i zaczął wypytywać o początki ich partnerstwa. Dopiero po kilku godzinach rozmów z Billem, którego uważał za swojego mentora i przyjaciela, a także po porównaniu jego opowieści z wersją Gini, Kolodny zdołał wszystko zrozumieć. „Bill bardzo jasno jej oznajmił, dość krótko po rozpoczęciu ich współpracy, że w ramach obowiązków zawodowych będzie musiała zostać jego partnerką seksualną – powiedział. – Uważał to za obopólne zaangażowanie. Przyznał, że inicjatywa była po jego stronie, a Gini wyraziła zgodę. Virginia postrzegała to jako spodziewany element obowiązków. Podejrzewam też, że gdyby nie przystała na ten warunek, nie popracowałaby zbyt długo. Założę się, że zdawała sobie z tego sprawę". Bill wymyślił sobie „projekt" (jak nazwał to Kolodny), który przewidywał kontakty seksualne z asystentką jako sposób na pogłębienie wiedzy o tym, czego uczyli się w trakcie obserwacji. Swoje warunki przedstawił na wczesnym etapie ich współpracy, kiedy Gini nie miała jeszcze nic do powiedzenia. Choć podzieliła się z Mastersem wieloma spostrzeżeniami, wciąż była tylko przyjacielską sekretarką z umiejętnością szybkiego pisania na maszynie, której nie traktował poważnie, dopóki nie zgodziła się na jego plan. Gdyby Gini nie przystała na propozycję, zdaniem Kolodny'ego „zostałaby zastąpiona kimś innym". W późnych latach pięćdziesiątych, na wczesnym etapie ich współpracy, „nie wniosła jeszcze niczego istotnego do projektu", wyjaśnił Kolodny. Dopiero kiedy nawiązali ten prywatny pakt, jej praca została doceniona. Bill wierzył, naiwnie i błędnie, że te kontakty nie wyjdą poza laboratorium. Mimo wspólnych kolacji nie okazywał emocjonalnego zaangażowania. Zdawał się nie zważać na swoją przysięgę małżeńską i związek Gini z sędzią Noahem Weinsteinem. Twierdził, że wszystko pozostanie między nimi i nikt się o niczym nie dowie. „Wątpię, by którekolwiek z nich uważało to za romans – podsumował opowieść o początku ich kontaktów Kolodny. – Dla nich był to tylko czysty seks".

Wiele lat później Gini zastanowiła się przez chwilę nad wspomnieniami Kolodny'ego, jakby usłyszała nieprzyjemną prawdę. Ponieważ ta wersja znacznie różniła się od tego, co przedstawiali wspólnie światu i wyjawiała o wiele więcej niż to, o czym ona sama opowiadała w wywiadach czy w rozmowach z dziećmi i rodzicami, a może nawet niż to, w co sama wierzyła, Virginia wydawała się zaskoczona. Kolodny był przyjacielem Billa – kimś, z kim nie zawsze się zgadzała i często sprzeczała. Emocje w jej głosie wyjawiły skrywany przez lata ból. „To wszystko przez Billa. Ja go nie chciałam – broniła się, a w jej zazwyczaj opanowanym głosie dało się słyszeć nutkę gniewu. – Miałam pracę i chciałam ją utrzymać".

Dla Virginii Johnson nagroda za entuzjazm i osobiste zaangażowanie okazała się imponująca – stanowisko badaczki na najbardziej prestiżowej uczelni w mieście, ekscytująca i wymagająca praca wysoko ponad jej kwalifikacje, a do tego dość pieniędzy, by samodzielnie wychować dwójkę dzieci. W 1960 roku nazwisko Gini pojawiło się obok Billa przy artykule *Kobieta: Anatomia reakcji seksualnej*, opublikowanym w czasopiśmie prowadzonym przez Towarzystwo Medyczne Stanu Minnesota. Było to niesamowite osiągnięcie dla kogoś takiego jak Gini; oto stanęła w szeregu z Marvinem Grodym, Willardem Allenem i innymi lekarzami z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, którzy współpracowali z Mastersem. Później pojawiły się kolejne publikacje medyczne sygnowane dwoma nazwiskami, a do tego poważne obowiązki i niezłe podwyżki. Wyraźne uznanie dla pracy Gini zdawało się przeczyć plotkom sugerującym, że jej udział w badaniu wykracza poza empiryczną obserwację w laboratorium. Później podziwiano Billa za wielkoduszność i postępowość, którymi to cechami wykazał się, dzieląc sławą z kobietą. Jednak za wszystkie te zaszczyty Gini musiała zapłacić cenę, o której nikt nie miał odwagi mówić. „Ciągle mnie nagradzał i chwalił – wyjaśniła Gini. – A ja nie miałam żadnych kwalifikacji".

Szczególnie kobietom z kolejnych pokoleń propozycja Mastersa może nie tylko wydawać się niestosowna, ale wręcz zakrawać

o molestowanie seksualne, za które Gini mogłaby pozwać Billa i tym samym położyć kres jego karierze. „Może to i było molestowanie, ale wtedy tak nie myślałam – wyjaśniała. – Miałam do czynienia z wysoko postawionym lekarzem". Pod koniec lat pięćdziesiątych świeżo zatrudnione sekretarki nie oskarżały najlepszych lekarzy w szpitalu o niestosowne zachowanie. Wiele z nich nie sprzeciwiało się propozycjom szeptanym przy obiedzie. A gdyby nie zgadzały się na specyficzne nadgodziny, szybko straciłyby posady, zmuszone do rezygnacji lub zwyczajnie zwalniane.

Gini zapisała się na Uniwersytet Waszyngtoński, żeby poprawić swoje warunki życiowe po dwóch nieudanych małżeństwach i z dwójką dzieci pod opieką. Chciała i potrzebowała nowej życiowej szansy, jaką miało być wykształcenie. Powiedziała, że nie mogła sobie pozwolić na odrzucenie tej propozycji. Zmuszona do uległości przez sytuację i czasy, nie czuła się urażona tym (niemal) żądaniem ani nie unikała seksu z Billem. Zaakceptowała nowe warunki bez słowa sprzeciwu. „Nie, nie czułam się z tym dobrze – wyznała. – W ogóle mnie nie pociągał, nie byłam nim zainteresowana. Nie potrafię tego wytłumaczyć". Do tego czasu Gini zdążyła się przekonać, że życie seksualne kobiety przybierało różne formy. Fasada doskonałego profesjonalizmu była po prostu kolejną maską, którą chętnie założyła. Wiedziała, że nie może się nikomu zwierzyć ze swoich problemów. „Znalazłam się w trudnej sytuacji, a z pracy ciągle czerpałam korzyści – wspominała. – Ludzie pytali, dlaczego mnie zatrudnił, a on mówił: »Bo wie, skąd się biorą dzieci«".

Nienaturalne początki ich pożycia owocowały wieloma krępującymi momentami, szczególnie dla Gini i drugiej kobiety w życiu Billa – jego żony, Libby. Ich życie prywatne coraz ściślej się ze sobą łączyło. Gini Johnson nie była już okazjonalnym gościem na obiedzie, ale stałym bywalcem ich rodzinnego domu. Libby czasami zajmowała się również dziećmi Gini, kiedy ta wyjeżdżała z Billem z miasta na konferencje medyczne. „Kiedy zaczęliśmy podróżować, oddawałam córkę i syna pod

opiekę Libby – wspominała Virginia. – Nazywały ją »ciocią Lib«. Wspaniale się nimi zajmowała".

Libby, w pewnym sensie podobnie jak Gini, Bill potraktował niesprawiedliwie, stawiając ją tej sytuacji i nie dając zbyt wiele wolności. Jako czterdziestopięcioletnia matka dwójki dzieci, starsza od Gini, cieszyła się mniejszą niezależnością i posiadała mniejsze doświadczenie życiowe ograniczone do domowej codzienności. Podmiejska egzystencja Mastersów w Ladue wydawała się tak spokojna, że Libby nie chciała niczym jej zakłócać. Bała się ryzykować utratę rodziny, o którą tak walczyła, skoro nie miała nawet dowodów na niewierność męża. Lubiła Gini Johnson i od samego początku starała się z nią zaprzyjaźnić. Spotykając się z taką uprzejmością, Gini nie mogła oprzeć się urokowi Libby. Czasami, kiedy przebywały same, Libby starała się do niej zbliżyć jak kobieta do kobiety. Uznała, że Virginia poznała chłód i szorstkie obycie Billa, a do tego zapewne wiedziała znacznie więcej na temat jego zajęć w szpitalu.

Po pewnej wspólnej kolacji w czasie wakacji 1960 roku Libby i Gini odeszły od stołu, zostawiając Billa i jego matkę, Estabrooks, a także hałaśliwe dzieci. W zaciszu kuchni Libby zwierzyła się asystentce męża.

– Dokonałam słusznego wyboru, prawda? – zapytała.

Po piętnastu latach wspólnego życia zastanawiała się, czy popełniła błąd, wychodząc za Billa Mastersa! Bezpośredniość tego pytania przerosła Gini, która zaczęła się nerwowo wiercić i wzruszyła ramionami.

– Jejciu, Libby, skąd mam wiedzieć?

Żona Mastersa natychmiast się wycofała i wróciła do swoich obowiązków. Gini nie pomyślała, że Libby mogła próbować wymusić na niej potwierdzenie ich romansu. Jej bezpośredniość i szczerość w łamiącym się głosie sugerowały raczej, że naprawdę uważała Gini za dobrą i zaufaną przyjaciółkę.

„Złamał wszystkie zasady. Nie był ani trochę lojalnym mężem – wspominała Gini; twierdziła, że nie miała z tym wiele wspólnego. – Zawsze byłam blisko Lib. Tolerowała moją obecność, ponieważ on

nigdy nie tolerowałby jej obiekcji wobec mnie. Ich dzieci wołały na mnie »ciociu Gini«".

Podwójna moralność nie pasowała jednak sędziemu Noahowi Weinsteinowi. Spotykał się z Gini w 1959 roku, pojawiając się u jej boku na przyjęciach, na których obecny był również Bill Masters, więc często ze sobą rozmawiali. Z czasem sędzia zaczął wyczuwać coś niepokojącego. Jego koledzy politycy martwili się o przyszłość Weinsteina na sędziowskim fotelu i nie podobał im się jego związek. Dlatego też na własną rękę przeprowadzili pewne śledztwo. „Jeden z jego współpracowników zadzwonił do mnie i chciał wiedzieć, co wiem o Virginii Johnson ze względu na jej relację z sędzią Weinsteinem – wspominał doktor H. Marvin Camel, kolega Billa z Wydziału Ginekologiczno-Położniczego Uniwersytetu Waszyngtońskiego, który mógł jedynie potwierdzić profesjonalizm Virginii i o jej życiu prywatnym nie miał bladego pojęcia. – Chyba bali się, że Gini zniszczy jego reputację. Rozmawiałem z przyjacielem sędziego, któremu ktoś podał moje nazwisko. W tamtym czasie dość poważnie mówiło się o małżeństwie Gini i Noaha. I w tym tkwił problem".

Jednak do ślubu Gini i sędziego nigdy nie doszło. Zamiast tego w 1960 roku Noah poznał i wkrótce poślubił wdowę Sylvię Lefkowitz, a ich związkowi nie towarzyszyły żadne komplikacje, w tym wyznaniowe. „Była bardzo żywą kobietą i stanowiła doskonałą kandydatkę na żonę sędziego, ponieważ wiedziała, jak zabawiać towarzystwo", wyjaśnił Harry Froede, zięć Noaha. Sylvia cieszyła się niezależnością finansową i nie musiała pracować, a już na pewno nie tak dużo jak Gini. To żona, która z radością szykowała rano ulubione kanapeczki męża z galaretką i masłem orzechowym, pamiętając o odcięciu skórek od chleba tak, jak lubił. Kiedy po latach zapytano ją o Virginię Johnson, Sylvia wykazała się dyskrecją, którą tak wielu sędziów ceni w swoich partnerkach. „Tak, wiedziałam, że należy do jego znajomych, ale nigdy nie zadawałam pytań – wyjaśniła. – Nie dotyczyło mnie to".

Po ślubie sędziego Gini nie zniknęła z jego życia, ku niezadowoleniu Sylvii. „Razem z Billem zapraszaliśmy ich na obiady, ale ona nie

przychodziła, bo wiedziała, kim dla niego byłam i nie chciała sprawiać wrażenia, że istnieje między nami jakaś rywalizacja – wspominała Gini. – Jeśli zdarzyło nam się pojawić na tej samej imprezie, nawet ze mną nie rozmawiała. Noah przychodził sam i mówił, że Sylvia nie miała ochoty. I tak utrzymywaliśmy kontakt. Po prostu pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi".

Po kilku latach, kiedy jego córka Joan wyszła za Harry'ego Froede'a, Gini zaprosiła młode małżeństwo do siebie. Joan wiedziała, że Gini wciąż pozostawała rozwódką, a związek sędziego i Sylvii przeżywał w tamtym okresie kryzys. Spotkali się tylko we trójkę – sędzia wyjechał w interesach, dzieci Gini również nie było. Joan tak się ucieszyła z widoku dawnej znajomej ojca, że nie do końca zrozumiała podtekst całego zaproszenia i nie wychwyciła zainteresowania Gini małżeństwem Noaha. „Jestem pewna, że chciała się czegoś o nim dowiedzieć – wspomina Joan. – Po prostu byłam zbyt naiwna, żeby zdać sobie wtedy z tego sprawę".

Jednak Bill Masters odgrywał w życiu Gini zbyt dużą rolę, żeby Noah miał jakiekolwiek szanse. Sędzia był na tyle inteligentny, by wyczuć, jak wielki wpływ na decyzje Virginii miał Bill, a do tego zbyt dumny, żeby to zignorować lub zbyć żartem. Pewnego wieczoru zaprosił Joan i Harry'ego do swojego domu, a rozmowa szybko zeszła na nową książkę, którą Gini opublikowała wspólnie z Billem, opierającą się na ich badaniach nad seksualnością. Siedząc u boku Sylvii w swoim salonie, Noah usłyszał pytanie, już ją czytał.

– Tak. Dostałem od niej egzemplarz z dedykacją – oparł sucho, mówiąc o Gini.

Harry i Joan głośno zastanowili się, co takiego napisała.

Noah uśmiechnął się krzywo i mruknął:

– „Mężczyźnie, który wszystkiego mnie nauczył, Virginia".

Wszyscy zaśmiali się nerwowo.

W rzeczywistości dedykacja od Gini w książce, którą Joan przejęła po śmierci ojca, podkreślała, ile dla niej znaczył: „Noahowi, który od początku był przy mnie wtedy, gdy tego potrzebowałam".

Po latach Virginia żałowała rozpadu związku z Noahem – mężczyzną, którego powinna była poślubić. Wcześniej jednak zbyt mocno wierzyła w wizję Billa i była za bardzo przejęta ich ekscytującą, pionierską pracą. „Z perspektywy czasu stwierdzam, że jako żona tamtego sędziego prowadziłabym przyjemniejsze, bardziej radosne życie", wyznała. A może się oszukiwała – może naprawdę, jak wielu podejrzewało, pragnęła mieć Billa Mastersa tylko dla siebie?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Odejście z uczelni

Muszę wyznać, że żaden widok nigdy mi takiej nie sprawił obrzydliwości jak olbrzymia pierś tej mamki (...)
Jonathan Swift, „Podróże Guliwera”[4]

Na ekranie pojawił się powiększony obraz kobiecej klatki piersiowej w żywej kolorystyce, a wszyscy widzowie zebrani w szpitalnej sali konferencyjnej zastygli w bezruchu. Prawie dwudziestu lekarzy, wielu z kieliszkami martini w dłoniach, wpatrywało się niczym ciekawscy Lilipuci w ogromne, pokryte krostkami sutki, nabiegłe krwią brodawki i potężne, mięsiste kule, których spuchnięcie oznaczało, że kobieta z ekranu jest podniecona. W czasie tych seminariów, przeprowadzanych w piątkowe popołudnia, uczestnicy często omawiali swoje badania anatomiczne ze szczerością i w szczegółach, a słuchali ich pracownicy Wydziału Ginekologiczno-Położniczego. Niektórzy ilustrowali swoje wykłady slajdami albo rysunkami na tablicy kredowej. Jednak czegoś takiego bywalcy piątkowych seminariów nigdy wcześniej nie widzieli. „Było to nagranie ukazujące erekcję sutka w czasie orgazmu, a później nabrzmiałe żyły na szyi i klatce piersiowej. Jednocześnie wyjaśniano, dlaczego te obszary czerwieniły się w trakcie podniecenia – wspomina doktor Ernst R. Friedrich, który podobnie jak pozostali młodzi rezydenci, oglądał film oniemiały z zaskoczenia. – Nie dało się dostrzec twarzy. Kobietę sfilmowano od szyi do ud”.

Doktor William Masters stał dumnie przy mównicy, podczas gdy Virginia Johnson kręciła się po pomieszczeniu, odprowadzając

spóźnionych na ich miejsca. Zamiast podać widzom puszkę piwa, jak zwykło się robić w trakcie takich wykładów, Masters zdecydował się na coś nieco bardziej wykwintnego i zaproponował wytrawny wermut oraz inne drinki. Widownia składająca się z jego kolegów po fachu zobaczyła go w najlepszej formie. „Był świetnym showmanem – powiedział Mike Freiman, kolejny słuchacz z tamtego popołudnia. – Starał się dobrze przedstawić swoje badania seksuologiczne. Pokazał nagranie kobiety, której ruchy wyraźnie wskazywały na to, że ma palec w kroczu i masturbuje się. Kamera skupiła się na jej piersiach z nabrzmiałymi sutkami. Bill zwrócił uwagę, że mali chłopcy również mają taką erekcję. Zauważył, że erekcja w ludzkiej fizjologii jest czymś powszechnym, czy to u niedojrzałych chłopców, czy dorosłych kobiet w trakcie podniecenia".

To, co po pięciu latach obserwacji reakcji seksualnej człowieka stanowiło dla Mastersa chleb powszedni, innymi lekarzami nieco wstrząsnęło. Po zbliżeniu na nabrzmiałe piersi z przyczepionymi elektrodami film przeszedł do bardzo intymnych ujęć kobiecych narządów płciowych, pokazując także wewnętrzne ściany pochwy. Oko kamery skupiło się na jednym pozbawionym głowy torsie kobiety, by za chwilę przejść do następnego ujęcia. Chociaż filmowi cały czas towarzyszył spokojny głos Mastersa, przewodnika tej ginekologicznej podróży, pierwszorzędne dzieło kinematografii nieprzyjemnie kojarzyło się z ziarnistymi nagraniami pornograficznymi. „Moją pierwszą reakcją był szok – powiedział doktor H. Marvin Camel. – Bill demonstrował swój materiał rzeczowym tonem, jak kolejną prezentację naukową, więc nie chodziło o formę. To treść zszokowała niektórych".

Masters założył, że jego odkrycia zrobią na lekarzach wrażenie, bowiem tego rodzaju przełomowe badania musiały zainteresować każdego ginekologa i położnika. Zupełnie jak przed Paulem Gebhardem z Instytutu Kinseya, Bill przedstawił krótko różne fizjologiczne aspekty orgazmu, które udało mu się lepiej zrozumieć. Oprócz tego udowodnił niesłuszność wielu długoletnich przekonań na temat kobiecej fizjologii.

Liczył na wsparcie kolegów po fachu i nie spodziewał się krytyki. Było to naiwne z jego strony. „Dlaczego zdecydowałem się w pierwszej kolejności pokazać materiał w kręgu ginekologów i położników? – napisał później. – Z perspektywy czasu stwierdzam, że popełniłem błąd".

Jeszcze przed prezentacją „Obstetrics and Gynecology" – najważniejsze czasopismo branżowe, wydawane przez Amerykańskie Towarzystwo Ginekologów i Położników – odrzuciło artykuł na temat badań seksuologicznych Mastersa, chociaż wcześniej przyjęto do druku jego prace na temat estrogenu i terapii endokrynnej. Najwyraźniej nowe odkrycia Billa uznano za zbyt ryzykowne i groźne. Masters miał nadzieję, że lekarze jego specjalizacji przyjmą badania z otwartymi ramionami. Okazało się jednak, że koledzy po fachu „zawsze akceptowali fakt, że zapłodnienie i poród to naturalne funkcje organizmu, ale już czynności do nich prowadzące niekoniecznie". Amerykanie byli gotowi na to, by doktor Spock mówił im, jak wychowywać dzieci, ale nie chcieli słyszeć o tym, skąd się one biorą.

Kiedy z powrotem zapalono światło w sali konferencyjnej, zaczęło się niespokojne szemranie. Wkrótce do biura Willarda Allena dotarły ostre słowa potępiające film Mastersa. „Nagranie zaalarmowało pozostałych lekarzy – wspominał doktor Alfred Sherman. – Właśnie wtedy Masters wpadł w tarapaty". Allen, kierownik wydziału, dotychczas wspierał jego badania i dawał mu wolną rękę. Jednak naga rzeczywistość pokazana na filmie zaskoczyła nawet jego. „Pojawiły się plotki, że Willard Allen doznał szoku", opowiadał doktor Theodore Merrims. Bardzo bezpośrednia prezentacja Mastersa dała oręż krytykom, którzy zasłyszeli pogłoski, ale nie znali faktów. „Chociaż badania zdobyły rozgłos, większość profesorów anatomii i biochemii nie uważała ich za szczególnie istotne – powiedział na temat reakcji Szkoły Medycznej doktor Robert Goell, kolejny lekarz z tamtych czasów. – Podejrzewaliśmy, że w jego laboratorium działy się dziwne rzeczy, a on naprawdę prowadzi obserwacje ludzi odbywających stosunki, mierząc im ciśnienie krwi i inne parametry. Nigdy jednak nie znaliśmy

szczegółów. Bill po prostu zrobił krok do przodu i nikt go nie zatrzymał".

Zirytowani lekarze poczuli też, że Masters odsłonił ogromne braki w ich przygotowaniu. Pokazał, że nie potrafią odpowiedzieć na fundamentalne pytania dotyczące fizjologii i jak niewiele wiedzą na temat kobiet. Niektórzy woleli pozostać przy *status quo* wypracowanym w relacjach między lekarzem a pacjentem. „Nie do końca rozumieliśmy, co to wszystko miało oznaczać", wspominał doktor Robert Burstein, wtedy młodszy stażem wykładowca, który uważał Mastersa za lekkomyślnego. Podobnie jak w przypadku starszych profesorów, badania Billa podkreśliły braki także w jego wiedzy. „Nie zajmowałem się raczej seksem – wyjaśnił Burstein. – Jeśli już, to wtedy, gdy jakaś młoda kobieta w ciąży albo tuż przed zapłodnieniem miała jakiś problem. Po prostu siadałem i pozwalałem jej się wygadać. Słuchałem i kiwałem głową, a potem udzielałem jej jakichś rad i podawałem łagodny środek uspokajający. Dawniej przytulało się taką pacjentkę i mówiło, że wszystko będzie dobrze. To zaskakujące, ile można w ten sposób osiągnąć".

Podejście do pacjenta w stylu wiejskich lekarzy sprzed lat, chociaż wygodne dla lekarzy płci męskiej, według Mastersa i Johnson już nie wystarczało. Medycy nie mogli już maskować swojej niewiedzy życzliwością. Jakieś dwadzieścia do dwudziestu pięciu procent studentów medycyny, według obliczeń Mastersa, uznało badania za nieobyczajne. Razem z nimi swoje wzburzenie wyrazili trzej wykładowcy.

Kiedy Masters wreszcie przedyskutował ten temat z Allenem, stary przyjaciel kazał mu się nie przejmować. „Bill, oni tylko narzekają, ale nikt nie wystosował żadnego oficjalnego pisma", zapewniał Allen, który liczył na wsparcie kanclerza Ethana Shepleya. Pokazał Mastersowi wytyczne uniwersytetu. „Tutaj, drobnym drukiem – wyjaśnił Allen – zapisano, że nie muszę przekazywać sprawy zwierzchnikom, dopóki nie mam żadnego pisma". Masters podziwiał podejście swojego dziekana, ale chociaż Allen nie podejmował żadnych bezpośrednich kroków, dla

pary badaczy był to początek walki z przeciwnikami. Jeśli Masters uważał, że szczera prezentacja zmiażdży „bezpodstawne pogłoski" na temat ich projektu, jego plan przyniósł odwrotny skutek, tylko podsycając plotki – w tym tę, jakoby nagą kobietą na nagraniu była Gini Johnson.

„Rozpoznaliśmy jej paznokcie na filmie – powiedział Friedrich, wspominając opinie przekonanych o swojej racji kolegów. – Kolor lakieru i kształt paznokci wydał nam się znajomy. Widzieliśmy jej palce wystarczająco często, by je dobrze zapamiętać. Dlatego stwierdziliśmy, że to Gini Johnson. Wszyscy rezydenci byli o tym przekonani". Nawet przyjaciele, tacy jak Mike Freiman, wierzyli, że to ona jest tajemniczą kobietą. Kiedy film się skończył, Freiman podszedł do Gini. „Wyszeptałem jej, że moim zdaniem to ona, a Virginia tylko się uśmiechnęła, jakbym powiedział coś miłego".

Wielu ludzi wtajemniczonych w produkcję nagrania – w tym także kamerzysta, Cramer Lewis, a nawet sama Virginia – zaprzecza, by to Johnson była jego anonimową bohaterką. „Wszystkie kobiety w filmie to ochotniczki – upierała się badaczka. – Dobry Boże, to ja zakładałam im mikrofony. Pracowałam jako asystentka. Za nic w świecie nie wzięłabym udziału w demonstracji ani też niczego nie praktykowałam na sobie". Jednak plotki i żarty na ten temat były oznaką rosnącego sprzeciwu lekarzy wobec projektu Mastersa. Od tej pory w klinice bardziej przywiązywano wagę do prywatności. Lewis, technik z Wydziału Grafiki, a także profesor fizjologii, William Slater, który sprawdzał pacjentom oddech i inne podstawowe parametry funkcji życiowych, siedzieli dyskretnie za ruchomym parawanem, przyglądając się urządzeniom, a nie twarzom. Slater, posępny mężczyzna z krzaczastymi brwiami, najwyraźniej czuł się w tej pracy nieco niekomfortowo, ponieważ jak dociekał Lewis, „mógł mieć do czynienia z prostytutkami". Niemniej jednak obaj byli utalentowanymi zawodowcami, którzy zgodnie z sugestią Mastersa nie rozmawiali o pracy. Podziwiali go jako lekarza i kolegę i cieszyli się, że zaproponował im udział w tej przygodzie, która przyniosła im

dodatkowe pieniądze. Lewis wielokrotnie próbował poprawić jakość swoich nagrań wnętrza pochwy, aż wreszcie stały się kryształowo czyste. Zadbał o to, by Eastman Kodak wywoływało jego filmy w warunkach ścisłej tajemnicy, jakby Masters pracował nad projektem bomby atomowej. Krytycy wiedzieli, że Lewis mógłby się stać źródłem obciążających informacji, gdyby udało się go przekonać do wystąpienia przeciwko współpracownikom. „Niektórzy lekarze przychodzili do mnie i chcieli dowiedzieć się, co widziałem. Zawsze odmawiałem odpowiedzi – opowiadał Lewis. – Uważałem, że to prywatne sprawy, a ja tylko robiłem to, co do mnie należało".

Kilka razy doszło do zabawnych, choć irytujących prób zdobycia informacji na temat projektu. Pewnego wieczoru, kiedy Virginia wracała ze stołówki szpitalnej z przekąską i napojami, postanowiła pojechać windą. Kiedy otworzyły się drzwi, zauważyła innego lekarza – zagorzałego krytyka ich badań – stojącego ze stetoskopem przystawionym do ściany laboratorium.

– Witam, doktorze! – zawołała Gini, zabarwiając swój głos pełną dawką ironii.

Lekarz, sam w ciemnym korytarzu, dosłownie skurczył się w blasku jej szerokiego, rozbawionego uśmiechu. Pracownicy innych części szpitala często pojawiali się na tym korytarzu w nadziei, że coś zobaczą. Nieco bardziej złowieszczy przypadek dotyczył paczki, w której Masters i Johnson otrzymali kilka dużych fotografii ich zakrytych okien, zrobionych z drugiej strony ulicy, ze starego Szpitala Położniczego. Jak zauważył później Masters: „To niesamowite, jak daleko niektórzy potrafili się posunąć, żeby się czegoś dowiedzieć".

Na Uniwersytecie Waszyngtońskim Billowi udało się przekonać władze Szkoły Medycznej do obowiązkowego kursu z zakresu edukacji seksualnej dla wszystkich studentów. W ten sposób uczelnia stała się jedną z pierwszych instytucji, które wprowadziły tego typu zajęcia. Jednak nie wszyscy doceniali znaczenie wiedzy o seksie w procesie leczenia. Mimo zapewnień Willarda Allena, antypatia wobec badań Mastersa i Johnson rosła przez kilka następnych miesięcy – nie tylko ze

względu na obyczajowość i reputację medyczną, ale w końcu także i na pieniądze oraz awans Gini Johnson.

Oficjalnie uniwersytet nie finansował bezpośrednio wieczornych sesji, niewielkiej zapłaty dla ochotników oraz pensji Slatera, Lewisa, a zwłaszcza Johnson. Dzięki specjalnemu porozumieniu między Allenem i Mastersem, Bill mógł przekierowywać opłaty pobierane za własne usługi na ginekologii i położnictwie, a w szczególności w klinice leczenia niepłodności na początku jej istnienia, i wykorzystać te pieniądze do wsparcia projektu. Generalnie wszelkie wpływy za usługi świadczone przez szpital uważane były za własność uczelni i nie trafiały do kieszeni lekarzy, by ci mogli finansować własne badania. Kiedy niechęć do projektu Mastersa rosła, uniwersytet zdecydował się zakończyć te praktyki, najprawdopodobniej za zgodą Allena. Chociaż Mastersowi udało się zdobyć jakieś granty na badania fizjologiczne, zdawał sobie sprawę, że przyszłe dochody kliniki będą opierać się na opłatach za terapię pacjentów z problemami na tle seksualnym. Wydział nie chciał również, by Masters poświęcał cały swój czas na badania seksualne, zaniedbując obowiązki wykładowcy i chirurga. Chociaż pracował bardzo wytrwale, mimo wszystko nie potrafił tego pogodzić.

Kolejnym powodem była obecność Johnson u jego boku. Zdaniem Billa Gini powinna w jakiś sposób zostać doceniona za swój wkład w projekt, jeszcze zanim dojdzie do publikacji wyników ich długoletnich badań nad fizjologią seksu. Za każdym razem, kiedy próbowała wesprzeć się zdobyciem dyplomu i zapisywała się na zajęcia, Masters wymagał od niej większego zaangażowania, a samotna matka dwójki dzieci i tak nie miała zbyt wiele wolnego czasu. Jednak mimo błagań Mastersa uczelnia nie zmieniała zdania. Nie chciano słuchać o nadaniu Johnson jakiegokolwiek tytułu czy stopnia, choćby honorowego i symbolicznego. Każda tego typu sugestia wywoływała żarty i docinki, a do tego jak bumerang wracały pogłoski o jej nagich piersiach na filmie. Wkrótce dawni sprzymierzeńcy Mastersa ustąpili miejsca młodszym kolegom, którzy nie patrzyli przychylnym okiem na

jego projekt. „Władze szpitala chciały się pozbyć Mastersa, ponieważ posiadał niewygodne materiały fotograficzne, które spędzały administracji sen z powiek", wspominał Marvin Grody, były rezydent i współautor publikacji Mastersa.

Po dwudziestu latach pracy na Uniwersytecie Waszyngtońskim Masters zrozumiał, że nie może dłużej na nim pozostać. Z niechęcią zrezygnował z profesury i wysokiej pozycji na wydziale, pozostając jedynie przy zwykłej współpracy. Porzucił posadę chirurga w szpitalu i skierował wszystkie swoje pacjentki do kolegi, Johna Barlowa Martina. Nie zamierzał kapitulować. Chociaż George Washington Corner kiedyś poradził mu, by zadbał o wsparcie uniwersytetu dla swojego ryzykownego projektu, Masters musiał jeszcze raz przekonać się na własnej skórze, że prawda na temat seksu dla wielu ludzi, w tym także dla naukowców i medyków, jest trudna do przełknięcia. Uznał, że od tej pory on i Virginia muszą sami walczyć ze sceptycyzmem reszty świata.

[4] Tłumaczenie Anonima z 1784 r.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kwestia zaufania

Kiedy przyszło im się wyprowadzić ze Szpitala Położniczego, postanowili przenieść swoje maleńkie laboratorium na drugą stronę ulicy, do budynku z białymi filarami przy 4910 Forest Park Boulevard. Dla swojej kliniki seksuologicznej wymyślili eufemistyczną nazwę Fundacji na rzecz Badań nad Biologią Reprodukcji, równie dyskretną, co niewielka tabliczka na drzwiach wejściowych. Masters zadbał o to, by w zarządzie jego fundacji zasiedli ludzie lojalni bądź osobiście mu wdzięczni za pomoc medyczną. Po słodko-gorzkim odejściu z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, pełnego plotek i wzajemnych oskarżeń, Masters chciał otoczyć się wyłącznie zaufanymi. Wśród nich znalazł się Torrey Foster, który mimo braku doświadczenia został prawnikiem fundacji. Znał Mastersów od czasów, kiedy jako mały chłopiec mieszkał z nimi po sąsiedzku w Ladue. Zanim pojawiły się ich dzieci, żona Torreya przychodziła na badania ginekologiczne do Mastersa. Ten ostatni nigdy nie wątpił w oddanie i dyskrecję Fostera. W ramach swojego pierwszego zadania Foster pojechał do Waszyngtonu na spotkanie z Urzędem Podatkowym, by przekonać się, czy tematyka projektu realizowanego przez nowopowstałą fundację nie przeszkodzi w zdobyciu statusu, który pozwalałby odpisać od podatku wpłaty na jej konto. Ze względu na odcięcie się od uniwersytetu i innych niebezpośrednich źródeł dochodów, klinika musiała polegać

głównie na wsparciu darczyńców i grantach. „Staraliśmy się szczerze przedstawić cel naszych badań – powiedział Foster, komentując spotkanie – ale nie wchodziliśmy w szczegóły, a oni nie pytali".

Do Fostera dołączył kolejny wieloletni przyjaciel Mastersa – Ethan A.H. Shepley Jr., syn byłego kanclerza Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Młody Ethan został przewodniczącym fundacji. Podobnie jak ojciec wierzył w wagę badań dwójki naukowców, a także w prawo do wolności akademickiej bez ograniczeń intelektualnych. „Osoby te pojawiły się w zarządzie, ponieważ w St. Louis Masters i Johnson znaleźli się w niezręcznym położeniu – wspominała Peggy Shepley, wdowa po Ethanie. – Ludzie wstydzili się przyznać, że się u nich leczą. Rodzina Ethana cieszyła się powszechnym poważaniem, nie tylko w światku naukowców, dlatego ich udział w przedsięwzięciu dodawał mu powagi".

Inni członkowie zarządu z wczesnego okresu działalności fundacji wnieśli do niej umiejętności akademickie. Znaleźli się wśród nich doktor Ray Waggoner, psychiatra z Uniwersytetu w Michigan i późniejszy szef Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, a także Emily Mudd, znana terapeutka rodzinna, która ufundowała Marriage Council w Filadelfii, instytucję zajmującą się terapią małżeńską. Jednak większość członków, na przykład komisarz H. S. Priest czy agent ubezpieczeniowy John Brodhead, zgodzili się wyłącznie po to, by odwdzięczyć się lekarzowi, który opiekował się ich żonami. „Tak naprawdę byłem przyjacielem jego małżonki, Betty – wyjaśnił John Brodhead, który znał Mastersów przez wiele lat, odkąd ich rodziny spotkały się na wakacjach w Michigan. – Bill uznał, że potrzebuje wsparcia szanowanych osób, żeby deprzeć zarzut nieobyczajności." Żona Brodheada wytłumaczyła, że zanim jej mąż dołączył do zarządu, omówili konsekwencje tej decyzji. „Zrobił to z uprzejmości, chociaż działalność tej fundacji wzbudzała kontrowersje – powiedziała Dodie, wdzięczna za wyleczenie jej z bezpłodności. – Uważał Billa Mastersa za geniusza, który zajął się dziedziną

niekoniecznie akceptowaną wtedy przez społeczeństwo. John chciał dać w ten sposób wyraz naszemu poparciu".

W czasie spotkań zarządu jego członkowie nie mówili zbyt wiele, pozwalając Mastersowi decydować o wszystkich codziennych sprawach. Johnson odzywała się rzadko i tylko po to, by wyjaśnić zawiłe kwestie lub przypomnieć mu o czymś. „Wiedzieliśmy, co go interesuje i o czym zamierza pisać – wspominał John Brodhead – ale znałem tylko najważniejsze szczegóły".

Badaniom towarzyszyła atmosfera tajemniczości i ryzyka, ale nie tylko – fundacja podjęła się misji równie szlachetnej, co amerykański program kosmiczny z lat sześćdziesiątych, obiecując lepsze życie dzięki nauce. Jednak Masters miał przed zarządem wiele tajemnic, w tym wcześniejsze wykorzystywanie prostytutek do badań, o którym to fakcie Foster dowiedział się wiele lat później. „Bill nie był z nami do końca szczery – zauważył. – Myślę, że nie chciał, by inni zaczęli nas wypytywać o różne rzeczy". Młodzieńcze i prostolinijne wsparcie dla przyjaciela rodziny miało też subtelne podteksty. Foster nie zwrócił uwagi na skomplikowane relacje między Billem i Gini, a zamiast tego opisywał ich współpracę w heroicznym tonie. „Kiedy dołączyłem do zarządu, wierzyłem, że łączyły ich jedynie sprawy zawodowe i nie zdawałem sobie sprawy z ich bliskości". Na jednym ze spotkań Libby zwierzyła mu się ze swoich obaw o wierność męża. Matka Fostera, Marge, podzielała ten niepokój. Torrey zapewniał jednak, że Bill jest człowiekiem honorowym.

Pewnego dnia Libby, wyraźnie zasmucona i zdenerwowana, zaczęła wypytywać go o poczynania męża.

– Myślisz, że naprawdę musi pracować do późna w nocy? – zapytała. Libby ledwo potrafiła wymówić imię Gini. Martwiła się o powody, dla których Bill opuścił uniwersytet i porzucił lukratywną posadę w klinice. – Czuję się nieswojo z całym tym seksem…

W trakcie rozmowy żona Mastersa zastanawiała się, dlaczego jej mąż ryzykuje karierę medyczną, a poniekąd także ich małżeństwo, choć tego nie odważyła się powiedzieć na głos. Torrey zupełnie szczerze

stwierdził, że Libby niesłusznie się martwi. Zapewnił ją, że Billowi można ufać.

– Wszystko, co robią, świetnie się zapowiada – wyjaśnił Foster. – Praca Billa jest zasadna i bardzo ważna. Mam zupełną pewność, że niepotrzebnie się tym zamartwiasz.

Libby wydawała się usatysfakcjonowana tą odpowiedzią albo wiedziała swoje i wolała przestać wypytywać byłego sąsiada, który najwyraźniej podziwiał Billa i nie potrafił spojrzeć na niego obiektywnie. Z czasem okazało się, że członkowie zarządu fundacji mieli dużo mniejsze rozeznanie w wewnętrznych sprawach kliniki niż Libby. „Szczerze mówiąc, podchodziłem do tego nieco naiwnie – przyznał Foster po wielu latach. – Libby martwiła praca Billa i kierunek, jaki obrał, szczególnie w kwestii Gini. Ostatecznie wyszło na to, że intuicja dobrze jej podpowiadała".

O świcie każdego ranka Bill Masters biegał po pokrytych rosą trawnikach i pustych ulicach Ladue, by potem wziąć prysznic i spędzić cały dzień w pracy. Jego stalowoniebieskie oczy i surowy sposób bycia wskazywały na samodyscyplinę, którą tak w sobie cenił od czasu Hamilton College. „Masters patrzy ostro i przenikliwie, niczym rentgen, zniechęcając do wszelkich głupstw i wymuszając pełną powagę", zauważył później „Atlantic". Po odejściu z uczelni medycznej Bill podwoił swoje wysiłki w klinice, najwyraźniej chcąc udowodnić, że nie zamierza przegrać najważniejszego zakładu swojego życia. „Chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby osiągnąć swój cel. Bez względu na to, jak on właściwie wyglądał – wyjaśniła Johnson. – Musiał wygrać".

Najbardziej prestiżowe czasopisma branżowe odmawiały publikacji wyników jego badań. Masters wciąż walczył o akceptację. Wysyłał swoje artykuły do redaktorów do czasu, aż znalazł niewielki periodyk – „Western Journal of Surgery, Obstetrics and Gynecology" – chętny do zamieszczenia jego tekstu. Afront, jaki spotkał go ze strony większości, wywoływał w nim frustrację. Masters przeklinał ich krótkowzroczne spojrzenie i szorstkie odrzucenie odkryć, które w ocenie Billa mogły zostać nagrodzone Noblem. „Był to dla mnie potężny cios – napisał po

latach. – Nie tylko ocenzurowano moje badania, ale wręcz zaatakowano mnie osobiście". „Western Journal" nie był recenzowany ani też czytywany poza okolicami Portland w stanie Oregon, ale jego redaktor naczelny, doktor Robert Rutherford, wyrósł w oczach Mastersa na bohatera.

Bill nie zamierzał rezygnować z aktywnego udziału w corocznym zjeździe ginekologów i położników. W czasie zjazdu w Chicago na początku lat sześćdziesiątych powiedziano mu, że nie może przedstawić swoich odkryć. W ramach ostrej reprymendy, jak wspominał, „zakazano mi dyskutowania na temat moich badań w czasie spotkań organizowanych przez Towarzystwo". Dlatego Masters wynajął mały apartament w hotelu, w którym odbywał się zjazd, żeby dokonać prezentacji w przerwie oficjalnego programu. „Masters został źle potraktowany przez własną branżę, chociaż wcześniej opublikowano wiele jego odkrywczych prac w dziedzinie ginekologii i chirurgii – wspominała Johnson. – Nie chcieli mieć nic wspólnego z seksem". Sandra Sherman, która pojawiła się na tym samym zjeździe z mężem, wróciła zbulwersowana reakcją środowiska lekarskiego. „Opędzali się od Mastersa, jakby cierpiał na jakąś zaraźliwą chorobę – opowiedziała. – A ja nie mogłam się temu nadziwić. Seks to bardzo ważna część naszego życia i cudownie się stało, że znalazł się ktoś, kto mógłby o tym porozmawiać".

By się zemścić, Masters chciał udowodnić swoim przeciwnikom, że mylą się co do Virginii Johnson. Kiedy uczelnia medyczna odrzuciła jego prośbę o nadanie jej tytułu, kwestionując jej kwalifikacje pozwalające na udział w tak szczególnych badaniach, Masters uparł się, by udowodnić, że Virginia doskonale się do tego nadaje. Zamierzał pokazać światu, że nie odstawała od jego kolegów po fachu. W świeżo utworzonej fundacji, wolnej od wpływów uniwersytetu, przemianował ją z asystentki badań na partnerkę i znacznie podniósł jej wynagrodzenie. Niektórzy lekarze z Uniwersytetu Waszyngtońskiego zastanawiali się, dlaczego Bill, zazwyczaj tak wymagający, pozwolił na tak nieuzasadniony awans byłej sekretarki. „Sprawa budziła zdziwienie,

ponieważ nazywano ją doktor Johnson, a przecież nie zdobyła żadnego dyplomu – zauważył doktor H. Marvin Camel. – Moim zdaniem nie było to niewinne, bo nie protestowała i nie poprawiała tych pomyłek. Nie wyprowadzała ludzi z błędu". Po latach Gini zaprzeczyła, by kiedykolwiek przedstawiała się jako doktor Johnson, chociaż potwierdziła, że pacjenci często mylili się, zwracając się w ten sposób do każdego terapeuty w białym fartuchu.

Niczym dumny impresario, Masters dał Virginii równe prawa do ich naukowych odkryć. Pokazał niedowiarkom, że jego partnerka wniosła do projektu wiele pomysłowych spostrzeżeń, nie tylko na temat kobiecej reakcji seksualnej, ale także rozwiązań terapeutycznych wielu intymnych problemów. Z początku wierzyli mu nieliczni. Zaledwie garstka przyjaciół rozumiała relację łączącą parę badaczy, to, jak pomysły jednego drugie kształtowało i rozwijało. „Virginia była młoda i zielona – wyjaśniła Peggy Shepley, żona Ethana. – Uczenie się od siebie nawzajem świetnie im służyło. Masters podkreślał jej zasługi". Jednak w towarzystwie naukowców Johnson czuła się niepewnie, jakby jedno przenikliwe pytanie mogło ją zdemaskować. Kiedy miała chwilę zwątpienia, powiedziała Mastersowi, że nie ma odpowiedniego przygotowania, żeby zajmować się tak delikatnymi problemami. On jednak nie chciał tego słuchać. Starał się wzmocnić jej pewność siebie, udzielając jej prywatnych lekcji anatomii, fizjologii i terminologii medycznej. Do 1965 roku rutynowo przygotowywali się do każdego zawodowego spotkania, powtarzając materiał i słownictwo, by mogła wykorzystać tę wiedzę do dodatkowych komentarzy w trakcie ich wspólnych prezentacji. Po prawie ośmiu latach spędzonych razem Johnson przyswoiła wystarczająco dużo wiedzy medycznej, żeby doskonale się prezentować. „Ponieważ świetnie posługiwała się językiem, robiła bardzo dobre wrażenie", przyznał ich bliski przyjaciel, doktor Ira Gall.

W zamian za to Johnson pomagała Mastersowi osiągać kolejne ambitne cele ich projektu – z setkami ochotników i tysiącami nagranych stosunków seksualnych – którego nie ukończyliby bez jej

skrupulatności. „Pełniła funkcję katalizatora – wyjaśnił Gall. – Wydaje mi się, że bez niej nie doszłoby do wielu eksperymentów. Nieustannie zachęcała Billa Mastersa". Było w nich coś takiego, co sprawiało, że we dwójkę wydawali się zdolni osiągnąć o wiele więcej niż w pojedynkę. Nawet rodzina Mastersa rozumiała, jak duży wpływ ma Virginia na jego sukcesy. „Miała w sobie ogromne pokłady energii i bardzo lotny umysł – opisał ją ich syn, Howie. – Gdyby nie była taka mądra i taka żywa, nigdy nie udałoby im się tego wszystkiego osiągnąć". Niezwykły awans z sekretarki na partnerkę badań – chociaż niemożliwy bez Mastersa – zawdzięczała przede wszystkim sobie samej, miała bowiem dość siły i determinacji, by pchnąć projekt na ścieżkę sukcesu. „Miała też swoje wady; w żadnym wypadku nie była doskonałą Elizą Doolittle – powiedział Howie, komentując relacje swojego ojca z Johnson. – Istniało coś, co sprawiało, że ich związek miał rację bytu. Ale choć swego czasu łączyło ich silne uczucie, w pewnym momencie wygasło".

Dążenie Virginii do zrównania własnej pozycji z pozycją Mastersa odzwierciedlało także zmiany dokonujące się w ich związku. Nikt nie wiedział dokładnie, w jaki sposób została skłoniona do rozpoczęcia współżycia w ramach obowiązków zawodowych. Johnson nie dała po sobie poznać, że jest nieszczęśliwa. Z czasem ich sporadyczne kontakty seksualne przerodziły się w regularnie odbywane stosunki. Mimo to w dalszym ciągu więcej miały wspólnego z pracą niż z romansem i porywami serca. Virginii udało się jakoś przekuć jego seksualną dominację na swoją korzyść. Starzy znajomi zauważali w niej zmianę – w jej fizycznej asertywności i opanowaniu w towarzystwie Mastersa, który nie zachowywał się już jak samotny profesor i coraz częściej zdawał się na nią w różnych kwestiach. Niektórzy (jak już wspomniano) zakładali, że parę badaczy łączył romans i z niego wynikały te zmiany, a inicjatorką bliższych kontaktów musiała być Johnson. „Miała dominujący charakter – wyjaśnił Mike Freiman, jak zawsze pod wrażeniem pewności siebie Gini. – Jej postawa sprawiała, że wyglądała na twardą. Tak jakby pochylała się w twoją stronę. Nie była spokojna ani cicha. Dawała jasno do zrozumienia, czego chce".

Kiedy życie zawodowe i prywatne mieszały się ze sobą, rodzinne spotkania Mastersów i Johnsonów stawały się coraz bardziej skomplikowane. Libby zaproponowała, że zajmie się dziećmi Gini, kiedy para badaczy wyruszy w podróż w interesach, ale jej uprzejmość nabrała złowieszczego tonu, gdy kobieta zadzwoniła do pokoju męża późnym wieczorem, a telefon odebrała Johnson. Przyjaciele i sąsiedzi woleli nie rozmawiać na temat domniemanego romansu, zwłaszcza w towarzystwie Libby.

Tymczasem Torrey Foster był zbulwersowany postępowaniem Billa w stosunku do żony. Kiedy skończył się rok szkolny, jak wspominała Marge Foster, Bill namówił Betty do wyjazdu na wakacje, podczas gdy on miał zostać w domu. Masters zdawał się nie przejmować tym, w jakim położeniu znalazła się nie tylko jego małżonka, ale też sąsiedzi. „Przyjaźniliśmy się z obydwojgiem do czasu, kiedy Bill zaczął wysyłać Betty z dziećmi na lato do Michigan, by Virginia Johnson mogła się do niego na ten czas wprowadzić – wyjaśniła Marge. – Chyba po prostu zaczął mnie mierzić". Pewnego letniego ranka zauważyła Billa i Gini relaksujących się na podwórku w samych szlafrokach. „Wynosili na zewnątrz tacę ze śniadaniem i posilali się na świeżym powietrzu – powiedziała Marge. – Widziałam ich z okna w kuchni. Spędzali ze sobą całe wakacje pod nieobecność Betty. Mieszkali w domu Mastersów!".

Dodie Brodhead i jej mąż John, który wciąż należał do zarządu fundacji, czasami wyjeżdżali z Betty i dziećmi. Kiedy obie rodziny wracały do domów przed rozpoczęciem roku szkolnego, Dodie i Betty umawiały się na wspólne odwożenie dzieci na lekcje. „Miałyśmy kilka chwil na rozmowę, a z Betty zawsze miło się gadało – wspominała Dodie. – Naprawdę ją lubiłam i było mi jej żal".

W czasie jednej z tych rozmów Betty zwierzyła się koleżance, że jej mąż nie zostawał sam, gdy ona z dziećmi wyjeżdżała na wakacje. „Powiedziała do mnie naiwnie: »Czyż to nie miłe, że Gini zajmowała się domem pod moją nieobecność?« – wyjaśniła Dodie, wciąż w to niedowierzając. – Może to przykrywka, kto wie? Zachowywała się jak wiele kobiet z wcześniejszych pokoleń, które trzymały głowę wysoko

i wolały udawać, że niczego nie widzą. Nie ona pierwsza". Dodie przekazała smutne wieści Johnowi, który dołączył do zarządu fundacji z sympatii do Libby i teraz zastanawiał się nad odejściem.

Libby Masters coraz częściej natykała się na dowody niewierności męża. Na spotkanie rodziców w Country Day School, prestiżowej prywatnej szkoły, do której razem z przyszłymi gubernatorami, senatorami i innymi grubymi rybami uczęszczali Howie Masters oraz syn Johnson Scott, Virginia przyszła w płaszczu luksusowej marki Vicuna, uszytym z bardzo drogiej wełny.

– Och! Jaki piękny płaszcz! – podziwiał jeden z rodziców.

– Dziękuję, dostałam go od Billa Mastersa – odparła dumnie Johnson.

Znajdująca się w tej samej grupce rodziców Libby zamarła, słysząc o prezencie, który jej mąż podarował innej kobiecie. Gini zaś w ogóle się tym nie przejęła.

Jeśli Libby czuła się samotna w domu na przedmieściach, gdy małżonek pracował do późna, to uczucie z pewnością się nasiliło, kiedy zaczęła podejrzewać go o zdradę z kobietą, z którą mieli skomplikowane i trudne do zakończenia relacje.

Johnson po raz pierwszy w życiu zarabiała na tyle dobrze, by zapewnić sobie i dzieciom komfortowe życie. Doceniono ją za pracę nad odkrywczymi badaniami, a Masters chętnie podkreślał jej zasługi. W ten sposób początkowo niechętnie utrzymywane stosunki z czasem sprawiały jej coraz większą przyjemność. „Byliśmy prawdziwymi atletami seksu", powiedziała później swoim przyjaciołom. W oczach kolegów Masters zdawał się korzystać ze starej lekarskiej tradycji posiadania żony w domu i kochanki na boku, zazwyczaj ponętnej pielęgniarki lub bliskiej współpracownicy. Nie tylko uprawiali seks w domu Johnson, ale też w małym mieszkaniu wynajętym przez fundację dla gości, gdzie bez wiedzy członków zarządu sypiali wtedy, gdy łóżko stało puste.

Ich relacje były jednak poważniejsze niż zwykły romans. Wierząc, że badania przyniosą mu sławę, Masters zainwestował w Fundację na rzecz Badań nad Biologią Reprodukcji cały swój kapitał zawodowy,

a Johnson stała się bardzo ważnym, niezastąpionym komponentem jego sukcesu. Na tym krytycznym etapie ich pracy Masters nie mógł sobie pozwolić na utratę Virginii i stawał się od niej coraz bardziej zależny. Pod pewnymi względami to ona przewodziła badaniom, zarządzając bardziej dokładne, zintegrowane podejście niż to obrane przez niego.

Zdając sobie z tego sprawę, Libby Masters postanowiła całą sprawę zignorować. Jej zdaniem dobra żona nie przejmowała się zdradą męża i skupiała uwagę na dzieciach. Zużywała swoją niedocenianą energię na prace domowe, codzienne dojazdy do szkoły i spędzanie czasu z koleżankami nad mahjongiem czy brydżem. Wciąż wierna mężowi, Libby miała nadzieję, że któregoś dnia ból serca minie. „Myślę, że zbyt wiele mu wybaczała i była dla niego za dobra – oceniła Marge, która wielokrotnie rozmawiała z nią na temat Billa. – Myślę, że uważała go za miłość swojego życia".

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Odkrywanie sekretów

I jeżeli (...) ktoś zadałby mi pytanie, co mianowicie uważam za przyczynę szczególnego powodzenia i rosnącej siły tego narodu, odpowiedziałbym, iż upatruję je w wyższości amerykańskich kobiet[5].
Alexis de Tocqueville, „O demokracji w Ameryce”

Przez niemal dekadę ich tajemnica pozostawała bezpieczna. Plotki o laboratorium seksuologicznym w samym środku St. Louis nigdy nie przebiły się do telewizji, radia czy prasy. W ramach osobistej przysługi dla Mastersa wydawca „St. Louis Globe-Democrat”, Richard Amberg, obiecał, że jego gazeta nigdy nie poruszy tego tematu. Drugi tytuł w mieście, należący do Pulitzera, również nie pisnął ani słówka. Dziennikarze pracujący dla Associated Press czy United Press International, dwóch największych serwisów zbierających tematy z całego świata, również wiedzieli o sensacyjnych doświadczeniach, ale nie przekazali tych informacji opinii publicznej.

Media z St. Louis zgadzały się na tę blokadę informacji aż do czasu zakończenia kontrowersyjnego projektu. Pod wieloma względami ta autocenzura była łatwiejszym wyjściem. Seks wciąż uważano za intymną sprawę małżonków, a dyskutowanie o nim silnie krytykowały religia i polityka. Sterowane przez rząd gazety, czasopisma i stacje telewizyjne nigdy nie pozwoliłyby sobie na publikację surowych opisów klinicznych z pracy Mastersa i Johnson. Słowo „ciężarna” mogło zostać usunięte z dowolnego programu telewizyjnego. Edukacji seksualnej nie wpuszczano do szkoły. Amerykańska opinia publiczna potępiała pracujące matki, homoseksualistów trzymała w szafach,

zakazywała antykoncepcji pannom i kawalerom, a aborcję uznała za przestępstwo w pięćdziesięciu stanach.

Chociaż w niszowych czasopismach ukazywały się pełne terminologii medycznej artykuły autorstwa Mastersa i Johnson oraz wystąpili oni przed nowojorską akademią, nikt nie przerwał milczenia. Ochotnicy w laboratorium kontynuowali swoją pracę nienękani przez prasę czy publiczne potępienie. Niewiele osób zauważyło, że para badaczy we wrześniu 1964 roku podpisała umowę na książkę podsumowującą ich odkrycia fizjologiczne i anatomiczne. Pozycja przypominająca podręcznik w typie kompendium, z bardzo ograniczoną liczbą ilustracji, została wydana pod tytułem *Współżycie seksualne człowieka* przez dział publikacji medycznych znanej oficyny z Bostonu, czyli Little, Brown and Co. Przeznaczona została głównie dla lekarzy i rezydentów, którzy potrzebowali podstawowej wiedzy na ten temat. Zgodnie z kontraktem, wszelkie zyski podzielono równo między Johnson, Mastersa i ich fundację. Ustalono datę wydania, która pozwalała na dokończenie projektu bez pośpiechu. Jednak tusz nie zdążył jeszcze wyschnąć, kiedy wszystko się wydało. „Wiedziałem, że igramy z ogniem – wyjaśnił później Masters. – Chcieliśmy mieć możliwość zbierania materiałów, zanim wszystko spadnie nam na głowę. Zaskoczyło nas, jak szybko do tego doszło".

W listopadzie 1964 roku czasopismo „Commentary", zajmujące się polityką i kulturą, opublikowało wypowiedź Lesliego H. Farbera, psychiatry z kręgu freudowskiej psychoanalizy, demaskującą największy sekret St. Louis. Swoją sensacyjną wiadomość przedstawił w inteligentnym, miejscami zabawnym stylu, pisząc o oddzieleniu erosa od prawdziwej miłości. „Jestem przekonany, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat seks przestał być dla ludzi niezwykłym doświadczeniem", wnioskował smutno Farber. Jego zdaniem przyglądanie się seksualności przez szkiełko mikroskopu „zabiera go ze wszystkich tradycyjnych dziedzin, takich jak religia, filozofia i literatura, które zawsze uznawały seks za wyłącznie ludzkie doświadczenie". Przedstawiając dowód na swoje dociekania, Farber opisał cielesną

kalistenikę z laboratorium Mastersa oraz „kolorowe nagrania… używane do niezwykle szczegółowego zapisu wszystkich faz cyklu reakcji seksualnej człowieka". W tekście Farbera znalazły się nagie, pozbawione twarzy kobiety, które najwyraźniej wolały „techniki automanipulacyjne", by osiągnąć orgazm bez niczyjej pomocy, zamiast tradycyjnej pozycji misjonarskiej. Tajemnicza siła kobiecego orgazmu przedstawiona na filmie jednocześnie fascynowała i przerażała biednego Farbera. Jego esej – tak różny od felietonów antykomunistycznych i tych dotyczących kryzysu w Strefie Gazy – zawierał wystarczająco dużo detali, by inne czasopismo uznało nagranie za „soczystą pornografię z wyższej półki". Z udawanym gniewem Farber rozwodził się nad chorobą toczącą amerykańską seksualność. Opłakiwał śmierć długowiecznego romantyzmu, który „uparcie wymagał miękkiego światła, kadzidła i poezji". Zamiast „królową sztuki miłosnej", jak napisał, każda kobieta z eksperymentu w St. Louis stawała się „panią z laboratorium", która mogła kierować swoją seksualną żarliwością niczym wodą w kranie, odkręcając i zakręcając kurek. „Powinienem jasno dać do zrozumienia, że badania doktora Mastersa interesują mnie o wiele bardziej niż jego odkrycia – przyznał Farber. – Projekt ten wydaje mi się jednym z rzadkich, ale godnych uwagi przypadków, kiedy to wbrew intencjom twórcy dzieło łamie pierwotnie skromne granice nauki, stając się wyraźną alegorią naszej aktualnej rozterki, tworząc swoje własne obrazy człowieka – jednocześnie sporządzając mapę Nowego Jeruzalem naszej przyszłości. Tego rodzaju przedsięwzięcie może stać się bardziej znaczące i odkrywcze niż prawdziwa sztuka".

W połowie lat sześćdziesiątych amerykańską rewolucję napędzały wolność i wygoda, jakie przyniosła pigułka antykoncepcyjna, od tej pory dostępna dla dziewcząt w tych samych aptekach, w których chłopcy przez lata kupowali prezerwatywy. Orgazmy nagle stały się sloganem w walce o wolność jednostki, a prawa do nich udzielano bez wyjątków. „Ze wszystkich odkryć seksuologii kobiecy orgazm pozostaje najbardziej imponujący", napisał Farber w najmniej ironicznym

i najbardziej powściągliwym stwierdzeniu swojej krytyki. Chociaż autor wydawał się do tego nie przyznawać, jego esej wyraźnie sugerował, że materiały zebrane przez Mastersa i Johnson mogłyby zniszczyć pseudonaukę freudowskiej teorii. Czytelnicy przedzierający się przez ogrom wiedzy o ludzkiej seksualności dostarczony przez parę badaczy już wkrótce mieli się przekonać o niesłuszności koncepcji głoszonych przez twórcę psychoanalizy i tkwiącej w nich utajonej mizogini – nie wyłączając teorii o wyższości męskiej seksualności nad kobiecą. Przez niemal sześćdziesiąt lat góry podręczników i artykułów z dziedziny psychoanalizy powtarzały teorię Sigmunda Freuda dotyczącą różnic między orgazmem łechtaczkowym a pochwowym. Zdaniem Freuda, w procesie dojrzewania płciowego, kiedy dziewczynka stawała się coraz mniej emocjonalnie przywiązana do matki, a coraz bardziej do ojca, jej reakcje seksualne koncentrowały się na łechtaczce jako „prawdziwym substytucie penisa". W czasie tych niedojrzałych dni, jak napisał Freud w 1910 roku, budząca się seksualność przyjmowała „całkowicie męski charakter", w którym dojrzewająca dziewczynka „czerpała przyjemność z łechtaczki tak, jak chłopiec z penisa". Freudowska psychoanaliza stworzyła cały system, psychoseksualny domek z kart, bazując na tych nieweryfikowalnych stwierdzeniach. Kobiety preferujące orgazm łechtaczkowy postrzegano jako męskie, neurotyczne, „oziębłe" albo targane emocjami, podczas gdy te lubujące się w orgazmach pochwowych jako bardziej kobiece, dojrzałe i… normalne. Niech o przeobrażeniu się freudowskiej psychoanalizy w świecką religię w połowie dwudziestego wieku świadczy fakt, że przekonanie to stało się prawdą wiary dla wielu terapeutów, wywołując tym samym nieopisane cierpienie emocjonalne ich pacjentek.

Nie wnikając w zasługi Freuda w dziedzinie „terapii na kozetce", Masters i Johnson uznali, że zupełnie się mylił w kwestiach łóżkowych. Niepodważalne dowody w postaci kolorowych filmów odrzuciły koncepcje Freuda o bardziej satysfakcjonującym stosunku pochwowym i mniej udanym, „niedojrzałym" orgazmie wywołanym stymulacją łechtaczki. Jednak kiedy tłumy ludzi chłonęły freudowską psychologię

ze szkół, mediów i kultury popularnej, występowanie przeciwko niej było nie lada wyczynem. Późniejsze badania przeprowadzone przez dwóch naukowców z Chicago pokazały, że w kilkunastu podręcznikach medycznych z lat sześćdziesiątych dwie trzecie „wciąż zawierało stwierdzenie o silniejszym popędzie płciowym u mężczyzny, przeczące odkryciom Mastersa i Johnson". Połowa książek napisanych przez ginekologów i innych lekarzy zajmujących się kobietami wskazywała „prokreację" jako główny cel odbywania stosunków dla większości kobiet. Dwa tytuły twierdziły, że kobiety są „oziębłe", a dwa inne powtarzały przekonanie Freuda o orgazmie pochwowym jako jedynej „dojrzałej" reakcji seksualnej. Zdaniem Mastersa i Johnson wcześniejsze badania niestety „bazowały na introspekcji pacjentów, ich prywatnych opiniach oraz ograniczonej obserwacji klinicznej" – stwierdzenie to wyraźnie wycelowane było we Freuda i jego akolitów. Dowody zebrane przez dwójkę badaczy wydawały się niepodważalne. Jak pokazywały odczyty z czujników i innych urządzeń, zdolność kobiety do wielu orgazmów przewyższała reakcję seksualną mężczyzny, która zanikała, przynajmniej tymczasowo, po zaledwie jednym strzale szczęścia. Oparte na faktach medycznych, wyczerpujące badania Mastersa i Johnson miały uwolnić Amerykę od kulturowych przesądów, a kobiecą seksualność z freudowskiego więzienia. Nic dziwnego, że urządzenie z soczewką optyczną wydawało się Farberowi potworem.

Młode Amerykanki, uzbrojone w wiedzę i nowe metody antykoncepcji, radykalnie zmieniły swoje nastawienie do seksu. Kolega Farbera, psychiatra Ralph R. Greenson z Uniwersytetu Kalifornijskiego, w 1966 roku próbował ostrzec gości zjazdu Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego przed zbliżającym się tsunami. „Jestem przekonany, że w sprawach seksu kobiety stają się bardziej asertywne i wymagające, a mężczyźni zobojętniali i letargiczni – ostrzegał. – Najwyraźniej od kiedy zdobyły większą wolność, czują, że oprócz zrównania praw należy im się również taka sama satysfakcja z seksu". W czasie największej popularności freudowskiej psychoanalizy medycyna kliniczna zaczęła się jej wypierać, podobnie jak kiedyś

kościelni ortodoksi obserwacji teleskopowych nieba. „Masters i Johnson leczyli problemy natury seksualnej szybciej i efektywniej, niż to sobie wyobrażali psychiatrzy – ogłosił doktor Fritz Redlich, profesor psychiatrii na Wydziale Medycznym Uniwersytetu w Yale. – Odwrócili się od Freuda i odsłonili słabe strony jego teorii na temat seksu". Bez względu na wysiłki Farbera zmierzające do unowocześnienia teorii Freuda i wyśmiania Mastersa i Johnson w zwodniczym i poniżającym artykule, nie mógł on przeciwstawić się dowodom empirycznym.

W amerykańskich mediach komentarz Farbera wzbudził zainteresowanie mało znaną parą badaczy, która przekonała setki ludzi do zrzucenia ubrań dla dobra nauki. „A co z tymi skromnymi naukowcami stojącymi za kamerą, którzy wymyślili i przeprowadzili te badania? – zastanawiał się Farber. – Czyżby odzwierciedlali to, kim jesteśmy i kim się staniemy? Wiemy o nich równie mało, co o ochotnikach biorących udział w projekcie". W tym kierunku poszli inni ciekawscy dziennikarze. Zapukali do drzwi Mastersa oraz Johnson, którzy nie chcieli powtarzać błędu Alfreda Kinseya, nieustannie walczącego z przeciwnikami podczas publicznej debaty. „Zamierzam nie bronić się przed atakami i ich nie komentować, a zamiast tego publikować kolejne materiały", odparł Masters, najwyraźniej nie dając się sprowokować. W rzeczywistości jednak felieton Farbera okazał się sygnałem ostrzegawczym, który zmobilizował ich do zmiany planów, przyspieszenia badań i opublikowania wyników już 15 kwietnia 1966 roku.

Ich życie w St. Louis miało już nigdy nie być takie same. Anonimowe wysiłki tak wielu ochotników wkrótce zostały unieśmiertelnione w druku, zilustrowane wykresami i zredukowane do oznaczeń typu „Pacjent A" i „Pacjent B". Po dwunastu latach pracy i całym życiu przygotowań marzenia Billa Mastersa o sławie odkrywcy wreszcie się spełniły.

[5] Tłumaczenie Marcina Króla, Państwowy Instytut Wydawniczy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

„Współżycie seksualne człowieka”

Swoją przełomową książkę *Współżycie seksualne człowieka* zaczęli od wywodu na temat godnego pożałowania stanu wiedzy na temat seksualności człowieka oraz tego, jak niewiele społeczeństwo próbuje z tym zrobić.

„Jak to możliwe, że biolodzy, behawioryści, teolodzy i edukatorzy z czystym sumieniem mogą nie robić nic, by przeciwdziałać ignorancji w temacie seksu, tym samym szkodząc milionom ludzi? – pytali. – Nie istnieje człowiek, który choćby raz w życiu nie spotkał się z problemem na tle seksualnym. Czy ten jeden aspekt naszego życia, wpływający częściej i bardziej różnorodnie na ludzi niż jakakolwiek inna fizjologiczna reakcja, prócz tych niezbędnych naszej egzystencji, może wciąż obchodzić się bez obiektywnej, naukowej analizy?”.

Te idealistyczne nuty przypominały młodego Billa Mastersa zniesmaczonego ignorancją Amerykanów w kwestii seksu i zdeterminowanego, by coś z tym zrobić. Jednak książka szybko zmienia ton na wyważony, zaczyna mówić głosem odkrywcy, który stawia flagę na białej plamie na mapie medycyny.

Swoje podziękowania dla Alfreda Kinseya, nieżyjącego wtedy już od kilkunastu lat, zawarli w słowach pełnych szacunku, ale i porównań. Chociaż Kinsey wraz z zespołem „opublikował monumentalną kompilację danych statystycznych odzwierciedlających typy zachowań seksualnych”, Masters i Johnson dali czytelnikom wyraźnie do

zrozumienia, że jego badania miały naturę socjologiczną, a nie medyczną. Zauważyli nawet, że w przyszłości historycy mogą dojść do wniosku, że największym osiągnięciem Kinseya było to, że przetarł szlak dla ich badań, „otwierając wcześniej zamknięte drzwi kultury, umożliwiając dokładną analizę seksualności człowieka".

Masters i Johnson zdołali nawet wygrzebać cytat z Freuda, który pasował do wstępu ich dociekań. „Biologia to ląd nieograniczonych możliwości. Możemy spodziewać się, że odkryje przed nami zaskakujące informacje i nie jesteśmy w stanie odgadnąć, jak odpowie nam za kilka tuzinów lat na pytania, które zadamy jej teraz. Być może okaże się, że te odpowiedzi zniszczą sztuczną strukturę naszych hipotez".

Masters i Johnson zasugerowali w ten sposób, że opublikowana przez nich książka jest właśnie taką niszczącą hipotezy odpowiedzią, jaką przepowiedział Freud. Zamiast teorii i przypuszczeń przedstawili fakty. Pierwsza sekcja *Współżycia seksualnego człowieka* podkreślała podobieństwa w reakcjach kobiety i mężczyzny w trakcie stosunku – z podwyższonym ciśnieniem krwi i napięciem mięśni na czele. Mimo istnienia oczywistych różnic w budowie kobiet i mężczyzn, twierdzili: „Raz po raz będziemy zwracać uwagę na bezpośrednie podobieństwa w reakcji seksualnej człowieka, którym nigdy wcześniej nie przyglądano się z tak bliska". Niczym wielbiciele ptaków obserwujący je z dystansu, zapisywali zmiany barw i kształtu genitaliów, na przykład „następujące w fazie *plateau* zmiany koloru mniejszych warg sromowych u kobiety oraz nabrzmienie penisa u mężczyzny". Johnson opisywała historie poszczególnych przypadków na końcu publikacji; środek liczącej sobie ponad trzysta stron książki na temat fizjologii i anatomii seksu należał do Mastersa, w miarę możliwości korzystającego z chłodnej terminologii, zwłaszcza przy przedstawianiu stosunków.

Co więcej, Masters i Johnson stworzyli ogólny schemat reakcji seksualnej, wyróżniając jej cztery etapy. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni przechodzą fazę podniecenia, fazę *plateau*, fazę orgazmu,

a na koniec odprężenia. Etapy mogły znacznie różnić się pod względem czasu trwania i intensywności u poszczególnych ludzi, jednak schemat służył jako dobry sposób na wprowadzenie odrobiny ujednolicenia w opisie tak różnorodnych reakcji seksualnych człowieka. Ambicje dwójki badaczy mogły rywalizować z wielkimi teoriami Freuda, jednak ich podejście zredukowane do czterech faz wydawało się wystarczająco łatwe do przyswojenia nawet dla kochanka przed inicjacją. U mężczyzn podniecenie pojawiało się szybko. Młodzi chłopcy mogli osiągnąć pełną erekcję w zaledwie trzy do pięciu sekund od chwili, gdy ich libido zostało rozbudzone. Starsi mogli czekać dwa lub trzy razy dłużej, a sama erekcja mogła nieco słabnąć, jednak najbardziej oczywisty, ucieleśniony dowód podniecenia u mężczyzn nigdy się nie zmieniał. Z kolei wśród młodych kobiet najpierw pojawiała się erekcja sutków, nabrzmienie piersi oraz nawilżenie pochwy, dokonujące się w ciągu trzydziestu sekund od chwili rozbudzenia, przy którym dochodziło także do wydłużenia waginy, przygotowującej się na stosunek. Chociaż u kobiet dojrzalszych podniecenie przychodziło nieco wolniej, badacze odkryli, że przy odpowiedniej stymulacji „reakcje te mogą występować nawet u osiemdziesięciolatek” – co z pewnością stanowiło niespodziankę dla tej grupy ochotniczek.

Na drodze do ekstazy aspiranci szybko docierali do fazy *plateau*, tymczasowego stanu, który najlepiej opisać jako ostatni przystanek przed głównym celem. W tej fazie u kobiet pochwa jeszcze mocniej się nawilża, a napięcie seksualne powoduje zmianę barwy warg mniejszych i otaczających ją tkanek z jasnoczerwonej na burgundową. Co bardziej istotne, łechtaczka, organ regulujący reakcję seksualną u kobiety, wyraźnie się napina, a jej gruczoły wysuwają się spod spełniającego funkcje ochronne napletka. W fazie *plateau* penis mężczyzny pozostaje w pełnej erekcji, zaś jądra powiększają się i nieco unoszą, wydzielając kilka kropel przypominającego śluz płynu. Obie płcie na tym etapie zazwyczaj doświadczają „seksualnego rumieńca”, kiedy to rosnące napięcie seksualne wywołuje tymczasową, przypominającą odrę wysypkę na klatce piersiowej.

Książka wykorzystywała terminologię, która dla przeciętnego czytelnika wymagała glosariusza, a jeden z recenzentów nazwał ją „niemal zupełnie niezrozumiałym gąszczem łacińskich określeń medycznych", wskazując na między innymi takie zdania: „Ten plamisto-grudkowy typ wysypki rumieniowej najpierw pojawia się w okolicy nadbrzusza".

W chwili osiągnięcia orgazmu obie płcie doznają pełnego rozkwitu sił witalnych, a rytm życia przyśpiesza do pełnego galopu. U mężczyzny tempo bicia serca i oddechu skacze wyraźnie ponad normę, a on sam doznaje „wrażenia niemożności powstrzymania ejakulacji" w cewce moczowej, tuż przed wytryskiem nasienia. U kobiety osiągnięcie orgazmu trwa nieco dłużej. Kiedy jednak dochodzi już do szczytowania, pojawiają się skurcze macicy i najdalszej jednej trzeciej waginy, przypominające fale o interwale trwającym osiem dziesiątych sekundy – mniej więcej tyle samo, co „ekspulsywne kontrakcje" męskiej ejakulacji w trakcie orgazmu – i powtarzają się od czterech do ośmiu razy. Masters i Johnson odkryli, że u podnieconych kobiet przednia ściana pochwy wędruje do tyłu i do góry, tworząc efekt „chowania", jednocześnie rozmiar pochwy się podwaja, żeby pomieścić penisa. U obu płci po skurczach tkanki miedniczej dochodzi do rytmicznych skurczy zwieracza.

Po szczytowaniu następuje czwarta faza zwana odprężeniem, charakteryzująca się spadkiem napięcia mięśni i odpływem krwi z genitaliów. Ten swoisty finał jest bardziej wyraźny u mężczyzny, którego naprężony penis szybko opada. Męski organ płciowy pozostaje przez krótki czas nieco powiększony, ale po chwili kurczy się zupełnie, powracając do stanu naturalnego. U kobiet wkrótce po orgazmie z genitaliów odpływa część krwi i blednie zaczerwienienie, jednak faza odprężenia jest ledwo zauważalna i „trwa do kilku minut".

Masters i Johnson wygodnie operowali tymi czterema fazami, chociaż ich stwierdzenie porównujące kobiecą i męską reakcję seksualną wydawało się nieco naciągane. „Paralele w reakcji na efektywną stymulację seksualną podkreślają fizjologiczne podobieństwa między

płciami, a nie różnice". Zamiast ukazywać kobiety i mężczyzn jako przeciwieństwa, niczym Adama i Ewę, dwójka badaczy doszła do wniosku, że każdy dojrzały człowiek charakteryzuje się „homogeniczną reakcją fizjologiczną", bez względu na osobiste preferencje. Swoje stwierdzenia opierali na dokonującym się u przedstawicieli obu płci napływaniu krwi do genitaliów oraz drugorzędnych cechach podniecenia, między innymi przyśpieszonym oddechu i napięciu mięśni. Sceptycy wątpili w ich czterofazowy opis i zastanawiali się, ile z tych wniosków o podobieństwach wysnuto zbyt pochopnie. Na przykład skurcze trwające osiem dziesiątych sekundy, zmierzone stoperem, stanowiły „odkrycie raczej symboliczne niż praktyczne – jak zauważył historyk Paul Robinson. – Sugeruje ono, że w kulminacyjnym momencie kobiety i mężczyźni osiągają idealną harmonię. Jakby maszerowali w rytmie wybijanym przez tego samego bębniarza".

Książkę napisano w przyjemnie egalitarnym tonie, nie odnosząc się bezpośrednio do błędnego przekonania medycyny o męskiej dominacji w seksie. Niemniej jednak najważniejszemu z zawartych w niej odkryć, opartemu na trwającej ponad dekadę obserwacji trzystu osiemdziesięciu dwóch kobiet i trzystu dwunastu mężczyzn, nie dało się zaprzeczyć – to kobiety przewyższały mężczyzn. Sama kompozycja książki podkreślała to przekonanie, poświęcając aż sto czterdzieści jeden stron kobiecej reakcji seksualnej, a męskiej trzy razy mniej. Opisy kliniczne i ilustracje kreśliły mapę bajkowej krainy kobiecego ciała, zgłębiając arkana fizycznej miłości. Odkrycia Mastersa i Johnson w tej właśnie kwestii okazały się najbardziej inspirującym aspektem ich pracy klinicznej, który miał ogromny wpływ na amerykańską rewolucję seksualną, jaka dokonała się w ciągu dwóch następnych dekad. Masters, zafascynowany zdolnością kobiet do wielokrotnego orgazmu, doskonale zdawał sobie sprawę, że ta wiedza zatrzęsie posadami zdominowanej przez mężczyzn kultury, obsesyjnie skoncentrowanej na fallusie i fallicznych fantazjach. Po osiągnięciu pierwszego orgazmu mężczyzna czekał czasem nawet godzinę albo dłużej, doświadczając tymczasowej impotencji, uprzejmie nazwanej fazą odprężenia, zanim

znowu mógł podjąć aktywność seksualną. Natomiast większość kobiet przeżywających orgazm była gotowa na następny niemalże od razu, o ile tylko miała odpowiedni nastrój i warunki. „Kobieta nie przechodzi tego rodzaju fazy – napisali, porównując reakcje dwóch płci. – Zazwyczaj jest w stanie powtórzyć doświadczenie orgazmu bez postorgazmicznej utraty napięcia seksualnego". Dalszy opis wielokrotnego szczytowania doświadczanego przez kobiety pojawia się w różnych częściach *Współżycia seksualnego człowieka*, a także we wcześniejszych publikacjach pary badaczy. Napisali między innymi: „W przeciwieństwie do męskiej niemożności osiągnięcia więcej niż jednego orgazmu w krótkim przedziale czasowym, wiele kobiet, zwłaszcza przy stymulacji łechtaczki, może regularnie doznawać pięciu albo sześciu pełnych orgazmów w ciągu kilku minut". W tym scenariuszu potencjalny kobiecy pokaz sztucznych ogni w łóżku znacznie przewyższał męską pojedynczą petardę.

Przed Mastersem i Johnson literatura medyczna opisywała „oziębłość" i słabowitość kobiet. Nie mogły jakoby doścignąć doścignąć mężczyzn. Chociaż jedna na sześć przepytywanych przez Kinseya kobiet wspominała o wielokrotnych orgazmach, a podobne liczby pojawiały się też w innym badaniu przeprowadzonym przez psychologa z Uniwersytetu w Stanford, Lewisa M. Termana, przez większość naukowców fenomen ten wciąż uważany był za nieistotną anomalię anatomiczną, a część krytyków płci męskiej, co zabawne, nie chciało go uznać za prawdziwe szczytowanie. Masters i Johnson udowodnili, że w biologicznej rzeczywistości jest zupełnie na odwrót. Udało im się odkryć, że u kobiet doświadczających wielokrotnego orgazmu jeden rodzaj szczytowania nie różnił się fizjologicznie od innych. Jeśli już, każdy kolejny stawał się bardziej intensywny. „Kiedy przepytywaliśmy pacjentki płci żeńskiej w laboratorium po tym, jak przeżyły wielokrotny orgazm, zazwyczaj swoje drugie albo trzecie szczytowanie opisywały jako subiektywnie bardziej satysfakcjonujące i przyjemne niż pierwsze". Niektóre kobiety przeżywały kolejne orgazmy bez przerwy, podczas gdy inne przechodziły do fazy *plateau*

albo podniecenia, by potem raz jeszcze szczytować. „Jednym z naszych ważniejszych odkryć, przynajmniej według nas, jest fakt, że kobieta może naturalnie osiągać wielokrotny orgazm – powiedział później Masters. – Nigdy wcześniej nie podkreślano tej informacji".

By poznać tajemnice kobiecego orgazmu, Masters i Johnson zajęli się badaniem łechtaczki – maleńkiego, lecz potężnego kłębka miłości – i jej reakcji na podniecenie. W przeciwieństwie do poprzednich naukowców płci męskiej – w tym autora znanego podręcznika anatomii, Henry'ego Graya, który nazwał ten organ „odpowiednikiem penisa u mężczyzny" – Masters i Johnson podkreślali jego niezwykłość. „Organ ten jest unikalny dla całej ludzkiej anatomii – napisali. – Żaden mu podobny nie istnieje w organizmie mężczyzny". Łechtaczka nie była, ich zdaniem, młodszą siostrą penisa czy kobiecym fallusem, jak błędnie deklarowali inni anatomiści. Nie stanowiła też, jak teoretyzowali uczniowie Freuda, „niedojrzałego" organu miłości u młodych, masturbujących się kobiet, które dopiero po wyjściu za mąż zmieniały swoje upodobania na orgazm pochwowy. Para badaczy twierdziła, że twórczość tych tak zwanych ekspertów to w istocie „zbiór behawioralnych konceptów bez biologicznego uzasadnienia", a „dekady »fallicznych fantazji« raczej ograniczały niż wspierały rozwój badań". Masters i Johnson przyglądali się relacjom łączącym łechtaczkę i pochwę w trakcie rozbudzenia seksualnego i nie odnaleźli żadnych różnic w szczytowaniu. „Czy orgazmy łechtaczkowe i pochwowe to zjawiska anatomicznie różne? – pytali. – Z biologicznego punktu widzenia odpowiedź zdecydowanie brzmi »nie«". Dodali również, że porównywanie zachowania łechtaczki w trakcie stosunku do zachowania męskiego penisa nie ma sensu. Podczas gdy lubrykacja pochwy może pojawić się równie szybko, co erekcja u mężczyzny, zdaniem dwójki badaczy „powszechna wiara, że łechtaczka odpowiada na stymulację z szybkością równą penisowi, jest błędna".

Dowody trudno było obalić. Zajmujące kilka stron podstawowe rysunki nabrzmiałych piersi i kobiecych genitaliów – w tym schowanie się napletka i żołędzi tuż przed orgazmem – stanowiły wskazówki dla

niewtajemniczonych. Jeden przedruk z elektrokardiogramu pokazywał przyśpieszone bicie serca w trakcie szczytowania, czasami wynoszące nawet sto osiemdziesiąt uderzeń na minutę. Kobiety obserwowano w trakcie seksu w pozycjach: leżenie na plecach, na górze lub z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej. Stymulowały się samodzielnie albo pomagali im małżonkowie, a czasami wykorzystywały urządzenie optyczne dostarczone przez klinikę. Sztuczny penis działał doskonale, gdy leżały na plecach, ale w pozycji na górze użycie go okazywało się „technicznie niemożliwe". Dlatego pacjentki preferujące tę konfigurację musiały osiągnąć orgazm w sposób naturalny – z prawdziwym, żywym partnerem. Bez względu na pozycję, wyniki pokazywały potęgę kobiecej reakcji seksualnej.

Orgazm dla kobiety jest doświadczeniem obejmującym całe ciało – z „intensywnym uczuciem łechtaczkowo-miednicowym" oraz „często wrażeniem receptywnego otwierania się" – podczas gdy u mężczyzn doznania skupiają się na erekcji i ejakulacji. W przeciwieństwie do tego, co powszechnie uważano i co tendencyjnie głosili lekarze, kobiety mogły się cieszyć seksem na każdym etapie życia. Nawet w ciąży mogły odbywać stosunki bez strachu o płód, a w niektórych przypadkach łatwiej im było wtedy o orgazm, zwłaszcza w drugim trymestrze. Starsze kobiety również nie musiały kończyć swojego pożycia. Badania ponad sześćdziesięciu pacjentek aktywnych seksualnie po czterdziestce, w tym trzech siedemdziesięciolatek i jednej osiemdziesięciolatki, wykazały, że wiek może ostudzić intensywność doznań, ale nigdy ich całkiem nie wygasi. „Nie ma powodu, dla którego menopauzę powinno się uważać za koniec aktywności seksualnej kobiety". Masters i Johnson przyjrzeli się także granicom tejże aktywności. Raniąc męską dumę, odkryli, że ich pacjentki doświadczały najsilniejszych orgazmów przy masturbacji, a nie ze swoimi partnerami. Dodając do tego zdolność do wielokrotnego orgazmu, niektóre kobiety potrafiły, w rzadkich przypadkach, osiągnąć *status orgasmus* – przedłużone szczytowanie trwające od dwudziestu do ponad sześćdziesięciu sekund bez powrotu do fazy *plateau*. (Na

sąsiedniej stronie umieszczono zapis elektrokardiogramu z tegoż badania, zapewne by rozwiać wszelkie wątpliwości). W książce nie opisywano kobiet, które potrafiły osiągnąć orgazm bez dotykania, samymi fantazjami, ale Mastersowi i Johnson udało się znaleźć trzy takie pacjentki, kiedy publikacja trafiła już do księgarń.

Większość ochotników biorących udział w projekcie dobrze znała seks i towarzyszące mu odczucia, co z pewnością miało wpływ na wyniki, nawet przy różnorodnej próbie. „Zgłaszały się do nas kobiety o różnym charakterze, od bardzo nieśmiałych po wyraźnie pewne siebie". Były to osoby zarówno po pojedynczych, jak i wielokrotnych doświadczeniach seksualnych. Jednak dane fizjologiczne wskazywały na możliwość osiągnięcia orgazmu przez każdą zamężną kobietę w Ameryce. Kobiety uważane za „oziębłe" – nieprecyzyjne, pejoratywne określenie, którego Masters i Johnson nie popierali – nie miały z nim problemu. Jeśli już pojawiały się jakieś kłopoty, związane były z ograniczeniami nakładanymi przez religię i kulturę, a nie z anatomiczną wadą czy osobistymi brakami. Przy odpowiedniej podaży informacji i zachęty, wolna od potępienia społecznego kobieta mogła osiągnąć seksualne spełnienie. Takiego przesłania większość przedstawicielek płci pięknej jeszcze nie słyszała. „Ani tabu, ani religia nie wydają się w pełni wyjaśniać siły, z jaką kobiecy orgazm jest negowany jako naturalnie występująca fizjologiczna reakcja – zapewniali autorzy swoich czytelników w stylu wziętym raczej z tradycyjnych amerykańskich poradników niż podręczników medycznych. – Teraz, kiedy fizjologia szczytowania została poznana, kobieta zyskała szansę na rozwinięcie swojej reakcji seksualnej do rzeczywistego poziomu". Podkreślali, że to od niej zależy jej seksualne spełnienie.

Tymczasem męska reakcja seksualna opisana przez Mastersa i Johnson wydawała się gorsza i wymagała nieustannego wsparcia. „Obawa o wydajność, wynikająca z kulturowego wymogu zaspokojenia partnerki, w przeszłości ciążyła wyłącznie na mężczyźnie", napisali niczym o Atlasie niosącym świat na swoich barkach.

Erekcja, jak wykazały badania, może się okazać niepewną przygodą, zwłaszcza dla starzejącego się mężczyzny. Niektórzy pacjenci nie potrafili kontrolować przedwczesnego wytrysku, co frustrowało ich partnerki. W drodze do orgazmu kobiety wykazywały duży stopień kontroli, najwyraźniej będąc w stanie wstrzymać ten proces w dowolnym momencie, podczas gdy mężczyźni często rzucali się głową w dół. „Podczas gdy doświadczenie orgazmiczne kobiety może zostać przerwane przez zewnętrzne psychosensoryczne bodźce, u mężczyzny, kiedy faza szczytowania została zainicjowana i doszło do skurczy odpowiednich organów, nie można jej wstrzymać lub opóźnić, a wytrysk nasienia musi zostać zakończony".

Masters i Johnson obalili także inne błędne przekonania na temat penisa, na przykład to o szaleństwie, którego można się nabawić przez masturbację. Nieobrzezani mężczyźni nie wykazywali większej zdolności do kontrolowania wytrysku ani mniejszej potencji niż obrzezani. Ku uciesze bywalców siłowni, Masters i Johnson zaprzeczyli też „powszechnemu przekonaniu, że ejakulacja, czy to w wyniku masturbacji, czy stosunku, ma niekorzystny wpływ na kondycję fizyczną sportowców podczas treningów". Zaś mężczyznom martwiącym się o potencję w starszym wieku doradzali częste ćwiczenia: „Najważniejszym czynnikiem mającym wpływ na wydajność seksualną dojrzałego mężczyzny to utrzymywanie aktywnego życia". W Sekcji książki o wdzięcznym tytule *Penis* – który podobnie jak pozostałe organy płciowe dorobił się własnego działu – zmierzyli się z powszechnym przekonaniem o jego niezwykłej wadze w zdominowanej przez mężczyzn amerykańskiej kulturze. „Penisa wiecznie oglądano, ale nigdy nie stał się przedmiotem badań. Organ ten przez setki lat w literaturze i sztuce otaczany był czcią, piętnowany i przedstawiany w nieprawdziwym świetle. Nasza kultura jednocześnie powtarzała błędne postrzeganie funkcji penisa i pozostawała pod ich wpływem. To błędne postrzeganie zabarwiło naszą sztukę oraz, co chyba nawet jeszcze ważniejsze dla naszej kultury, wywarło wpływ na nauki behawioralne i biologiczne".

Malowany przez autorów obraz przedstawiał organ o zmiennych nastrojach. W fazie podniecenia, jak informowali w książce, erekcję można łatwo utracić w wyniku „nagłego hałasu, przejścia na temat niezwiązany z seksem albo wyraźnej zmiany w oświetleniu, temperaturze lub obsługującym laboratorium personelu". Biorąc pod uwagę te czynniki, kobiety mogą się zastanawiać, jakim cudem typowy mężczyzna (z rachunkami na głowie, dziećmi w domu i telewizorem w sypialni) może w ogóle wejść w fazę podniecenia. W przeciwieństwie do wytrwałej, wiecznie otwartej na bodźce kobiety, stan rozbudzenia dla mężczyzny mógł trwać przez dłuższy czas tylko poprzez „skrupulatną kontrolę nad rodzajem i intensywnością technik stymulacji" – krótko mówiąc, pilnowanie, by nie podniecić się zbyt szybko. Zaspokojenie kobiety często wymagało od mężczyzny pełnej kontroli nad wytryskiem. Po ejakulacji pewien stopień erekcji mógł zostać utrzymany, jeśli penis nie został od razu wyjęty z pochwy. Jednak szybkie wysunięcie czy jakakolwiek inna czynność rozpraszająca uwagę w sposób aseksualny oznaczały nieunikniony powrót do zwiotczenia.

Zdając sobie sprawę z postawy obronnej mężczyzn, para badaczy odrzuciła kolejny, powtarzany błąd – tym razem dotyczący rozmiaru penisa. Ogromne i maleńkie penisy stały się doskonałym tematem komedii, napisów na ścianach toalet czy wizyt w gabinecie psychoanalityka. „Złudzenie, że wielkość penisa ma jakiś związek z efektywnością seksualną, jest kolejnym przykładem błędnego przekonania na jego temat", zadeklarowali Masters i Johnson. Jednak nawet oni celowo unikali odpowiedzi na pytanie o średni rozmiar członka. Publikowanie takich danych byłoby wyjątkowo niebezpieczne dla pary badaczy, którzy w swoim projekcie wykorzystywali mechaniczne dildo. Medycyna od zawsze unikała tego tematu jak ognia. Masters i Johnson zacytowali świętej pamięci doktora Roberta Latou Dickinsona (Bill wiele lat wcześniej uczył się z jego podręczników do anatomii), który zgadzał się z wynikami pomiarów z 1899 roku, poczynionych przez niemieckiego lekarza o nazwisku Loeb. Porównywał on wzrost oraz długość penisa i stopy, a średnie wartości

dla penisa wynosiły od ośmiu i pół do dziesięciu i pół centymetra w stanie spoczynku. Masters i Johnson również odrobili pracę domową na swoich ochotnikach, ale nie podzielili się wynikami w swojej książce. Rutynowo delegowali asystenta uzbrojonego w metrówkę, którą łącznie zebrał aż osiemdziesiąt wymiarów różnych penisów, sprawdzając je od podstawy do czubka, w stanie spoczynku i erekcji. Rozmiary czterdziestu zwiotczałych penisów w grupie mniejszych wahało się od siedmiu i pół do dziewięciu centymetrów, a te większe od dziesięciu do jedenastu i pół. Jednak w czasie erekcji penisy mężczyzn w pierwszej grupie prawie dwukrotnie powiększyły swoje rozmiary, podczas gdy te należące do pozostałych nie nabrzmiały aż tak wyraźnie, zaliczając zaledwie siedemdziesięciopięcioprocentowy wzrost. Zwycięzcą tego swoistego wyścigu został mężczyzna z grupy badanych z mniejszymi penisami z prąciem o długości zaledwie siedem i pół centymetra, które rosło aż o sto dwadzieścia procent i to przy każdym pomiarze, a pomiarów wykonano aż trzy.

Mimo starań zmierzających do stworzenia idealnych warunków laboratoryjnych, Masters i Johnson przyznali, że badania były pośpieszne, „co najwyżej prymitywnie kliniczne" i znajdowały się na granicy niesolidności. Jedna trzecia pomiarów penisów miała miejsce w trakcie „automanipulacji" i te mogły zostać uznane za dość dokładne. Jednak reszty dokonano tuż przed wytryskiem. Mężczyzna wysuwał prącie w trakcie stosunku, żeby zmierzono je w pełnym nabrzmieniu, przynajmniej w teorii, jeśli nie praktyce. „Chociaż z pewnością wyniki nie są ostateczne, niewątpliwie błędne jest przekonanie, że większy penis zwiększa swój rozmiar w trakcie erekcji proporcjonalnie do mniejszego penisa". Ta niewielka informacja na temat długości prącia musiała czytelnikom wystarczyć.

Para badaczy obaliła każdy mit na temat męskości, według którego mężczyźni w Ameryce oceniali swoje przyrodzenia. „Kiedy opublikowaliśmy naszą książkę, celowo nie umieściliśmy w niej informacji o średniej długości penisa – wyjaśnił Masters dekadę później. – W pewnym sensie mieliśmy nadzieję, że w ten sposób

zanegujemy znaczenie rozmiaru prącia w seksie". Oczywiście poznali średnią wartość dla amerykańskich mężczyzn, ale odmawiali jej ujawnienia. „Nigdy tego nie ogłosimy – żartował Masters, choć z nutą powagi. – Musimy zadbać o bezpieczeństwo ludzkości! Cokolwiek powiemy, każdy facet ruszy po miarkę".

Zamiast tego Masters i Johnson skupili się na nieco poważniejszej lekcji, której chcieli udzielić obu płciom. W trakcie stosunku, bez względu na długość penisa, pochwa najwyraźniej doskonale wiedziała, co robić. „Pełne dostosowanie się do rozmiaru prącia zazwyczaj dokonuje się w ciągu kilku pierwszych pchnięć". Dla nerwowych mężczyzn najważniejsze było to, że w ostatecznym rozrachunku wielkość nie ma istotnego znaczenia, a w skrajnych przypadkach nawet im większy penis, tym gorzej! Mężczyzna z mniejszym przyrodzeniem mógł wejść do pochwy łatwiej i na wcześniejszym etapie podniecenia. Tymczasem ci sowiciej obdarzeni przez naturę musieli czekać dłużej, aż ich partnerka osiągnie znacznie wyższy stopień rozbudzenia. Przy zachowaniu odpowiedniej uwagi i właściwej stymulacji pochwa mogła przyjąć prącie o praktycznie każdym rozmiarze. Dowodów dostarczyły ochotniczki wykorzystujące urządzenie do nagrywania, dzięki czemu dało się to potem obejrzeć w kolorze. Niezwykłe możliwości kobiecej anatomii wydawały się cudem samoaktualizacji, określenia stworzonego przez psychologa Abrahama Maslowa, którego praca na temat pewności siebie i kobiecej seksualności została zacytowana w książce Mastersa i Johnson. „Warto sobie wyobrazić waginę jako przestrzeń raczej potencjalną, a nie faktyczną – wyjaśniła później Virginia, w tonie niemal egzystencjalnym. – Właściwie pochwa jest organem o nieograniczonej zdolności rozciągania. W końcu ze stanu zapadnięcia się jest w stanie powiększyć się tak, by pomieścić główkę dziecka".

Chociaż czterofazowy opis reakcji seksualnej promował równouprawnienie, twarde dowody opisane w książce Mastersa i Johnson sugerowały raczej wyższość kobiecej seksualności we wszystkich niemal formach i w dowolnym wieku. Ich pogląd na

seksualność człowieka był rewolucyjny i zmieniał dotychczasowe przekonania o sto osiemdziesiąt stopni.

Książka *Współżycie seksualne człowieka*, napisana wspólnie przez kobietę i mężczyznę, jak nigdy wcześniej przedstawiała obie perspektywy. Chociaż łagodzili swoje rewolucyjne odkrycia zawiłą terminologią medyczną, chociaż przeciwstawiali się próżności i nieufności męskiego ego, chociaż odważnie kroczyli po polu minowym psychoanalizy i nigdy otwarcie nie skonfrontowali się z Freudem, chociaż oddali hołd Kinseyowi i zacytowali trzysta dwadzieścia dziewięć innych źródeł i choć swoje argumenty przedstawiali w utartej medycznej konwencji, zgodnie z konserwatywną moralnością tamtych czasów, przedstawili niepodważalne, twarde dowody na seksualną wyższość kobiety.

Po dziesięciu długich latach Masters i Johnson wreszcie cieszyli się sukcesem, jakiego nikomu innemu w tamtych czasach nie udało się odnieść. Zdołali uniknąć zwolnień, aresztowań i zawodowego ostracyzmu, co wieszczyli im ich przeciwnicy. Książka dawała kobietom i mężczyznom nowy sposób postrzegania seksu i komunikacji. Było to niezwykłe osiągnięcie, jakiego medycyna nie miała jeszcze w tej dziedzinie i którego raczej nikt już nie powtórzy. Teraz, po latach znoju i utrzymywania wszystkiego w tajemnicy, mogli już tylko mieć nadzieję, że Ameryka ich zauważy.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Radość z publikacji

Stary hotel Ritz-Carlton roztaczał szczególny czar nad Bostonem, pełnym sztywnych tradycji sięgających doby rządów brytyjskich kolonii. Późnym popołudniem sączono tu herbatę, a tłum w sali restauracyjnej gęstniał, ubrany w futra, diamenty i perły. Na piętrze kominki ocieplały majestatyczne apartamenty, kamerdynerzy opiekowali się ogniem i wykładali miękką pościel tuż przed porą snu. Dla zamiejscowych ekspertów medycznych zabiegi te stanowiły część mistycznego pobytu w Ritz, gdy sprawy zawodowe wymagały ich obecności na pobliskim Harvardzie, w Instytucie Technologicznym w Massachusetts albo siedzibie „New England Journal of Medicine".

W czasie wyjazdu związanego ze spotkaniem z bostońskim wydawcą Masters i Johnson cieszyli się wygodami hotelu i z radością spotykali się z przedstawicielami prasy. Przyjęli podobne podejście co kiedyś, gdy musieli walczyć ze sceptykami. W Chicago, gdy nie pozwolono im na wystąpienie w trakcie zjazdu ginekologów i położników, wynajęli przestronny apartament, żeby zaprezentować swoje odkrycia, a podczas pokazu filmowego serwowali napoje alkoholowe. Zabiegi te okazały się nieskuteczne i oba wydarzenia skończyły się katastrofą. Niemniej jednak doświadczenie to przygotowało ich na wyzwanie, z którym przyszło im się zmierzyć później. Nie chcieli ponieść porażki także w Bostonie.

W kwietniu 1966 roku Masters i Johnson zorganizowali serię konferencji prasowych w hotelu Ritz, które przypominały raczej nieformalne seminaria niż medialne maglowanie przed mikrofonem. Siedząc na wygodnych fotelach przy szerokich, zasłoniętych oknach, omawiali swoje odkrycia w czasie dwugodzinnych sesji, podczas których wywiązywały się ożywione i przekonujące dyskusje. Celowo wynajęli sobie dwa oddzielne pokoje, żeby uniknąć plotek.

W czasie tych sesji sceptycy byli pod wrażeniem rzeczowej pewności siebie Mastersa i jego terminologicznej wirtuozerii. Johnson wyjaśniała wszystko prostszym językiem za pomocą swojego wytrenowanego głosu. Ich wydawca zaprosił wielu ważnych dziennikarzy, w tym Johna Corry'ego z „New York Timesa", Alberta Rosenfelda z „Life", Arthura Snidera z szanowanego „Chicago Daily News", a także Earla Ubella z „New York Herald Tribune" – grupę, która później wywarła wpływ na pozostałych przedstawicieli mediów. Chociaż część odkryć pary badaczy była już znana opinii publicznej, to właśnie te długie, spokojne dyskusje w hotelu były pierwszymi oficjalnymi spotkaniami Mastersa i Johnson z prasą. Rezultaty nie mogły być lepsze. „Bezpośrednia konfrontacja doktora Mastersa i pani Johnson z dziennikarzami zajmującymi się nauką przyniosła niezwykle przychylną reakcję na ich książkę", stwierdził „Harper" w artykule *Bojownicy seksu z Missouri*. Niegdyś nieznanych badaczy nagle opisywano w duchu Nietzscheańskiego nadczłowieka, jako „obdarzonych niezwykłą wrażliwością, pewnością siebie i determinacją" w edukowaniu narodu. Corry z „New York Timesa" podkreślał liczby, które trudno było sobie wyobrazić. W czasie trwających jedenaście lat badań, jak zauważył dziennikarz, zarejestrowano jakieś dziesięć tysięcy orgazmów w trakcie „bezpośredniej obserwacji" setek kobiet i mężczyzn „odbywających stosunki bądź masturbujących się". Wspominając o pominiętych w statystykach prostytutkach ze wstępnych badań Mastersa, przeprowadzonych jeszcze przed pojawieniem się Johnson, Corry zwrócił uwagę czytelników na fakt, że „bardziej dokładna, choć ostrożna w rachunkach liczba" obejmowałaby od dwunastu do

piętnastu tysięcy orgazmów, sumę wręcz niewyobrażalną. Corry, podobnie jak inni dziennikarze zajmujący się nauką, przedstawiał Mastersa i Johnson jako ubrany w białe fartuchy i trzeźwo myślący damsko-męski zespół, który „zadał sobie wiele trudu, by usunąć z książki wszystko, co mogłoby zostać uznane za sprośne". Jednak niektórzy się z tym nie zgadzali. Krytyk Albert Goldman, podobnie jak Farber i inni, obsesyjnie powracał do „plastikowego dilda" i zimnych opisów intymności. W swojej recenzji Goldman napisał, że książka Mastersa i Johnson powinna nosić tytuł *Seksualna mechanika ciała*, ponieważ nawet staruszkowie wydają się w niej hiperseksualni. „Chciałoby się wrócić do mądrości wcześniejszej ery, która akceptowała spadek formy fizycznej i szukała sposobu na zrekompensowanie niedostatków ciała w duszy – lamentował Goldman. – Być może najlepiej przyszłość przepowiada trudny do zapomnienia obraz kobiety sprawiającej sobie przyjemność za pomocą maszyny".

Współżycie seksualne człowieka doczekało się siedmiuset recenzji i wzmianek prasowych. Najwyższą ocenę za książkę Masters i Johnson dostali od „Journal of the American Medical Association", czyli czasopisma naukowego, które kiedyś nie przyjęło ich publikacji. „Dlaczego te badania trwały tak długo? – pytali redaktorzy. – Nauczanie studentów budowy organów rozrodczych bez wyjaśniania ich funkcji jest równie bezsensowne, co studiowanie anatomii żołądka, ale bez wnikania w jego działanie".

W latach sześćdziesiątych tacy wielbiciele Mastersa i Johnson, jak psychiatra George Krupp, sugerowali, że odkrycia pary badaczy z St. Louis wreszcie rozświetliły świat seksu, który przypominał ciemną stronę księżyca. „Jeśli mamy traktować relacje seksualne jako coś tak świętego, że nie powinno zostać poddane badaniom, powinniśmy pamiętać, iż podobne poglądy głoszono na temat gwiazd w czasach Galileusza", pisał inny recenzent. Alfred Kinsey nakreślił ogólne ramy praktyk seksualnych w Ameryce, a doktor Mary Calderone i inni walczyli o edukację seksualną w szkołach, jednak to Masters i Johnson podali podparte twardymi dowodami odpowiedzi na pytania, których

miliony ludzi nie chciały zadać. Jak zauważył socjolog John Gagnon, „Wszyscy wydawali się popierać edukację seksualną, ale nie przyzwalali na badania, które dawałyby nam wiedzę potrzebną do nauczania".

W wywiadach Masters pomniejszał znaczenie aury tajemniczości, jaka otaczała ich projekt przez wiele lat. Chociaż traktował ten sukces bardzo osobiście, jako długo oczekiwane zwycięstwo, publicznie zachowywał spokój, opanowanie i skromność. Może i był niezwykle dumny ze swoich odkryć, ale nie wydawał się żądny sławy. „Najważniejsze jest to, że zadanie zostało wykonane", powiedział po prostu. W rozmowie z prasą oświadczył, że tylko dziesięć procent otrzymywanych przez nich listów pochodziło od ich przeciwników. Większość pisali ludzie desperacko szukający pomocy. Po latach jednak przyznał, że po publikacji *Współżycia seksualnego człowieka* aż trzy czwarte poczty zawierało pogróżki – i ta liczba miała więcej wspólnego z prawdą. „Te listy były okropne – wspominała Mary Erickson, która zaczęła dla nich pracować cztery lata po wydaniu książki. – Wiele z nich zawierało naprawdę nieprzyjemne rzeczy".

Książka osiągnęła niezaprzeczalny sukces, wspinając się na szczyty list bestsellerów i sprzedając w ponad trzystu tysiącach egzemplarzy w ciągu kilku miesięcy. „Po raz pierwszy czujemy, że opinia publiczna wspiera naszą pracę, a nie próbuje jej przeszkodzić", powiedziała Johnson w rozmowie z dziennikarzami „Newsweeka", którzy później nazwali przedsięwzięcie jej i Mastersa „najbardziej odważnym i otwartym eksperymentem w historii badań nad seksem". Współżycie seksualne człowieka zmieniło sposób mówienia o seksie w Ameryce, rozpoczynając erę szczerości, jakiej nigdy w mediach nie widziano. Chociaż ich napuszony styl często wyśmiewano, Masters i Johnson wybrali terminologię medyczną i opisy, które nie raziły czytelników. Trzymali się z dala od wulgaryzmów, bowiem te stałyby się pożywką dla cenzury. Starając się nie brzmieć zbyt prowokacyjnie, w swojej publikacji wspomnieli o *fellatio* tylko raz, a seks analny pominęli całkowicie. Media mogły cytować ich język bez ryzyka popadnięcia w lubieżność. „Musicie pamiętać, że przy tworzeniu tej książki

najbardziej przejmowaliśmy się jej akceptowalnością i właśnie dlatego nie napisaliśmy jej po angielsku", zażartował Bill.

Rzeczowe podejście Mastersa i Johnson, zakorzenione w amerykańskim szacunku do nauki, sprawiło, że oniemiałe społeczeństwo dobrze przyjęło książkę. Szczegółowe informacje na temat seksu nagle stały się częścią typowych tematów dla prasy i telewizji, bowiem media słusznie zauważyły powszechne zainteresowanie odkryciami pary badaczy. „Kiedy zaczęto coraz częściej mówić, ludzie przestali się bać tego tematu – zauważyła później Johnson. – Zaczęli słuchać zamiast reagować emocjonalnie. Jednocześnie media odkryły, że seks to dobrze sprzedający się produkt". Niektóre czasopisma kobiece w połowie lat sześćdziesiątych wciąż zachowywały ostrożność, dlatego zamiast dyskutować o odkryciach Mastersa i Johnson, przedstawiały sylwetki samych naukowców, czekając na moment, w którym rewolucja seksualna zostanie powszechnie zaakceptowana. „Potem nastąpiła prawdziwa powódź – wspomina Johnson. – Nagle cała prasa, wszystkie czasopisma sprzedawały się dzięki tematyce seksu. Nieco jedzenia, trochę mody i rodzicielstwa, a cała reszta poświęcona była seksualności; właściwie to media stworzyły ideę tej rewolucji".

Lata sześćdziesiąte w Ameryce to zamachy zamachy na braci Kennedych i Martina Luthera Kinga Jr., liczne demonstracje poparcia dla czarnoskórych i krwawe zamieszki na ulicach. Konflikt w Wietnamie przyniósł powszechny opór przed wstąpieniem do wojska, odrzucenie jednego prezydenta (Lyndona Johnsona) i zastąpienie go drugim (Richardem Nixonem), który ostatecznie się skompromitował i zrezygnował z urzędu. W obliczu społecznych dramatów tradycyjne definicje seksu, miłości, rodziny i zobowiązania wydawały się tylko czekać na zakwestionowanie. Media pokazywały nowy świat hippisowskiej miłości, pacyfistów, utopijnych komun, rozebranych dzieci kwiatów na Woodstocku, króciutkich spódniczek, butów z wysoką cholewką, dzwonów, skóry pomalowanej na psychodeliczne kolory, filmów oraz spektakli pokazujących nagość na Broadwayu

takich jak *Jestem ciekawa – w kolorze żółtym* czy *Hair*, które wręcz ociekały wolnością seksualną. „Lata sześćdziesiąte zostaną ochrzczone dekadą skupioną na orgazmach", stwierdził nieco ironicznie Masters. Nawet żony z przedmieść, jak pani Robinson z *Absolwenta*, wydawały się ośmielone przez książkę. „Nakreślony przez Mastersa i Johnson obraz kobiety jako seksualnej atletki, która jest w stanie przeżyć wielokrotny orgazm, nagle okazał się idealnie współgrać z wolnością seksualną albo, dokładniej, powszechnym eksperymentowaniem w łóżku", zauważyła pisarka Jane Gerhard.

Wkrótce po publikacji książki para badaczy wyruszyła w długą podróż po szkołach medycznych i college'ach, gdzie występowała przed publicznością. Bill doskonale zdawał sobie sprawę z lubieżnego charakteru zainteresowania *Współżyciem seksualnym człowieka*. Jak często mawiał, „To najczęściej kupowana i najrzadziej czytana książka w historii". Nalegał, by on i Johnson szybko wrócili do pracy w klinice przy fundacji. Stworzyli dopiero szkic mapy seksualności człowieka i zostało im jeszcze wiele rzeczy do odkrycia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Skupienie na uczuciach

Człowiek potrafi przetrwać trzęsienie ziemi, epidemię, chorobę i wszystkie agonie duszy, ale największą dla niego tragedią była, jest i będzie – tragedia w sypialni.
Lew Tołstoj

– Czy osiągnęła pani orgazm i w jakich okolicznościach? Co czuła pani w trakcie tego doświadczenia?

Pierwszego dnia terapii Virginia Johnson usiadła naprzeciwko nieszczęśliwej żony i zaczęła wypytywać ją o problemy we współżyciu. Rozłożyła folder na blacie drewnianego biurka i zaczęła zapisywać długą kolumnę notatek. Mikrofon, ustawiony między dwiema kobietami i podłączony do znajdującego się w innym miejscu magnetofonu, nagrywał każde pytanie i każdą odpowiedź. Kasety, na których zarejestrowano wszystkie sesje, zbierano do późniejszej analizy.

Przez następne dwie godziny Johnson, ubrana w biały fartuch lekarski i z ciemnymi włosami zebranymi w koczek, patrzyła ze współczuciem na biedną kobietę, zasypując ją litanią pytań, które miały umożliwić dotarcie do ukrytej historii jej małżeństwa.

– Jak kłopoty seksualne wpłynęły na pani partnera? Kiedy po raz pierwszy pojawił się ten problem? Jak sobie z nim państwo poradzili?

– Zauważyła pani u męża problemy z erekcją albo wytryskiem?

– Jak mąż panią zaspokajał? Z jakim skutkiem?

– Jaka, pani zdaniem, powinna być rola kobiety w pożyciu małżeńskim i innych aspektach codziennego życia?

– Jak, pani zdaniem, mąż odpowiedziałby na te pytania?

W sąsiednim pomieszczeniu doktor William Masters przechodził tę samą procedurę z mężem kobiety. Chciał poznać uczucia i doświadczenia mężczyzny związane z randkowaniem, małżeństwem, rozwodem i wychowaniem dzieci; jego poglądy religijne oraz wykształcenie i pochodzenie pary. Później zadał jeszcze bardziej intymne pytania o stosunki przedmałżeńskie, masturbację i fantazje erotyczne w trakcie seksu z żoną. Masters chciał ustalić, czy mąż w przeszłości widział rodziców w sytuacji intymnej, przypadkowo bądź celowo. Czy bawił się „w doktora" z innymi dziećmi albo doświadczał nocnych polucji? Czy miał kiedyś kontakty homoseksualne? Co go zainteresowało w żonie? Jak wyglądał ich miesiąc miodowy, jak często się kochali i jakie widoki, dźwięki i zapachy kojarzą mu się z aktem miłosnym?

Drugiego dnia Masters i Johnson zmieniali partnerów. Virginia rozmawiała z mężem, a Bill z żoną, powtarzając pytania. Proces ten nazywali „zbieraniem historii". Poznanie szczegółów na temat potrzeb i pragnień pary było bardzo istotnym pierwszy krokiem opracowanej przez nich „podwójnej terapii". Dzięki zdobywaniu wiedzy z obu perspektyw znacznie szybciej otrzymywali ogólną historię seksualną pary. Mogli wtedy przejść do naprawiania relacji małżonków, uzupełniając dzielące ich różnice. Trzeciego dnia ich dwutygodniowego programu terapeutycznego porównywali odpowiedzi na najbardziej kluczowe pytania:

– Czego oczekujesz po tym programie dla swojego współmałżonka?

– W jakim stopniu twój małżonek/twoja małżonka jest zainteresowany/zainteresowana pożyciem?

– Czego najczęściej mąż/żona od ciebie oczekuje?

Odpowiedzi uzupełniały elementy układanki, pozwalając terapeutom poznać pełny obraz małżeństwa, czego – ich zdaniem – nie mógł osiągnąć jeden lekarz, zazwyczaj płci męskiej. Chociaż część technik wywiadu przypominała te z badań Alfreda Kinseya, a inni sugerowali też Freuda, podwójna terapia stworzona przez Mastersa i Johnson w istocie była niepowtarzalna. Udzielali praktycznych porad w celu

leczenia małżeństwa, dając oręże do zmian. Znacznie przewyższając tym możliwości przeciętnego terapeuty czy osoby duchownej. W połowie lat sześćdziesiątych, gdy Masters i Johnson już niemal ukończyli badania fizjologiczne, najbardziej intymne chwile w ich klinice przeżywali ludzie kompletnie ubrani.

„Ta praca była zupełnie innowacyjna. Model podwójnej terapii okazał się fantastyczny", podsumował doktor Alexander N. Levay, profesor psychologii ze Szkoły Medycznej Uniwersytetu w Columbii, który najpierw pojawił się w klinice z żoną jako pacjent, a potem na szkoleniu. Levay po raz pierwszy usłyszał Mastersa i Johnson w Nowym Jorku, krótko po publikacji ich odkrywczej książki. Jako świeżo upieczony lekarz nie był pewien, jak ocenić ich prezentację. Levay skończył medycynę i właśnie zaczynał trzeci rok specjalizacji na internie, która szczyci się znajomością wszystkich funkcji ludzkiego ciała. Jednak jego studia wydawałay się ograniczone w aspekcie seksualnym, a już na pewno gdy porównało się je z dokonaniami Mastersa i Johnson. „Było jasne, że ci ludzie albo są oszustami, albo właśnie odkryli coś zupełnie nowego", wspomina Levay. Razem z żoną, Matilde, wyruszyli do St. Louis w poszukiwaniu własnego cudu, jakby udawali się na pielgrzymkę do Lourdes. „To proste, Matilde nigdy nie miała orgazmu", wyznał Levay, który także nie potrafił poradzić sobie z zahamowaniami seksualnymi. Urodzony na Węgrzech, jako nastolatek uczył się u benedyktynów i mieszkał w opactwie aż do dziewiętnastego roku życia. „Mówili, żeby pierwszym pocałunkiem obdarzyć matkę swoich dzieci – wspominał Levay, przypominając sobie skąpą wiedzę swoich nauczycieli na temat cielesnej miłości. – Matilde została wychowana w podobnym duchu, ponieważ pozostawała pod opieką francuskich zakonnic w Peru. Dlatego dopiero ta terapia otworzyła nam oczy". Levayowi idea damsko-męskiego duetu w terapii małżeńskiej wydawała się całkowicie słuszna.

Od samego początku celem zrozumienia fizjologii seksu była możliwość pomocy w rozwiązywaniu problemów w pożyciu – Masters

i Johnson nazywali je „seksualną dysfunkcją". Zgadzając się na badania w ich początkowej fazie, Uniwersytet Waszyngtoński przyklasnął założeniu Mastersa, że „największym utrudnieniem w leczeniu problemów na tle seksualnym jest brak gruntownej wiedzy na temat fizjologii reakcji seksualnej człowieka". Przyświecała im prosta zasada – zanim zaczną leczyć, muszą dowiedzieć się, jak działa seks. W styczniu 1959 roku, po latach studiowania anatomicznej i fizjologicznej reakcji człowieka w trakcie stosunku, Masters i Johnson rozpoczęli eksperyment terapeutyczny, który miał poprawić pożycie małżeńskie Amerykanów. Ich metody były tak niepewne, że nie pobierali żadnych opłat. Chociaż badania nad ludzką seksualnością podkreślały mocne strony Mastersa, drugi eksperyment uwidocznił jego słabości. Ani on, ani Johnson nie mieli odpowiedniego przygotowania z zakresu psychoterapii (chociaż „Times" przedstawił Johnson jako „psycholożkę"). Masters miał na swoim koncie jedynie trzymiesięczny kurs z technik prowadzenia wywiadu psychologicznego na zajęciach z psychiatrii. Johnson miała jeszcze mniej doświadczenia – zaledwie kilka zajęć ze studiów licencjackich. A jednak brak przygotowania – zwłaszcza w czasach, gdy psychiatrom w szkołach medycznych wpajano teorie Freuda – w ich wypadku oznaczał ogromną swobodę eksperymentowania i wolność od ortodoksji. „Nie wiedzieliśmy, czego nie można robić, a to wielka zaleta", powiedział Masters.

Intuicyjne rozumienie ludzkiego zachowania, jakie miała Johnson, znacznie przewyższało pojęcie Mastersa i okazało się szczególnie ważne w nowatorskiej terapii seksualnej. Jako uśmiechnięta i przyjacielska gospodyni kliniki poznała największe pragnienia, tęsknoty i obawy ludzi uprawiających seks. Każdy dzień pozwalał jej lepiej ich rozumieć, edukować i doradzać. Cieszyła się swego rodzaju praktyczną wiarygodnością, która pozwalała jej zająć pozycję równą Mastersowi bez uciekania się do zastępczych tytułów. Zasugerowała wiele efektywnych metod, które czasami wydawały się wręcz genialne. Zamiast szukania powodów nerwicy dorosłego w wydarzeniach z dzieciństwa, zaproponowała obserwację seksu przez lustro weneckie

i na koniec wymieniała listę praktycznych porad, niczym anatomiczny hydraulik reperujący rury. „Przynajmniej siedemdziesiąt procent terapii było jej pomysłem", przyznał później Masters. Johnson zainspirowała się teoriami innych naukowców, w tym psychologa Alberta Ellisa, pioniera terapii par w latach pięćdziesiątych, a także Josepha Wolpe'a z Uniwersytetu Temple, którego behawiorystyczne teorie odzwierciedlały poglądy B.F. Skinnera, Johna Watsona i Ivana Pavlova. Koledzy po fachu drwili z twierdzenia Mastersa, że swoją rewolucyjną terapię zawdzięczał głównie Johnson.

Bill zdawał sobie sprawę, że wkroczyli na nową ścieżkę – później nazwaną przez innych kognitywną terapią behawioralną. Chcieli osiągać poprawę stanu pacjentów w ciągu krótkiego, z góry określonego czasu. Nie eksperymentowali z psami czy szczurami laboratoryjnymi ani nie stosowali elektrowstrząsów. Aby zmienić złe nawyki pacjentów, zaadaptowali na własne potrzeby na przykład ideę „systematycznej desensytyzacji" Wolpe'a, czyli powolnego uczenia się odprężania i pokonywania strachu. Masters nigdy nie bał się wspierać Johnson ani nie udawał, że jest autorem jej pomysłów. Coraz częściej słuchał jej sugestii i zawierzał intuicji, która okazała się bardzo dobra.

Johnson opowiadała się za zaangażowaniem w terapię obojga małżonków w równym stopniu. W przeszłości terapie koncentrowały się na osobie, która cierpiała na „dysfunkcję", na przykład na mężu niezdolnym do utrzymania wzwodu albo żonie niepotrafiącej szczytować. Druga strona pozostawała w cieniu i zazwyczaj unikała wszelkiej odpowiedzialności za problem. Żona impotenta nie wiedziała, kiedy i czy w ogóle czekać, aż mąż wykaże chęć odbycia stosunku, czy może powinna sama przejąć inicjatywę. Podobnie mąż kobiety cierpiącej z powodu braku orgazmu mógł czekać bez końca na znak, martwiąc się, że zostanie uznany za natrętnego albo wręcz przeciwnie, oziębłego. Masters i Johnson wiedzieli jednak, że „w żadnym małżeństwie nie istnieje niezaangażowany partner, jeżeli pojawia się dysfunkcja seksualna".

Z czasem Virginii udało się przekonać Mastersa, że wielu mężczyzn zwyczajnie nie rozumie kobiecej seksualności. Stało się to jasne w czasie rutynowych dyskusji, gdy porównywali notatki. Johnson uważała, że ich podejście mogłoby dać obu płciom równe szanse w łóżku. W świecie pełnym męskiej dominacji seksualnej nie było to łatwe zadanie.

– Wychowujemy mężczyzn, którzy doskonale zdają sobie sprawę, że nie rozumieją kobiet… – wyjaśnił kiedyś Masters dziennikarzowi.

–… i są gotowi zaakceptować obraz namalowany przez nią samą – dokończyła Johnson. – Ponad dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich interpretacji i definicji kobiecej seksualności zostało stworzonych przez mężczyzn, przeciwko czemu osobiście protestuję, ponieważ często pojęcie to jest źle rozumiane.

Poglądy Gini ukształtowały się w trakcie jej pracy z pacjentami, kiedy to przez długie godziny wypytywała o ich preferencje, próbując scharakteryzować zachowania seksualne. Podczas gdy Bill potrafił w trakcie wywiadu zachować zimny dystans, Gini podobało się owo odkrywanie kolejnych warstw życia pacjenta. Różnice w ich postawach bywały dramatyczne. „Bill pytał bardzo pobieżnie i szorstko, wystarczało mu czterdzieści pięć minut – wspominała Virginia. – Moja pierwsza sesja trwała już trzecią godzinę, kiedy zadzwonił". W czasie każdego wywiadu w pokoju znajdował się telefon, by można było zadzwonić do terapeuty. Kiedy Gini podniosła słuchawkę, usłyszała głos Billa. „Powiedział, że chyba zamierzam uśpić siebie i pacjenta".

Gini nie potrafiła opanować swojej naturalnej ciekawości i zachwytu ludźmi, które to cechy rozwinęły się w niej w Golden City, gdy była młodą dziewczyną. Każda historia pary stanowiła kolejny krok do uzyskania odpowiedzi na pytanie, jak rozwiązać problem. Sens terapii polegał na tym, by postawić przed pacjentami lustro, w którym będą mogli się przejrzeć. Słuchając uważnie, Virginia zdała sobie sprawę z istnienia „pokładów bólu i setek kwestii, które wymagają uwagi".

Po pierwszych sesjach, trzeciego dnia terapii, Masters i Johnson przedstawiali swoje najpotężniejsze narzędzie. Nazwali je „zmysłowym

skupieniem” – serią ćwiczeń dotykowych przeprowadzanych poza kliniką, zazwyczaj w domu albo pokoju hotelowym, które miały za zadanie odtworzyć intymną relację między partnerami. Skupienie na dotykaniu bez bezpośredniego zamiaru odbycia stosunku pozwalało wielu pacjentom, zwłaszcza kobietom, na nowo zapoznać się z własnymi zmysłami. Wielu pacjentom wpojono, że seks jest zły, co uniemożliwiło im uprawianie miłości w dojrzały, a nawet po prostu zadowalający sposób. „Jest jedna rzecz zupełnie obca efektywnemu rozwojowi seksualnemu mimo setek lat praktyki, mianowicie przekonanie, że seks jest brudny, wspierane przez różnego rodzaju metody kontroli oparte na strachu, odrzuceniu, ignorancji bądź na błędnym postrzeganiu”, zauważyła później Johnson. Inspirację do ćwiczeń dotykowych czerpała z doświadczeń własnego dzieciństwa, kiedy to matka uspokajała ją po długim, stresującym dniu. „Kiedy chciała, żebym poszła spać, głaskała mnie po twarzy czy dłoniach albo pisała czy rysowała palcem po moich rękach. To były małe, pozbawione sensu gesty, ale wszystkie opierały się na dotyku i wyciszały mnie – wyjaśniła Johnson. – Właśnie w ten sposób narodziły się te ćwiczenia. Nie mówię o niczym wyraźnie seksualnym. Chodzi wyłącznie o dotykanie, tak jak zwierzęta uspokajają swoje potomstwo, ni mniej, ni więcej”.

W sypialni, sam na sam, małżeństwo miało wykonać „pracę domową” zadaną przez Mastersa i Johnson. Przez cały czas trwania tych sesji mieli pozostawać nadzy. Jedno z małżonków przyjmowało rolę „darczyńcy” i dogadzało partnerowi przez masowanie czy głaskanie każdej wskazanej części ciała prócz genitaliów oraz piersi kobiety. Proces powtarzano, zmieniając role małżonków, przy jednoczesnym powstrzymywaniu się od wyraźnej „stymulacji seksualnej”; zamiast tego skupiano się po prostu na przyjemności i odprężeniu. Terapia ta pozwalała pacjentom, szczególnie kobietom, na myślenie i odczuwanie zmysłowe bez presji oczekiwania na stosunek.

Czwartego dnia para miała przedyskutować z terapeutami wydarzenia poprzedniej nocy. Luźno sformułowane etapy terapii

zostały zaprojektowane celowo tak, by dać pacjentom wolność w poznawaniu własnych ciał. Podczas gdy większość kobiet przyzwyczaiła się do genitaliów swoich mężów, wielu mężczyzn nie znało „zewnętrznej anatomii miedniczej" żon, więc zachęcano ich do zapoznania się z nią bez wstydu czy poczucia winy. Kapitalne znaczenie dla terapeutów miało poszanowanie uczuć religijnych i zasad moralnych wyznawanych przez pacjentów, chociaż tego rodzaju ograniczenia w małżeńskim pożyciu stanowiły dla nich ciągłą przeszkodę. „Przekonanie, że przyjemność płynąca ze zmysłów jest w najlepszym przypadku gnuśnością, a w najgorszym grzechem, wciąż panuje w społeczeństwie na tyle powszechnie, by mieć wpływ na pożycie intymne wielu par małżeńskich". Gini i Bill wspierali ćwiczenia dotykowe zapachem, by wzmóc doznania pacjentów. Małżonkowie otrzymywali nawilżające balsamy, by wygładzić szorstką skórę i uczynić ją bardziej podatną na dotyk, co miało wspomagać parę w drodze do uzyskania jedności seksualnej.

Ta śmiała „gra" skupiania dotyku, jak opisali ją Masters i Johnson, pozwalała parom na wyrażenie siebie w sposób, jakiego (być może) do tej pory nie znały. Chociaż nie określono żadnych konkretnych celów, żadnych standardów oceny, czwartego dnia terapeuci zadawali delikatne pytania, które sugerowały, dokąd ta manualna praca miała zmierzać. Każda para musiała odpowiedzieć na przykład, czy i w jakim stopniu doszło do erekcji i nawilżenia pochwy w czasie pieszczot dnia poprzedniego. W ciągu pozostałych dwóch tygodni ćwiczenia dotykowe dawały czas, który małżonkowie mogli wykorzystać na rozmowę o takich problemach jak przedwczesny wytrysk, pochwica, całkowita lub częściowa impotencja, brak orgazmu, bolesny stosunek i niedostatek seksu w starszym wieku. Otwierali się przed sobą, by uratować swoje małżeństwo.

Pobyt w St. Louis zmienił związek Alexa Levaya i jego żony. Stał się również punktem zwrotnym w karierze lekarza, który postanowił wykorzystać metody Mastersa i Johnson w swoim gabinecie w Nowym Jorku. Dowiedział się, że para badaczy „miała do czynienia z całym

tłumem ludzi, którzy nigdy nie przeżyli orgazmu" i którym pomogły innowacyjne metody. Jeden ze sposobów leczenia kobiet cierpiących na pochwicę – niekontrolowane zaciśnięcie mięśni pochwy, uniemożliwiające odbycie stosunku – polegał na powolnym wkładaniu małego plastikowego penisa do waginy. Przypadki pochwicy mogły różnić się między sobą: od niewielkiego dyskomfortu z powodu endometriozy albo rany szarpanej szerokiego więzadła macicy, aż po psychologiczną traumę po gwałcie albo akcie kazirodztwa. W czasie leczenia w klinice kobietę proszono o ułożenie się w pozycji do badania ginekologicznego, a następnie dokonywano diagnozy w obecności partnera. Po powrocie do sypialni małżeństwo wykorzystywało dilatatory – czarne i ciężkie dilda – dostępne w pięciu różnych rozmiarach. Mąż miał za zadanie ostrożnie umieszczać je po kolei w pochwie kobiety, by w ciągu pięciu dni dojść do repliki męskiego prącia. Niektóre kobiety pozostawiały większe dilatatory w pochwie przez kilka godzin w nocy. W ciągu miesiąca terapia kończyła się sukcesem. „Był to sposób na poprawę ich intymnych relacji i komfortu seksualnego – stwierdził Levay. – Małżonkowie zawsze pracowali wspólnie w trakcie terapii".

Sukces ten dawał ogromną nadzieję. Osoby z zewnątrz – jak Levay, który poznał nieopublikowane jeszcze odkrycia pary badaczy – były pod wrażeniem. Klinika Mastersa i Johnson stanęła w obliczu kolejnego niesamowitego triumfu: właśnie tworzyli nową psychoseksualną terapię, która miała znacznie lepsze wyniki od freudowskiej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Terapia seksualna

Całe życie Roberta Kolodny'ego zmienił jeden fascynujący wykład. Doktor William Masters, stojąc w 1967 roku przed grupą studentów medycyny z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, opowiedział o pacjentach, którzy każdego dnia pytają o seksualność człowieka, i wyjaśnił, dlaczego muszą poznać odpowiedzi. „Bill to bez wątpienia jeden z najbardziej elektryzujących mówców, jakich miałem przyjemność słuchać – wyznał Kolodny, wtedy student z Nowego Jorku, siedzący na widowni. – Przemawiał silnym i wyraźnym głosem, zachowując logikę prezentacji. Nie używał przy tym żadnych notatek".

Aż do tamtej chwili Kolodny planował zostać dermatologiem. Marzył mu się wygodny tryb ośmiogodzinnej pracy oraz przepisywanie tabletek pryszczatym nastolatkom i staruszkom z wysypką. Wolał nie mieć długich i wykańczających dyżurów jak jego ojciec, doktor Maxwell Howard Kolodny, szanowany internista ze Szpitala Mount Sinai na Manhattanie, którego podziwiał, ale rzadko widywał w domu. „Kiedy chciałem spędzić trochę czasu z ojcem, szedłem z nim na wizyty domowe albo obchód w szpitalu", wspominał Robert. Szacunek i poważanie, jakim ojciec – najstarszy syn żydowskich imigrantów z Rosji – cieszył się w społeczeństwie, zrobił na młodym Kolodnym na tyle duże wrażenie, by zapragnął podążyć jego śladem. „Już w wieku pięciu lat zdecydowałem, że zostanę lekarzem".

Młodemu i bystremu chłopakowi, który znał już dobrze teorie Freuda, Masters i Johnson wydali się objawieniem. W krótkim czasie stał się pierwszym studentem, który uczył się w klinice. „Całkowicie zaskoczyły mnie ich sukcesy. Zaprzeczali absolutnie wszystkim przekonaniom obowiązującym w psychiatrii w tamtym okresie – wspominał. – Właśnie to sprawiło, że zmieniłem swoje plany". Jak wielu ludzi zaznajomionych z psychoanalizą, Kolodny wierzył, że „dysfunkcje seksualne to jedynie powierzchowne manifestacje głęboko zakorzenionych, nierozwiązanych problemów psychicznych i nie ma możliwości, by szybko je wyleczyć, a psychoanaliza, prowadząca do rozwiązania skrywanego problemu, zajmuje długie lata".

Z niemal pobożną pewnością amerykańscy uczniowie Freuda twierdzili, że aby rozpocząć terapię seksualną, najpierw należy uporać się z kompleksem Edypa, zazdrością o członek, strachem przed kastracją i uporczywymi nerwicami. Masters i Johnson dowiedli, że to nieprawda. Kolodny, podobnie jak inni, którzy dołączyli do zespołu na początku badań, zachwycił się ogromnym potencjałem nowej metody leczenia. W gabinecie, przy pracujących magnetofonach, Kolodny słuchał razem z Mastersem wywiadu przeprowadzanego z pacjentem przez innego terapeutę. Masters cały czas komentował i oceniał każde posunięcie. Wyjaśniał znaczenie każdego z szeregu pytań. Zwracał również uwagę, jeśli terapeuta przeoczył szansę na dokładniejsze poznanie lub wyróżnienie problemu pacjenta. Czasami Kolodny czuł się jak młody psychoanalityk w Wenecji za czasów Freuda, obserwujący początki czegoś wielkiego. Chociaż podziwiał Mastersa, zdawał sobie sprawę, że to wrodzone wyczucie Johnson odpowiada za sukces terapii, nawet jeśli Virginia nie mogła się pochwalić wiedzą medyczną wykraczającą poza raptem pierwszy rok studiów pielęgniarskich. W tamtym okresie ich sukcesy wydawały się wręcz niewiarygodne. „W latach pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych terapia seksualna oznaczała od pięciu do dziesięciu lat psychoanalizy o żałośnie znikomych efektach – powiedział. – A tu proszę, Bill i Gini opracowali terapię leczenia chronicznych problemów, trwających

czasem piętnaście albo nawet dwadzieścia lat, które potrafili w osiemdziesięciu procentach przypadków naprawić w czasie dwutygodniowej terapii".

Johnson zaczęła współpracować z Kolodnym jako pierwsza. Po sześciu tygodniach młody rekrut został wezwany do gabinetu Mastersa. Bill, jak zwykle, przeszedł od razu do sedna.

– Ty i Gini pracujecie jutro razem – oznajmił. – Jesteś gotowy?

Kolodny, którego poczucie przyzwoitości potrafiło poskromić ambicję, z początku odrzucił tę propozycję.

– Poczekaj, Bill – poprosił. – Czuję się, jakbym miał przeprowadzić jutro histeroktomię, bo obejrzałem już sześć takich zabiegów.

Masters nie chciał się zgodzić.

– Nie, nie doceniasz swoich możliwości – odparł bardziej natarczywym tonem. – I nie zapominaj, że to Gini to wszystko wymyśliła. Będzie do twojej dyspozycji, jeślibyś czegoś nie wiedział.

Następnego dnia Kolodny założył jeden z białych fartuchów noszonych przez nieliczną grupę terapeutów w klinice i wspólnie z Johnson zaopiekował się małżeństwem z ogromnymi problemami w pożyciu. Kolodny, wyjątkowo niepewny, próbował ukryć swój niepokój. Ku jego zaskoczeniu, para w żadnym momencie nie wydawała się rozczarowana. „Zamurowało mnie!", wspominał.

Po uzyskaniu dyplomu na Uniwersytecie Waszyngtońskim w 1969 roku, Kolodny przeniósł się na Harvard, żeby tam odbyć staż i rezydenturę, a potem powrócić do St. Louis i na stałe przyjąć posadę u Mastersa i Johnson. Bill zasugerował Robertowi, że któregoś dnia może zająć jego miejsce. Inni próbowali zniechęcić młodego lekarza. „Mój mentor z uniwersytetu stwierdził, że zaprzepaszczę swoją karierę medyczną – wspominał. – W 1969 roku terapię seksualną postrzegano jako coś frywolnego, na granicy podglądactwa, coś czym nikt poważny by się nie zajął". Koledzy po fachu wymyślali niestworzone historie na temat kliniki, jednak rzeczywistość ich rozczarowała. „Leczenie nie polegało na oglądaniu ludzi uprawiających seks – wyjaśnił. –

Zajmowałem się pacjentami z problemami natury seksualnej, po prostu z nimi rozmawiałem".

Kolodny, endokrynolog przed trzydziestką, nie tylko traktował misję Mastersa i Johnson idealistycznie, ale też charakteryzował się inteligencją i oddaniem, które mogły zapewnić klinice świetlaną przyszłość. „Doktor Kolodny najwyraźniej został namaszczony na spadkobiercę – powiedziała Della Fitz-Gerald, która później szkoliła się tam razem z mężem. – Pomagał Mastersowi i Johnson rozwinąć projekt. W dziedzinie seksualności człowieka jest dosłownie chodzącą encyklopedią".

Kolodny wyróżniał się na tle nielicznych zatrudnionych na pełen etat, ponieważ posiadał dyplom świetnej szkoły. „Trafili tam bardzo różni ludzie, od pracowników socjalnych po pielęgniarki, i niektórzy z nich skończyli szkoły medyczne, ale większość nie mogła pochwalić się wyższym wykształceniem – wyjaśniła Rose Boyarsky, psycholożka kliniczna z doktoratem z Uniwersytetu Duke'a, która działała w klinice przez cztery lata na początku lat siedemdziesiątych. – Bill wyraźnie przepadał za Bobem i powierzył mu wiele tajemnic". Powtarzane przez Mastersa hasło o multidyscyplinarnych pracownikach zgrabnie maskowało smutną prawdę – ich wciąż nieopublikowana terapia nie przynosiła wysokich dochodów i nie cieszyła się wystarczającym szacunkiem, by zainteresować większość lekarzy. Wielu z nich uważało „seksuologię" za potencjalną katastrofę. W końcu Masters i Johnson zorganizowali seminaria, zapraszając najlepszych psychiatrów i psychoterapeutów z kraju do oceny ich nowatorskiej metody leczenia. Jednak w początkowej fazie działalności kliniki do ich zespołu dołączali tylko tacy optymistyczni młodzi doktorzy, jak Kolodny, albo obdarzeni pewnymi wadami, jak doktor Richard Spitz. W przypadku Dicka Spitza – pediatry i pastora – problemem był wpływający na osąd lekarza alkohol.

Spitz był wysokim i przystojnym mężczyzną z budzącymi podziw zdolnościami terapeutycznymi. Jednak Johnson krzywo patrzyła na każdego pijącego pracownika, a Mastersowi nie podobało się to, że

Spitz pogwałcił kolejną niepisaną zasadę: w okresie zatrudnienia lekarz romansował z Mae Biggs, ładną pielęgniarką z jasnymi włosami i dyplomem socjologa, która prawdopodobnie była drugą po Johnson najbardziej utalentowaną terapeutką w klinice. Mimo swojej bliskiej relacji z Johnson, Masters nie tolerował związków między pracownikami. Do późnych lat sześćdziesiątych nasłuchał się wielu plotek na temat członków zespołu Alfreda Kinseya, w tym o wymianie żon i stosunkach biseksualnych, i uważał, że każde tego typu zachowanie może doprowadzić klinikę do ruiny. Podejście Mastersa i Johnson do terapii, angażujące terapeutów obu płci, bazowało na profesjonalnej współpracy. „Odbywał poważną rozmowę z każdym świeżo upieczonym członkiem zespołu, w której niemal go straszył. Mówił, że nie obchodzi go jego życie prywatne, ale w pracy ma zachowywać się tak, by nie zaszkodzić reputacji kliniki", wspominał Mastersa Kolodny. Młody lekarz, podobnie jak wszyscy wokoło, doskonale zdawał sobie sprawę z podwójnych standardów. Posępna kierowniczka biura, Wanda Bowen, zarządziła zakaz spoufalania się między pracownikami. „Zmieniali się, nie istniały stałe pary – opowiadała Bowen. – Nawet VEJ (Johnson) i Doktor (Masters) pracowali z innymi". Chociaż Spitz i Biggs byli członkami jednego zespołu, ich romans wkrótce się zakończył, kiedy Spitz podupadł na zdrowiu.

Bill najwyraźniej zbyt długo lekceważył alkoholizm Spitza. „Został u nas za długo – powiedziała Bowen o Spitzu. – Pił dużo, ale kiedy zachorował… Zmarł potworną śmiercią; cierpiał na raka… Doktor (Masters) trzymał go w klinice, aż w końcu stwierdził, że już nic więcej nie może zrobić". Spitz zmarł na początku lat siedemdziesiątych, krótko po tym, jak Kolodny wrócił z rezydencji na Harvardzie i jego „dziedziczenie" w klinice stało się oczywiste.

Mimo iż Masters i Johnson mieli swoje wady, w duecie osiągali coś więcej niż tylko sumę własnych zdolności. Ich silne charaktery, sama idea kobiety i mężczyzny wspólnie i na równych pozycjach

pomagających parom poradzić sobie z najbardziej intymnymi problemami, stały się osią kliniki; sprawowali pieczę nad wszystkim. Po pięciu latach leczenia za darmo upewnili się, że ich terapia odnosi skutki, i zaczęli żądać coraz wyższych opłat. Masters dbał jednak o to, by małżeństwa w potrzebie otrzymywały pomoc. Z ksiąg kliniki wynika, że jedna czwarta pacjentów otrzymała zniżkę, a kolejna ćwiartka nie zapłaciła ani centa. Po przyjrzeniu się każdemu przypadkowi Masters i Johnson nadzorowali zadania pracowników, żeby świeżo upieczeni terapeuci, tacy jak Roger Crenshaw, nie czuli się przytłoczeni. Masters zwracał im uwagę, by powstrzymywali się od moralnego osądu i zachowywali dystans podczas dyskutowania o problemach pacjentów. Z czasem otrzymywali bardziej skomplikowane przypadki, od niemocy seksualnej po fetysze. Crenshaw pewnego razu zmartwił się, że nie poradzi sobie z seksualnym dylematem pacjenta. Masters, niczym surowy ojciec, postanowił przywrócić go do pionu.

– Jeśli ktoś powie, że lubi uprawiać seks z foką – odparł ze śmiechem – zapytaj go, czy robi to na północy czy południu wyspy.

Crenshaw szczerze się uśmiał z tego dowcipu. Wkrótce jednak znalazł się właśnie w takiej sytuacji. „Minął może tydzień, kiedy pojawił się pacjent, który powiedział, że wolałby uprawiać seks z psem niż żoną. A ja zapytałem go: »Z owczarkiem niemieckim czy collie?« Tak więc nauczenie się dystansu było chyba pierwszym poważnym wyzwaniem".

W czasie lunchu pracownicy często dzielili się zabawnymi historyjkami z terapii. „Pamiętam jedną parę, która się u mnie leczyła. Bardzo mili ludzie, ale niestety ciągle mówili »genitale« zamiast »genitalia« – opowiedział ze śmiechem Kolodny. – Stale natrafialiśmy na takie rzeczy, ale z racji drażliwej tematyki nie mogliśmy wybuchnąć śmiechem przy pacjentach".

Przedwczesny wytrysk, zwany niegdyś przez Rzymian *ejaculatio praecox*, był powszechnym problemem w powojennej Ameryce, kiedy to życie znacznie przyśpieszyło. Chociaż definicje przypadłości różniły się od siebie, zazwyczaj pojęciem tym określano utratę kontroli nad

ejakulacją tuż przed wejściem do pochwy albo tuż po nim. Mężczyźni często odbywali pośpieszne stosunki, jak zauważyli Masters i Johnson, „na tylnym siedzeniu auta, w zacisznym miejscu parkingowym, w kinie samochodowym albo w czasie krótkich wizyt w pokojach hotelowych wynajmowanych na godziny", gdzie poganiał ich strach przed przyłapaniem. Para, nie rozbierając się, odgrywała „seksualną pantomimę", aż ruchy frykcyjne wywoływały u podnieconego mężczyzny ejakulację. W innych przypadkach dochodziło do stosunku przerywanego, kiedy po „kilku nerwowych pchnięciach" mężczyzna „wysuwał penisa z pochwy w ramach antykoncepcji".

W 1956 roku, w jednym z czasopism medycznych, doktor James H. Semans z Uniwersytetu Duke'a opisał metodę leczenia nadpobudliwego mężczyzny, którą Masters szybko zaadaptował do swojej terapii. Semans był znany jako utalentowany urolog, mąż Mary Duke Biddle Trent Semans, prawnuczki współzałożyciela uczelni i magnata tytoniowego, Benjamina N. Duke'a. Niewiele się mówiło o innowacyjnej technice Semansa, choć problem przedwczesnego wytrysku dotyczył przynajmniej jednej trzeciej populacji młodych, aktywnych seksualnie mężczyzn. „Trzeba było starannie dobierać słowa, nawet w szpitalu", wspominała Mary Semans wysiłki swojego męża. Jego metoda opierała się na behawioralnej teorii odruchów warunkowych. W ramach uczenia się odruchów w sypialni mężczyźni mieli utrzymać erekcję wywołaną stymulacją wykonywaną przez partnerkę aż do chwili, gdy zbliżał się wytrysk, po czym zaprzestać całej aktywności do czasu, dopóki uczucie nieuchronności ejakulacji minie. Tego rodzaju wstrzymywanie powtarzano dotąd, aż u mężczyzny rozwinęła się umiejętność kontrolowania wytrysku. Wtedy tę samą metodę para wykorzystywała w trakcie penetracji pochwy. Terapia kończyła się, gdy stosunek mógł trwać tak długo, aż partnerka poczuje pełną satysfakcję.

Wcześniej, na etapie badań w burdelach, Masters odkrył wariant tej terapii. Zauważył, że wielu mężczyzn rozpoczyna aktywność seksualną od kontaktów z prostytutkami, które pośpieszały ich, by móc szybciej

przejść do następnego klienta. Po zaledwie dwóch czy trzech wizytach lekarz zwrócił uwagę na to, że „niedoświadczony mężczyzna przyzwyczajał się do tego rodzaju aktywności seksualnej, ucząc się odruchu szybkiego wytrysku, który mógł u niego dominować do końca życia". Niektórym wystarczyło dotknięcie genitaliów, by „w ciągu kilku sekund doszło do ejakulacji", podczas gdy inni kończyli na sam widok nagiej kobiety – w rzeczywistości albo na rozkładówce czasopisma dla dorosłych. Po obserwacjach z ukrycia Masters napisał: „Udało mi się rozpoznać technikę która, po drobnych zmianach, okazała się niezwykle istotna w terapii mężczyzn cierpiących na przedwczesny wytrysk". W swoich publikacjach para badaczy nazwała tę technikę „metodą zaciskania" i w szczegółach opisała sposób, w jaki małżeństwa mogły pozbyć się swojego frustrującego problemu. Bardzo istotny w leczeniu tego problemu jest udział partnerki pacjenta. Ostrzegano nawet, że metoda nie zadziała, jeśli mężczyzna spróbuje zastosować ją w pojedynkę. „Właściwie to nie my to wymyśliliśmy – wspominała Johnson, która dodała tę technikę do ich repertuaru ćwiczeń dotykowych. – Prostytutki znały ją już wcześniej".

Masters i Johnson opisali problem przedwczesnego wytrysku za pomocą terminologii medycznej, wskazując na jego tragiczne konsekwencje dla pożycia małżeńskiego. „Zapewne setki tysięcy mężczyzn nigdy nie osiąga odpowiedniego poziomu kontroli nad ejakulacją, żeby zaspokoić swoje żony, bez względu na staż małżeński czy częstotliwość stosunków". Część ekspertów medycznych nazywa „przedwczesnym wytryskiem" ejakulację, do której dochodzi w trakcie pierwszej minuty penetracji pochwy, jednak Masters i Johnson unikali mierzenia ze stoperem w ręku. Zamiast tego woleli definiować to pojęcie jako brak umiejętności powstrzymania wytrysku wystarczająco długo, by zaspokoić partnerkę w „przynajmniej połowie wszystkich stosunków". W przeciwieństwie do innych ekspertów, para badaczy w swoich poradach dotyczących leczenia tej przypadłości brała pod uwagę również perspektywę kobiety. Podczas gdy wiele żon, zwłaszcza tych niewykształconych, bało się narzekać na pośpiech dominujących

mężów, część okazywała swoją frustrację seksualną. „Kobieta werbalizuje swój problem poprzez oskarżanie męża o wykorzystywanie jej jako obiektu seksualnego wyłącznie dla własnej satysfakcji; krótko mówiąc, samolubność, nieodpowiedzialność albo zwyczajnie brak zainteresowania nią jako jednostką".

Zwrócenie uwagi na kobiecą stronę problemu to kolejny z wielu triumfów Johnson w rozwoju nowej terapii. Mnóstwo kobiet w podejściu do genitaliów swoich mężów kierowało się niepisną zasadą „nie dotykaj". Ćwiczenia miały na celu pokonanie ich nieśmiałości i ograniczeń wynikających z wychowania. W „metodzie zaciskania" kobieta siada na łóżku z plecami opartymi o poduszkę albo dwie, z nogami szeroko rozstawionymi i w wygodnej pozycji. Tymczasem jej mąż kładzie się na plecach z głową ułożoną w przeciwnym kierunku niż żona. Potem przysuwa swoją miednicę do żony, kładąc nogi na jej nogach, i dając jej w ten sposób „wolny dostęp do swoich genitaliów", jak to opisał zespół terapeutów. Przez jakiś czas kobieta pieści penisa i krocze, aby podniecić męża. W chwili uzyskania pełnej erekcji żona trzyma prącie i przyciska kciuk tuż pod koroną żołędzi z pozostałymi palcami po drugiej stronie trzonu – trochę jak cygaro albo piłkę do baseballa. Następnie powoli, przez może trzy do czterech sekund, zaciska – bezboleśnie, ale na tyle mocno, żeby powstrzymać wytrysk. Po krótkiej przerwie, trwającej nie dłużej niż trzydzieści sekund, cały proces zaczyna się od nowa. Kobieta znów stymuluje genitalia męża, by w kulminacyjnym momencie zacisnąć dłoń na penisie dopóty, dopóki chęć szybkiej ejakulacji nie minie. Po dwudziestu minutach – i nawet pięciu powtórzeniach sekwencji w ciągu pierwszej sesji – pary zazwyczaj odkrywały, że przedwczesny wytrysk nie jest czymś nieuniknionym.

Po dwóch, trzech dniach ćwiczeń metoda zaciskania zazwyczaj pozwalała mężczyźnie osiągnąć poziom kontroli niezbędny do przejścia do kolejnego ważnego etapu – zaspokajania żony albo, jak nazywali to Masters i Johnson, „niewymagającego wprowadzenia". Według tego

scenariusza, kiedy udaje się osiągnąć erekcję, a zaciskanie zostało powtórzone dwu- bądź trzykrotnie, kobieta dosiada męża niczym zapaśnik przygważdżający przeciwnika do podłogi – z kolanami po obu stronach jego klatki piersiowej. Potem pochyla się nad nim do kąta czterdziestu pięciu stopni, wsuwa penisa do pochwy, jednocześnie nie siadając bezpośrednio na nabrzmiałym członku. Kiedy prącie znajdzie się już w pochwie, kobieta stara się nie wykonywać ruchów frykcyjnych. To najbardziej istotna chwila – mężczyźnie pozwala na pozostanie w pochwie żony bez uczucia zbliżającego się wytrysku. Jeśli jednak takowe się pojawi, mąż – zgodnie z instrukcją terapeutów – ma natychmiast powiadomić o tym żonę. Może ona wówczas – jako że zajmuje dominującą pozycję – podnieść się i wysunąć penisa z pochwy, by powrócić do sekwencji zaciskania.

Ta metoda dla niektórych okazała się nie lada akrobacją. Większości amerykańskich par z tradycyjnym podejściem, które zakładało naturalnie dominującą rolę mężczyzny w pozycji misjonarskiej, ta konfiguracja wydawała się zaskakująco odmienna. Kobieta na górze przyjmowała jednocześnie rolę trenera i rozgrywającego. Mężczyzna zaś powstrzymywał się od wszelkiej aktywności poza utrzymywaniem erekcji. Właściwie poinstruowano te pary, by „unikały w miarę możliwości pozycji, w których mąż jest na górze, bowiem wówczas pojawiają się największe problemy z kontrolą wytrysku”. W ciągu kilku kolejnych dni para kontynuowała terapię, by nabrać pewności siebie i z czasem osiągnąć pułap nawet dwudziestu minut nieprzerwanego stosunku. Dla wielu małżeństw z długim stażem tak przyjemne dla obu stron doświadczenie było czymś nowym. „Pojawia się między nimi bliskość fizyczna, pierwotny i wtórny rozwój komunikacji, a także wyraźne ciepło zrozumienia”, zauważyli badacze. Ich słowa prawdopodobnie nie oddają w pełni wspaniałości tego wspólnego osiągnięcia.

Niektórzy mężczyźni osiągali erekcję, ale nie potrafili szczytować. Im Masters i Johnson proponowali podobne rozwiązanie. „Impotencja ejakulacyjna” jest przypadłością dość rzadką i zazwyczaj pojawia się

w czasie pierwszego stosunku w małżeństwie i utrzymuje się przez lata. I znowu: wielu cierpiących na to mężczyzn przyznawało się do głęboko skrywanego wstydu, wynikającego z „ortodoksyjnych korzeni religijnych", gdzie potępiano otwartą seksualność. Jeden trzydziestotrzyletni mężczyzna z pobożnej protestanckiej rodziny powiedział, że w dzieciństwie chłostano go za nocne polucje, a swój miesiąc miodowy rozpoczął od stosunku, którego nie mógł zakończyć wytryskiem. Pewnego katolika, brata dwóch zakonnic, karano za masturbację w wieku nastu lat i wpajano mu, że to obrzydliwy grzech. Okazało się, że nie potrafił szczytować przez jedenaście lat swojego małżeństwa. Inny mężczyzna, ortodoksyjny żyd, po ośmiu latach związku wciąż nie osiągnął orgazmu, a przyczyną okazało się przekonanie, że pochwa jego żony jest „obszarem nieczystym". Niektórzy uważali seks za nieprzyjemny obowiązek; ich fizyczne problemy silnie związane były z psychicznymi. W takich wypadkach terapeuci nie zalecali żadnego „zaciskania". Zamiast tego kobiety miały „intensywnie stymulować prącie", kierując się wskazówkami leżącego na plecach męża, żeby „wymusić manualnie wytrysk". Kiedy się to udawało, para przy następnej okazji przechodziła do stosunku z kobietą w pozycji dominującej. „Wymagająca technika pocierania ścianek pochwy o penisa powinna zostać natychmiast zastosowana", instruowali badacze. Jeśli mężczyzna nie osiągał szybko wytrysku, kobieta miała zaprzestać ruchów frykcyjnych, wysunąć penisa i natychmiast przejść do ręcznej stymulacji do czasu, aż mąż poczuje zbliżające się szczytowanie, którego nie będzie potrafił już powstrzymać. W przeciwieństwie do mężczyzn cierpiących na przedwczesny wytrysk albo tych dotkniętych impotencją, osoby z impotencją ejakulacyjną rzadko uskarżały się na kłopoty z utrzymaniem erekcji. Okazało się też, że podczas stosunku trwającego od trzydziestu do sześćdziesięciu minut, spowodowanego niemożnością osiągnięcia orgazmu przez przez męża, pokaźna liczba kobiet szczytowała wielokrotnie.

Terapia prowadzona przez parę badaczy i ich oddany zespół przynosiła wspaniałe efekty. Przez jedenaście lat przyjęli stu osiemdziesięciu sześciu mężczyzn z przedwczesnym wytryskiem, a nie zdołali wyleczyć zaledwie dwa i dwóch dziesiątych procenta z nich. Z dwudziestu dziewięciu kobiet cierpiących na pochwicę wszystkim udało się odzyskać sprawność seksualną, a szesnaście z nich w czasie dwutygodniowej terapii po raz pierwszy w życiu doznało orgazmu. Jeśli dysfunkcję powodowały strach, zmartwienia i wstyd, terapeuci pracowali niestrudzenie przy pomocy innowacyjnych metod, żeby znaleźć rozwiązanie. Masters i Johnson wspólnie stworzyli mapę fizycznego uniwersum współżycia człowieka, szczegółowo opisując każdy niuans męskiej i żeńskiej anatomii oraz reakcji fizjologicznej. Teraz udało im się opracować terapię, która pomagała parom osiągnąć pełną satysfakcję z intymnego pożycia. W ten sposób Masters spełnił obietnicę, którą złożył kanclerzowi Ethanowi Shepleyowi, gdy prosił go o poparcie badań.

RODZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Surogatki

Tylko żonatym wyrastają rogi[6].
Geoffrey Chaucer, „Opowieści kanterberyjskie”

Barbara Calvert cieszyła się powodzeniem wśród mężczyzn. Czarującym brytyjskim akcentem i urodą zwracała na siebie uwagę męskiej części pracowników Uniwersytetu Waszyngtońskiego, stając się jedną z najbardziej atrakcyjnych sekretarek na uczelni. Jej mąż, George, pracował w innej części uczelni, na Wydziale Grafiki. Nie wiadomo, ile dokładnie wiedział o poczynaniach swojej małżonki. Większość poranków Barbara spędzała przy biurku, pisząc na maszynie albo organizując spotkania dla doktora Willarda Allena, kierownika ginekologii i położnictwa. Podczas gdy główna sekretarka Allena – posępna matrona o imieniu Mildred – nie nadawała się do badań nad seksualnością, Calvert, podobnie jak jej przełożony, doceniała wagę tego przedsięwzięcia. Ta tryskająca życiem kobieta zaprzyjaźniła się z Mastersem i Johnson, zanim przenieśli się z uniwersytetu do kliniki po drugiej stronie ulicy.

Zdarzały się popołudnia, kiedy Barbara Calvert wymykała się i nie wracała za biurko przez godzinę lub dwie. Doktor Ernst Friedrich pamięta, że zauważał jej nieobecność. „Kiedy zbliżała się pora obiadowa, ktoś oświadczał, że pewnie poszła coś zjeść – zauważył Freidrich. – Kiedy wracało się później, po dłuższej chwili, przewracali oczami i mówili, że wciąż pewnie nie wróciła. Innymi słowy: wszyscy wiedzieli o jej dodatkowych zajęciach w porze obiadowej. Trochę taka

tajemnica poliszynela. Ale nie wiem, czy jej mąż od początku zdawał sobie z tego sprawę".

Calvert stanęła w pierwszym szeregu w krucjacie Mastersa i Johnson przeciwko dysfunkcjom seksualnym. Zgodziła się zostać surogatką partnerki seksualnej, która miała pomóc mężczyznom cierpiącym na impotencję, przedwczesny wytrysk i z powodu innych problemów.

„W dzisiejszych czasach nazwalibyśmy ją »dziewczyną-viagrą« – wyjaśnił doktor Michael Freiman, który uważał Calvertów za swoich przyjaciół. – Raz widziałem ją, jak wracała z pracy; wyglądała, jakby dopiero co brała prysznic. Takich ludzi widzi się z samego rana, świeżutkich i czystych".

Tymczasem Barbara kontynuowała swój wolontariat, biorąc przypadek za przypadkiem do czasu, aż o wszystkim dowiedział się jej mąż.

Zastępcze partnerki seksualne, choć względnie rzadkie w terapii Mastersa i Johnson, stały się jednym z najbardziej kontrowersyjnych, ale jednocześnie bardzo efektywnych jej punktów. W ciągu jedenastu lat przydzielono surogatki czterdziestu jeden nieżonatym mężczyznom, którzy czuli, że mają pewne seksualne niedostatki i nie mogli zwrócić się o pomoc do byłych żon lub przyjaciółek. Dla takich pacjentów chętne i anonimowe surogatki, w tym Barbara Calvert, były „kimś, kto z nimi porozmawiał, wsparł, nauczył czegoś i – przede wszystkim – dawał coś z siebie i brał coś od nich w trakcie dwutygodniowej terapii". Spośród trzydziestu jeden kandydatek wybrano trzynaście. Wykluczono osoby poszukujące wrażeń i psychologicznie podejrzane. Johnson doradzała wyselekcjonowanym surogatkom i dbała o to, by dostały odpowiednie wynagrodzenie. A jednak pośród tak wielu terapeutycznych nowinek jej autorstwa, ten pomysł nie należał do niej. „Wyniki były zaskakująco dobre, ale moim zdaniem prosiliśmy się o kłopoty", wyjaśniła kiedyś.

Bill Masters wykazał się empatią wobec wrażliwej męskiej psychiki i przypadków seksualnej niemocy. „Nie mógłby znieść świadomości, że

część pacjentów zostałab odprawiona z kwitkiem", stwierdziła Johnson. To podejście mogło mieć związek z jego własnymi problemami z niepłodnością albo, co bardziej prawdopodobne, wynikało ze współczucia okazywanego najbardziej zdesperowanym pacjentom.

Kiedy zgodzili się przyjmować nie tylko małżeństwa, Masters zaproponował surogatki, żeby uzyskać akceptowalny odsetek pomyślnie zakończonej terapii. Literatura medyczna podawała zaledwie dwadzieścia pięć procent szans na wyleczenie dysfunkcji seksualnej. Dzięki nowym metodom trzydziestu dwom z czterdziestu jeden mężczyzn z zastępczymi partnerkami – prawie osiemdziesięciu procentom – udało się pokonać swój problem. Był to niesamowity sukces, zważywszy na chroniczność ich dolegliwości. Prawo stanu Missouri od dziesiątków lat zakazywało stosunków pozamałżeńskich, jednak Masters nie przejmował się prawem i moralnością; dla niego liczyło się wyłącznie wyleczenie pacjentów. Johnson pomagała łączyć pary. Kwoty przekazywane przez mężczyzn surogatkom były utrzymywane w tajemnicy. Klinika zawsze musiała się liczyć z zarzutami sutenerstwa, które mogły wysunąć prokuratura lub osoby związane z medycyną. Popularność i sukces finansowy *Współżycia seksualnego człowieka* tylko zwiększały ryzyko, że ktoś spróbuje złamać ich kariery. Bill i Gini zgodnie uznali, że im mniej się będzie mówić o surogatkach, tym lepiej.

W późnych latach sześćdziesiątych Kolodny poznał ich sekret, kiedy towarzyszył Mastersowi na seminarium z etyki medycznej. Masters miał zaprezentować ich wciąż jeszcze nieopublikowaną terapię, by promować edukację seksualną wśród lekarzy. Gdy szli do sali, Kolodny zasugerował Mastersowi, żeby wspominał o moralnym dylemacie przy wykorzystaniu partnerek zastępczych.

Masters zatrzymał się w pół kroku.

– Nie zamierzam tego robić – odparł. – To nie jest temat, który chciałbym poruszać. Nie pytaj o to.

Kolodny, który miał wtedy za sobą zaledwie kilka miesięcy pracy z Mastersem i Johnson, nie zdawał sobie sprawy z drażliwości tej

prośby. W niewiedzy pozostawali też członkowie zarządu fundacji. Torrey Foster, adwokat, twierdził, że ani on, ani żaden z innych członków nie otrzymał informacji na ten temat przez całe jedenaście lat pracy nad terapią. „Masters wymusił na nas atmosferę tajemnicy otaczającej jego działania i chociaż nie robił niczego nielegalnego, nigdy nie poznaliśmy szczegółów – wyjaśnił Foster. – Nigdy nie zostałem w pełni wtajemniczony. Zawsze miałem wrażenie, że Bill w trakcie spotkań zarządu nie był wobec nas w pełni szczery. Niewątpliwie służyliśmy tylko jako przykrywka. Nie kwestionowaliśmy jego poczynań. Robiliśmy wszystko, czego chciał".

Masters i Johnson wychwalali swoje seksualne surogatki niczym prawdziwe nocne pielęgniarki z altruistycznym powołaniem. Zazwyczaj były to miejscowe kobiety rasy białej, różnego pochodzenia klasowego i z różnym wykształceniem, w wieku od dwudziestu czterech do czterdziestu trzech lat. „Łączyło je jedno: wszystkie czerpały ogromną przyjemność z seksu i przywiązywały do niego ogromną wagę", wyjaśniła Johnson. Połowa surogatek brała wcześniej udział w badaniach nad reakcją seksualną; druga połowa zgłosiła się konkretnie do tego zadania. Tylko dwie z nich nigdy nie wyszły za mąż, a trzy czwarte urodziło co najmniej jedno dziecko. Niektóre ukończyły szkołę średnią albo przeszły szkolenie przygotowujące do pracy biurowej. Ponad połowa uzyskała dyplom college'u albo uczelni wyższej. Jedną z ulubionych surogatek Mastersa była lekarka „szczerze ciekawa" swojej roli. Zgłaszała się do kliniki wielokrotnie na przestrzeni trzech lat, robiąc to „dla siebie i dla nas", jak wyznał Masters. Johnson ciepło wypowiedziała się o innej kobiecie – pielęgniarce nazywanej przez nią Mary – która brała udział we wcześniejszych badaniach. Jako ofiara molestowania seksualnego, Mary była wdzięczna Mastersowi za niewielki zabieg ginekologiczny, dzięki któremu odzyskała uszkodzoną tkankę. „Zrobiłaby dla nas, dla niego, wszystko", stwierdziła Johnson. Mary to nie jedyny przypadek surogatki z przeszłością. Wiele z nich „doświadczyło traumy na tle seksualnym

w najbliższej rodzinie". Trzy wyszły za cierpiących na dysfunkcje seksualne mężczyzn; jeden z nich popełnił samobójstwo, a drugi został alkoholikiem.

Surogatki pracowały jako część zespołu terapeutycznego i przyswoiły sobie gruntowną wiedzę na temat męskiej seksualności, w tym jej aspektów psychologicznych. Obawa o wydolność, stosunek z zachowaniem emocjonalnego dystansu, a także druzgocący wpływ dysfunkcji seksualnych – wszystkie te tematy zostały przedyskutowane; omówione zostały również techniki, które „uspokajały pod względem społecznym i fizycznym mężczyznę pełnego napięcia i obaw". Każda surogatka poznawała podstawowe informacje na temat przeszłości i problemów seksualnych swojego klienta, ale ukrywano przed nią personalia. Po raz pierwszy spotykali się w restauracji, by mogli przyzwyczaić się do swojego towarzystwa i poczuć komfortowo. Przy stole pacjent przekonywał się, jak surogatka wygląda i mówi oraz jaki ma gust i maniery. Ponad dwie trzecie mężczyzn zgłaszających się na leczenie cierpiało na impotencję albo inne dysfunkcje psychoseksualne, które zrujnowały ich wcześniejsze związki. Powodzenie terapii przy użyciu surogatek okazało się znacznie większe, niż się spodziewano, dzięki ich umiejętnościom niesienia pomocy.

Mimo nawoływania do równości między płciami, Masters i Johnson nie proponowali zastępczych partnerów kobietom. Uznali, że społeczeństwo amerykańskie nie jest jeszcze na to gotowe, podobnie jak same kobiety. W ciągu jedenastu lat zgłosiły się do nich trzy niezamężne panie. Wszystkie pojawiły się z własnymi partnerami zastępczymi, czyli mężczyznami, z którymi spotykały się od co najmniej sześciu miesięcy. „Odmawianie kobiecie cierpiącej na dysfunkcje seksualne partnera zastępczego przy jednoczesnym oferowaniu usług surogatki pacjentowi płci męskiej sugeruje stosowanie podwójnych standardów w terapii; nie jest to prawdą", upierali się Masters i Johnson. Ze wszystkich sił próbowali wyjaśnić tę dychotomię. Mężczyzna traktował spotkania z surogatką „tak samo, jak receptę na inne fizyczne dolegliwości", niczym eliksir w butelce z miejscowej

apteki. Jednak dla kobiet taki prosty utylitaryzm nie był akceptowalny. Wychowana w amerykańskim społeczeństwie kobieta w pierwszej kolejności potrzebowałaby „względnie poważnego związku, który pozwoliłby jej cenić swoją funkcję seksualną", napisali Masters i Johnson. Stworzenie takiego „poważnego związku" w ciągu zaledwie dwóch tygodni byłoby zgoła niemożliwe i dlatego klinika wykluczyła partnerów zastępczych. Tego ryzyka Bill Masters nie był jeszcze gotowy podjąć.

Mimo ambiwalentnego stosunku do surogatek, Johnson zaakceptowała te wyraźne różnice w traktowaniu kobiet i mężczyzn. „Z wywiadów przeprowadzonych z naszymi pacjentkami wynikało, że system wartości kobiet nie akceptuje takich zachowań – wyjaśniła dziennikarzom dopytującym o partnerów zastępczych. – Wolelibyśmy, żeby wszystkie kobiety podzielały męskie podejście, jednak tak nie jest. Nawet przy wolności słowa i znacznych zmianach w dzisiejszej kulturze, nawet przy prawdziwej determinacji kobiet w dążeniu do przyjęcia podobnej, niczym nieograniczonej postawy, seksualność płci pięknej wciąż pozostaje wynikiem dawnego systemu wartości".

Ale przynajmniej jedno ze stwierdzeń Mastersa i Johnson na temat surogatek wprowadzało w błąd. „Żadna z naszych ochotniczek nie pozostawała w związku małżeńskim w trakcie pracy terapeutycznej", twierdzili. A przecież Barbara Calvert i inne surogatki były mężatkami. Co więcej, para badaczy utrzymywała, że „nigdy nie podjęto próby przekonania jakiejkolwiek kobiety do podjęcia się tego zadania". Wbrew temu stwierdzeniu Masters często zachęcał do zgłaszania się pielęgniarki ze szpitala, studentki, ochotniczki z badań, a nawet niektóre żony lekarzy. „Nigdy nie poruszał tego tematu, gdy znał męża kobiety, ale wiedział, że rozmawia z mężatkami, bo widział ich obrączki", wspominał Kolodny.

Masters i Johnson zostali zmuszeni do powtórnej oceny wykorzystania surogatek, kiedy mąż Barbary Calvert zatrudnił adwokata. George E. Calvert, zamieszkały w New Hampshire były pracownik Uniwersytetu Waszyngtońskiego, pozwał parę badaczy na

dwa i pół miliona dolarów, twierdząc, że razem z żoną leczyli się z niepłodności u Mastersa, a terapeuta „pogwałcił relacje między lekarzem i pacjentem, nakłaniając Barbarę Calvert do odbywania stosunków seksualnych" z dwoma pacjentami. Z aktów sądowych wynika, że dostała pięćset dolarów w lipcu 1967 roku za seks z pacjentem z Nowego Jorku i kolejne dwieście pięćdziesiąt w styczniu 1968 roku za stosunek z pacjentem z Virginii. Późniejsze ustalenia mówiły już o siedmiu mężczyznach. Calvert twierdziła, że badacze wiedzieli o jej mężu i przekonali ją do utrzymywania swoich nielegalnych praktyk w tajemnicy przed nim.

Zdaniem starych znajomych z St. Louis reakcja George'a Calverta była przesadzona. Większość zakładała, że doskonale wiedział o zajęciu żony, podobnie jak pozostali pracownicy uczelni i szpitala. Doktor Mike Freiman i jego małżonka uczestniczyli w kilku przyjęciach i spotkaniach z Calvertami, podczas których musiał on słyszeć o jej pracy dla kliniki. Freiman powiedział, że Barbara zgłosiła się na ochotnika, żeby dorobić sobie do pensji. „Wydaje mi się, że mieli kłopoty finansowe – wyjaśnił. – Wątpię, by zrobiła to z powodu głębokich przekonań o słuszności terapii. Po prostu potrzebowała pieniędzy". Kiedy sprawa trafiła do sądu, Masters i Johnson byli już znani dzięki publikacji doskonale sprzedającej się książki z radami dotyczącymi seksu i dorobili się na tantiemach oraz działalności kliniki. Aby wyciągnąć od nich pieniądze, George Calvert zeznał, że wzbogacili się dzięki informacjom zdobytym w wyniku zatrudnienia Barbary.

W prasie pojawiło się kilka wzmianek o tym procesie, ale nowy prawnik kliniki, Walter Metcalfe Jr., poradził Billowi i Gini, żeby nie komentowali sprawy. „Naszym zdaniem tego typu zarzuty są absurdalne – stwierdzili w jedynym oficjalnym oświadczeniu. – Możemy to udowodnić". Metcalfe przekonał sędziego do zabezpieczenia dowodów i naciskał na pozasądowe porozumienie, które miało zabronić kontaktów z prasą. Pozew Calverta groził odkryciem przed opinią publiczną tajemnic kliniki – seksu pozamałżeńskiego, pieniędzy przepływających między pacjentami a surogatkami, ogólnie rzecz

biorąc wątpliwych poczynań dwójki najsłynniejszych amerykańskich ekspertów od seksu. Gdyby informacje te zostały przekazane opinii publicznej, mogłoby dojść do odebrania Mastersowi prawa do wykonywania zawodu albo zmuszenia go do rezygnacji z działalności akademickiej i zawodowej. Członkowie zarządu dowiedzieli się o tym dopiero po latach. „Myślę, że wreszcie przyznał się do korzystania z usług surogatek i uznał to za nie do końca dobry pomysł", wspominał prawnik Torrey Foster.

Mimo dobrych intencji Billa Mastersa, mimo jego wiary w nową terapię, wykorzystywanie surogatek omal nie doprowadziło do skandalu i katastrofy wizerunkowej. „Mogły przekreślić cały projekt – przyznała Johnson dwa lata później. – To smutne, ponieważ właśnie surogatki niosły pomoc tym, którzy najbardziej jej potrzebowali".

W taki oto sposób Masters i Johnson zostali nieco utemperowani i obiecali publicznie, że nigdy więcej nie skorzystają z usług surogatek.

[6] Tłumaczenie Heleny Pręczkowskiej, wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich (Ossolineum).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Playboy

Willa Playboya w Chicago stała się symbolem najbardziej prowokacyjnych wyobrażeń na temat seksualności Amerykanów w późnych latach sześćdziesiątych. Jej właściciel, Hugh Hefner, przyjął otwarte, skomercjalizowane podejście do seksu, które znakomicie oddawał już pierwszy numer jego czasopisma, w którym pojawiła się Marilyn Monroe. W willi trwały całonocne bachanalia przy wewnętrznym basenie ze zjeżdżalnią, w czasie których spełniano wszystkie cielesne pragnienia gości. Ten liczący siedemdziesiąt pokoi dom z czerwonej cegły, wybudowany jeszcze w erze wiktoriańskiej, stał się dla Amerykanów centrum przyjemności, strefą zero dla bomby rewolucji seksualnej, którą wieszczyło samo czasopismo. W wieku czterdziestu lat Hefner miał krzykliwy, choć wyrafinowany charakter – często widziano go ubranego w smoking, pykającego fajkę na planie swojego show *Playboy After Dark*. Wizerunek ten diametralnie różnił się od sztywnego profesjonalizmu Billa Mastersa i jego partnerki, Virginii Johnson.

Na początku 1968 roku atmosfera panująca w willi zszokowała nieco dwójkę badaczy z St. Louis. Na piętrze przez długie tygodnie gościły króliczki Playboya, wciśnięte w ciasne kostiumy z puszystymi ogonkami. Przez salon na dole przewinęło się mnóstwo celebrytów z Hollywood i gwiazd sportu, którzy mieli okazję przekonać się, czy

libertyńskie fantazje, którymi osnuta była „filozofia Playboya", są prawdziwe. Na drzwiach frontowych miedziana tabliczka ostrzegała po łacinie: *Si non oscillas, noli tintinnare* (w wolnym tłumaczeniu „Nie swingujesz, nie dzwoń"). Masters i Johnson nie po to pojawili się w Chicago. Ich zainteresowanie seksem było bardziej przyziemne. Kobiety, które widzieli nago, często miały obwisłe piersi i cellulit. Mężczyźni martwili się o brak wzwodu i kontrolę nad wytryskiem. Jako damsko-męska para badaczy Masters i Johnson pojawili się w willi wyłącznie zawodowo, nie w ramach rozrywki.

„Aby zachować pozory przyzwoitości, zawsze zajmowali oddzielne sypialnie – wspominał Hefner. – Zawsze nas to bawiło".

Niezwykła współpraca badaczy z medialnym satyrem zaowocowała obopólnym podziwem i wsparciem. W czasie wizyt Mastersa i Johnson Hefner prowadził z nimi wielogodzinne rozmowy, podczas których odkryli, że wszyscy wiele zawdzięczają Alfredowi Kinseyowi. Przed założeniem „Playboya" w 1953 roku, Hefner studiował na Uniwersytecie Północno-Zachodnim, gdzie napisał pracę socjologiczną porównującą statystyki Kinseya dotyczące męskiej seksualności z prawem obowiązującym w czterdziestu ośmiu stanach. „Udowadniałem, zapis po zapisie, że gdyby efektywnie egzekwowano prawo, większość z nas trafiłaby do więzienia – powiedział Hefner ze śmiechem. – Moje własne uprzedzenia w tej materii pojawiły się dość szybko".

Jako nieprofesjonalny badacz ludzkiej seksualności, Hefner rozumiał, jak wielkim odkryciem była praca tego niezwykłego duetu. „Przed Mastersem i Johnson nie istniały praktycznie żadne istotne badania nad fizjologią seksu. Jedna z najistotniejszych części naszego życia pozostawała dla nas nieznana z powodu tabu", wspominał Hefner po latach. Ze względu na własne doświadczenia spodobał mu się pomysł udzielania prostych rad parom z problemami w pożyciu intymnym. „Wychowałem się w typowym domu na Środkowym Zachodzie, gdzie panowało dużo represji, a mało było przytulania i całowania. Bardzo

wcześnie zauważyłem, jak to potrafi człowieka skrzywdzić – wyjaśnił. – Dlatego wybrałem taki, a nie inny temat do celebracji".

W latach sześćdziesiątych „Playboy" rozwinął się i oprócz nagich zdjęć publikował też artykuły o pigułce, prawach kobiet, aborcji i innych kulturowych kontrowersjach. Jednak Hefner zdał sobie sprawę, że jego czasopismo, choć pozornie tak otwarte, nigdy nie wspomniało na swoich kartach o łechtaczce, dopóki Masters i Johnson nie zgodzili się na wywiad. „Cała natura orgazmu, także kobiecego, wiedza tak dzisiaj oczywista, nie istniała przed badaniami Mastersa i Johnson", wyjaśnił Hefner.

W maju 1968 roku, w wywiadzie przeprowadzonym przez Nata Lehrmana, Masters i Johnson udzielili niezwykłych odpowiedzi na odwieczne pytania:

> „PLAYBOY": Tradycjonaliści narzekają również, że tego typu badania niszczą aurę tajemnicy, jaka otacza seks. Myślicie, że to prawda?
>
> JOHNSON: Naszym zdaniem realistyczne i prawdziwe aspekty seksualności są o wiele bardziej fascynujące niż cała ta aura tajemniczości. Mówiąc o niej, tradycjonaliści w istocie odnoszą się do mitów i przesądów. Wiedza na temat seksu nie niszczy, lecz rozwija naszą seksualność.

Hefner uważał, że to rola Virginii jako równoprawnego partnera stawiała ich wyżej niż Kinseya. W przeciwieństwie do opalonych i ponętnych blondynek w negliżu, które można było znaleźć na pozostałych stronach numeru, tutaj pojawiła się niezwykle dobrze poinformowana, licząca sobie czterdzieści lat kobieta z ciemnymi włosami, w prostej fryzurze, prawie bez makijażu i w białym fartuchu lekarskim (podobnie wyglądała na okładkach czasopism „Life", „Time" czy „Newsweek"). Z pasją opowiadała o równości seksualnej kobiet, niesprowadzanych do roli przedmiotów przypominających lalki Barbie, ale aktywnych w sypialni partnerek. „Wszystkie nazwiska w książce Kinseya należały do mężczyzn; udział w badaniach damsko-męskiego duetu Mastersa i Johnson sprawił, że w wynikach uwzględniono nie tylko męski punkt widzenia", podkreślał Hefner. Johnson chętnie przystała na propozycję, by ona i Masters stali się konsultantami

„Playboya", za co Hefner z radością ich wynagrodził. „W 1965 roku założyłem Fundację Playboya, a ponieważ czasopismo i firma świetnie sobie radziły w latach sześćdziesiątych, zaczęliśmy wspierać wiele przedsięwzięć, w tym Mastersa i Johnson – wyjaśnił. – Zaprzyjaźniliśmy się".

Mimo wypracowanego spokoju i wytwornych manier, Gini ledwo potrafiła opanować swój zachwyt w willi Playboya. „Każdy pokój miał inny kolor, na przykład niebieski i czerwony – wspominała. – Hef okazał się niezwykle inteligentny. Pobyt w willi bardzo mi się podobał. Jedną z zalet był dwudziestoczterogodzinny dyżur kucharzy. O trzeciej w nocy pieczono pyszne ciasteczka, bo Hef kładł się zazwyczaj nad ranem i sypiał w ciągu dnia". Chociaż Virginia i Bill już wtedy regularnie sypiali ze sobą na wyjazdach, Johnson, jak wspomniano, wyraźnie poprosiła o osobne pokoje. „Bardzo się przejmowałam swoim wizerunkiem i dobrem rodziny – wspominała. – Nie chciałam, by poznano mnie z tej strony". W czasie ich pobytu Lehrman zwrócił uwagę, jak entuzjastycznie Hefner podchodził do pary badaczy. „Żartowano, że gdy po pięciu dobach bez snu w końcu się kładł, mówił, by nie budzić go, o ile nie zadzwoni Frank Sinatra albo Lyndon Johnson – zdradził Lehrman. – W tamtym okresie trudno było do niego dotrzeć. Rzadko widywał się z ludźmi, ale z Gini i Billem spędzał dużo czasu i wyraźnie był dumny, że się z nimi przyjaźni".

Masters i Johnson zdawali sobie sprawę z wpływu, jaki czasopismo miało na kulturę w latach sześćdziesiątych, zwłaszcza na miliony młodych czytelników płci męskiej. „»Playboy« to zapewne najważniejsze źródło wiedzy na temat seksu w dzisiejszej Ameryce – oznajmił Masters. – Z radością pomożemy jego twórcom przekazywać precyzyjne informacje". Nie tylko popularyzowali w ten sposób własne rady, ale też wspierali wiecznie niedofinansowaną klinikę. W następnej dekadzie Fundacja Playboya przelała na konto Fundacji na rzecz Badań nad Biologią Reprodukcji łącznie trzysta tysięcy dolarów na „rozwój pełnego programu szkoleniowego dla ludzi zajmujących się opieką zdrowotną w zakresie leczenia dysfunkcji seksualnych". Lehrman

poznał Mastersa i Johnson na konferencji medycznej i poleciał do St. Louis, żeby ustalić szczegóły porozumienia. Napisał także książkę *Masters and Johnson Explained*, opublikowaną przez „Playboya". „Obie strony czerpały korzyści z tej współpracy – wyjaśnił Lehrman, który często dzwonił do St. Louis po pomoc w redagowaniu kolumny z radami w czasopiśmie. – Kiedy Bill potrzebował pieniędzy, zgłaszał się do mnie, a ja zazwyczaj mu je załatwiałem. Kiedy zaś my potrzebowaliśmy informacji do jakiejś rubryki, zgłaszałem się do niego. Doskonale się to sprawdzało i Hefner na pewno był pod wrażeniem".

Niechęć Ameryki do seksu uniemożliwiała Mastersowi i Johnson uzyskanie dofinansowania rządowego. W przeciwieństwie do większości klinik, które powstały przy uniwersytetach, a zwłaszcza tych pozytywnie opisywanych przez prasę i lekarski światek, w ich przypadku „szybko stało się jasne, że szanse na zdobycie grantów na badania seksuologiczne praktycznie nie istniały – poskarżył się Masters w swoim nieopublikowanym dzienniku. – Zajęliśmy się tego rodzaju badaniami, które trzeba finansować indywidualnie". Od 1959 roku aż do 1970 Masters połowę swoich dochodów z praktyki lekarskiej przeznaczał na działalność kliniki. „Potrzebowaliśmy od dwustu pięćdziesięciu do pięciuset tysięcy dolarów rocznie, żeby zrobić to, co chcieliśmy – powiedział wtedy Masters. – Nigdy nie udało nam się tyle zdobyć". Pacjenci po skutecznej terapii znajdywali różne sposoby na odwdzięczenie się, ale wysokie datki pojawiały się rzadko, nawet od tych lepiej sytuowanych. „Ludzie zgłaszający się do nas po poradę obawiali się, że opinia publiczna się o tym dowie, więc większość z nich nie wspierała kliniki – wyjaśnił były pracownik, J. Robert Meyeners. – Ciężko było zdobyć pieniądze z innego źródła niż opłaty za za dwutygodniową terapię. Każdy z terapeutów zajmował się dwoma, góra trzema pacjentami jednocześnie, więc nie dało się w ten sposób uzbierać pokaźnej sumy. Cały projekt nigdy nie stanowił maszynki do robienia pieniędzy".

Politycy nie pozwalali, by rządowe fundusze wspierały badania seksuologiczne, a zachowanie Mastersa nie pomagało w tej sytuacji. Duma, jaką czerpał z dokonań kliniki, i niechęć do pochlebiania biurokratom niweczyły wszelkie szanse na potencjalne wsparcie finansowe. Na przykład po tym, jak zaczął się ubiegać o grant Krajowego Instytutu Zdrowia Psychicznego, wysłano do niego młodego, nieco nadgorliwego psychologa, żeby ocenił klinikę. Doktor Thomas Lowry, były pracownik, pamięta, że spotkanie mężczyzny z Mastersem okazało się bardzo krótkie.

– W ramach zgłoszenia, oczywiście, będzie pan musiał przekazać nam wszystkie swoje akta – wyjaśnił urzędnik.

Masters zamarł.

– Cóż, w takim razie to kończy naszą rozmowę – oznajmił zimnym tonem.

Z uwagi na poszanowanie prywatności pacjentów, a także poufny charakter szkolenia pracowników, większość fizycznych zapisów ich terapii powstawało na taśmie, a nie w formie drukowanej. Masters nie zamierzał pozwolić, by jakiś biurokrata przesłuchiwał te nagrania, bo w ten sposób ryzykowaliby ujawnienie tożsamości pacjentów. „Nie przekazywali swoich taśm nikomu", zaznaczał Lowry.

Na początku lat sześćdziesiątych Paul Gebhard z Instytutu Kinseya pomógł Mastersowi, wówczas wciąż pracującemu na pełen etat na Uniwersytecie Waszyngtońskim, starać się o federalny grant. Jednak szczerość badań fizjologicznych i anatomicznych wydawała się nieakceptowalna dla ludzi zajmujących się rozdysponowaniem rządowych funduszy na badania. „Masters powiedział, że potrzebuje grantu na swój projekt, ponieważ nie może wiecznie polegać na wsparciu uczelni – wyjaśnił Gebhard. – W przeszłości udawało nam się zdobywać pieniądze od Krajowego Instytutu Zdrowia Psychicznego, więc zachęciłem do go złożenia papierów". Masters wysłał „niezwykle szczegółową aplikację, wyliczając w niej nawet pieniądze wydane na popielniczki – powiedział Gebhard. Bill czuł, że zgłoszenie zostanie zaakceptowane. „Ludzie z Waszyngtonu byli, oczywiście, pod

wrażeniem, ale obawiali się reperkusji". Wysłali na wizytę komitet, który miał przyjrzeć się jednostce Mastersa i Johnson, a także ocenić, czy należy im powierzyć publiczne pieniądze. Wracając, siwowłosi lekarze zatrzymali się w Instytucie Kinseya, żeby porozmawiać z Gebhardem. Tuż przed wyjściem jeden z nich poprosił go na stronę.

– A tak przy okazji, doktorze, słyszał pan o Williamie Mastersie? – zapytał złowieszczym tonem.

Gebhard zawahał się i odpowiedział z rezerwą.

– Tak, słyszałem, a dlaczego pan pyta? – odparł z wahaniem, jakby poznał nazwisko Mastersa w jakimś periodyku i wcale nie był jego długoletnim przyjacielem, który pomógł mu przygotować zgłoszenie.

Starszy recenzent skrzywił się i ponuro wyraził swoją opinię. „Przestrzegł mnie, żebym trzymał się od niego z dala, bo zajmuje się czymś chorym – wspominał Gebhard. – A potem odszedł. Oczywiście nie muszę dodawać, że grantu nie przyznano".

Gebhard podejrzewał, że członkowie komitetu mieli szansę obejrzeć urządzenie do sztucznej stymulacji. „Masters zapewne pokazał im swoją maszynę, a to musiało ich wystraszyć – spekulował ze śmiechem. – Wyobrażacie sobie tych starych bostońskich doktorków, którzy w życiu nie widzieli niczego związanego z seksem, a potem stanęli przed tym urządzeniem? Badania seksuologiczne zawsze trudno było sfinansować, za to łatwo stawały się celem krytyki".

Aby zdobyć fundusze nie tylko od Hefnera, Masters zgłosił się po ograniczone granty firm farmaceutycznych zainteresowanych badaniami nad antykoncepcją i niepłodnością. W latach siedemdziesiątych przeprowadzili badania dla Encare Oval, sprawdzając środek plemnikobójczy na szesnastu ochotniczkach w wieku od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat, którym wstrzyknięto nasienie od męskich dawców i wręczono dildo, by zasymulować „aktywność kopulacyjną" i tym samym ustalić skuteczność specyfiku.

Z czasem jednak Masters zrozumiał, jak ważne jest utrzymywanie dobrych stosunków z kilkoma bogatymi darczyńcami, którzy są skorzy podać swoje nazwiska do publicznej wiadomości. Największymi

ofiarodawcami na rzecz kliniki byli pochodząca z Dallas Lou Morton Ellis i jej mąż, Van C. Ellis, dawni pacjenci z 1970 roku, którzy na własną prośbę wrócili, by „odświeżyć" swoją terapię. Lou, spadkobierczyni fortuny zbitej na chipsach ziemniaczanych, wsparła już wiele fundacji charytatywnych i religijnych, w tym lokalny Kościół Baptystów w Park Cities. Pewnego dnia Van został szefem rodzinnej firmy, Morton Foods, która stała się częścią General Mills, właściciela tak znanych marek, jak płatki Wheaties i artykuły do pieczenia Betty Crocker. „Jesteśmy smutni i źli, że wciąż istnieją pary zbyt długo zwlekające z szukaniem pomocy, ponieważ są zbyt dumne, by przyznać się do problemów, albo nie zdają sobie sprawy z istnienia terapii, która mogłaby im pomóc", oświadczyła Lou, tradycyjna matka czwórki dzieci, jak sama siebie określa, przypominająca z wyglądu samą Betty Crocker. Ich dołączenie do zarządu fundacji Mastersa i Johnson z pewnością budziło zdziwienie w Dallas, gdzie ich kościół stanowił jeden z największych w okolicy. Mimo to Ellisowie próbowali pogodzić religię i silne wartości rodzinne z dyskusją o seksie. Sfinansowali pilotażowy program w klinice Mastersa i Johnson związany z księżmi i doradztwem seksualnym i stanowiący wstęp do obiecującego, trwającego pięć lat programu wartego milion dolarów. Postawilitylko jeden, dziwaczny warunek: zatrudnienie Herberta Howarda. „Van i Lou Ellisowie byli jego przyjaciółmi i znali go jako kapłana", wspominała Johnson. Ich pracownikom nie spodobało się przyjęcie kogoś, kto ich zdaniem nie posiadał odpowiednich kwalifikacji. „Wizja współpracy z tym człowiekiem nie była przyjemna, nawet jeśli ci bogaci ludzie opłacili całe jego wynagrodzenie", wyznał doktor Robert Kolodny. Krótko po swoim przybyciu Howard wymamrotał coś w obecności Mastersa i Kolodny'ego, jakąś rasistowską uwagę. „Wkurzyłem się, wstałem i wyszedłem", podsumował krótko Kolodny. Masters zauważył wyraźne zniesmaczenie na twarzy swojego asystenta i ruszył jego śladem.

– To koleś z głębokiego Południa i nie zamierzamy mu na to tutaj pozwalać – zapewnił go. – Ale naprawdę musisz wrócić, bo mówimy

o stu tysiącach dolarów rocznie przez następne dwa lata. Nie stać nas na to, by obrazić tych ludzi.

Po wielu odrzuconych prośbach o rządowe granty i inne prestiżowe źródła finansowania, Masters nie mógł odmówić przyjęcia pomocy od spadkobierczyni chipsowego potentata i wyświadczenia relatywnie niewielkiej przysługi dla jej księdza. Nauczył się już żyć z pewnymi kompromisami, by osiągać swoje najważniejsze cele, nawet jeśli to oznaczało spędzenie jednej czy dwóch nocy w willi Playboya.

– Posłuchałem cię w tak wielu sprawach – powiedział spokojnie Kolodny'emu – ale tym razem proszę, żebyś to ty mi zaufał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Naprawiając małżeńskie łoże

Nie należy mylić fizjologii z psychologią
Sigmund Freud

Kiedy zdjęcie Mastersa i Johnson trafiło na okładkę „Timesa", osiągnęli oni szczyt swojej popularności. Portret pary badaczy w pełnym kolorze, zbliżenie ich promieniejących satysfakcją twarzy pojawiło się na wydaniu z 25 maja 1970 roku. Masters założył charakterystyczną dla siebie muszkę, a Johnson, siedząca tuż przed nim, uśmiechała się skromnie. Obok nich stała drewniana, abstrakcyjna rzeźba pary splecionych w romantycznym uścisku kochanków. Na czarnym tle umieszczono biały napis „Badacze Masters i Johnson" z żółtym banerem ogłaszającym „edukację seksualną dla dorosłych". Cztery lata wcześniej *Współżycie seksualne człowieka*, ich pionierski przewodnik po fizjologii i anatomii dwojga płci, stało się bestsellerem wydanym w ponad dwunastu językach na całym świecie. Ze zwykłego podręcznika przeobraziło się w kulturowy kamień milowy, wpisując się w zmiany zachodzące w społeczeństwie podczas rewolucji seksualnej. Okładka „Timesa" – związana z premierą ich drugiej książki, *Niedoboru seksualnego człowieka*, i opisanej w niej terapii – potwierdziła ogromne znaczenie pary badaczy dla kultury.

„To najważniejsi od czasów Alfreda Kinseya naukowcy zajmujący się tajemniczą, nierozumianą, a tak istotną funkcją ludzkiego ciała", zadeklarowali dziennikarze „Timesa" w artykule *Naprawiając małżeńskie łoże*. W kraju, w którym liczba rozwodów rosła w zastraszającym tempie, terapia Mastersa i Johnson obiecywała tak

potrzebne medyczne antidotum na nieszczęście w intymnym pożyciu. „Jednym z ważniejszych powodów tak wielu rozwodów w naszym narodzie jest niedobór seksualny – powiedział Masters. – Oceniam, że jakieś siedemdziesiąt pięć procent tych problemów jest leczonych przez psychologa, pracownika socjalnego, księdza i prawnika. Medycyna nie poczuwa się do odpowiedzialności". Para badaczy oszacowała, że „być może połowa z czterdziestu pięciu milionów małżeństw w Stanach Zjednoczonych w jakimś stopniu nie pasuje do siebie pod względem seksualnym". W artykule podkreślono osiemdziesięcioprocentową skuteczność terapii; oto wielu pacjentów po pięciu latach terapii wciąż osiągało satysfakcję. Biorąc pod uwagę ten deklarowany sukces, „Times" umieścił Mastersa i Johnson w galerii seksualnych pionierów, zaraz obok Sigmunda Freuda, Alfreda Kinseya i Havelocka Ellisa.

W wywiadach prasowych Bill i Gini wyraźnie zachowywali najlepszą formę. Mimo ambitnych celów kliniki, przekonali „Timesa", że „skromnie oceniają swój dorobek". Czasopismo przedstawiło Johnson jako dziewczynę dorastającą w Missouri „w atmosferze seksualnego tabu charakterystycznego dla Południa", która stała się wizjonerką głoszącą seksualną równość kobiet. Z kolei Masters to według dziennikarzy prostolinijny lekarz, podobny nieco do genialnego Roberta Younga, grającego starszego lekarza w telewizyjnym serialu *Marcus Welby, MD*. Seks w małżeństwie, pisano, to niezbędny balsam dla niespokojnej duszy narodu. „Najlepszą formą edukacji seksualnej – powiedział Masters – jest tatuś, który podchodzi do mamusi w kuchni i klepie ją po tyłku ku jej wyraźniej uciesze. Dzieci patrzą na to i myślą, że to fajne".

Na początku lat siedemdziesiątych Masters i Johnson utracili status jedynych badaczy seksu. W Ameryce pojawiła się rzesza doradców w sprawach łóżkowych. Księgarskie półki uginały się od takich bestsellerów jak *Wszystko co chcielibyście wiedzieć o seksie, ale zawsze obawialiście się o to pytać* doktora Davida Reubena, który zainspirował Woddy'ego Allena, feministyczna polemika Kate Millett (*Sexual Politics*),

a także *The Sensuous Woman*, poradnik anonimowego autora podpisującego się inicjałem „J". Praca Mastersa i Johnson stała się źródłem imitacji i ciągłych porównań. Dwie tanie książki o tytułach *The Experiment* oraz *Venus Examined* wykorzystywały ich wizerunek do snucia podniecających opowieści z kliniki, niczym przemyconych z gułagu. Książka *The Couple: A Sexual Profile by Mr. And Mrs. K* napisana przez dwóch ukrywających się pod pseudonimem pisarzy płci męskiej, miała przedstawiać prawdziwe doświadczenia pary, która spędziła dwa tygodnie w klinice w St. Louis w latach siedemdziesiątych. W swej opowieści o małżeńskim odkupieniu mężczyzna o imieniu Harold („Osiągnąłem stan, w którym normalny seks z bliską mi osobą za każdym razem stanowił źródło frustracji") i jego żona, Joan, dziękowali za uratowanie ich związku. Joan, przedstawiona jako przeciętna Amerykanka, opisywała, jak terapia skupienia na zmysłach dała jej orgazm. „Nigdy wcześniej nie doświadczyłam prawdziwego seksu i prawdziwej miłości we dwoje – rzekomo wyznawała Joan. – Uwierzcie mi, to wspaniałe przeżycie".

W przeciwieństwie do poprzedniej publikacji, druga książka Mastersa i Johnson cieszyła się sporym zainteresowaniem życzliwie nastawionych dziennikarzy. Doświadczeni reporterzy nazywali *Niedobór seksualny człowieka* kamieniem milowym, a jego twórców uznawali za geniuszy. Recenzent „New York Timesa", doktor Allan Guttmacher, nazwał książkę „niezwykłą" i „fenomenalną", a „Newsweek" chwalił ich nową, „rewolucyjną" terapię. Niektóre czasopisma kobiece, które kiedyś krytykowały niestosowność badań Mastersa i Johnson, teraz korzystały z ich popularności. „Aż osiemdziesiąt procent par skarżących się na problemy we współżyciu po zgłoszeniu się do kliniki odczuwało poprawę", pisał „Ladies' Home Journal" do milionów swoich czytelniczek, nagle zainteresowanych lekturą o pochwicy i nieskonsumowanych małżeństwach – tekstów znajdujących się zaraz obok przepisów na ciasteczka owsiane i domową zupę.

Spora część liczącej sobie czterysta sześćdziesiąt siedem stron książki opisywała różne formy impotencji i dysfunkcji seksualnych, a także

przypisane do nich metody terapeutyczne. Wielu dziwiło się uporowi, z jakim autorzy twierdzili, że seks można uprawiać także w późnym wieku. Chociaż mężczyzna po pięćdziesiątce może czekać na erekcję kilka minut zamiast kilku sekund, może stać się lepszym kochankiem, dzięki większej kontroli nad wytryskiem – dowodzili. I mimo, że badania wykazały, że kobieta może cierpieć na zmniejszoną elastyczność pochwy, krótsze orgazmy i kurczenie się łechtaczki, ona także może kontynuować pożycie z mężczyzną nawet w wieku lat osiemdziesięciu. Korzystając z metod terapii zmysłowej Mastersa i Johnson, ludzie w podeszłym wieku mogli cieszyć się udanym współżyciem, o ile pozostawali zdrowi i posiadali „interesującego oraz zainteresowanego partnera". Pod koniec książki autorzy przedstawili statystyki swojego programu, wyszczególniające różne przypadki i wyniki terapii. Kolejny rozdział (*Porażki w leczeniu*) wyraźnie pokazał skomplikowane problemy niektórych pacjentów i ich nieszczęście. „Przez siedem lat poprzedzających zawarcie małżeństwa w wieku dwudziestu trzech lat pani B. żyła w kazirodczym związku z własnym ojcem, zapewne po to, by uchronić przed jego zapędami swoją młodszą siostrę – taki opis można znaleźć w tej części, napisanej głównie przez Johnson. – Trudno się dziwić, że nawet po ośmiu latach małżeństwa próby podjęcia współżycia z mężem są dla niej źródłem strachu, a nawet obrzydzenia".

W drugiej książce, o wiele bardziej niż w pierwszej, słychać głos Johnson – pewnej siebie, otwartej i dość refleksyjnie wypowiadającej się o kobiecych doświadczeniach z seksem. Chociaż przejęła po Mastersie język anatomiczny, pokazała też własną wizję metafizycznej unii, jaką mogą się cieszyć kochankowie. Niechętna do powtarzania seksualnych instrukcji pisanych przez mężczyzn, Johnson wolała pokazać współżycie w szerszym kontekście dojrzałego, trwałego związku. W rozdziale *Leczenie dysfunkcji szczytowania*, którego tytuł nie brzmiał szczególnie romantycznie, przemawiała bezpośrednio do niepewnej siebie, zamężnej kobiety. „Często pomaga zapewnienie małżonki, że po skonsumowaniu zawartego związku penis staje się jej

własnością, podobnie jak pochwa własnością męża – wyjaśniała. – Kiedy dochodzi do penetracji waginy, partnerzy muszą dosłownie oddać się sobie nawzajem, by doświadczyć przyjemności".

To, co Billowi i Gini udało się osiągnąć w ciągu kilkunastu lat – bez żadnego wsparcia ze strony państwa i zaledwie niewielkiego od środowiska akademickiego, a także niemal w pełnej tajemnicy – nie miało precedensu w kronikach medycyny. Zaproponowali terapię, która mogła wyleczyć chroniczne dysfunkcje seksualne i pomóc małżeństwom w potrzebie. W ich świecie „unia małżeńska" i „szansa na stosunek" stały się synonimami miłości. „Nagie fakty na temat seksu ubiera się w suchy, obiektywny język naukowy", zauważył „Newsweek". Dekadę po ukazaniu się ich drugiej książki „Times" stwierdził, że Masters i Johnson rozjaśnili obszar, który medycyna długo skrywała w cieniu, i stworzyli zupełnie nową terapię, dającą nadzieję milionom ludzi. Dla wciąż raczkującej dziedziny seksuologii publikacja *Niedoboru seksualnego człowieka* okazała się „wydarzeniem, które zmieniło oblicze medycyny, a z Mastersa i Johnson uczyniło guru terapii seksualnej".

Podczas trasy promocyjnej para badaczy po raz kolejny pojawiła się w bostońskim hotelu Ritz-Carlton na trzy dni konferencji prasowych. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat Masters wyznał, że ma nadzieję pracować jeszcze dekadę, żeby dokończyć swoje badania nad homoseksualnością i rozwinąć program szkoleń z profilaktyki dysfunkcji seksualnych. „Moim zdaniem miałem dużo szczęścia i przez wiele lat odnosiłem sukcesy w dziedzinie, którą ogromnie lubię; zwłaszcza na obszarach, gdzie dokonaliśmy niezwykłych odkryć – powiedział w nieczęstej chwili publicznej refleksji. – Ale najwspanialszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła, jest współpraca z Gini Johnson".

Promując drugą książkę, Virginia powiedziała więcej o sobie i swoich niezależnych poglądach. Czasami zwyczajnie pokazywała kobiecą perspektywę tego, co akurat wyjaśniał Masters. Innym razem

przedstawiała własną interpretację rezultatów nowych metod terapeutycznych, a także okazywała swoją pogardę dla psychoanalizy Freuda. „Wielu psychoterapeutów leczy niedobory seksualne, opierając się na przesądach, błędnych pojęciach, a czasem zwyczajnym zgadywaniu", powiedziała w rozmowie z „Newsweekiem", bardzo wyraźnie atakując uczniów Freuda. Chociaż niektórym nie podobała się opłata dwóch i pół tysiąca dolarów za dwutygodniowy program, zasugerowała, że cena ta „może okazać się znacznie niższa od kosztów długoletniej psychoterapii". Zwróciła też uwagę, że jednoczesna współpraca z terapeutami obu płci jest znacznie efektywniejsza od tej z jednym. „Jestem zagorzałą przeciwniczką Freuda – przyznała później. – Jego psychoanaliza to stek bzdur. Idiotyczny stek bzdur".

Niektórzy krytycy nie mogli znieść, że atakuje ich kobieta bez wykształcenia, ciągle nazywana „psychologiem", choć nie posiadała takiego tytułu. „Książka od początku do końca stanowi ogromne uproszczenie" – stwierdził psychiatra z Denver, Warren J. Gadpaille. „Naiwna akceptacja tych naiwnych konceptów przyczyni się do cofnięcia rozwoju naszej wiedzy o zachowaniu człowieka o pięćdziesiąt lat". Już pierwsza książka Mastersa i Johnson przeczyła teoriom Freuda na temat kobiecej seksualności, udowadniając jego uczniom popełnianie błędów. Z kolei druga groziła całkowitym skompromitowaniem psychoanalizy i długoletnich sesji na kozetce, proponując szybką terapię problemów seksualnych. „Uparte negowanie i pomniejszanie wartości tradycyjnej psychoterapii i innych form leczenia dysfunkcji seksualnych uwłacza godności autorów", powiedział Leonard Gallant, profesor psychiatrii na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Gallanta szczególnie zmartwiła polityka zachęcania męża i żony do opowiadania sobie nawzajem o doświadczeniach seksualnych z przeszłości. „Czasami takie wyznanie może pomóc – stwierdził Gallant – a czasami jest równoznaczne z emocjonalnym gwałtem". Krytycy kwestionowali również kompetencje Mastersa i Johnson do oceny podświadomych psychoseksualnych problemów (ich zdaniem leczenie wykorzystujące na przykład metodę „zaciskania" pochodziło

od prostytutek), a także zwrócili uwagę, że wyniki terapii nie mogą zostać uznane za ważne, dopóki badań nie powtórzą inni naukowcy. Mimo wszystko zwierzenia usatysfakcjonowanych par podkreślały efektywność zastosowanych metod. Jak później zauważyła Jane E. Brody w „New York Timesie": „Dla tych, którzy spędzili kilka lat na psychoterapii bez powodzenia, tak szybkie i pozornie trwałe pozytywne rezultaty przypominały magię".

Teraz, kiedy cieszyli się w Ameryce taką sławą, Bill wciąż był wdzięczny Gini Johnson za znalezienie praktycznych odpowiedzi na pytania, które dawno temu zadał w laboratorium, a także za pomoc w zdobyciu uznania, którego tak pragnął. Z pewnością mógł znaleźć inną kobietę na stanowisko asystentki, która również uśmiechałaby się, udając partnerkę o równym statusie. Przy publikacji *Niedoboru seksualnego człowieka* Gini ostatecznie zdobyła zasłużoną, równorzędną pozycję. Bill miał wizję, która pozwoliła mu zidentyfikować wiele aspektów ludzkiej seksualności, ale to Gini pomogła je zebrać w całość. Największa oznaka podniesienia statusu Virginii – równości w ich partnerstwie – była jednocześnie najsubtelniejsza. Na okładce pierwszej publikacji Bill podpisał się jako William H. Masters, M.D., na drugiej zaś pominął skrót swojego tytułu. Ta niewielka zmiana odzwierciedlała zmieniającą się naturę ich związku. „Kiedy zrezygnował ze swojego tytułu na okładce, stali się równoprawnymi partnerami – wyjaśnił ich przyjaciel, doktor Mike Freiman. – Zrobili to, żeby ich praca wydawała się bardziej wiarygodna. On obniżył swój status, żeby podnieść jej. Taki był warunek ich dalszej współpracy".

Bez względu na powody, do czasu publikacji drugiej książki Virginia Johnson była gotowa na wiele zmian – zarówno w ich życiu zawodowym, jak i prywatnym. W artykule z „Timesa" dało się wyczuć między wierszami atmosferę nerwowości. Siedem dni roboczych w tygodniu, w tym długie sesje w nocy – nie pozostawiało zbyt wiele czasu na życie osobiste. „Całe jego życie ograniczało się do

laboratorium", powiedziała Virginia dziennikarzom. Powoli zdawała sobie sprawę z tego, że jej życie także.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Zapach miłości

Dlaczego pewne żywe kolory wywołują przyjemność, nie można, jak się domyślam, wyjaśnić, podobnie jak nie wiadomo, dlaczego niektóre smaki i zapachy do siebie pasują; jednakże przyzwyczajenie ma coś wspólnego z rezultatem, ponieważ to, co z początku jest przykre naszym zmysłom, ostatecznie staje się przyjemne, a my nabywamy nawyków.
Karol Darwin, „The Descent of Man and Selection in Relation to Sex"

Jeśli robią to ptaszki i pszczółki, jak wierzyli Bill Masters i Gini Johnson, ludzie z pewnością również polegają na zapachu przy wyborze partnera seksualnego. Zmysł ten musi grać ukrytą rolę w łączeniu ludzi w pary, wychwytując słodkie i piżmowe wonie, które pobudzają i zwiastują miłość.

Niedobór seksualny człowieka podkreślał „ogromny, niedoceniany potencjał" woni we współżyciu. Feromony – zapachy, które wywołują naturalną reakcję seksualną – pozostawały niezbadanym obszarem nauki. W związku z tym przemysł żywieniowy i perfumeryjny, szukając metod wykorzystania feromonów do pomnażania zysków, zgłosił się do Fundacji na rzecz Badań nad Biologią Reprodukcji. Podczas gdy państwo odmawiało finansowania badań, prywatne firmy postanowiły wesprzeć naukowców pragnących przyjrzeć się temu brakującemu ogniwu przyciągania seksualnego. W klinice endokrynolog John Bauman prowadził doświadczenia na zapachach kobiecych dzięki grantowi przyznanemu przez Centrum Zmysłów Chemicznych Monella, organizację non profit z siedzibą w Filadelfii, finansowaną przez przemysł żywieniowy, perfumeryjny i farmaceutyczny. „Chcieli

stworzyć perfumy, które miałyby w sobie feromony. Innymi słowy, pragnęli stymulować reakcję seksualną", wspominała Virginia.

W tej dziedzinie największym darczyńcą Billa i Gini była firma International Flavors & Fragrances Inc. i jej charyzmatyczny prezes, Henry G. Walter Jr., lepiej znany jako Hank. Jego wart wiele milionów dolarów konglomerat dostarczał zapachów i smaków dla szerokiej gamy produktów, od środka do polerowania mebli o zapachu cytrynowym po czekoladowe płatki śniadaniowe Cocoa Puffs. Jednak największy dochód IFF czerpał z takich perfumerii jak Revlon czy Estée Lauder. Dzięki ekstraktowi feromonów z brudnicy nieparki, gatunku ćmy, udało się zsyntetyzować seksualny wabik wykorzystywany w perfumach i wodach kolońskich. Hank poszukiwał nowego smaku bądź zapachu, który mógłby sprzedać. „W Chinach mają mieszanki kwiatowe, które usypiają ludzi – zauważył kiedyś. – Zapachy działają na ten sam obszar mózgu, co narkotyki. Może uda nam się stworzyć zapachowe ekwiwalenty valium bez jego efektów ubocznych". Swój biznes nazywał „przemysłem seksu i głodu".

W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat Hank Walter cieszył się dobrym zdrowiem, a do swojego biura po drugiej stronie Manhattanu potrafił dojechać rowerem z prędkością i zwinnością gońca. Włosy nosił gładko przyczesane, skórę miał zawsze opaloną, a na świat patrzył zza grubych okularów i z uśmiechem człowieka pewnego swojej wartości. Dziennikarz „Fortune" opisał go jako „jednego z najbardziej wyróżniających się prezesów, jakiego spotkałem… prostolinijny, zuchwały facet. Jego język jest bogaty w seksualne aluzje". W biurze unikał typowej szarej flaneli i zakładał niekonwencjonalne czerwone szelki, czasami ozdobione skunksami albo koniczynami. W czasie nużącego spotkania z maklerem giełdowym w eleganckim klubie w Londynie Hank zdjął koszulę i posmarował się balsamem zawierającym zapach wyprodukowany przez IFF. „Wydaje mi się, że ich obudziłem", powiedział później z błyskiem w oku. Pomagając przy zakładaniu Centrum Monella w 1968 roku, Hank teoretyzował na temat wydzielanych przez kobiety feromonów, których nie dało się łatwo

wyczuć. Chciał stworzyć zapachy, które „spotęgowałyby sygnał wysyłany przez feromony" albo „wyostrzyły zmysł zapachu". Bez większych trudności udało mu się zwerbować do badań Billa Mastersa. W ciągu paru lat wymienili na ten temat wiele listów, a od czasu do czasu pojawiał się w nich czek dla kliniki. Hank zasugerował kilka ważnych dróg rozwoju. „Jeśli uważasz ten pomysł za szalony albo któryś z pomysłów jest nie w porządku, proszę, powiedz", upominał Billa przy tworzeniu wielkiego planu.

Dotychczas ich największym sukcesem, w którym udział miał Hank, było wykorzystanie balsamów z zapachami IFF w terapii seksualnej. Przed wejściem do sypialni pary otrzymywały kosmetyki z komercyjnymi zapachami, określonymi przez IFF jako męskie bądź damskie. Cztery mieszanki – kwiatową, mchową, kwiatową/drzewną i „orientalną" – uznano za kobiece. Wśród męskich znalazły się: lawendowa, nowoczesna bursztynowa, słodka, cytrusowa i cytrusowo-drzewna/kwiatowa, a także ostra z balsamicznymi nutami. Jeśli któryś z zapachów nie odpowiadał parze, wybierali następny balsam lub też bezwonny. Ze stu przebadanych małżeństw wielu podobało się zmysłowe doświadczenie masażu i widok błyszczącego kosmetyku na nagiej skórze, co pozwalało im pokonać zahamowania związane z wydzielinami własnego ciała. Bez żadnych konkretnych konkluzji Bill i Gini zauważyli, że użycie balsamu to barometr trudności, jakie czekały parę w terapii. Z osiemnastu małżeństw, które odrzuciły balsamy jako „dziecinne, nieprzyzwoite, nieistotne albo nieskuteczne", ponad trzy czwarte nie zdołało wyleczyć się ze swoich problemów w tracie dwutygodniowej terapii. W *Niedoborze seksualnym człowieka* badacze zasugerowali bardziej szczegółowe badania roli zapachu w reakcji seksualnej, przekonani, że udało im się wpaść na dobry trop.

Chociaż Hankowi podobało się wsparcie, jakiego jego firma udzielała klinice leczącej dysfunkcje seksualne, naciskał na stworzenie komercyjnych produktów. Pisząc do Billa, snuł wizję badań nad feromonami, które doprowadziłyby do wyprodukowania „zapachu przyjemności", jakim można by spryskać miliony ludzi. Czyżby znaleźli

się u progu wynalezienia afrodyzjaku dla znużonych kochanków, fontanny młodości dla starych i obolałych, środka zdolnego wykryć owulację w sposób, przeciw któremu nawet Watykan nie mógłby wystąpić? Gdyby udało im się odkryć feromon, który „wskazuje datę owulacji w każdym cyklu", kobiety mogłyby go wykorzystywać jako naturalny system wczesnego ostrzegania, umożliwiający „stosowanie antykoncepcji poprzez unikanie stosunków przez relatywnie krótki okres płodności". Niewątpliwie możliwości rysujące się dzięki wytworzeniu takiego naturalnego środka antykoncepcyjnego były warte okazjonalnych wpłat od IFF, rzędu pięciu czy dziesięciu tysięcy dolarów odliczanych od podatków. Inteligentny darczyńca taki jak Hank, z nutką zapachu pieniędzy z pewnością nie do pogardzenia, przemawiał do naukowej ciekawości Billa. „Jak najlepiej pchnąć do przodu cały ten obszar badań? – pytał Masters. – Cele są ambitne, a metodologia nie niesie za sobą ryzyka ingerencji w funkcje ciała, jak w przypadku pigułki, ani nie sprzeciwia się przykazaniom religii. Finalny produkt powinien być też bardzo tani".

Bill bardzo cenił sobie wsparcie finansowe ze strony IFF, natomiast Gini coraz mocniej interesowała się samym Hankiem Walterem. Po publikacji *Współżycia seksualnego człowieka* w 1966 roku pracownicy Hanka skontaktowali się z Billem i Gini „w celu wstępnego zapoznania się – wyjaśniła później Virginia. – Chcieli się dowiedzieć, czy istnieje jakieś powiązanie między ich i naszym projektem". Z pomocą Hanka Gini udało się rozwinąć pomysł wcierania balsamu w ciało jako „medium wymiany" między kochankami w czasie terapii zmysłowej. Czasami brzmiała jak kolejna konsultantka Avonu, z zaangażowaniem opowiadając o specjalnym produkcie Hanka. „Gini badała wpływ zapachu na przebieg terapii zmysłowej – powiedział doktor Marshall Shearer, jeden z pracowników kliniki z początku lat siedemdziesiątych. – Poświęcała piętnaście minut na rozmowę o zapachach, a potem kolejny kwadrans na wypytywanie par, które mieszanki podobają się im najbardziej".

Podobnie jak Noah Weinstein, Hank był starszym, ale jurnym człowiekiem sukcesu, który poświęcał Gini mnóstwo uwagi i uwielbiał jej towarzystwo. Przystojniejszy i bogatszy od sędziego, obiecywał wyruszyć w dowolny zakątek świata, byle towarzyszyła mu Virginia. Niestety miał też żonę. Początkowo jego stan cywilny nie pozwalał jej na zaangażowanie się, jednak ostatecznie to Hank zaczął towarzyszyć Virginii na rodzinnych wakacjach, na przykład w trakcie wycieczki na rancho, gdzie ich romans rozkwitł i zaowocował decyzją o byciu razem. „Gdzie nie pojechałam, on zawsze mi towarzyszył, i przez to znajomość się rozwinęła – wyjaśniła Gini. – Stwierdził, że rozwód będzie go kosztował kilka milionów dolarów, ale weźmie go, bo chce mieć mnie przy sobie cały czas".

Mimo sławy i rosnącego po premierze *Niedoboru seksualnego człowieka* bogactwa, Gini nigdy wcześniej nie czuła się tak bezradna, jak w obliczu tej jakże kuszącej propozycji. Hank ze swoim wytwornym urokiem, oddaniem i atrakcyjnością seksualną oferował jej miłość i ucieczkę. Po dwunastu męczących latach Virginia pragnęła zrezygnować z partnerstwa z Billem i porzucić niekończące się badania. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak wiele dał jej Masters i jak ogromną satysfakcję przyniosła jej akceptacja akceptacja w świecie medycyny stworzonych przez nią teorii. Jednak prywatny związek z Billem, mimo fizycznej i zawodowej intymności, nie miał w sobie nic z prawdziwego uczucia. Nauczyła się z nim współżyć, z początku w ramach obowiązku, ale później w celu zaspokojenia własnych potrzeb niezamężnej, czterdziestoletniej kobiety z dwójką dzieci. Nauczyła się radzić sobie z jego humorami i spełniać niemal wszystkie jego wymagania. Kiedy jednak osiągnęli swoje cele – pojawili się w telewizji, prasie i na okładce „Timesa" – chciała odejść i uwolnić się od niego. „Zapewne nigdy go nie kochałam – wspominała po latach. – Łączyło nas prawdziwe oddanie współżyciu seksualnemu i zapewne to trzymało nas razem".

Pomijając życiowe komplikacje, ślub z Hankiem mógł się okazać rozwiązaniem, jakiego jej rodzina potrzebowała. W głębi duszy Gini

żałowała czasu spędzonego z dala od dzieci, gdy te dorastały. „To niesamowite, jak długo przebywała w laboratorium – napisał później Bill. – Siedem dni i trzy noce w tygodniu aktywnie pracowała albo była pod telefonem. Oprócz tego miała dwójkę małych dzieci w domu, za które była odpowiedzialna. Do dziś nie wiem, jak udało jej się to pogodzić". Scott i Lisa zostawali pod opieką kolejnych gospodyń i opiekunek. Teraz, kiedy stali się nastolatkami, Virginia miała nadzieję nadrobić stracony czas. W tym nowym życiu z Hankiem mogłaby raz jeszcze zmienić nazwisko, żeby nikt już nie zakłócał spokoju jej rodziny.

Z czasem jednak ich romans się skomplikował. Podczas podróży służbowej do Nowego Jorku Hank zaprosił Billa i Gini do przestronnego apartamentu na Manhattanie, gdzie mieszkał z żoną, Rosalind. W czasie drugiej wojny światowej Rosalind pracowała przy budowie samolotów na Long Island i prawdopodobnie to ona zainspirowała autora piosenki *Rosie the Riveter*, sławiącej kobiety w fabrykach.

„Roz to wspaniała kobieta, a ja i Bill byliśmy z Hankiem dobrymi przyjaciółmi – wyjaśniła Gini. – Dość często pojawialiśmy się w ich domu". Ani Bill, ani Roz najwyraźniej nie podejrzewali Virginii i Hanka o romans. „Nie domyśliła się, ponieważ często mi się zwierzała – wyjaśniła po latach Gini, która czuła się nieco niekomfortowo, słuchając żony Hanka opowiadającej jej o swoim małżeństwie, podobnie jak kiedyś Libby. – Znalazłam się w dziwnej sytuacji. Hank był zauroczony Roz, a ja bardzo ją lubiłam… Ale strasznie do siebie nie pasowali. Niczego nie mogłam jej poradzić. Nie mogłam naprawić ich małżeństwa. Nie mogłam sprawić, by zmieniła się tak, jak on by sobie tego życzył, i *vice versa*". Kiedy po latach Rosalind Walter została zapytana o plany Gini wobec jej męża, udzieliła szczerej odpowiedzi. „To miało sens – stwierdziła. – Mogła dołączyć do klubu; mnóstwo kobiet podziwiało Hanka". Po chwili namysłu wyraziła jednak swoją konsternację wobec tego rodzaju oświadczeń, sugerując, że to niczyja sprawa; faktycznie niczego nie podejrzewała. „Mój mąż to niezwykle inteligentny i ciekawy człowiek – powiedziała. – Zainteresował się ich projektem z powodu swoich interesów w IFF. Pisał do nich i przeczytał

wszystko, co opublikowali, a także ich odwiedził. Poza tym o niczym nie wiem".

W St. Louis większość pracowników kliniki nie miała pojęcia o romansie Gini z jednym z ich najbogatszych ofiarodawców. Choć nie był to pierwszy sekret związany z tym projektem, ten znało najmniej osób. Gini zakładała, że doktor Robert Kolodny może się czegoś domyślać, ponieważ sam miał często do czynienia z Hankiem, a jednak zwierzyła mu się dopiero po latach. „Gini kiedyś powiedziała mi, że go uwiodła – wyjaśnił Bob Kolodny. – Myślę, że w pewnym sensie to właśnie sugerowała. Mimo to szczerze wątpię, by Hank mógł rozwieść się z żoną". Chociaż niewiele ich łączyło, Kolodny lubił Hanka Waltera, który nosił się z pewnością siebie człowieka sukcesu i uważał za casanovę. „W trakcie kilku wspólnych obiadów zakrapianych winem nieco się przechwalał, opowiadając o swoich eskapadach po świecie – powiedział Kolodny. – Bardzo wyraźnie dał mi do zrozumienia, że jego zdaniem mógłby uwieść dowolną kobietę. I zdawał sobie sprawę, że przynajmniej częściowo powodem było jego bogactwo".

Bill wciąż niczego się nie domyślał, aż do czasu, kiedy Hank po raz kolejny zjawił się w St. Louis. Zazwyczaj w trakcie tych wizyt Masters, i czasem Kolodny, wspólnie z Gini zabierali swojego gościa z Nowego Jorku na obiad do lokalnej restauracji. Tamtego wieczoru jednak Gini zostawiła dzieci pod opieką gospodyni, by spotkać się z Hankiem sam na sam. Spędzili razem wspaniałą noc, śmiejąc się i rozmawiając o marzeniach o wspólnym podróżowaniu. W takich chwilach przypominała sobie, jak bardzo lubi jego towarzystwo. Kiedy wreszcie wróciła do domu, dowiedziała się, że Bill wydzwaniał do niej cały wieczór. „Weszłam do domu, a gospodyni pokazała mi całą wypiskę z godzinami telefonów Billa: jedenasta trzydzieści, dwunasta czterdzieści pięć, pierwsza pięćdziesiąt – opowiadała Gini. – Nie było mnie wtedy w domu, a Bill wiedział, że Hank przyjechał do miasta, więc połączył fakty. Nie był głupim człowiekiem. Wyczuł pismo nosem i przystąpił do ataku".

Następnego dnia w klinice Bill zapytał ją wprost o Hanka. Nigdy wcześniej nie widziała go tak zdenerwowanego. Na jego twarzy malowała się nie tyle wściekłość, co zmartwienie; wydawał się zupełnie zagubiony. „Bill naprawdę się przestraszył, że wyjdę za Hanka – powiedziała po latach. – Zamurowało go".

Nie miała najmniejszego zamiaru ukrywać prawdy na temat swojego romansu. Jeśli ogarniały ją jakieś wątpliwości względem ślubu z Hankiem, dała tego po sobie poznać. W tamtej chwili Bill nie zasługiwał na żadne dodatkowe informacje poza tymi, które mu przekazała. Nie zamierzała dać się zmanipulować albo przekonać do rezygnacji z czegoś, co miało dać szczęście jej i dzieciom. Od lat wiedział, że chciałaby znowu wyjść za mąż. Zachowanie Billa sugerowało, że jego zdaniem Virginia nie miała zamiaru podejmować żadnych kroków, dopóki ich praca pozostawała absorbująca, że łączące ich relacje przynosiły jej satysfakcję i nikt o nich nie wiedział. Libby pozostawała w domu z dziećmi, a wspólny projekt przynosił im sławę i bogactwo.

– Jeśli odejdziesz, wszystko zniszczysz! – upierał się Bill.

Wyglądał na człowieka, który jest o krok od utraty całego dorobku.

Po raz pierwszy w życiu nie był pewien, co zrobi Gini. Wiedział, że Hank jest w stanie dać jej praktycznie wszystko, czego sobie zażyczy. Być może poczuł się zazdrosny, nagle zdając sobie sprawę, że „idealna kobieta", którą sobie stworzył i podniósł do swojego poziomu, właśnie miała go opuścić. Nie zamierzał stać z boku i patrzeć, jak ich relacja się sypie. Przekonany, że grozi im prawdziwe niebezpieczeństwo, postanowił podjąć radykalne kroki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Zdrada

Kiedy szesnastoletni Howie Masters wrócił do domu ze szkoły, zobaczył zapłakaną matkę. Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie. Błagał ją, żeby wyjaśniła, co się stało.

Libby Masters spojrzała smutno na syna zaczerwienionymi oczami.

– Rozwodzimy się – wyznała. – Twój ojciec się wyprowadził.

Howie rozejrzał się i zauważył niepokojące zmiany w dotychczas uporządkowanej przestrzeni domu. Zniknęły wszystkie rzeczy jego ojca. „Zniknął razem ze swoim dobytkiem", wspomina Howie.

Dotychczas życie młodego Williama Howella Mastersa III wydawało się idealne. Howie chodził do prestiżowej szkoły Country Day School w St. Louis, gdzie wśród jego przyjaciół znalazł się także syn Gini, Scott. Upatrzył sobie Hamilton College, dawną uczelnię ojca, ale nie miał w sobie tyle gniewu, który napędzał Billa w tym samym wieku. Howie był życzliwy, uprzejmy i taktowny; temperamentem bardziej przypominał Libby. A jednak widok zdenerwowanej matki i zniszczenie ich dotychczas szczęśliwego życia doprowadziło go do szału. Zażądał kategorycznie, by matka wskazała mu miejsce pobytu ojca. W końcu wspomniała adres małego mieszkania.

„Pamiętam, że wskoczyłem do samochodu i pojechałem do centrum, wpadłem do jego apartamentu, kazałem mu usiąść i porządnie go zrugałem", wspominał Howie.

Przez dłuższą chwilę Bill Masters słuchał wzburzonego syna. Odczekał odpowiednio długą chwilę, wysłuchując uprzejmie kazania, by wreszcie odpowiedzieć. Bill zachował spokój i mówił beznamiętnie, jakby właśnie prowadził sesję psychoterapii z obcym nastolatkiem, a nie rozmowę z własnym synem. Najpierw wyłożył mu trudną prawdę. Jak przypomina sobie Howie, „oznajmił mi, że jego związek z matką się zakończył. Bez względu na to, czy się odkochał, czy zakochał na nowo, bez względu na powody, ten związek to przeszłość i nic nie można na to poradzić".

Bill ani razu nie wspomniał o Gini Johnson. Zamiast tego bardzo ostrożnie wytłumaczył swojemu nastoletniemu synowi, jak dwoje dorosłych ludzi może z czasem odsunąć się od siebie. Mówił spokojnie i z namysłem. „Jego słowa były szczere i zupełnie sensowne – wspominał Howie. – Nie oszczędzał mnie. Nie należał do osób, które mogłyby mnie okłamać, powiedzieć półprawdę albo coś, co chciałem usłyszeć, by się lepiej poczuć". Bill poinformował swojego syna, że rozważał ten krok od lat. Nie winił ani nie atakował Libby. Traktował Howiego jak młodego mężczyznę, z szacunkiem i bez wywyższania się. Przekonał go, a może nawet zmanipulował, by chłopak uwierzył, że cisza panująca w ich domu wynikała częściowo z braku komunikacji między małżonkami.

Kariera Billa wymagała pełnego zaangażowania, więc często nie było go w domu. Jego nieobecność sprawiała, że każde pojawienie się i słowo stawały się dla Howiego wyjątkowo istotne. Chłopak bardzo chciał wierzyć ojcu, zwłaszcza w tak przykrym momencie, gdy ważyły się losy ich rodziny. Po latach opowiedział o tej zimnej konfrontacji z innej perspektywy. „Tak naprawdę byłem mu za to wdzięczny, ponieważ potrafił uspokoić wściekłego i zagubionego nastolatka, który zobaczył płaczącą matkę – wyjaśnił. – Musiałem wrócić do domu i wszystko naprawić. Zmieniło się moje życie i moja rola w rodzinie. Co poczułby dzieciak, który wraca do domu i odkrywa, że właśnie posypało mu się wszystko, co do tej pory znał? To nie jest łatwa sprawa. Czułem, że potrzebuję wyjaśnienia i je dostałem".

Elizabeth Masters w głębi serca wiedziała, że Bill ją zdradza. Przez lata boleśnie zdawała sobie sprawę z zuchwałości jego badań seksuologicznych, pędu do sławy i uznania przez światek medycyny, a w szczególności z długich nocy spędzanych w pracy i bliskiej relacji z Virginią Johnson. Zauważyła wystarczająco dużo sygnałów, by nie chcieć wiedzieć więcej, jakby chciała zachować niewinny obraz Billa. „Po prostu bardzo go kochała i szanowała", wyjaśniła Dodie Brodhead, żona członka zarządu fundacji. Być może Libby miała nadzieję, że jej mąż oprzytomnieje; że wraz z końcem badań Gini Johnson przestanie być potrzebna i wróci codzienność z czasów, gdy pracował jako położnik i ginekolog na uniwersytecie. „Zachowywała się, jakby Bill przechodził tylko trudny okres i wszystko miało minąć – zauważyła Judith Seifer, terapeutka i przyjaciółka, która później pomogła Billowi przygotować dzienniki. – I dlatego udawała, że nic się nie dzieje". Niekończąca się praca Billa szkodziła ich małżeństwu, nie pozwalając im na prawdziwe życie rodzinne. „Od stycznia 1954 roku, kiedy otworzyłem klinikę, aż do grudnia 1971 roku pracowałem nieustannie, siedem dni w tygodniu", wyznał Bill. W swoim dzienniku rozwód po dwudziestu dziewięciu latach małżeństwa opisał bardzo chłodno: „Ostatecznie musieliśmy stawić czoła faktom – nasze małżeństwo praktycznie nie istniało".

Swoje życie Libby poświęciła więc dzieciom, przyjaciołom i sąsiadom. „Zawsze dawała z siebie wszystko w opiece nad nami, ale po rozwodzie szczególnie – wspomina Howie. – Żyła tylko dla nas". Żeby nie zakłócać spokoju tego małego wszechświata, pracowała bardzo ciężko, by utrzymać rodzinę w jednym kawałku. Opiekowała się matką Billa, Estabrooks Masters, aż do jej śmierci w latach sześćdziesiątych. Zachęcała męża, by nie rezygnował z kontaktu z młodszym bratem, Frankiem, chirurgiem plastycznym, który mieszkał w Kansas City. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat Libby pozostawała szczupła i energiczna, chociaż jej cienkie włosy posiwiały. Stawała się też coraz bardziej chłodna. Była wierna Kościołowi Episkopalnemu, dzięki czemu jej dzieci przyjęły bierzmowanie, chociaż Bill nie zachęcał ich do

chodzenia na msze. „W najlepszym okresie istnienia naszej małej rodzinki ojciec wolał, żebyśmy w niedziele chodzili na kręgle – opowiadał Howie, który wybierał się tam razem z siostrą. – Uważaliśmy to za bunt, bo na przedmieściach St. Louis wszyscy w niedziele pojawiali się w kościele, a my w kręgielni". Chociaż Libby bardzo starała się wychodzić naprzeciw potrzebom męża, być może nie czuła się godną rywalką Gini Johnson – kobiety młodszej, bardziej energicznej i niezbędnej do realizacji ambicji Billa. A jednak nie potrafiła znienawidzić Gini, choćby nie wiadomo jak niekomfortowo czuła się w jej obecności. „Gini i Betty były przyjaciółkami – wspominała Peggy Shepley, druga żona Ethana Shepleya Jr., szefa fundacji. – To najgorsze w całej tej sytuacji. Nie mogę sobie wyobrazić przyjaźni z pierwszą żoną męża. Zazwyczaj pierwszej i drugiej żony nie łączą żadne ciepłe relacje. A jednak Betty i Gini zostały przyjaciółkami". Najwyraźniej Elizabeth Masters intuicyjnie rozumiała, że dzielą się z Gini Billem, który ukształtował życie ich obu i zawsze już miał mieć na nie wpływ. „Dobrze ją znałam i w pewnym sensie się lubiłyśmy – powiedziała Gini po latach. – Myślę, że z przyjemnością spiskowałybyśmy przeciwko niemu, ale jej chyba brakowało do tego charakteru".

Ci, którzy wiedzieli o ciągnącym się latami romansie Billa i Gini, zastanawiali się, jak zareaguje Libby. „Nigdy nie rozumiałem, dlaczego od niej odszedł – przyznał Bob Kolodny. – Nie miało to dla mnie sensu. Czegoś im brakowało w małżeństwie? Czy Bill czuł się w jakiś sposób wykorzystywany? Nigdy nie słyszałem, żeby ją krytykował". W pracy Kolodny wyczuwał, że Gini zazdrościła Mastersom stabilnego i dostatniego życia, jakim cieszyli się na przedmieściach St. Louis. „Z pewnością w jakiś sposób czuła zawiść wobec kogoś wiodącego bezpieczny żywot w małżeństwie, w eleganckim domu, gdzie wszystko wydawało się idealne – powiedział. – Gini znajdowała się w zupełnie innym świecie niż Libby". Wielu wierzyło, że w emocjonalnym pojedynku z Gini Libby nie miała szans odzyskać wierności męża, bez względu na staż ich związku. „Nie jestem pewien, czy Betty Masters i Billa łączyła seksualna zażyłość, jakiej potrzebował i jaką być może

znalazł u Gini – stwierdził Torrey Foster, który w trakcie swojej kadencji członka zarządu nigdy nie ufał Gini. – Może chodziło o to, jak trzymał się niej, zamiast zostać z Betty. Gini miała w sobie dużo seksapilu, a Betty Masters była raczej szarą myszką".

Po kilku miesiącach od wyprowadzki Billa, w grudniu 1970 roku, rozwód wreszcie został orzeczony. Tymczasem przyjaciele Betty Masters stanęli po jej stronie. Wyrazili swój gniew z powodu zachowania Billa i bardzo głośno mówili o swojej pogardzie wobec Gini, choć wcześniej milczeli na ten temat. Do tego czasu wielu dowiedziało się o pobytach Gini w domu Mastersów, gdy Betty wyjeżdżała z dziećmi do Michigan. „Przyprowadzał Virginię do siebie, otwarcie spędzał z nią dni i noce. Naprawdę okrutnie postępował! – skomentowała Dodie Brodhead. – Betty to wspaniała kobieta, która nie spodziewała się niczego złego, bo kochała Billa i zakładała, że on odwzajemnia to uczucie. Ale Virginia została »tą drugą«, *cherchez la femme*, powoli wygryzła Betty i zajęła jej miejsce, doprowadzając ją do ruiny. Dzieci też źle to zniosły".

Mąż Dodie również poczuł, że jego przyjaźń została wykorzystana. John Brodhead jako lokalny biznesmen wiele ryzykował, dołączając do zarządu fundacji Billa, a zrobił to głównie ze względu na Betty. Znał ją jeszcze jako nastolatkę z czasów, kiedy ich rodziny spędzały razem wakacje w Michigan, a ona była „wspaniałą dziewczyną, bardzo towarzyską i energiczną". Podziwiał Betty za to, jak poradziła sobie ze śmiercią matki i porzuceniem przez ojca, wyrastając na „niezwykle opanowaną i silną osobę". Chociaż byli wdzięczni Billowi za wyleczenie ich z niepłodności, Brodheadowie czuli się urażeni jego bezdusznym potraktowaniem Betty i stanęli po jej stronie. Po sześciu latach członkostwa w zarządzie fundacji John zrezygnował ze swojej funkcji. Praktycznie wszyscy znali powód, ale nikt o niego nie zapytał. „Odszedłem z fundacji, kiedy Bill i Betty się rozeszli – powiedział. – Trudno było pozostać neutralnym. Gdyby doszło do dyskusji o tym, kto postąpił słusznie, zdecydowalibyśmy się poprzeć Betty".

Rodzina Mastersów i ich pozornie sielankowe życie w Ladue nigdy nie były już takie same. Po rozpadzie małżeństwa rodziców rok starsza od Howiego Sali Masters wyjechała do szkoły z internatem. Jej rodzice podjęli taką decyzję ze względu na nieprzyjemne telefony i komentarze ze strony społeczności na temat tego, co się działo w klinice jej ojca. „Nasze dzieci zostały wykluczone z towarzystwa", powiedział później Bill. Sali bardzo często musiała słyszeć, jak rodzice jej przyjaciół zakazywali im kontaktów z córką „tego maniaka seksualnego". Po latach Sali odmówiła rozmowy na temat swoich doświadczeń, ale Howie dobrze pamięta jej sytuację. „Została odesłana, jak zawsze powtarzał mój ojciec, ponieważ nie był pewien, co się stanie z jego pracą, a ona, jako młoda dziewczyna, mogłaby mieć do czynienia ze zbyt skomplikowaną sytuacją, gdyby została w domu. Internat miał jej tego oszczędzić", powiedział. Sali wróciła do domu i dowiedziała się, że ojciec odszedł na zawsze. Bill próbował załagodzić jej ból zwodniczymi stwierdzeniami na temat powodów swojego postępowania. Przynajmniej raz zaprzeczył udziałowi Gini w rozstaniu. „Nie zobaczycie, jak po rozwodzie uciekamy razem do Meksyku czy coś w tym guście – powiedział w rozmowie z „The Atlantic" w tym samym miesiącu, kiedy sfinalizowano sprawę w sądzie. – Ale zostawiam sobie prawo do podrywania tylu kobiet, nawet osiemnaście lat młodszych, na ile może sobie pozwolić nieco grubawy, łysy pięćdziesięcioczterolatek".

Libby przyjęła postawę obronną. Nigdy nie oskarżyła Gini o zniszczenie jej małżeństwa. „Nawet jeśli podejrzewała, że Gini była, powiedzmy, »intruzem«, nigdy nie powiedziała tego głośno. Jeśli była zazdrosna, nie dała tego odczuć – wspominał Howie. – Wytrzymałaby z moim ojcem znacznie dłużej, gdyby w końcu nie odszedł. Lojalność to jednocześnie jej największa siła i największa słabość".

Dom Mastersów w Ladue nigdy nie był tak cichy, jak podczas ostatniego roku Howiego w Country Day School. Libby starała się jakoś trzymać, ale fundamenty ich rodziny runęły. Howie nie chciał całkiem stracić kontaktu z ojcem, więc czasami przyjeżdżał do niego do miasta. Długo rozmawiali, ale nigdy nie poruszali tematu Virginii Johnson

i planów Billa. „Spotykaliśmy się przy obiedzie w jego nowym mieszkaniu i albo go rugałem, albo rozmawialiśmy o bieżących sprawach – opowiadał Howie. – Wkrótce po rozwodzie wyjechałem do college'u i zacząłem karierę. To jednak nie miało już nic wspólnego z St. Louis".

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Układ małżeński

Pewnego dnia podczas jednej z wizyt w Instytucie Kinseya Bill Masters szybkim krokiem przemierzał Uniwersytet w Indianie ze swoim starym przyjacielem, Paulem Gebhardem, rozprawiając o pracy i życiu prywatnym. Minęło już dziesięć lat, odkąd zostali sobie przedstawieni i Gebhard poczuł, że może już zadać pytanie o delikatną sprawę, która go interesowała. Czy żona Billa znała naturę jego relacji z Gini?

Bill nawet nie zwolnił.

– Moja żona? – odparł ani trochę nie zbity z tropu. – W naszym związku najpiękniejsza jest jej wyrozumiałość.

Gebhard, który widział, jak pozamałżeńskie stosunki wpłynęły na pracowników Alfreda Kinseya, zaśmiał się w odpowiedzi.

– Cóż, to wspaniałe, Bill – stwierdził swoim chropowatym głosem. – Prawdziwy z ciebie szczęściarz!

Przez kilka lat przed rozwodem Bill balansował między życiem w domu z Libby i dziećmi, a drugim z Gini, w pracy i po godzinach. Wiele jego założeń okazało się niesłusznych. „W pewnym momencie cieszył się, że żona akceptuje jego związek z Gini, ale okazało się to nieprawdą", wspominał Gebhard.

Bill w dalszym ciągu zachowywał pozory z Libby, zapraszając Gini na oficjalne okazje, grając rolę dobrotliwego pracodawcy, a nie sekretnego kobieciarza. „Częściowo mogła to być przemyślana strategia. Gdyby

trzymał Gini w ukryciu, poza terenem szpitala, jego żona mogłaby coś podejrzewać – wyjaśnił Bob Kolodny. – Wydaje mi się, że Bill miał w sobie dość pragmatyzmu, by uznać to za mądre posunięcie". Zanim doszło do rozwodu, Masters sprawiał wrażenie zadowolonego ze swojego podwójnego życia i podwójnych standardów moralnych. Nawet po zdobyciu sławy najwyraźniej nie śpieszył się do rozwiązania tej sytuacji. „Wszyscy wiedzieliśmy, co się dzieje – wspominał doktor Alfred Sherman. – W pewnym momencie przed rozwodem i małżeństwem z Virginią Bill zaburzył tę równowagę, praktycznie mieszkając z Gini".

Gini mieszkała w Ladue ze swoimi dziećmi niecałe dwa kilometry od domu Mastersów. Jej dom był wystarczająco duży i ustronny, z basenem na zewnątrz i spiralnymi schodami z kutego żelaza w środku, by mogli go odwiedzać celebryci. Niektóre noce Bill spędzał w pokoju na parterze, podczas gdy dzieci Gini, Scott i Lisa, które ledwo co wkroczyły w wiek nastoletni, spały na piętrze, blisko sypialni matki. „Z czasem Bill przestał być tylko okazjonalnym gościem z pokoju na dole – powiedział Kolodny, który zresztą później odkupił dom od Gini. – Wkrótce wprowadził się do niej". Pewnego razu, kiedy Bill i Gini wyjechali na wykłady, Bob i jego żona, Nancy, zaproponowali, że zostaną na noc i zaopiekują się dziećmi Virginii. Trochę naiwni młodzi państwo Kolodny odkryli rzeczy Billa rozproszone po całym domu. „Bill jeszcze się nie rozwiódł, a jego ubrania już wisiały w szafie w głównej sypialni, a w łazience stały jego przybory do golenia – wymieniał Robert. – Nie ma wątpliwości co do tego, że w późnych latach sześćdziesiątych mieszkali już razem".

Nic nie zagrażało podwójnemu życiu Billa, dopóki na horyzoncie nie pojawił się Hank Walter. Perspektywa ślubu Gini z biznesmenem robiącym międzynarodowe interesy, gotowym zabrać ją z prowincjonalnego świata St. Louis, sprowokowała Billa do podjęcia radykalnych kroków. Wydawał się bardziej zmartwiony przyszłością ich słynnego duetu niż zwyczajnie zazdrosny. Nigdy nie okazywał w obliczu rywala silnych emocji, charakterystycznych dla zakochanego

mężczyzny. Nawet w tak istotnym momencie ich związku brakowało w nim prawdziwej pasji. Mimo to był zdecydowany zrobić wszystko, by nie utracić Virginii, nawet jeśli musiałby zniszczyć własną rodzinę. „Wiedział, że w końcu wyjdę za kogoś innego, i właśnie wtedy podjął stanowcze kroki, by mocniej nas ze sobą związać – powiedziała Gini. – Nie zamierzał mnie oddawać. A ja nie zdawałam sobie sprawy, ile w tym wszystkim było manipulacji i jak sprytnie to wszystko obmyślił".

Nie wszyscy jednak wierzyli w wersję Gini. „To cudowna historyjka, która robi z niej absolutne niewiniątko, prawda? – ironizowała Dodie Brodhead. – Przyjechała do St. Louis bez męża i uważnie zaczęła się rozglądać, a chciała czegoś więcej, niż mogła dostać, więc pracowała ciężko, by to zdobyć". Ci z krytyków Gini, którzy należeli do grupy bogatych mieszkańców Ladue, sugerowali, że pragnęła małżeństwa z Billem, by poprawić swoją sytuację materialną rozwódki z dwójką dzieci. „Wydaje mi się, że zawsze chciała za niego wyjść – podsumował pierwszy prawnik fundacji, Torrey Foster. – Z początku traktowałem ich związek nieco naiwnie. Ale wyraźnie było widać, że miała go na oku". Nawet ci przyjaźnie nastawieni do Gini uważali, że namawiała Billa do rozwodu. „Moim zdaniem pod takim warunkiem godziła się na kontynuowa- nie współpracy, a on wiedział, że jeśli nie opuści Libby, ich duet się rozpadnie – powiedział Mike Freiman, którego zaskoczyła reakcja Libby. – Kiedy doszło do rozwodu, Betty nie próbowała mu tego utrudniać ani nie domagała się pieniędzy. Szanowała jego potrzebę ożenku z tą kobietą".

Bez wątpienia Gini miała duży wpływ na Billa, nawet jeśli czuła się wykorzystywana przez jego żądania, długie godziny pracy i brak życia towarzyskiego poza murami kliniki. Ci, którzy jej nie lubili, uważali, że dostała o wiele więcej, niż na to zasługiwała, i że przy każdej okazji nakłaniała Billa do umocnienia jej pozycji. Tego typu komentatorzy zawsze zakładali, że jako sekretarka i pazerna rozwódka pełniła mniej istotną funkcję niż doktor Masters. Jednak po wydaniu dwóch bestsellerów Gini mogła sobie pozwolić na odejście, by poświęcać więcej czasu swoim nastoletnim pociechom i ułożyć sobie życie

z mężczyzną, który wyznał jej miłość. Gdyby naprawdę tego chciała, mogłaby raz jeszcze zmienić nazwisko i pracę.

Po publikacji *Niedoboru seksualnego człowieka* Hank Walter naciskał Gini, by udzieliła mu ostatecznej odpowiedzi. Podobnie Bill Masters, który krótko po rozstaniu z Libby i wprowadzeniu się do spartańskiej kawalerki jasno dał Virginii do zrozumienia, że chce się z nią ożenić. Hank oświadczył się z miłości, zaś Bill wydawał się bardziej skupiony na swoich zobowiązaniach zawodowych i chęci kontynuowania lukratywnej współpracy. Ostatecznie decyzja Gini miała niewiele wspólnego z jej osobistymi pragnieniami. Instynktownie wyczuła, że Bill chce wygrać tę małą rywalizację i pozostać jej bogatym opiekunem. Podobnie jak ich obie książki, nigdy nie wspomniał o miłości.

„Nie obchodziło mnie kontynuowanie pracy – przyznała Gini. – Człowiek, za którego miałam wyjść, był ogromnie bogaty, ale chciał ode mnie dokładnie tego, co i Masters: nieustannego towarzyszenia mu w podróżach". Mimo kuszącej propozycji Hanka, Gini miała dosyć spędzania czasu w hotelach z dala od domu i obawiała się utraty resztek rodzicielskiej kontroli nad nastoletnimi już dziećmi. „W końcu powiedziałam mu, że nie mogę za niego wyjść, lamentując nad uporczywością, z jaką Masters chciał się ze mną ożenić – wspominała Virginia. – Wiedział, dlaczego nie wzięłam z nim ślubu, ale Masters nie". Bill nigdy więcej nie pytał o Hanka. Nie chciał wyjaśnienia, tylko zapewnienia, że ich układ jest bezpieczny.

Dwójka dzieci Billa cierpiała z powodu pewnych nieprzyjemności, jednak to Scott i Lisa Johnson byli o wiele bardziej podatni na to, co sąsiedzi szeptali na temat ich matki. Sława Gini stanowiła doskonałą pożywkę dla plotek. W „Ladies' Home Journal" Johnson wspomniała o swojej córce w ramach dłuższego wywodu na temat edukacji seksualnej. Miliony czytelników czasopisma przeczytały: „Pani Johnson, matka nastoletniej córki, chciałaby zapewnić matki i ojców, że unikając straszenia dzieci seksem, nie zachęcają ich do przygodnych stosunków z obcymi ludźmi". W Ladue nie doceniono tej lekcji. „Ludzie wydawali

się cenzurować ich pracę oraz życie prywatne, a z powodu prowadzonego przez Gini podwójnego życia patrzyli na nią bardzo nieufnie – wyjaśniła June Dobbs Butts, była pracownica kliniki, której Gini się zwierzała. – Billa wszyscy lubili w okresie, kiedy prowadził klinikę ginekologiczno-położniczą jako żonaty lekarz, należący do śmietanki towarzyskiej, więc ten nimb poważanego doktora pozwalał mu uniknąć negatywnego postrzegania. Ale w przypadku Gini było inaczej i jej dzieci doświadczyły poważnego społecznego ostracyzmu". Kolejna jej przyjaciółka, Peggy Shepley, zgodziła się, że „żyli pod presją i z pewnością nie było to łatwe. Dzieci Gini cierpiały najbardziej. Wściekały się na matkę, że w ogóle się zajęła badaniami, a ona potrzebowała pieniędzy".

Argument Billa, że jej odejście zniszczy ich wspólny dorobek, przyniósł zamierzony efekt, zwłaszcza że w grę wchodziły pieniądze. Sukces ich drugiej książki przyniósł nową falę publicznej aprobaty, wysokie tantiemy oraz utworzenie zupełnie nowej, lukratywnej dziedziny terapii seksualnej opartej na technikach zmysłowych opracowanych przez Gini. Słusznie była dumna ze współautorstwa drugiej książki, o wiele bardziej niż pierwszej. A pieniędzy, które teraz zarabiali, nie mogła zignorować nawet dumna kobieta ceniąca swoją wolność. Jako żona takiego bogacza jak Hank Walter nadal pozostawałaby zależna od mężczyzny. Tutaj zaś miała coś, na co sama zarobiła, zgodnie z prawem i bez kompromisów. Jeszcze wiele lat dzieliło ich od trzeciej książki, a Bill wspierał praktycznie wszystko, czego chciała Gini, o ile ich wspólne przedsięwzięcie pozostawało bezpieczne. „Nigdy nie pragnęłam z nim być, ale kiedy zarabiasz rocznie dwieście tysięcy dolarów albo więcej, nie odchodzisz – stwierdziła, zupełnie jakby stała się ofiarą własnego sukcesu. – A to była moja pensja, nikogo innego".

Gini w małżeństwie z Billem upatrywała też szansy na ponowną akceptację przez społeczeństwo. „Myślałam, że uda mi się odzyskać dawny status – przyznała. – Z naszą działalnością zawsze wiązał się ostracyzm. Miałam nadzieję, że małżeństwo załagodzi sytuację. To

jedyny sensowny powód, dla którego podjęłam tę decyzję: chciałam dać swoim dzieciom normalne życie towarzyskie". Być może Bill mógł pomóc jej znowu przejąć kontrolę nad rodziną w trakcie trudnego okresu dojrzewania dzieci. Stając się nową „panią Masters", mogła dać swoim pociechom stałą obecność mężczyzny w ich życiu, zamiast rzadkich odwiedzin muzyka George'a Johnsona, jej byłego męża. Małżeństwo z Billem Mastersem mogło też zakończyć spekulacje. „Ponieważ w tamtym okresie staliśmy się bardzo znani, pomyślałam, że dla dobra dzieci dobrze byłoby położyć kres wszystkim plotkom – wyjaśniła. – Wiedziałam, że nie chcę za niego wychodzić. Prowadziliśmy bardzo intensywne życie i z całych sił starałam się być dobrą matką. Już dawno przestałam myśleć o sobie".

7 stycznia 1971 roku Bill i Gini wzięli ślub w trakcie krótkiej ceremonii w domu przyjaciela w Fayetteville w stanie Arkansas. Przez lata poglądy Mastersa i Johnson na temat intymności człowieka pojawiały się na pierwszych stronach gazet i w programach telewizyjnych w Ameryce, więc ślub pary badaczy był nie lada wydarzeniem. Jednak Gini starała się w taki sposób zaplanować uroczystość, by nie wykorzystywać tak prywatnego przeżycia.

– Nie zamierzam brać ślubu na pierwszej stronie gazety – upierała się. – Mam tego dosyć.

Bill zgodził się bez oporów. Przypomniał jej o zaprzyjaźnionym ginekologu, który był też kapłanem unitariańskim w Fayeteville. Po kilku rozmowach telefonicznych zdecydowali się przejechać trzysta pięćdziesiąt mil na południe do Arkansas, żeby załatwić akt małżeństwa w lokalnym sądzie. Gini została w samochodzie, kiedy Bill wszedł do budynku, by dopełnić niezbędnych formalności. W środku zauważył go i bez problemów rozpoznał dziennikarz z San Francisco. Mężczyzna sprawdził akt małżeński i zadzwonił do swojego wydawcy z zaskakującą informacją. Wkrótce, jak wspominała Gini, „jednak wzięliśmy ślub na pierwszej stronie gazety z San Francisco".

Media amerykańskie uznały ich sakramentalne „tak” za szczęśliwe zakończenie sagi o Mastersie i Johnson. Chociaż niektórzy zauważyli, że to drugie małżeństwo Billa i trzecie Gini, ogólne przesłanie głosiło triumf miłości. Bill i w szczególności Gini grali przydzielone sobie role.

– Kiedy nie było go przy mnie, czułam niepokój. Wiedziałam, że czegoś mi brakuje – powiedziała wylewnie Gini dziennikarzowi z „Washington Post”. – Żałuję tylko, że czekaliśmy tak długo.

W St. Louis ich małżeństwo nie dziwiło, chociaż bliscy przyjaciele odrzucali proste wyjaśnienia. Wtłaczanie Gini w rolę kobiety niszczącej małżeństwo im nie pasowało, podobnie jak przypisywanie Billowi kryzysu wieku średniego. Za ich związkiem stała bardziej skomplikowana prawda. Kiedy nadszedł czas ślubu, nawet najzagorzalsi krytycy Virginii tacy jak Torrey Foster, nie zauważyli między nimi żadnej chemii. „Myślę, że było to małżeństwo z rozsądku – orzekł Foster. – Nie wydaje mi się, by łączyła ich intymna, małżeńska relacja. Chodziło raczej o podpisanie kontraktu”.

W klinice Gini już wcześniej udało się zdobyć równouprawnienie na papierze, ale małżeństwo z Billem rozwiało wszelkie wątpliwości. Choć kiedyś nie mówiła zbyt wiele na spotkaniach zarządu albo powtarzała komentarze Billa, teraz zaczęła swobodnie wyrażać własne poglądy. „Moim zdaniem nabrała pewności siebie. Jakby mogła być bardziej otwarta i więcej działać”, wspominała Lynn Strenkofsky, zajmująca się umawianiem pacjentów na terapię. Sally Bartok, która pracowała jako terapeutka z Billem i innymi lekarzami płci męskiej, powiedziała, że Gini doradzała jej jako matka-rozwódka. „Pamiętam, jak mówiła, że póki pierścionek nie wyląduje na twoim palcu, tak naprawdę go nie masz – powiedziała Bartok, po ślubie znana jako Sally Taylor. – Sądzę, że kiedy za niego wyszła, znalazła się w bezpieczniejszej pozycji niż wcześniej. Nie wiem, ile w tym było miłości, a ile po prostu wygodnej współpracy. To ostatni ludzie na świecie, którzy daliby cokolwiek po sobie poznać”.

Ich związek omal się nie rozpadł, ale Bill w końcu dostał to, czego pragnął. Jego prawdziwy dom, Fundacja na rzecz Badań nad Biologią

Reprodukcji, był bezpieczny. „Wiem, dlaczego wyszłam za Mastersa: chciałam zachować tożsamość Mastersa i Johnson", powiedziała później Gini. Nawet ich okazjonalne stosunki nie stanowiły wystarczającego powodu. „Nie wzięłabym ślubu tylko z tej przyczyny", odparła zapytana o ich współżycie. Nawet jeśli kiedyś łączyła ich pasja, teraz wyraźnie przygasła. Krótko po zawarciu małżeństwa Bill opowiedział dziennikarzowi o codziennej przyjemności, jaką jest przytulanie w łóżku po długim dniu. Jak oznajmiła Gini, „Idea seksualności ograniczona wyłącznie do genitaliów jest bardzo wiktoriańska, chora".

W imię niesienia pomocy amerykańskim małżeństwom Bill niszczył własne. Porzucił Libby po dwudziestu dziewięciu latach wspólnego życia, zostawiając ją samą w domu w Ladue akurat wtedy, gdy ich dzieci się wyprowadziły. Masters rzadko okazywał skruchę, jakby nauka usprawiedliwiała wszystkie jego poczynania. „Bill był pragmatyczny– stwierdził Bob Kolodny. – Nie należał do typu marzycieli i z pewnością brakowało mu romantyzmu. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie zakochał się w Gini. Pojęcie miłości w życiu osobistym Billa było czymś zarezerwowanym dla dzieci, ale też nie stanowiło ważnej części jego osobowości". Zapytany, Bill lubił tworzyć swój zrzędliwy image, prostując muszkę i opowiadając o sobie w krótkich, bezlitosnych słowach. Przyznał, że nie był dobrym ojcem ani szczególnie oddanym mężem. Gini chciała prowadzić w życie towarzyskie, natomiast on wolał zostawać wieczorami w pracy, a weekendy spędzać w domu, oglądając samotnie telewizję. Po rozwodzie z Libby starzy znajomi z Ladue przestali go do siebie zapraszać. „Jestem dupkiem – wyznał. – Nie nadaję się do życia z ludźmi. Nigdy się nie nadawałem i nigdy się nadawać nie będę, z przyrodzenia i z wyboru. Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Nie posiadam charakteru, który przyciąga ludzi". Gini mogła się tylko zgodzić. „Bill toleruje towarzystwo i to wszystko", wyjaśniała.

Dla Billa zawarcie małżeństwa, podobnie jak dla Gini, przypominało podpisanie listy kompromisów. Po latach ich koleżanka po fachu, Judy Seifer, zastanawiała się, dlaczego w ogóle zdecydowali się na ten krok. Nigdy nie zapomniała chłodnych słów Billa.

– W którym momencie swojego małżeństwa zorientowałeś się, że to się nie uda? – zapytała.

– Kiedy stanąłem przed ołtarzem – odparł beznamiętnie.

– Więc dlaczego to zrobiłeś? – naciskała.

– Nie widziałem innego wyjścia – wyznał. – A poza tym było mi to na rękę.

Świat zwrócił się do Mastersa i Johnson z prośbą o wyjaśnienie tajemnic seksu i komunikacji w języku miłości. Jednak kiedy padło pytanie o prawdziwą naturę tego uczucia, Bill Masters był w kropce.

– Kochana, nie mam bladego pojęcia – powiedział, gdy reporterka zadała to odwieczne pytanie. – Nie wiem, czym jest miłość. A pani wie?

CZĘŚĆ CZWARTA

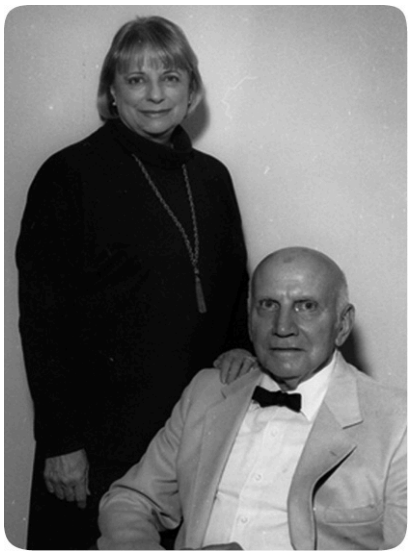

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ruch feministyczny

W latach między „emancypacją" kobiet wywalczoną przez feministki i seksualną rewolucją mistyki kobiecości, kobiety Ameryki cieszyły się z dekady na dekadę coraz częstszymi orgazmami. A kobietami, które czerpały z tego najwięcej przyjemności, były przede wszystkim te nauczone aktywnego udziału w świecie poza domem.
Betty Friedan, „Mistyka kobiecości"

W czasie przyjęcia niespodzianki dla świeżo zaręczonej Doris McKee jej przyjaciele i współpracownicy stali w ciszy, czekając na głównego gościa. Tego ciepłego październikowego dnia pojawiły się niemal wszystkie kobiety zatrudnione w klinice Mastersa i Johnson, by uhonorować McKee, przyjacielską i sumienną sekretarkę, która zajmowała się taśmami z nagraniami sesji terapeutycznych. Rose Boyarsky, nowa terapeutka, została gospodynią imprezy nad basenem w swoim domu blisko Uniwersytetu Waszyngtońskiego i zaprosiła całą żeńską część pracowników kliniki, w tym szefową, Virginię Johnson.

Kiedy w latach siedemdziesiątych rewolucja seksualna nabrała rozpędu, kobiety zatrudnione u Mastersa i Johnson znalazły się w pierwszym szeregu ruchu równouprawnienia kobiet. Feministki wchłonęły ich odkrycia, ogłaszając, że kobiety w niczym nie odbiegają od mężczyzn pod względem seksualnym i należą się im te same prawa w kulturze zdominowanej przez płeć męską. Prasa i telewizja pilnie relacjonowały te obejmujące całe społeczeństwo zmiany kulturowe, przypisywane Mastersowi i Johnson ze względu na wprowadzenie rewolucji seksualnej do podmiejskich marketów i codziennego życia Amerykanów.

Kiedy Doris pojawiła się na podwórzu ze swoim narzeczonym, wszyscy zaczęli klaskać i wznosić toasty. Howard, jej przyszły mąż, pamięta radosną atmosferę i prowokacyjne żarty przypominające te z wieczoru kawalerskiego, a jeden w szczególności. „Na stole z poczęstunkiem stał piękny bukiet kwiatów – wyjaśnił Howard – a w samym środku znajdował się plastikowy penis przymocowany do kamery, za pomocą której fundacja przeprowadzała badania nad kobiecym orgazmem!".

Wszyscy zaznajomieni z projektem Mastersa i Johnson od razu rozpoznali przypominające totem mechaniczne dildo. Służący do stymulacji przyrząd stanowił jeden z najbardziej zdumiewających aspektów badań seksuologicznych. Podczas gdy konserwatyści byli przerażeni faktem, że takie urządzenie zostało wykorzystane do zdefiniowania i sprofanowania intymności człowieka, feministki zasugerowały coś jeszcze straszniejszego – że nie potrzebują mężczyzny, by osiągnąć satysfakcję seksualną. Tego rodzaju implikacje wykraczały poza intencje Mastersa i Johnson. „Stworzyli opis kobiecej seksualności, który nieumyślnie zakwestionował obowiązujące rozumienie heteroseksualności jako czegoś naturalnego i w pełni satysfakcjonującego dzięki stosunkowi przy udziale penisa – zauważyła historyczka Jane Gerhard w 2000 roku. – Podobnie jak uczniowie Freuda wcześniej »odkryli« kobiecą seksualność, która istniała niezależnie od współżycia z mężczyzną". Dla wielu feministek to mechaniczne urządzenie – napędzane energią elektryczną, której nie zmniejsza faza odprężenia – symbolizowało zwycięstwo kobiecej seksualności nad męską. Odkrycia naukowe na temat łechtaczki – negujące freudowski mit na temat „dojrzałego" orgazmu pochwowego, będącego owocem stosunku z mężczyzną, i jego przeciwieństwa w postaci wielokrotnych orgazmów płynących z zabaw z wibratorem – pokazały, że mężczyzna nie jest potrzebny. „Kobieta często nie czuje się usatysfakcjonowana jednym orgazmem", napisali Masters i Johnson we *Współżyciu seksualnym człowieka*.

Feministki były szczególnie zadowolone z anatomicznych odkryć pary badaczy, które zdemaskowały błędy Freuda. „Musieliśmy przyznać, że Freud i Biblia się mylą, czego nie można bagatelizować", pisała po latach Gloria Steinem. W biurze nowej biblii amerykańskiego feminizmu – tworzonego przez Stein czasopisma „Ms." – wisiał znak z napisem: „Jest dziesiąta wieczorem: czy wiesz, gdzie jest Twoja łechtaczka?". Język Mastersa i Johnson wkrótce zaczął pojawiać się w politycznej i społecznej retoryce feministycznej. Wpływowy traktat *Mit orgazmu pochwowego* Anne Koedt z 1968 roku chwalił Mastersa i Johnson za przedefiniowanie znaczenia kobiecej seksualności we współczesnym społeczeństwie. „Uznanie orgazmu łechtaczkowego za niepodważalny fakt zagraża idei heteroseksualizmu" – oznajmiła Koedt. – ponieważ pokazuje, że przyjemność seksualna może zostać osiągnięta zarówno dzięki mężczyźnie, jak i kobiecie, co czyni heteroseksualność nie absolutem, lecz wyborem. Dlatego też powstaje pytanie o współżycie seksualne poza ograniczeniami aktualnego systemu ról kobiecych i męskich". Szukając nowego paradygmatu seksualnego i porządku społecznego, feministki – między innymi Germaine Greer, Kate Millett, Ti-Grace Atkinson i Rity Mae Brown – w swej twórczości odwoływały się do podręcznika Mastersa i Johnson. Twierdziły one, że łechtaczka to jedyny organ służący wyłącznie do dawania przyjemności. Udowodniona zdolność kobiety do wielokrotnego orgazmu, sugerowała psychiatra Mary Jane Sherfey, powinna prowadzić do przemyślenia granic kulturowych wyznaczonych przez mężczyzn. Lwy heteroseksualizmu zaryczały z niezadowolenia. W 1971 roku Norman Mailer w swojej książce *W niewoli seksu* gotował się ze złości z powodu „wszechobecnej mnogości orgazmów kobiecych osiągniętych przy pomocy plastikowego fiuta, tego dildo z laboratorium [sic], tego wibratora!". Jednocześnie niektóre feministki sugerowały, że Masters i Johnson nie zaszli daleko w przesuwaniu granic. Zdaniem Greer „nie ma powodu, dla którego powinniśmy wierzyć, że amerykańskie kobiety klasy średniej podłączone do elektrod to wszystko, co można było zrobić".

Pod koniec dwudziestego wieku ruch wyzwolenia kobiet tak bardzo zmienił amerykańskie społeczeństwo, że porównać go można tylko do ruchu emancypacji czarnoskórych z lat sześćdziesiątych. Polemiki w stylu *Mistyki kobiecości* Friedan głosiły niezadowolenie z życia kobiet zamkniętych w domach na przedmieściach. Takie instytucje jak Narodowa Organizacja Kobiet zmieniały ich żądania w czyny. Równe pensje, ostrzejsze kary za dyskryminację seksualną i molestowanie, lepszy dostęp do uczelni wyższych i awansu zawodowego, nawet nieudana próba wprowadzenia do konstytucji poprawki dotyczącej równouprawnienia płci – wszystko to stanowiło część ich społecznych działań. Pigułka antykoncepcyjna pozwoliła kobietom cieszyć się przyjemnością płynącą z seksu bez ciążącego nad nimi widma wpadki. Małżeństwo przestało być najważniejsze. Nauka i seks stały się nierozłączne. Dla amerykańskiej opinii publicznej Masters i Johnson stanowili obiektywną parę arbitrów w sprawach odwiecznych relacji między płciami. Z poziomu własnego laboratorium zdołali nakłonić kobiety do przemyślenia swoich związków. „Głównie Mastersowi i Johnson przypisuje się przedefiniowanie kobiecej seksualności, ale oni w pewnym sensie tylko dostarczyli naukowych podstaw nowej rzeczywistości, którą kobiety tworzyły same dla siebie", zauważyły Barbara Ehrenreich, Elizabeth Hess i Gloria Jacobson dekadę później. Niemniej jednak w ocenie najważniejszych zjawisk, które miały wpływ na ruch feministyczny, napisały napisały, że publikacja *Współżycia seksualnego człowieka* stała się „jednym z jego głównych ideologicznych manifestów. Ruch wyzwolenia kobiet i masowe rozprzestrzenienie się myśli feministycznej miały nastąpić dopiero trzy lata później, ale początek »rewolucji« seksualnej ciągnął ze sobą zmianę, która wykraczała poza fundamentalną relację władzy".

Książki Mastersa i Johnson dały kobietom oręż w postaci realistycznej, medycznej wiedzy. Podczas gdy Freud, Kinsey i Ellis zaprezentowali seksualność człowieka z męskiego punktu widzenia, Masters i Johnson (zdaniem historyka i kulturoznawcy Paula Robinsona) byli „najbardziej konsekwentnymi myślicielami

feministycznymi" ze wszystkich badaczy seksu. Reprezentowali w swojej retoryce, a może i życiu prywatnym, „feminizm bezpośredni" z „egalitarnym ideałem seksualnym", co znalazło wyraz także w ich terapii.

Wielu ludzi zaskoczyło promowanie Mastersa i Johnson przez feministki, najbardziej zaś samego Billa. Mimo niedawnych komplikacji w życiu prywatnym, wciąż uważał się za skromnego człowieka, a nie promotora libertyńskich ekscesów. Jego podręczniki, pisane głównie dla lekarzy, skupiały się na małżeństwach cierpiących z powodu dysfunkcji i własnej ignorancji. W czasie ogólnonarodowej debaty na temat aborcji – nawet po precedensowym procesie Sądu Najwyższego w sprawie Roe przeciwko Wade z 1973 roku – pozostawał neutralny, pilnując, by nikt go w tę dyskusję nie wplątał. Kobiety w ciąży, które potrzebowały aborcji, szukały pomocy u Johnson, a ta odsyłała je do odpowiednich lekarzy. Masters wciąż patrzył na kobiety w tradycyjny sposób. Oczekiwał, że będą zdawać się na niego, tak jak robiły jego matka i żona przez większość życia. Pomysłowe sugestie Johnson były realizowane wyłącznie w zakresie kontrolowanym przez Mastersa. Przy uruchomieniu ich projektu z pewnością nie szukał kobiety, która przejawiałaby tego rodzaju nieszablonowy sposób myślenia co Barnard czy Berkeley. „Niewątpliwie byłem męskim szowinistą", przyznał później. Ton ich książek – aprobujący prawdziwą tożsamość seksualną kobiet zamiast tej represjonowanej przez rodziców i autorytety religijne – narodził się z powodu osobistych tragedii jego pacjentek. Historie te często go przerażały, a Johnson pomagała mu to przerażenie przekuć w słowa. Bez względu na to, czy akceptował tę etykietkę, badania zamieniły go w feministę.

Z kolei Virginię Johnson reakcja opinii publicznej na ich książki zmieniła w gwiazdę, ulubienicę mediów. Podpisała lukratywny kontrakt na felietonistkę „Redbooka", a w oczach czytelników „Playboya" stała się symbolem siły kobiecej seksualności: „Istnieją orgazmy karku, spodniej strony stóp, a nawet wewnętrznej części dłoni", dowodziła. Coraz

częściej zostawała w domu, żeby skoncentrować się na pisaniu, ograniczając pracę w klinice. Rosnący przychód pozwalał jej na ekstrawaganckie życie, jakiego nigdy nie doświadczyła. Przeprowadziła się razem z Mastersem do większego domu na South Warson Road w Ladue. Dzięki równoprawnej pozycji w klinice została okrzyknięta wzorem amerykańskiej kobiety, idealną i przekonującą przedstawicielką nowej wolności seksualnej. Jak zauważyły Barbara Ehrenreich i jej koleżanki, Johnson „na swój sposób była feministką", chociaż książki jej i Mastersa stały się feministycznymi klasykami „głównie przez przypadek". Otworzyli oni puszkę Pandory, dając pole do popisu gotowemu na przyjęcie ich przekazu społeczeństwu. „Oto znalazły się według wszelkich standardów obiektywne, naukowe odkrycia, na podstawie których powstała radykalnie nowa, feministyczna interpretacja seksualności", powiedziała Ehrenreich.

Ku ich zaskoczeniu, kiedy feministki poprosiły Johnson o udział w spotkaniach i wiecach promujących równouprawnienie kobiet, spotkały się ze stanowczą odmową. Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych radykalne skrzydła feminizmu zaczęły wędrować w stronę antymęskiej retoryki Catharine A. MacKinnon, która potępiała pornografię i jej brutalną naturę, a także Andrei Dworkin, porównującej stosunek heteroseksualny do gwałtu[7]. Wszystko to jednak nie miało dla Johnson żadnego znaczenia. Nigdy nie zamierzała wykrzykiwać haseł podczas protestu czy stanąć obok Glorii Steinem na wiecu politycznym. „Nigdy nie poszłabym z feministkami na marsz", stwierdziła. Odrzuciła nawet zaproszenie od Pierwszej Damy, Betty Ford, która chciała pokazać się z nią w ramach poparcia dla poprawki do konstytucji.

Od czasów Golden City Johnson nigdy się o nic nie prosiła, a jednak zdobywała wszystko, co chciała. Była przedstawicielką wcześniejszego pokolenia kobiet, które nie miały żadnego wsparcia , gdy poszukiwały pracy albo opiekunki do dziecka na czas ich nieobecności. Chociaż to dzięki niej wspólna praca z Mastersem miała wydźwięk feministyczny, sama Johnson nigdy nie lubiła etykietek. Teraz mówiła, że kobiety

muszą same przejąć kontrolę nad swoim przeznaczeniem. Były odpowiedzialne za własne życia, zarówno w sypialni, jak i poza nią. „Jeśli kobieta nie ma orgazmu – przekonywała – to jej wina, do cholery!”.

Funkcja słynnej ekspertki w dziedzinie seksualności człowieka, jaką w latach siedemdziesiątych pełniła Virginia Johnson, wydawała się czymś niewiarygodnym w oczach tych, którzy pamiętali ją jako sekretarkę. Stała się dyrektorem znanej na całym świecie kliniki – przemianowanej na Instytut Mastersa i Johnson – i stworzyła terapię, która dawała nadzieję tysiącom, jeśli nie milionom pacjentów. Jej partnerzy, współpracujący z nią podczas terapii, nie mogli się nadziwić jej zdolnościom. „Miała tę przewagę, że to ona była tam szefem – wspominał psychiatra Thomas Lowry, którego żona również pracowała w klinice. – Podziwiałem ją”. Młoda terapeutka Sally Brooks również zachwycała się autorytatywną postawą Johnson i kopiowała jej styl ubierana się. „W tamtych czasach kobiety wciąż często chodziły w sukienkach, ale ona zakładała spodnie, trochę w stylu Katharine Hepburn… Uważałam ją za absolutnie niezwykłą i wspaniałą kobietę. Zapewne wiedziała o fizjologii seksu więcej niż jakakolwiek inna przedstawicielka jej płci w Ameryce w tamtym okresie. Ale nie próbowała być »miła i puchata«. Cały czas zachowywała profesjonalizm”.

Gdy terapia stała się głównym celem kliniki, pokrywając sporą część jej rocznych kosztów, Bill coraz częściej zdawał się na Johnson. Jako badacz zainteresowany „czystą nauką” nigdy nie planował kariery terapeuty. Pod tym względem wycofał się w cień. Wielokrotnie nie udało mu się zdobyć odpowiedniego dofinansowania państwowego czy prywatnego, którego potrzebował do kontynuowania badań anatomicznych i fizjologicznych przynajmniej w takim zakresie, jaki zakładał. Odejście z uczelni medycznej dziesięć lat wcześniej – gdzie kiedyś zajmował wysokie stanowisko na Wydziale Ginekologiczno-Położniczym, – zabrano mu możliwość finansowego korzystania ze

swojej sławy. Porzucił praktykę ginekologa i położnika i nie był już pierwszorzędnym chirurgiem. Wciąż przeglądał dane z badań nad pacjentami homoseksualnymi, obiecując zawrzeć je w następnej książce, ale data kolejnej publikacji wydawała się bardzo odległa.

Skończył już sześćdziesiąt lat i codziennie pokazywał się w klinice, ale bardziej jako niemal dobrotliwy staruszek niż silny i władczy szef. Współpracownicy cenili jego niezachwianą pewność siebie, w przeciwieństwie do niejasnych odpowiedzi Johnson i jej humorów. „Bardzo wspierał swoich ludzi – wspominała Rose Boyarsky. – Jeśli ktoś się pomylił albo miał jakieś pytanie, Masters poświęcał mu tyle czasu, ile było trzeba".

Mniej więcej w tym okresie Bill zdecydował się zmienić w sobie coś, co odrzucało wielu pacjentów. Udał się do chirurga, żeby usunąć zez, swoje zdystansowane spojrzenie, jakiego nabawił się po przebytej w dzieciństwie posocznicy. Po raz pierwszy w dorosłym życiu Masters mógł spojrzeć komuś prosto w oczy i uśmiechnąć się bezpośrednio do kamery. W klinice za to zaszła nieco subtelniejsza zmiana. Zgodnie z małżeńskim porozumieniem, Bill odsunął się w cień; to poglądy Johnson stały się bardziej istotne. „W kolejnych latach Billowi brakowało już zainteresowania – wyjaśnił ich prawnik, Walter Metcalfe. – Moim zdaniem niekoniecznie chodziło o walkę o władzę. Raczej postanowił, świadomie czy nie, że już zrobił swoje i teraz przyszła kolej na nią".

Jednak zobowiązania Johnson – rozmowy z dziennikarzami, spotkania, pisanie w domu – oraz jej determinacja, by spędzać więcej czasu z nastoletnimi dziećmi, sprawiły, że potrafiła nawet przez kilka dni nie pojawiać się w klinice. Jej grafik nieustannie się zmieniał. Wyraźnie dało się odczuć jej nieobecność w czasie prowadzonych przy obiedzie dyskusji na temat pacjentów. Jej nagłe wizyty zaczęły zaskakiwać pracowników. „Z pewnością to ona rządziła – wyjaśnił terapeuta Max Fitz-Gerald. – Było jasne, że mnóstwo decyzji pozostawiano jej, nawet jeśli nieczęsto ją widywaliśmy. Wciąż trzymała nad wszystkim pieczę".

Najbardziej podzielone opinie na temat Virginii Johnson można było usłyszeć pośród żeńskiej części pracowników. Podczas gdy młodsi stażem, jak Bartok, podziwiali ją i stawiali sobie za wzór, ci znajdujący się bliżej Johnson mieli ambiwalentne uczucia. „Prawdopodobnie kochaliśmy ją i nienawidziliśmy jednocześnie", jak określiła to Wanda Bowen. „Oficjalnie wszyscy twierdzili, że była ciepła i przyjacielska, zwłaszcza w czasie wspólnych wykładów – wspominała Mary Erickson, pełnoetatowa terapeutka, która wraz z mężem także prywatnie spędzała czas z Billem i Gini. – Ona wydawała się energiczna, a on dość chłodny. Ale kiedy poznasz ich bliżej, zmieniasz zdanie. Zawsze czułam, że on jest mi bliższy niż ona".

Bardziej doświadczone pracownice kliniki, zwłaszcza te z dyplomami, uważały Johnson za powściągliwą i zdystansowaną. „Zawsze miałam wrażenie, że nie czuje się komfortowo w moim towarzystwie, ponieważ ja mam wykształcenie, a ona nie", oświadczyła kiedyś Peggy Shearer, szanowana terapeutka po studiach medycznych. Inni uważali, że Virginia czuje się samotna w małżeństwie i chciała się zaprzyjaźnić, ale nie wiedziała jak. „Czułam się źle w jej obecności, bo zawsze wydawała mi się nieszczera", komentowała Dagmar O'Connor, nowojorska terapeutka, która szkoliła się w Instytucie przez dwa miesiące. O'Connor wolała towarzystwo Mastersa niż Johnson. „Znalazła się w sytuacji rodem z *Pigmaliona* i zupełnie się pogubiła", stwierdziła O'Connor, wspominając porównanie często pojawiające się w komentarzach dotyczących awansu pozbawionej kwalifikacji Johnson. W czasie pobytu O'Connor w St. Louis Virginia zaprosiła ją na wspólne zakupy, gdzie zaczęła niezwykle szybko opowiadać wszystko, co przyszło jej do głowy. Coś, co można było odczytać jako przyjazny gest– wyjście z klaustrofobicznej atmosfery kliniki – dało O'Connor więcej do myślenia, niż się spodziewała. Johnson najpierw opowiedziała, jak relaksuje się w domu, sprzątając szafę. Potem przeszła do dyskusji na temat seksu po histerektomii. „Zawsze mówią, że jest taki sam… ale to nieprawda", lamentowała, jakby chciała w ten sposób podzielić się z młodszą kobietą własnymi doświadczeniami.

O’Connor nie doceniła tych przyjacielskich komentarzy. Wkrótce poprosiła o przydzielenie jej innej terapeutki, ponieważ niczego się już od Johnson nie uczyła. „Niekoniecznie interesowały mnie jej orgazmy i doświadczenia z dzieciństwa”, wyjaśniła.

Kiedy ruch feministyczny w Ameryce w pełni się rozwinął, zmieniając rolę kobiety w miejscu pracy, żeńska część załogi w klinice poczuła, że posiada drugorzędny status. Po długiej rozmowie pracownice postanowiły zgłosić się w tej sprawie do Johnson. Jednak Virginia dużo czasu spędzała w Ladue, więc musiały do niej wysłać swoją emisariuszkę. Wybrano Rose Boyarsky. „Nikt inny nie chciał do niej jechać”, wyjaśniła później sama Rose. Być może pracownice kliniki uznały, że Boyarsky – zbliżona wiekiem do Johnson i z mężem-lekarzem – zostanie przyjęta najbardziej przychylnie.

Pewnego gorącego letniego dnia Johnson przyjęła zatem Boyarsky w swoim domu. Powitała ją wylewnie i zaprosiła do wspólnej kąpieli w basenie. Wydawała się zadowolona, że może spędzić wolny czas ze znajomą z dala od codziennych trosk. Boyarsky cały czas skupiała się tylko na problemie dyskryminacji kobiet w klinice. „Byłyśmy same – opowiadała. – Starałam się wytłumaczyć, że Instytut mógłby bardziej wspierać kobiety”. Boyarsky wyjaśniła Virginii, że żeńska część pracowników czuła się zdominowana przez męską, a sytuacja ta miała negatywny wpływ na postępy w leczeniu pacjentów. A przecież terapia Mastersa i Johnson powstała w oparciu o sprawną komunikację międzypłciową, kiedy to partnerzy traktują się równo. „Cała sytuacja była bardzo delikatna; chodziło o to, by nas wysłuchać – wspominała Boyarsky. – Miałyśmy nadzieję, że Gini się tym zajmie. W klinice zatrudnione były cztery kobiety i Gini, a także czterech mężczyzn i Masters, oczywiście. Wszyscy współpracowaliśmy. Okazało się, że moje wysiłki spełzły na niczym”. Marshall Shearer, który często tworzył duet z Johnson, zasugerował, że Boyarsky popełniła błąd taktyczny. „Jeśli istniała tam jakaś dyskryminacja, powinny mieć dość oleju w głowie, by nie zgłaszać się z tym do Gini – powiedział. – Nie wydaje mi się, by ona miała zamiar udać się w tej sprawie do Mastersa”.

Shearer stwierdził, że Boyarsky i inne kobiety z kliniki więcej by osiągnęły, rozmawiając z Mastersem, ponieważ to on decydował, jakie możliwości będzie miała Johnson oraz żeńska część pracowników.

Z perspektywy czasu także Boyarsky uznała, że źle rozegrały swój krótki feministyczny epizod. „Gini nie miała w sobie krztyny współczucia. Nie wiem dlaczego. Zawsze myślałam, że powinnam była jej to lepiej przedstawić".

Ich rozmowa przy basenie wywarła też wpływ na karierę Boyarsky. Na kolejnym spotkaniu pracowników wymieniły kilka nieprzyjemnych słów na temat planowanych badań dotyczących roli depresji w dysfunkcjach seksualnych. Kiedy Boyarsky przedstawiła swoje pomysły, Johnson natychmiast zaoponowała.

– Badania to moje zadanie, nie twoje – rzuciła.

Boyarsky próbowała się bronić, ale bez skutku. Nigdy nie rozmawiano o tym, czy uda jej się znaleźć fundusze ani czy jej propozycja pasowałaby do działań Instytutu. Szczegóły nie miały znaczenia. Najważniejsze było to, że Boyarsky obraziła Johnson, a siedzący niedaleko Masters, który zawsze wspierał Rose, nie powiedział ani słowa.

„Zaskoczyło mnie to, a przecież powinnam była to przewidzieć – stwierdziła terapeutka, która wkrótce odeszła z kliniki. – Widziałam, że mogła się poczuć zagrożona, ponieważ ja miałam dyplom, a ona nie; ponieważ ja zostałam wyszkolona, a ona nie. Nie potrafię dokładnie wyjaśnić, dlaczego tak się poczuła. Nie zostałam tam wystarczająco długo, żeby się przekonać".

Do podobnej konfrontacji doszło z Theą Lowry, która dostała pracę u Mastersa i Johnson przy wywiadach z pacjentami; jej mąż, Thomas, został ich terapeutą. Pewnego dnia straszliwie się z Gini pokłóciły. „Zaczęły na siebie wrzeszczeć", wspominał Lowry, były dyrektor małego szpitala psychiatrycznego w Las Vegas, któremu zrobiło się bardzo przykro z powodu tejże sprzeczki. Do tamtej chwili podobała mu się praca w Instytucie Mastersa i Johnson.

Po kłótni żony z Gini Lowry postanowił dowiedzieć się, co dokładnie zostało powiedziane. „Masters i Johnson nagrywali wszystko, więc mogłem przesłuchać ich rozmowę – wyjaśnił. – Thea zapytała, czy Gini czuje się zagrożona przez podważanie jej kompetencji. Wtedy Gini zaczęła krzyczeć: »Jakie podważanie kompetencji?« i tak dalej. Dzień później zapytałem szefową biura, Wandę, czy mogę przesłuchać kasetę jeszcze raz. Wtedy dowiedziałem się, że nie istnieje". Wkrótce trwające rok szkolenie Thomasa Lowry'ego dobiegło końca. Nie poproszono go o dołączenie do zespołu na stałe. Lowry był przekonany, że przynajmniej częściowo należy winić za to kłótnię jego żony z Johnson. „Niestety Thea miała tendencję do mówienia wprost rzeczy, których nie powinna. Wydaje mi się, że Gini to nie odpowiadało", wspominał Lowry, który wkrótce po tym wydarzeniu wziął rozwód. Thomas i Thea nauczyli się istotnej rzeczy w klinice. „Gini zawsze zachowywała się jak księżniczka – stwierdził Thomas. – Mogłeś się z nią świetnie dogadywać, ale pod warunkiem, że we wszystkim się z nią zgadzałeś. W Instytucie był tylko jeden szef".

---

[7] W rzeczywistości Dworkin zanegowała tę interpretację jej słów „gwałt to synonim stosunku".

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Seksualny biznes

Za to, co kiedyś Masters i Johnson dawali za darmo, teraz trzeba było sowicie zapłacić. Chociaż za terapię wystawiano rachunek na trzy tysiące dolarów – a więc mniej więcej jedną trzecią zarobków przeciętnej amerykańskiej rodziny w 1972 roku – pary waliły drzwiami i oknami. Potrafiły czekać nawet sześć miesięcy na liście rezerwowej, liczącej sobie czterysta nazwisk. W Ameryce biznes seksuologii – preferowanej przez Mastersa nazwy nowopowstałej dziedziny – szybko się rozwijał. Biorąc pod uwagę fantastyczną poprawę dysfunkcyjnego pożycia pacjentów, terapia wydawała się warta każdego centa. Bogaci klienci zatrzymywali się w Chase Park Plaza, najbardziej luksusowym hotelu w mieście, gdzie wykonywali swoją „pracę domową" zadaną przez pracowników kliniki, znajdującej się w odległości krótkiego spaceru od hotelu. Niektóre pary, wdzięczne za odświeżenie relacji, wracały ze zdjęciami *in flagranti*, demonstrując swój sukces. „Powtarzamy zawsze, że wierzymy na słowo", stwierdził Masters.

Na początku lat siedemdziesiątych klinika Mastersa i Johnson była jedyną w kraju, która oferowała misterne metody terapeutyczne, wychodzące z głowy Gini niczym węże z głowy Meduzy i zmieniające pojęcie medycyny o seksualności. „Miała inne podejście niż przeciętny lekarz – wspominała Sallie Schumacher, jedna z terapeutek. – Wpadła na mnóstwo pomysłów, zwłaszcza w kwestii kobiecego rozumienia

seksu jako czegoś, co ludzie robią wspólnie, a nie sobie nawzajem". Bill i Gini starali się skracać kolejki pacjentów. Każda para terapeutów mogła się zająć ograniczoną liczbą przypadków. Mimo dość luźnego podejścia do terapii, zasady prowadzenia kliniki nie pozwalały na gromadzenie funduszy. „Było to raczej niewielkie przedsięwzięcie, co wszystkich dziwiło, biorąc pod uwagę ich sukcesy", zdradziła Rhea Dornbush, pracownica kliniki z połowy lat siedemdziesiątych.

Masters i Johnson czuli też silne powołanie do uczenia swoich metod innych terapeutów, zwłaszcza zawodowców z dyplomami szkół medycznych albo doktoratami z psychologii. „Swoją pracę postrzegali raczej jako początek niż koniec", wyjaśniła Schumacher. Kiedy zapotrzebowanie zaczęło przekraczać możliwości nielicznej grupy pracowników kliniki, wielu innych terapeutów zaczęło kopiować ich metody. W Szkole Medycznej Cornella na Manhattanie psychiatra Helen Singer Kaplan zaproponowała swoją własną mieszankę Freuda i pary badaczy z St. Louis. W wydanej w 1974 roku książce *The New Sex Therapy* Kaplan oddała hołd Mastersowi i Johnson, ceniąc ich wyżej od Kinseya. „Do i tak już znacznie spóźnionego zakończenia średniowiecza seksualności człowieka być może w największym stopniu przyczyniły się pionierskie badania Mastersa i Johnson – oznajmiła Kaplan. – Ich ogromne wysiłki wreszcie pozwoliły na zebranie i udostępnienie podstawowych danych z zakresu długo już zaniedbywanej fizjologii współżycia człowieka, otwierając tym samym możliwość stworzenia racjonalnej i efektywnej terapii dysfunkcji seksualnych".

Nie wszyscy zwolennicy Mastersa i Johnson byli równie skrupulatni i sumienni. Niektórzy terapeuci po zaledwie kilkudniowych warsztatach (później zapadła decyzja o nazwaniu tych warsztatów programem dla stypendystów, żeby uniknąć zamieszania) ogłaszali się jako wyszkoleni przez parę badaczy. Inni po prostu czytali ich podręczniki i nazywali się seksuologami. „W 1970 roku Bill i Gini znajdowali się w bardzo elitarnej grupie zaledwie dwóch czy trzech profesjonalistów w tej dziedzinie – powiedział doktor Robert Kolodny. – W połowie lat siedemdziesiątych praktycznie w każdym większym

mieście istniał program leczenia dysfunkcji seksualnych". Aż pięć tysięcy programów terapeutycznych w kraju oferowało wariacje metod Mastersa i Johnson, ale szkolenie w St. Louis przeszło niecałe pięćdziesięcioro terapeutów. „Generalnie większość tak zwanych terapii seksu jest zapewne bezużyteczna i potencjalnie niebezpieczna", stwierdził Masters.

Ich sumienne, medyczne podejście szybko się było psute w prawie w większości nieregulowanym żadnymi przepisami biznesie seksuologicznym. Aby zatrzymać ten niepokojący trend, Kolodny zaproponował stworzenie ogólnokrajowej franczyzy autoryzowanej przez klinikę Mastersa i Johnson. Gdyby udało im się rozwinąć ją do rozmiarów narodowego programu, przekonywał, mogliby ustalić standardy rodzącej się dziedziny leczenia, a do tego sfinansować dalsze badania. Dochody przewyższałyby ich marzenia. „Uważałem ten pomysł nie tylko za ogromną szansę, ale także jedyny sposób, by powstrzymać innych przed zrobieniem tego samego", wyjaśnił. Jednak Masters nie chciał go słuchać. „Jesteśmy jednostką naukową, a nie fabryką", upierał się. Johnson okazała jeszcze mniejsze zainteresowanie pomysłem. Dotychczasowe zarobki w pełni ją zadowalały i zdawała sobie sprawę, że żadne z nich nie zna się na biznesie. Zgodziła się z mężem, że powinni pozostać przy własnej klinice i nie próbować zarządzać innymi. „Bez względu na długość szkolenia ludzie i tak zawsze będą przeprowadzać terapię po swojemu, więc szkoda zachodu", wyjaśniła. Nawet zwolennicy pomysłu Kolodny'ego zdawali sobie sprawę z tego, że nie będzie pasował do stylu życia Billa i Gini oraz ich poczucia misji. „Franczyza nigdy by nie wypaliła – stwierdziła Rose Boyarsky. – Wyszkolili już wystarczająco dużo ludzi, a oni założyli własne gabinety. Kiedy Bob Kolodny wpadł na ten pomysł, było już za późno".

Leczenie bogatego nowojorskiego dewelopera Arthura Leviena i jego żony zostało przydzielone Sallie Schumacher i doktorowi Richardowi Spitzowi. Normalnie zajęliby się nimi Bill i Gini, zwłaszcza ze względu

na otrzymane od nich wsparcie finansowe. Jednak na początku lat siedemdziesiątych para badaczy dorobiła się statusu celebrytów („a przynajmniej tworzyli w pamięci ludzi nierozerwalny duet, niczym Procter & Gamble czy Benson & Hedges", jak zauważył twórca książek popularnonaukowych, Albert Rosenfeld), więc zapchany terminarz i kolejki klientów skłoniły ich do oddania Levienów w ręce zaufanych pracowników. Nie wiedzieli jednak, że zarówno Schumacher, jak i Spitz, planują odejście. Spitz rozmawiał z kilkoma kolegami o zamiarach założenia własnej praktyki. „Dick próbował zwerbować Mae Biggs i mnie, żeby otworzyć odrębną klinikę, błędnie oceniając moją lojalność", wspominał Kolodny. Schumacher, lepsza terapeutka niż Spitz, planowała niedługo się zwolnić, ale nie ustaliła jeszcze terminu.

Sallie, matka piątki dzieci, mieszkała na przedmieściach St. Louis z mężem Alem, nauczycielem w pobliskiej szkole luterańskiej. „Mastersa i Johnson interesował fakt, że byłam żoną i miałam dzieci – wspominała. – Lubili ludzi, którzy założyli rodziny i poukładali sobie życie". Zdobyła dyplom college'u dla nauczycieli w Nebrasce, ale po trzydziestce postanowiła wrócić do szkoły i zrobić doktorat z psychologii na Uniwersytecie Waszyngtońskim. O klinice dowiedziała się w trakcie wykładu Mastersa; zatrudniła się tam w połowie lat sześćdziesiątych. Podobnie jak inni pracownicy, nigdy nie otrzymała formalnego wykształcenia seksuologicznego. O lojalności Mastersa i Johnson świadczy to, że wspomnieli o Schumacher w swoich najważniejszych książkach – tylko ona dostąpiła tego zaszczytu.

Arthur Levien miał duże ambicje, czego dowodem jest wybudowanie przezeń nieciekawego i zwalistego gmachu na Manhattanie, który nazwał Wieżą Olimp. Na początku lat siedemdziesiątych jego firma deweloperska połączyła się z greckim potentatem Aristotelisem Onassisem (wtedy mężem wdowy po prezydencie Johnie F. Kennedym, Jacqueline), aby wspólnie wybudować liczący sobie pięćdziesiąt dwie kondygnacje budynek i przyćmić gotyckie iglice sąsiada, katedry św. Patryka. Fortuna Leviena, pochodząca głównie ze stawiania centrów handlowych, pozwoliła mu na wpłacenie stu tysięcy dolarów na konto

kliniki Mastersa i Johnson. „Wdzięczni pacjenci zawsze stanowili dobre źródło dochodów", wyjaśnił Torrey Foster, pierwszy prawnik instytucji, wspominając datki od klientów, które pozwalały Mastersowi nie popaść w długi. Jednak w przypadku Levienów niedostępność Billa i Gini pozostawiła po sobie niesmak. „Naprawdę nie spodobało im się to, że trafili pod opiekę innych terapeutów – wyjaśniła Shirley Zussman, pracująca później z Sallie Schumacher. – Byli bardzo bogaci i przyzwyczaili się, że dostają tylko to, co najlepsze. Nie wiedzieli, że to właśnie Sallie jest chyba najlepsza, a już na pewno równie dobra, co Masters i Johnson". Ku własnemu zaskoczeniu, Levienowie przekonali się, że terapia Schumacher przynosi wspaniałe efekty, co skłoniło Arthura Leviena do podjęcia następnego kroku. Skontaktował się z Żydowskim Centrum Medycznym w Long Island i zaoferował datek w wysokości miliona dolarów w zamian za utworzenie centrum terapii seksualnej w pobliżu jego domu. Schumacher została jego nową dyrektorką. „Szukałam pracy i przyjęłam najlepszą – wyjaśniła. – Mało ludzi miało jakiekolwiek pojęcie o seksuologii. To ekscytująca dziedzina i wszyscy chcieli nowej kliniki".

Kiedy dowiedzieli się o tym Masters i Johnson, wściekli się; zasugerowali, że terapeutka zachowała się nieetycznie. „Nie należała do lojalnych osób", grzmiała później Johnson. Do otwartej konfrontacji nie doszło, chociaż byli szefowie odmawiali przyjęcia do wiadomości odejścia Schumacher. Sytuacja tak ich zaskoczyła, że nie zwrócili uwagi na własną hipokryzję: w końcu oficjalnie prowadzili szkolenia innych terapeutów, więc dlaczego ich koledzy po fachu nie mieliby szerzyć wiedzy o seksuologii? Niewątpliwie reakcja ta w dużej mierze spowodowana była utratą wsparcia Arthura Leviena. Schumacher przekonywała, że nigdy nie zrobiła niczego niestosownego. „Chyba nie podobało im się, że ktoś idzie pracować na własne konto, ale nigdy nie powiedzieli tego otwarcie", stwierdziła. Pracownicy nie otrzymali oficjalnego wytłumaczenia jej odejścia.

Atmosfera panująca w klinice Mastersa i Johnson – gdzie w pokojach zamontowano widoczne mikrofony, a prywatność pacjentów była najwyższym priorytetem – zgęstniała. Znanymi i bogatymi klientami zajmowali się wyłącznie Bill i Gini. Terapeuci, którzy chcieli prowadzić własne praktyki, musieli zdobyć na to zgodę. Kiedy June Dobbs Butts, jedyna Afroamerykanka wśród terapeutów, próbowała napisać artykuł do „Ebony", rzucano jej kłody pod nogi. „Miałam dostać tysiąc dolarów za publikację i zapytałam, czy muszę im oddać te pieniądze. Usłyszałam, że skontaktują się ze mną – wyjaśniła Butts. – Potraktowali to tak poważnie, jak ten milion Sallie Schumacher".

Ich wizja uczenia świata swoich metod teraz wydawała się zagrożona przez opuszczających ich pracowników i obcych ludzi bezwstydnie wykorzystujących ich techniki wyłącznie dla pieniędzy. Nawet oszuści i podrzędni pismacy wskazywali na Mastersa i Johnson jako źródło swojej wiedzy. „W tej dziedzinie aż roi się od bzdur i ludzi bez krztyny wiarygodności! – krzyczała Johnson do dziennikarzy. – Istnieje raptem tuzin terapeutów, którzy wiedzą, co robią".

To nie miało się tak skończyć. Przedsięwzięcie Mastersa i Johnson zakładało istnienie klinik terapii seksualnej prowadzonych przez porządnie przeszkolonych w szpitalach i na uniwersytetach lekarzy, pielęgniarki i terapeutów. „Na szczyt góry prowadzą różne drogi, ale większość zaczyna się w obozie postawionym przez Mastersa i Johnson, którzy już wtedy stali się dla terapii seksualnej tym, kim Freud dla psychoanalizy", napisano w „Science". Jeśli jednak Bill i Gini mieli nadzieję na wierną grupę adeptów, najwyraźniej bardzo się przeliczyli. „Nie mamy praktycznie żadnych uczniów – przyznał Masters w 1975 roku. – Wciąż pozostajemy zupełnie sami".

W dodatku większość ich imitatorów nie miała medycznego przygotowania. Doradca małżeński z Kalifornii, William Hartman, oraz jego współpracownica, Marilyn Fithian, chwalili się wykorzystywaniem metod Mastersa i Johnson obok własnych, polegających na pokazywaniu filmów pornograficznych, poddawaniu pacjentów hipnozie oraz egzaminom „seksuologicznym". Aby zlikwidować

„negatywne” tabu u swoich klientów, jak robili to Masters i Johnson za pomocą terapii zmysłowej, Ted McIvenna, duchowny i samozwańczy seksuolog z Krajowego Forum Seksualnego w San Francisco, zaczynał od pokazywania filmów z bestialstwem, masturbacją i sadyzmem jednego dnia, by następnego przejść do obrazów z „dobrą i normalną ekspresją seksualną”. Jeszcze większe zastrzeżenia budziły praktyki, jakie odkryto w trakcie przesłuchań w Nowym Jorku w 1972 roku. Ujawniono wówczas podrobione dyplomy, skandalicznie wysokie opłaty i molestowanie seksualne. Ten miszmasz niewykwalifikowanych ekspertów zawierał też przestępców i chorych psychicznie. Ludzie ci łączyli tak zwaną terapię seksualną z psychoterapią Gestalt, bioenergetyką, psychodramą i różnymi formami feminizmu, doradztwa rodzinnego oraz religii. Niektórzy pseudoterapeuci po prostu wymyślali swoje kwalifikacje. Zwykle nie potrafili podać tytułów żadnych podać żadnych opublikowanych materiałów na temat efektywności swoich metod. Najgorsze przypadki obejmowały także gwałty. „Dowiedzieliśmy się, że najwyraźniej bardzo częstą praktyką było zachęcanie pacjentek płci żeńskiej do utrzymywania stosunków seksualnych w trakcie »terapii« ze swoim terapeutą, niby z myślą o dobru klientki”, oskarżał Stephen Mindel, w tamtym okresie asystent nowojorskiego prokuratora generalnego.

Jednak w epoce zmian kulturowych, jakie zachodziły w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to tolerowano wcześniej zakazane praktyki, nie wszyscy potępiali współżycie terapeutów z pacjentami. Co prawda Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne opublikowało surową naganę, ale większość terapeutów nie należała do tego stowarzyszenia. Wśród psychologów standardy wydawały się o wiele mniej wyraźnie określone. W czasie zjazdu Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego w 1975 roku nie zgodzili się na wprowadzenie do etyki zawodu zakazu kontaktów seksualnych między terapeutą i pacjentem. „Reader’s Digest” ostrzegało, że „nową, obiecującą dziedzinę medycyny prześladują hordy szarlatanów”, podając liczne przykłady nadużyć. „To naprawdę szokujące, że dowolny człowiek

w dowolnym stanie może nazwać się terapeutą seksualnym – stwierdzili dziennikarze. – Żadne władze stanowe nie wprowadziły standardów dotyczących wymaganego wykształcenia, doświadczenia czy etyki tego zawodu".

Tego rodzaju skandale były bolączką Billa Mastersa. Przez lata na Uniwersytecie Waszyngtońskim ostrzegał, że brakuje odpowiedniej edukacji seksualnej pośród lekarzy i wykwalifikowanego personelu medycznego. Jego książki wskazywały na częste i rozpowszechnione problemy na tle seksualnym, ale niewiele osób miało odpowiednie przygotowanie, by je leczyć. Prawdziwy wysyp oszustów i szarlatanów w raczkującej dziedzinie seksuologii – której stworzenie przypisywano głównie Mastersowi i Johnson – bardzo Billa niepokoił. „Wydaje się, że ich największą motywacją są pieniądze – stwierdził w 1974 roku. – W tej chwili terapia seksualna została zdominowana przez zastraszający tłum kultystów, mistyków, amatorów z dobrymi intencjami oraz zwyczajnych szarlatanów". Jeszcze przed Amerykańskim Towarzystwem Psychiatrycznym Masters ostrzegał, że pacjenci z dysfunkcjami seksualnymi są szczególnie narażeni na manipulację. Wzywał do praktyki oskarżania o gwałt z urzędu każdego terapeuty dopuszczającego się kontaktów seksualnych z pacjentem, który w takich warunkach „nie jest w stanie udzielić obiektywnego pozwolenia". „Gdy więcej ludzi będzie gotowych na wniesienie sprawy do sądu, problem się zmniejszy", przekonywał Masters.

Rozczarowany brakiem reakcji innych grup zawodowych, Masters zdecydował, że ich fundacja powinna „dokonać pierwszego chwiejnego kroku uczącego się chodzić dziecka" – spróbować zdefiniować ramy etycznych terapii i badań seksualnych. W czasie styczniowej konferencji w St. Louis w 1976 roku trzydziestu dwóch ekspertów – zarówno krytyków, jak i długoletnich przyjaciół pary badaczy, w tym doktor Paul Gebhard z Instytutu Kinseya – dyskutowało na temat kwalifikacji, jakie muszą mieć terapeuci, (takich jak wyłączna licencja), oraz o karach dyscyplinarnych dla tych, którzy dopuszczą się kontaktów seksualnych z pacjentami. Lekarze i psychiatrzy dołączyli do ekspertów z innych

dziedzin, ale wbrew nadziejom nie wszyscy zgodzili się z wyznaczonymi standardami etycznymi. Większość sprzeciwiała się wykorzystywaniu surogatek, z których według zapewnień Mastersa, klinika zrezygnowała dwanaście lat wcześniej, ponieważ zbyt wiele kobiet „zamiast pełnienia roli surogatek wchodziło w rolę pseudoterapeutek".

Jego wezwania do większej kontroli i wyznaczenia standardów zawodowych w terapii seksualnej powoli zaczęły przynosić efekty. Coraz więcej szkół medycznych włączało edukację seksualną do planu studiów, a istniejące już organizacje – takie jak Amerykańskie Towarzystwo Edukatorów Seksualnych, Doradców i Terapeutów – rozszerzało swoją działalność o leczenie kliniczne dorosłych Amerykanów. Co więcej, jedna z nowszych organizacji zawodowych – Towarzystwo na rzecz Terapii i Badań Seksualnych – powstała tego samego roku, co zwołana przez Mastersa i Johnson konferencja na temat etyki. Pierwszy przewodniczący, doktor Don Sloan, przeszedł szkolenie w klinice pary badaczy, podobnie jak Sallie Schumacher, wybrana rok później. W 1985 roku przyznana przez organizację pierwsza nagroda za całokształt pracy badawczej powędrowała do Mastersa i Johnson. Wtedy też corocznie przyznawane nagrody nazwano ich imieniem ze względu na miliony osób na całym świecie, które skorzystały z ich odkrywczej pracy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Więzi przyjemności

Zresztą, kiedy ma się do czynienia z kwestią wysoce kontrowersyjną – a tak jest zawsze, gdy chodzi o płeć – wówczas nie można mieć nadziei, że powie się prawdę. Można jedynie pokazać, jak doszło się do poglądów, które głosi się obecnie[8].
Virginia Woolf, „Własny pokój”

W czasie trasy promocyjnej Masters i Johnson występowali niczym para wytrawnych artystów rewiowych, a jedno wyprzedzało ruchy drugiego. „Wypracowaliśmy coś, co nazywałam naszym aktem pieśni i tańca”, wspominała Gini, jakby wreszcie znalazła dla siebie scenę. W latach siedemdziesiątych stali się ogromną atrakcją i podróżowali przez kilka tygodni w roku po całym kraju. Wypowiadali się na konferencjach naukowych, seminariach, zjazdach pielęgniarek, sympozjach psychologów i na uniwersytetach, które były gotowe spełnić ich wygórowane żądania finansowe. Wypełniali wielkie audytoria w Tufts, Notre Dame, a nawet ogromny stadion w Syracuse, gdzie rozgrywano mecze koszykówki. Chociaż reklamowano ich jako duet, który zainspirował amerykańską „rewolucję seksualną”, Masters i Johnson prezentowali coś więcej – szczęśliwe małżeństwo, personifikację seksu i miłości. Wydawali się tak harmonijni, tak dopasowani, że publiczność mogła się uczyć przez samo patrzenie na sposób, w jaki się do siebie odnosili.

W rzeczy samej, po jednym z wykładów pewna kobieta podeszła do Johnson i przyznała, że nie słuchała najważniejszej części ich przemowy, bo najbardziej zainteresowała ją wymiana zdań między nimi.

– Jakie macie sygnały? – zapytała nieznajoma. – Próbuję wychwycić, jakie znaki sobie dajecie.

Gini się roześmiała.

– Patrzysz na absolutną spontaniczność!

Wizerunek Mastersa i Johnson jako idealnego małżeństwa stał się esencją ich przedsięwzięcia. Gładkie wymiany zdań przed publicznością kryły o wiele bardziej burzliwą rzeczywistość. Nie mogło być inaczej. Teraz stanowili raczej parę doradców niż badaczy. Po dekadzie zbierania informacji medycznych i wspierania wolności seksualnej Ameryki poczuli, że ludziom brakuje emocjonalnego zaangażowania wykraczającego poza zwykłe fizyczne żądze. Ich wysiłki zmierzające ku uwolnieniu Ameryki od ograniczeń płynących z ignorancji seksualnej w przedziwny sposób łączono z kulturą popularną, teraz pełną pornografii (np. *Głębokie gardło*), celebracji miejsc wymiany partnerów (takich jak klub Plato's Retreat na Manhattanie), a także soft porno z telewizji kablowej. Teraz Masters i Johnson mówili o ciepłej i kojącej grze między seksem a miłością w sposób, którego kiedyś unikali z kliniczną precyzją. „Tam, gdzie kiedyś siedziała para badaczy w białych fartuchach, o idealnie neutralnym wyrazie twarzy – zauważyła Shana Alexander w „Newsweeku" z 1975 roku – teraz znajdowało się małżeństwo w średnim wieku, po prostu Bill i Gini, Ma i Pa Kettle[9] w wersji seksuologicznej".

Przez lata celowo unikali słowa „miłość", zazwyczaj pod naciskiem Mastersa. „Pojęcie to oznacza wiele różnych rzeczy dla różnych ludzi", stwierdził. Jeśli emocji nie dało się zdefiniować i zaobserwować empirycznie, nie był nią zainteresowany. „Cywilizacja Zachodu sprawiła, że ludzie nie potrafią zaakceptować seksualności, więc musieli stworzyć określenie »kochać się« – zauważył. – Jednak seks może wynikać z nienawiści, potrzeby komfortu, radości czy smutku". Kiedy psycholog Rollo May krytykował ich dwie pierwsze książki jako zafiksowane na mechanice zamiast na emocjach, Masters odparł: „Doktor May zajmuje się rynkiem miłości, a my nie rościmy sobie prawa

do wypowiadania się na jej temat". Jednak krytycy nie odpuszczali. Konserwatywna dziennikarka Midge Decter nazwała ich „seksualnymi inżynierami". Psychiatra Natalie Shainess uznała Mastersa i Johnson za „kapłana i kapłankę", którzy „odzierają akt seksualny z nastrojów, uczuć i emocji pożądania oraz miłości", tym samym włączając się w „falę pornograficznej literatury i filmów".

Masters z miejsca odrzucił wszelką krytykę, Johnson przejmowała się nią o wiele bardziej. W czasie swoich sesji często udzielała porad, które stawiały seks w szerszym kontekście uczuć. Zwyczajnie nie pojmowała seksualności w takim oderwaniu od wszystkiego, jak Masters. Owszem, początkowo w jej poglądach pobrzmiewało echo przekonań Billa, z czasem jednak zmieniła zdanie i w swoich felietonach coraz częściej pisała o własnych odczuciach. „Mam nadzieję, że ten cały mechaniczny mit trafi szlag. Mam go już dosyć". W 1975 roku seks znowu połączył się z miłością, kiedy ich wydawca wypuścił na rynek książkę *The Pleasure Bond* (z ang. „więzy przyjemności"), wolną od żargonu medycznego i popularyzującą ich rady. Redaktor z „Redbooka", Robert J. Levin, złożył wszystko razem, podkreślając różnorodność opinii na temat seksu pozamałżeńskiego, romansów, rozwodów, wychowania dzieci, wolności kobiet i tak często pojawiających się w mediach kwestii podmiejskich klubów swingersów, gdzie ludzie wymieniają się partnerami. Masters próbował zachować naukową obiektywność, jednocześnie niechętnie dając się wciągać w socjologiczną debatę. „Zamierzam ominąć ten temat z bardzo dobrych powodów – powiedział jednej parze swingersów, która chciała się dowiedzieć, czy ich zachowanie jest normalne. – Mamy jedną zasadę: nie osądzamy i odpowiadamy tylko wtedy, gdy jesteśmy absolutnie pewni". Jak na badacza przystało, Masters wolał dzielić się bezpośrednimi obserwacjami, na przykład zauważając, że podczas pierwszej godziny snu po odbyciu stosunku kobiety po szczytowaniu miały tendencję do przysuwania się do swojego partnera w łóżku, czego nie zaobserwowano u mężczyzn. Jednak większość książki podkreślała wagę wierności, przywiązania emocjonalnego, lojalności i małżeńskiego poświęcenia jako najlepszych

sposobów na obustronne czerpanie przyjemności z seksu. Przesłanie to znacznie różniło się od polecających skupienie na sobie książek, takich jak *The Joy of Sex* Alexa Comforta i innych podręczników z lat siedemdziesiątych – ery nazwanej przez Toma Wolfe'a „dekadą »ja«". Masters i Johnson ustalili, że wśród szczęśliwych par „podstawową logiką jest ta: miłość prowadzi do seksu, który daje większą miłość, a ta z kolei lepszy seks i tak dalej". Pozbawiona grafów, wykresów z elektrokardiogramu i anatomicznych rysunków nagich kochanków książka wydawała się bardziej należeć do Johnson niż do Mastersa. Kwestiom sercowym poświęcono tu równie dużo miejsca, co innym organom. „Celowo staraliśmy się w podręcznikach medycznych trzymać z dala od ciepła i humanizmu – wyjaśniła Virginia, jakby starała się usprawiedliwić pewne braki. – Kiedy coś idzie nie tak, pary nie są zainteresowane pomiarem tętna".

Gdy rewolucja seksualna przyśpieszyła, oni delikatnie nacisnęli hamulce. W rozdziale zatytułowanym *Znaczenie wierności małżeńskiej* wychwalali duchownych za zrzucenie starych kajdan moralnych dogmatów potępiających ludzką seksualność w całości. W ciągu zaledwie dekady pigułka antykoncepcyjna i inne nowinki medyczne pozwoliły kobietom w znacznie większym stopniu kontrolować swoje ciała, ustanawiając nowe prawa i normy społeczne decydujące o ich pożyciu. Jednak Masters i Johnson ostrzegali, by ta wolność cielesna nie poszła zbyt daleko, tworząc etyczną ambiwalencję zniechęcającą do zobowiązania i wierności. *The Pleasure Bond* – początkowo zatytułowane *Mirror of Sex* – radziło czytelnikom spojrzeć na siebie, pokazując społeczeństwo przechodzące głębokie zmiany. „W ciągu dziewięciu lat od publikacji naszej pierwszej książki wahadło mocno się wychyliło – zauważył Masters – i teraz zdaje nam się, że lekko wraca".

W czasie swojej pierwszej trasy promocyjnej po ślubie, na każdym spotkaniu, podczas każdego wywiadu prasowego i telewizyjnego, powtarzali swój przepis na miłość i seks. Podczas gdy niektórzy krytykowali ich drewniany styl i skłonność do frazesów, „New York Times" chwalił ich nową książkę jako „głos rozsądku w czasie rewolucji

seksualnej, która wielu z nas pozbawiła domu, głodnych odżywczej mocy uczuć, które mogłyby wzbogacić naszą dietę o bardziej radosny seks". Wspominanie „tak wstydliwych słów jak »zobowiązanie« i »miłość«", podsumowywał „Times", wydawało się niemal równie „odważne i nowomodne", co ich wcześniejsze książki, szczegółowo opisujące funkcje seksualne.

Ameryka była przekonana, że Masters i Johnson dzielili się tym, czego sami nauczyli się we wspólnym życiu. Dzięki szczerości i optymizmowi sprawiali wrażenie pary, która osiągała ekstazę w małżeństwie i zamierzała służyć innym za przykład.

Bill i Gini mogli zrelaksować się w towarzystwie Shepleyów. Wspólnie spędzane wieczory były jednymi z niewielu okazji, kiedy ich sława zdawała się nieistotna. Często pojawiali się u Peggy i Ethana w Kinsbury, niedaleko Uniwersytetu Waszyngtońskiego, albo Shepleyowie odwiedzali Mastersów przy Warson Road w Ladue. „Byli częstymi gośćmi w naszym domu – wspomina Peggy Shepley. – Dzięki nam mogli spędzić wieczór bez zbędnego towarzystwa, a za to z zaprzyjaźnioną parą. I korzystali z tego wielokrotnie".

Peggy Shepley po raz pierwszy zobaczyła Billa i Gini jako zakochaną parę w ich salonie, krótko przed ślubem. Najwyraźniej obojgu zależało na akceptacji Ethana, przewodniczącego fundacji, którego zdanie zawsze szanowali. Mimo to zachowywali się dziwnie. Bill usiadł sztywno obok Gini. „Trochę jakby się do siebie przytulili, niezbyt serdecznie, ale jednak – opisała zdarzenie Peggy. – Bill Masters nie należy do romantyków. Nigdy nie dostrzegałam w nim tej cechy, widziałam za to naukowca".

Gini Johnson, chociaż tak czarująca, wydawała się samotna, jakby brakowało jej prawdziwego przyjaciela. Dziwna kombinacja sławy i tajemniczości, która otaczała klinikę, utrudniała jej wszelkie kontakty towarzyskie. Zawsze była nieco podejrzliwa. „Trzymała dystans, bo musiała – wyjaśniła Peggy. – Nie wiedziała, kto zechce wściubić nos w nie swoje sprawy". Podczas gdy mężczyźni wciąż uważali

czterdziestoletnią Gini za atrakcyjną, kobietom nadal wydawała się nieco groźna. W kręgach towarzyskich St. Louis żony przysłuchiwały się plotkom o rozwodzie Billa, a niektóre nawet osobiście znały Libby Masters i dlatego z miejsca unikały zażyłości z Gini. Johnson była jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób w St. Louis, a jednak nie przypominała większości kobiet. Niewiele z nich po drugiej wojnie światowej pracowało przez całe dorosłe życie, a z pewnością żadna nie zajmowała się otwarcie kontrowersyjnym tematem seksu.

Dzięki niezwykłemu uznaniu, jakim cieszyła się w wyniku współpracy z Mastersem, czuła się jak gwiazda, jednak prześladowało ją poczucie, że jest tej sławy niegodna. Po prawie dwóch dekadach Johnson nadal nie osiągnęła celu, który wyznaczyła sobie na samym początku drogi, jeszcze na Uniwersytecie Waszyngtońskim – nie skończyła studiów. „Przez te wszystkie lata mojej działalności w dziedzinie seksuologii, kiedy ludzie bili mi brawa i prosili o autograf, zawsze byłam nieco zawstydzona", przyznała. Bardzo długo mówiła o doktoracie i rozmawiała z Emily Mudd, jedną z jej największych zwolenniczek, która bez żadnego tytułu akademickiego otworzyła gabinet poradnictwa rodzinnego w Filadelfii w połowie lat trzydziestych. Mudd, która ostatecznie zrobiła doktorat na Uniwersytecie w Pennsylvanii, zaoferowała Johnson pomoc w zdobyciu dyplomu właśnie tam, na podstawie pracy, którą ta wykonała do tej pory. Jednak Masters szybko sprzeciwił się temu pomysłowi. Kiedy Johnson wspomniała o powrocie do szkoły, koledzy zakwestionowali jej oddanie klinice. Inni wyczuli kompleks niższości, skryty pod wystudiowanym wizerunkiem, dostrzegając ograniczenia, które nałożył na nią mąż. „Brak dyplomu bardzo Gini przeszkadzał i był to jej czuły punkt – wspomina June Dobbs Butts. – Bill miał w sobie wiele z szowinisty. Myślę, że byłoby o wiele lepiej, gdyby pomógł Gini wrócić na uczelnię, bo czuła się niewystarczająco dobra w tym, co robiła".

Mimo częstego wyrażania zaniepokojenia brakiem kwalifikacji terapeutów seksualnych, Masters odprawiał z kwitkiem wszystkich, którzy zwracali uwagę na brak wykształcenia jego partnerki. Zamiast

tego zwracał uwagę na jej osiągnięcia. „Wiedza z innych dyscyplin nie jest szczególnie ważna w tej pracy – przekonywał. – Nie istnieje dyscyplina jednoznacznie istotna dla programu".

Nawet ci, którzy z początku mieli wątpliwości, jak doktor Paul Gebhard z Instytutu Kinseya, darzyli ją uznaniem za stworzenie bardzo skutecznych metod terapeutycznych. W czasie pewnego seminarium Gebhard słuchał typowego wykładu Mastersa na temat fizjologii seksu. Potem Bill wyszedł, a jego miejsce zajęła Johnson, by opowiedzieć o ich wspólnej terapii seksualnej. „Niektóre z ich prezentacji idealnie wpasowywały się w kulturalny klimat tamtych czasów, a Gini cieszyła się sporą popularnością" – wspomina Gebhard, którego brak wsparcia ze strony Mastersa bardzo zaskoczył. – Bill nie zamierzał wspólnie z widownią zastanawiać się, ile jest określeń na penisa. Nie potępiał tego, ale nie chciał brać w tym udziału, bo nie uważał tego za naukę".

Ostatecznie Gebhard zapytał Mastersa, dlaczego nie został na drugiej połowie ich wspólnej prezentacji. „To nie moja broszka. Gini się tym zajmuje, nie ja – odparł Masters. – Ja jestem naukowcem badającym fizyczne zachowanie. Zmiana podejścia do seksu mnie nie interesuje".

Wraz z rozwojem ich relacji małżeńskiej Gini czuła coraz większą niechęć do Billa za to, że nie zauważał, jak wiele dla niej znaczyło zdobycie wykształcenia. Masters wygłaszał swoje obiekcje po ojcowsku, dobierając słowa tak, by nie sprowokować kłótni. Obiecywał jej różne rzeczy – remont domu, przeprowadzkę do innego, większy gabinet w klinice niż jego – pod warunkiem, że reszta zostanie po staremu. „Myślę, że mną manipulował", podsumowała po latach Virginia. Apel Mastersa i Johnson o większe zaangażowanie emocjonalne w związkach – wyrażający przekonanie, że seks bez prawdziwej miłości może nie wystarczyć – z pewnością było autorstwa Gini. Dziennikarze dopytujący o ich małżeństwo dziwili się, że żadne nie pamiętało chwili, w której postanowili się pobrać.

Bill nie potrafił się socjalizować i relaksować, uciekać od nieustannie wymagającej pracy, a Gini po ślubie coraz mocniej to przeszkadzało. Niepokoił ją brak przyjaciół, zaś on wydawał się w pełni zadowolony.

Ethan Shepley czuł się zaszczycony mianem „najlepszego przyjaciela" Billa, chociaż nie łączyło ich zbyt wiele poza fundacją, jak wyjaśniła Peggy Shepley. „Myślę, że istniał powód, dla którego stale przeprowadzali badania. Moim zdaniem przynosiło im to satysfakcję, której nie czuli w związkach".

Małżeństwo Mastersa i Johnson wydawało się studium kontrastu. Podczas gdy ona znajdywała przyjemność w muzyce i sztuce, on wolał oglądanie meczów futbolu w telewizji. Na ścianie w ich domu wisiał duży obraz w abstrakcyjnych kolorach przedstawiający dwóch uderzających w siebie graczy w kaskach. „Dosłownie dało się słyszeć łamane kości – wspominała June Dobbs Butts, która zatrzymała się u Mastersów, kiedy dołączyła do grona ich pracowników. – Powiedziałam wtedy »O mój Boże! Ten malarz chyba nie lubi futbolu!«. Bill tylko się uśmiechnął, dumnie i bezczelnie. Odparł, że to jego ulubiony obraz".

Futbol i jego prymitywne zagrania przemawiały do męskich instynktów Billa. Oglądanie meczów w niedzielne popołudnia albo na kablówce w poniedziałkowe wieczory wieczory – to były jedyne naprawdę przyjemne chwile w jego życiu. „Czasami żartował, że kiedy mieli czas na miłosne igraszki, on chętnie zostawiłby zostawiłby telewizor włączony na kanale z meczem, ale Gini wyłączała dźwięk", wspomina Butts.

Jego pasja zacieśniała relację z Wilkinsonami, jedną z niewielu par w St. Louis, z którymi spędzali czas. Przez lata Bud Wilkinson słynął jako trener drużyny futbolowej Uniwersytetu w Oklahomie. Ten przystojny mężczyzna o kręconych włosach, zarazem były rozgrywający, w 1965 roku został komentatorem cotygodniowej gry drużyn z college'ów w stacji ABC. W 1978 wrócił triumfalnie do trenowania i poprowadził Cardinalsów z St. Louis, ulubioną drużynę Mastersa. Wilkinson trzy lata wcześniej rozwiódł się z pierwszą żoną, trzydziestosiedmioletnią Mary, i krótko po tym ożenił się powtórnie. Przed przeprowadzką do St. Louis otrzymali z (drugą żoną) telefon od Mastersów z prośbą o spotkanie. „Tak rozpoczęła się wieloletnia

przyjaźń, w ramach której często jadaliśmy wspólnie obiady – wspominała Donna Wilkinson. – Bill przychodził oglądać mecze z Budem. Cudownie było się z nimi przyjaźnić. Świetnie czuliśmy się w swoim towarzystwie i mogliśmy polegać na ich dyskrecji oraz wsparciu". Podobnie jak w przypadku pozostałych znajomych, Bill i Gini ostatecznie dopisali Donnę Wilkinson do zarządu swojej fundacji. Niewiele wiedziała o medycynie i terapii psychologicznej, jednak od razu się zgodziła. Wilkinsonowie osiedli na stałe w St. Louis, chociaż praca Buda dla Cardinalsów nie potrwała długo: po zaledwie dwóch sezonach z dziewięcioma zwycięstwami i dwudziestoma przegranymi na koncie drużyna bezceremonialnie zwolniła swojego trenera. Mimo tego publicznego upokorzenia, jakiego doświadczyli, Gini pozostała przyjaciółką Donny i nadal chętnie spędzała czas z jej mężem. Podczas Bożego Narodzenia Gini śpiewała, jakby znowu znalazła się w bazie wojskowej w czasie drugiej wojny światowej. „Organizowaliśmy śpiewane przyjęcia świąteczne; zawsze ich zapraszałam, ponieważ Gini miała wspaniały głos – wyjaśnia Donna. – Mój mąż też uwielbia śpiewać, więc świetnie się bawiliśmy". Oboje dobrze się czuli w towarzystwie Gini, ale mieli ambiwalentne uczucia względem Mastersa. „Gini była bardzo ciepłą i otwartą osobą, podczas gdy Bill raczej zachowywał dystans – wspominała Donna. – Nie brał udziału w luźnych rozmowach". W czasie wspólnych spotkań Masters poruszał jedynie temat futbolu i nieustannie wypytywał Wilkinsona o ostatni i następny mecz. „Bud, szczerze mówiąc, uważał go za nudziarza – przyznała Donna. – Bill czuł, że sam mógłby zostać trenerem". Pewnego razu, kiedy Donna rozmawiała z Gini przez telefon, Bill nagle podniósł słuchawkę i zaczął wypytywać o jej męża. Wyraźnie chciał pogadać o futbolu. Gdy do Buda dotarły słowa żony, na jego twarzy pojawił się strach. Zaczął machać rękami, żeby wyraźnie dać znak, że nie zamierza dyskutować z Billem Mastersem.

– Proszę, proszę – wyszeptał do żony. – Powiedz, że nie ma mnie w domu.

Masters w Ladue trzymał dwa dobermany, potężne zwierzęta, którym okazywał mnóstwo uczucia. Właściwie to w swojej nieopublikowanej autobiografii poświęcił więcej miejsca opisowi swojej relacji z psami niż któremukolwiek ze swoich małżeństw czy dzieci. Kiedy Bill i Gini wyjechali pewnego wieczora, nastoletnia córka Johnson, Lisa, oglądała telewizję ze swoim nowym chłopakiem; i wtedy zaatakował go jeden z psów. „Doberman ugryzł chłopaka w twarz, dosłownie ją rozerwał – wspominał doktor Robert Kolodny, który mieszkał niedaleko i szybko przybył z pomocą. – Musiałem zadzwonić do chirurga plastycznego i natychmiast się tym zająć. Cała sytuacja była naprawdę przerażająca. Później Bill był oburzony całym tym wydarzeniem".

Sprawy rodzinne grały coraz mniej ważną rolę w życiu Mastersa. Raz czy dwa razy jego córka, Sali, pracowała przez wakacje w jego gabinecie, pomagając przy papierach, ale po skończeniu college'u zajęła się własnym życiem. Z kolei syn Mastersa, Howie, po opuszczeniu Hamilton College pozostał na Wschodnim Wybrzeżu, skąd starał się utrzymać relację z ojcem przez telefon. Masters wydawał się jednak z wiekiem tracić zdolność do prowadzenia życia poza laboratorium. „Nie chodził na przyjęcia, nie socjalizował się – wspominał Howie. – Nie miał prywatnego życia. Nie interesował się ani dziećmi, ani przyjaciółmi". W czasie okazjonalnych odwiedzin u matki, Libby, Howie wpadał do ojca na Warson Road. Zauważył niewielkie zmiany w jego wyglądzie – Johnson próbowała wymienić jego garderobę na nieco bardziej swobodną, zgodną z modą lat lat siedemdziesiątych. Jej próby wygładzenia ostrych krawędzi osobowości Mastersa wydawały się niezbyt efektywne. „Przynajmniej próbowała – wyjaśniał Howie. – Widywałem ojca ubranego w rzeczy, w których nigdy bym się nie spodziewał go zobaczyć. Gini chciała udzielać się towarzysko. Ciągała go ze sobą, ale on nie miał ochoty. Jestem pewien, że ją to irytowało. Jednak nie było łatwo go zmienić".

Jeśli Gini wyszła za Billa w nadziei, że jako ojczym pomoże jej wychować dwójkę dzieci, wkrótce przekonała się, jaki popełniła błąd. „Nie wydaje mi się, by któreś z nich w ogóle przejmowało się moim

ojcem – zauważył Howie. – Uwierzcie mi, że nie próbował stać się ich opiekunem, bo nie była to rola, która sprawiała mu przyjemność. Nie wyobrażam sobie, by w ich domu panowała radosna atmosfera. Dzięki Bogu, razem z siostrą osiągnęliśmy już wiek, w którym mogliśmy się usamodzielnić. Nie takie życie chcieliśmy prowadzić".

Pod koniec lat siedemdziesiątych codzienne relacje między Mastersem a Johnson – emocjonalny związek, których ich zdaniem grał grał tak istotną rolę w małżeństwie – praktycznie nie istniały. Łącząca ich tajemnica, że nie kochali się nawzajem, stała się teraz oczywista dla wszystkich pracowników kliniki i znajomych. Widzieli oni ten paradoks, ale nie rozumieli jego przyczyn. Prawdziwe szczęście wydawało się istnieć dla nich wyłącznie na scenie, kiedy kończyli nawzajem swoje wypowiedzi i podnosili publiczność na duchu. „Kojarzą mi się z presją – wyjaśniała Peggy Shepley. – Nie widzę ich razem. Widzę tylko siły, które ich tworzą. Widzę Gini jako matkę, która nie jest matką, i żonę, która nie jest żoną. Z kolei Bill też nie był do końca mężem i ojcem. Wydają mi się osobami publicznymi i nie dostrzegam w nich intymnych relacji".

---

[8] Tłumaczenie Agnieszki Graff, wyd. Sic!
[9] Bohaterowie serii filmów komediowych, prości rodzice piętnaściorga dzieci.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Droga do gwiazd

Dla większości Amerykanów Barbara Eden była pełną życia, piersiastą blond gwiazdą serialu *I Dream of Jeannie*. W tej komedii telewizyjnej z lat sześćdziesiątych grała dżinna, który po setkach lat wyfrunął z butelki i spełniał wszystkie zachcianki astronauty z NASA granego przez Larry'ego Hagmana. Kraj ją uwielbiał, a serial osiągnął zaskakujący sukces.

Kiedy producenci próbowali pokazać pępek Eden przy pomocy krótkiego ujęcia brzucha nad krawędzią indyjskich spodni, wściekli cenzorzy stacji NBC wprowadzili „ban na pępek". Uznano, że Ameryka nie jest jeszcze gotowa na tak szokujące widoki. Twierdzono, że rozgniewałyby opinię publiczną. W przeszłości w komediach telewizyjnych o małżeństwach, takich jak *I Love Lucy*, obowiązywał zakaz używania słowa „ciąża". Dopiero niedawno w *Bewitched* pokazano wspólne małżeńskie łoże zamiast typowych pojedynczych, należących do Roba i Laury Petrie z innego sitcomu, *The Dick Van Dyke Show*. Eden, była miss i cheerleaderka, robiła dobrą minę do złej gry. Kiedy pytano ją o „skandal pępkowy", śmiała się: „Nie wiem, czy władze stacji w ogóle wiedzą, że go mam!".

Seksapil grał ogromną rolę w hollywoodzkiej karierze Eden. Zdrowy, typowo amerykański wygląd zapewnił dziewczynie gościnne role w wielu telewizyjnych przedsięwzięciach Boba Hope'a. Kiedy w 1961

roku trafiła do obsady filmu science fiction *Voyage to the Bottom of the Sea*, zagrała sekretarkę o apetycznie zaokrąglonych kształtach; pracowała ze swoim mężem, Michaelem Ansarą, ponurym aktorem, którego poznała na randce zaaranżowanej przez agenta z Twientieth Century Fox. Wśród telewizyjnych ról Ansary znalazł się wojownik Klingon, sprawiający kłopoty granemu przez Williama Shatnera Kapitanowi Kirkowi w oryginalnym *Star Trek*. Ansara pojawił się gościnnie w serialu żony, gdzie zagrał Blue Djinna, obdarzonego ogromną mocą dżinna o niskim, donośnym głosie, który zamknął Jeannie w butelce, kiedy go odrzuciła.

Na początku lat siedemdziesiątych *I Dream of Jeannie* wypadł z ramówki, a Eden wróciła do pracy na deskach teatru. Razem z Ansarą pojawili się w St. Louis, żeby zagrać w sztuce *The Unsinkable Molly Brown*. Wystawiano ją każdego wieczoru w Operze Miejskiej i reklamowano nazwiskiem Eden. W ciągu dnia natomiast ona i jej mąż bez fanfar pojawiali się w klinice Mastersa i Johnson. „W tamtym okresie prowadziła bardzo intensywne życie – wspominała Johnson bez zbędnych szczegółów. – Przyjechali naprawić coś, co nie działało. Nie chodziło jednak o żadną dysfunkcję którejkolwiek ze stron".

Gini uwielbiała przebywać w towarzystwie gwiazd rozrywki, polityków i grubych ryb, którzy pojawiali się w ich klinice. Ansarowie cieszyli się sławą, a jednocześnie byli bezradną parą szukającą pomocy – nie radzili sobie ze sztuką miłości. Gini bardzo lubiła Eden i podobały jej się występy Barbary w musicalu komediowym o dziewczynie z małego miasteczka z Missouri, która przeżyła zatonięcie Titanica. W klinice Gini poruszyła temat swoich własnych muzycznych doświadczeń – śpiewania w Fort Leonard Wood z zespołem jazzowym. Zazwyczaj kończyła wspominanie pytaniem, co by się stało, gdyby podążyła za głosem serca i została śpiewaczką operową. Eden słuchała uprzejmie i prawiła Gini komplementy. „Mówiła, że nie zaśpiewa dla mnie, bo mam znacznie lepszy głos – wspominała Johnson. – To nieprawda; nie śpiewałam od lat. Ale Eden była taką skromną osobą".

Kiedy Ansarowie pojawili się w St. Louis, ich małżeństwo trwało już dziesięć lat, a w 1965 roku urodził im się syn, Matthew. Eden bardzo pragnęła naprawić ich związek, ale Johnson nie wyczuła tej samej potrzeby u jej męża. Dwa lata po terapii u Mastersa i Johnson Eden rozwiodła się z Ansarą i zaczęła spotykać z redaktorem naczelnym gazety z Chicago, którego poślubiła i ostatecznie również porzuciła. Jej trzecie małżeństwo z 1991 wydawało się potwierdzać regułę, że do trzech razy sztuka.

Jako terapeuci gwiazd, Masters i Johnson starali się dołożyć wszelkich starań, by chronić prywatność swoich pacjentów. Johnson ukrywała ich personalia pod zmyślonymi nazwiskami i organizowała wizyty poza godzinami pracy kliniki. W pewnym sensie Gini sama czuła się jak gwiazda. Doskonale zdawała sobie sprawę z ciężaru, jakim byli wścibscy dziennikarze, czasem dopuszczający się przekupstwa, by zdobyć pikantne szczegóły na temat intymnego pożycia sław. Od czasu do czasu pracownicy kliniki widzieli fotografów siedzących po drugiej stronie ulicy z długimi obiektywami, którzy czekali na pojawienie się pary celebrytów. Niektóre tabloidy wymyślały nieprawdziwe historie. „Biedny Arnold Schwarzenegger i Maria Shriver zostali posądzeni na pierwszej stronie jakiegoś pisma, że pojawili się w klinice, podczas gdy nic takiego nie miało miejsca – wspominała Johnson. – Dość szybko nauczyliśmy się nie protestować, ponieważ to tylko podsycało plotki".

Ochrona prywatności klientów stała się największą bolączką Instytutu Mastersa i Johnson. Pracowników ostrzegano, by nie informowali ludzi z zewnątrz o tym, co zobaczyli w klinice. „Przy zatrudnieniu musieliśmy podpisać różnego rodzaju papiery, w których zobowiązywaliśmy się do milczenia" wspominał Thomas Lowry. Gini dbała o to, by pacjenci wchodzili do kliniki i poruszali się po niej bez oglądania innych klientów. „Wszyscy czekali na wizyty w oddzielnych pomieszczeniach – wyjaśniała Sally Bartok. – Zadano sobie wiele trudu, żeby ścieżki pacjentów nie krzyżowały się". Niczym agenci CIA, pracownicy czasami zachęcali klientów, żeby wprowadzali ludzi w błąd, mówiąc o swoich wizytach. Na samym początku doktor Robert Kolodny

powiedział, że „wielu ludzi wymyślało problemy z płodnością, by wytłumaczyć swoje spotkania z Billem i Gini, a nawet używali tego określenia jako eufemizmu". St. Louis, znajdujące się z dala od Hollywood i stolicy mediów, Nowego Jorku, oferowało schronienie przed wścibskimi spojrzeniami. „Mieli swego rodzaju naturalny system ochrony: niewidzialność, z pewnością z perspektywy mojego ojca – wspominał Howie Masters. – Tata często śmiał się z tego powodu i mówił, że nie mógł znaleźć sobie lepszego miejsca na działanie w sekrecie".

Jednak Masters w klinice nie zawsze stosował się do własnych instrukcji. Czasami omawiał przypadki z innymi terapeutami, z których część pracowała tylko tymczasowo. Doktor Marshall Shearer dowiedział się o problemach małżeństwie Barbary Eden tylko dlatego, że Bill o nich wspomniał. Masters zasugerował też, że niektórzy słynni pacjenci nigdy nie pojawili się w klinice, bo on i Johnson leczyli ich we własnym domu.

Ostatecznie ich dom w Ladue także krył pewne tajemnice. Niektórzy celebryci albo przedstawiciele mediów przyjeżdżali tam ze względów towarzyskich, na przykład muzyk Mitch Miller, który został jednym z darczyńców kliniki, czy felietonistka Ann Landers, szukająca informacji o świecie seksu. To Gini kontrolowała wizyty w Ladue, gdzie przybywali najbardziej tajemniczy pacjenci. „Od czasu do czasu przyjmowaliśmy naprawdę sławnych ludzi i zostawaliśmy przyjaciółmi – wyjaśniała. – Znalazło się wśród nich wielu polityków i wiele gwiazd przemysłu rozrywkowego. Umieszczanie ich w hotelach przyciągnęłoby zbyt dużą uwagę". Obdarzona dociekliwą naturą Johnson bardzo lubiła rozmawiać z celebrytami o ich karierach, a każdy z nich pozostawiał w jej pamięci wspomnienia. Pracownicy mogli nieoficjalnymi kanałami dowiedzieć się o niektórych sławach, ale o większości z nich nie mieli pojęcia. „Rzadko o tym mówili – opowiadała terapeutka Mary Erickson. – Właściwie to zazwyczaj nic nie wiedzieliśmy, co zresztą było dobre, bo nie musieliśmy strzec cudzych tajemnic". Doris McKee, która monitorowała sesje w klinice, dowiedziała się o sławnych pacjentach,

ale przyznała, że zasady poufności różniły się w konkretnych przypadkach. W Ladue nie powstawały żadne nagrania, a notatki nie trafiały do dokumentacji w obawie, że zostaną skradzione albo sprzedane tabloidom. Wszelkie papiery były trzymane w sejfie w domu Mastersów, gdzie zainstalowano system alarmowy i gdzie stróżowały dwa dobermany.

Dom przy Warson Road w Ladue był nowocześniejszy niż większość okolicznych budynków, skryty za ładnie zaaranżowanym ogrodem, który chronił prywatność mieszkańców. Goście wchodzili do przedsionka i mogli wybrać jedną z dwóch dróg – do przestronnej jadalni i kuchni z jednej strony albo do kilku sypialni po drugiej, w tym do pokoju głównego z dwoma zsuniętymi podwójnymi łóżkami. Na tyłach znajdował się duży taras, basen w kształcie nerki oraz stajnia z wystarczająco dużym wybiegiem, by córka Johnson, Lisa, mogła jeździć konno. Kiedy Cindy Todorovich po latach kupiła tę posiadłość, odnalazła sekretny panel z dziurką. „Nie twierdzę, że działo się tam coś perwersyjnego, ale może łączyło się to w jakiś sposób z ich badaniami", wyznała nowa właścicielka. Po latach Johnson wyśmiała plotki na temat jej dawnego domu. Wyjaśniła, że musieli chronić prywatność swoich klientów, a zwłaszcza tych, którzy mieli najwięcej do stracenia.

Utrzymanie w tajemnicy odwiedzin pewnego senatora z Nowego Jorku i jego młodziutkiej żony okazało się jednak wyjątkowo trudne.

Na leżaku nad brzegiem basenu relaksował się właśnie Jacob K. Javits, ciesząc się z prywatności, jaką zapewniało mu podwórze Mastersa i Johnson. Siedemdziesięciotrzyletni, niski i łysy Javits rozmawiał swobodnie z doktorem Robertem Kolodnym na temat swoich znajomych. „Jack otworzył się przede mną", wspominał Kolodny. Lekarz usiadł obok Javitsa oraz Mastersa i patrzył na nich z podziwem. Młody terapeuta od razu rozpoznał w nieznajomym starszego senatora z Nowego Jorku, jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Kongresie. Podobnie jak Masters i Johnson, Javits znalazł się na okładce „The Times", a w latach sześćdziesiątych mówiono o nim jako o być może

pierwszym żydowskim prezydencie Stanów Zjednoczonych. „Żadne stanowisko nie jest teraz niedostępne dla żydów prócz prezydenckiego fotela – zauważył Javits i słusznie przewidział, że człowiek jego wyznania nie zamieszka w Białym Domu w ciągu kolejnych dziesięciu lat. – Byłoby jednak miło, gdyby okazało się jednak, że będę to ja".

Urodzony jako syn imigrantów na Manhattanie, Javits stał się uosobieniem amerykańskiego snu – wybuchowa mieszanka ciężkiej pracy i determinacji gnała go przez wieczorowe zajęcia na Uniwersytecie w Columbii, prawo na Uniwersytecie w Nowym Jorku, a potem stanowisko podpułkownika armii w czasie drugiej wojny światowej. Kiedy powrócił, został wybrany na członka Izby Reprezentantów jako liberalny republikanin z tradycyjnie demokratycznego regionu. Później pobił Franklina D. Roosevelta Jr. w konkursie na stanowisko stanowego prokuratora generalnego. Wygrał wybory do Senatu, ostatecznie zostając członkiem Komitetu do Spraw Międzynarodowych. Bill Masters, również liberalny republikanin, podzielał poglądy senatora Javitsa. Lubili swoje towarzystwo przynajmniej na tyle, na ile mogą się lubić lekarz i pacjent. „Był jedną z najbardziej uroczych osób, jakie znałam – wspominała Johnson. – Gdyby nie żydowskie pochodzenie, zostałby prezydentem. Z radością popierałabym republikanów, gdyby mieli w Białym Domu Jacka Javitsa".

Tamtego popołudnia przy basenie zazwyczaj dyplomatyczny Javits zaserwował im opowieści ze stolicy. Wierzył, że nikt nie powtórzy prywatnych rozmów. Wybuchł wtedy seksualny skandal z udziałem członka Izby Reprezentantów, Wilbura Millsa z Arkansas, wtedy silnego twórcy legislatury podatkowej i w 1972 roku kandydata na prezydenta z ramienia demokratów. W 1974 roku Millsa przyłapano pijanego z argentyńską strptizerką znaną pod pseudonimem Fanne Foxe, która próbowała uciec przed policją, skacząc do znajdującej się niedaleko sztucznej zatoczki Tidal Basin. Co kiedyś być może zostałoby zamiecione pod dywan, dziś stało się pożywką dla tabloidów, zmuszając Millsa do rezygnacji z przewodzenia komitetowi. Chociaż Ameryka

miała wtedy obsesję na punkcie wolności seksualnej i praw kobiet, pozostawała nadal w dużym stopniu purytańska i potępiała rozwiązłość. Seks stał się bronią w wojnie politycznej, zwłaszcza w następnych latach, o czym przekonali się inni aspirujący do zamieszkania w Białym Domu.

Jednak tamtego letniego popołudnia Javits powtórzył pewną znaną opowiastkę. „Jack powiedział, że jeśli kongresmen szedł przez biuro i spodobała mu się jakaś sekretarka, wysyłał asystenta po samochód – wyjaśnił Kolodny. – Potem jechali z tą sekretarką przez jakieś dziesięć do piętnastu minut przez park, żeby uprawiać seks oralny, jeśli kongresmen nie mógł wcisnąć wizyty w mieszkaniu w napięty grafik. Najwyraźniej Jack opowiadał o tym, by wyjaśnić, jak działa Waszyngton".

Kolodny, z natury raczej cichy i spokojny, nie wierzył swoim uszom. Jak podsumował to starszy senator, kongresmeni byli „bardzo dobrzy w dotrzymywaniu wierności żonom, kiedy te przebywały w Waszyngtonie. Jednak wierność to ruchomy cel". W czasie wizyty polityka w St. Louis Kolodny nigdy nie poznał jego żony, Marion Javits, ale dowiedział się, że od kilku lat zgłaszają się po porady do Mastersa i Johnson. „Stało się jasne, że Jack wracał na powtórkę z terapii – wyjaśnił. – Marion miała własne życie, z czego zresztą wynikała większość ich problemów".

Marion była pełną życia kobietą o dwadzieścia lat młodszą od męża, za którego wyszła w 1947 roku i któremu urodziła trójkę dzieci. W przeciwieństwie do stereotypowej, posłusznej żony polityka swojego pokolenia, upierała się, że pójdzie własną drogą. Zajmowała się malowaniem, baletem, lataniem, a nawet aktorstwem (z niewielką rolą w filmie *Who Was That Lady?* z 1960 roku, gdzie zagrali Dean Martin, Tony Curtis i Janet Leigh). Kiedy jej mąż został członkiem Kongresu, Marion nie zamierzała opuszczać Manhattanu. Odrzuciła Waszyngton jako zbyt nudne dla niej miasto. Jack wracał do domu na weekendy. „Mój mąż to gigant i ciężko żyć w jego cieniu", wyjaśniła później. Krótkie felietony ukazujące się dwa razy w tygodniu w „New York Post"

pozwalały jej na zadawanie się ze śmietanką towarzyską Manhattanu. „Wydaje mi się, że wciąż szukałam czegoś, co dałoby mi pełną satysfakcję", opowiadała. Chociaż na słynnej maskaradzie zorganizowanej przez Trumana Capote'a w 1966 roku Marion Javits pokazała się z mężem, w nowojorskich kręgach towarzyskich widywano ją raczej w pojedynkę. Używając popularnego w latach siedemdziesiątych określenia, bliskim znajomym mówiła, że żyje w „otwartym związku". Senator Javits bronił wyborów żony, nawet jeśli ostro krytykowała jego decyzję zarejestrowania się jako agent Iranu w 1976 roku. „Pod względem zawodowym wiedziemy z żoną zupełnie oddzielne życia", powiedział.

W klubie Studio 54, epicentrum nocnego życia Nowego Jorku w latach siedemdziesiątych, Marion towarzyszyli Capote, Andy Warhol i Mick Jagger, ale ją samą najbardziej interesowała gwiazda telewizji, Gerald Rivera. W niedyskretnym, ale dobrze zatytułowanym pamiętniku z 1991 roku, *Exposing Myself* (z ang. „Ujawniając się"), Rivera opisał swój długi romans z żoną senatora. Kiedy spotkali się po raz pierwszy w 1972 roku, zdaniem Rivery Marion szybko go uwiodła. Chociaż dzieliło ich prawie dwadzieścia lat, Rivera poczuł „ogromny pociąg seksualny" do czterdziestoośmioletniej żony senatora z „ciemnymi włosami, błyszczącymi oczami i pełnymi ustami Cyganki". Wkrótce dowiedział się, że „senator i Marian [sic] doszli do pewnego porozumienia, jeszcze zanim się pojawiłem – napisał. – Miała innych wielbicieli, co nie było problemem, dopóki obywało się bez skandali i scen". Rivera opowiedział, jak w czasie jednego z przyjęć u Marion zamknęli się w łazience z mnóstwem luster, pozostawiając gości, w tym sekretarza stanu Henry'ego Kissingera i jego agentów Secret Service, samych. „Przeżyłem wtedy jedno z najbardziej podniecających doświadczeń seksualnych w swoim życiu, dzięki magii przywołanej przez Marian [sic] oraz czystej niestosowności tamtej chwili", wspominał Rivera. Niczym Casanova potrafił zorganizować okazjonalną randkę z Marion między wiadomościami o szóstej i siódmej. W czasie przyjęcia zaaranżowanego w mieszkaniu jej męża w Watergate

w Waszyngtonie, Marion gościła takie sławy, jak Frank Sinatra, ale znalazła chwilkę dla Rivery, by wymknąć się z nim „niczym para nastolatków". Jak chwalił się jej kochanek, „Pewnie, miałem żonę, ale ona miała męża. Senatora. Skoro ona nie przejmowała się gośćmi, dlaczego ja powinienem?". Rivera przekonywał, że „był w niej zakochany, bez cienia wątpliwości", aż do czasu, kiedy ich romans zakończył się w 1985 roku.

W St. Louis Javitsowie przez wiele lat próbowali odbudować intymne pożycie w swoim związku. Po raz pierwszy pojawili się u Mastersa i Johnson pod koniec lat sześćdziesiątych i pozostawali w kontakcie, często telefonicznym, przez następną dekadę. Pewnej nocy w salonie Bill i Gini właśnie zabawiali Shepleyów, kiedy zadzwonił telefon. Gini pobiegła odebrać; Peggy usłyszała z sąsiedniego pokoju ściszone głosy, a potem gospodyni wróciła szybko do pokoju.

– To do ciebie, Bill – oznajmiła. – Senator dzwoni.

Tamtego wieczoru Peggy usłyszała nazwisko Javitsa po raz pierwszy, ale na pewno nie ostatni. „Senator i jego żona ciągle do nich dzwonili ze swoimi problemami – opowiadał Shepley, wspominając inne spotkania w domu Mastersów. – Kiedyś przyjeżdżali za każdym razem, gdy Gini i Bill przebywali w Ladue, a i po wyjeździe nie zrywali kontaktu".

Masters i senator bardzo często rozmawiali, podczas gdy Johnson wysłuchiwała ze współczuciem opowieści Marion. Nawiązała się między nimi nić swego rodzaju przyjaźni. Dyskutowali o powodach, dla których zdecydowali się na otwarty zwiazek, a także o potrzebach seksualnych. Gini wiedziała, że mimo problemów senator uwielbiał swoją żonę, a Marion uważała męża za wielkiego człowieka – nawet jeśli nie mieszkali razem. Niektóre osoby w klinice spekulowały na temat impotencji i innych fizjologicznych dysfunkcji, zwłaszcza biorąc pod uwagę naturę małżeństwa Javitsów. „Nie wiem, czy różnica wieku stanowiła aż tak ważny aspekt ich związku – opowiadała Johnson. – Marion była dla niego przemiła. Potrafiła wiele zdziałać, jeśli przyłożyła się z całego serca. Ale jednocześnie jej życie osobiste było co najmniej pikantne".

W 1975 roku, w czasie sponsorowanej przez Międzynarodowy Rok Kobiet wycieczki do Mexico City, Gini miała okazję zobaczyć jej styl życia na własne oczy. Podczas zebrania Marion Javits dołączyła do kilku żon zagranicznych polityków, w tym Jehan Sadat z Egiptu, Nusrat Bhutto z Pakistanu, Leah Rabin z Izraela oraz Imeldy Marcos z Filipin. „Uwielbiałam towarzystwo Marion – wspominała Johnson. – Świetnie się z nią bawiłam. Nie muszę dodawać, że dobrze ją rozumiałam". Podczas podróży Johnson musiała przerwać rozmowę z lokalnym dziennikarzem, kiedy Marion zamanifestowała swoją obecność. „Udzielałam właśnie wywiadu pewnemu młodemu mężczyźnie z Mexico City, kiedy ona zaczęła go podrywać na moim oczach! – opowiadała Virginia. – Rzuciłam, żeby w takim razie sama odpowiedziała na pytania. Uwodziła, kogo tylko chciała. Przez jej łóżko przewinęło się mnóstwo dziennikarzy, w tym Geraldo!".

Po raz ostatni Johnson widziała Javitsów razem na przyjęciu na cześć głównego akcjonariusza Fiata, Gianniego Agnellego. Władczy Jacob Javits jeździł już wtedy na wózku inwalidzkim. Cierpiał na stwardnienie zanikowe boczne (znane też jako choroba Lou Gehriga), które wyniszczyło jego ciało i nie pozwoliło na reelekcję na senatora w 1980 roku. Siedząc przy stole, Johnson nie mogła nadziwić się uczuciu, z jakim Marion troszczyła się o niepełnosprawnego męża.

Tamtego popołudnia osłabiony były senator zaproponował toast na cześć Agnellego. Kiedy Johnson zachwycała się nim, nazywając go jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziała, Marion zwróciła uwagę na siedzącą nieopodal żonę magnata, na wypadek gdyby Gini miała wobec niego jakieś plany. „Dosłownie wybuchnęłam śmiechem, bo widziałam, jak podrywa każdego młodego mężczyznę, który jej się napatoczył – wyznała Johnson. – Było to jedno z najśmieszniejszych doświadczeń mojego życia".

Johnson lubiła słuchać plotek z Waszyngtonu, opowieści o znanych politykach z otoczenia Javitsa, a także o nowojorskich celebrytach czy bogaczach. Senator i jego żona „stali się moimi dobrymi przyjaciółmi i często spędzaliśmy razem czas, prywatnie, nie zawodowo", wyjaśniła

Johnson. Bliskich znajomych Gini, takich jak Shepleyowie czy Bob Kolodny, bawiła jej ogromna fascynacja tajemniczym światkiem terapii celebrytów. Dla Virginii Johnson przebywanie w towarzystwie sław było „niezwykle istotne, ponieważ pochodziła z małego miasteczka i urodziła się na farmie w Missouri", powiedziała Peggy Shepley. Mastersa i Johnson może i bardzo cieszyło poznawanie sław, ale też problemy, z jakimi się do nich zgłaszali, należały często do najcięższych.

Gubernator George C. Wallace pragnął prezydenckiego fotela z bardzo złych powodów. W 1963 roku stał się twarzą Starego Południa, kiedy próbował zablokować desegregację na Uniwersytecie w Alabamie. „Segregacja dzisiaj, segregacja jutro, segregacja na zawsze", obiecywał Wallace w swojej przemowie inauguracyjnej. Stanął przed szkołą i na oczach dziennikarzy telewizyjnych uniemożliwił dwójce czarnych uczniów wejście do szkoły, w której uczyli się wyłącznie biali. W końcu zainterweniować musieli funkcjonariusze federalni. Dzięki temu wydarzeniu były bokser – odwołując się do uprzedzeń obywateli – mógł przez przez chwilę (w 1964 roku) starać starać się o kandydaturę na prezydenta z ramienia demokratów, odwołując się do uprzedzeń obywateli.

Kiedy prawo stanu Alabama przeszkodziło mu w kandydowaniu na kolejną kadencję na stanowisko gubernatora, namówił swoją żonę, Laureen, żeby go zastąpiła. Zmarła ona na raka w 1968 roku, w trakcie sprawowania urzędu. Tego samego roku Wallace starał się o fotel prezydenta jako „stróż prawa" i kandydat niezależny, wygrywając w pięciu stanach i zdobywając czternaście procent wszystkich głosów. W 1970 roku, kiedy przygotowywał się do kolejnych wyborów, zakochał się w Cornelii Ellis Snively, siostrzenicy byłego gubernatora stanu Alabama, Jamesa E. Folsoma. Chociaż doradzano mu trzymanie romansu w tajemnicy, Wallace ożenił się z Cornelią. W tamtym okresie plasował się na siódmym miejscu w sondażu na najbardziej podziwianego mężczyznę w Ameryce, tuż przed papieżem.

„Przyciągaliśmy się fizycznie i łączyła nas bardzo namiętna miłość", wyjaśniła później Cornelia.

Prezydenckie ambicje Wallace'a przekreśliła w maju 1972 roku kula. W trakcie kampanii w Maryland zamachowiec, Arthur Bremer, strzelił do niego z pistoletu kalibru trzydzieści osiem. Jeden z pocisków przeciął rdzeń kręgowy, powodując paraliż. Niektórzy zastanawiali się, czy Wallace nie zrezygnuje ze swoich planów, podobnie jak Franklin D. Roosevelt po ataku polio. Wallace wygrał w Maryland i Michigan, ale nie udało mu się odzyskać pełni zdrowia. Jego polityczne marzenia zostały zrujnowane.

Wallace skontaktował się z Mastersem i Johnson, ponieważ martwił się, czy będzie mógł wznowić współżycie seksualne. „Cornelia bardzo się starała mu pomóc – opowiadała Johnson. – Nie miała łatwo, bo jej mąż źle znosił swoje kalectwo".

Smutny przypadek George'a Wallace'a idealnie pasował Billowi Mastersowi do jego następnej naukowej misji – neuropsychologii współżycia człowieka. Jego zdaniem dzięki rozwojowi komputerów i sprzętu medycznego w latach siedemdziesiątych dziedzina ta mogła stać się godną kontynuacją ich wcześniejszych publikacji. Rozumiejąc rolę mózgu w reakcji seksualnej – udział zakończeń nerwowych i synaps w osiągnięciu fizycznej satysfakcji oraz ich funkcję psychiczną – doszedł do wniosku, że to naturalny następny krok.

Kiedy z Montgomery zadzwonił lekarz Wallace'a, Masters i Johnson szybko zgodzili się na wizytę w willi gubernatora, oferując swoją pomoc. „Wallace wysłał po nas samolot i polecieliśmy do Alabamy. W tym czasie w ogóle nie podróżował – wyjaśniła Johnson. – Pojawiliśmy się u niego dwukrotnie, a potem Cornelia przyleciała do kliniki". Masters powiedział później Kolodny'emu, że uszkodzenie rdzenia kręgowego Wallace'a było zbyt poważne, by Bill mógł mu pomóc jako lekarz. Okazało się, że gubernator stał się impotentem. „Było dla nas jasne, że nie istnieje żadna magiczna różdżka, która mogłaby rozwiązać ten problem – wyjaśnił Kolodny. – Mogli tylko pomóc im sobie z tym poradzić". Nawet terapia dotyku Johnson nie

działała. „Gubernator był gotowy na wszystko – wyjaśniła Virginia. – Ale po prostu nic nie dało się zrobić pod względem fizjologicznym. Mimo to Cornelia nie zawahałaby się przed niczym. Wspaniała z niej kobieta, i do tego urocza".

Mimo odwagi w poszukiwaniu pomocy lekarskiej, George i jego małżonka coraz bardziej mieli siebie dosyć. „Zaczął oskarżać ją o zdrady z policjantami – przypomniał dziennikarz z Alabamy, Wayne Greenshaw, w filmie dokumentalnym o życiu gubernatora. – Ona z kolei miała do niego pretensje o niekończące się rozmowy telefoniczne z dawnymi przyjaciółkami… prędzej czy później to się musiało skończyć źle". W 1978 roku wystąpili o rozwód. Cornelia wyprowadziła się z willi gubernatora i powiedziała prasie, że zrobiła wszystko, by uratować ich małżeństwo. W St. Louis Masters i Johnson upominali swoich pracowników, by zachowali milczenie. Wszystkie nagrania i notatki na temat słynnych par z Hollywood, telewizji czy lokalnej polityki dyskretnie przekazywano Kolodny'emu, by dołączył je do dokumentacji pacjentów; ale nie w tym przypadku. „Zapisy z terapii Wallace'ów nigdy nie zostały zebrane – wyjaśnił Kolodny. – Nie trafiły do żadnych znanych mi zbiorów".

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Zmiana orientacji

Gospodarz programu *Meet the Press*, Bill Monroe, wpatrywał się ponuro w obiektyw kamery, przedstawiając „małżeńską parę badaczy" składającą się z doktora Williama H. Mastersa i Virginii E. Johnson. Ich długo oczekiwana książka, *Homosexuality in Perspective* (z ang. „Homoseksualizm z dystansu"), stała się głównym tematem tamtej niedzieli, 22 kwietnia 1979 roku, kiedy to po raz pierwszy w historii program nadawany przez stację NBC zawierał przestrogę.

– Być może powinienem ostrzec, że możemy zagłębić się w pewne materiały, które nasza publika, przyzwyczajona raczej do rozmów o inflacji, energii i polityce, może uznać za nieprzyzwoite – zapowiedział Monroe.

Na oczach milionów widzów Masters i Johnson usiedli obok siebie przy biurku, gotowi do rozmowy. Monroe szybko przeszedł do najbardziej kontrowersyjnej części książki. Transkrypcja programu sugeruje skrępowanie gości:

> MONROE: Zakładam, że stanowi to dla państwa najważniejsze odkrycie, które już zaskoczyło wielu ludzi, a u innych wzbudziło sprzeciw. Mianowicie chodzi o przekonanie, że można nawrócić homoseksualistów, którzy chcą zostać nawrócenia, na heteroseksualizm. Według państwa ustaleń, co wynika z opisywanych w książce przypadków, zaledwie jedna trzecia terapii zakończyła się niepowodzeniem; to więcej, niż ktokolwiek do tej pory osiągnął.

DR MASTERS: To prawda, owszem, ale należy zwrócić uwagę, co wyraźnie podkreślamy w naszej publikacji, że dokonujemy ostrej selekcji pacjentów przed zakwalifikowaniem ich do terapii.

Po przerwie na reklamy dziennikarz medyczny „Washington Post", Victor Cohn, zapytał Johnson, czy jej zdaniem „u większości homoseksualistów ich orientacja to raczej wyuczone zachowanie czy coś bardziej chemicznego albo genetycznego". Czy rodzice powinni się martwić, zastanawiał się Cohn, „kontaktem ich dzieci z nauczycielem homoseksualistą"?

Gini udzieliła rozwlekłej, nieco chaotycznej odpowiedzi, jak zawsze, gdy nie była czegoś pewna.

– Prawdziwie wyuczone… sam fakt uczenia się… aż do dziś nie znamy żadnego innego wyjaśnienia… Nie wydaje mi się, by należało się tego obawiać – odparła. – Jeśli tego rodzaju zachowań można się nauczyć, w takim razie tego, czego rodzice oczekują po swoich dzieciach, także można nauczyć.

Kiedy Cohn poprosił Gini o wyjaśnienie tego mętnego tłumaczenia, wtrącił się Bill. Jego odpowiedź była pewna i jednoznaczna, a głos wyraźny i bezpośredni.

– Homoseksualizm nie jest warunkowany genetycznie, podobnie jak heteroseksualizm – stwierdził. – Rodzimy się jako istota seksualna płci męskiej lub żeńskiej. Swojej orientacji i preferencji uczymy się, bez względu na to, czy chodzi o heteroseksualizm, homoseksualizm czy biseksualizm, a czasami, wcale nie tak rzadko, dobrowolnie zmieniamy preferencje.

Pod koniec programu Cohn próbował wydobyć z Mastersa i Johnson więcej szczegółów na temat ich terapii. Jeszcze raz zwrócił się do Virginii, być może wiedząc, że zazwyczaj ona ją prowadziła, a nie jej mąż.

– Ta bardzo interesująca grupa, opisywana w państwa książce, czyli nawróceni homoseksualiści, którym pomogli państwo zmienić orientację na heteroseksualną bądź powrócić do niej… Niektórzy z nich leczą się u państwa od lat – powiedział Cohn. – Czy wydają się

relatywnie szczęśliwi, zadowoleni? Czy niektórzy z nich znaleźli sobie małżonków? Mają dzieci?

Johnson znowu wzruszyła ramionami.

– To byli bardzo zmotywowani ludzie – stwierdziła. – Takie zresztą było jedno z kryteriów zakwalifikowania ich do tej konkretnej fazy terapii…

– Ale ci pacjenci… – wtrącił Cohn.

– W wielu przypadkach tak się stało – odparła Johnson. – Tak się składa, że w tej konkretnej grupie ostatecznie dwanaście procent nie osiągnęło sukcesu.

– Właściwie to trzydzieści pięć procent – poprawił Bill.

Teraz to Johnson wydawała się podenerwowana.

– Przepraszam, chodziło o tę drugą… – zaczęła.

Nieco niecierpliwie, Masters znowu się wtrącił.

– Właściwa odpowiedź na pańskie pytanie brzmi tak: część z nich, jakieś dwie trzecie, od samego początku nie była stanu wolnego – wyjaśnił. – Część z nich zawarła małżeństwo po terapii, ci po udanej przemianie. Pojawiły się dzieci. Pacjenci po zakończonej sukcesem terapii jeszcze przez pięć lat zgłaszali się do nas, opowiadając o efektywnym, wygodnym życiu heteroseksualistów.

Zdając sobie sprawę z tego, że dziennikarz może chcieć więcej dowodów na sukces ich terapii, Masters dodał:

– Musieliśmy polegać wyłącznie na ich oświadczeniach.

Podobnie jak Ameryka, która musiała zawierzyć ich słowom w kwestii zmiany orientacji i „wyuczonych zachowań".

– Dziękuję, doktorze Masters i doktor Johnson, za odwiedzenie nas dzisiaj w studiu – zakończył Monroe, powtarzając częsty błąd w tytułach.

Telewizja nie była odpowiednim miejscem do oceny *Homosexuality in Perspective* – książki zachwalanej jako odkrywcze studium ponad trzystu przypadków kobiet i mężczyzn homoseksualnych, badanych w przeciągu czternastu lat. Kiedy publikacja wreszcie pojawiła się na

księgarskich półkach wiosną 1979 roku, wydawca twierdził, że prawie pięćsetstronicowa publikacja „zrewolucjonizuje obecne myślenie o homoseksualizmie". Masters nazwał ją „trzecią nogą stołka" – kulminacją ich trylogii o seksie. Poprzednie podręczniki tylko wspominały przelotnie o homoseksualizmie. Z tym samym klinicznym podejściem co poprzednie, nowa książka rysowała mapę fizycznego i psychoseksualnego zachowania kobiet i mężczyzn o tej orientacji.

Kiedy Masters i Johnson zaczynali badania w połowie lat sześćdziesiątych, większość Amerykanów nie do końca zdawała sobie sprawę z istnienia homoseksualistów. Słowa „gej" i „lesbijka" nie należały do codziennego słownika, a raczej stanowiły kod używany w podziemnych barach i kręgach towarzyskich. Masters i Johnson mieli problem z zaangażowaniem homoseksualistów z okolic St. Louis. Kiedy jednak informacje przedostały się do prasy, niektórzy sami kontaktowali się z kliniką, zgłaszając się na ochotników.

– Po przeczytaniu artykułu w grudniu 1970 roku w „Atlantic" jestem przekonany, że państwa cele są szczerze i badania nie służą wzbudzeniu sensacji – wyznał dwudziestoośmioletni mężczyzna z Indiany, który podpisał się imieniem i nazwiskiem, ale powiedział, że wciąż nie ujawnił się jako homoseksualista. – Wierzę, że zostanę uznany za homoseksualistę, chociaż nigdy nie uzyskałem profesjonalnej diagnozy.

Po raz kolejny Masters i Johnson okazali ogromną empatię w stosunku do ludzi mających problemy ze swoją seksualnością. Jako lekarz Bill wydawał się szczególnie przekonany o efektywności ich terapii, nawet w najtrudniejszych przypadkach. „Mawiał, że istnieją ludzie niezadowoleni ze swojej homoseksualności, a czasem wręcz głęboko nią przejęci – opowiedział doktor Robert Kolodny. – Niektórzy mają w sobie ogromne pokłady motywacji do zmiany, która zredukuje ich stres, ułatwi im życie albo uwolni od ciężaru".

W swojej książce Masters i Johnson trafnie osadzili własne odkrycia w kontekście społecznym. Wstęp autorstwa doktora H. Tristrama Engelhardta Jr., bioetyka z Uniwersytetu w Georgetown, opisał wyniki

ich badań w bardzo szlachetnych słowach: „fizyczność, w której ramach jedna dusza może dotknąć drugiej w przyjemności i miłości". Engelhardt podkreślał podwójne standardy kultury zachodniej i pytał, dlaczego starożytni Grecy sportretowani przez Platona mogli „uznawać homoseksualizm za paradygmat miłości i erotyki, podczas gdy angielskie prawo uważa go za grzech, którego nie należy nawet nazywać?". Zastanawiał się, dlaczego homoseksualizm, mający wpływ na tak dużą część populacji, może być sądzony z taką „pogardą i surowością".

Chociaż niektóre starożytne ludy uważały kontakty seksualne osób tej samej płci za dobroczynne, rozpowszechnione w Europie z zasady nie tolerowało seksu, który nie prowadził do spłodzenia potomka i dokonywał się poza małżeństwem. Tych, którzy bali się o swoje nieśmiertelne dusze, św. Augustyn ostrzegał: „Ze wszystkich grzechów najgorszy jest ten przeciw naturze". Religie i społeczeństwa na całym świecie zakazywały sodomii, zniewieściałego zachowania i innych „nienaturalnych" aktów, wzywając do fizycznych kar, rozczłonkowania, a nawet śmierci. Niemniej jednak wśród najsłynniejszych postaci naszej historii wielu uważano za homoseksualistów, w tym Sokratesa, Juliusza Cezara, Aleksandra Wielkiego, Michała Anioła, Leonarda da Vinci i króla Jakuba I.

W dwudziestym wieku teoretycy rozpoczęli dyskusję o tym, czy orientację seksualną determinuje genetyka, rodzina, hormony czy kolejność urodzenia (albo szczególna kombinacja). Teoria Sigmunda Freuda o „inwersji" sugerowała, że ludzie rodzą się jako biseksualiści, a biologiczne i środowiskowe czynniki z dzieciństwa decydują o orientacji dorosłego. Psychiatra Richard von Krafft-Ebing wpisał homoseksualizm na listę niewłaściwych zachowań seksualnych, na której znalazły się też sadyzm, masochizm i fetyszyzm. Orientację tę przez lata uznawano za chorobę psychiczną, dopóki Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne w 1973 roku nie usunęło jej ze swojego podręcznika *Diagnozy i statystyki chorób psychicznych*, gdzie wcześniej widniała obok psychozy, urojeń i innych abnormalnych zachowań.

Genetycy poszukujący odpowiedzi biologicznej – „genu homoseksualizmu" w kodzie DNA – nigdy nie odnieśli sukcesu.

Era nowoczesności z pewnością nie przyniosła kresu prawnej i obyczajowej wobec ludzi tej orientacji, o czym świadczy choćby ich masowe więzienie w obozach koncentracyjnych. W Ameryce istniało wiele przepisów represjonujących gejów i lesbijki jako „degeneratów" aż do zamieszek z 1969 roku w Stonewall, gejowskim pubie w Nowym Jorku, sprowokowanych przez nękających jego bywalów policjantów. Fala manifestacji ogarnęła cały kraj, rozpoczynając ruch walki o prawa homoseksualistów. Do czasu pojawienia się książki Mastersa i Johnson przedstawiciele tej orientacji powoli, ale konsekwentnie zyskiwali wpływy w społeczeństwie. Wielu ukrytych dotąd gejów i wiele lesbijek teraz otwarcie mówiło o swojej seksualności w domu i w pracy. Wciąż jednak, podobnie jak to miało miejsce w przypadku współżycia heteroseksualnego, medycyna ignorowała biologiczne zagadnienia związane z homoseksualizmem.

W swoim podręczniku Masters i Johnson powtórzyli wcześniejsze szacunki Alfreda Kinseya, że aż do dziesięciu procent dorosłych Amerykanów miało doświadczenia homoseksualne. (Krytycy później zwrócili uwagę, że oficjalny spis ludności i inne badania mówiły o zaledwie dwóch procentach). Co więcej, skorzystali też z opracowanego przez Kinseya systemu oceny orientacji seksualnej. Opierając się na wywiadach z pacjentami, do grupy „0" przydzielano ludzi bez wcześniejszych „wyraźnie homoseksualnych doświadczeń"; do grupy „3" tych z „równie licznymi doświadczeniami homoseksualnymi i heteroseksualnymi"; a w grupie „6" znaleźli się ci „bez wyraźnie heteroseksualnych doświadczeń". Kiedy zastosowano ten system w terapii, pacjentów z grup „5" albo „6" – uważanych za „wyraźnie homoseksualnych" – traktowano jako kandydatów do „przemiany" w heteroseksualistów. Kandydatom z grup „2" do „4" – które stanowiły albo osoby samotne nieujawniające swojej orientacji albo małżonkowie ukrywający swój homoseksualizm – proponowano „powrót" do heteroseksualizmu. Według badaczy z sześćdziesięciu

siedmiu przypadków pięćdziesiąt cztery stanowili mężczyźni i tylko trzynaście kobiety.

Ku zaskoczeniu autorów, jakieś sześćdziesiąt procent pacjentów obu płci chcących zmian miało już małżonków (chociaż wielu pozostawało w separacji i rzadko uprawiało seks z partnerami).

W przypadku „odwrócenia preferencji seksualnych" powodzenie często zależało od powodów, dla których pacjent decydował się na terapię. Ci ze słabymi wynikami często bali się zdemaskowania albo zostali namówieni na terapię przez. „Kiedy w trakcie prywatnej rozmowy z terapeutą pojawiały się stwierdzenia typu »oczywiście będę potrzebować od czasu do czasu spotkania z przyjaciółmi« albo »chcę być heteroseksualny w dziewięćdziesięciu pięciu procentach«, pacjentom odmawiano pomocy", stwierdzili badacze w swojej książce. Dotyczyło to zwłaszcza mężczyzn, bowiem Masters i Johnson nie chcieli, by „wykorzystali terapię, aby oszukać żony".

Przypadki przemiany były dla terapeutów prawdziwym wyzwaniem, bowiem kwestionowały istniejące definicje płci kulturowej i zmuszały do refleksji nad tym, co jest najlepsze dla pacjentów. Masters i Johnson opisali w książce żonatego mężczyznę, który nie potrafił skonsumować małżeństwa, nie był w stanie uprawiać seksu z innymi kobietami, a potem „zdecydował się na interakcję homoseksualną, by uratować swoje męskie ego". Cztery lata później ten sam mężczyzna i jego „wciąż oddana żona" pojawili się w klinice z nadzieją na „zneutralizowanie" jego homoseksualnych tendencji i uczynienie z nich normalnie funkcjonującej, heteroseksualnej pary. W innym, pozornie równie beznadziejnym przypadku, kobieta z grupy sześć „po mniej więcej jedenastu latach aktywności seksualnej, w czasie której była zupełnie sfrustrowaną lesbijką" znalazła mężczyznę i chciała z nim „współżyć, osiągając orgazmy".

Bez odpowiednio silnej motywacji pacjentów, jak przyznali Masters i Johnson, szanse powodzenia były znacznie zredukowane. Mimo wszystko ich wyniki – określane na podstawie nieudanych przemian – trafiły na pierwsze strony gazet na całym świecie. Z sześćdziesięciu

siedmiu mężczyzn i kobiet „rozczarowanych homoseksualizmem" tylko czternaściorgu nie powiodło się po pierwszej dwutygodniowej terapii. W czasie trwającego pięć lat okresu po terapii całkowity udział niepowodzeń sięgał dwadzieścia osiem i cztery dziesiąte procent. Innymi słowy, terapia okazała się skuteczna dla ponad siedemdziesięciu procent pacjentów obu płci, co stanowiło niewyobrażalny wynik w świecie psychiatrii i psychoanalizy. Niektórych przypadków po terapii nie dało się śledzić, przez co te ostateczne dane są nieco mylące.

Pamiętając o ogromnym wpływie Freuda na społeczeństwo Amerykanów, Masters i Johnson przygotowali się na to, że ich odkrycie zostanie uznane za kolejny atak na psychoanalizę. „Obecne przekonanie, że dysfunkcjonalnych seksualnie albo nieusatysfakcjonowanych homoseksualistów płci męskiej bądź żeńskiej można leczyć, osiągając przy tym skuteczność terapii na poziomie dziesięciu – dwudziestu procent, jest zwyczajnie niesłuszne", deklarowali w swojej książce. Oskarżali psychoterapeutów o zbytnią gotowość do akceptacji „niepowodzenia" i nieumiejętność powstrzymania się od stronniczości. Zbyt wielu z nich zakładało, że pacjenci ostatecznie powrócą do praktyk homoseksualnych, zgodnie z poglądem „zaadaptowanym i propagowanym przez środowisko homoseksualistów".

W *Homosexuality In Perspective* nie znalazło się nic równie kontrowersyjnego, jak zmiana orientacji, a konsekwencje wpłynęły na całe dekady. Aktywiści walki o prawa gejów i lesbijek oraz socjologowie zajmujący się homoseksualizmem ostro krytykowali tę teorię jako niebezpieczną i naiwną. Jak później zaobserwowała pisarka Janice Irvine, „autorzy przez cały czas próbują przekonać, że bycie homoseksualistą jest w porządku, ale oni wiedzą, jak to naprawić, jeśli my uważamy inaczej". Konserwatyści religijni i prawicowi komentatorzy niemal z miejsca wykorzystali badania Mastersa i Johnson do potępienia homoseksualizmu jako czegoś wynikającego z osobistego wyboru, a nie boskiego projektu, sugerując, że jego główną przyczyną są niestosowne zachowanie i środowisko. Ewangeliści

proponowali „leczenie” gejów i lesbijek poprzez modlitwę, która miała skierować ich z powrotem na drogę heteroseksualizmu – dokładnie tak, jak nakazywała Biblia, a teraz także naukowcy w osobach Mastersa i Johnson. Ich przesłanie było proste: homoseksualiści mogą się zmienić, jeśli tego chcą.

Jednak nawet starzy przyjaciele oraz wielbiciele Mastersa i Johnson wyrażali swoje wątpliwości. „The Journal of the American Medical Association”, którego pochwały *Współżycia seksualnego człowieka* były swego czasu tak dla nich ważne, teraz miał zastrzeżenia. „Autorzy twierdzą, że homoseksualizm to wyuczone nawyki, których można się oduczyć. Jest to dyskusyjny pogląd”, podsumowali dziennikarze. Doktor Lawrence J. Hatterer z Centrum Medycznego Cornella stwierdził: „Nie potrafię pojąć, jak można wziąć osobę z długoletnią praktyką homoseksualną i w dwa tygodnie zmienić ją w heteroseksualistę”. Kiedy „Playboy”, kolejny dawny sprzymierzeniec, zakwestionował ich kontrowersyjną teorię, Johnson okazała zniecierpliwienie. „Nie zajmujemy się dochodzeniem, co jest słuszne, a co nie, w kwestiach osobistych wyborów – odparła w wywiadzie, korzystając z nieustannie powtarzanej formułki. – Tak się składa, że żadna to nowość, iż istnieją homoseksualiści, którzy nie chcą być homoseksualistami”.

Jednak za kulisami jedyną osobą, która naprawdę wierzyła w przemianę, był Bill Masters.

W czasie programu *Meet the Press* i przez całą kampanię promocyjną Johnson lojalnie broniła ich książki, jakby to ona ją napisała. Jednak prywatnie Gini bardzo niepokoiły opublikowane w niej metody i rezultaty. Do tego stopnia, że w pewnym momencie się rozpłakała i rozważała odsunięcie się od projektu. Po latach wypowiadała się o wiele mniej pewnie na temat stwierdzeń z tej pracy. „Pojawiło się u nas wiele par homoseksualistów. Kilka kobiet i mnóstwo mężczyzn – powiedziała. – Nigdy jednak nie zapewnialiśmy pacjentów, że ich zmienimy”.

Wrzawa zaczęła się dekadę wcześniej, kiedy wielu wierzyło, że Masters i Johnson mogą przeobrazić pożycie praktycznie każdego człowieka. Doktor Alex Levay, wtedy profesor psychiatrii klinicznej w Centrum Medycznym Columbia-Presbyterian w Nowym Jorku, wysłał do nich pewnego dwudziestokilkulatka. Młody chłopak pracował z ojcem, znanym i bogatym przemysłowcem odzieżowym, i bardzo chciał założyć rodzinę. Terapia przyniosła efekty, ale te się nie utrzymały. „Ożenił się i spłodził dzieci. Stał się funkcjonalny – wspominał Levay. – Jednak jak to zwykle bywa u ludzi z wyraźną przewagą orientacji homoseksualnej, nowe życie go nie satysfakcjonowało. Mógł je ciągnąć, ale wolał wrócić do bycia gejem". Mimo początkowego sukcesu, ostateczny wynik terapii doprowadził Levaya do innej konkluzji. „Przekonanie, że można go zmienić, było głupie, ale wtedy wszyscy byliśmy głupi – ocenił. – Jeśli porozmawiasz z kimś zajmującym się tą dziedziną zawodowo, dowiesz się, że orientacja seksualna to bardzo silna tendencja i niezwykle trudno ją zmienić".

Przyjaciele, przeciwnicy, a nawet sama Johnson nie potrafili dojść tajemniczych powodów, dla których Masters trwał przy teorii zmiany orientacji. Jeśli żywił głęboką urazę do homoseksualizmu albo strach przed nim, z pewnością tego nie okazywał. Przez całą karierę nie zdradzał stronniczych przekonań typowych dla powojennego świata, który jednym tchem potępiał komunistów i homoseksualistów. W czasie słynnej debaty Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego z 1973 roku, kiedy to usunięto homoseksualizm z listy chorób psychicznych, przewodniczący organizacji, Judd Marmor, zachęcił Billa do lobbowania wśród innych na rzecz reformy. Jako naukowiec Masters stworzył pracę, która sugerowała, że orientacja seksualna może wynikać z przyczyn hormonalnych albo innych biologicznych. W 1971 roku współtworzył krótką rozprawę z Kolodnym, opublikowaną w „The New England Journal of Medicine", gdzie porównywali poziom testosteronu u mężczyzn hetero- i homoseksualnych i wykazali, że im pacjent bardziej opowiadał się za

homoseksualizmem, tym niższy miał poziom tego hormonu. Niemniej jednak Masters wierzył, że orientacja seksualna zależy od wielu czynników. Jego zdaniem najważniejsze jest zadowolenie pacjenta ze swojej seksualności i temu podporządkowywał swoje działania, podobnie jak wtedy, gdy jako chirurg tworzył sztuczne waginy dla pacjentek. Kolodny twierdził, że terapia przemiany wynikała bezpośrednio ze współczucia Mastersa, a nie chęci udowodnienia czegoś światu. „Ludzie różnego pochodzenia i z różnymi problemami zgłaszali się do nich w akcie desperacji, ponieważ nie mieli już innego wyjścia – wyjaśnił. – Dlatego odpowiedzieli z głębi serca, próbując znaleźć skuteczną metodę".

Homosexuality in Perspective zawierało znacznie więcej spekulacji niż twardych dowodów, łamiąc jedną z najważniejszych zasad Mastersa. Podobnie jak w przeszłości, niektóre wypchane po brzegi statystykami rozdziały porównywały fizjologiczną odpowiedź homoseksualistów i heteroseksualistów. Zmierzono rozmiar i barwę penisów we wzwodzie, reakcje łechtaczek, seksualne zaczerwienienie i charakterystyczne cechy fizyczne w trakcie seksu – wszystko praktycznie bez względu na orientację. Jednak w tekście wszelkie różnice szybko zmieniały się w niemożliwe do udowodnienia uogólnienia. „Udawanie podniecenia i orgazmu nie pojawia się u lesbijek tak często jak u kobiet heteroseksualnych – stwierdzono. – Po pierwsze o wiele trudniej jest kobiecie oszukać inną kobietę podczas kontinuum stosunków seksualnych niż praktykować to samo z niczego niepodejrzewającym mężczyzną". Homoseksualistów przedstawiono jako lepszych kochanków, przynajmniej w przypadku *cunnilingus* i *fellatio*, ponieważ „w czasie stosunku w laboratorium nie śpieszyli się", podkreślali Masters i Johnson, tym razem nie podając danych statystycznych. Z kolei fantazje seksualne – sny albo marzenia o seksie wymuszonym, grupowym bądź anonimowym – pojawiały się u homoseksualistów częściej, ale nie przeważająco. Brak dowodów naukowych był szczególnie widoczny w przypadku stwierdzenia Mastersa i Johnson, że ludzie nie rodzą się homoseksualistami, a raczej

„nabywają wyuczonej preferencji". Terapeutów wierzących w genetyczne predyspozycje do homoseksualizmu upominali, że „nie mogą dłużej ślepo wspierać kulturowych idei wyraźnie opartych na kapryśnych założeniach, domysłach albo niepotwierdzonych naukowo stwierdzeniach". Nie potrafili jednoznacznie określić, dlaczego wierzą, że homoseksualizm to „wyuczona preferencja" poza tym, iż „aktualnie nie istnieje żaden przekonujący dowód" na podłoże genetyczne.

Przypadki zmiany orientacji seksualnej otaczała jeszcze większa aura tajemnicy niż ta zazwyczaj towarzysząca działaniom kliniki. Większość pracowników nigdy nie spotkała żadnego pacjenta w czasie trwania badań, czyli między 1968 a 1977 rokiem. Terapeutka Rose Boyarsky podsłuchała klientów rozmawiających o przejściu na heteroseksualizm, ale powiedziano jej, że nagrania z tych sesji były przechowywane w ukrytej piwnicy w domu Mastersa i Johnson. Lynn Strenkofsky, która planowała grafik wizyt w tamtym okresie, twierdziła, że nigdy nie miała do czynienia z takimi przypadkami. Terapeutka Mary Erickson wyjaśniła, że tych kilka par homoseksualistów zapisanych do kliniki „chciało porady w kwestii swojego związku i rozwiązania problemów ich pożycia, a nie zmiany orientacji seksualnej". Doktorzy Marshall i Peggy Shearer, prawdopodobnie najbardziej doświadczeni terapeuci w klinice na początku lat siedemdziesiątych, oświadczyli, że nigdy nie leczyli homoseksualistów i w zasadzie nic nie słyszeli o zmianach orientacji. Najwyraźniej krąg wtajemniczonych był tak wąski, ponieważ Masters, zazwyczaj bardziej otwarty niż Johnson, nie chciał słuchać uwag na temat terapii. „Niewątpliwie nie zgadzałem się z tym i szczerze mu powiedziałem, że terapia jest absolutnie złym pomysłem na rozwiązanie problemu – wyjaśnił doktor Roger Crenshaw, psychiatra pracujący w klinice na początku lat siedemdziesiątych. Ostatecznie pracownicy nauczyli się nie dyskutować na ten temat z Mastersem, a jego determinacja stała się dla nich źródłem żartów. „Wystarczyło, żeby Bill na kogoś spojrzał i polecił, żeby miał erekcję, i to natychmiast się działo", powiedział J. Robert Meyners ze śmiechem. Meyners

ostatecznie został prawą ręką dyrektora placówki w latach osiemdziesiątych.

Na początku Kolodny nie kwestionował możliwości leczenia każdego przypadku. Mając dobre oko do szczegółów, bardzo sumiennie przejrzał dokumentację pacjentów z dwóch poprzednich książek, wysłuchał wielu nagrań i zdobył pewność w kwestii wyników. „Byłem gotowy uwierzyć, że jeśli Bill jest przekonany o skuteczności terapii zmiany orientacji, to kto mógłby temu zaprzeczyć?", powiedział. Kolodny usłyszał te same mgliste wyjaśnienia dotyczące terapii przeprowadzanej sekretnie w Ladue. „Od 1968 roku, kiedy zacząłem z nimi pracować, nie przypominam sobie ani jednego przypadku homoseksualnej pary leczonej w klinice w celu zmiany orientacji – powiedział. – Kiedy zapytałem Billa o dokumentację, powiedział, że nie trzymają jej tam. Żaden z pracowników nie słyszał dyskusji o pacjentach poddających się tej terapii ani nie brał w nich udziału. I właśnie to mnie niepokoiło, gdy Bill oznajmił, że pisze książkę".

Kiedy zbliżała się data premiery, poprosili Kolodny'ego o pomoc w przygotowaniach. Później w podziękowaniach znalazł się następujący fragment: „za umiejętności Roberta C. Kolodny'ego, który sumiennie ocenił ten tekst". Zdając sobie sprawę ze swojego niewielkiego talentu pisarskiego, Masters chciał, żeby Kolodny przejrzał rozsiane po książce, przypominające wkładki opisy pojedynczych przypadków i zredagował je tak, by lepiej się je czytało. Wszystkie ich poprzednie książki zawierały tego typu profile pacjentów, oczywiście bez podawania nazwisk.

Homoseksualizm, ze względu na swoją skomplikowaną naturę, szczególnie wymagał przykładów z prawdziwego życia. W tej publikacji na przykład parze oznaczonej numerem dziesięć poświęcono aż dwie strony, gdzie opisano historię R, trzydziestoletniego geja z kategorii sześć według Kinseyowskiej skali. W tej opowieści R był „całkowicie oddany homoseksualizmowi", tego stopnia, że „kiedy tego potrzebował, pojawiał się w lokalnych barach i publicznych toaletach". Później R poznał dwudziestotrzyletnią kobietę i „zakochał" się w niej – łączyło go

z nią wiele zainteresowań, w tym gra na pianinie. W końcu zamieszkał z tą całkowicie heteroseksualną kobietą (zero w skali Kinseya) i po dziesięciu miesiącach wzięli ślub. Jednak po kolejnych osiemnastu wciąż nie doszło do skonsumowania małżeństwa. „Mimo wszelkich seksualnych starań ze strony żony, R nie mógł wywołać i utrzymać erekcji", napisano we wkładce. W swoim komentarzu Masters i Johnson tak podsumowali swój sukces w leczeniu R i jego żony:

> Przeszedł zmianę orientacji. Zaczął z powodzeniem funkcjonować jako heteroseksualista dziesiątego dnia terapii. Później nie doszło do żadnych szczególnych wydarzeń. W rodzinie urodziły się dzieci, R odnosi sukcesy jako psycholog kliniczny, a oboje z żoną deklarowali w pełni funkcjonalne małżeństwo. Oczywiście ta historia jest wyjątkiem, nie regułą, jeśli mówimy o związku mężczyzny z szóstką w skali Kinseya z kobietą z zerem. Jak podkreślaliśmy wcześniej, ograniczone możliwości zmiany orientacji są zależne nie tylko od motywacji pacjenta, ale także potencjalnych korzyści, jakich może się spodziewać po terapii.

Kiedy Kolodny poprosił o udostępnienie dokumentacji, żeby wysłuchać nagrań z terapii tych przypadków, spotkał się z odmową. Jak doskonale wiedzieli zarówno pracownicy, jak i pacjenci kliniki, wszystkie sesje terapeutyczne były na wszelki wypadek nagrywane. „Gdyby klient oskarżył terapeutę o molestowanie albo cokolwiek innego, mieliśmy nagranie, a oni też zdawali sobie z tego sprawę – wyjaśnił Kolodny. – Bill uważał, że to bardzo dobre zabezpieczenie". Dlatego Kolodny'emu wydało się dziwne, że w takich nieprzewidywalnych przypadkach niczego nie nagrano.

Z czasem Kolodny zaczął podejrzewać, że niektóre z sześćdziesięciu siedmiu przypadków są nie do końca prawdziwe. Szczegóły powstały na podstawie wspomnień Mastersa albo zupełnie je zmyślono. „Byłem wtedy przekonany, i nie zmieniło się to przez te dwadzieścia siedem lat, że w rzeczywistości leczyli mniejszą liczbę pacjentów niż to podali w książce – powiedział Kolodny. – Dokonali pewnej przesady albo fałszerstwa przy jej tworzeniu, by uczynić publikację bardziej przekonującą". Chociaż Kolodny był najbliższym współpracownikiem Mastersa i bardzo go podziwiał, nie potrafił tego inaczej wytłumaczyć.

Część jego pracy polegała na ocenie zgłoszeń pacjentów i pomocy przy delegowaniu terapeutów, a jednak nigdy nie widział żadnego przypadku zmiany orientacji.

Po otrzymaniu szkicu publikacji Kolodny starał się poprawić styl i zwiększyć wiarygodność wkładek z historiami pacjentów. „Kiedy je przeczytałem, powiedziałem Billy'emu, że brzmiały nieprawdopodobnie i wyglądały tak samo. Dlatego postaraliśmy się nadać im nieco koloru – powiedział Kolodny. – Sięgnęliśmy po rzeczy niemające żadnego związku z przypadkiem. Dodawaliśmy to tu, to tam po jednym zdaniu, nie opierając się zupełnie na faktach. I tak te fragmenty powstały – jako mieszanka różnych przypadków. Chodziło o poprawienie atrakcyjności tekstu".

Kolodny wreszcie zdał sobie sprawę z rozmiarów problemu i zgłosił się w tej sprawie prywatnie do Johnson. Bardzo ostrożnie rozpoczął rozmowę, nie potrafiąc przewidzieć jej reakcji. W tamtym okresie Kolodny'ego uważano za protegowanego Mastersa – młodego lekarza, który kiedyś przejmie stery. Relacje między nim a Johnson nigdy nie były zażyłe i opierały się głównie na zaufaniu do Mastersa. Wygłoszenie tak poważnej krytyki na temat jej męża (i to za jego plecami) mogło się spotkać nawet z gniewem Gini. Kiedy jednak Kolodny powiedział jej wszystko, Johnson natychmiast przyznała, że wie o problemie. Ona również miała podobne przypuszczenia na temat teorii przemiany. „Dokładnie wiedziała, co mam na myśli – wyjaśnił Kolodny. – Gini nie podobała się ta książka. Czuła się, jakby została przywiązana do torów kolejowych. Powiedziałem jej bardzo wyraźnie, jaka będzie reakcja na ich podręcznik: znawcy ją wyśmieją, opinia publiczna się oburzy, pojawią się oskarżenia o arogancję i brak obiektywizmu, ataki ze strony organizacji gejowskich, psychiatrów, każdego prócz może dewotów, którzy stwierdzą »Widzicie? Zawsze powtarzaliśmy, że oni się mogą zmienić, jeśli tylko zechcą!«".

Perspektywa publicznego upokorzenia i oskarżenia o oszustwo bardzo zaniepokoiła Johnson. Całe swoje dorosłe życie musiała znosić przytyki na temat wykształcenia i kwalifikacji. Miała znacznie lepsze

pojęcie o świecie niż Masters i zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą promowanie niesprawdzonej teorii. Ze łzami w oczach powiedziała Kolodny'emu, że nie może dopuścić, by jej nazwisko pojawiło się na okładce.

– Nie chcę, żeby mnie osądzano albo pamiętano z powodu tych głupot – jęczała niemal teatralnie. – To stek bzdur! Wszystko zmyślił!

Przez jakiś czas zastanawiała się nad usunięciem własnego nazwiska z listy autorów i dodania informacji, że książka powstała na podstawie badań przeprowadzonych wspólnie z nią. Jednak taka zachowawczość tylko zwiększyłaby sceptycyzm wobec publikacji. Być może, jeśli starczy czasu, najpoważniejsze wady da się jeszcze naprawić albo złagodzić, kombinowała.

– Nie mogę z nim o tym porozmawiać – zwierzyła się Johnson Kolodny'emu w rzadkiej chwili słabości. – Nie możemy dłużej się o to spierać, bo już mamy za sobą kilka poważnych kłótni, a ja muszę z nim żyć. Ty powinieneś z nim o to zawalczyć.

Kolodny spisał swoje obawy, po przyjacielsku, ale bezpośrednio. W sierpniu 1978 roku wysłał dwie duże, zapisane odręcznie kartki do Mastersa, poruszając w nich temat drugiej wersji manuskryptu. Powtórzył wcześniejsze ostrzeżenia, że rozdziały dotyczące zmiany preferencji seksualnych wymagają poprawek. „Jestem jeszcze mocniej przekonany, że ich obecny kształt nie nadaje się do publikacji i że staną się pożywką dla krytyków, którzy chcieliby zniszczyć twoją reputację i zakwestionować wartość twoich odkryć", napisał Kolodny do swojego wieloletniego mentora i źródła inspiracji. Kiedy Masters przeczytał list Kolodny'ego, odrzucił wszelkie rady. Nie po to pracował tak ciężko i podróżował tak daleko, żeby teraz pozbawiono go należnej mu nagrody – zwieńczenia trwających lata badań nad ludzką seksualnością. Ich rozmowa przerodziła się w zajadłą kłótnię i ostatecznie przeniosła do gabinetu Johnson. Ani ona, ani Kolodny nie mogli przekonać Mastersa.

– Te materiały są bardzo istotne – upierał się Bill. – Musimy pokazać światu, że potrafimy to zrobić. To jedyny logiczny finał naszej trylogii,

którą od samego początku planowaliśmy wydać.

Za zgodą Johnson Kolodny porozmawiał z ich wydawcą na temat ewentualnego przesunięcia premiery książki, ale okazało się, że jest już za późno.

– To zła książka – stwierdziła po latach Johnson. – Kolodny też nie mógł tego przeżyć. Powiedziała, że wolałaby ją przepisać i poprawić w całości, „żeby wpasować ją w ramy już istniejącej literatury medycznej" i bała się, iż Masters zwyczajnie nie miał pojęcia, o czym mówi. Najgorszy był, jak stwierdziła, fakt, że „Bill w tamtym okresie był bardzo kreatywny w kwestii zbierania historii przypadków".

Kiedy ruszyła machina wydawnicza, Johnson i Kolodny'emu pozostało już tylko mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, bo żadne z nich nie chciało otwarcie występować przeciwko Mastersowi. „Gini umyła ręce – powiedział Kolodny. – I tak w końcu książka została opublikowana w takim kształcie, w jakim sobie życzył Bill, a ja w zasadzie zostałem zignorowany".

Homosexuality in Perspective pojawiło się w atmosferze ogromnych nadziei. Sprytny wydawca już wcześniej udostępnił jej zawartość dziennikarzom z „Time", którzy ogłosili jej publikację z fanfarami i przychylnym materiałem o dobrej reputacji pary badaczy. „Nie ma wątpliwości – ogłosił magazyn – że tworzą prawdziwy fenomen".

Tak jak wiele innych czasopism, „Time" zaczął od wyliczenia sukcesów Mastersa i Johnson w późnych latach siedemdziesiątych: sprzedaż siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy książki, obserwacja ponad dziesięciu tysięcy orgazmów w czasie badań oraz leczenie dwóch i pół tysiąca „dysfunkcjonalnych seksualnie" par z ponad osiemdziesięcioprocentowym powodzeniem. Tak jak w przypadku ich wcześniejszych książek, „Time" zwrócił uwagę na identyczny wymęczony styl, z takimi frazami jak „sposobność podejścia do stymulacji" w opisie gry wstępnej czy „wokalizowanie uwag w kwestii wydajności", (czyli rozmowy o seksie). Oprócz tego skrytykowano książkę za to, że „nie ma praktycznie nic do powiedzenia

na temat psychologii, etyki i pochodzenia homoseksualizmu". Jednak to był tylko wstęp do o wiele poważniejszego ataku. Recenzja z „Los Angeles Times" określiła publikację jako „pełną niesłusznych przekonań" i otwarcie kwestionowała prawdziwość statystyk zmiany orientacji. Podsumowując ogólne przesłanie książki, autor żartował: „Przemiana w heteroseksualistę jest możliwa w więcej niż połowie przypadków. Możesz to zrobić, jeśli zechcesz". Najbardziej bolesne uwagi popłynęły ze strony naukowców i lekarzy, którzy kwestionowali metody doboru pacjentów i wartość wyników. Jeśli badanie opierało się na homoseksualistach gotowych wydać dwa i pół tysiąca dolarów na dwutygodniową terapię, by „odwrócić" swoją orientację, „w rezultacie otrzymujemy beznadziejnie tendencyjną próbkę przypadków dobranych tak, by gwarantowały sukces", powiedział John Money ze Szkoły Medycznej Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, ekspert w dziedzinie identyfikacji seksualnej. Nawet Judd Marmor, były przewodniczący Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, który kilka lat wcześniej prosił Mastersa o pomoc w usunięciu homoseksualizmu z listy chorób psychicznych, kwestionował wyniki przedstawione w książce. „Szczerze wątpię, żeby dało się zmienić orientację osób z szóstką Kinseya w dwa tygodnie", powiedział.

Kontrowersje związane z terapią zmiany orientacji trwały jeszcze długo. Liczni szarlatani i fanatycy religijni, opierając się na wynikach Mastersa i Johnson, tworzyli programy mające „wyleczyć" homoseksualistów. Przez trzy następne dekady założyciel Chrześcijańskiej Koalicji, Pat Robertson, oraz wielebny Jerry Falwell, a także wielu innych wspierali programy mające na celu zmianę grzesznych homoseksualistów w pobożnych heteroseksualistów. W 2006 roku Katolickie Towarzystwo Medyczne oznajmiło, że badania naukowe, w tym projekt Mastersa i Johnson, „zaprzeczają mitowi, jakim jest stwierdzenie o genetycznej predeterminacji i niezmienności orientacji homoseksualnej, i dają nadzieję na zapobieganie jej i leczenie". W czasie kampanii prezydenckiej w 2008 roku kościół w Alasce, do którego uczęszczała kandydatka na wiceprezydenta

z ramienia republikanów, Sarah Palin, promował lokalną konferencję na temat możliwości zmiany orientacji gejów i lesbijek przez modlitwę. Za jej przeprowadzenie odpowiedzialna była organizacja chrześcijańskich fundamentalistów Focus on the Family pod kierownictwem doktora Jamesa Dobsona. „Badacze seksu, Masters i Johnson (w oczach przeciętnego obywatela w żadnym wypadku typowa para!), ogłosili, że przekonanie o »niezmienności orientacji seksualnej« jest »zdecydowanie dyskusyjne«", twierdzili ludzie Dobsona na swojej stronie internetowej, cytując *Homosexuality in Perspective* niemal trzy dekady po jej publikacji. Tymczasem niemal wszystkie grupy zawodowe związane z medycyną opowiedziały się przeciwko terapii i zwróciły uwagę, że nie udało się powtórzyć jej wyników w innych badaniach. W 2007 roku Amerykańskie Towarzystwo Medyczne oficjalnie sprzeciwiło się „wykorzystywaniu terapii zmiany orientacji seksualnej, opartej na przeświadczeniu, że homoseksualizm jest chorobą psychiczną albo odgórnemu założeniu, iż pacjent powinien zostać heteroseksualistą". Paul Gebhard z Instytutu Kinseya zastanawiał się, dlaczego nikt nie powstrzymał Mastersa przed takim upokorzeniem. „Bardzo się wtedy rozczarowałem Billem i Gini – wyznał Gebhard, rozmawiając o ich trzeciej książce. – Darzę Kolodny'ego ogromnym szacunkiem i dziwię się, że nie oponował przed tym »leczeniem« homoseksualistów".

Masters był przekonany, że ich trzeci podręcznik w końcu zostanie zaakceptowany, tak jak dwa poprzednie. Wierzył, że większość głosów krytyki pochodziła ze światka freudowskich psychoanalityków, którym dwutygodniowa terapia wydawała się zbyt prosta, niepozwalająca na poznanie seksualności pacjenta. Mimo wszystkich ograniczeń terapii, z których wiele przyjmował do wiadomości, Bill Masters czuł, że ich metody dawały pacjentom więcej nadziei i wolności niż psychoanaliza.

– Krytycy bazują na przestarzałych konceptach – mówił z lekceważeniem prasie. – Pokazujemy wyniki dziesięciu lat pracy i kolejnych pięciu obserwacji. I to działa.

Najbliżsi współpracownicy, w tym Kolodny, wciąż najwyraźniej niedowierzali, że Masters mógł tak twardo upierać się przy swoich teoriach zmiany orientacji, tracąc przy tym całą wiarygodność. W przeszłości Bill był wizjonerem o nieco kontrowersyjnych przekonaniach, ale zawsze zaopatrzonym w bogactwo dowodów. Jak mógł narazić Instytut na takie niebezpieczeństwo? Media powtarzały argumenty krytyków, ale nigdy nie atakowały fundamentalnej integralności książki. Nikt nie miał pojęcia o nastrojach panujących w klinice. „W tamtej chwili w zasadzie doszedłem do wniosku, że teorie Billa na temat terapii zmiany orientacji to raczej produkt jego wyobraźni, a nie udokumentowane badania naukowe, co naprawdę zbiło mnie z tropu – wyjaśnił Kolodny, omawiając możliwe konsekwencje publikacji. – Wyraźnie było widać zmianę w generalnym odbiorze ich pracy przez światek medycyny i opinię publiczną".

Upokorzona i zdenerwowana całym doświadczeniem Johnson obiecała sobie nigdy więcej nie pozwolić, by Masters postawił ją w takiej sytuacji. Na początku lat osiemdziesiątych postanowiła częściej pojawiać się w klinice. „Gini czuła, że Bill zaczyna nieco szarżować i nie można go pozostawić samemu sobie – podsumował Kolodny. – I z pewnością starała się odzyskać nieco kontroli nad Instytutem". Ta zmiana rozkładu sił stała się bardziej widoczna w 1982 roku, kiedy Instytut Mastersa i Johnson przeniósł swoją siedzibę z 4910 Forest Park Boulevard do nowego, eleganckiego budynku nieopodal. Johnson nadzorowała całe przedsięwzięcie i opiniowała plany. Od tej pory nikt nie miał wątpliwości, gdzie będą podejmowane najważniejsze decyzje. „Gini zajęła większy, ładniejszy gabinet, Billowi dała znacznie mniejszy – wyjaśnił Kolodny. – Bardzo symboliczne posunięcie".

Kiedy ludzie z zewnątrz zwracali uwagę na tę zamianę ról, Masters próbował żartować.

– Zatrudniłem ją kiedyś, a teraz sam dla niej pracuję, ale nie przeszkadza mi to – odparł w rozmowie z dziennikarką z St. Louis. – Byłem najgorszym administratorem świata. Cieszy mnie zajmowanie się naukową stroną przedsięwzięcia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Obietnica przyszłości

Virginia Johnson, ubrana w czarną suknię i z Billem u boku, wkroczyła do eleganckiej hotelowej sali balowej niczym królowa, pławiąc się w pełnych podziwu spojrzeniach prawie czterystu gości, którzy oklaskiwali jej wejście. Masters i Johnson cieszyli się uznaniem w całym kraju, ale nigdzie jeszcze nie doświadczyli takiego przyjęcia, jak w swoim St. Louis. Nawet Masters, zazwyczaj widywany z grobową miną, nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu.

W hotelu Park Terrace Hilton orkiestra grała ciche werble, kiedy mistrz ceremonii zaanonsował nowo przybyłych. Przez cały listopadowy wieczór 1984 roku w sali panowała atmosfera od dawna należącego się im uznania, obejmująca także oświadczenie gubernatora stanu Missouri, republikanina Kita Bonda. Jednymi z ważniejszych gości tego kosztującego dwieście pięćdziesiąt dolarów od osoby przyjęcia byli lokalny kongresmen, George Hoblitzelle, którego córkę odebrał na świat Masters, a także nowa szefowa „Playboya", Christie Hefner, członkini zarządu. „Dwoje najbardziej znanych mieszkańców St. Louis jeszcze nie zostało należycie uhonorowanych w tym miejscu – oświadczył zebranym gościom rektor Uniwersytetu Webstera, Leigh Gerdine, organizator przyjęcia – chociaż reszta świata od dawna bije im brawo".

Dwudziesta piąta rocznica opublikowania badań Mastersa i Johnson należała do Virginii. Zadbała o każdy szczegół, od stołów przykrytych burgundem z dużymi kryształowymi dzbanami na róże i białe gardenie, aż po tłum fotoreporterów nieustannie pstrykających zdjęcia. Teraz nie tylko zajmowała się prowadzeniem kliniki, ale także ich wizerunkiem. Świadkowie nie mogli się nadziwić, że trzech najważniejszych mężczyzn w jej życiu – doktor Masters, sędzia Noah Weinstein oraz były mąż, Goerge Johnson, którego orkiestra grała tamtego wieczoru – tak dobrze się ze sobą dogaduje. „To wtedy po raz pierwszy spotkałem pana Johnsona. Wyglądał jak jeden z tych ludzi na statku, którzy cały czas się uśmiechają", wspominała June Dobbs Butts. Tamtego pięknego wieczoru wszystkie złe wspomnienia z St. Louis zniknęły. W zapomnienie poszły telefony z pogróżkami, afronty naukowców, wystudiowany dystans Uniwersytetu Waszyngtońskiego, złośliwe insynuacje i plotki o bezeceństwach mających miejsce za zamkniętymi drzwiami. Nawet jeśli hołd złożony przez miasto był fałszywy, Masters i Johnson okazali wdzięczność.

– Zawsze czuliśmy, że słusznie wybraliśmy Środkowy Zachód na miejsce naszych badań – powiedziała Virginia największej gazecie w mieście, „St. Louis Post-Dispatch".

Przemowa Mastersa brzmiała jak pożegnanie. Zbliżał się właśnie do siedemdziesiątki, jego oczy wydawały się bardziej puste i odległe, ramiona zgarbione. Muszka teraz zwisała z szyi niczym zwiędły kwiat.

– Czas zrobił swoje – powiedział cicho do mikrofonu. – Żyję już wystarczająco długo. Moi oponenci nieco osłabli, niektórzy nawet milczą jak grób.

Tłum zafalował ze śmiechu z niezbyt wyrafinowanej, ale prawdziwej oceny jego krytyków. Mówił z pozycji człowieka spełnionego.

– Nadszedł czas zrobić miejsce młodszym – oznajmił gościom. – Prawdopodobnie zrobię to w kiepskim stylu, ale już trzeba.

Johnson z kolei patrzyła w przyszłość. W wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat przeżywała najwspanialsze chwile swojego życia, zbierając uznanie i zbijając fortunę, o jakiej wielu w jej zawodzie

mogłoby tylko pomarzyć. Jej mąż może i zdawał się przechodzić na emeryturę, ale Johnson, równie pełna życia co zawsze, nie była gotowa na odejście.

– Wydaje mi się, że Bill faktycznie tęskni za wygrzewaniem się na plaży – stwierdziła – ale nie na tyle, by porzucić coś, co dobrze prosperuje.

Dla coraz bardziej zaabsorbowanych seksem mediów Virginia pozostawała fascynującą postacią, dojrzałą i światową kobietą, która wydawała się wiele rozumieć z największych tajemnic życia. „Zaczęła mówić o seksie w czasach, kiedy było to rewolucyjne", napisała Helen Gurley Brown, wtedy redaktor naczelna „Cosmopolitan", która poprosiła Virginię o rozmowę o jej życiu prywatnym. „Była silna, mądra i przekonująca. Miała wszystko to, o czym mówiliśmy przy omawianiu kobiecej seksualności".

Pisarz Gay Talese, przygotowując swoją książkę *The Neighbor's Wife* (z ang. „Żona sąsiada"), opowieść o amerykańskiej rewolucji seksualnej z pierwszej ręki, próbował kilka lat wcześniej namówić Mastersa i Johnson na wyznania na temat wspólnego życia.

– Jak często się kochacie? – zapytał po tym, jak skończyli przemowę przed zjazdem Amerykańskiego Towarzystwa Redaktorów Gazet.

Johnson uśmiechnęła się, jakby rozmawiała z niegrzecznym chłopcem.

– Któż to liczy? – odparła skromnie.

Kilkuset zachwyconych dziennikarzy zaczęło klaskać.

Nazwiska Mastersa i Johnson pojawiały się wszędzie, a jednak trudno było namierzyć ich samych. Sława badaczy stała się pożywką dla kabareciarzy i rysowników żartobliwych komiksów. „Patrz, przyjacielu, ludzie jadą do St. Louis z innych powodów niż na wizytę do Mastersa i Johnson", brzmiał podpis kreskówki z „New Yorkera", jednego z wielu rysunków oprawionych w ramy i zawieszonych na ścianach kliniki. Na innym lekarz w białym kitlu informował patrzącą na niego sceptycznie kobietę: „Cóż, maszyna twierdzi, że go miałaś!". Jeszcze inny pokazywał dwie kobiety w średnim wieku spoglądające przez okno księgarni na

egzemplarz *Współżycia seksualnego człowieka*. „Z moim Haroldem – zauważyła jedna – jakikolwiek przejaw życia byłby dobry!”.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Masters i Johnson otrzymywali liczne propozycje występów. Nie przystali jednak na zaproszenie Johnny’ego Carsona prowadzącego nadawane późnym wieczorem show („Nie chcieliśmy pojawić się między Jackie Mason i tancerką stepu”, wyjaśniła Virginia) ani Mike’a Wallace’a z *60 Minutes*. Zamiast tego pojawili się w porannym programie Phila Donahue z Chicago oraz Mike’a Douglasa z Filadelfii, gdzie czuli się bardziej swobodnie. Tematyka seksu w środku dnia działała na publikę w pewien podniecający sposób. Chociaż dzienna telewizja wciąż była stateczna (a już na pewno w porównaniu do tabloidów z późniejszych lat), Donahue uznał Mastersa i Johnson za dobry sposób na podniesienie oglądalności. „Ciągle do nas wydzwaniał”, skomentowała Johnson zachowanie sympatycznego gospodarza z białą czupryną i szerokimi okularami w stylu lotników. Zdaniem Virginii zachowywał się jak lizus. „Łatwo wywoływał u ludzi zażenowanie”, stwierdziła.

Podczas gdy Masters w czasie telewizyjnych wywiadów zachowywał dystans i chłód, Johnson uwielbiała grać gwiazdę i cieszyła się z ogromnego zainteresowania opinii publicznej. „Muszę przyznać, że faktycznie odczuwałam dość wyraźną potrzebę bycia sławną i sprawiało mi to ogromną przyjemność”, wyznała, wspominając, że nawet taksówkarze w Nowym Jorku znali jej nazwisko.

Sława jednak nigdy nie przekładała się na finanse. Na początku lat osiemdziesiątych Instytut Mastersa i Johnson zaczął przynosić straty, a dwójka właścicieli nie potrafiła wyprowadzić go z dołka. W 1983 roku placówka zaliczyła już dwieście dwadzieścia sześć tysięcy dolarów deficytu, a w następnym roku, mimo podwyżki opłat za terapię, ledwo udało się im zarobić na czynsz i wynagrodzenie dla pracowników. Rosnąca liczba klinik terapii seksualnej w kraju sprawiła, że drogie leczenie w St. Louis przestało być potrzebne. Kiedyś pacjenci musieli czekać na wizytę nawet kilka miesięcy, teraz zaś raptem kilka tygodni.

Prawie osiemdziesiąt pięć procent klientów najpierw szukało pomocy gdzie indziej. Pacjenci cierpiący na tak powszechne „dysfunkcje", jak oziębłość i przedwczesny wytrysk, znacznie swobodniej mówili o tego typu sprawach niż ci z poprzedniego pokolenia. Nauczyli się leczyć sami, czytając podręczniki kupione w miejscowej księgarni, albo zgłaszali się do swojego lekarza pierwszego kontaktu bądź terapeuty. Tak naprawdę, choć podczas obchodów dwudziestej piątej rocznicy podkreślano wagę odkryć Mastersa i Johnson, głównym powodem ich zorganizowania było zebranie pięciu milionów dolarów dzięki szeregowi przyjęć, najpierw w St. Louis, a potem w Nowym Jorku, Los Angeles i innych miastach. Wsparcie finansowe od państwa dla badań seksuologicznych wciąż pozostawało praktycznie zerowe, podobnie jak we wcześniejszych latach. Jak poinformowała publiczność tamtej nocy Johnson, dary gości pomogą im kontynuować „odważną i ryzykowną pracę, której być może nikt inny się nie podejmie".

Badacze nieustannie musieli się martwić o pieniądze, a w tej sytuacji nie pomagał im brak zdolności biznesowych. Jak wyjaśniła Donna Wilkinson, „nie lubili prosić o wsparcie finansowe, a trudno je zdobyć, o nie nie prosząc". W 1983 roku zarząd Instytutu wreszcie zgodził się na bardziej zorganizowaną akcję zbierania funduszy. „Musieliśmy zadbać o to, by Instytut funkcjonował dalej, w razie gdyby postanowili przejść na emeryturę", powiedział Daniel J. Sullivan, pierwszy dyrektor do spraw rozwoju kliniki w czasie akcji zdobywania funduszy. Jednak trudno było wskazać odpowiednie źródła finansowania poza kilkoma wdzięcznymi pacjentami. Kiedy proponowano różne przedsięwzięcia biznesowe związane z ich pracą, Masters i Johnson często odmawiali, tak jak w przypadku sugestii Kolodny'ego o franczyzie. W latach osiemdziesiątych, kiedy w domach pojawiły się magnetowidy, wypłynęła warta półtora miliona dolarów propozycja nagrania serii filmów instruktażowych dla Time-Life, pokazujących ich słynne metody. Jednak para badaczy uznała, że to za mało. Chociaż klinika była już na minusie, martwili się, że sprzedadzą się zbyt tanio. Masters słuchał ostrożnych rad prawnika Instytutu, Waltera Metcalfe'a,

i wydawał się w ogóle niezainteresowany propozycją, Johnson zaś najwyraźniej zajmowała się czymś innym.

Para badaczy przez cały czas obawiała się, że zostanie wykorzystana przez kogoś, kto zechce zarobić na nich pieniądze. Terapia seksualna faktycznie wymagała pewnej dozy ostrożności i uzasadnionych wątpliwości, jednak obawy Mastersa i Johnson czasami sprawiały przykrość ich bliskim współpracownikom, którzy naprawdę starali się pomóc. Na przykład w latach siedemdziesiątych Marshall i Peggy Shearer poinformowali Mastersa, że zamierzają wydać książkę *Rapping About Sex* („Rapując o seksie"), opartą na ich wcześniej zarejestrowanych dyskusjach ze studentami. Na tylnej okładce planowali wspomnieć o ich aktualnej współpracy z kliniką Mastersa i Johnson, ale Billowi ten pomysł się nie spodobał. „Uważał, że chcemy wykorzystać ich nazwiska dla własnej korzyści", wyjaśniła Peggy. Marshall przekonywał, że każdy autor opisuje swoje naukowe pochodzenie na okładce, jednak Masters pozostawał niewzruszony. Kilka miesięcy później Shearerowie zdecydowali się powrócić do Michigan, mimo próśb Mastersa i Johnson o pozostanie w St. Louis.

Kolodny nic by nie zyskał na nagraniu filmów instruktażowych, może tylko zapewnienie Instytutowi przyszłości – w końcu pracował w nim od ponad dziesięciu lat. Dorobił się funkcji dyrektora zarządzającego szkoleniami, został też zwierzchnikiem Joan Bauman i innych zajmujących się sekcją badań endokrynologicznych, która przyglądała się wpływowi na funkcje seksualne leków i takich chronicznych chorób, jak cukrzyca, rak i nadciśnienie. Kolodny był nie tylko utalentowanym lekarzem, ale też biznesmenem i pisarzem. Zebrał materiały z seminarium Mastersa i Johnson z 1977 roku do książki na temat etyki w terapii seksualnej i współpracował z nimi przy wielu innych tytułach, w tym przy podręczniku seksuologii dla college'ów. Po latach w swojej niepublikowanej autobiografii Masters nazwał Kolodny'ego „niezwykle utalentowanym człowiekiem" i przyznał: „Stworzył większość tekstu kilku książek, które razem opublikowaliśmy".

Przez lata Masters uznawał Kolodny'ego za swojego następcę, „oczywistego spadkobiercę", jak nazwał go „Time", chociaż Johnson nie podobała się ta zmiana. Jednak nie posiadając żadnego dyplomu, musiała polegać na pomocy licencjonowanego lekarza – albo Kolodny'ego, albo kogoś o podobnych kwalifikacjach – który pomagałby jej nadzorować klinikę, gdy mąż przejdzie na emeryturę. Nie mogła robić tego sama, nawet jeśli Masters coraz mniej miał do powiedzenia w kwestii codziennych działań kliniki i pozwolił żonie na dużą swobodę w sprawach związanych z medycyną. Po latach towarzyszenia Mastersowi na spotkaniach naukowych, Kolodny cieszył się w światku zawodowców pozycją, która stawiała go niemal na równi z Virginią, zwłaszcza po wygraniu prestiżowej nagrody krajowego środowiska lekarskiego. „Dało się wyczuć pewne napięcie – wyjaśniła Donna Wilkinson, która z początku uważała, że tarcia między Johnson i Kolodnym są naturalne, jak dla wszystkich ludzi bardzo inteligentnych i ambitnych. – Bob zaczął cieszyć się sporym uznaniem, zupełnie zasłużenie. Nie stanowił żadnego zagrożenia dla Billa, ponieważ ten uważał go za swojego ucznia; inaczej miało się to do przypadku Gini".

Kolodny – wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z wąsami, które zapuścił, by wyglądać na nieco starszego – szczycił się tym, że odebrał edukację u najlepszych: na Harvardzie i pod skrzydłami Mastersa, swojego idola i mentora. Wypowiadał się z precyzją i miewał problemy z ukrywaniem pogardy dla mierności działań pracowników albo braku profesjonalizmu Johnson. Z napisanych wspólnie książek, jak twierdził, „Gini chyba nie przeczytała ani jednej". Chociaż kilku terapeutów kliniki było bardzo utalentowanych, Kolodny nie potrafił zrozumieć, dlaczego wielu nie posiadało solidnego wykształcenia medycznego, niezbędnego do powodzenia Instytutu. Niektórzy nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z terapią, a jeszcze inni niewiele wiedzieli o ludzkiej psychologii czy anatomii, zaś paru zajmowało się w przeszłości bardzo odległymi dziedzinami, na przykład teologią. „Pewien poziom kompetencji jest kosztowny, a nie wydaje mi się, by Masters i Johnson chcieli pozwolić innym błyszczeć", powiedziała Wilkinson, która

podziwiała profesjonalizm Kolodny'ego. Jednak wkrótce Robert zyskał rywala w postaci Marka Schwartza – długowłosego blondyna z chłodnym, pewnym siebie usposobieniem – który dołączył do kliniki w połowie lat siedemdziesiątych. Doskonałe umiejętności terapeutyczne i doktorat z psychologii na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa czyniły z niego prawdziwą alternatywę dla Kolodny'ego. „Wszyscy spodziewali się, że to Kolodny zastąpi Mastersa, ponieważ on sam o tym mówił, ale kiedy pojawił się Mark, wytworzyło się pewne napięcie, bo moim zdaniem Mark również uważał się za przyszłego spadkobiercę", wyjaśniła Mae Biggs, która pracowała dla obu terapeutów.

Jako zaufany doradca, Kolodny został pewnego razu poproszony przez Mastersa, by zwrócił mu uwagę, gdyby zaczął za bardzo naginać zasady albo czas pozbawił go niezbędnej do pracy kondycji fizycznej i psychicznej. Wkrótce po powrocie z Harvardu w 1972 roku, jak opowiedział Kolodny, Masters rozmawiał z nim metaforycznie o starzejących się graczach futbolu, którzy nie wiedzieli, kiedy zakończyć karierę. W czasie długiego wywodu wspomniał też chirurgów, którzy dzierżyli skalpel dłużej niż powinni. Potem złapał Kolodny'ego za przedramię i spojrzał mu prosto w oczy.

– Wymagam od ciebie, byś to dla mnie zrobił – powiedział szczerze. – Będziemy razem pracować bardzo długo. Jeśli zobaczysz, że zaczynam tracić kontrolę, masz mnie posadzić na fotelu i nakazać przejście na emeryturę. Na ciebie spada odpowiedzialność powstrzymania mnie przed narobieniem sobie wstydu.

Chociaż ten monolog wydawał się dramatyczny, Kolodny zdawał sobie sprawę, że pewność siebie i przekonanie o własnej wyższości, które towarzyszyły Mastersowi przez całą karierę, nie pozwolą mu na błąd, na bycie gorszą wersją samego siebie. Wraz z wiekiem Bill tracił lotność umysłu, zwłaszcza przed publiką, gdzie kiedyś błyszczał. Kolodny jednak nie miał serca mu tego powiedzieć. A już na pewno, jeśli jego przeznaczeniem było zostać następcą Mastersa, nie mógł nalegać, by ten się zwolnił albo całkiem przestał leczyć; nie bez posądzenia

o nieczyste zagrywki. Poza tym Kolodny czuł, że jego najważniejsza rada, która mogła zaważyć na losach kliniki, pozostała praktycznie zignorowana. Wyraźnie dało się zauważyć jego frustrację, gdy zachęcał Mastersa i Johnson do przeniesienia Instytutu do Nowego Jorku. W stolicy amerykańskich mediów, jak twierdził, ich reputacja zyska, innowacyjne metody terapii zostaną w większym stopniu przyjęte przez środowisko lekarskie, a liczba pacjentów wzrośnie. W okólniku o tytule *Zalety biura w NYC* Kolodny twierdził, że Instytut stanie się „bardziej atrakcyjny dla międzynarodowej klienteli" i że przeprowadzka może „zwiększyć fundusze". Kolodny miał w Nowym Jorku rodzinę, co z pewnością w jego oczach przemawiało za przeprowadzką. Biorąc pod uwagę tendencję Billa i Gini do częstych zmian miejscazamieszkania – sprzedali dom w Ladue, by przenosić się do kolejnych posiadłości w St. Louis – pomysł wydawał się sensowny. Jednak Johnson stwierdziła, że nie ma ochoty na przeprowadzkę do Nowego Jorku, na przenosiny z długoletniej bazy do miejsca, gdzie równie dobrze mogliby się spotkać z falą krytyki, zwłaszcza od zatwardziałych zwolenników Freuda. Mnóstwo nowojorskich terapeutów już korzystało z ich metod, w tym Helen Singer Kaplan w Cornellu, Alex Levay w Columbii oraz Sallie Schumacher na Long Island. Ani Johnson, ani Masters nie mieli ochoty na zaczynanie od początku – nie na tym etapie życia. Oprócz tego pozostawała jedna, niewypowiedziana na głos obawa. Chociaż oboje silnie polegali na Kolodnym, Johnson mu nie ufała. „Jest bardzo sprytny i ma niezwykła potrzebę kontrolowania sytuacji" – powiedziała po latach. „Chciał przenieść klinikę do Nowego Jorku, żeby znaleźć się na swoim terenie. Co ciekawe, cieszyliśmy się, że ją przejmie". Oczywiście pod warunkiem, że zostanie w St. Louis. Gini uważała, że środkowozachodnie korzenie dobrze wpływały na Instytut. „Gdybyśmy mieli powrócić do wschodniej, tradycyjnej medycyny, musielibyśmy przedefiniować naszą działalność i nie jestem pewna, czy by nas dobrze przyjęto", wyznała.

Ostatecznie Kolodny zdecydował się zaplanować własne odejście. W wiadomości do pracowników skrupulatnie wyliczył wszystkie swoje

zadania i niezbędne kwalifikacje następcy. Przeniósł się do Connecticut ze swoją żoną, Nancy, i młodszymi córkami, gdzie otworzyli własną klinikę medycyny behawioralnej. Kolodny zgodził się pozostać członkiem zarządu Instytutu i czasami przylatywać do St. Louis na spotkania. Zamierzał też kontynuować współpracę pisarską z Mastersem i Johnson, w tym prace nad planowaną książką *Masters and Johnson on Sex and Human Loving* (czyli „Masters i Johnson o seksie i miłości"), która później odniosła spory sukces.

Kiedy Bill i Gini w 1984 roku świętowali dwudziestą piątą rocznicę, a całe St. Louis wydawało się wreszcie doceniać ich osiągnięcia, doktora Roberta Kolodny'ego – niedoszłego spadkobiercy – już dawno z nimi nie było.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Piękna i Bestia

(...) a każdy jej ruch, każde przesunięcie czy drgnienie pomagało mi tym bardziej zataić i ulepszyć sekretny system dotykowych korelacji między piękną a bestią – między moim zakneblowanym, spęczniałym bestialstwem a pięknem jej dołeczków pod niewinną bawełnianą sukienką.[10]
Vladimir Nabokov, „Lolita"

Maureen Sullivan leżała naga na łóżku i wyszeptała do swojego klienta, żeby położył się bliżej i jej dotknął. Polecenie zostało wypowiedziane głosem tak delikatnym, jak jej pieszczoty. Usiadła przy wezgłowiu łóżka niczym nieodparta bogini miłości, patrząc prosto w twarz zdenerwowanego mężczyzny. Wewnątrz przytulnego pokoju w Chase Park Plaza Hotel światło było włączone. Pościel wylądowała na samym końcu łóżka, więc nie dało się pod nią schować. Potem Sullivan oparła swoje gładkie, opalone nogi na jego kolanach, żeby ich genitalia prawie się ze sobą złączyły.

W wieku dwudziestu siedmiu lat, z jasnobrązowymi lokami i jędrnym biustem, Sullivan przypominała nauczycielkę aerobiku emanującą zaraźliwym entuzjazmem. Kobieta cały czas uśmiechała się niczym profesjonalistka opłacona przez klienta wedle zaleceń terapeutów ze znanego na całym świecie Instytutu Mastersa i Johnson.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment, Sullivan złapała miękkiego penisa władczo i bez wahania, a potem zaczęła pocierać nim swoje wargi sromowe. Między parą wytworzyła się atmosfera oczekiwania, ale Sullivan nie stawiała żadnych żądań. Dopiero kiedy poczuła jego gotowość – to, co Masters i Johnson w swoim podręczniku nazwali

przypływem zagęszczenia naczyniowego arterii penisa, napełniającego i unoszącego zwiotczałą tkankę – przeszła do następnej pozycji.

– Teraz cię dosiądę i włożę twojego penisa do pochwy. Tylko po to, żebyś ją poczuł – wyszeptała. – Nie próbuj pchać. W ogóle się nie ruszaj. Skup się na tym uczuciu.

Jako seksualna surogatka Sullivan pod koniec swojego dwutygodniowego zlecenia zajmowała się „zadowalaniem genitalnym" ze szczerą wrażliwością i imponującą efektywnością. Do tego czasu razem z klientem spędzili kilka dni na terapii zmysłowej, zgodnie z zaleceniami Mastersa i Johnson.

Penetracja nie stanowiła celu samego w sobie. W czasie porannych i popołudniowych sesji pocierali, masowali, głaskali, skubali, a czasem nawet całowali praktycznie każdy fragment swoich ciał, nie oczekując stosunku. Czasami stawali przed dużymi lustrami i przyglądali się sobie nawzajem. Jak wyjaśniła Sullivan, ćwiczenia dotykowe niwelowały strach przed kobiecym ciałem i pozwalały na jego lepsze poznanie. „To samo dotyczyło ich – wyjaśniła. – Pokazywałam im, że jądra są jak jajniki, moszna to jak większe wargi sromowe, a penis przypomina łechtaczkę. Dzięki temu czuli, że nie znajdują się na obcym terenie".

Mężczyźni, którzy zgłaszali się do Sullivan, zazwyczaj cierpieli na „dysfunkcję erekcji", jak brzmiało nowe żargonowe określenie impotencji, albo na przedwczesny wytrysk, albo po prostu byli prawiczkami obawiającymi się o swoje możliwości, co nie pozwalało im na kontakty seksualne z kobietami. Dla nich Sullivan stawała się cudotwórczynią. Nie wymagała niczego dla siebie, za to całkowicie poświęcała się ich satysfakcji. „Uważałam się za Wonder Woman", powiedziała. Kiedy ona i jej klient dotarli do etapu „zadowalania genitalnego", Sullivan skupiała się na wywołaniu erekcji u mężczyzny, pocierając penisem własne genitalia, niczym artysta pędzelkiem płótno. „To się nazywa »malowanie«: bierzesz członka i malujesz nim", wyjaśniła. Jej słowa zachęty miały zmienić wiotkość w prężność. „A jeśli zacznie opadać, wracasz do pieszczot dłonią. Jeżeli penis pozostaje twardy, wtedy możesz sobie włożyć. Ty masz kontrolę, ale nie mówisz,

co zamierzasz zrobić. W pewnym sensie zaskakujesz klienta, gdy nie patrzy!", wyjaśniła żartobliwie.

Wesołe usposobienie Sullivan sprawiło, że stała się ulubienicą Billa Mastersa, który przekazywał jej najtrudniejsze przypadki. Oprócz standardowej opłaty Instytutu w wysokości pięciu tysięcy dolarów, drugie pacjenci musieli zapłacić za usługi jednej z wielu surogatek, które dyskretnie oferował Masters w połowie lat osiemdziesiątych. Te spotkania odbywały się w znacznie ściślej pilnowanej tajemnicy niż na początku, głównie ze względu na publiczne odrzucenie tej praktyki przez Mastersa i Johnson. Na własnej skórze przekonali się, że wykorzystywanie surogatek w terapii seksualnej, które praktykowali na początku lat sześćdziesiątych, może prowadzić do publicznego potępienia i wyśmiania. „Moja metoda ma w zasadzie te same założenia, co terapia Mastersa i Johnson – przekonywała Xaviera Hollander w swojej popularnej książce *The Happy Hooker* (z ang. „Szczęśliwa dziwka"). – Tylko że oni liczą sobie opłatę w tysiącach i nazywają to terapią. Ja życzę sobie pięćdziesiąt dolarów i nazywam to prostytucją". Od seminarium etycznego z 1976 roku Masters i Johnson niejednokrotnie powtarzali prasie i środowisku medycznemu, że nie korzystają już z usług surogatek. Masters martwił się, że część z nich może zachowywać się jak niewyszkolone terapeutki, nie zdając sobie sprawy z następstw swoich poczynań. „Ze względów prawnych oraz etycznych Masters i Johnson zaprzestali współpracy z surogatkami", napisała Jane E. Brody z „New York Timesa" w 1980 roku. „Newsweek" stwierdził, że para badaczy „porzuciła tę praktykę, a dzisiaj większość terapeutów uważa, że nie jest ona niezbędna, a nawet trudno nazwać ją skuteczną". Za przykładem Mastersa i Johnson Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne oraz Amerykańskie Towarzystwo Terapeutów Małżeńskich i Rodzinnych ogłosiły, że terapeuci pozwalający swoim klientom na korzystanie z usług surogatek łamią zasady etyki zawodu, nawet jeśli żadna oficjalna ustawa tego nie zabrania. Większość szanowanych lekarzy zgadzało się z postawą Mastersa i Johnson. W latach osiemdziesiątych głównonurtowi

terapeuci wierzyli, że surogatki stanowią niepotrzebne ryzyko – korzystanie z ich usług może skutkować utratą licencji i procesem sądowym. „Ja osobiście nigdy bym tego nie zrobiła – wyjaśniła doktor Ruth Westheimer. – Rozumiem powody tego typu praktyk, ale nigdy nie brałabym udziału w nielegalnym procederze".

Niewiele osób wiedziało, że Masters nadal korzysta z pomocy surogatek, a jego poglądy na temat ich użyteczności się nie zmieniły. Mimo ryzyka, że zostanie posądzony o dwulicowość i sutenerstwo, nie zamierzał przestawać. „Lekarz zawsze chce przede wszystkim poprawy stanu pacjenta, bez względu na metody" wyjaśnił jego przyjaciel, Paul Gebhard z Instytutu Kinseya.

Klienci Mastersa i Johnson korzystali z usług Sullivan i innych surogatek, które przylatywały do St. Louis z różnych rejonów kraju, by za opłatą wykonać seksualną resuscytację nieznanym im wcześniej mężczyznom. Surogatki podobne do Veny Blanchard, w tamtym okresie dwudziestokilkuletniej rozwódki z przedmieść Los Angeles, wiedziały, że sekretne poczynania Mastersa stanowiły przeciwieństwo jego publicznych deklaracji. „Prawda jest taka, że po oficjalnej rezygnacji ze współpracy z surogatkami wciąż to praktykowali, ale w taki sposób, że wysyłali klientów do surogatek, a te same podpisywały z nimi umowy", wyjaśniła Blanchard, która później została szefową grupy wsparcia dla surogatek. Masters często miał z nimi bezpośrednio do czynienia, jednak jak powiedziała Blanchard, sławny doktor trzymał się zawsze na dystans w kwestii przepływu pieniędzy i innych spraw logistycznych łączących je z pacjentami. „Wszystko było trzymane w tajemnicy, ponieważ zwrócono im uwagę na ryzyko – wyjaśniła Blanchard. – Podpisali ze wszystkimi umowy o poufności".

Chociaż Blanchard twierdziła, że wręczono jej w St. Louis należność tylko za jeden przypadek, Sullivan i druga surogatka o pseudonimie „Ann z Florydy", zostały wynagrodzone za zajęcie się kilkoma innymi. Zamiast patrzeć krzywo na lekarza igrającego z prawem i etyką zawodową, Blanchard go podziwiała. „Właściwie to w pewnym momencie przyznał, że mieli z tego powodu rozterki – wyznała – ale

sumienie nie pozwalało mu odebrać klientom skutecznej metody leczenia, często jedynej, która mogła im pomóc".

W wysłanym do Mastersa i Johnson CV Maureen Sullivan twierdziła, że jest najlepiej opłacaną surogatką w południowej Kalifornii; spisała swoje doświadczenie i szkolenie pod okiem terapeuty seksualnego, Williama Hartmana, licencjonowanego pracownika poradni dla małżeństw. Chociaż podejście Hartmana mogło być uznane za kontrowersyjne – razem ze swoją partnerką, Marilyn Fithian, czasami uczyli pieszczot częściowo ubranych klientów – oferował oficjalne szkolenia dla takich kobiet jak Sullivan. Na Uniwersytecie Stanowym w Long Beach Sullivan, wtedy studentka antropologii z Englewood, udała się na prowadzone przez Hartmana zajęcia z seksualności człowieka i wkrótce została jego uczennicą na innego rodzaju lekcjach. „Nie miałam określonych planów zawodowych, więc wzięłam kilku klientów od Billa i Hartmana, myśląc, że przecież nic nie zaszkodzi spróbować", wyjaśniła Sullivan. Lista jej klientów szybko urosła do szesnastu tygodniowo, co dawało jej wtedy niemałą sumę trzystu dolarów dziennie za pracę surogatki.

W Kaliforni Sullivan słyszała o Mastersie i Johnson bardzo dużo i uznała, że ich bogaci klienci chętnie i sowicie zapłacą za jej usługi. Uzyskała wstępną akceptację krótko po tym, jak wysłała mailem swoje zgłoszenie, ale Masters poprosił o zdjęcie. Sullivan się opierała. „Pieprz się, nie wyślę ci zdjęcia – pomyślała sobie wtedy. – Mój wygląd nie ma znaczenia, jestem surogatką i to wszystko. Oto moje kwalifikacje".

Masters powiedział jej wtedy, że „pewien klient upierał się, że chce mnie zobaczyć i nie podpisze wcześniej umowy – wyjaśniła. – Po prostu nie i koniec. Dlatego w końcu wysłałam zdjęcie".

Wkrótce po tym Masters zadzwonił do niej z St. Louis z informacją, że pacjent chce wyznaczyć datę spotkania.

– Nie rozumiem, dlaczego od razu nie wysłała pani do nas zdjęcia – powiedział czarującym głosem. – Bardzo ładnie pani wygląda.

– Cóż, nie dlatego je wysłałam – odparła Sullivan równie słodkim tonem.

Pozostała część ich rozmowy dotyczyła pieniędzy.

– Jeśli zapłacicie mi trzysta dolarów dziennie i pokryjecie moje wydatki, zaraz ruszam w drogę – podobno powiedziała mu Sullivan.

„Dostawałam trzy tysiące dolarów za klienta [za dziesięć dni terapii]. Taką ustaliłam kwotę, bo tyle zarabiałam w domu". Kiedy pojawiła się w St. Louis, doktor Robert Kolodny przeprowadził badanie ginekologiczne, jak zawsze zanim pozwolił na rozpoczęcie jakiejkolwiek sesji terapeutycznej z klientem. Kolodny, który niedługo po tym wyjechał na Wschodnie Wybrzeże, wciąż miał ambiwalentne odczucia względem surogatek, ale pozostawiał decyzję w ich sprawie Mastersowi, który za to miał bardzo dobre zdanie o kwalifikacjach Sullivan. „Bill wyraźnie czuł, że spośród różnych surogatek, które samodzielnie znaleźli pacjenci, ona była zapewne najlepsza, najlepiej przygotowana", podsumował Kolodny.

Kariera Sullivan obejmowała około trzystu przypadków, z czego „co najmniej kilka" z St. Louis. Stała się tak znana w klinice, że stawiała rower obok ksero, żeby w czasie pobytu w mieście móc się zrelaksować przejażdżką po Forest Park. „W pewnym sensie adoptowali mnie tam jak córkę", stwierdziła. Sullivan, która miała za sobą zajęcia z psychologii, zdawała sobie sprawę, że praca surogatki przynosiła przyjemność i szczęście innym w sposób, którego ona nie zawsze miała okazję doświadczać we własnym życiu. „Nie skończyłam jeszcze trzydziestu lat i wciąż poznawałam siebie samą – wyznała. – Nie straciłam duszy jako surogatka… Stało się to raczej, zanim zdecydowałam się na to zajęcie. Mój ojciec bił matkę. Nigdy nie żywiłam wobec rodziców zbyt ciepłych uczuć". Praca surogatki pod kierownictwem lekarzy, którzy sugerowali jej, co ma robić, w pewien sposób zaspokajała psychologiczne potrzeby Sullivan. „Pochodzę z dysfunkcyjnej rodziny i kiedy poszłam na zajęcia Billa Hartmana, zaczęłam uczyć się o związkach i miłości… potrzebowałam ojca", wyznała.

Chociaż surogatki spędzały z pacjentami bardzo intymne chwile, spodziewano się, że będą pozbawionymi emocji instrumentami

w rękach terapeutów. Miały nie podejmować decyzji i nie tworzyć ocen psychologicznych. „Byłam w pewnym sensie podstawową surogatką – wyjaśniła. – Kiedy natrafiali na problem psychologiczny, generalnie starali się tym zająć, a dopiero potem zgłaszali się do mnie". Surogatki zdawały sobie sprawę z ryzyka, jakim było emocjonalne przywiązanie pacjentów. W jednym wypadku Sullivan popełniła poważny błąd – zakochała się w swoim kliencie.

Bogaty prawnik w wieku około trzydziestu lat zatrudnił ją, by pomogła mu z impotencją. „Masters i Johnson bardzo mało mówili o pacjencie, ponieważ to nie ja podejmowałam decyzje", wyjaśniła. Młody adwokat wspaniałomyślnie opłacił oddzielne pokoje w Chase Park Plaza, dzięki czemu mogła spać sama i cieszyła się odrobiną prywatności, kiedy nie znajdowali się w klinice albo nie przeprowadzali ćwiczeń dotykowych. W ciągu dwóch tygodni Sullivan spędziła znacznie więcej czasu, niż się spodziewała, na samych rozmowach z pacjentem, jedząc z nim posiłki w restauracji albo spacerując po parku. Dziewczyna poczuła, że zaczyna się zakochiwać w tym niemal anonimowym człowieku, wdzięcznym za przywrócenie mu męskości. Jako surogatka zawsze oddzielała relacje fizyczne od uczuć, ale ten przypadek wydawał się inny. „To było coś wyjątkowego i nie miało nic wspólnego z profesjonalizmem – wyjaśniła. – Chodziło o moje braki. Profesjonalna surogatka nigdy by do tego nie dopuściła. Te uczucia nie powinny były się pojawić. A ja się zakochałam, jak każdy inny człowiek".

Kiedy sesje z tym klientem dobiegły końca, zwierzyła się ze swoich rozterek Markowi Schwartzowi, terapeucie odpowiedzialnemu za ten przypadek, wyjaśniając, jak stali się sobie bliscy poprzez kontakty seksualne. Schwartz zrozumiał problem i udzielił dziewczynie prostej rady.

– Zwyczajnie uznaj to za wakacyjny romans, po którym każde z was pojechało w swoją stronę – zasugerował.

Sullivan stwierdziła, że nie ma zbyt wielkiego wyboru. „Co innego mieliśmy zrobić? Nie mogłam złamać zasad etyki. Uczucia są

w porządku; nie możesz ich powstrzymać. Jednak zrobienie następnego kroku byłoby brakiem profesjonalizmu".

Sullivan wróciła do domu w Kalifornii, a prawnik do siebie, gdziekolwiek to było – nigdy się nie dowiedziała, skąd pochodził.

„A oto Johnny!".

9 września 1982 roku program *The Tonight Show* jak zwykle prowadził komik Johnny Carson. Jego pomocnikiem był Ed McMahon. Dyrygent Doc Severinsen dyrygował orkiestrą NBC, a gość, aktor George Segal, grał na banjo. W czasie monologu wprowadzającego Carson rzucił kilka dowcipów na temat Kalifornii, spodni Doca, prezydenta Ronalda Reagana, Mount Rushmore i strajku futbolistów. Przy ostatnim komentarzu Carson wspomniał o drugim gościu tamtego wieczora – Maureen Sullivan.

Usiadła obok Carsona, by udzielić wywiadu. Z wyjątkową szczerością opowiedziała o swoim życiu seksualnej surogatki. Rozmawiali o tym, jak znalazła pracę, o typowych problemach, z którymi musi sobie radzić, a także o pacjentach i jak to jest nawiązywać z nimi kontakty seksualne. W pewnym momencie zademonstrowała pieszczenie dłoni, a Carson zaczął robić miny do kamery, ku uciesze widzów w całym kraju. Sullivan powiedziała gospodarzowi programu, że surogatki zazwyczaj łatwiej znaleźć na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu. Nigdy nie wspomniała o swoich wizytach na Środkowym Zachodzie, w słynnej klinice Mastersa i Johnson. Program Carsona stał się jednym z wielu, w których pojawiła się Sullivan, kiedy media się o niej dowiedziały. Została najbardziej wyróżniającą się kobietą w tak popularnej dziedzinie, jak terapia seksualna, tworząc sieć surogatek obejmującą cały kraj. „Byłam pierwszą z wielu", chwaliła się.

Jednak w St. Louis Sullivan wywołała wyraźny niepokój. Gdyby w którymś momencie przez pomyłkę wspomniała o ich Instytucie, skandal byłby gotowy. Mimo szacunku dla osiągnięć Mastersa jego najbliżsi współpracownicy martwili się, że poufna współpraca z Sullivan i innymi kobietami może zagrozić z takimi trudnościami

budowanej reputacji kliniki i wszystkich ludzi z nią związanych. Masters przez całą karierę przekraczał granice, próbował przechytrzyć krytyków i obrońców moralności. Teraz jednak wydawał się zupełnie nie zważać na to, że mogą za chwilę zostać oskarżeni o hipokryzję i wątpliwe zasady etyczne. Masters wierzył, że nikt się nie dowie. Porozumienie z Sullivan i innymi surogatkami było „przykładem jego szaleństwa", jak stwierdził Mark Schwartz. Pamiętał pacjentów – takich jak „trzydziestoletni prawiczek bez żadnych umiejętności społecznych" – których życia zostały odmienione dzięki terapii z surogatkami, chociaż sam proceder stanowił „czystą prostytucję w oczach prawa". „Sytuacja bez wyjścia: nigdy nie znaleźliby partnerki, skoro cierpieli na impotencję, a bez partnerki nie byli w stanie pokonać swoich dolegliwości – wyjaśnił Schwartz. – Tak wyglądał klucz do jego sukcesu, ale Masters manewrował tak blisko krawędzi, że aż się prosił o kłopoty".

Prawdopodobnie najbardziej przeciwna surogatkom była sama Gini Johnson. Chociaż kiedyś doskonale jej szło rekrutowanie ochotniczek do programu badań, z czasem zrozumiała, że surogatki nie były warte podejmowania tak wysokiego ryzyka. Nieprzyjemna sprawa z mężem Barbary Calvert omal ich nie zniszczyła. „Uważałam, że ta współpraca jest najeżona trudnościami – wyjaśniła Johnson, która bała się kolejnego oskarżenia. – Ale on upierał się, że będzie to robił, choć wiedział, co o tym myślę. Ostrzegłam go, że Instytut nie może stać się pośrednikiem tych nielegalnych kontaktów".

Donna Martini, księgowa kliniki, często miała do czynienia z surogatkami. Krótko po rozpoczęciu pracy w 1982 roku dowiedziała się o tym oszukiwaniu opinii publicznej. „Kiedy ludzie pytali, czy korzystają z usług surogatek, zawsze zaprzeczali, ale to nie była prawda – oświadczyła. – Nigdy nie mówili na ten temat szczerze". W każdym przypadku Martini przyjmowała standardową opłatę dla Instytutu, a potem odbierała też drugi czek i oddawała dodatkowe pieniądze surogatce. Zapamiętała przynajmniej cztery kobiety, które zostały opłacone w ten sposób. „Nigdy nie miałam potwierdzenia, bo

w papierach te transakcje nie istniały", wyjaśniła. Wanda Bowen, główna asystentka administracji Johnson, dbała o milczenie Martini w temacie surogatek i wszelkich innych rzeczy, których ta mogła stać się świadkiem. „Ludzie zawsze chcieli wiedzieć, co się u nas dzieje – powiedziała Martini. – Wanda ciągle powtarzała, że jeśli ktoś mnie zapyta, gdzie pracuję, mam odpowiadać, że dla lekarza na zachodnim krańcu miasta. Nigdy tego nie rozumiałam, ale oni zawsze byli bardzo skryci".

Równie duży niepokój, co przepływ pieniędzy, wywoływały choroby przekazywane drogą płciową. W sierpniu 1982 roku „Time" wielkim czerwonym „H" (od ang. *herpies*) na okładce ostrzegał przed rozprzestrzeniającą się opryszczką narządów płciowych, nazywając ją „szkarłatną literą". W ciągu roku pojawienie się śmiertelnego wirusa wywołującego AIDS przyniosło znacznie poważniejsze zagrożenie, zwłaszcza ze względu na rzadkie używanie prezerwatyw przez mężczyzn z problemami z erekcją. Sullivan w swojej pracy nigdy wcześniej nie korzystała z tego środka profilaktycznego. „Zażywałam pigułki antykoncepcyjne ze względów osobistych, ale nie zużywaliśmy wtedy zbyt wielu gumek – wyznała. – Dopiero kiedy na początku lat osiemdziesiątych zrobiło się głośno o AIDS, prezerwatywy stały się niezbędne". Dlatego też Sullivan, przytomniejąc w obliczu zagrożenia infekcją, nigdy już nie proponowała pacjentom niezabezpieczonej penetracji. Strach przed zarażeniem się śmiertelną chorobą miał niekorzystny wpływ na kontakty pacjentów z surogatkami. „Na samym początku strasznie się bałam – wyjaśniła Sullivan. – Staraliśmy się zmniejszyć nacisk na stosunek, bo najważniejsze były wszystkie inne ćwiczenia, powoli do niego prowadzące. Dobry klient odejdzie przed penetracją i sam sobie znajdzie kobietę".

W końcu jednak to nie choroba czy pieniądze miały wpływ na koniec kariery Sullivan. W 1984 roku, u szczytu jej powodzenia jako surogatki, odwiedziła St. Louis dla dwóch pacjentów, z krótką przerwą na weekend. Spontanicznie postanowiła wyjechać na krótki odpoczynek do spa blisko Kansas City. Wracała do St. Louis mimo szalejącej burzy

śnieżnej, zdeterminowana, by nie spóźnić się na drugie spotkanie. Na śliskiej autostradzie Sullivan całkowicie straciła kontrolę nad wynajętym samochodem i wjechała w inny pojazd. W trakcie czołowego zderzenia dziewczyna uderzyła twarzą w kierownicę i rozbiła sobie całą lewą stronę czaszki, nie wspominając już o innych poważnych obrażeniach. „Straciłam oczodół, nos, kość policzkową. W brzuchu miałam za dużo dziur, by je policzyć, a do tego zapadnięte płuca – wymieniła Sullivan. – Byłam nieprzytomna przez siedem tygodni".

W St. Louis groźny wypadek Sullivan wzniecił kolejną falę wzajemnych oskarżeń. Gdyby historia kalifornijskiej surogatki dotarła do mediów, z pewnością odkryto by też jej biznesowe plany w Missouri, co stawiałoby program Mastersa i Johnson w trudnym położeniu. Gini przekazała wszystkie swoje obiekcje Billowi. Ostatecznie odesłano rower Sullivan do Kalifornii, podczas gdy ją samą czekało kilka miesięcy operacji i rehabilitacji połamanych kości. Sullivan próbowała uratować swoją karierę surogatki, jednak bez powodzenia. „Nie miałam zbyt wielu klientów po wypadku. Na pewno nie szesnastu tygodniowo – stwierdziła z żalem. – Miałam siedemnaście operacji rekonstrukcji twarzy, jedną co trzy miesiące. Dlatego nie mogłam widywać się regularnie z pacjentami; sama uczęszczałam na terapię i poddawałam się zabiegom. Po każdym byłam naprawdę obolała".

Sullivan zdała sobie sprawę z tego, że odkąd jej dotychczas piękna twarz została oszpecona, anonimowi mężczyźni patrzyli na nią inaczej. Straciła dawny urok. Patrzyła w lustro i wiedziała, że jej życie nigdy już nie będzie takie samo. Wypadek okazał się okrutną lekcją, a Sullivan przekonała się, jak ważne jest piękno w miłości i seksie. „Nie zdawałam sobie sprawy, że właśnie dlatego miałam tak wielu klientów – zauważyła. – Myślałam, że to z powodu udziału w konferencjach albo przez wysyłanie CV. Nie, wszystko przez młodość i ładną buzię. Kogo ja oszukiwałam? W końcu mówią, że mężczyźni to wzrokowcy".

Wiele miesięcy później Masters wyjechał do Kalifornii na wykłady na uniwersytecie. Kiedy Sullivan o tym usłyszała, postanowiła się tam

wybrać. Po wszystkim podeszła do Mastersa, niepewna, czy ją rozpozna. Nie utrzymywała z nim kontaktu od czasu wyjścia ze szpitala. Uprzejmie zapytał ją o powrót do zdrowia, a potem – czy nadal chce pracować jako surogatka. „Kiedy mnie zobaczył, powiedział, że ma pacjenta, i zapytał, czy jestem zainteresowana", wspominała Sullivan.

Żaden z przypadków leczonych przez Mastersa i Johnson nie był łatwy, ale ten nowy stanowił dla Sullivan wyjątkowe wyzwanie. Chodziło o bogatego młodego mężczyznę o skłonnościach pedofilskich. Niczym Humbert Humbert z *Lolity* Nabokova miał obsesję na punkcie małoletnich córek prostytutek, które spotykał w swoim rodzinnym mieście. „Zatrudniał dziwki i pieprzył się z ich córkami, myśląc, że jest ich zbawicielem – opowiadała Sullivan. – Udawał sam przed sobą, że jest ich tatusiem, kupował im rowerki, laleczki i tego typu ładne prezenciki. A potem się z nimi zabawiał na boku. Czuł, że »ratuje« te dzieci, te dziewczynki, od ich matek, które podtykały je klientom". Sullivan zapamiętała, że mężczyzna wpadł w kłopoty i trafił do Mastersa i Johnson na dłuższą terapię w ramach sądowych zaleceń. „Kiedy usłyszałam o tym przypadku, pomyślałam, że to w życiu nie zadziała – wyjaśniła. – Ale w sumie co miałam do stracenia?".

Masters chciał, żeby zamiast odbycia typowej dziesięciodniowej sesji z klientem, Sullivan mieszkała z mężczyzną przez trzy miesiące. Jego rodzina miała zapłacić jej dziesięć tysięcy dolarów. W czasie przedłużonego pobytu w St. Louis ten młody człowiek z lekką nadwagą zamieszkał w przestronnym mieszkaniu z niewielką liczbą mebli. Masters chciał naprostować jego pedofilskie skłonności, wzbudzając w nim zainteresowanie bardziej dojrzałymi fizycznie, heteroseksualnymi kobietami, które reprezentowała Sullivan. „Bardzo chciał, żeby jego klient poczuł, jak to jest mieszkać z dorosłą kobietą – powiedziała Maureen głosem wyrażającym niedowierzanie. – Trzeba znacznie więcej niż takiej wyrozumiałej dziewczyny jak ja, żeby zmienić kogoś takiego jak on".

Po kilku dniach terapii Sullivan przeszła przeszła cały repertuar namawiania, rozpieszczania i głaskania – wszystko spotkało się

z wyraźnym niezadowoleniem klienta. „Pewnego razu, kiedy pieścił moje plecy, poczułam, jak z czoła ścieka mu pot", wyznała. Mimo jej wysiłków w łóżku, nie potrafiła wywołać erekcji u pacjenta. Spędzali ze sobą każdą godzinę każdego dnia, aż w końcu mieli siebie serdecznie dosyć. „Byłam jego współlokatorką, dziewczyną. Ale on wydawał się nerwowy jak kot. Nic nie działało. Naprawdę w ogóle go nie interesowałam. Nie można się spodziewać, by każda kobieta i każdy facet wrzuceni do jednego pokoju stali się kochankami. On traktował mnie jak kolejny mebel".

Ta nieudana próba okazała się ostatnim zleceniem Sullivan w St. Louis. Wróciła do domu z pieniędzmi i przeszła serię operacji rekonstrukcji twarzy, które pomogły jej odzyskać dawny wygląd, a potem wyszła za mąż. W czasie swoich krótkich wizyt w St. Louis nigdy nie poznała Virginii Johnson. „Nie pamiętam, żeby kręciła się po klinice – powiedziała Sullivan. – Naprawdę nie podobały jej się surogatki, więc trzymała się od nas z daleka".

Bez względu na kłopoty prawne i etyczne związane z zawodem surogatkami – w tym emocjonalne konsekwencje tego rodzaju zajęcia – Sullivan, jak sama stwierdziła, nigdy nie czuła się wykorzystywana przez Mastersa czy jakiegokolwiek innego pracownika kliniki. Z perspektywy czasu oceniała, że surogatki wykonywały bardzo potrzebną pracę, zwłaszcza dla samotnych i sfrustrowanych mężczyzn cierpiących na dysfunkcje seksualne. Wielu krytyków tej praktyki potępiało ją z powodu własnej ignorancji i strachu przed seksem. „Surogatki są feministkami – przekonywała Sullivan dwadzieścia lat później. – Nie dostajemy pieniędzy za seks. Dostajemy je za nauczanie seksualności, a seks ma w tym najmniejszy udział. Jednak niektórzy ludzie nigdy nie zmieniają zdania".

[10] Tłumaczenie Michała Kłobukowskiego, wyd. MUZA.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Kryzys

Epidemia AIDS przeturlała wielką, gnijącą kłodę i odkryła wijące się pod nią życie, ponieważ wiąże się naraz ze wszystkimi najważniejszymi tematami naszej egzystencji: seksem, śmiercią, siłą, pieniędzmi, miłością, nienawiścią, chorobą i paniką.
Edmund White

Prokurator generalny Edwin Meese III stał z nieśmiałym uśmiechem przed pomnikiem alegorii Sprawiedliwości – kobiety w udrapowanej sukni i z jedną nagą piersią. Właśnie miał wygłosić raport swojej komisji za rok 1986, potępiający pornografię. Wypowiadając wojnę sprośnościom, zwierzchnik służb ochrony porządku publicznego za rządów prezydenta Ronalda Reagana przekonywał, że pobłażliwe czasy rewolucji seksualnej już się skończyły.

„Chociaż wielu członków naszego społeczeństwa dowodziło i dowodzi, że współżycie bez zobowiązań jest zjawiskiem pozytywnym, żadne z nas nie podziela tego zdania", deklarowali twórcy raportu wygłoszonego podczas konferencji prasowej w Wielkiej Sali Departamentu Sprawiedliwości. Wyglądało na to, że skończyły się czasy tolerancji dla idei głoszonych przez zwolenników wolnej miłości. „Być może brakuje nam twardych dowodów – perorował naczelny lekarz wojskowy, doktor C. Everett Koop, który dołączył do kampanii Meese'a – ale wiemy wystarczająco dużo, by wywnioskować, iż pornografia stanowi zagrożenie dla zdrowia publicznego Ameryki".

Dla wielu konserwatystów szerzenie informacji o seksualności, uosobieniem czego byli Masters i Johnson, doprowadziło do rozwoju choroby oraz upadku moralnego i zmieniło Amerykę we współczesną

Sodomę i Gomorę. Gorąco wierzyli oni, że nieustanne poruszanie tematyki orgazmów w mediach zaowocowało nasileniem się przypadków seksu przedmałżeńskiego, zdrady, aborcji, homoseksualizmu i rozbitych rodzin. Ich uczucia religijne raziła nagość w filmach i telewizji kablowej oraz prowadzone w programach typu talk show dyskusje o pigułkach antykoncepcyjnych, prezerwatywach i wibratorach. Niektórzy nawet upatrywali w śmiertelnie groźnym AIDS boskiego gniewu za rewolucję z lat sześćdziesiątych. „Dostrzegam wyraźną odnowę duchową, wywierającą wpływ na zachowanie całego społeczeństwa, które za bardzo poszło w stronę wolności seksualnej", ogłosił Pat Robertson, teleewangelista z kanału Christian Broadcastin Network, w tamtym okresie (był rok 1988) przygotowujący się do kandydowania na prezydenta. Kiedy społeczne wahadło wracało z maksymalnego wychylenia, tacy ludzie jak Christie Hefner, szefowa Playboy Enterprises i członkini zarządu Instytutu Mastersa i Johnson, publicznie rzucali wyzwanie raportowi Meese'a, by chwilę potem odkryć, że Departament Sprawiedliwości właśnie ukarał 7-Eleven i inne sklepy wielobranżowe za sprzedaż czasopisma Hefnera. Dopiero po kilku procesach sądowych udało się przywrócić „Playboya" na półki.

Masters i Johnson wiedzieli, że lepiej nie komentować działań komisji Meese'a. „Tak wielu ludzi nie jest w stanie poruszyć tematu seksu z choćby namiastką obiektywizmu – wyjaśnił kiedyś Masters. – Zawsze uważałem, że najlepszym sposobem na radzenie sobie z krytyką jest ignorowanie jej". Jednak w połowie lat osiemdziesiątych Masters i Johnson nie wydawali się już odporni na publiczną naganę. Przez lata komentatorzy hojnie chwalili dwójkę badaczy ze względu na imponujące odkrycia, ale też dzięki idealnie skrojonemu wizerunkowi publicznemu. „Masters był typowo boską figurą, której ludzie woleli nie rzucać wyzwań – powiedział psychiatra Raul Sciavi dziennikarzom »Time« w 1983 roku – a ludzie podchodzą do terapii seksualnej z takim entuzjazmem, że nie przyglądają się wszystkim danym z należytą dokładnością".

W swoich książkach Masters i Johnson przyznali się do kilku wad, zwłaszcza w przypadku próby do badań. Niemal wszyscy ochotnicy pochodzili z klasy średniej i ukończyli college, a ich „głównym zainteresowaniem" była „wydolność seksualna", co oznaczało, że generalnie zarówno mężczyźni, jak i kobiety, masturbowali się do osiągnięcia orgazmu i doświadczyli seksu przedmałżeńskiego. Kilkoro pochodziło z mniejszości, na przykład z biedoty, albo byli czarnoskórzy. Swobodne podejście do seksu może nie mieć znaczenia w badaniu anatomii i podstawowej fizjologii, jak sugerowali krytycy, ale zmieniało kwestię oczekiwań. „Krótko mówiąc, Masters i Johnson badali entuzjastów orgazmu z klasy średniej, którzy potrafili bez problemu szczytować nawet w trakcie obserwacji w laboratorium – zauważyła Debbie Nathan. – Trudno ich uznać za reprezentatywnych, a jednak na podstawie ich doświadczeń Masters i Johnson opracowali opis cyklu reakcji seksualnej, który był neutralny płciowo i stosował się do wszystkich ludzi". June Dobbs Butts, jedyna Afroamerykanka wśród pracowników Instytutu, próbowała poszerzyć grupę ochotników, ale powiedziała, że wiele mniejszości nie miało ochoty na udział w programie Mastersa i Johnson. „Czarnoskórzy wręcz wstydzili się przyznać, że mają problem", przyznała.

Z czasem Masters i Johnson spotykali się z coraz większym sceptycyzmem wobec ich prac, poczynając od ataku „Psychology Today" w 1980 roku, gdzie skrytykowano rzekomo aż osiemdziesięcioprocentową skuteczność ich terapii. Artykuł napisany przez Berniego Zilbergelda i Michaela Evansa twierdził, że *Niedobór seksualny człowieka* opierał się na niesprecyzowanych kryteriach oceny skuteczności i nikt nie zdołał tych wyników powtórzyć. „W badaniach Mastersa i Johnson można znaleźć tak dużo wadliwej metodologii i niechlujstwa w raportowaniu, że nie można uznać ich za spełniające typowe standardy ewaluacji", oskarżali autorzy. Zilbergeld, psycholog kliniczny z Berkeley, oraz Evans, również psycholog, nie kwestionowali fizjologicznych odkryć z *Niedoboru seksualnego człowieka*; zamiast tego pokazywali, że reputacja rygorystycznych standardów naukowych, na

jaką zapracowali sobie Masters i Johnson pierwszą książką, miała wpływ na recepcję ich następnej publikacji. Chociaż głównym tematem pary krytyków był *Niedobór seksualny człowieka*, kwestionowali również możliwość zmiany orientacji gejów i lesbijek. „Wielu z ich homoseksualistów tak naprawdę nimi nie było", napisali o ochotnikach, sugerując, że znalazło się wśród nich wielu biseksualistów oraz „niepewnych" heteroseksualistów. (Inni krytycy *Homosexuality in Perspective* zwrócili uwagę na to, że niewiele się wspomina o stosunku odbytniczym, co stanowi kolejną oznakę nieodpowiednio dobranej grupy do badań). Kiedy redakcja „Psychology Today" poprosiła o odpowiedź, Masters i Johnson odmówili. „Zawsze stosowaliśmy zasadę nieodpowiadania na krytykę na żadnym popularnym forum", przekonywała Johnson. Była to dziwna postawa, zważywszy na fakt, że tak wiele ich dokonań pojawiło się w popularnych książkach i czasopismach, które nie przechodziły procesu naukowej recenzji. Do kolejnej dyskusji doszło w 1983 roku, kiedy redaktor Philip Nobile z czasopisma „Forum", publikowanego przez należący do Boba Guccione „Penthouse", powtórzył podobne zarzuty. Jako liderzy świeżo powstałej dziedziny seksuologii, Masters i Johnson zdali sobie sprawę, że nie mogą dłużej ignorować krytyków.

W „Journal of Sex Research" Robert Kolodny przygotował pisemną obronę badań, aby „wyjaśnić wszystkie nieporozumienia". Podkreślał, że przypadki definiowano według kryterium porażki, nie sukcesu, a statystki zebrano w „wyjątkowo konserwatywny sposób": na przykład dysfunkcyjny mężczyzna, któremu udało się uzyskać „dobrą, trwałą erekcję" trzykrotnie w trakcie terapii, może wyglądać pozytywnie. Jeśli jednak ten sam mężczyzna w trakcie prób podjęcia współżycia również trzykrotnie tej erekcji nie zdołał osiągnąć, jego przypadek lądował w grupie oznaczonej jako „porażka". Podobnie terapia kobiety, która nie zdołała „przeżywać orgazmu w sposób konsekwentny w czasie stosunków", nie była uznawana za zwieńczoną sukcesem. Nawet jeśli funkcje seksualne wracały na krótko po powrocie do domu albo pacjent osiągnął sukces po drugiej terapii, wciąż zapisywano go w statystykach

jako porażkę. Powtórzenie wyników Mastersa i Johnson było, zdaniem Kolodny'ego, trudne, ponieważ inni terapeuci nie ujawniali swoich statystyk, nie przeprowadzali starannej terapii albo opierali się na modelu, w którym pacjent pojawiał się na jednym spotkaniu w tygodniu. Niemniej jednak u osiemdziesięciu jeden i ośmiu dziesiątych procent spośród tysiąca ośmiuset siedemdziesięciu dwóch wyraźnie heteroseksualnych pacjentów z lat 1959–1977 zaobserwowano poprawę – co stanowiło wyjątkowo wysoki wynik. Dla porównania, osiemdziesiąt sześć procent ich pacjentów już wcześniej przechodziło terapię przez co najmniej sześć miesięcy, jak zauważył Kolodny, a „mniej niż pięć" zaliczyło poprawę w trakcie czekania na wizytę.

Przed Światowym Kongresem Seksuologii zorganizowanym w 1983 roku w Waszyngtonie Kolodny, Masters i Johnson podkreślali, że inni naukowcy „przesłuchali niezliczone taśmy z nagraniami z sesji terapeutycznych", aby ocenić długofalowe wyniki ich metod, i wygłosili swoją opinię z pełnym przekonaniem. „Nie istnieją żadne tak zwane »sekrety«", przekonywali. Krytycy, prosząc o odtworzenie tych badań przez innych, zdawali się nie rozumieć, że Masters i Johnson dokonali swoich bez rządowych grantów i płacąc za wszystko z własnej kieszeni. W czasie kongresu badacze przyznali, że ich praca „nie była idealna", ale prosili o ocenę „w świetle stanu wiedzy z tamtego okresu i aktualnej". Większość ludzi zajmujących się tą wciąż jeszcze raczkującą dziedziną postrzegała ich jako bohaterów, ale nawet oni mieli nadzieję na więcej naukowych dowodów. „Dopóki nie odtworzymy ich pracy – powiedział psycholog F. Paul Pearsall z Instytutu na rzecz Badań nad Seksualnością – pozostaniemy pod wrażeniem, zazdrośni bądź podejrzliwi względem prawdziwości tych wyników".

Po długiej i męczącej podróży na drugą stronę Atlantyku w marcu 1988 roku, C. Everett Koop otrzymał pilną wiadomość od żony, Betty, aby wrócił do domu. Przez telefon ostrzegła go o kontrowersjach związanych z ostatnią książką Mastersa i Johnson oraz o przemówieniu

na temat kryzysu związanego z rozprzestrzenianiem się AIDS i niebezpieczeństw, jakie w związku z tym czyhają na populację heteroseksualistów. „Moja żona usłyszała w telewizji, że AIDS przenosi się różnymi zmyślonymi sposobami – wyjaśnił Koop. – Doskonale wiedziała, co mówiłem opinii publicznej i czego się obawiałem".

Siedemdziesięciojednoletni naczelny lekarz wojskowy poleciał do Londynu na konferencję medyczną poświęconą epidemii AIDS. W czasie jego kadencji śmiertelny wirus, którym można się było zarazić głównie przez wymianę płynów ustrojowych w trakcie seksu albo przez zastrzyk zakażoną igłą, przyczynił się do śmierci tysięcy osób. Pierwsze ofiary należały głównie do społeczności gejów – jedną z nich był Rock Hudson, hollywoodzki przyjaciela prezydenta Reagana – oraz narkomanów zarażających się przez brudne igły. Wreszcie w 1986 roku Koop uruchomił specjalny program do walki z AIDS i zaczął ostrzegać Amerykanów przed ryzykiem zakażenia. Brodaty były pediatra, który kiedyś porównał aborcję do Holokaustu, teraz znalazł się w niezręcznej sytuacji i musiał nauczyć swoich rodaków korzystania z prezerwatyw w celu ochrony przed AIDS, jednocześnie podkreślając zalety wierności małżeńskiej. „W czasie pierwszych dni kryzysu spędziłem mnóstwo czasu na tłumaczenie ludziom nie tylko tego, jak mogą się zarazić wirusem, ale przede wszystkim tego, jak nie mogą – wyjaśnił Koop. – ponieważ pojawiły się przeróżne plotki: na temat przenoszących go komarów, o piciu wody z tej samej szklanki, korzystaniu z tego samego ręcznika. Klawiatury. Chwytaniu za rączkę teczki albo klamki drzwi. A to wszystko sprawiało, że cały kraj był kłębkiem nerwów".

Nowa książka pracowników Instytutu, *CRISIS: Heterosexual Behavior in the Age of AIDS*, została napisana głównie przez Kolodny'ego, ale to znane twarze jego współautorów, Mastersa i Johnson, pojawiały się w telewizji i na konferencjach prasowych. „Newsweek", ze zdjęciem pustego, niepościelonego łóżka za okładce, cytował fragmenty „nowej, kontrowersyjnej książki". Najbardziej zaufana w kwestiach intymnych para Ameryki twierdziła, że istnieje rządowy spisek mający na celu ukrycie wiszącego w powietrzu problemu seksualnego, który mógłby

zabić wszystkich. Napisali, że przynajmniej trzy miliony Amerykanów jest zarażonych wirusem – dwa razy więcej niż według oficjalnych szacunków – a ryzyko jest znacznie wyższe, niż przyznają rządowi naukowcy w „dobrodusznym oszustwie". W książce znalazły się informacje, jakoby wirusem, przynajmniej teoretycznie, można było się zarazić w tak trywialnych okolicznościach jak podczas ugryzienia komara, siedzenia na desce klozetowej, francuskiego pocałunku czy w jakiejkolwiek innej sytuacji, gdzie dochodzi do choćby niewielkiej wymiany krwi. Autorzy ostrzegali, że niewykryte infekcje wirusa „obecnie szaleją w populacji heteroseksualistów". Niczym Paul Revere[11] budzący pogrążonych we śnie obywateli, Masters oznajmił: „Chcemy ostrzec przed niezwykłym niebezpieczeństwem. Wielu ludzi uważa, że obecna sytuacja nie jest poważna. Naszym zdaniem jest".

Po informacji żony Koop szybko zajął się dementowaniem stwierdzeń Mastersa i Johnson. „Zadzwoniłem do serdecznego przyjaciela, Timothy'ego Johnsona ze stacji ABC, i opowiedziałem mu o sprawie, a on załatwił mi występ w *Good Morning America* – wyjaśnił Koop, mówiąc o programie telewizyjnym, w którym skrytykował pracę badaczy. – Poinformowałem ludzi, że wszystko, co zostało zawarte w tej książce, to kłamstwa. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś może się tak bardzo mylić".

Przyjęcie książki przez opinię publiczną szybko zniszczyło reputację Mastersa i Johnson. Była to druga duża publikacja, przy powstawaniu której Johnson brała minimalny udział, powierzając napisanie jej Kolodny'emu i Mastersowi. Nie pracowała nad nią w żadnym istotnym zakresie. Zamiast tego użyczyła po prostu swojego nazwiska. Nie mogła już, tak jak wcześniej, ufać Mastersowi, że dokładnie sprawdzi wszystkie stwierdzenia zawarte w książce pod kątem medycznym i naukowym. Myślała, że Kolodny się tym zajmie, i była gotowa jego właśnie winić, gdyby coś poszło nie tak. W międzyczasie niedoszły spadkobierca wyprowadził się i otworzył własną praktykę. Mimo to nadal wspólnie tworzyli, a Masters niemal tak samo mocno polegał na umiejętnościach pisarskich Kolodny'ego, co Virginia. Kiedy Johnson

wyjaśniała swoją rolę w powstawaniu *Crisis*, zaprezentowała się jako ofiara dwóch kolaborantów, zdająca sobie sprawę ze zbliżającej się katastrofy, ale niebędąca w stanie jej zapobiec. „Tak wyglądała nasza współpraca. Mianowicie Bob zrobił wszystko – wyjaśniła, po latach dystansując się od sprawy. – Miałam już dosyć walki… Umyłam ręce i ostatnich wersji w ogóle już nie czytałam. Co miałam zrobić?".

Jak zawsze z myślą o swoim publicznym wizerunku, Johnson winiła Kolodny'ego za ich fatalną konferencję prasową w sprawie *Crisis*. Razem z Mastersem mieli nadzieję na podobny sukces, co wcześniej, kiedy to nawet naukowcy z szacunkiem słuchali o ich odkryciach, siedząc przy okrągłych stolikach niczym na seminarium. Zamiast tego Kolodny zgodził się na pełną konferencję w sali balowej nowojorskiego hotelu, gdzie stanęli przed tłumem spragnionych sensacji dziennikarzy. „Mieliśmy ekipy z telewizji, których kamery blokowały prasę, więc doszło do walk i ludzie próbowali wpełznąć w każdy skrawek wolnego miejsca", opowiedziała Virginia. Kolodny również był przerażony. „Nikogo nie dało się usłyszeć, ponieważ w jednym pomieszczeniu znalazło się trzystu dziennikarzy i wszyscy się przekrzykiwali – wyjaśnił. – Jeden wrzeszczał: »Bill, za ile się sprzedałeś?« Niewiarygodne".

Z reflektorami świecącymi jej prosto w twarz, Johnson nerwowo reagowała na sugestie, że napisali tę książkę wyłącznie dla pieniędzy. Krytykowała zbyt wolną reakcję rządu na zabójczego wirusa.

– Należy podjąć stanowcze kroki, aby nadrobić lata nieuzasadnionego samozadowolenia – niemal błagała.

Jednak tym razem było inaczej niż przeszłości, kiedy wypowiadali się z precyzją i pewnością siebie. Teraz wszyscy widzieli braki w logice Mastersa i Johnson, ogromne dziury w ich nowej książce.

– Zależało nam na szybkim przekazaniu tych informacji opinii publicznej – wyjaśnił Masters, nie usprawiedliwiając złamania zasad, których tak długo się trzymał.

Niektóre dane zawarte w ich książce, opartej na badaniu ośmiuset mężczyzn i kobiet w Atlancie, Nowym Jorku, Los Angeles i St. Louis,

zostały zebrane zaledwie kilka miesięcy przed publikacją. Zważywszy na konieczność szybkiej reakcji na AIDS, Masters stwierdził, że nie chce czekać „nawet roku", by ich praca została poddana ocenie i naukowej recenzji. Ich główna teza – że wirus „szalał" pośród heteroseksualistów – wydawała się szczególnie pozbawiona dowodów. Wypytywany o tę sprawę, Masters nie podał żadnego.

– Po prostu takie mam przekonanie – oznajmił, jakby jego słowo wystarczyło.

Kiedy o to samo zapytano Johnson, udzieliła równie niesatysfakcjonującej odpowiedzi.

– Nie jestem pewna, czy sami wybraliśmy słowo „szaleje" – odparła, jakby nie wiedziała, skąd w ogóle wzięło się to prowokacyjne wyrażenie na siódmej stronie książki.

Natychmiast po występie Mastersa i Johnson zorganizowano konkurencyjną konferencję prasową na Manhattanie, gdzie Mathilde Krim, szefowa Amerykańskiej Fundacji na rzecz Badań nad AIDS, wraz z innymi ekspertami potępiła tę nową, heretyczną książkę. Krim, badaczka i żona bogatego nowojorskiego producenta filmowego, zrugała Mastersa i Johnson niczym belfer niesfornych uczniaków. „Masters i Johnson, ludzie tak znani w naszym kraju, powtarzając »paradę okropności« związaną z metodami przenoszenia się wirusa, nie osiągną nic prócz napędzania bezsensownej histerii", stwierdziła. Zawtórował jej doktor Stephen Joseph, nowojorski komisarz zdrowia publicznego, który również skrytykował książkę. „Nie widzę w zebranych przez nich danych nic, co mogłoby prowadzić do tak poważnych wniosków o swobodnym przenoszeniu się wirusa", powiedział.

W swoim tekście Masters, Johnson i Kolodny wezwali do przeprowadzania rutynowych testów na obecność wirusa u kobiet w ciąży, pacjentów w wieku od piętnastu do sześćdziesięciu lat przyjmowanych do szpitala, skazanych prostytutek oraz wszystkich planujących zawarcie związku małżeńskiego. Wierzyli, że badania te będą stanowić narzędzie ochrony przez rozprzestrzenianiem się AIDS.

Jednak Joseph i inni przedstawiciele rządu generalnie sprzeciwiali się obowiązkowym testom. W przypadku epidemii innych chorób zakaźnych informacja o nosicielstwie była podawana rutynowo; teraz wielu gejów stwierdziło, że w tym przypadku doprowadzi to do pogwałcenia prywatności nieujawnionych homoseksualistów cierpiących na AIDS i tylko przeszkodzi w próbach przeciwdziałania epidemii. Chociaż książka Mastersa i Johnson powtarzała stwierdzenia zawarte w *And the Band Played On* (ang. „A zespół grał dalej") Randy'ego Shiltsa i innych publikacjach ostro krytykujących politykę administracji Reagana, eksperci wyraźnie sprzeciwiali się sugerowanym sposobom na zażegnanie kryzysu. „Kluczem zmiany behawioralnej jest jej dobrowolność", przekonywał Joseph.

Kolodny, główny twórca książki, przyglądał się tym reakcjom z konsternacją. „Byłem naprawdę zaskoczony", wyjaśnił. Przez dwa lata słuchał ekspertów, którzy wspominali o przypadkach AIDS pośród heteroseksualistów, wzywając o przyjrzenie się sprawie. Centrum Zwalczania i Kontroli Chorób nie wykonało jeszcze szeroko zakrojonych badań w tym zakresie. W przeciwieństwie do swoich przodków, Amerykanie z pokolenia wyżu demograficznego nigdy nie musieli obawiać się stygmatyzujących chorób wenerycznych, a już z pewnością nie musieli martwić się o swoje życie. „Dla ludzi wychowanych w świecie penicyliny i antybiotyków długo utrzymujące się w historii skojarzenie swobody seksualnej z chorobą przestało być znaczące", zauważyli historycy John D'Emilio oraz Estelle B. Freedman. Już we wczesnym etapie kryzysu wywołanego przez AIDS eksperci do spraw zdrowia sprzeciwiali się twierdzeniu, że choroba ta dotyczy wyłącznie homoseksualistów. Pod ich wpływem Kolodny przekonał Mastersa i Johnson, by odeszli nieco od własnego obszaru zainteresowań i wykorzystali swoją reputację, by pomóc uniknąć seksualnej katastrofy, zwłaszcza gdyby rząd nie zauważył znaków ostrzegawczych zbliżającej się, znacznie większej epidemii. Raz jeszcze para badaczy zostałaby awangardą amerykańskiego zdrowia seksualnego. „Uważali nasze nazwiska za tak znaczące – powiedziała Johnson – że zawyrokowali, iż

jeśli wydamy książkę przestrzegającą przed tragizmem AIDS, rząd będzie zmuszony zareagować".

Kiedy publikacja trafiła na półki księgarń, wielu znanych homoseksualistów – których wsparcia spodziewał się Kolodny – dosłownie się wściekło. Nie tylko sprzeciwiali się obowiązkowym badaniom; nie spodobało im się również przedstawianie homoseksualistów jako ludzi nieliczących się z zagrożeniem AIDS. „Zauważyliśmy oznaki powrotu do niebezpiecznych zachowań, na przykład przygodnego seksu analnego bez prezerwatywy – powiedział Kolodny – a liderzy starali się pokazać, że całe środowisko homoseksualistów wspólnie z innymi próbuje zapobiec niekończącym się pogrzebom".

Z czasem okazało się, że najważniejsze odkrycia książki były zgodne z rzeczywistością. Liczba heteroseksualistów chorujących na AIDS znacznie wzrosła w latach dziewięćdziesiątych, a choroba zawędrowała z Zachodu do krajów Trzeciego Świata. „Epidemia pośród heteroseksualistów nie jest mitem, jest prawdą" – potwierdził doktor Jerome Groopman, szef programu przeciwdziałania AIDS w szpitalu przy Harvardzie. W 1996 roku w czasie panelu ONZ stwierdzono, że „przypadki AIDS związane z kontaktami heteroseksualnymi stanowią coraz większy procent nowo zdiagnozowanych zachorowań w Ameryce Północnej", a heteroseksualna transmisja wirusa stała się główną przyczyną rozprzestrzeniania się choroby w Azji i Afryce. Nawet kiedyś wyśmiewane ostrzeżenia – na przykład przed długimi „francuskimi pocałunkami" – teraz zaczęto brać na poważnie. Dołączając do grona pierwszych krytyków książki, pewien felietonista zapytał w 1988 roku: „Jak Masters i Johnson, słynni badacze seksu, mogą być tak okrutni i zakazywać całowania się akurat wtedy, gdy młodzi ludzie z całej Ameryki szykują się do podróży pełnej zabawy i miłości na plażach w czasie wakacji?". Jednak dwadzieścia lat później na stronie CZKC znalazło się ostrzeżenie o „wysokim ryzyku niesionym przez kontakty heteroseksualne", kiedy druga potwierdzona najważniejsza przyczyna rozprzestrzeniania się choroby zgadzała się z tą z dawno

opublikowanej książki Mastersa i Johnson. „Długi pocałunek z otwartymi ustami może doprowadzić do otarć naskórka i wydostania się wirusa HIV z organizmu osoby zainfekowanej, by potem przez drobne ranki wniknąć do organizmu osoby niezainfekowanej – informowała agencja federalna. – Ze względu na to ryzyko CZKC przestrzega przed namiętnymi pocałunkami z zainfekowanym partnerem". W 2008 roku CZKC przyznało się do niedoszacowania danych dotyczących nowych przypadków zarażenia się wirusem HIV o nawet czterdzieści procent.

Z perspektywy czasu można stwierdzić, że Kolodny nie docenił książki, zwłaszcza w kwestii użycia słowa „szaleje" na określenie rozprzestrzeniania się choroby pośród heteroseksualistów. „To źle użyte wyrażenie sugerowało, że mówimy o całych szkolnych klasach i co drugim domu, a wcale tak nie było", powiedział. Krytycy nieustępliwie oskarżali badaczy o wykorzystywanie kryzysu dla własnych korzyści. „Bez względu na to, co uważał Kolodny i jakie były jego intencje, w rezultacie napisał książkę, która namieszała w ortodoksyjnym nauczaniu o tym, jak uniknąć zarażenia wirusem, i wsadził kij w mrowisko całego projektu edukacyjnego", wyjaśnił Koop, który twierdził też, że dostał list z przeprosinami od Mastersa i Johnson wkrótce po publikacji książki. Kolodny zaprzecza istnieniu takiego listu, ponieważ „Bill nigdy nie przepraszał".

Michael Fumento w swojej druzgocącej krytyce na łamach „The New Republic" nazwał *Crisis* „klasyczną literaturą grozy". „Ich głównym celem jest sprzedanie siebie i swoich publikacji – napisał Fumento. – Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie chodzi o coś więcej niż oportunizm. Czyżby po latach zachęcania ludzi do uprawiania seksu bez konsekwencji przerazili się, że właśnie to robią?". Nawet dawni klienci Instytutu byli rozczarowani. „Zawsze uważaliśmy się za przyjaciół Mastersa i Johnson. Szanowaliśmy dziedzinę nauki, która pozwoliła im na prowadzenie tak odkrywczej pracy – można było przeczytać w czasopiśmie. – Podziwialiśmy ich odwagę w obliczu kontrowersji.

Jednak tym razem złamali szereg własnych zasad i poświęcili obiektywizm w imię współczucia".

Przyjaciele z dawnych czasów nie mogli się nadziwić, że Masters wziął w tym udział. „Bill Masters, jakiego znałam, nie podpisałby się pod tą książką – powiedziała nowojorska terapeutka Dagmar O'Connor, która szkoliła się w klinice w St. Louis na początku lat siedemdziesiątych. – Był na to zbyt dobrym badaczem. Coś musiało się z nim stać". Doktor Roger Crenshaw, psychiatra pracujący w Instytucie od 1973 do 1974 roku, stwierdził, że sława doprowadziła Mastersa i Johnson do kompromisów w ich późniejszych projektach, ponieważ przerzucali zbyt wiele odpowiedzialności na innych. „Robert Kolodny miał zbyt duży wpływ na Billa, a już z pewnością na Virginię – zauważył Crenshaw. – Myślę, że obojgu brakowało już pary po napisaniu pierwszych dwóch książek i wtedy pojawił się Kolodny, który w dodatku był bardzo płodnym pisarzem. Tak naprawdę Billowi zupełnie nie przeszkadzało, że miał Boba Kolodny'ego, który spreparował kilka rzeczy, na które sam nigdy by się nie zgodził". Virginia Johnson wskazywała winnych, sama nie przyznając się do niczego. „Trochę go [Kolodny'ego] poniosło – wyjaśniła. – Byłam już bardzo zmęczona, Masters w większym stopniu kontrolował powstawanie książki niż ja. Jak już mówiłam, Bob był wtedy jeszcze bardzo młody i jego styl polegał na koncentrowania się na kontrowersyjnych aspektach. Uwielbiał to u Mastersa i próbował go naśladować. Dlatego wyciągał idiotyczne rzeczy, które potem stały się orężem w walce przeciwko książce".

Chociaż Virginia miała wymówki, *Crisis* sprawiło, że musiała stawić czoła kłopotliwemu położeniu, w jakim się znalazła: jej partnerstwo z Mastersem się rozpadało. Przez lata radziła sobie z tymi rozterkami, uszczęśliwiając się pieniędzmi i sławą. Teraz jednak zdobyła pewność – zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym – że ona i Masters nie mogą dłużej działać w ten sposób. Coś musiało się zmienić.

[11] Paul Revere – amerykański poeta z XVIII wieku

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Rozstanie

Bill Masters machnął zza zasłony w gabinecie na J. Roberta Meynersa, żeby natychmiast do niego przyszedł. Chciał, żeby Meyners coś zobaczył. Kiedy dyrektor wszedł do środka, ujrzał Mastersa badającego kobietę w średnim wieku z nogami w strzemionach.

Podobnie jak wszyscy świeżo przyjęci pacjenci, kobieta i jej mąż po zapłaceniu pięciu tysięcy dolarów za dwutygodniową terapię przechodzili rutynowe badania w oddzielnych salach. Masters powiedział Meynersowi, żeby się zbliżył. Lekki bawełniany szlafrok kobiety był rozsunięty, a Bill właśnie dotykał jej pochwy. „Starał się pokazać mi, jak wygląda pochwica – wyjaśnił. – Dlatego położył palce na zewnątrz waginy. Dało się zauważyć skurcz mięśni całego obszaru miedniczego i właśnie to miałem obejrzeć. Było to bardzo oczywiste".

Meyners nigdy wcześniej nie wszedł w ten sposób do gabinetu. Zastąpił Roberta Kolodny'ego w roli głównego asystenta w klinice, ale w przeciwieństwie do swojego poprzednika nie był lekarzem. Zamiast tego miał doktorat z teologii i został zatrudniony przez Mastersa, by leczył problemy psychoseksualne będące wynikiem wciąż pokutujących w amerykańskim społeczeństwie purytańskich poglądów. „Tak naprawdę nie byłem profesjonalnym terapeutą, ale teologiem, ponieważ zdaniem Billa wiele męskich dysfunkcji miało podłoże religijne – wyjaśnił Meyners. – Kiedy bardzo młodzi ludzie słyszą dużo

negatywnych komentarzy na temat seksualności, ma to na nich wpływ, zwłaszcza na erekcję u mężczyzny". Meyners tłumaczył swoim pacjentom, którzy czuli się winni z powodu masturbacji, że nie wpłynie to na ich współżycie z żonami. W swojej praktyce Meyners raczej nie polegał na Biblii czy teoriach Sigmunda Freuda. Po prostu kierował się wskazówkami z terapii zmysłowej do czasu, aż ćwiczenia same zaczynały działać cuda. Jednak nie posiadając dyplomu uczelni medycznej, nie powinien był stanąć obok nagiej kobiety.

Magnetofony poustawianie w różnych częściach kliniki pozwalały terapeutom słuchać wszystkich rozmów. Kiedy Johnson usłyszała, że Masters zaprasza Meynersa do obejrzenia genitaliów pacjentki, natychmiast zareagowała.

Ubrana w biały fartuch weszła do gabinetu, zasunęła zasłonę i ze złością wygoniła Meynersa.

– Masz się trzymać z dala od gabinetu – zganiła go. – Nie jesteś lekarzem!

Meyners natychmiast podporządkował się jej poleceniu. „Nie zdążyłem jeszcze poznać tej kobiety; Gini wpadła wściekła do pokoju, złapała mnie i wyciągnęła na zewnątrz", opowiadał.

Z perspektywy czasu Meyners zgodził się z Virginią, że nie powinien był oglądać pochwicy tamtej pacjentki. Chociaż podobał mu się luz Mastersa, zdawał sobie sprawę, że do gabinetu został zaproszony bezpodstawnie. „Virginia po prostu martwiła się o reputację kliniki jako profesjonalnego, naukowego instytutu, i miała rację", wyjaśnił.

Incydenty tego typu stały się sygnałami utraty przez Mastersa dużej części umiejętności lekarskich i pewnego umysłowego otępienia. Nie znał już odpowiedzi na każde pytanie, jak to bywało na Uniwersytecie Waszyngtońskim, gdy poprawiał starszych profesorów. Co więcej, odwaga i ambicja z wczesnego etapu kariery i imponujący wysiłek włożony w trwające dekadę badania do *Współżycia seksualnego człowieka* zmieniły się w swego rodzaju bylejakość, która mogła się skończyć katastrofą. Powoli swoje piętno odciskały na nim początki choroby Parkinsona i zaawansowany już wiek. Kilka lat po

przekroczeniu pięćdziesiątki zrezygnował z ginekologii, twierdząc, że wstawanie o trzeciej nad ranem, by odebrać poród, jest dobre dla młodszych lekarzy. Przestał wykonywać operacje chirurgiczne, a potem znowu zaczął, żeby swoimi zarobkami wspomóc klinikę, by chwilę później jeszcze raz zrezygnować, gdy nie mógł już utrzymać skalpela. Bill wyczuwał te zmiany, ale jako człowiek dumny nie poruszał tego tematu. „Nigdy nie rozmawiał z nikim o tym, że tak szybko traci władze umysłowe", wyjaśniła Gini.

Jedna z tych nigdy nieopowiedzianych historii o jego upadku dotyczyła Peggy Shepley, żony szefa zarządu kliniki, Ethana Shepleya Jr. Zanim wyszła powtórnie za mąż, właśnie za Ethana, Peggy zmieniła dotychczasowego ginekologa na Mastersa, głównie w ramach uprzejmości między przyjaciółmi. Mniej więcej w 1985 roku, niedługo przed jej pięćdziesiątymi urodzinami, Peggy udała się na coroczną wizytę do Mastersa i wspomniała o mammografii.

Nie zgodził się.

– Nie wydaje mi się, by była potrzebna – odparł.

Następnie zbadał jej piersi i krocze, oznajmiając, że wszystko z nią w porządku.

Peggy, która wcześniej była żoną patologa, nie czuła się usatysfakcjonowana. Zadzwoniła do swojego byłego męża i zapytała, czy mógłby jej znaleźć innego lekarza na konsultację. Udała się do ordynatora chirurgii Szpitala św. Łukasza, znajdującego się na przedmieściach St. Louis, który zbadał ją ponownie, zlecił wykonanie mammografii i odkrył, że Peggy ma raka piersi. Równie szokująca okazała się reakcja Mastersa, gdy się o tym dowiedział.

„Kiedy powiedziałam mu, co się stało –że miałam raka i przeszłam już operację oraz radioterapię – poklepał mnie po ramieniu i stwierdził: »Cieszę się, że już wyleczyłaś to, co wydawało ci się, że miałaś«. Wyjaśniłam mu wtedy, że dla kobiet, zwłaszcza tych po pięćdziesiątce, a nawet czterdziestce, mammografia jest bardzo ważna. A on to zbagatelizował. Nawet mi nie uwierzył. Myślał, że miałam problem z głową, a nie z rakiem!". Kiedy Peggy poskarżyła się Ethanowi, jej mąż

był przerażony, ale nie porozmawiał o tym z Mastersem. Inni twierdzili, że tego typu incydenty ujawniały postępującą demencję. „Jego umysł nie był już w tej samej kondycji, co kiedyś – stwierdził Kolodny. – Niszczał pod wpływem choroby Parkinsona, leków i starości".

Dla Virginii Johnson zmiany zachodzące w mężczyźnie, który tak wiele jej dał, stały się boleśnie oczywiste. Jego autorytatywny głos teraz był wyraźnie pełen napięcia i słaby. W czasie przemówień albo seminariów medycznych Bill przechodził „niewielkie załamania" – gubił myśl, wygłaszał błędne komentarze – co zauważały osoby postronne. Na jednym ze spotkań przyjaciele w rozmowie z Johnson wyrazili swoje zaniepokojenie. Odpowiedziała im szczerze, wspominając o chorobie Parkinsona. Kiedy Masters wyczuł, że dowiedzieli się o jego problemach ze zdrowiem, zdenerwował się i wyraził swoje niezadowolenie.

– Tylko ty mogłaś im o tym powiedzieć – stwierdził, jakby zdradziła jego największy sekret.

– Bill, ręce ci się trzęsą. Nie radzisz sobie na prezentacjach – odparła. – Lepiej, żeby wiedzieli, zamiast się zastanawiać, co się dzieje.

W 1990 roku liczba pacjentów przyjmowanych w Instytucie Mastersa i Johnson spadła o połowę, do stu dwudziestu pięciu przypadków rocznie. W klinice Masters stracił swoją pozycję i w pełni poddawał się woli żony. „Bill był bardzo potulny w tamtym okresie – stwierdził Meyners. – Robił to, co Gini mu kazała; to ona podejmowała wszystkie decyzje". Masters nadal szkolił terapeutów, chociaż sam już nie przyjmował pacjentów. „Bill nigdy nie lubił się kłócić – wyjaśnił Meyners. – Nawet jeśli jakiś uczący się terapeuta zaczynał się z nim spierać, szybko się poddawał".

Pracownikom podobała się ugodowość Mastersa, w przeciwieństwie do apodyktyczności Johnson, i starali się bronić gasnącego staruszka, którego podziwiali. „Dało się zauważyć wpływ choroby, ale wciąż był dość bystrym człowiekiem", skomentowała księgowa, Donna Martini. Jednak Virginia nie mogła już znieść pogarszającego się stanu męża.

Często mówiła o nim z irytacją i nigdy nie okazywała mu uczuć. „Cały czas miałam wrażenie, że nie byłoby jej żal, gdyby się rozstali", stwierdziła Martini.

Powolna utrata klientów wymusiła na Johnson wiele trudnych decyzji, które musiała podjąć sama. Masters wydawał się niechętny podejmowaniu działań albo niezdolny do stawienia czoła smutnej rzeczywistości. Bez państwowych grantów i wsparcia prywatnych darczyńców Instytut musiał zwinąć żagle. Wcześniej klinika została zmuszona do zamknięcia laboratorium endokrynologicznego, którego badania w dużej mierze finansowały firmy farmaceutyczne, a także do podziękowania za współpracę wielu utalentowanym naukowcom. Najbardziej doświadczeni terapeuci odeszli albo zostali zwolnieni. Mark Schwartz otworzył własny gabinet w Nowym Orleanie. Niegdysiejsza strażniczka zasad kliniki, Wanda Bowen, gorzko pożegnała się z Instytutem i rozważała złamanie ślubów milczenia. „Kilka razy zastanawiałam się nad napisaniem własnej książki – powiedziała. – Udało mi się stworzyć połowę, ale nigdy nie ujrzy światła dziennego. Na pewno zastanawiasz się, dlaczego to robię. Czyż to nie zwykła zemsta?". Mae Biggs, prawdopodobnie najbardziej utalentowana terapeutka w historii Instytutu, została zwolniona w 1988 roku. Przez lata pracowała jako partnerka Mastersa w ramach podwójnej terapii, ale to jego żona przekazała jej decyzję o rozwiązaniu umowy. „Virginia powiedziała, że już ich na mnie nie stać – wyjaśniła Biggs. – Dali mi do zrozumienia, że wszyscy jesteśmy sobie bliscy, ale ostatecznie okazało się to nieprawdą".

Od czasu, gdy Kolodny wyjechał na Wschodnie Wybrzeże, Johnson potrzebowała kogoś zaufanego. Chciała przejść na emeryturę i przekazać swoje obowiązki następcy. William Young, mąż jej córki, stał się oczywistym kandydatem.

Dzieci Virginii, Scott i Lisa, byli już dorosłymi ludźmi, którzy mieli własne życie. Johnson często czuła się winna, że przegapiła tak wiele ważnych momentów ich dzieciństwa. Jej związek z Lisą bywał trudny. „Syn jest dla mnie źródłem dumy i radości – wyjaśniła. – Córka bywała

nieco niesforna". W końcu Lisa poznała i poślubiła czterdziestoletniego Williama Younga, pastora Południowych Baptystów, który niewiele wiedział o terapii seksualnej, kiedy dostał posadę w klinice teściowej. „Wielu ludzi ma problem z tym, że baptysta, czy w ogóle jakikolwiek duchowny, może wybrać karierę w dziedzinie seksualności – powiedział Young dziennikarzowi. – ale ja zawsze powtarzałem, że seks jest nie tylko dobry i naturalny, ale także miły Bogu. Jest niczym ogień: liczy się to, jak zdecydujemy się go wykorzystać". Jednak mało kto w klinice doceniał jego umiejętności. „Nie nadawał się na terapeutę", stwierdził Meyners. Johnson najwyraźniej nie przejmowała się tą krytyką. „Chyba w ogóle nie interesowała się jego zdolnościami – wyjaśnił Meyners. – Liczyło się tylko to, że jest mężem jej córki. Takie rzeczy zdarzają się raczej w biznesie niż w terapii". Young również nie przejmował się opinią Meynersa. „Pamiętam, że mieliśmy kiedyś sprzeczkę o to, co robił w trakcie terapii – wspominał Meyners. – Wychodził z założenia, że i tak zostanie kiedyś właścicielem, więc nie musi się mną w ogóle przejmować". Okazało się, że miał rację. W końcu stał się dyrektorem Instytutu, zajmując miejsce Meynersa, któremu zaproponowano niższą posadę i mniejszą pensję. „Myślę, że mnie wtedy zwolniono, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy", stwierdził ten ostatni ze śmiechem.

Patrząc na to wszystko z Nowego Jorku, Howie Masters był zasmucony zmianami w klinice ojca. Chociaż zawsze zachowywał emocjonalny dystans, wciąż szanował go za szczerość. Bill Masters później opisał syna jako „bardzo towarzyską osobę, co musiał odziedziczyć po matce, bo z pewnością nie po mnie". Howie wiódł szczęśliwe życie, ożenił się z Victorią Baker, koleżanką z pracy, producentką ABC News, gdzie on sam zajmował się filmami dokumentalnymi, i krótko współpracował z Peterem Jenningsem przy wieczornym wydaniu wiadomości. Młody Masters zastanawiał się, dlaczego jego ojciec pozwolił Johnson wybrać zięcia na nowego zarządcę kliniki. „Bill Young tak naprawdę nie miał żadnych kwalifikacji do pełnienia tej funkcji – komentował Howie. – Zatrudnienie go było

jedną z najwyraźniejszych oznak, że to miejsce umiera". Zdaniem Howiego Young wylądował na tak ważnej pozycji, bo Virginia mogła mu ufać, „a raczej po prostu go kontrolować". Young nie zgodził się na wywiad na potrzeby tej książki, zaś Lisa udzieliła tylko kilku niejasnych informacji na temat życia Johnson. (Na pytanie, czy jej matka naprawdę kochała Mastersa czy tylko wyszła za niego dla pieniędzy, odparła: „Cała sprawa była czymś niezwykłym. Nie wiem nic o mojej matce. Ale myślę, że on ją kochał"). Kiedy Johnson przeszła na emeryturę, zniknęły najsilniejsze więzy łączące ją z Mastersem – praca. „Moim zdaniem Gini w końcu miała tego dosyć i odeszła – wyjaśnił Howie. – Ona nie lubi monotonii, a on tak. Naprawdę, mógłby wstawać każdego ranka, zakładać tę samą muszkę, iść tą samą drogą do pracy i siedzieć tam, walcząc z tymi samymi problemami przez kolejnych sto lat, gdyby tylko ich dożył. I byłby przy tym szczęśliwy. Gini chyba nie".

Dystans Johnson wzmógł się z powodu choroby Mastersa. „Z Billem nie żyło się łatwo, mieli bardzo różne charaktery" – wyjaśnił Kolodny, który często mediował w ich sporach. „Bill wolał oglądanie meczu w domu albo czytanie kryminału, „podczas gdy Gini była duszą towarzystwa. Mogłaby każdego dnia wychodzić na wystawne przyjęcie. Uwielbiała wspominać o swoich sławnych znajomych oraz o tym, że swego czasu sami cieszyli się sporą popularnością i wszyscy chcieli spędzać z nimi czas. Dla Billa było to nużące. Potrafili wyjść z największego wydarzenia towarzyskiego roku już o dziewiątej, bo Bill chciał się położyć. Wiem, że tego nie lubiła, ale nigdy nie zostawała sama. Wracała z nim do domu".

Kiedy Bill mocno się postarzał, Gini opiekowała się nim niczym wierna, kochająca żona. To oddanie zauważyli i podziwiali jej bliscy przyjaciele oraz współpracownicy. Znała go lepiej niż ktokolwiek inny i rozumiała, jak wiele znaczyła dla niego klinika. Billowi należało wybaczyć ekscentryczne zachowanie medycznego geniusza. „Przeżyłam z nim dziesięć okropnych lat – wyjaśniła później. – Pod koniec Masters żył w swojej własnej Nibylandii. Mogłabym się go pozbyć, ale nawet ja

nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Mimo wszystko ciężko było to zaakceptować".

Przyjaciele z St. Louis powiedzieli, że Gini czuła się jak ptaszek w klatce, a trzymały ją więzy, w których nie było już miłości, o ile ta kiedykolwiek ich łączyła. Ludzie patrzyli na pozbawione uczuć interakcje między małżonkami i zastanawiali się, dlaczego Gini, wciąż energiczna i atrakcyjna kobieta, została z tym samolubnym, nieczułym człowiekiem. Czasami wyczuwali, że Johnson w pewnym momencie może raz na zawsze mieć dosyć wymagań Mastersa. „W jej głosie dało się słyszeć zmęczenie – wyjaśniła Peggy Shepley. – Nie pamiętam, kiedy wszystko się posypało. Wiem tylko, że nagle przestało być dobrze". Donna Wilkinson, żona trenera futbolu i członkini zarządu Instytutu, zapamiętała małe przyjęcie na jakieś dwanaście osób, podczas którego do stołu zasiedli też Bill i Gini. Przez cały wieczór Masters nie odezwał się ani słowem, niczym dziecko przyprowadzone wbrew swojej woli. „Potrafił całkiem się wyłączyć przez różne rzeczy – wyjaśniła Wilkinson. – Myślę, że zawsze miał taką tendencję, ale z wiekiem nasze wady się uwydatniają". Wilkinson zapamiętała też reakcje gości po odejściu Billa i Gini. „Wszyscy powtarzali: »Och, uwielbiam Gini, jest taka wspaniała. Nigdy wcześniej jej nie spotkaliśmy. Ale on to prawdziwy dziwak!«"

W czasie rozmów z Johnson Wilkinson słuchała, jak Gini planuje zostawić go pewnego dnia. Gorzko powtarzała, że nie zamierza marnować reszty życia z człowiekiem, który woli siedzieć sam w salonie, gapiąc się w telewizor, ubrany tylko w bieliznę. Zastanawiała się nad emeryturą. Obiecywała, że niedługo zostawi świat Billa, tę emocjonalną orbitę, po której krążyła niemal przez całe dorosłe życie. Wilkinson zastanawiała się, czy jej przyjaciółka kiedykolwiek spełni swoje obietnice. „Można kogoś kochać i nie być w nim zakochanym – wyjaśniła, opisując dylemat Johnson. – Możesz kochać to, co ten ktoś sobą reprezentuje. Możesz kochać wspólną pracę. Możesz kochać sławę. Ale czy kochasz tę osobę? To zupełnie inna sprawa". W końcu minął rok 1992, a Virginia nadal nie podjęła ostatecznej decyzji.

W czasie świąt Bożego Narodzenia Johnson zaprosiła Lisę i Williama, a także dwójkę ich dzieci, Annę i Lark. Wszyscy zasiedli do tradycyjnego obiadu i nałożyli na talerze wędzonego łososia i pieczonego indyka. Masters otworzył butelkę szampana i zaproponował każdemu kieliszek. W blasku świec i na tle wielkiej choinki wszyscy wymienili się prezentami.

Kiedy rodzina skończyła posiłek, Bill wstał i się pożegnał.

– Jestem już zmęczony – powiedział siedemdziesięcioszścioletni lekarz słabym głosem. Potem, bez zbędnych wyjaśnień, pomaszerował na piętro do sypialni.

Gini została przy stole i nadal zabawiała rodzinę do czasu, aż postanowili wracać do siebie. Ucałowała wnuczki, rozprawiając o przyszłorocznych prezentach, a później posprzątała ze stołu i ruszyła za mężem do łóżka.

Kiedy weszła do sypialni, Bill na nią czekał. Jak to miał w zwyczaju, oświadczył prosto z mostu:

– Chcę rozwodu.

Powiedział jej, że podjął ostateczną decyzję i nic go nie przekona. Nie owijając w bawełnę, uznał ich trwające dwadzieścia jeden lat małżeństwo za skończone.

Ponieważ odnalazł – ponownie – jedyną miłość swojego życia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Dla tych róż

Geraldine Baker Becker Oliver spotkała swojego dawnego przyjaciela, Williama Mastersa, oraz jego żonę, Virginię Johnson, kiedy słynna para badaczy udała się do Arizony w latach osiemdziesiątych. Geraldine i jej mąż, Bill Hume Oliver, emerytowany inżynier, przyjechali właśnie ze swojego domu w Tucson, żeby uczestniczyć w wykładzie. Po jego zakończeniu dwie pary postanowiły zjeść wspólny obiad.

Przed tym przyjacielskim spotkaniem Bill wspomniał Gini, że wpadł na „Dody" – jak nazywali siostrę jego współlokatora ze szkoły medycznej, Francisa Bakera – w hotelowej windzie. Nie widzieli się od lat, wyznał. Zasugerował, żeby w trakcie ich pobytu w Arizonie spotkali się z Dody i jej mężem. Zazwyczaj Bill nie lubił kontaktów towarzyskich w podróży, ale Gini widziała, jak uwielbia wspominać dawne czasy. Nie poświęciła nieznajomej kobiecie zbyt wiele uwagi. Jak wspomniała, „nie było się nad czym zastanawiać".

Tak naprawdę Bill i Dody przez wiele lat utrzymywali kontakt, o czym Virginia nie miała pojęcia. „Nie przestaliśmy się do siebie odzywać bez względu na to, co się działo w naszym życiu – powiedziała Dody, komentując ich rozmowy telefoniczne. – Dzwoniliśmy do siebie dwa albo trzy razy w roku i opowiadaliśmy, co u nas słychać. Interesowaliśmy się sobą nawzajem".

Gini nigdy nie zauważyła, że jej mąż wciąż podziwia tę staruszkę z blond włosami, którą kiedyś nosił na ramionach w czasie jazdy na nartach wodnych po jeziorze Rainbow. Bill nie zwierzył się żonie z uczucia, jakim zapałał do Dody tamtego lata – prawdopodobnie w najszczęśliwszym okresie jego życia – ani z tego, miał nadzieję się z nią ożenić. Nie podzielił się także wspomnieniami o odrzuconych zaręczynach, kiedy to Dody zostawiła podarowane jej dwa tuziny kwiatów w szpitalu. Bill nigdy nie przestał się zastanawiać, co by było, gdyby poślubił siostrę Francisa. „To niesamowite, jak mało znaczące wydarzenie może mieć ogromny wpływ na czyjeś życie", skomentował w swoim pamiętniku.

W oczach sceptycznych przyjaciół i rodziny ta opowieść o miłości, która przetrwała tyle lat, brzmiała raczej jak wytwór wyobraźni człowieka, który znajdował się pod coraz silniejszym wpływem choroby Parkinsona oraz demencji. Jednak dla Billa Mastersa ponowne spotkanie Dody – teraz siedemdziesięciolatki z siwymi pasemkami – stanowiło rzadki dar od losu.

Bill i Dody z ogromnym zainteresowaniem rozmawiali o swoim życiu i przeszłości. W pewnym momencie, kiedy znaleźli się sami, Bill w końcu zebrał się na odwagę, by zadać jej pytanie, które gnębiło go od lat.

– Cóż takiego zrobiłem albo czego nie zrobiłem, że nie uznałaś mnie za godnego twojej ręki?

Dody wydawała się zaskoczona.

– Nie chodzi o to, że nie byłam zainteresowana – odparła. – Myślałam, że to tobie przestało zależeć.

Nigdy nie dowiedziała się, że Bill poleciał do innego miasta, by podarować jej dwa tuziny kwiatów i w ten sposób okazać swoje uczucie. Dody myślała, że Bill przestał się nią interesować, bo nie pojawił się w szpitalu, choć mieszkał niedaleko. Dlatego sama zwróciła uwagę na innego zalotnika, młodego lekarza o nazwisku Becker, który przyjechał z Buffalo do Rochester, by zobaczyć się z nią tamtego

wieczora. Później został pierwszym mężem Dody i wspólnie wychowali czwórkę dzieci.

Masters nie mógł w to uwierzyć. Całe życie był przekonany, że Dody go odrzuciła. Wyjaśnił jej, jak daleko poleciał, by zdobyć dla niej kwiaty i wyznać miłość i że bukiet miała przekazać pielęgniarka. Nie zrobiła tego?

– Jakich róż? – zapytała Dody, powątpiewając. Nie miała pojęcia, o czym mówi Bill.

Kiedy wspólnie odtworzyli przeszłość, Bill zdał sobie sprawę, że Dody wypisała się ze szpitala nazajutrz o poranku i nigdy nie zobaczyła bukietu. Cisza, jaka panowała w trakcie ich wspólnej podróży samolotem do Buffalo, była spowodowana nieporozumieniem.

„Byłem załamany. Dlaczego? Sam nie wiem – wyjaśnił później Masters. – Nie przestało mi na niej zależeć przez pięćdziesiąt pięć lat!". Jego „słodko-gorzkie zakończenie" tej historii przyszło wraz ze śmiercią drugiego męża Dody, Billa Olivera, który zachorował na raka. Masters nie zamierzał zaprzepaścić szansy poślubienia Dody bez względu na konsekwencje.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia w 1992 roku, kiedy poprosił Johnson o rozwód, Virginia zadzwoniła do Lisy i Williama, prosząc ich o powrót. Wciąż wyraźnie zaskoczona, nie potrafiła wyjaśnił powodu rozstania. Wnuczki, Anna i Lark, rozpłakały się. „Chociaż nie wydaje mi się, by była szczególnie zaskoczona, że tak to się skończyło, zupełnie się załamała, choćby z uwagi na moment, w jakim to się stało – powiedział później William Young o reakcji swojej teściowej. – Nie płakała. Nie chodziło o smutek czy poczucie ulgi. Rozwód nie był jej wyborem. To on podjął tę decyzję, a ona wydawała się po prostu zgadzać z jego wolą".

Kiedy Gini omawiała z rodziną zbliżający się rozwód, Bill został na piętrze, a potem wymknął się do pracy i otworzył klinikę w Boże Narodzenie.

Zadanie ogłoszenia rozstania Mastersa i Johnson po dwudziestu jeden latach małżeństwa przypadło Williamowi Youngowi, dyrektorowi

Instytutu. Dziennikarze z całego świata przyjechali do St. Louis, żeby dowiedzieć się, dlaczego para ekspertów od miłości i seksu ma zamiar zakończyć swoją długoletnią relację. Przecież tak długo pomagali małżeństwom zrozumieć intymność i przekazywali im praktycznie rady, które wydawały się wynikać z ich własnych doświadczeń! A teraz przyszedł koniec. Young wypowiedział na głos pytanie, które chodziło wszystkim po głowach:

– Jestem pewien, że ludzie zaczną się zastanawiać: „Jeśli im się nie udało, to któremu małżeństwu się uda?".

Być może ze względu na uczucia swojej teściowej, zasugerował, że decyzję o rozstaniu para podjęła wspólnie, a ich związek już dawno się wyczerpał.

– Tak się skupili na utrzymywaniu pozorów i pomaganiu innym parom z problemami, że zwyczajnie woleli nie pamiętać, że małżeństwo to nie tylko praca – ogłosił.

Bill oświadczył, że chce się ożenić z Dody najszybciej, jak to tylko możliwe, i że planowali ten krok już od dawna. Wyprowadził się z domu w uniwersyteckiej części St. Louis do spartańskiego mieszkania położonego niedaleko jego miejsca pracy. W klinice zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Ich wieloletni przyjaciele, na przykład Peggy Shepley, nie mogli się nadziwić, jak perspektywa kolejnego ożenku rozbudziła w nim siły witalne po tylu latach powolnego poddawania się chorobie. „Widział w tym szansę na odrobinę radości", stwierdziła Peggy. Pocieszała Gini, która przez lata zwierzała się jej ze swojego nieszczęśliwego życia u boku Billa.

Gini przypomniała sobie o własnych okazjach do wzięcia ślubu z takimi mężczyznami jak Noah Weinstein czy Hank Walter, których odrzuciła z powodu lojalności wobec Mastersa, ich wspólnej pracy i rodziny. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia. „Porzucenie przez Billa naprawdę ją ubodło – wyjaśniła Peggy. – Trwała u jego boku, bo myślała, że robi to dla dobra interesu, a on, proszę, ucieka z kobietą, która uważa go za kogoś szczególnego. Wydaje mi się, że to miało wpływ na wszystko. Powiedziała mi, że gdyby wiedziała o tym

wcześniej, już dawno by go zostawiła". Po latach wysłuchiwania jej narzekań Donna Wilkinson spodziewała się, że coś się w końcu wydarzy – coś ale to. „Bill po prostu podjął decyzję za wszystkich", zawyrokowała.

Kiedy po ośmiu miesiącach od rozwodu Masters ogłosił, że planuje ślub, jego dorosłe dzieci zaczęły się o niego martwić. Historia o spotkaniu po latach wydawała się Howiemu zbyt bajkowa, a wiedział, że jego ojciec traci kontakt z rzeczywistością. „Dał się ponieść wyobrażeniu. To była kobieta, której chciał się oświadczyć w młodości – stwierdził. – Nie mogę uwierzyć, że zgodziła się zostać jego żoną, gdy choroba Parkinsona weszła u niego w tak poważne stadium. Martwię się, że nie będzie w stanie stanąć przed ołtarzem". Gini zasugerowała nieco mniej życzliwą interpretację. „Tym razem zgodziła się na ślub, bo potrzebowała pieniędzy", powiedziała.

Jednak zdaniem Dody Billa po prostu nikt nie rozumiał. „To cichy, wspaniały mężczyzna z doskonałym poczuciem humoru – wyjaśniła. – Bardzo miły i ciepły, opiekuńczy. Doprawdy cudowny człowiek". Bill nigdy nie powiedział jej, co poszło nie tak w jego małżeństwie z Virginią, a ona nie pytała. W Dody podobały mu się jej perfekcyjnie dobrane stroje, natapirowane włosy i radosne usposobienie cheerleaderki. Wypytywanie mężczyzn o ich osobiste sprawy uznawała za oznakę złego wychowania. Z jej perspektywy Bill wydawał się uwięziony w małżeństwie z rozsądku. „Nie wydaje mi się, by łączyła ich miłość, ale chcieli utrzymać wspólną pracę i to im wystarczyło – teoretyzowała. – Są rzeczy, o których nigdy się nie mówi, ale wszystko o nich wiadomo. Wydaje mi się, że dla niej był to po prostu dobry interes. Stanowiła część zespołu. Zrobili dużo dobrego i społeczeństwo wiele im zawdzięcza. Potrzebowali do tego dużo odwagi".

Latem 1993 roku Bill na nowo odkrył przyjemne ciepło nad jeziorem Rainbow. Stara rustykalna chata, niegdyś należąca do matki Dody, wyglądała inaczej niż ponad pół wieku wcześniej, gdy Bill po raz ostatni przekroczył jej próg. Została odnowiona i powiększona, a dawny

przedsionek zmienił się w dwa pokoje gościnne. Po śmierci matki domek dostali w spadku Dody i jej brat, doktor Francis Baker, chirurg ortopeda, który większość kariery spędził w górach Adirondack. Świeże górskie powietrze i silne promienie słoneczne przebijające się przez korony drzew przypominały im lata młodości. Bill chętnie mówił o przeszłości, ale jego nagły powrót do rodziny Bakerów zaskoczył Frana. Po skończeniu Uniwersytetu w Rochester para przyjaciół straciła kontakt. Kiedy Bill stał się sławny, Fran śledził jego osiągnięcia, ale nigdy do niego nie zadzwonił. Podczas pobytu w starej chatce rodziców Fran przypomniał sobie wszystko, co mu się podobało i nie podobało u Billa Mastersa. Pewnego dnia późnym wieczorem, kiedy Dody już spała, Bill relaksował się w salonie, ubrany w szlafrok i piżamę. Fran zapytał go o Virginię i powód ich ślubu. Bill wyznał, że nigdy nie kochał swojej byłej żony. Fran wyczuł wtedy znany mu emocjonalny dystans, który zapamiętał z czasów wspólnego mieszkania. „Bardzo to do niego pasowało, bo zawsze miał analityczny umysł i zimne serce", wyjaśnił później. Tamtego wieczora Bill mówił z podobnym chłodem o swojej pierwszej żonie, Libby, a także dwójce dzieci i o tym, że rzadko ich wszystkich widywał, bo ciągle pracował. „Nie wydaje mi się, by się tym przejmował – skomentował Fran. – Może faktycznie Dody była jedyną prawdziwą miłością jego życia".

W kościele blisko jeziora Placid William Masters w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat ożenił się z o trzy lata młodszą Dody. Na ceremonię, która odbyła się 14 sierpnia 1993 roku, przyjechało kilkoro przyjaciół z St. Louis. Po złożeniu przysięgi Bill delikatnie pocałował pannę młodą w usta.

– No dalej, Bill, stać cię na więcej – zaśmiał się pastor.

Później ta para w podeszłym wieku trafiła na listę najgorętszych małżeństw celebrytów. W rozmowach z prasą Bill potwierdził swoje wcześniejsze tezy na temat seksu w jesieni życia. „Można używać aż do śmierci – powiedział. – Ale najbardziej romantyczne jest dla mnie patrzenie na żonę przy śniadaniu, jak siedzi po drugiej stronie stołu. Jest piękną kobietą".

Howie i Sali – z myślą o wciąż żyjącej matce, Libby – krzywo patrzyli na bajkową historię o zapomnianych różach, którą Bill powtarzał w ogólnokrajowych mediach. Jednak widząc jego rozmarzone spojrzenie na zazwyczaj surowej twarzy, nikt nie mógł zaprzeczyć szczęściu, jakie dał mu ten ślub. „Był prawdziwym romantykiem i znał ją od bardzo dawna – powiedział Martin Paul, mąż Sali. – Trudno się było dziwić". Judith Seifer, terapeutka pracująca z Billem na ostatnim etapie jego kariery, przyznała, że ci, którzy znali Mastersa tylko jako słynnego partnera Virginii i naukowca wrośniętego w laboratorium, nigdy nie wierzyli w szczerość jego opowieści o Dody. „Większość ludzi uważała, że miłością jego życia była praca, a to nie do końca prawda – wyjaśniła Seifer. – Była nią Dody, jego ostatnia żona".

Kiedy świeżo upieczeni małżonkowie wybrali się na wakacje do Orlando, poszli na obiad ze starymi przyjaciółmi Billa, Maxem i Dellą Fitz-Gerald, którzy szkolili się w Instytucie w latach siedemdziesiątych. Max nie mógł się nadziwić zmianom w zazwyczaj sztywnym zachowaniu Billa.

„To był piękny widok – powiedział. – Zupełnie jakby wrócił na studia".

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Pary

– Już za chwilę najnowsze wieści od króla i królowej seksu, czyli nowe badania Mastersa i Johnson. Po przerwie w *Larry King Live* – zapowiedział prezenter CNN 29 marca 1994 roku.

Virginia Johnson, z ufryzowanymi włosami rozjaśnionymi niemal do blondu, przesunęła się w stronę stolika prowadzącego i uśmiechnęła promiennie. Była teraz krępą kobietą, ze skłonnością do nadwagi, którą kamery telewizyjne dodatkowo uwydatniały. Jak zawsze dbała o swój wizerunek, starała się wyglądać poważnie i elegancko, chociaż najlepsze czasy miała już za sobą. Po trzech dekadach spędzonych w blasku jupiterów, ta trasa promocyjna była już raczej ostatnim okrążeniem Mastersa i Johnson.

W ciągu dwóch dni spędzonych w Waszyngtonie Johnson posłusznie pojawiła się u boku byłego męża w ramach promocji książki *Heterosexuality* – spopularyzowanej wersji podręcznika podsumowującego dwadzieścia lat badań seksuologicznych. Wcześniej rozmawiali o nowej publikacji z Diane Rehm w National Public Radio. Tamtego wieczora jednak Masters nie mógł się pojawić w telewizji. Choroba Parkinsona i wczesne stadium demencji utrudniały mu wystąpienia publiczne, a do tego szybko się męczył. Podjęto decyzję, że obok Johnson zasiądzie doktor Robert Kolodny, który w końcu napisał tę książkę sam, przy niewielkim udziale współautorów.

– Mamy wiosnę, więc ptaszki i zaprzątają głowy wielu osób – zaczął King, patrząc prosto w kamerę, gdy program powrócił na antenę po przerwie. – Seks to biologia, psychologia, miłość, pożądanie i wiele innych rzeczy, a wszystko znajdziecie w nowej książce ludzi, których nazwiska stały się synonimami seksu, Mastersa i Johnson. Razem z doktorem Robertem Kolodnym napisali obszerny podręcznik o miłości między kobietą i mężczyzną, *Heterosexuality*.

King natychmiast skupił się na Johnson.

– Wciąż mieszka pani w St. Louis, prawda? – zapytał.

– Tak, St. Louis – powtórzyła.

– I chociaż nie są już państwo małżeństwem z doktorem Mastersem…

– Zgadza się – powiedziała, kiwając głową.

–…wciąż pracują państwo razem?

Johnson miała już przygotowaną odpowiedź.

– Och, oczywiście – odparła gładkim i dźwięcznym głosem. – Po trzydziestu czterech latach nie rezygnujesz ze współpracy z powodu głupiego rozwodu.

Chociaż Kolodny dołączał się do odpowiedzi, King cały czas powracał do Johnson, jakby mogła podzielić się jakimiś uwagami na temat pożądania, korzystając z własnego doświadczenia.

– Miłość to nadal miłość, prawda? – zapytał gospodarz, doskonale znający uroki małżeństwa.

– Och, tak – odparła.

King uniósł brwi i wciąż gestykulował.

– Czy udało wam się ustalić, czym jest?

Johnson pokręciła delikatnie głową, uśmiechając się szeroko.

– Nie – powiedziała. – Ludzie mówią o chemii. Mówią o cechach tej drugiej osoby, które im się podobają. Mówią, że sami czują się dobrze w jej towarzystwie. Ale nie, nie wydaje mi się, by istniała dobra naukowa definicja miłości. Jest różna dla różnych ludzi.

Johnson miała nadzieję, że jej relacje zawodowe z Mastersem nie ucierpią po rozwodzie. Po czterech dekadach spędzonych razem

zawodowo nie mogli się rozstać tak łatwo, jak w życiu prywatnym, zwłaszcza gdy jej zięć, William Young, został dyrektorem Instytutu. Johnson zbyt wiele zainwestowała w klinikę, by ta mogła upaść. To z niej i ze współpracy z Kolodnym czerpała większość swoich dochodów. W czasie dyskusji na temat rozwodu zgodzili się z Mastersem, że nie zamkną Instytutu. „Zajmę się pacjentami, kiedy poprosi mnie o to zięć albo Bill Masters. Klient, często sławny, może poprosić o nas albo konkretnie o mnie", powiedziała Johnson dwa miesiące po feralnym Bożym Narodzeniu.

Rozwód dla Mastersa i Johnson był tym samym, czym było ich małżeństwo – pełnym szacunku respektowaniem potrzeb drugiej strony, ale zupełnie wypranym z uczuć. Martwili się przede wszystkim o Instytut, najważniejszy owoc ich współpracy. „Będziemy kontynuować wspólne przedsięwzięcia – wyjaśnił Masters. – Rozstaliśmy się z powodu różnic charakteru i w stylu życia". Nie musieli już występować w roli szczęśliwego małżeństwa. Wraz z rozwodem jedna zmyślona historia przeszła w drugą – że ich rozstanie przebiegło bezboleśnie. Przed publiką zachowywali się, jakby obudzili się pewnego dnia, ogłosili rozwód i wesoło wrócili do pracy. „Jeśli chcesz się rozwieść, tak właśnie powinieneś to zrobić: bez urazy, zgorzknienia, nienawiści albo zachowywania się jak głupek na oczach ludzi", stwierdził Young, zamierzając chronić Instytut. Kiedy media podały informację o ich rozstaniu, w klinice rozdzwoniły się telefony, a biuro zalała fala korespondencji. „Moi rodzice też biorą rozwód", napisał autor jednego z listów. Kolejny, mniej pozytywnie nastawiony, stwierdził: „Jak możecie pomagać innym, skoro sami sobie nie potraficie pomóc?". Inni zakładali, że chodzi o problem z seksem i udzielali porad. „Powiemy im, że naprawdę sobie pomogliśmy – stwierdziła Johnson w rozmowie z »The New York Times«. – Zrobiliśmy dokładnie to, czego chcieliśmy, zgodnie z naszymi wyraźnymi i przemyślanymi wymaganiami". Jej pierwsza publiczna reakcja na rozwód wydawała się zbyt idealna, niemal utopijna. Pewnemu dziennikarzowi powiedziała nawet, że pozostaje w dobrych stosunkach

z pierwszą żoną Mastersa, Libby, która dzwoniła do niej poprzedniego wieczora, pytając o przepis. Przez godzinę rozmawiały o nowym wnuku. „Moi przyjaciele zostają nimi przez całe życie", oznajmiła Johnson. Zasugerowała, że wyrosła już z roli asystentki Mastersa. „On grał klasyczną rolę nauczyciela, a ja uczennicy i dlatego na poziomie podświadomym ten związek nigdy nie był równy – wyznała. – Najprzyjemniejszą rzeczą, jaka mnie spotkała po rozwodzie, jest traktowanie mnie jako pełnoprawnej jednostki. Kiedy byliśmy razem, zawsze myślano o nas jako o duecie".

Mimo wszystko prasa wciąż nie dowierzała w to, co się stało.

– A teraz muszę zadać wam osobiste pytanie – upierała się gospodyni programu w National Public Radio krótko po jego rozpoczęciu. – Wielu naszych słuchaczy pamięta, że trochę ponad rok temu doszło do waszego rozwodu.

– Zgadza się – odparła Johnson, niemal wesoło.

– Wszystkich zamurowało – stwierdziła gospodyni. – Powiedziałaś wtedy, że zamierzacie nadal razem pracować. Myślę, że wielu z nas, w tym ja, nie do końca w to wierzyło. A jednak jesteście tu razem.

– A jednak jesteśmy i pojawialiśmy się w duecie już wiele razy – odparła Virginia. – Nasz związek w dużej części opierał się na współpracy zawodowej. Kiedy pracujesz siedem dni w tygodniu, rok po roku, praca staje się całym twoim życiem, całym tobą; a kiedy wreszcie dotarliśmy do punktu, w którym mogliśmy dostrzec siebie i zobaczyć, jakie chcielibyśmy wieść życie, mieliśmy dość energii i chęci, a nawet odwagi, jak wolałabym to nazywać, żeby się rozstać, by każde mogło pójść własną drogą.

– Więc mówicie parom, które właśnie się rozwodzą albo rozważają ten krok, że można się cieszyć swoim towarzystwem i spędzać wspólnie czas także po rozwodzie? – zapytała gospodyni programu, wyraźnie powątpiewając.

– Zdecydowanie – odparł Masters.

Aby zachować twarz, on i Johnson polecieli do Denver na dwudziestą piątą rocznicę powstania Amerykańskiego Towarzystwa Edukatorów

Seksualnych, Doradców i Terapeutów, którego istnienie w dużej mierze zawdzięczano ich pionierskim badaniom. Terapeutka Judith Seifer zgłosiła się na ochotnika, żeby odebrać ich z lotniska, i obawiała się, że zaczną się kłócić w samochodzie. Zamiast tego pojawili się niczym stare, szczęśliwe małżeństwo, a Johnson opiekowała się wyraźnie słabnącym Mastersem. Przez cały dzień pomagała mu się ubierać i dbała o jego dobre samopoczucie w trakcie oficjalnego przyjęcia. „Zupełnie jakby dla Gini nic się nie zmieniło. Jakby uważała troskę o niego za swój obowiązek – wyjaśniła Seifer. – Najwyraźniej była zdania, że może i się rozwiedli, ale wciąż pozostawali współpracownikami i była za niego odpowiedzialna".

Pierwsza reakcja Johnson na rozstanie wydawała się przesłodzona. Rzeczywiście wkrótce jej humor wyraźnie się pogorszył. Kiedy poukrywane w umowie rozwodowej i aneksach zapisy wyszły na jaw, zauważyła, że większość majątku dostała się Mastersowi. Winą za to obarczała Waltera Metcalfe'a, prawnika Instytutu. Gdy Masters rozpoczął przygotowania do rozwodu, zatrudnił firmę Metcalfe'a jako swojego przedstawiciela, chociaż był on blisko związany z kliniką prowadzoną przez Johnson. Miała przeczucie, że wiedza Metcalfe'a na temat szczegółów działalności kliniki dała jej byłemu mężowi niesprawiedliwą przewagę. Sam Metcalfe utrzymywał, że zawsze był lojalny przede wszystkim wobec Mastersa, przyjaciela, z którym oglądał mecze futbolu w niedzielne popołudnia. „Reprezentowałem Billa podczas obu jego rozwodów", wyjaśnił. Przyjaciele Virginii, na przykład Peggy Shepley czy nawet Robert Kolodny, generalnie uważali, że źle wyszła na rozstaniu. „Oczywiście wszystko się zmieniło między Billem i Gini po rozwodzie", powiedział Kolodny.

Kiedy zabrakło Mastersa, Gini zaczęła rozglądać się za nowym mężczyzną. Przyjmowała zaproszenia na gale i przyjęcia organizowanie przez śmietankę towarzyską miasta – wszystkie wydarzenia, które mogły się spodobać tak energicznej kobiecie. Nie zamierzała już siedzieć w domu z mężem niechętnym do wyjścia. W kręgu jej

znajomych znalazły się niedawno owdowiałe koleżanki, na przykład wspominana już Peggy Shepley, której mąż zmarł w 1991 roku, oraz Donna Wilkinson, żona zmarłego w lutym 1994 roku trenera Buda. W najgorszych chwilach liczyła ich rady i pociechę. Chociaż Gini skończyła prawie siedemdziesiąt lat, nie chciała przejść na emeryturę i nie rezygnowała z wizerunku kobiety atrakcyjnej dla płci przeciwnej. Jak wspomniała w rozmowie z pewnym dziennikarzem, jej życie towarzyskie składało się również ze spotkań „z różnymi mężczyznami, niektórymi starszymi, niektórym młodszymi… nie powiem kim. Jeśli chodzi o młodszych, cóż, swoją młodość poświęciłam na spotykanie się ze starszymi". W wywiadzie dla „Timesa" stwierdziła, że „zapewne wyjdzie jeszcze za mąż".

Dzięki swojej kokieterii poznała Lee Zingale'a, którego wypatrzyła na jednym z bankietów. Czarujący mężczyzna posiadał fizjonomię podstarzałego amanta filmowego. Wydawał się mieć wszystko to, czego nie miał Masters. Jego niebieskie oczy zdawały się tańczyć po pomieszczeniu, a idealnie zarysowane kości policzkowe podkreślały radosny uśmiech z błyszczącymi, białym zębami. Na głowie wciąż miał siwą czuprynę pofalowanych włosów. „Był piękny, z dołeczkami w policzkach i tak dalej", powiedziała Johnson. Zingale zgodził się towarzyszyć jej na balu charytatywnym w St. Louis i widziano ich razem kilka razy na mieście. „Stała się o wiele bardziej aktywna towarzysko niż przez ostatnie lata i bardzo jej się to chyba podobało", wyjaśnił Zingale, jakieś osiem lat od niej młodszy.

Wkrótce dołączył do kilku przedsięwzięć, dzięki którym mieli zarobić na sławie Johnson. Dzięki jego kontaktom i wsparciu innego inwestora Johnson nagrała spoty radiowe *Minuta dla związku*, gdzie dawała rady związane z seksem i miłością. Niestety nie udało im się podpisać umowy na ich publikację. Rozmowy na temat projektu telewizyjnego o jej życiu też spaliły na panewce. Chociaż Zingale miał więcej wspólnego z marketingiem, Johnson zatrudniła go do pomocy przy pisaniu autobiografii. Przeglądał zdjęcia i wycinki z gazet. „Nigdy nie zaszliśmy zbyt daleko – wyjaśnił. – Nie jestem pisarzem, ale ona była

przekonana, że mogę jej pomóc". Dzięki długim rozmowom Zingale wysnuł kilka wniosków na temat jej związków z mężczyznami. Opowiedziała mu o swoich pierwszych małżeństwach i romansie z Hankiem Walterem. Łatwo dało się zauważyć, że zależało jej na wzbudzaniu zainteresowania u mężczyzn. „Nie mam wątpliwości, że była dla nich atrakcyjna – powiedział Zingale. – Miała świetną osobowość i doskonały głos". Nigdy jednak nie zdołał pojąć, dlaczego Johnson wyszła za Mastersa, z którym łączyły ją relacje tak skomplikowane, że aż niezrozumiałe dla postronnych. Zingale nie poznał wtedy jeszcze Billa, ale wyrobił sobie na jego temat opinię na podstawie reakcji Johnson, gdy pojawiało się jego nazwisko. „Myślę, że był bardzo silnym człowiekiem, który zwyczajnie przejął nad nią kontrolę – stwierdził Zingale. – Wydaje mi się, że Virginia jest kobietą, która lubi sprawiać mężczyznom przyjemność. Znam ten typ. Mnóstwo kobiet pragnie towarzystwa mężczyzn nie tylko dla samego seksu. Naprawdę świetnie sobie z nimi radzą i dlatego są przez nich lubiane".

Chociaż nie udało im się dokończyć żadnego projektu, Johnson nadal płaciła Zingale'owi. Najwyraźniej jego towarzystwo znaczyło dla niej więcej niż pieniądze. Z czasem Zingale zaczął się z tym czuć niekomfortowo. „Nie mogę. To nie działa i nic dla ciebie nie robię – powiedział, kiedy znowu chciała mu zapłacić. – Nic się nie dzieje".

Brak rezultatów nie miał dla Gini żadnego znaczenia. „Nie, nie, nie… nie chcę, żebyś odchodził", stwierdziła. Zingale zdążył już zauważyć: „Potrzebowała mnie raczej do towarzystwa niż z powodów, dla których zostałem zatrudniony".

Gazety plotkarskie szybko ochrzciły Zingale'a mianem nowego partnera Johnson, następcy Billa Mastersa. „Wydaje mi się, że pojawił się pewien artykuł o jej nowym przyjacielu w prasie ogólnokrajowej i wspomniano w nim moje nazwisko. Zadzwonili wtedy moi starzy znajomi, ale tłumaczyłem im, że to nieprawda – wyjaśnił ze śmiechem. – Patrzyli na mnie z powątpiewaniem. Nie rozumieli".

Chociaż w towarzystwie albo w trakcie wywiadów w Nowym Jorku mogli wydawać się ładną parą, doskonale zdawali sobie sprawę, że nic

między nimi nigdy nie zajdzie. „Zingale w żadnym wypadku nie jest materiałem na męża – wyznała Virginia. – Lee to gej. Zabierałam go ze sobą, kiedy musiałam dużo podróżować, bo tego nie znosiłam. On za to uwielbiał, więc w ten sposób mu płaciłam. Wszędzie potrafił się odnaleźć. Z radością spotkał się z Leontyne Pryce i Barbarą Walter, bo w takich kręgach się obracałam".

Zingale celowo nie wyjaśniał wszystkiego do końca. Wiele lat wcześniej miał żonę i został ojcem, a nawet dziadkiem, w ten sposób stając się w oczach opinii publicznej heteroseksualistą. Jednak później, nie deklarując oficjalnie swojej orientacji, nawiązał wieloletnią relację z innym mężczyzną z St. Louis. Gini doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy nie oczekiwała niczego więcej prócz wieczorów wypełnionych śmiechem i zakończonych życzeniem sobie dobrej nocy. Zingale'owi wydawało się, że Johnson potrzebuje jego towarzystwa w ramach „dobrego PR-u", żeby ludzie brali go za następcę Mastersa. „Chyba czuła się samotna. Chciała zajmować się różnymi rzeczami i tak właśnie było – wyjaśniał. – Nie zrezygnowałem ze swojego życia. Nadal miałem innych przyjaciół, także takich, których tak naprawdę nie znała. Nie łączyło nas nic romantycznego. Nie wiem, czy tego chciała. Moja orientacja nie miała dla niej żadnego znaczenia, bo nie łączył nas romans".

W tamtym okresie bliskie przyjaciółki Gini nie rozumiały jej zachowania. W St. Louis kobiety w pewnym wieku znały Zingale'a jako dobrego towarzysza podczas przyjęć, który jednak nie jest zainteresowany relacją heteroseksualną. „Gini udawała, że to miłość jej życia – powiedziała Wilkinson. – Lee był kiedyś żonaty, ale to nic nie znaczy. Prowadził podwójne życie". Nie wiedziała, czy powinna porozmawiać z Gini na temat jej nowego przyjaciela, czy po prostu udawać, że wierzy Virginii, gdy ta przy lunchu opowiada o ich relacji, jakby łączyło ich coś więcej. Wilkinson lubiła Zingale'a, ale nie chciała, żeby ktoś znowu zranił Gini. Uznała, że musi zareagować. „Jeśli zależy ci na twoich znajomych, mówisz, że dopóki coś przynosi im szczęście, jest

w porządku – wyjaśniła Wilkinson. – Gini może była naiwna, ale taka jest prawda. Tylko ślepiec by tego nie zauważył".

Zagadkowa relacja Virginii Johnson z Lee Zingale'em trwała także podczas jej ostatniego wspólnego wystąpienia z Mastersem. Kiedy dowiedziała się, że Bill planuje zabrać Dody na wywiad z Larrym Kingiem i inne wydarzenia związanie z promocją książki, błagała Zingale'a, by jej towarzyszył. „Po prostu nie chciała zostać sama z Billem, Dody i Kolodnym, więc poprosiła, żebym pojechał z nią", opowiadał Zingale. W Instytucie Smitha Johnson i Kolodny wygłosili krótki wykład, który został dobrze przyjęty przez liczącą jakieś trzysta osób publiczność. Masters czuł się źle i wyglądał na tak słabego, że ograniczał swoje wypowiedzi do minimum. Przed występem w telewizji Kolodny przygotował dla Johnson specjalną „ściągawkę" z pytaniami i odpowiedziami. „Wiedziałem, że nie przeczytała książki", tłumaczył.

Kolodny był pod wrażeniem jej występu przed kamerami. „Doskonale radziła sobie z pięknymi wypowiedziami właściwie bez treści" – stwierdził. – Kiedy padało pytanie, na które nie znała odpowiedzi, rozpoczynała od »to mi przypomina…« i płynnie przechodziła do czegoś, czego nauczył ją Bill i o czym mogła swobodnie opowiadać nawet przez sen. Tak wyglądały jej wywiady już od wielu, wielu lat. W programie Larry'ego Kinga wyglądała świetnie. Naprawdę potrafiła się dobrze zaprezentować". Następnego dnia Masters i Johnson udzielali wspólnego wywiadu dla sekcji stylu w „The Washington Post" i wydawali się zdenerwowani. „Bill i Gini wyglądali na szczególnie szczęśliwych – wyjaśnił Kolodny. – Gini tak naprawdę chciała go udusić". Opanowane przez seks amerykańskie media nie zachwycały się już parą badaczy z St. Louis. W latach dziewięćdziesiątych mówienie o seksie w klinicznych szczegółach nie robiło już takiego wrażenia. „The Washington Post" dość złośliwie skomentował, że „żadna inna para nigdy nie opowiadała o seksie z taką swobodą, nie mając w sobie krztyny seksapilu". Dziennikarz nie zwrócił uwagi na Zingale'a, za to zauważył, że nowa żona Mastersa wyglądała „trochę jak Lovey Howell

z *Gilligan's Island* z tymi blond włosami przypominającymi bezę i idealnie skrojoną garsonką w stylu Chanel".

Kilka miesięcy po trasie promocyjnej książki Johnson i Zingale przestali się spotykać. Ich największy wspólny projekt – jej autobiografia – nigdy nie został zakończony, ponieważ „nie miała do tego serca", jak stwierdził Zingale. W ten sposób rozpadła się kolejna skomplikowana relacja z mężczyzną w życiu Virginii. „Wydawała się taka szczęśliwa, ale potem wszystko się posypało – komentowała Donna Wilkinson. W jej wieku i sytuacji wydawało się to po prostu smutne".

Z sobie tylko znanych powodów Johnson wkrótce zgodziła się na obiad z Mastersem, który przyprowadził swoją nową żonę.

– Mówiłem ci, jak poznaliśmy się z Dody? – zapytał Bill, siedząc obok niej.

– Nie, opowiedz – odparła odruchowo Gini tym samym głosem, co przy zbieraniu niezliczonych historii pacjentów.

Johnson znała już bajkową „opowieść o różach" na tyle, by ścisnęło ją w żołądku. Od czasu odkrycia na nowo utraconej w przeszłości kobiety Bill wspominał o tym w każdym wywiadzie. Mimo to przez wrodzoną ciekawość Gini musiała wysłuchać tej historii jeszcze raz. „Jedliśmy owoce morza w restauracji i piliśmy margarity, więc jakoś wytrzymałam", wyjaśniła. Swoim zachrypniętym głosem Bill raz jeszcze podzielił się romantycznym wspomnieniem z czasów młodości spędzonych w stanie Nowy Jork. W tej nowej wersji jednak zatriumfował nad przeciwnościami losu i człowiekiem, który poślubił jego ukochaną Dody. Zakończył arogancką, chełpliwą oceną drugiego męża Dody, z którym spotkali się w Arizonie.

– Wiesz, zawsze wiedziałem, że jestem od niego lepszy.

Johnson tylko kiwnęła głową i zmieniła temat. Jego słowa można było łatwo zignorować jako paplanie chorego i osłabionego staruszka cierpiącego na demencję. Jednak Virginia zapamiętała je na lata jako być może najprawdziwszy obraz Billa Mastersa, z całym jego okrutnym napuszeniem i głęboko skrywanymi kompleksami. „Oto klucz do tego,

kim był i co go w życiu motywowało – powiedziała, dekadę później wciąż rozmyślając o tym wydarzeniu. – Ale te słowa, »zawsze wiedziałem, że jestem lepszy«, właśnie one stanowiły jego siłę napędową. Zawsze chciał być najlepszy”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

In Memoriam

Bill Masters powoli odzwyczajał się od codziennej pracy. Zbliżał się już do osiemdziesiątki i ani jego umysł, ani ciało nie były w dobrej kondycji. Po odejściu Virginii Instytut Mastersa i Johnson wydawał się mieć dziwacznie niewłaściwą nazwę. Liczba pacjentów spadła do zaledwie garstki. „Jego grafik był właściwie pusty", zauważył Frederick Peterson, który został w 1994 roku ostatnim wyszkolonym przez Mastersa terapeutą.

Pod jego okiem Peterson przygotował historię pewnej pary, która w ciągu siedmiu lat nie zdołała skonsumować małżeństwa, co jednak osiągnęła zaledwie po tygodniu terapii. Chociaż Instytut się powoli rozpadał, dzięki przypadkowi tej pary Peterson mógł na własne oczy przekonać się, jak wygląda „magiczne", jego zdaniem, leczenie. Kiedy w klinice pracowało już niewielu, obowiązki Petersona obejmowały także wyszukiwanie dokumentów i nagrań zgromadzonych przez te czterdzieści lat. Pewnego dnia Masters poprosił go o namierzenie starego filmu o tytule *Orgazm kobiety*, który nagrali razem z Johnson na Uniwersytecie Waszyngtońskim w 1959 roku. Ekipa telewizyjna pracująca nad programem dokumentalnym o Mastersie i Johnson wystąpiła z prośbą o obejrzenie tego nagrania. Masters nie miał jednak pojęcia, gdzie mogłoby się znajdować.

Kiedy młody człowiek wreszcie je odnalazł, bardzo to Mastersa ucieszyło. Przygotował projektor i pokazał stary film Petersonowi, zupełnie jak wiele lat temu stażystom z uczelni medycznej. Nie wspomniał przy tym ani słowem o tożsamości kobiety widocznej w kadrze – Doktorek był wniebowzięty – wspominał Peterson. – Siedział w fotelu w sali konferencyjnej, wygłaszając trudne do zrozumienia komentarze. Pokazywał na obraz kobiety laską, którą pomagał sobie w chodzeniu.

Relikt z dawnych, odważniejszych czasów prawdopodobnie symbolizował najważniejszy punkt w jego karierze, kiedy to razem z Virginią Johnson dopiero zamierzali zapisać się w historii medycyny. Wreszcie nagranie się skończyło, a Peterson zapytał:

– Kim jest narrator tego filmu?

– To ja! – zawołał Masters, zaskoczony, że jego uczeń tego nie wiedział.

Peterson nie odpowiedział. Ta sytuacja stała się dla niego kolejnym dowodem na zmiany zachodzące w Instytucie Mastersa i Johnson. „Nie rozpoznałem go, bo jego głos dramatycznie się od tamtych czasów zmienił", wyjaśnił.

Masters próbował utrzymać swoją ukochaną klinikę, rozpoczynając szereg nowych projektów, z których żaden jednak nie powtórzył dawnych sukcesów. Instytut otworzył program leczenia molestowanych seksualnie dzieci i przeniósł się do państwowego biurowca w St. Louis. Masters z poprzednich badań wyniósł wiedzę o tym, że wiele molestowanych w dzieciństwie osób w dorosłym życiu cierpiało na dysfunkcje seksualne i ciężką depresję. Nie opuszczały ich bolesne wspomnienia, a do tego często tkwili oni w toksycznych związkach. Pacjentów kierowano z różnych miejsc w kraju i przechodzili miesięczną terapię, pomieszkując w lokalu wynajętym przez klinikę. Masters współpracował z Markiem Schwartzem, który objął stanowisko dyrektora, ale ich partnerstwo nie trwało długo. „Był to sposób na zarobienie pieniędzy – wyjaśniła Judith Seifer. – Doktorek strasznie się bał, że Instytut nie przetrwa". Bill próbował również uruchomić

specjalny numer, na który mogliby bezpłatnie dzwonić ludzie poszukujący rady wykwalifikowanego terapeuty seksualnego. Jednak ten projekt również upadł. W grudniu 1994 roku spełnił prośbę Dody i przeszedł na emeryturę. Zamknął klinikę i wyprowadził się z St. Louis, gdzie spędził niemal całe swoje dorosłe życie. „W moim wieku czas wygrzewać się na słońcu – oświadczył. – Będę trochę pisał i wykładał, ale porzucam całkowicie terapię i badania". Wkrótce osiadł w Arizonie, gdzie cieszył się dobra pogodą i spędzał czas z Dody w jej starym domu.

Aby wspomóc starzejącego się ojca, Howie Masters dopilnował spraw związanych z zamknięciem Instytutu. Zgodził się zostać jego wicedyrektorem, upewniając się, że wszystkie papiery się zgadzają, kiedy jako organizacja pożytku społecznego składali ostatnie zeznania podatkowe. „Nie działo się nic poważnego. Żadnych terapii, żadnych badań, którymi nie zajmowano się już od bardzo dawna – powiedział. – Klinika istniała tylko po to, by mój ojciec miał dokąd codziennie chodzić".

Howie był dobrym i kochającym synem dla obojga swoich rodziców. Razem z siostrą wspierali matkę, Libby, po rozwodzie z Billem. W 1982 roku wyszła ona za admirała Williama F. Royalla i przeniosła się do Maine, gdzie spędziła resztę życia, zajmując się ogródkiem, robiąc na drutach i ciesząc towarzystwem przyjaciół z Kościoła Episkopalnego w Boothbay, podobnie jak kiedyś w Ladue.

Jednak relacje Howiego z ojcem bywały napięte. „To bardzo smutne, ale Bill kilka razy przyznał, że Howie wie o nim i o jego pracy bardzo niewiele – powiedział Robert Kolodny. – Żałował, że w pewnym sensie był dla swojego syna niedostępny". Gini nigdy nie rozumiała podejścia Billa do Howiego, zupełnie jakby mimo całego psychoterapeutycznego przygotowania Masters nie potrafił wyciągnąć żadnych wniosków ze swojej bolesnej relacji z ojcem. „Bill był dla niego w wielu przypadkach niemiły i okrutny – zauważyła. – Howie nie miał żadnego powodu, by go lubić. Jemu jednak nawet cytryna wydawała się słodka. O wiele bardziej przypomina matkę".

William Masters jeszcze wiele kwestii związanych z seksem pozostawił niewyjaśnionych, mając nadzieję, że po jego odejściu klinika będzie kontynuować badania. Bezskutecznie próbował zdobyć granty na centrum wsparcia ofiar gwałtu i przy okazji zgłębić przyczyny i symptomy przemocy seksualnej. Największą zagadką pozostawała neurofizjologia seksu. Nigdy nie udało mu się odpowiedzieć na pytanie zawarte we *Współżyciu seksualnym człowieka*, gdzie przyznał się, że nie wie „dlaczego kobiety i mężczyźni reagują w ten, a nie inny sposób". Inni badacze w Europie powtórzyli badania i potwierdzili najważniejsze cztery fazy reakcji seksualnej, które po raz pierwszy wyróżnili Masters i Johnson, ale niewiele więcej udało się osiągnąć. W latach dziewięćdziesiątych nowe zdobycze w dziedzinie diagnostyki, na przykład tomografia komputerowa czy rezonans magnetyczny, pozwalały lekarzom podejrzeć aktywność mózgu i innych organów, co znacznie przewyższało możliwości, jakie mieli Masters i Johnson. Gdyby tylko rząd zrezygnował ze swoich moralnych ograniczeń i wsparł badaczy finansowo, a instytucje naukowe ponownie zainteresowały się jego pracą i zapewniły ludzi oraz wsparcie, udałoby się dokonać kolejnych odkryć; przynajmniej w to wierzył sam Masters. Być może udałoby się pomóc jeszcze wiele kwestii związanych z seksem pozostawił niewyjaśnionych, pozwalając im na odzyskanie choć części dawnego życia seksualnego.

Zanim drzwi kliniki zamknęły się ostatecznie, dokonania Mastersa i Johnson zostały przyjęte w całym kraju. Podobnie jak ich odkrycia z dziedziny fizjologii zaprzeczyły poglądom Sigmunda Freuda na temat kobiecej seksualności, ich terapia bezpośrednio kwestionowała i radykalnie zmieniała tradycyjne metody psychoanalizy w leczeniu problemów na tle seksualnym. Opłaty za ich usługi znacznie wzrosły, jednak nadal stanowiły ułamek kosztów freudowskiej kozetki. „Przez dwa albo trzy lata poddawajcie się psychoterapii i zobaczymy, ile was będzie kosztować!", przekonywał Masters. A jednak do 1994 roku najważniejszy element metod Mastersa i Johnson – podwójna terapia, w której pacjentów leczyła damsko-męska para terapeutów – stał się

ofiarą cięcia kosztów w medycynie i powtórnej oceny innych badaczy. „Przy dwójce terapeutów koszt jest podwójny – wyjaśnił doktor Alex Levay na kilka miesięcy przed śmiercią. – Teraz ludzie znacznie swobodniej mówią o seksie. Dlatego kiedy para przychodzi z konkretnym problemem, nie interesuje ich płeć terapeuty".

Medyczne podejście do seksu, zastosowane po raz pierwszy przez Mastersa i Johnson, wkrótce weszło w nową rzeczywistość orgazmów wywoływanych przez środki farmakologiczne. Przemysł farmaceutyczny, wcześniej operujący na obrzeżach badań psychoseksualnych, zbił fortunę na viagrze i innych szeroko rozreklamowanych metodach leczenia impotencji. Pfizer, firma, która w 1998 roku wprowadziła viagrę na rynek, pod koniec dekady zarabiała na małej niebieskiej pigułce jeden i trzy dziesiąte miliarda dolarów rocznie. „Jeśli martwisz się o wydolność, metoda Mastersa i Johnson może okazać się efektywniejsza, pozbawiona ryzyka, a na dłuższą metę także tańsza", doradzał „New York Times" w 1998 roku. W ciągu pięciu lat od wypuszczenia viagry na rynek, spróbowało jej ponad szesnaście milionów mężczyzn. Nagle w „wieku viagry" pod pretekstem leczenia poważnej dolegliwości zapomniano o starych purytańskich poglądach i społecznym tabu. Kiedy niebieska tabletka pojawiała się w telewizji wystarczająco często, nawet widmo czterogodzinnej erekcji jako możliwego skutku ubocznego nikogo nie odstraszało. Jeśli romans Billa Clintona ze stażystką stanowił jedno spektrum seksualności Ameryki w latach dziewięćdziesiątych – symbolizując libertyński etos starzejącego się pokolenia rewolucji seksualnej – jego oponent z Partii Republikańskiej, Bob Dole, który reklamował w telewizji viagrę jako eliksir sprawności seksualnej, uosabiał przyszłość. „Każda firma farmaceutyczna poszukuje własnego leku w stylu viagry, ponieważ William Masters i Virginia Johnson sprawili, że zdrowie seksualne stało się opłacalnym biznesem", oznajmił „Playboy" z perspektywy patrona wspierającego ich działalność. Seks stał się na nowo osiągalny w sposób, jaki większości

staruszków nawet się nie śnił. Jak stwierdził kiedyś Masters, „kiedy jesteśmy starzy, nie możemy już przebiec kilku kilometrów jak w nastoletnich czasach, ale wciąż możemy chodzić na spacery". Jednak czy klucz do miłości można znaleźć w laboratorium? Viagra i inne pigułki, plastry i balsamy propagowane przez biznesowo zmotywowany przez seksualnie zmotywowany przemysł farmaceutyczny, obiecywały cudowne wyleczenie. „Poproś o pomoc swojego lekarza", doradzały reklamy. Metody Mastersa i Johnson wyraźnie miały wpływ na tak zwaną biblię zdrowia psychicznego i przemysłu ubezpieczeń zdrowotnych, czyli *Diagnostyczny i statystyczny leksykon chorób psychicznych* przygotowany przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne. Jednak ich medyczne podejście – wyjątkowo skuteczne – teraz zostało zastąpione przez cudowne pigułki. Naukowcy szybko wrócili do laboratoriów, żeby wynaleźć podobny środek dla kobiet cierpiących na niskie libido. „Journal of the American Medical Association" informował, że czterdzieści trzy procent kobiet i trzydzieści jeden procent mężczyzn cierpi na jakąś dysfunkcję seksualną. Połowa kobiet przyznawała się do regularnego przeżywania orgazmów, ale dziesięć procent nigdy żadnego nie doświadczyło.

Jednak na początku XXI wieku wciąż wielu problemów nie dało się rozwiązać za pomocą zwykłej recepty. Jak podkreślali Masters i Johnson pod koniec swojej kariery, znajomość funkcji ciała nie może zastąpić mądrości życiowej. Wyszkoleni terapeuci obwiniali wszechobecne wykorzystywanie seksu w reklamie i łatwy dostęp do pornografii – która w ciągu zaledwie pięciu lat rozwinęła się w biznes warty miliard dolarów – o coraz wyraźniejsze oddzielanie pożądania od miłości. „W pewnym sensie mamy teraz więcej problemów niż w latach siedemdziesiątych", oświadczyła Joyce Penner, kalifornijska terapeutka, która kiedyś razem z mężem, Cliffem, odbyła szkolenie w Instytucie Mastersa i Johnson. Podobnie jak ich słynni mentorzy, Pennerowie pracowali i pisali książki wspólnie. Doradzali konserwatywnym chrześcijanom na temat seksu w małżeństwie, mówiąc o tych sprawach

szczerze i z błogosławieństwem pastorów, na przykład Ricka Warrena. Pennerowie zauważyli, że pary potrafiły bardzo szczegółowo opowiadać o tym, jak uprawiać seks, ale często nie były w stanie opisać łączących ich uczuć. „Istnieje fałszywe przekonanie, powstałe przez telewizję, że małżeństwo powinno być wypełnione po brzegi seksem – wyjaśniła. – Pornografia przez swą atrakcyjność jest jest bardzo uzależniająca, a potem człowiek chce tego samego w związku".

Mimo tych wszystkich nadużyć niewielu zdecydowałoby się na powrót do czasów ignorancji w sypialni i nieskonsumowanych małżeństw. Seks w Ameryce, niemal we wszystkich swoich formach, zmienił się prawie całkowicie w ciągu niecałego półwiecza. Odkrycia Mastersa i Johnson sprawiły, że nie było powrotu do przeszłości. Kiedy ich klinika została zamknięta, wciąż nierozstrzygnięte pozostały odwieczne kwestie – nieuchwytność prawdziwej miłości, brak więzów emocjonalnych między partnerami, nierówność w rolach seksualnych i oczekiwaniach, a także narcyzm ludzi niezdolnych do zobowiązań – których nie dało się łatwo rozwiązać biologicznie. „Z jednej strony viagra to wspaniały farmakologiczny przełom – wyjaśniła doktor Ruth Westheimer, najwyrazistsza następczyni Mastersa i Johnson w roli amerykańskiej ekspertki od seksu i miłości. – Ale chodzi o to, że drugi partner musi mieć w tym swój udział, nie możesz po prostu dać komuś pigułki i życzyć mu szczęścia".

Czas spędzony w Arizonie sprawił, że Bill czuł się szczęśliwy mimo wciąż pogarszającego się zdrowia. Dody bez słowa skargi opiekowała się nim i dotrzymywała mu towarzystwa w jego ostatnich latach życia. Wybranka Mastersa wydawała się należeć do innej epoki. Przypominała Libby – każda z nich była ślepą i wiecznie uśmiechniętą żoną lekarza. Dody z pewnością w niczym nie była podobna do ambitnej i inteligentnej Virginii Johnson. Na emeryturze, bez badań i kolejki pacjentów, Bill nie czuł już potrzeby stawiania sobie wyzwań. Wszystko, co związane z St. Louis, miał już za sobą. Przez lata Masters odradzał pracownikom udzielanie informacji o życiu kliniki. Dekadę

wcześniej odrzucił propozycję napisania wspomnień, mówiąc dziennikarzowi: „Nie wyobrażam sobie równie nudnej lektury". Jednak po kilku leniwych latach w Arizonie poczuł się gotowy na następny projekt. Do 1999 roku zebrał wszystkie notatki i zadeklarował, że jest gotowy do wydania autobiografii. Zadzwonił do Judy Seifer – która stała się bardzo znaną terapeutką i sama publikowała poradniki, a także filmy instruktażowe – żeby pomogła mu w napisaniu książki. Z sentymentu i szacunku do dawnego mentora Seifer poleciała do Tucson, żeby wysłuchać ciężkiego, pełnego rezerwy języka jego wspomnień. Powiedziała, że nie uda mu się tego sprzedać, jeśli nie będzie bardziej szczery i refleksyjny.

– Ludzie nie będą chcieli tego czytać – stwierdziła.

Wydawał się zaskoczony.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Musisz przede wszystkim pokazać im swoje wnętrze – odparła z silnym akcentem ze wschodniej Virginii. – Dlaczego ożeniłeś się z Johnson, a potem się rozwiedliście?

Natychmiast się zasępił.

– Nie zamierzam zajmować się oceną mojego charakteru – mruknął.

Masters i Johnson osiągnęli międzynarodowy sukces wydawniczy mimo używania trudnej terminologii medycznej, ale teraz niepohamowany apetyt Ameryki nie zadowalał się byle czym. Jeśli Seifer miała spisać wspomnienia Billa, musiał powiedzieć jej coś więcej.

– Jeśli zaufasz mi na tyle, by pokazać mi ludzką stronę swojej historii, czytelnicy będą chcieli się przekonać, na ile są do ciebie podobni. Nie tylko jako naukowca, ale także jako mężczyzny, jako ojca. Chcą też usłyszeć o twoich wadach i błędach, a oboje wiemy, że było ich sporo – dodała ze znaczącym uśmiechem.

Masters nie dał się przekonać.

– Zamierzam mówić tylko o tym – powtórzył, ściskając swój rękopis, nieporuszony jej radą.

Seifer wyjechała z Tucson, obiecując wspomnieć o tym pomyśle kilku nowojorskim wydawcom, mimo własnych obiekcji. Zadzwoniła do

Howiego, żeby się upewnić, że nie ma nic przeciwko i by poprosić go o pomoc w rozwiązaniu czekających ją problemów.

– Nie wiem, czy uda mi się namówić Gini do współpracy – wyznała. – Poza tym ktoś musi przekonać Billa, że potrzebujemy bardziej osobistych wyznań.

– Sam chętnie bym je przeczytał – powiedział Howie, śmiejąc się z projektu tej syzyfowej pracy.

Ostatecznie żadne wydawnictwo nie wyraziło chęci publikacji ostatniej książki Mastersa. Niemniej jednak on nadal dyktował swoje wspomnienia i w końcu powstało sto stron notatek. Odrzucenie nigdy wcześniej go nie powstrzymywało. Większość tekstu składała się z opowieści o jego wczesnych triumfach w badaniach seksualnych i pokonywaniu przeciwności – historie te powtarzał już setki razy. Wspomniał o wakacjach spędzonych z Dody i ich późniejszym małżeństwie, ale unikał tematu dwóch kobiet, z którymi spędził większość swojego dorosłego życia. Na jedynej stronie poświęconej Libby przyznał, że nie był „do końca dobrym ojcem" i, podobnie jak wszystko inne w jego życiu, ich rozwód opisał w kontekście swojej kariery. („Musiałbym ograniczyć tę ogromną ilość czasu, który poświęcałem wymagającym badaniom, żeby nasze małżeństwo mogło przetrwać", podsumował.) W przypadku Virginii nie podzielił się żadną refleksją. Wyraził uznanie dla niej za wyjaśnienie mu „psychoseksualnej orientacji kobiety" oraz stworzenie terapii „mimo braku dyplomu medycznego". Nie podzielił się jednak żadnymi informacjami na temat ich relacji – na początku jako współpracowników, potem jako małżeństwa uznawanego za najważniejszych ekspertów z dziedziny współżycia. Być może słyszał, że Virginia planuje napisać własną autobiografię i nie chciał niczego zdradzać. „Nie wyobrażam sobie pisać o naszych osobistych sprawach – wyznał. – Mam nadzieję, że ona dojdzie do tego samego wniosku".

Johnson nigdy nie przeczytała jego upomnienia. Nie wiedziała nawet, że jego dzienniki w ogóle powstały. Howie przeczytał manuskrypt i zdecydował, że postępująca demencja ojca uczyniła tekst

niewiarygodnym. „W późniejszych latach zaczął spisywać swoje wspomnienia, bo nie miał nic innego do roboty – oświadczył Howie. – Szczerze mówiąc, autentyczność jego opowieści była mocno wątpliwa. Jako jego syn zadbam o to, by książka nigdy się nie ukazała".

Nieunikniona śmierć Williama Howella Mastersa nadeszła 16 lutego 2001 roku. Zmarł w hospicjum w Tucson z powodu komplikacji wynikających z zaawansowanej choroby Parkinsona. Miał osiemdziesiąt pięć lat. Dopóki zdrowie mu na to pozwalało, spędzali z Dody zimy w Arizonie, a lata w chatce Bakerów nad jeziorem Rainbow. W ostatnich miesiącach życia przebywał w ośrodku opieki na pogórzu Catalina. Zanim stracił przytomność, powiedział Dody, że zawsze ją kochał.

Na całym świecie pojawiły się nekrologi wspominające dokonania doktora Williama H. Mastersa. Zdaniem „Washington Post" za życia „spoglądał na delikatny akt miłości zza urządzeń medycznych". „Newsweek" stwierdził, że „Masters i Johnson – którzy w czasie swoich badań przyjrzeli się ponad czternastu tysiącom orgazmów – stali się najsłynniejszymi podglądaczami w naszym kraju". Z nieco większym szacunkiem wypowiedział się „St. Louis Post-Dispatch", nazywając go „pionierem studiowania problemów i znajdywania ich rozwiązań we wcześniej zaniedbywanej i kontrowersyjnej dziedzinie seksualności człowieka". W długim nekrologu wielkości zarezerwowanej zazwyczaj dla prezydentów i potentatów „New York Times" oznajmił, że Masters „zrewolucjonizował sposób badania seksu, uczenia go i czerpania z niego przyjemności w Ameryce". Zdaniem dziennikarzy z „Timesa", Masters i Johnson, korzystając z odkryć Alfreda Kinseya i Sigmunda Freuda, „poświęcili ponad pół wieku na na obserwację mechaniki współżycia seksualnego, jej pomiary i refleksję nad nią oraz poszukiwanie sposobu polepszenia pożycia par, które z trudem czerpały z seksu przyjemność". Z myślą o historii, gazeta słusznie zauważyła, że Masters i Johnson odrzucili „stwierdzenie Simona Andre, szwajcarskiego badacza, który w 1758 roku uznał, że masturbacja prowadzi do ślepoty; dziewiętnastowieczne dowody Elizabeth Osgood

na to, że orgazm osłabia kobietę bardziej niż dzień pracy na polu, a seks dla przyjemności niszczy ciało; a także teorie Sigmunda Freuda, iż szczytowanie łechtaczkowe sugeruje nierozwiązane problemy psychologiczne".

Mimo statusu celebryty, bestsellerowych książek na koncie i wyjątkowych sukcesów terapeutycznych, Masters został nieco w tyle. Kiedy Howie przeglądał księgi kliniki, odkrył, że jego ojciec przegapił ważną szansę. „Mogli zarobić dziesiątki milionów dolarów, gdyby tylko rozważyli propozycję z Wall Street i stworzyli franczyzę, ale oni na zawsze pozostali w jednym biurze – wyjaśnił. – Pieniądze, które udało im się zarobić, natychmiast musieli oddać na bieżące wydatki. Mój ojciec skończył jako nędzarz". I chociaż nazwisko Mastersa pojawiło się w niezliczonych nagłówkach, wielu uważało, że został oszukany przez świat nauki. Uniwersytet Waszyngtoński – miejsce, w którym razem z Johnson przeprowadził najważniejszą część swojej pracy – zignorował jego wkład w rozwój medycyny. W przeciwieństwie do Uniwersytetu w Indianie, gdzie powstał instytut w celu uhonorowania Kinseya, na uczelni w St. Louis nie pojawiła się żadna tablica, żadne stypendium jego imienia, a na stronie internetowej praktycznie nie wspomina się o Mastersie i Johnson. Zupełnie jakby na trzecim piętrze Szpitala Położniczego nic nigdy się nie wydarzyło. Przyjaciele i wielbiciele zwrócili na to ironicznie uwagę, mówiąc, że Masters pomógł Uniwersytetowi Waszyngtońskiemu znaleźć się na mapie. „Przez długie lata uczelnię rozpoznawano dzięki Billowi Mastersowi – wyjaśnił doktor Ernst Friedrich, który przeszedł na emeryturę w 1998 roku po czterdziestu latach wykładania na tejże uczelni. – Kiedy pojawiałem się na spotkaniach międzynarodowych, wszyscy kojarzyli Billa Mastersa. Kiedy mówiłem o Uniwersytecie Waszyngtońskim, odpowiadali: »Och! Masters i Johnson!« Znali Mastersa lepiej niż kogokolwiek innego".

Howie informację o śmierci ojca otrzymał w czasie nagrywania programu dokumentalnego w Australii. Właściwie to przygotowywał się do wyjazdu ze względu na to, że kilka dni wcześniej odeszła jego

matka. Elizabeth Ellis Royall zmarła w wieku osiemdziesięciu sześciu lat w domu spokojnej starości w Wilton w stanie Connecticut, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkały jej dorosłe dzieci. Przeniosła się tam z Maine w 2000 roku, po śmierci drugiego męża, admirała Williama Royalla. Ostatecznie Howie miał pojawić się na dwóch pogrzebach. Najpierw wziął udział w prywatnej ceremonii w Tucson; mógł tam przyjechać jako jedyny ze swojej rodziny. „Nie znałem tam nikogo – wyjaśnił. – W zasadzie przyszli tam wszyscy ludzie z Tucson", którzy znali jego ojca przez ostatnie lata. Fran Baker poinformował, że szczątki Mastersa zostały skremowane, a prochy wyrzucono z samolotu nad Arizoną oraz nad okolicami jeziora Rainbow – dwoma miejscami związanymi z Dody.

Rodzina i przyjaciele złożyli hołd Billowi Mastersowi kilka tygodni później, w trakcie nabożeństwa żałobnego zorganizowanego przez Roberta Kolodny'ego w Kaplicy Grahama na terenie Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Chociaż Kolodny już dawno opuścił klinikę, nigdy nie przestał idealistycznie podziwiać Mastersa. Poświęcił mu długi artykuł w „Journal of Sex Research" i nazwał swojego przyjaciela „jednym z gigantów seksuologii dwudziestego wieku". Uważał Mastersa za odważnego, zdyscyplinowanego profesjonalistę, który z niezawodną intuicją podjął wyzwanie, jakim były badania nad seksualnością człowieka. Jednak Masters wydawał się też czasami ślepy na swoje życie osobiste i ryzyko porażki. Nie zważał na ciemniejszą stronę własnej natury, która przyczyniła się do wielu rozczarowań, a nawet tragedii. „Notorycznie skrywał swoje uczucia, przynajmniej w ciągu tych trzydziestu trzech lat naszej znajomości – zauważył Kolodny. – Życie Billa było pełne fantazji na temat tego, kim chce być i jak pewne rzeczy powinny wyglądać. Rzeczywistość okazywała się o wiele bardziej kłopotliwa". Przez jakiś czas Kolodny rozważał napisanie książki o swoim przyjacielu, ale ostatecznie nie mógł się do tego zabrać.

Johnson początkowo zgodziła się przyjść na niedzielne nabożeństwo 20 maja 2001 roku, a także na prywatne przyjęcie zaplanowane na wieczór poprzedniego dnia w Chase Park Plaza Hotel. Minęło osiem lat

od rozwodu. Ich wspólni znajomi i przyjaciele, na przykład Peggy Shepley, doktor Mike Freiman z żoną, Mark Schwartz i były redaktor „Playboya" Nat Lehrman, zapewnili, że z chęcią powspominają Mastersa w kameralnym gronie.

Krótko przed nabożeństwem zmarł na raka płuc jedyny brat Johnson, Larry. Jego strata – dodatkowo spotęgowana smutkiem po odejściu Mastersa – wyprowadziła ją z równowagi. „Ta śmierć była i jest jedyną prawdziwą tragedią w moim życiu, ponieważ to mój ukochany braciszek", wyjaśniła. Larry, jako odnoszący sukcesy agent ubezpieczeń, cieszył się udanym życiem małżeńskim i rodzinnym – miał gromadkę mądrych dzieci. Czasami zastępował ojca Scottowi i Lisie, kiedy ich prawdziwy tata, George Johnson, znikał na dłużej, a Bill Masters zajmował się ważniejszymi sprawami. „Ciężko zniosła jego śmierć – wyjaśniła Peggy Shepley. – Zupełnie się załamała". Z początku Johnson deklarowała swoją obecność na nabożeństwie żałobnym Mastersa, ale nie chciała przemawiać. Po śmierci Larry'ego postanowiła w ogóle się nie pojawiać.

Kiedy Kolodny dowiedział się o odmowie Virginii, próbował ją przekonać. Jej nieobecność mogłaby zostać odebrana jako znak, że wciąż żywi wobec Billa negatywne uczucia. „Powiedziałem jej, że to źle wpłynie na jej wizerunek i ich wspólną spuściznę, a na ceremonii mogą pojawić się dziennikarze", wyjaśnił; próbował przemówić do jej przekonania o wadze publicznych wystąpień. Uparcie odmawiała. Inni przyjaciele, na przykład Donna Wilkinson, zaproponowali, że będą jej towarzyszyć w drodze do kaplicy. Wilkinson próbowała przekonać ją do pojawienia się tam ostatni raz dla Mastersa i „nie rezygnować z ich wspólnego dziedzictwa". Johnson jej przerwała, mówiąc, że ma w tej chwili już wystarczająco dużo smutku w swoim życiu.

Jednak Virginia była bardzo ciekawa hołdu, jaki postanowiono złożyć Mastersowi. W czasie obiadu przed nabożeństwem jej wnuczka, Lark, pojawiła się niezapowiedziana w hotelu, kiedy goście już skończyli posiłek i właśnie popijali kawę. „Gini – jak przyznała później – wysłała jedną ze swoich wnuczek, żeby opowiedziała jej o wszystkim", wyjaśnił

Kolodny, niezadowolony z zachowania Johnson. Donna Wilkinson zadzwoniła do niej natychmiast po nabożeństwie. „Większość mówców poruszała temat odkryć Billa i bardzo szkoda, że Virginii zabrakło – stwierdziła Wilkinson. – Wydawało mi się, że poczuła się niekomfortowo".

Dawni współpracownicy zostali jeszcze po zakończeniu ceremonii, rozmawiając o starych znajomych i losie Instytutu. Marshall Shearer wspominał ambitne plany Billa z wczesnych lat siedemdziesiątych, kiedy Masters i Johnson trafili na okładkę „Time", nazwani geniuszami terapii. „Gdy Bill przeszedł na emeryturę, fundacja przestała istnieć", stwierdził Marshall, rozczarowany jej upadkiem. Podobnie jak wielu innych, od dawna nie miał kontaktu z Mastersem i Johnson, i nie znał przyczyny tego stanu.

Kiedy tłum ostatecznie wyszedł z kaplicy, zaczął padać deszcz, ale wciąż żywo rozprawiano o fascynującym życiu pary badaczy z St. Louis.

– Jedźmy do Ritz; postawię wam drinki – zaproponował Freiman, jeden z najstarszych i najbardziej towarzyskich przyjaciół Mastersa, Natowi Lehrmanowi i innym psychiatrom z Nowego Jorku, którzy przemawiali podczas nabożeństwa.

W Cigar Club, luksusowym barze w Ritz-Carlton w St. Louis, mężczyźni zasiedli w fotelach z brązowej skóry i popijali martini. Każdy z nich przez lata z bliska przyglądał się relacji Mastersa i Johnson i brał udział w przekazywaniu informacji o seksie opinii publicznej. Jednak wszyscy zgodzili się, że tajemnice pożądania – przyciągania między mężczyzną i kobietą oraz ich nieustannego poszukiwania miłości – pozostawały nieuchwytne. „Doszli do ciekawego wniosku, że w zasadzie nikt nie wie, po co w ogóle jest ten cały seks – zaśmiał się Freiman. – Każdy z nich był związany z badaniami i wszyscy przyznali, że niewiele wiemy. Kobiety wciąż bronią swojego sekretu".

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Niezapominajki

Zbyt szybko zapominamy o rzeczach, których nigdy mieliśmy nie zapomnieć. Zapominamy o miłościach i zdradach, zapominamy o szeptach i krzykach, zapominamy o tym, kim byliśmy.
Joan Didion

Kiedy mężczyzna jej życia odszedł, Virginia poczuła się samotna i oszukana. Po raz kolejny musiała radzić sobie sama, znaleźć sposób na miłość i ograniczone finanse.

W późnych latach dziewięćdziesiątych otworzyła Centrum Szkoleniowe Virginii Johnson Masters które miało walczyć z „dysfunkcją, dolegliwością i brakiem satysfakcji" bez konieczności przechodzenia terapii twarzą w twarz. W ramach swojej misji instytucja planowała sprzedaż filmów na takie tematy jak *Pary i siła intymności* czy przeznaczony dla ludzi po pięćdziesiątce zestaw *Intymność na całe życie (która nie kończy się aż do końca)*. W rozmowie z dziennikarzem wypytującym o przyczyny powrotu z emerytury, Gini powiedziała: „Wielu ludzi wciąż sobie nie radzi". Projekt nie przyjął się, chociaż użyła nazwiska Masters, by przypomnieć, kim jest.

Bez dyplomu i wsparcia Billa trudno jej było kontynuować pracę w dziedzinie seksuologii, której standardy pomogła wyznaczyć. „Swoją wiarygodność zawdzięczała Billowi – wyjaśniła Judy Seifer, była współpracownica i przyjaciółka Mastersa. – Nie miała licencji, tylko honorowe tytuły, a niewiele da się zrobić, jeśli nie masz porządnego zaplecza".

Przez lata Gini płaciła firmie zajmującej się zbieraniem wycinków z gazet za przysyłanie wzmianek o niej i o Mastersie, ale sława już jej nie interesowała. „Jeśli coś się działo, zawsze dzwonili do nas z prośbą o komentarz – opowiadała. – Masters był świetny w rzucaniu pojedynczych zdań, ale ja nie. Zawsze chciałam wygłosić dłuższy wykład. Dopiero jakieś dziesięć lat temu przestali się z nami kontaktować przy każdej sprawie związanej z seksem. W pewnym sensie się z tego cieszę".

Po śmierci Billa i rozstaniu z Lee Zingale'em Gini bardziej niż kiedykolwiek musiała polegać na swoich dorosłych dzieciach. Zrozumiała, jaką cenę przyszło im zapłacić za to, że ona poświęciła się pracy. „Zawsze będę żałować tego, że przegapiłam tyle spotkań matek w szkole, a moje dzieci były smutne, podobnie zresztą jak ja, kiedy dużo podróżowałam i ciągle prowadziliśmy wykłady w czasie tych pierwszych lat", przyznała w wywiadzie. Mąż Lisy wyjaśnił innemu dziennikarzowi, jak wyglądało dorastanie w domu Virginii Johnson. „Jej córka była wychowywana przez gosposię i wyśmiewana przez inne dzieci – przyznał William Young. – Ze względu na jej pracę mówili, że ich matka to na pewno dziwka. Nie mogły tego przegapić, skoro Masters i Johnson pojawili się na okładce »Time«".

Rok po pogrzebie Billa Gini przeszła łagodny atak serca, który jednak nie pozwolił jej podnieść się z podłogi do czasu zjawienia się pomocy. Oprócz tego chorowała na cukrzycę, przeszła także operację wycięcia nowotworu i wymiany kolana oraz cierpiała na inne drobne dolegliwości. Syn doradzał Virginii, gdzie powinna zamieszkać i co począć z pozostałym jej majątkiem. „Scott organizuje moje życie od jakiegoś czasu; to smutne, ale bardzo się boi tego, że umrę – wyjaśniła. – Chciał, żebym znalazła się pod dobrą opieką". Gini nigdy nie zostawała zbyt długo w jednym miejscu, więc sprzedała swój dom w uniwersyteckiej części St. Louis i w końcu przeprowadziła się do luksusowego hospicjum z restauracją, rozrywkami i możliwością wynajęcia limuzyny. Pośród wdów i innych siwowłosych staruszek Gini

zauważyła Sylvię – kobietę, którą sędzia Noah Weinstein poślubił po romansie z nią – ale nie przywitała się.

Virginia czasami wydawała się gotowa zapomnieć o przeszłości. Jej stare albumy z wycinkami wylądowały w pudłach. Zniszczyła nagrania terapii i dokumenty Instytutu. „Trzymałam wszystkie taśmy i papiery, całe ich setki, aż do czasu ostatniej przeprowadzki – wyjaśniła. – Płaciłam trzysta dolarów miesięcznie za samo przechowywanie taśm, robiłam to od wielu lat. Mój syn zapytał, co zamierzam z nimi zrobić. W końcu wszystkie zniszczył. Oczywiście za moim przyzwoleniem". Kiedy usłyszał o tym doktor Kolodny, przeraził się. Stracili właśnie wszystkie nagrania z sesji, które zajęły miejsce freudowskiej psychoanalizy, opisy setek przypadków dysfunkcji, jakie z pewnością w przyszłości studiowaliby uczący się terapeuci i kronikarze amerykańskiej kultury dwudziestego wieku. „Gini miała całą dokumentację i wyrzuciła ją na śmietnik, chociaż znajdowały się tam prawdziwe skarby – skwitował Kolodny z niesmakiem. – Myślę, że w ten sposób dała upust swojej nienawiści do Billa za to, że ją opuścił i wszystko popsuł. Powiedziałem jej, żeby pozwoliła mi załatwić umowę z jakąś biblioteką uniwersytecką, która dałaby jej potężny zastrzyk finansowy".

Chociaż Gini próbowała zapomnieć, jej gniew na Billa ujawniał się przy najmniejszej prowokacji. Jej prywatne oskarżenia coraz mocniej mijały się z tym, co prezentowała oficjalnie. W telewizyjnym wywiadzie w połowie lat dziewięćdziesiątych Gini wydała się skromna i wdzięczna Mastersowi za ogromną szansę. „Potrzebował kogoś z umysłem niczym niezapisana karta, którą mógłby zapełnić własnym pismem i rysunkami – wyjaśniła, podkreślając ich relację mistrz-uczeń. – Dał mi bardzo wiele, ale myślę, że sam też na tym skorzystał". A jednak w prywatnych rozmowach opisywała go jako toksycznego i przebiegłego manipulanta, który kształtował ją według własnego widzimisię. „Był osobą całkowicie skupioną na sobie – stwierdziła. – Sam siebie stworzył. Wiedział, kim chce być i nawet jeśli nie udało mu się tego osiągnąć, żył tak, jak to sobie wymyślił". Miała mu za złe – o wiele bardziej, niż

zdawała sobie z tego sprawę – nie tylko zmyślenie własnego wizerunku, ale też kontrolowanie jej poczynań i emocji. Winiła go za blokowanie planów zdobycia dyplomu, za zabieranie cennego czasu z dziećmi i przeznaczanie go na znój w laboratorium, za wciskanie jej między jego Libby i dzieci, a także za to, że nie mogła wieść szczęśliwego życia u boku innego mężczyzny. Istniała tylko jedna osoba, która miała nad nią podobną władzę. „Manipulował mną tak, jak kiedyś matka: pochwałą i naganą, naganą i pochwałą – powiedziała, odkrywając kolejne warstwy własnej opowieści. – Uwielbiał doprowadzać mnie do płaczu, żeby móc mnie pocieszyć". Ból rozwodu czasami skłaniał ją do wymyślania nieco innych wersji ich rozstania. „Dody była bardzo o mnie zazdrosna – przekonywała. – Odgrzebał ją, gdy się z nim rozwiodłam. To takie żałosne. Uwielbiał żyć przeszłością". Gini odrzucała wszelkie sugestie, że może wciąż go kochała.

Śmierć Billa tylko zintensyfikowała poczucie straty, gniewu i żalu. Virginia cierpiała na towarzyski ostracyzm, bo dawni przyjaciele z St. Louis nie mogli już znieść rzucanych na Billa kalumnii. „Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, poczułem się niekomfortowo, ponieważ mówiła bardzo nieprzyjemne rzeczy na jego temat – przyznał Mike Freiman, który podziwiał Mastersa od czasów studiów na Uniwersytecie Waszyngtońskim. – Wolała myśleć, że do wielu rzeczy doszła sama, a nie z jego pomocą. Chciała opowiadać historię, w której to ona jego porzuca. Sugerowała, że był impotentem [w wyniku choroby Parkinsona]. Wciąż próbowała się na nim zemścić. A ja uznałem, że to nie moja sprawa". Kilka miesięcy później Freiman zauważył Gini w remontowanym hotelu Chase Park Plaza, gdzie pomieszkiwała. W wieku osiemdziesięciu jeden lat wyglądała zupełnie inaczej niż pełna życia kobieta, jaką znał. „Omal jej nie poznałem – wyznał Freiman. – Zmieniła się w staruszkę. Siedziała w szlafroku w lobby i wyglądała niechlujnie". Freiman, zdrowy i silny mężczyzna w podobnym wieku, pomachał do niej. Gini uśmiechnęła się, rozpoznając dawnego znajomego. „Jej głos brzmiał dobrze i porozmawialiśmy chwilę. Powiedziała wtedy, że powinniśmy się kiedyś spotkać, i tyle", wyjaśnił.

Kolodny również nie mógł już znieść narzekań Gini przez telefon i było mu jej żal. W przeciwieństwie do ludzi z zewnątrz, którzy pracowali dla kliniki, Kolodny wiedział, ile sukcesów Instytut zawdzięcza Gini. Chociaż czasami krytykował ją za jej wady, zgadzał się ze stwierdzeniem, że Bill źle ją traktował. Problemy Gini z Billem nie skończyły się po jego śmierci. W listopadzie 2008 roku klinika leczenia chorób psychicznych z Delaware – związana z Mastersem po rozpadzie słynnego duetu – musiała zapłacić Johnson dwa i pół miliona zadośćuczynienia za naruszenie znaku handlowego. Sąd federalny skazał firmę Universal Health Service za nadużycie nazwisk Mastersa i Johnson, jakiego ta dopuściła się, reklamując swoją terapię jako obejmującą także problemy z zaburzeniami jedzenia.

Fizjologiczne odkrycia Williama Mastersa stanowiły triumf medycyny, długo oczekiwany naukowy opis funkcji ludzkiego ciała, w tym tej najważniejszej – aktu prokreacji. Jednak to wrodzona intuicja Virginii Johnson pozwoliła wykorzystać tę wiedzę do rozwiązania problemów każdego pacjenta. Kolodny był zaskoczony pomysłowością, z jaką korzystała z osiągnięć freudowskiej psychoanalizy, higienistów społecznych, behawiorystów, terapeutów kognitywnych, urologów, neurologów, doradców małżeńskich, farmaceutów, entuzjastów natury i feministek, tworząc coś zupełnie nowego. Jej intuicyjna mądrość i otwartość na eksperymenty sprawiły, że ich terapia osiągnęła sukces i poprawiła pożycie niezliczonych mas ludzi na całym świecie. „Przy pracy nad terapią dla par i bardzo skomplikowanym programie psychoterapii Gini stanowiła co najmniej równoprawnego partnera Mastersa – stwierdził Kolodny. – Wskazała na wiele rzeczy, z których istnienia on nie zdawał sobie sprawy".

Ci, którzy dobrze znali Virginię, widzieli w jej sromotnej klęsce coś niepokojącego. Jak jedna z najbardziej niezwykłych kobiet Ameryki XX wieku – która dowiedziała się o seksualności człowieka więcej niż ktokolwiek inny na świecie i zbadała jej niezliczone fizyczne i emocjonalne przejawy – mogła zostać w ten sposób zapomniana? Jak tak niezależna osoba, będąca żywym przykładem wielu zmian

w postrzeganiu kobiecej seksualności, mogła spotykać się z tak rażącym brakiem uznania? Gdzie podziały się feministki z Generacji X, które naśladowały *Seks w wielkim mieście* i SMS-owo proponowały mężczyznom weekendowy wypad? One wszystkie – razem z konserwatywnymi żonami z przedmieść, które zajrzały do książek Mastersa i Johnson – zawdzięczały jej więcej, niż zdawały sobie sprawę. W końcu Virginia przez ostatnie pół wieku efektywnie propagowała kobiece prawo do równości w najbardziej intymnej i często niezwykle satysfakcjonującej dziedzinie życia. A jednak los sprawił, że musiała znieść kolejne poniżenie w patriarchalnym świecie.

Mimo wielu problemów Virginia nie użalała się nad sobą. Nie pozwalała jej na to niezmordowana pogoda ducha dziewczyny z farmy w Missouri. „Neuropatia jest głupia – powiedziała pewnego popołudnia, siedząc w fotelu, gdy miała już zbyt słabe nogi, by dłużej chodzić. – Normalnie prowadzi do amputacji, a ja nie zamierzam na to pozwolić". Zamiast tego marzyła o wydaniu własnych pamiętników albo obejrzeniu filmu opartego na jej życiu. Kiedy dziennikarz gazety plotkarskiej z St. Louis zapytał ją, czy planuje napisanie swojej historii, odparła: „Tak, ponieważ obawiam się, że zrobi to ktoś inny". Kilka lat wcześniej stacja ABC próbowała stworzyć film telewizyjny na temat słynnej pary badaczy seksu, a jej rolę miała podobno zagrać Shirley MacLaine, jednak produkcja upadła, ponieważ Gini nie chciała zgodzić się na warunki scenarzysty. W swoich wspomnieniach zasugerowała kilka ważnych nazwisk, ale jej wizja wydawała się nierealistyczna. Chciała, żeby film wyprodukował Mike Nichols, a scenariusz napisał Gore Vidal. Jej rolę mogła zagrać Joanne Woodward, a Billa Mastersa Robert Duvall. Pamięć Virginii była na tyle żywa, żeby wypełnić opowieściami leniwe popołudnie.

Producenci telewizyjni nie dzwonili już w sprawie angażu, a wydawcy nie oferowali dużych pieniędzy za jej rady; dla Virginii nie miało to żadnego znaczenia. „Nie chcę już więcej uznania – przekonywała. – Mam to gdzieś. Każdy program od razu wie, jaka była moja rola. Połowa

ludzi nawet nie przypuszcza, że nie miałam wykształcenia medycznego".

Jedyna rzecz z dziedziny seksu i miłości, która wciąż się dla niej liczyła, pozostawała najbardziej nieosiągalną i nieuchwytną częścią jej życia.

Pewnego popołudnia osiemdziesięcioletnia Isabel Smith otrzymała bardzo zaskakujący telefon – w słuchawce odezwał się znajomy głos z młodości; pytał o jej brata, Gordona Garretta. Wiele lat temu Isabel wyszła za mąż i wyprowadziła się z Golden City, małego miasteczka w Missouri, które teraz wydawało się pochodzić z innego życia. Niemal wszyscy jej przyjaciele z Golden City z późnych lat trzydziestych już umarli. A jednak usłyszała przez telefon słodki głos Mary Virginii Eshelman, która kiedyś wydawała się taka zakochana w jej młodszym bracie, Gordonie, chłopcu o płomiennie rudych włosach.

„Mary Virginia zadzwoniła do mnie, by zapytać, co się stało z Gordonem – wyjaśniła Isabel. – A ja jej powiedziałam, że nie żyje". Virginia wydawała się zdruzgotana. Nie miała pojęcia, że Gordon zmarł zaledwie kilka miesięcy wcześniej. „Nie wiem, dlaczego się odezwała – stwierdziła Isabel, wspominając rozczarowanie w głosie Johnson. – Chyba po prostu sobie o nim przypomniała. Było jej bardzo przykro". Isabel zastanawiała się, czy Virginia przypadkiem nie miała zamiaru na nowo wzbudzić łączącego ich kiedyś uczucia.

Virginia często rozmyślała o mężczyznach, za których nie wyszła – wojskowym, który złamał jej serce, Noahu Weinsteinie, Hanku Walterze, a tamtego konkretnego dnia także o Gordonie Garetcie, swojej pierwszej miłości – i próbowała sobie wyobrazić, jak potoczyłoby się jej życie. Powrót do dawnego romansu wydawał się jej niedorzeczny, niczym rodem z hollywoodzkich melodramatów, które oglądała jako nastolatka w jedynym kinie w Golden City. Prawdziwe życie było o wiele bardziej skomplikowane niż powieści, które czytała na gałęziach gruszy. Jednak Bill Masters zrobił właśnie coś takiego, wracając do swojej przeszłości. Zniszczył zupełnie ich relację,

deklarując wciąż żywe uczucia do Dody, którą ochrzcił swoją pierwszą i jedyną miłością. Po kilku miesiącach od śmierci Billa, kiedy Virginia rozmyślała o swoim życiu, siedząc samotnie w domu, przypomniała sobie radosne dni z Gordonem i zdecydowała, że musi się dowiedzieć, co się z nim stało. Jeśli Bill odnalazł na koniec życia swoje szczęście, dlaczego ona nie mogłaby zrobić tego samego?

Kiedy usłyszała wiadomość o śmierci Gordona, szybko zakończyła rozmowę z Isabel. Tego samego dnia zadzwoniła do drugiej jego siostry, Carolyn Evans, żeby dowiedzieć się więcej o jego życiu po skończeniu szkoły średniej. Sześćdziesięcioletnia Carolyn uprzejmie odpowiadała na pytania, wciąż jednak pamiętała, że Virginia złamała mu kiedyś serce. „Myślę, że bardzo ją lubił – wyjaśniła – ale moim zdaniem jej matka miała podejście »bierz tylko to, co najlepsze«, a Mary Virginia ją w tym przypominała. Nie wyszłaby za niego, bo mieszkał na farmie".

Domysły Virginii na temat losów Gordona Garretta okazały się błędne. Druga wojna światowa wypchnęła go w świat, podobnie jak wielu innych chłopców z południowo-zachodnich farm. Wkrótce po tym, jak Mary Virginia wyjechała do college'u, Gordon zaciągnął się do armii. W ciągu trzech następnych dekad zajmował się odczytywaniem poufnych wiadomości na całym świecie, robiąc karierę w wywiadzie. Już w czasie drugiej wojny światowej został szpiegiem i pracował jako kryptograf dla CIA. Po przejściu na emeryturę przeniósł się na przedmieścia Chicago i zatrudnił w firmie komputerowej. Ostatnie lata życia spędził w Richland w stanie Missouri, jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Golden City, żeby mieszkać bliżej siostry, Carolyn. „Wrócił tutaj i nigdy się nie ożenił – wyjaśniła później Carolyn. – Kiedy jego gosposia zapytała go o to, stwierdził, że nie miał na to czasu".

Prognoza Virginii dla „chłopca o płomienno rudych włosach", jak później przyznała, okazała się jedną z wielu błędnych ocen mężczyzn, jakich dokonała w życiu. Zupełnie zaskoczyła ją informacja, że Gordon został szpiegiem. „Chyba nie da się już dalej odejść od pracy na farmie – stwierdziła ze smutnym śmiechem. – Najwyraźniej myliłam się".

Pewnego zimnego, pochmurnego październikowego dnia Virginia na chwilę przestała wspominać przeszłość, żeby wstać z fotela, przeciągnąć się boleśnie i wyjrzeć przez okno. Z wysokiego piętra spoglądała na ludzi spacerujących wzdłuż ulicy blisko Uniwersytetu Waszyngtońskiego, gdzie razem z Billem tworzyli historię medycyny.

W pokoju wciąż znajdowały się nierozpakowane pudełka. Na podłodze leżało oprawione zdjęcie jej samej sprzed dziesięciu lat, kiedy mężczyźni, jak stwierdziła, wciąż uważali ją za atrakcyjną. Teraz, w wieku osiemdziesięciu trzech lat, nie przejmowała się już wyglądem. „Lubię mieć męża i żałuję, że go teraz nie mam", wyznała.

To mieszkanie w St. Louis było już trzecim w przeciągu dwóch lat, a każda przeprowadzka oznaczała przenosiny do skromniejszego miejsca. Odźwierny i gospodarz budynku zostali poinstruowani, by nikogo do niej nie wpuszczać, a nawet zaprzeczać, że tu mieszka. Atmosfera tajemnicy, jaką znała z czasów badań seksuologicznych, wciąż jej towarzyszyła. Mieszkała w tak wielu różnych miejscach, używając przy tym wielu wersji swojego imienia i nazwiska. Wszyscy zapomnieli już o Gini i Mary Virginii. Nawet Virginia E. Johnson, znana na całym świecie, została porzucona. Teraz widniała w książce telefonicznej jako Mary Masters – wciąż identyfikowała się z mężczyzną, który był jej partnerem, ale nie miłością.

Jako kobieta bardzo niezależna, która udowodniła swoją wartość w laboratorium, nie mogła zrozumieć, dlaczego tak często w swoim życiu zawdzięczała tożsamość mężczyźnie. Wynikało to z jej własnych dążeń, presji społecznej czy raczej naturalnej kolei rzeczy między mężczyzną i kobietą? Wciąż nie miała pewności. „Zostałam wychowana tak, by stanowić jak najlepszą podporę dla jak najlepszego mężczyzny – wyjaśniła w chwili objawienia. – Pamiętam, jak powiedziałam kiedyś, na co teraz się zżymam, że bardzo cieszy mnie bycie wszystkim, czego mężczyzna może pragnąć". Pokręciła powoli głową.

Zbliżał się zmierzch i cienie na biegnącej dołem ulicy wydłużyły się. Nadchodziła zima; przez szybę czuć było jej chłód. Virginia odwróciła się i popatrzyła na starą fotografię, leżącą na dywanie. „Z perspektywy

czasu zastanawiam się, jak mogłam tak bardzo się zagubić – powiedziała. – Ale w dużej mierze stanowiłam produkt tamtego pokolenia, tamtych czasów. We własnych oczach byłam kobietą idealną. I na jakiś w tym się właśnie zagubiłam".

Od autora

Za pomoc w przygotowaniu książki chciałbym podziękować mojej żonie, Joyce, która zredagowała pierwsze szkice i udzieliła mi wielu rad; a także moim trzem synom: Andrew, Taylorowi i Reade'owi, którzy nieustannie mnie zachęcali i wspierali. Jestem wdzięczny również wielu pracownikom wydawnictwa Basic Books, a w szczególności Amandzie Moon, Whitney Casser, Chrisowi Greenburgowi i świętej pamięci Elizabeth Maguire.

Nota bibliograficzna

Książka powstała na podstawie wywiadów z rodziną, przyjaciółmi i byłymi współpracownikami Williama H. Mastersa oraz Virginii E. Johnson, a także wewnętrznych dokumentów kliniki i nieopublikowanego pamiętnika doktora Mastersa, ukończonego krótko przed jego śmiercią w 2001 roku. Większa część materiałów pochodzi z nagranych w latach 2005–2008 długich wywiadów z Virginią Johnson i doktorem Robertem Kolodnym, lekarzem pełniącym funkcję dyrektora, kierownika szkoleń oraz członka zarządu Instytutu Mastersa i Johnson, który także był współautorem wielu książek opublikowanych przez parę badaczy. Wywiady zostały przeprowadzone w rezydencji Virginii Johnson w St. Louis i domu Kolodny'ego w New Hampshire. Dodatkowe wsparcie zapewnili: Szkoła Medyczna Uniwersytetu Waszyngtońskiego, Instytut Kinseya przy Uniwersytecie w Indianie, a także badacze Fred Winston oraz Suzanne McGuire z Biblioteki Publicznej w Commack w stanie Nowy Jork.

Virginia E. Johnson zmarła 24. lipca 2013 roku w wieku 88 lat.

Uwagi do poszczególnych rozdziałów

ROZDZIAŁ 1 – DZIEWCZYNA Z GOLDEN CITY

Pierwszy cytat WHM: Mary Harrington Hall *A Conversation with Masters and Johnson*, „Medical Aspects of Human Sexuality", nr 12, grudzień 1969. Scena w samochodzie Gordona Garretta została opisana w wywiadach z Virginią. Dodatkowe szczegóły na temat Golden City i dzieciństwa Gini pochodzą z wywiadów przeprowadzonych z Vaughnem Nicholsem, Philem Lollarem, Carolyn Evans, Isabel Smith i Lowellem Pughem. Dokumenty – z Historycznej Kolekcji w Bibliotece w Springfield w stanie Missouri, także nekrolog Harry'ego H. Eshelmana ze „Springfield News Leader" z 4 października 1964. Wzmianka o gruszy z farmy Eshelmanów: Jerome P. Curry, *The Life of a Sex Researcher*, „New York Post", 2 maja 1970; wzmianka o zachowaniach seksualnych z XIX wieku w Ozarkach: John D'Emilio i Estelle B. Freedman, *Intimate Matters: A History of Sexuality in America* (Nowy Jork: Harper and Row, 1988); szczegóły na temat Virginii i Gordona Garretta z rocznika Golden City High School dostarczone przez Lowella Pugha. A także *Golden City, Mo. – Our History – Our Heritage*, 1866–1966, prywatnie opublikowany pamflet.

ROZDZIAŁ 2 – ZŁAMANE SERCE

Pierwszy cytat pochodzi z piosenki *Don't Let the Stars Get in Your Eyes*, napisanej przez Slima Willeta i nagranej przez Reda Foleya dla Decca

Records 7 października 1952 roku. Szczegóły na temat wcześniejszych małżeństw: Myra MacPherson, *Masters and Johnson at Home*, „Washington Post", 22 lipca 1973; oraz wycinki z lokalnych gazet w Kolekcji Historycznej Biblioteki w Springfield. Missouri dla kobiet podczas II wojny światowej: Katherine T. Corbett, *In Her Place – A Guide to St. Louis Women's History*.

ROZDZIAŁ 3 – PANI JOHNSON

Pierwszy cytat z *Madame Bovary* Gustava Flauberta (tłum. R. Engelking, Gdańsk, słowo/obraz terytoria 2005). Szczegóły na temat ślubu Virginii z Ivanem Rinehartem: wycinki z lokalnych gazet w Kolekcji Historycznej Biblioteki w Springfield. Wczesny etap studiów i kariery muzycznej: Steve Friedman, *Everything You Always Wanted to Know About Masters & Johnson*, „St. Louis Magazine", czerwiec 1988. Małżeństwo z George'em Johnsonem: Paul Wilkes, *Sex and the Married Couple*, „The Atlantic", grudzień 1970; Myra MacPherson, *Masters and Johnson at Home*, „Washington Post", 22 lipca 1973; oraz Jerome P. Curry, *The Life of a Sex Researcher*, „New York Post", 2 maja 1970. Wywiad autora książki z Virginią, Irą Gallem, Robertem C. Kolodnym oraz Alfredem Shermanem.

ROZDZIAŁ 4 – BYLE NIE WRACAĆ DO DOMU

Wspomnienia Billa z dzieciństwa pochodzą z jego niepublikowanego dziennika, chyba że zostało to oznaczone inaczej. Opis jego nauki w college'u i na uniwersytecie, a także romans nad jeziorem zostały uzupełnione dzięki wywiadom autora z Virginią, Geraldine Baker Masters, Francisem Bakerem, Addisonem Wardwellem, Pam Appenfeller, Paulem R. Schloerbem, Townsendem Fosterem Jr. oraz Howiem Mastersem. Pozostałe szczegóły na temat Francisa Bakera: „Rochester Medicine", czasopismo studentów Uniwersytetu w Rochester, jesień/zima 2004.

ROZDZIAŁ 5 – PRAWDZIWY CUD

Pierwszy cytat: George W. Corner, *Anatomist at Large: An Autobiography and Selected Essays* (Nowy Jork: Basic Books 1958). Studia medyczne Billa na Uniwersytecie w Rochester i jego związek z Elisabeth Ellis zostały opisane we wspomnieniach; tu uzupełnione o informacje z wywiadów z Francisem Bakerem, Marshallem Sheareremem, Martinem Paulem, Townsendem Fosterem Jr., Addisonem Wardwellem oraz Virginią. Dodatkowe szczegóły o wpływie Cornera na Billa: Jane Maienschein, Marie Glitz, Garland E. Allen, *Centennial History of the Carnegie Institution of Washington*, *Volume V – The Department of Embryology* (Cambridge, UK: Cambridge University Press 2004); *The Personal Perils of Sex Researchers: Vern Bullough and William Masters*, „SIECUS Reports", marzec 1984; Harry Henderson, *Exploring the Human Sexual Response*, „Sexual Medicine Today", kwiecień 1981; Masters, Johnson, *How Our Sex Research Program Began*, „Redbook", październik 1974; *Biographical Memoirs*, vol. 65, National Academy of Sciences 1994; Adele Clarke, *Disciplining Reproduction: Modernity, American Life Sciences and the Problem of Sex* (Berkeley: University of California Press 1998). Opis relacji Willarda Allena z Billem pochodzi w wywiadów z Francisem Bakerem, Johnem Barlowem Martinem, Mike'em Freimanem, Irą Gallem.

ROZDZIAŁ 6 – EKSPERT W DZIEDZINIE PŁODNOŚCI

Opis kariery Billa jako profesora medycyny, chirurga ginekologiczno-położniczego oraz eksperta leczenia niepłodności na Uniwersytecie Waszyngtońskim oparty został o wywiady z Mike'em Freimanem, Marvinem Rennardem, Francisem Rileyem, Johnem Barlowem Martinem, Eugene'em Renzim, Robertem Goellem, H. Marvinem Camelem, Irą Gallem, Elfredem Lampe, Ernestem Friedrichem, Marvinem Grodym, Addisonem Wardwellem, Dodie Josephine Brodhead, Robertem C. Kolodnym, Virginią, a także na niepublikowanym dzienniku Mastersa.

ROZDZIAŁ 7 – ŻONA IDEALNA

Pierwszy cytat Theodore'a Roosevelta: *History as Literature and Other Essays* (Nowy Jork: Charles Scribner's Sons 1913). Szczegóły na temat małżeństwa Billa pochodzą z wywiadów z Marge Sheldon, Marvinem Grodym, Elfredem Lampe, Howiem Mastersem, Mike'em Freimanem, Ritą Levis, Dodie Josephine Brodhead, Johnem Brodheadem, Johnem Barlowem Martinem, Phyllis Schlafly, Townsendem Fosterem Jr., Torreyem Fosterem oraz Virginią. Pozostałe źródła: Marvin H. Grody, MD, Donald W. Robinson, William H. Masters, *The Cervical Cap – An Adjunct in the Treatment of Male Infertility*, „Journal of the American Medical Association", 31 maja 1952. W wywiadach i korespondencji z autorem doktor Grody potwierdził, iż kobieta podpisana inicjałami „E.M." w artykule z JAMA to w istocie Elisabeth Masters; pozostałe szczegóły tego przypadku pasują do Mastersów, w tym ich wiek oraz czas obu ciąż.

ROZDZIAŁ 8 – WOLNOŚĆ NAUKI

Pierwszy cytat pochodzi z przemówienia Shepleya do Newcomen Society z 14 października 1958 roku. Relacje z Shepleyem, Willardem Allenem i pracownikami Szkoły Medycznej zostały opisane w wywiadach z Peggy Shepley, Walterem L. Metcalfe'em, Marvinem Rennardem, Williamem H. Danforthem, Thomasem Gilpatrickiem, Sandrą Sherman, Ernstem R. Friedrichem, Virginią oraz w dziennikach Billa. Pozostałe szczegóły: *The Personal Perils of Sex Researchers: Vern Bullough and William Masters*, „SIECUS Reports", marzec 1984 oraz Marion K. Sanders, *The Sex Crusaders from Missouri*, „Harper's", maj 1968. Historyczne odniesienia do stosunku społeczeństwa do seksu: Platon, *The Republic* (New York: Penguin Classics 2003); Hipokrates: za Angus McLaren, *Impotence: A Cultural History* (Chicago: University of Chicago Press 2007); Arthur William Meyer, *Aristotle in The Rise of Embryology* (Oxford, UK: Oxford University Press 1939); św. Augustyn za: Matthew Levering, ed., *On Marriage and Family: Classic and Contemporary Texts* (Lanham, Md.: Rowman & Littlefield 2005); Marcin

Luther za: Theodore G. Tappert, *Luther: Letters of Spiritual Counsel* (Vancouver, B.C.: Regent College Publishing 2003); John Hunter za: Robert Darby, *A Surgical Temptation: The Demonization of the Foreskin and the Rise of Circumcision in Britain* (Chicago: University of Chicago Press 2005); James Graham za: Amanda Foreman, *Georgiana, Duchess of Devonshire* (New York: Random House 1999); Cotton Mather za: Tracy Fessenden, Nicholas F. Radel, Magdalena J. Zaborowska, eds., *The Puritan Origins of American Sex: Religion, Sexuality, and National Identity in American Literature* (Nowy Jork: Routledge 2000); Benjamin Franklin za: Walter Isaacson, ed., *A Benjamin Franklin Reader* (Nowy Jork: Simon & Schuster 2003); John Humphrey Noyes w: Lawrence Foster, *Religion and Sexuality: The Shakers, the Mormons, and the Oneida Community* (Nowy Jork: Oxford University Press 1981); H.G. Wells za: Ellen Goodman, *At Large* (Nowy Jork: Summit Books 1981); Havelock Ellis, *Studies in the Psychology of Sex – Vol. VI* (Filadelfia: F.A. Davis Company 1913); oraz Robert L. Dickinson, T*ampons as Menstrual Guards*, „Journal of the American Medical Association", 16 czerwca 1945.

ROZDZIAŁ 9 – PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

Szczegóły na temat Sama Priesta pochodzą z wywiadów z Margaret Priest, Torreyem Fosterem, Virginią oraz z dzienników Mastersa. Szczegóły na temat prostytucji w St. Louis: Ruth Rosen, *The Lost Sisterhood: Prostitution in America, 1900–1918* (Baltimore: Johns Hopkins University Press 1982); *Fifth Annual Report of the Board of Health of the City of Saint Louis*, 27 czerwca 1872. Szczegóły na temat sposobu współpracy Mastersa z prostytutkami pochodzą z wywiadów z Irą Gallem, Elfredem Lampe, Walterem Metcalfe'em, H. Marvinem Camelem, Francisem Rileyem, a także z prac: Steve Friedman, *Everything you always wanted to know about Masters & Johnson*, „St. Louis Magazine", czerwiec 1988; Earl Ubell, Science, „New York Herald Tribune", 21 listopada 1965; John Corry, *Research Into Sexual Physiology*

Disclosed After 11-Year Inquiry, „New York Times", 18 kwietnia 1966. Spotkanie z arcybiskupem Ritterem zostało opisane w dziennikach Billa oraz potwierdzone przez Virginię.

ROZDZIAŁ 10 – MACIERZ

Pierwszy cytat: George Bernard Shaw, *Pygmalion* (Whitefish, MT: Kessinger Publishing Company 2004). Szczegóły na temat zatrudnienia Virginii przez Billa opisane w wywiadach z Mike'em Freimanem, Alfredem Shermanem, H. Marvinem Camelem, Sandrą Sherman, Johnem Barlowem Martinem, Irą Gallem oraz Virginią. Oprócz tego: *The Personal Perils of Sex Researchers: Vern Bullough and William Masters*, „SIECUS Reports", marzec 1984.

ROZDZIAŁ 11– EKSPERYMENT

Szczegóły na temat badań fizjologii seksu pochodzą z wywiadów z Paulem Gebhardem, Alfredem Shermanem, Robertem Bursteinem, Cramerem Lewisem oraz Virginią. Oprócz tego: *Playboy Interview: Masters and Johnson*, „Playboy", listopad 1979; „Time Magazine" z 25 maja 1970; *Sex Under Scrutiny*, „Newsweek", 25 kwietnia 1966; Marion K. Sanders, *The Sex Crusaders from Missouri*, „Harper's", maj 1968; Paul Robinson, *The Modernization of Sex* (Nowy Jork: Harper & Row 1976); Johnson, Masters, *Human Sexual Response* (Boston: Little, Brown & Co. 1966); komentarz Mead na temat Kinseya znaleziony w *Behavior, After Kinsey*, „Time", 12 kwietnia 1948.

ROZDZIAŁ 12 – OCHOTNICY

Szczegóły na temat ochotników biorących udział w badaniach pochodzą z wywiadów z Virginią, Mike'em Freimanem, Robertem Goellem, Irą Gallem, Torreyem Fosterem, Marvinem Rennardem, Johnem Barlowem Martinem, Cramerem Lewisem, Eugene'em Renzim, Alfredem Shermanem, Thomasem Gilpatrickiem, a także z dzienników Mastersa. Virginia potwierdziła większość opowieści Gilpatricka.

Dodatkowe informacje: *Johnson, Masters, How Our Sex Research Program Began*, „Redbook", październik 1974; Albert Rosenfeld, *Inside the Sex Lab*, „Science Digest", listopad–grudzień 1980; Johnson, Masters, *Intravaginal Contraceptive Study: Phase I. Anatomy*, „Western Journal of Surgery, Obstetrics and Gynecology", lipiec–sierpień 1962; Tom Buckley, *All They Talk About Is Sex, Sex, Sex*, „New York Times Magazine", 20 kwietnia 1969; oraz *Sex Under Scrutiny*, „Newsweek", 25 kwietnia 1966.

ROZDZIAŁ 13 – NOAH

Szczegóły na temat związku Virginii z Noahem Weinsteinem pochodzą z wywiadów z Harrym Froede'em, Joan Froede, Sylvią Weinstein, H. Marvinem Camelem, Dodie Josephine Brodhead, Peggy Shepley, Mike'em Freimanem oraz Virginią. Opis wyglądu Weinsteina: *Missouri Historical Society, Photographs and Prints Collection*; William C. Lhotka, *Retired Judge Noah Weinstein Dies*, „St. Louis Post-Dispatch", 16 lipca 1991; *A Judge for the Young – Editorial*, „St. Louis Post-Dispatch", 19 lipca 1991.

ROZDZIAŁ 14 – MASKI

Estabrooks Masters została opisana przez Virginię i Cramera Lewisa, a także Mastersa w jego dziennikach. Szczegóły na temat małżeństwa Mastersa z Libby pochodzą z wywiadów z Mike'em Freimanem, Sandrą Sherman, H. Marvinem Camelem. Temat początków współżycia Billa i Virginii został poruszony w wywiadach z Robertem C. Kolodnym, Rogerem Crenshawem oraz Virginią. Koniec związku Virginii i Weinsteina został opisany przez Sylvię Weinstein, Harry'ego Froede'a, Joan Froede oraz Virginię.

ROZDZIAŁ 15 – ODEJŚCIE Z UCZELNI

Pierwszy cytat pochodzi z *Podróży Guliwera* Jonathana Swifta w anonimowym przekładzie z 1784 roku. Opis reakcji Szkoły Medycznej UW na wieści o badaniach seksu pochodzi z wywiadów

z Ernstem R. Friedrichem, Michaelem Freimanem, H. Marvinem Camelem, Alfredem Shermanem, Robertem Goellem, Cramerem Lewisem, Eugene'em Renzim, Marvinem Grodym, Johnem Barlowem Martinem oraz Robertem Bursteinem. Willard Allen został zacytowany w dziennikach Mastersa.

ROZDZIAŁ 16 – KWESTIA ZAUFANIA

Stosunki Mastersa z pracownikami i rodziną zostały opisane w wywiadach z Torreyem Fosterem Sheldonem, Peggy Shepley, Johnem Brodheadem, Dodie Brodhead, Sandrą Sherman, Alfredem Shermanem, H. Marvinem Camelem, Irą Gallem, Howiem Mastersem, Mike'em Freimanem, Joyce Renzi oraz Virginią. Opis wyglądu Mastersa: Paul Wilkes, *Sex and the Married Couple*, „The Atlantic", grudzień 1970.

ROZDZIAŁ 17 – ODKRYWANIE SEKRETÓW

Pierwszy cytat pochodzi z eseju *O demokracji w Ameryce* autorstwa Alexisa de Tocqueville w przekładzie Marcina Króla, wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy. Współpraca z Richardem Ambergiem: Steve Friedman, *Everything You Always Wanted to Know About Masters & Johnson*, „St. Louis Magazine", czerwiec 1988, oraz wywiad z Virginią i dzienniki Mastersa. „Wybuchowy" komentarz Billa: Earl Ubell, *Science*, „New York Herald Tribune", 21 listopada 1965. Reakcja na badania: Leslie H. Farber, *I'm Sorry, Dear*, „Commentary", listopad 1964; Marion K. Sanders, *The Sex Crusaders from Missouri*, „Harper's", maj 1968. Komentarz Greensona w *Trouble Between the Sexes*, „Time", 9 grudnia 1966.

ROZDZIAŁ 18 – „WSPÓŁŻYCIE SEKSUALNE CZŁOWIEKA"

Szczegóły analizy: Johnson, Masters, *Human Sexual Response* (Boston: Little, Brown & Co. 1966). Dodatkowe komentarze: John Corry, *Research into Sexual Physiology Disclosed After 11-Year Inquiry*, „New York Times", 18 kwietnia 1966; Tom Buckley, *All They Talk About Is Sex,*

Sex, Sex, „New York Times Magazine", 20 kwietnia 1969; Paul Robinson, *The Modernization of Sex* (New York: Harper & Row 1976).

ROZDZIAŁ 19 – RADOŚĆ Z PUBLIKACJI

Reakcje na książkę: Marion K. Sanders, *The Sex Crusaders from Missouri*, „Harper's", maj 1968; John Corry, *Research into Sexual Physiology Disclosed After 11-Year Inquiry*, „New York Times", 18 kwietnia 1966; Harry Henderson, *Exploring the Human Sexual Response*, „Sexual Medicine Today", kwiecień 1981. Komentarz Gagnona: Albert Rosenfeld, *Inside the Sex Lab*, „Science Digest", listopad–grudzień 1980. Komentarz Virginii o „opinii publicznej: *Sex Under Scrutiny*, „Newsweek", 25 kwietnia 1966. Oprócz tego także wywiady z Mary Erickson i Virginią.

ROZDZIAŁ 20 – SKUPIENIE NA UCZUCIACH

Pierwszy cytat z Lwa Tołstoja: Fred R. Shapiro, ed., *The Yale Book of Quotations* (New Haven, CT: Yale University Press 2006). Pytania wykorzystywane w terapii pochodzą z wywiadów autora z Virgnią i Alexandrem Levaym oraz z: Johnson, Masters, *Human Sexual Inadequacy* (Boston: Little, Brown & Co. 1970), a także: Robert C. Kolodny, *Evaluating Sex Therapy, Journal of Sex Research*, listopad 1981, Myra MacPherson, *Masters and Johnson at Home* „Washington Post", 22 lipca 1973.

ROZDZIAŁ 21 – TERAPIA SEKSUALNA

Szczegóły na temat relacji Kolodny'ego z Virginią i Billem pochodzą z wywiadów z Robertem C. Kolodnym, Rose Boyarsky, Dellą Fitz-Gerald, Rogerem Crenshawem oraz Virgnią. Dodatkowe informacje na temat operacji kliniki pochodzą z wywiadów z Wandą Bowen i Mae Biggs. Opis wpływu Semansa pochodzi z wywiadów z Mary Semans i Virginią. Dodatkowe informacje: J.H. Semans, *Premature Ejaculation: A New Approach*, „Southern Medical Journal" 49/1956.

ROZDZIAŁ 22 – SUROGATKI

Pierwszy cytat *Opowieści kanterberyjskich* Geoffreya Chaucera w przekładzie Heleny Pręczkowskiej, wyd. Ossolineum. Szczegóły sprawy Calvertów pochodzą z wywiadów z Ernstem R. Friedrichem, Michaelem Freimanem, Alfredem Shermanem, Robertem Hoemchem, Dagmarą O'Connor, Torreyem Fosterem, Robertem C. Kolodnym oraz Virginią. Dodatkowe informacje: *Sex Suit Secrecy Studied*, „St. Louis Post – Dispatch", 5 grudnia 1970; *2 Sex Researchers Sued for $750,000*, „St. Louis Post – Dispatch", 25 sierpnia 1970; A.J. Vogl, *Are Masters and Johnson Really Infallible*?, „Hospital Physician", listopad 1970; Myra MacPherson, *Masters and Johnson at Home*, „Washington Post", 22 lipca 1973.

ROZDZIAŁ 23 – PLAYBOY

Układy Mastersa i Johnson z „Playboyem" oraz inne próby zdobycia funduszy zostały opisane w wywiadach z Hugh M. Hefnerem, Natem Lehrmanem, J. Robertem Meynersem, Marshallem Shearerem, Thomasem Lowrym, Paulem Gebhardem, Robertem C. Kolodnym oraz Virginią, a także w dziennikach Mastersa. Wpłaty „Playboya" znajdują się w oficjalnych księgach kliniki. Dodatkowe informacje: Marion K. Sanders, *The Sex Crusaders from Missouri*, „Harper's", maj 1968; *Playboy Interview: Masters and Johnson*, „Playboy", listopad 1979.

ROZDZIAŁ 24 – NAPRAWIAJĄC MAŁŻEŃSKIE ŁOŻE

Pierwszy cytat: Sigmund Freud, *An Outline of Psycho-Analysis* (New York: W. W. Norton & Co. 1949). Artykuł z okładki o Mastersie i Johnson: *Repairing the Conjugal Bed*, „Time", 25 maja 1970. Szczegóły terapii: *The $2,500 Understanding*, „Newsweek", 10 czerwca 1968; Johnson, Masters, *Human Sexual Inadequacy* (Boston: Little, Brown & Co. 1970); recenzja: Alan F. Guttmacher, *Human Sexual Inadequacy for the Non-Layman*, „New York Times Book Review", 12 lipca 1970. Komentarze Gallanta i Gadpaille'a: A.J. Vogl, *Are Masters and Johnson*

Really Infallible? „Hospital Physician", listopad 1970. Dodatkowe komentarze pochodzą od Mike'a Freimana i Virginii.

ROZDZIAŁ 25 – ZAPACH MIŁOŚCI

Pierwszy cytat: *Charles Darwin, The Descent of Man and Selection in Relation to Sex* (Princeton, NJ: Princeton University Press 1981). Relacje zawodowe i prywatne Hanka Waltera z Mastersem i Johnson zostały opisane w wywiadach z Gailem Tullmanem, Joan Bauman, Torreyem Fosterem, Rosalind P. Walter, Wandą Bowen, Marshallem Sheareremem, Robertem C. Kolodnym oraz Virginią. Teorie na temat roli zapachów w reakcji seksualnej zostały zawarte w *Niedoborze seksualnym człowieka*, a szczegółowe informacje pochodzą z korespondencji między Hankiem Walterem, Mastersem i Robertem C. Kolodnym, która została udostępniona autorowi. Dodatkowe informacje: Melva Weber, *New Cures for Sex Problems*, „Ladies' Home Journal", lipiec 1970, Lee Smith, *Adventures in the Sex and Hunger Trade*, „Fortune", 9 sierpnia 1982.

ROZDZIAŁ 26 – ZDRADA

Szczegóły na temat małżeństwa i życia rodzinnego Mastersa pochodzą z wywiadów z Howiem Mastersem, Dodie Josephine Brodhead, Johnem Brodheadem, Judith Seifer, Peggy Shepley, Marge Foster Sheldon, Martinem Paulem, Robertem C. Kolodnym i Virginią, a także z dzienników Mastersa. Dodatkowe informacje: Paul Wilkes, *Sex and the Married Couple*, „The Atlantic", grudzień 1970; Myra MacPherson, *Masters and Johnson at Home*, „Washington Post", 22 lipca 1973; Judy J. Newmark, *Conversation with Masters and Johnson*, „St. Louis Post-Dispatch", 16 września 1984.

ROZDZIAŁ 27 – UKŁAD MAŁŻEŃSKI

Małżeństwo Mastersa i Johnson zostało opisane przez Paula Gebharda, Roberta C. Kolodny'ego, Alfreda Shermana, Dodie Josephine Brodhead,

Peggy Shepley, June Dobbs Butts, Torreya Fostera, Michaela Freimana, Lynn Strenkofsky, Sally Bartok Taylor oraz samą Virginię. Dodatkowe informacje: Steve Friedman, *Everything You Always Wanted to Know About Masters & Johnson*, „St. Louis Magazine", czerwiec 1988; Myra MacPherson, *Masters and Johnson at Home*, „Washington Post", 22 lipca 1973.

ROZDZIAŁ 28 – RUCH FEMINISTYCZNY

Pierwszy cytat: Betty Friedan, *The Feminine Mystique* (New York: W. W. Norton 1963). Relacje Mastersa i Johnson z pracownikami kliniki zostały opisane przez Rose Boyarsky, Doris McKee, Howarda McKee, Dellę Fitz-Gerald, Maxa Fitz-Geralda, Thomasa P. Lowery'ego, Sally Bartok Taylor, Waltera Metcalfe'a, Wandę Bowen, Peggy Shearer, Dagmarę O'Connor oraz Virginię. Dodatkowe informacje: Jane Gerhard, *Revisiting 'The Myth of the Vaginal Orgasm': The Female Orgasm in American Sexual Thought and Second Wave Feminism*, „Feminist Studies" 26, nr 2 (lato 2000), *Women and Health*. Dodatkowe informacje: John D'Emilio and Estelle B. Freedman, *Intimate Matters: A History of Sexuality in America* (New York: Harper and Row 1988); Paul Robinson, *The Modernization of Sex* (New York: Harper & Row 1976); Myra MacPherson, *Masters and Johnson at Home*, „Washington Post", 22 lipca 1973; Elaine Sciolino, *Sex Talk*, „Newsweek", 17 marca 1975; Anne Koedt, *The Myth of the Vaginal Orgasm*, 1970 [w:] Jeffrey Escoffier, *Sexual Revolution* (New York: Thunder's Mouth Press 2003); Norman Mailer, *The Prisoner of Sex* (Boston: Little, Brown & Co. 1971); Germaine Greer, *The Female Eunuch* (New York: McGraw-Hill 1970); Barbara Ehrenreich, Elizabeth Hess, Gloria Jacobs, *Re-Making Love: The Feminization of Sex* (New York: Doubleday 1986).

ROZDZIAŁ 29 – SEKSUALNY BIZNES

Udział Mastersa i Johnson w powstawaniu ośrodków terapii seksualnej i dziedziny seksuologii został poruszony w wywiadach z Sallie

Schumacher, Rheą Dornbush, Robertem C. Kolodnym, Torreyem Fosterem, Shirley Zussman, June Dobbs Butts, Peggy Shearer i Virginią. Dodatkowe informacje: Tom Buckley, *All They Talk About Is Sex, Sex, Sex*, „New York Times Magazine", 20 kwietnia 1969; Albert Rosenfeld, *Inside the Sex Lab*, „Science Digest", listopad–grudzień 1980; Joanne Koch, Lew Koch, *A Consumer's Guide to Therapy for Couples*, „Psychology Today", marzec 1976; *Playboy Interview: Masters and Johnson*, „Playboy", listopad 1979; Ruth Macklin, *Ethics, Sex Research and Sex Therapy*, „Hastings Center Report", kwiecień 1976; Joan Dames, *A Celebration of the Pioneering Work of Masters and Johnson*, „St. Louis Post-Dispatch", 11 listopada 1984; *Adelbert Schumacher – Obituary* „Union Leader" (Manchester, NH), 8 września 2004; *Arthur N. Levien – Obituary*, „New York Times", 24 sierpnia 1987; Helen Singer Kaplan, *The New Sex Therapy: Active Treatment of Sexual Dysfunctions* (New York: Brunner-Routledge 1974).

ROZDZIAŁ 30 – WIĘZI PRZYJEMNOŚCI

Pierwszy cytat pochodzi z *Własnego pokoju* Virginii Woolf w przekładzie Agnieszki Graff, wyd. Sic!. Opis małżeństwa Mastersa i Johnson pojawił się w wywiadach z June Dobbs Butts, Peggy Shepley, Paulem Gebhardem, Marshallem Shearerem, Donną Wilkinson, Robertem C. Kolodnym, Howiem Mastersem, Maxem Fitz-Geraldem i Virginią; w dziennikach Mastersa oraz *The Pleasure Bond* (Boston: Little, Brown & Co. 1976). Dodatkowe informacje: Shana Alexander, *Coming Out of the Closet*, „Newsweek", 3 lutego 1975; Harry Henderson, *Exploring the Human Sexual Response*, „Sexual Medicine Today", kwiecień 1981; *Out of the Lab*, „Time", 3 lutego 1975; *Sex and Sexuality: The Crucial Difference* [w:] „McCall's", przedrukowane w „Reader's Digest", listopad 1966; Lois Timnick, *Sex Researchers' Book Stresses Commitment*, „St. Louis Globe-Democrat", 17 stycznia 1975.

ROZDZIAŁ 31 – DROGA DO GWIAZD

Relacje Mastersa i Johnson ze sławnymi klientami oraz wykorzystanie do terapii domu w Ladue zostało opisane w wywiadach z Doris McKee, Lynn Strenkofsky, Marshallem Shearerem, Peggy Shearer, Judith Seifer, Williamem J. Seiferem, Cindy Todorovich, Mae Biggs, Mary Erickson, Sally Bartok Taylor, Peggy Shepley, Rogerem Crenshawem, Rose Boyarsky, Robertem C. Kolodnym i Virginią. Barbara Eden, przez swojego pełnomocnika, Michaela Caseya, odmówiła udzielenia wywiadu. Dodatkowe informacje: *I'm Marion, Fly Me*, „Newsweek", 26 stycznia 1976; John J. Miller, *Geraldo's Jive*, „National Review", 1 września 1998. Szczegóły na temat małżeństwa George'a Wallace'a po próbie zamachu pochodzą z dokumentu *George Wallace*: *Settin' the Woods on Fire*, wyprodukowanego przez Paula Steklera i Dana McCabe'a, napisanego przez Steve'a Fayera, wyświetlanego na kanale PBS w programie *The American Experience* w 2000 roku.

ROZDZIAŁ 32 – ZMIANA ORIENTACJI

Scena z programu *Meet the Press* na kanale NBC pochodzi z transkrypcji z 22 kwietnia 1979 roku. Analiza homoseksualizmu: Johnson, Masters, *Homosexuality in Perspective* (Boston: Little, Brown & Co. 1979). Wiele wewnętrznych dokumentów Instytutu zostało dostarczonych przez Kolodny'ego, w tym list od mężczyzny z Indiany z 8 sierpnia 1978 roku, wiadomość od Kolodny'ego do Mastersa o problemach z książką. Dyskusja o teorii zmiany płci została poruszona w wywiadach z Robertem C. Kolodnym, J. Robertem Meynersem, June Dobbs Butts, Marshallem Shearerem, Alexem Levayem, Lynn Strenkofsky, Rose Boyarsky, Thomasem Lowrym, Rogerem Crenshawem, Mary Erickson, Nancy Mund, Paulem Gebhardem i Virginią. Dodatkowe informacje: Paul Wilkes, *Sex and the Married Couple*, „The Atlantic", grudzień 1970; *The Personal Perils of Sex Researchers: Vern Bullough and William Masters*, „SIECUS Reports", marzec 1984; *Playboy Interview: Masters and Johnson*, „Playboy", listopad 1979; *Homosexuality: Help for Those Who Want It,* „Science News", 28 kwietnia 1979, *Target: Masters and Johnson*,

„Time", 11 sierpnia 1980; Matt Clark, *Sex and the Homosexual*, „Newsweek", 30 kwietnia 1979; Bernie Zilbergeld and Michael Evans, *The Inadequacy of Masters and Johnson*, „Psychology Today", sierpień 1980; recenzja *Homosexuality in Perspective* Lawrence'a J. Hatterera w „Journal of the American Medical Association", 28 grudnia 1979; Joan Kuda, *Gerdine Hosts Dinner Honoring Sex Therapist*, „Webster University Journal", listopad 1984.

ROZDZIAŁ 33 – OBIETNICA PRZYSZŁOŚCI

Świętowanie rocznicy: Joan Kuda, *Gerdine Hosts Dinner Honoring Sex Therapist*, „Webster University Journal", listopad 1984; Judy J. Newmark, *Conversation with Masters and Johnson*, „St. Louis Post-Dispatch", 16 września 1984; Steve Friedman, *Everything You Always Wanted to Know About Masters & Johnson*, „St. Louis Magazine", czerwiec 1988.Talese wspomniany przez Myrę MacPherson w *Masters and Johnson at Home*, („Washington Post", 22 lipca 1973) oraz w książce *The Neighbor's Wife* (New York: Doubleday 1980). Dodatkowe informacje pochodzą z wywiadów z June Dobbs Butts, Donną Wilkinson, Helen Gurley Brown, Marshallem Shearerem, Robertem C. Kolodnym, Markiem Schwartzem i Virginią.

ROZDZIAŁ 34 – PIĘKNA I BESTIA

Pierwszy cytat z *Lolity* Vladimira Nabokova w tłumaczeniu Michała Kłobukowskiego, wyd. MUZA. Kwestia współpracy z surogatkami w latach osiemdziesiątych została poruszona w wywiadach z Maureen Sullivan Ward, Paulem Gebhardem, Veną Blanchard, Alexem Levayem, Markiem Schwartzem, Maxem Fitz-Geraldem, Ruth Westheimer, Donną Martini, Robertem C. Kolodnym oraz Virginią. Dodatkowe informacje: Xaviera Hollander, *The Happy Hooker*: *My Own Story* (New York: Dell 1972); Jenifer Hanrahan, *Time Has Overcome Surrogate Partners: Sexual Healer Is One of the State's Last in Practice*, „San Diego Union-Tribune", 14 października 2001. Szczegóły udziału Maureen Sullivan w *Tonight*

Show z Johnnym Carsonem pochodzą z udostępnionego przez NBC transkryptu z 9 września 1982. Dyskusja na temat surogatek i etyki oraz IPSA: Robert T. Francoeur, ed., *Sexuality in America: Understanding Our Sexual Values and Behavior* (New York: Continuum Publishing 1999).

ROZDZIAŁ 35 – KRYZYS

Pierwszy cytat: Edmund White, *States of Desire: Travels in Gay America* (New York: Plume 1991). Scena z Meese'em: Ronald J. Ostrow, *Meese Panel Asks Porn Crackdown*, „Los Angeles Times, 10 lipca 1986; Richard Stengel, *Sex Busters*, „Time", 21 lipca 1986. Dodatkowe komentarze: Guy D. Garcia, *Sexology on the Defensive*, „Time", 13 czerwca 1983; A.J. Vogl, *Are Masters and Johnson Really Infallible*?, „Hospital Physician", listopad 1970; Bernie Zilbergeld, Michael Evans, *The Inadequacy of Masters and Johnson*, „Psychology Today", sierpień 1980; Robert C. Kolodny, *Evaluating Sex Therapy*, „Journal of Sex Research", listopad 1981; Michael Fumento, *What the Press Release Left Out*, „New Republic", 4 kwietnia 1988; Michael Fumento, *The AIDS Cookbook*, „New Republic", 4 kwietnia 1988; David M. Alpern, *It Scares the Hell out of Me*, „Newsweek", 14 marca 1988; Jean Seligman, *The Storm over Masters and Johnson*, „Newsweek", 21 marca 1988; John D'Emilio, Estelle B. Freedman, *Intimate Matters: A History of Sexuality in America* (New York: Harper and Row 1988); Lawrence K. Altman, *H.I.V. Study Finds Rate 40% Higher than Estimated*, „New York Times", 3 sierpnia 2008; William Masters, Virginia Johnson, Robert C. Kolodny, *CRISIS: Heterosexual Behavior in the Age of AIDS* (New York: Grove Press 1988). Dodatkowe informacje pochodzą z wywiadów udzielonych przez C. Everetta Koopa, June Dobbs Butts, Roberta C. Kolodny'ego, Howie'ego Mastersa, Rogera Crenshawa, Dagmar O'Connor, J. Roberta Meynersa, Rose Boyarsky oraz Virginię.

ROZDZIAŁ 36 – ROZSTANIE

Kwestia rozpadu relacji Mastersa i Johnson została poruszona w wywiadach z J. Robertem Meynersem, Peggy Shepley, Donną Martini, Robertem C. Kolodnym, Howie'em Mastersem, Martinem Paulem, Lisą Young, Donną Wilkinson oraz Virginią. Dodatkowe informacje: Robert Kerr, *Sex Therapist Does Battle with Myths*, „Commercial Appeal" (Memphis), 25 lutego 1993; *A Life in the Day of Virginia Johnson*, „Seen", luty 1993; Sharon Churcher, *They Told the World All About Sex…*, „The Mail on Sunday" (London), 18 kwietnia 1993.

ROZDZIAŁ 37 – DLA TYCH RÓŻ

Wątek prywatnych relacji Mastersa pojawił się w wywiadach z Geraldine „Dody" Baker Masters, Francisem Bakerem, Howiem Mastersem, Peggy Shepley, Maxem Fitz-Geraldem oraz Virginią. Dodatkowe opisy związku z Dody: dzienniki Mastersa; *Love Styles of the Love Advisers–Special Issue–Celebrity Romance 1995*, „People", 13 lutego 1995; Sharon Churcher, *They Told the World All About Sex…*, „The Mail on Sunday" (London), 18 kwietnia 1993; Gail Sheehy, *Men Grieve More When Spouse Dies*, „Dallas Morning News", 3 lipca 1996; Nadine Brozan, *Chronicle*, „New York Times", 31 marca 1993.

ROZDZIAŁ 38 – PARY

Scena otwierająca pochodzi z transkrypcji show Larry'ego Kinga na kanale CNN z 29 marca 1994 roku. Rozstanie Virginii z Mastersem zostało poruszone w wywiadach z Donną Wilkinson, Peggy Shepley, Lee Zingale'em, Walterem Metcalfe'em i Virginią. Dodatkowe informacje: Enid Nemy, *Masters and Johnson; Divorced, Yes, But Not Split*, „New York Times", 24 marca 1994; Nadine Brozan, *Chronicle*, „New York Times", 31 marca 1993; oraz Martha Sherrill, *What's Love Got to Do With It?: From Masters & Johnson, Another Passionless Look at Sex*, „Washington Post", 29 marca 1994.

ROZDZIAŁ 39 – IN MEMORIAM

Temat ostatnich dni Mastersa i jego spuścizny został poruszony w wywiadach z Frederickiem Petersonem, Markiem Schwartzem, Howiem Mastersem, Michaelem Freimanem, Geraldine Baker Masters, Judith Seifer, Alexem Levayem, Joyce Penner, Cliffem Pennerem, Francisem Bakerem, Michaelem Perelmanem, Ernstem R. Friedrichem, Natem Lehrmanem, Donną Wilkinson, Robertem C. Kolodnym i Virginią. Dodatkowe informacje o zamknięciu Instytutu, (w tym o udziale Howiego), pochodzą z zeznań podatkowych. Ponadto: Cynthia Gorney, *Designing Women: Scientists and Capitalists Dream of Finding a Drug That Could Boost Female Sexuality. There's One Little Problem…*, „Washington Post", 30 czerwca 2002; *Transition: What Lives They Lived–William Masters*, „Newsweek", 31 grudnia 2001; Robert C. Kolodny, *In Memory of William H. Masters*, „Journal of Sex Research", 1 sierpnia 2001; Suzie Hayman, *William Masters*, „Manchester Guardian", 21 lutego 2001; Richard Severo, *William H. Masters, a Pioneer in Studying and Demystifying Sex, Dies at 85*, „New York Times", 19 lutego 2001.

ROZDZIAŁ 40 – NIEZAPOMINAJKI

Pierwszy cytat: Joan Didion, *Slouching Toward Bethlehem* (New York: Farrar, Straus and Giroux 1968), s. 139. Temat życia Virginii w ostatnich latach został poruszony w wywiadach z Isabel Smith, Carolyn Evans, Judith Seifer, Michaelem Freimanem, Lisą Young, Robertem C. Kolodnym i samą Virginią. Dodatkowe informacje: Stephen Farber, *Masters and Johnson TV Film Is Set*, „New York Times", 6 lutego 1985; Harry Levins, *Sex and the Single Expert: Virginia Johnson of 'Masters And' Will Be Working Solo on Her Next Book*, „St. Louis Post-Dispatch", 18 maja 1994.

Literatura

ARTYKUŁY PRASOWE

Alexander, Shana. *Coming Out of the Closet*, „Newsweek" z 3 lutego 1975.

Alpern, David M. *It Scares the Hell Out of Me*, „Newsweek" z 14 marca 1988.

Altman, Lawrence K. *H.I.V. Study Finds Rate 40% Higher Than Estimated*, „New York Times" z 3 sierpnia 2008.

Brody, Jane E. *30 Years of Pioneering in Sex Therapy*, „New York Times" z 29 października 1984.

Brozan, Nadine. *Chronicle*, „New York Times" z 31 marca 1993.

Buckley, Tom. *All They Talk About Is Sex, Sex, Sex*. „New York Times Magazine" z 20 kwietnia 1969.

Churcher, Sharon. *They Told the World All About Sex…*, „The Mail on Sunday" (London) z 18 kwietnia 1993.

Clark, Matt. *Sex and the Homosexual*, „Newsweek" z 30 kwietnia 1979.

Corry, John. *Research into Sexual Physiology Disclosed After 11-Year Inquiry*, „New York Times" z 18 kwietnia 1966.

Curry, Jerome P. *The Life of a Sex Researcher*, „New York Post" z 2 maja 1970.

Dames, Joan. *Masters and Johnson Launch $5 Million Endowment Campaign*, „St. Louis Post-Dispatch" z 7 października 1984.

Dickinson, Robert L. T*ampons as Menstrual Guards*, „Journal of the American Medical Association" z 16 czerwca 1945.
Fadem, Susan Sherman. *Masters and Johnson: Institute Celebrates 25 Years of Research*, „St. Louis Globe-Democrat" z 3 sierpnia 1984.
Farber, Leslie H. *I'm Sorry, Dear*, „Commentary", listopad 1964.
Farber, Stephen. *Masters and Johnson TV Film is Set*, „New York Times" z 6 lutego 1985.
Friedman, Steve. *Everything You Always Wanted to Know About Masters & Johnson*, „St. Louis Magazine", czerwiec 1988.
Fumento, Michael. *The AIDS Cookbook*, „New Republic" z 4 kwietnia 1988.
Garcia, Guy D. *Sexology on the Defensive*, „Time" z 13 kwietnia 1983.
Gerhard, Jane. *Revisiting 'The Myth of the Vaginal Orgasm': The Female Orgasm in American Sexual Thought and Second Wave Feminism*, „Feminist Studies" 26, nr 2 (lato 2000), *Women and Health*.
Gorney, Cynthia. *Designing Women: Scientists and Capitalists Dream of Finding a Drug that Could Boost Female Sexuality. There's One Little Problem…,* „Washington Post" z 30 czerwca 2002.
Grody, Marvin H., Donald W. Robinson, William H. Masters. *The Cervical Cap–An Adjunct in the Treatment of Male Infertility*, „Journal of the American Medical Association" z 31 maja 1952.
Guttmacher, Alan F. *Human Sexual Inadequacy for the Non-Layman*, „New York Times Book Review" z 12 lipca 1970.
Hayman, Suzie. *William Masters*, „Manchester Guardian" z 21 lutego 2001.
Henderson, Harry. *Exploring the Human Sexual Response*, „Sexual Medicine Today", kwiecień 1981.
Kerr, Robert. *Sex Therapist Does Battle with Myths*, „Commercial Appeal" (Memphis) z 25 lutego 1993.
Koch, Joanne, Lew Koch. *A Consumer's Guide to Therapy for Couples*, „Psychology Today", marzec 1976.
Kolodny, Robert C. *Evaluating Sex Therapy*, „Journal of Sex Research", listopad 1981.

Kolodny, Robert C. *In Memory of William H. Masters*, „Journal of Sex Research" z 1 sierpnia 2001.

Kuda, Joan. *Gerdine Hosts Dinner Honoring Sex Therapist*, „Webster University Journal", listopad 1984.

Levins, Harry. *Sex and the Single Expert: Virginia Johnson of 'Masters And' Will Be Working Solo on Her Next Book*, „St. Louis Post-Dispatch" z 18 maja 1994.

MacPherson, Myra. *Masters and Johnson at Home*, „Washington Post" z 22 lipca 1973.

Masters, William H., Virginia E. Johnson, *How Our Sex Research Program Began*, „Redbook", październik 1974.

Masters, William H., Virginia E. Johnson. *Intravaginal Contraceptive Study: Phase I. Anatomy*, „Western Journal of Surgery, Obstetrics and Gynecology", lipiec–sierpień 1962.

Masters, William H., Virginia E. Johnson. *A Team Approach to the Rapid Diagnosis and Treatment of Sexual Incompatibility*, „Pacific Medicine and Surgery" (wcześniej: „Western Journal of Surgery, Obstetrics and Gynecology"), listopad–grudzień 1964.

Nathan, Debbie. *The Battles Over Sex Education in the United States: A New View of Women's Sexual Problems–Book Review*, „The Nation" z 18 listopada 2002.

Nemy, Enid. *Masters and Johnson; Divorced, Yes, But Not Split*. „New York Times" z 24 marca 1994.

Newmark, Judy J. *Conversation with Masters and Johnson*, „St. Louis Post-Dispatch" z 16 września 1984.

Ostrow, Ronald J. *Meese Panel Asks Porn Crackdown*, „Los Angeles Times" z 10 lipca 1986.

Rosenfeld, Albert. *Inside the Sex Lab*, „Science Digest", listopad–grudzień 1980.

Sanders, Marion K. *The Sex Crusaders from Missouri*, „Harper's", maj 1968.

Sciolino, Elaine. *Sex Talk*, „Newsweek" z 17 marca 1975.

Seligman, Jean. *The Storm over Masters and Johnson*, „Newsweek" z 21 marca 1988.
Semans, J.H. *Premature Ejaculation: A New Approach*, „Southern Medical Journal" 49, kwiecień 1956.
Severo, Richard. *William H. Masters, a Pioneer in Studying and Demystifying Sex, Dies at 85*, „New York Times" z 19 lutego 2001.
Sheehy, Gail. *Men Grieve More When Spouse Dies*, „Dallas Morning News" z 3 lipca 1996.
Sherrill, Martha. *What's Love Got to Do With It?: From Masters & Johnson, Another Passionless Look at Sex*, „Washington Post" z 29 marca 1994.
Smith, Lee. *Adventures in the Sex and Hunger Trade*, „Fortune" z 9 sierpnia 1982.
Stengel, Richard. *Sex Busters*, „Time" z 21 lipca 1986.
Timnick, Lois. *Sex Researchers' Book Stresses Commitment*, „St. Louis Globe-Democrat" z 17 stycznia 1975.
Ubell, Earl. *Science*, „New York Herald Tribune" z 21 listopada 1965.
Vogl, A.J. *Are Masters and Johnson Really Infallible*?, „Hospital Physician", listopad 1970.
Weber, Melva. *New Cures for Sex Problems*, „Ladies' Home Journal", lipiec 1970.
Wilkes, Paul. *Sex and the Married Couple*, „The Atlantic", grudzień 1970.
Zilbergeld, Bernie, Michael Evans. *The Inadequacy of Masters and Johnson*, „Psychology Today", sierpień 1980.

KSIĄŻKI

Chaucer, Geoffrey. *Opowieści kanterberyjskie*. przeł. Helena Pręczkowska. Wrocław: Ossolineum 1963.
Clarke, Adele. *Disciplining Reproduction: Modernity, American Life Sciences and the Problem of Sex*. Berkeley: University of California Press 1998.

Corbett, Katharine T. *In Her Place–A Guide to St. Louis Women's History*. St. Louis: Missouri Historical Society Press 1999.

Corner, George W. *Anatomist at Large: An Autobiography and Selected Essays*. New York: Basic Books 1958.

Darby, Robert. *A Surgical Temptation: The Demonization of the Foreskin and the Rise of Circumcision in Britain*. Chicago: University of Chicago Press 2005.

Darwin, Charles. *The Descent of Man and Selection in Relation to Sex*. Princeton, NJ: Princeton University Press 1981.

D'Emilio, John, and Estelle B. Freedman. I*ntimate Matters: A History of Sexuality in America*. New York: Harper and Row 1988.

Ehrenreich, Barbara, Elizabeth Hess, Gloria Jacobs. *Re-Making Love: The Feminization of Sex*. New York: Doubleday 1986.

Ellis, Havelock. *Studies in the Psychology of Sex–Vol. VI*. Philadelphia: F.A. Davis Company 1913.

Escoffier, Jeffrey. *Sexual Revolution*. New York: Thunder's Mouth Press 2003.

Fessenden, Tracy, Nicholas F. Radel, Magdalena J. Zaborowska, eds. *The Puritan Origins of American Sex: Religion, Sexuality, and National Identity in American Literature*. New York: Routledge 2000.

Flaubert, Gustave. *Pani Bovary*, przeł. Ryszard Engelking. Gdańsk: słowo/obraz terytoria 2005.

Foster, Lawrence. *Religion and Sexuality: The Shakers, the Mormons, and the Oneida Community*. New York: Oxford University Press 1981.

Francoeur, Robert T., ed. *Sexuality in America: Understanding Our Sexual Values and Behavior*. New York: Continuum Publishing 1999.

Freud, Sigmund. *An Outline of Psycho-Analysis*. New York: W. W. Norton & Co. 1949.

Friedan, Betty. *The Feminine Mystique*. New York: W. W. Norton 1963.

Goodman, Ellen. *At Large*. New York: Summit Books 1981.

Greer, Germaine. *The Female Eunuch*. New York: McGraw-Hill 1970.

Hollander, Xaviera. *The Happy Hooker*: My Own Story. New York: Dell 1972.

Irvine, Janice M. *Disorders of Desire: Sexuality and Gender in Modern American Sexology*. Philadelphia: Temple University Press 2005.

Isaacson, Walter, ed. *A Benjamin Franklin Reader*. New York: Simon & Schuster 2003.

Kaplan, Helen Singer. *The New Sex Therapy: Active Treatment of Sexual Dysfunctions*. New York: Brunner-Routledge, 1974.

Lawrence, D.H. *The Complete Poems of D.H. Lawrence*. New York: Penguin Books USA 1993.

Levering, Matthew, ed. *On Marriage and Family: Classic and Contemporary Texts*. Rowman & Littlefield 2005.

Maienschein, Jane, Marie Glitz, Garland E. Allen, eds. *Centennial History of the Carnegie Institution of Washington, Volume V – The Department of Embryology*. Cambridge: Cambridge University Press 2004.

Mailer, Norman. *The Prisoner of Sex*. Boston: Little, Brown and Co. 1971.

Masters, William H., Virginia E. Johnson. *Human Sexual Response*. Boston: Little, Brown and Co. 1966.

Masters, William H., Virginia E. Johnson. *Human Sexual Inadequacy*. Boston: Little, Brown and Co. 1970.

Masters, William H., Virginia E. Johnson. *The Pleasure Bond*. Boston: Little, Brown and Co. 1976.

Masters, William H., Virginia E. Johnson, Robert C. Kolodny. *CRISIS*: *Heterosexual Behavior in the Age of AIDS*. New York: Grove Press 1988.

Masters, William H., Virginia E. Johnson, eds. *Ethical Issues in Sex Therapy and Research*. Boston: Little, Brown 1977.

Masters, William H., Virginia E. Johnson, Robert C. Kolodny. *Masters and Johnson on Sex and Human Loving*. Boston: Little, Brown and Co. 1986.

McLaren, Angus. *Impotence: A Cultural History*. Chicago: University of Chicago Press 2007.

Meyer, Arthur William. *The Rise of Embryology*. Oxford, U.K.: Oxford University Press 1939.

Roach, Mary. *Bonk: The Curious Coupling of Science and Sex*. New York: W. W. Norton 2008.

Robinson, Paul. *The Modernization of Sex*. New York: Harper & Row 1976.

Roosevelt, Theodore. *History as Literature and Other Essays*. New York: Charles Scribner's Sons 1913.

Talese, Gay. *Thy Neighbor's Wife*. New York: Doubleday 1980.

Tappert, Theodore G. *Luther: Letters of Spiritual Counsel*. Vancouver, BC: Regent College Publishing 2003.

White, Edmund. *States of Desire: Travels in Gay America*. New York: Plume 1991.

O autorze

Thomas Maier jest pisarzem i dziennikarzem śledczym. Jego najnowsza książka, biografia braci Kennedy, znalazła się na liście najczęściej wybieranych książek na wakacje, przygotowanej przez „USA Today" w 2003 roku. Została powtórnie wydana w 2008 przy okazji premiery dwugodzinnego filmu dokumentalnego Roberta Kline'a oraz Warner Bros. Home Video opartego na książce Maiera. Jego biografia Doktora Spocka została przez „Boston Globe" wybrana jedną z dziesięciu najlepszych napisanych w 1998 roku pozycji z literatury faktu, zaś „New York Times" nadał jej tytuł „Ważnej Książki Roku". Fragmenty publikacji ukazały się w „Newsweeku", w skróconej wersji wydał ją także „Reader's Digest". Maier pracował też jako konsultant i komentator w filmie dokumentalnym na temat Spocka, zrealizowanym przez BBC i A&E's Biography. Jego *Newhouse: All the Glitter, Power and Glory of America's Richest Media Empire and the Secretive Man Behind It* wygrało Nagrodę Franka Luthera Motta jako najlepsza książka związana z mediami; przyznało ją Krajowe Towarzystwo Dziennikarzy i Komunikacji Masowej.

Od 1984 roku, jako dziennikarz śledczy „Newsday", Maier zdobył wiele ogólnokrajowych i regionalnych wyróżnień, w tym najwyższą nagrodę Towarzystwa Profesjonalnych Dziennikarzy za serię artykułów o nadużyciach w policji. W 2002 roku otrzymał pierwszą nagrodę od Międzynarodowego Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych za relacje z El

Salvador dotyczące pracujących tam imigrantów. W Dziennikarskiej Szkole Podyplomowej przy Uniwersytecie w Columbii otrzymał Nagrodę Johna M. Pattersona za telewizyjne filmy dokumentalne. Później ta sama instytucja we współpracy z Amerykańską Radą ds. Niemiec przyznała mu stypendium Johna McCloya na Europę. Zdobył tytuł licencjata z politologii na Uniwersytecie Fordhama.

Aktualnie mieszka na Long Island z żoną, Joyce McGurrin, oraz synami: Andrew, Taylorem i Reade'em.

Spis treści

Wstęp do polskiego wydania

Wstęp

CZĘŚĆ PIERWSZA

Dziewczyna z Golden City

Złamane serce

Pani Johnson

Byle nie wracać do domu

Prawdziwy cud

Ekspert w dziedzinie płodności

Żona idealna

Wolność nauki

Przez dziurkę od klucza

CZĘŚĆ DRUGA

Macierz

Eksperyment

Ochotnicy

Noah

Maski

Odejście z uczelni

Kwestia zaufania
Odkrywanie sekretów
„Współżycie seksualne człowieka”
CZĘŚĆ TRZECIA
Radość z publikacji
Skupienie na uczuciach
Terapia seksualna
Surogatki
Playboy
Naprawiając małżeńskie łoże
Zapach miłości
Zdrada
Układ małżeński
CZĘŚĆ CZWARTA
Ruch feministyczny
Seksualny biznes
Więzi przyjemności
Droga do gwiazd
Zmiana orientacji
Obietnica przyszłości
Piękna i Bestia
Kryzys
Rozstanie
Dla tych róż
Pary
In Memoriam
Niezapominajki
Od autora

Nota bibliograficzna

Uwagi do poszczególnych rozdziałów

Literatura

O autorze

Polecamy również

Polecamy również:

Anya Lipska

TOŃ

Współczesny Londyn. Tamiza wyrzuciła na brzeg ciało młodej dziewczyny. Jedyną wskazówką mogącą pomóc w ustaleniu jej tożsamości jest tatuaż w kształcie serca. Kim jest i dlaczego zginęła?

Janusz Kiszka i Natalie Kershaw ruszają w ślad za mordercą. On – znany wśród londyńskiej Polonii ryzykant, zawadiaka z solidarnościową przeszłością. Ona – młoda i ambitna pani detektyw. I choć pochodzą z dwóch różnych światów, muszą działać wspólnie, żeby dopaść zabójcę.

Morderca czai się tuż za rogiem. Londyn stanie się areną śmiertelnej gry, której stawką będzie ludzkie życie. Czy jednak nie jest za późno, by ocalić kolejną dziewczynę?

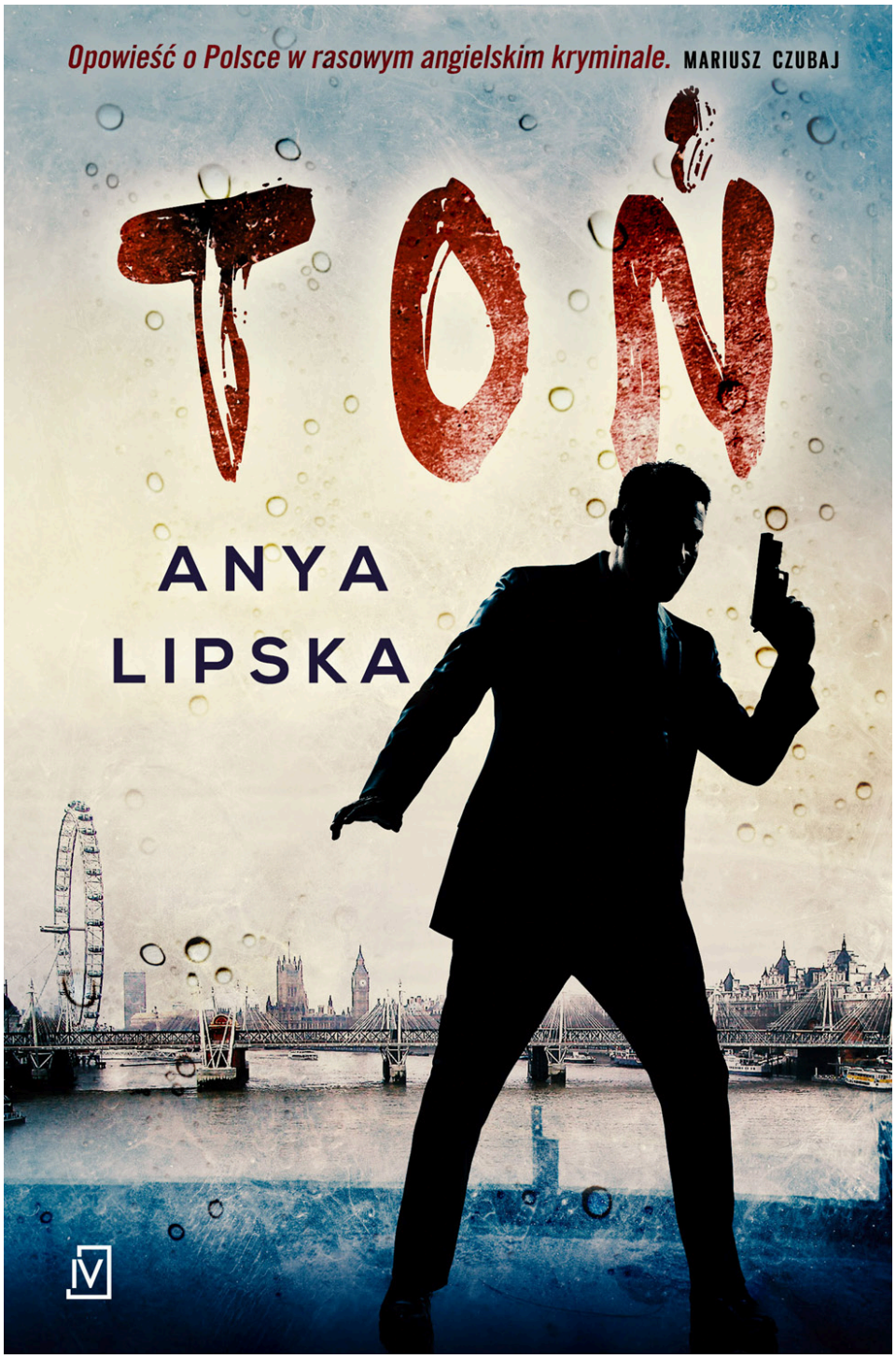
Opowieść o Polsce w rasowym angielskim kryminale. MARIUSZ CZUBAJ
TOŃ
ANYA
LIPSKA

– Witamy w kraju, panie Kiszka – powiedziała, a on tylko jęknął. – Proszę posłuchać – powiedziała, przebierając szybko nogami, żeby dotrzymać mu kroku. – Ma pan dwie opcje – albo jedziemy na komendę i spędzi pan w pokoju przesłuchań dobrych parę godzin, albo zawiozę pana do miasta i po drodze sobie pogadamy – trochę zwolnił. – To dobra propozycja – dodała. – Rozmowa poza protokołem i podwózka do domu to na pewno lepsze niż dzień stracony na komendzie – zatrzymał się i spojrzał na nią, a w jego wzroku była wrogość pomieszana z rezygnacją.

Otworzyła bagażnik, żeby mógł włożyć plastikowe torby z alkoholem.

– Robi pan zapasy wódki? – spytała, uśmiechając się i próbując przełamać lody.

– Nie piję wódki – warknął. – Nie smakuje mi.

Wzniosła oczy do góry, patrząc na jego plecy przypominające stromą skałę. *Kurwa, to będzie ciężka praca*.

Wykurwiście! – pomyślał Janusz, gramoląc się do maleńkiego samochodu – 40 minut z głupią pizdą, która pewnie myśli, że Chopin był Francuzem.

Kershaw postanowiła się nie odzywać, dopóki nie wyjadą z lotniska i nie znajdą się na autostradzie. Trzymała się prawego pasa – jeśli nie będzie się spieszyć, będzie miała więcej czasu, żeby go przepytać.

– Mamy postępy w śledztwie. Chodzi o tę dziewczynę, którą znaleziono w hotelu Waveney Thameside – zaczęła. – Pana znajoma, Justyna Koz-low-ska – wymawiała nazwisko powoli, starając się zachować dźwięki obcego języka i tym razem się nie pomylić. Spojrzała z ukosa na Kiszkę, żeby zobaczyć, czy jest jakaś reakcja. Żadnej. – Mamy nagranie z hotelu – jest na nim ta dziewczyna i jakiś mężczyzna…